

Judith Michael

ŚCIEŻKI  
KŁAMSTWA



# Michael Judith

## *Ścieżki kłamstwa 01*

### Ścieżki kłamstwa

Losy dwóch sióstr-bliźniaczek, podobnych do siebie jak dwie krople wody, potoczyły się zupełnie inaczej. Sabrina - piękna i bogata, błyszczy w wielkim świecie Londynu. Stefania - wierna żona i matka dwojga dzieci, wiecie skromne życie w miasteczku uniwersyteckim w Ameryce. Żadna jednak nie czuje się szczęśliwa i każda chciałaby zakosztować życia drugiej. Sabrina marzy o życiu rodzinnym, a Stefania o rozrywkach i atrakcyjnym towarzystwie. W końcu decydują się zamienić rolami i wchodzą na ścieżki kłamstwa...

CZESC 1

## *Rozdział pierwszy*

Sabrina Longworth stała przed wystawą sklepu z antykami „Kwo Fu” na ulicy Tian Jin, wahając się w wyborze między przepięknie rzeźbionym nefrytowym zestawem do gry w szachy a lampą z brązu w kształcie smoka. Pragnęła obu tych rzeczy, a nie widziała jeszcze nawet wnętrza sklepu! Gdyby kupowała wszystko, co jej się spodobało podczas dwutygodniowej wycieczki po Chinach, wróciłaby do domu bez grosza.

Poczeka na Stefanię i zapyta ją o zdanie. Może kupi dla niej tę lampę. Jeśli choć raz Stefania pozwoli, żeby jej coś podarowała.

Pan Su Guang patrzył z głębi ciemnego sklepu na amerykańską lady, zdumiony jej urodą. Pan Su był artystą i znawcą zabytków. Studiował swego czasu w Stanach i pokochał tam jasnowłosą dziewczynę, która nauczyła go cenić zachodnią urodę na równi z orientalną. Nigdy przedtem nie widział jednak kobiety tak pięknej jak ta turystka. Jej kasztanowe włosy, szesane do tyłu w węzeł, który przytrzymały dwa zdobione złotem grzebienie z białej emalii, mieniły się złoto-brązowo w promieniach popołudniowego słońca. Szeroko rozstawione oczy lśniły ciemnym błękitem w delikatnym owalu twarzy, a pełne usta miały leciutko opuszczone kąciki, co nadawało im wyraz wrażliwości. Pan Su pragnął zaofiarować jej swą pomoc. Któryż mężczyzna nie czułby tego samego, patrząc na te piękne usta, czy to rozchylone uśmiechem, czy skrzywione w płaczu?

Zauważył, że miała dumną postawę, choć nie była wysoka. Szczupła i pełna wdzięku stała na tle tłumu przechodniów, którzy wracali po pracy do domu pieszo lub na rowerach, często niosąc żywe kurczaki lub kaczki na obiad albo ciągnąc wózki z zakupami. Amerykanka spoglądała na nich od czasu do czasu, lecz głównie interesowała ją

wystawa sklepu. Spośród wszystkich przedmiotów jej uwagę zwróciły dwa najpiękniejsze. Pan Su postanowił zaprosić ją do środka i wyjąć z zamkniętych gablotek cenne antyki, które pokazywał tylko tym, którzy potrafili je docenić. Uśmiechając się z wyczekiwaniem zrobił krok ku drzwiom. Nagle zatrzymał się otwierając ze zdumienia usta: piękna dama za oknem rozdziwiła się!

Obie kobiety były bliźniaczo podobne i ubrane w identyczne jedwabne suknie, które, jak to rozpoznał pan Su, pochodziły z pobliskiego sklepu. Nie miał czasu na dalsze rozmyślenia: obie turystki wchodziły już do jego sklepu.

Za progiem przystanąły z wahaniem, czekając, aż oczy przyzwyczajają się do słabego światła świec i lamp naftowych. Pan Su podszedł do nich i skłonił się.

— Witam w moich progach. Czy mogę poczęstować panie herbatą? Ta, która pierwsza weszła do środka, wyciągnęła do niego rękę.

— Pan Su? Jestem Sabrina Longworth. Pisałam panu, że chcę kupić kilka rzeczy do *Ambasadora*, mojej galerii antyków w Londynie.

— Lady Longworth! Oczekiwałem pani, lecz nie spodziewałem się, że przybędzie pani w dwóch osobach! Roześmiała się.

— Przedstawiam panu moją siostrę, Stefanię Andersen, zamieszkałą w Ameryce.

— W Ameryce! — rozpromienił się pan Su. — Studiowałem w Stanach, w Instytucie Sztuki w Chicago.

— Jakież mały jest ten świat — powiedziała pani Andersen. — Mieszkam na północ od Chicago, całkiem niedaleko, w Evanston.

— Ach! Byłem tam również, zwiedzałem uniwersytet. Proszę, wejdźcie panie, napijemy się herbaty.

Pana Su wprowadziła w ekstazę olśniewająca uroda obu dam, która rozjaśniła jego sklep bardziej niż światło świec. Były tak samo piękne i miały identyczne głosy — niskie i miękkie, z ledwo wyczuwalną melodyjną intonacją, trudną do określenia. Jedna z nich mieszkała w Ameryce, a druga w Londynie, lecz w ich wymowie pobrzmiwał lekki europejski akcent. Pan Su doszedł do wniosku, że musiały odebrać wykształcenie w Europie. Krzątając się wokół stolika do herbaty, pytał o wrażenia z wycieczki po Chinach zorganizowanej przez grupę pośredników sprzedaży antyków.

— Proszę, lady Longworth — powiedział z filiżanką w ręku. Roześmiała się i spojrzała na siostrę. Pan Su z zakłopotaniem przeniósł wzrok z jednej na drugą. — Pomyliłem się — rzekł z ukłonem. — Pani Andersen. Proszę mi wybaczyć.

Uśmiechnęła się.

— Nic nie szkodzi. Nieznajomi często nas mylą. — Znów spojrzała na siostrę. — Kure domową z Evanston z londyńską lady.

Pan Su nie rozumiał, o co chodzi, lecz poczuł ulgę. Nie były obrażone. Podjął pogawędkę, a gdy wypili parę filiżanek herbaty, pokazał im swe największe skarby.

Lady Longworth, co zauważył z aprobatą, ostrożnie brała antyki do ręki i oceniała je z wprawą eksperta. Musiała mieć również duże doświadczenie w negocjowaniu cen. Intuicyjnie wyczuwała moment, w którym wymieniana przez niego cena dochodziła do górnej granicy wyznaczonej przez rząd, i wówczas natychmiast decydowała się na kupno lub przechodziła do następnego przedmiotu.

— Sabrino, spójrz! — pani Andersen klęczała przed kolekcją starożytnych figurek magicznych. Obracała w palcach misterne drobiazgi. — Kupię jedną dla Penny i Cliffa. Nie, lepiej kupię dwie, żeby w domu nie rozpętało się piekło.

Dodając zręcznymi palcami na liczydło, pan Su zsumował wartość zakupów lady Longworth, łącznie z nefrytowymi szachami i lampą z brązu, które zdjął z witryny. Doliczył koszty transportu do Londynu. Potem wyjął z gablotki małą, misterną rzeźbę z kości słoniowej i podał ją pani Andersen.

— Proszę to przyjąć z wyrazami szacunku. — A widząc wyraz zaskoczenia na jej twarzy dodał: — Ona się pani spodobała, lecz odłożyła ją pani, gdy podałem cenę. Proszę ją przyjąć. Kupiła pani prezenty tylko dla dzieci, chciałbym więc, żeby zachowała pani coś dla siebie.

Uśmiechnęła się tak słodko, że pan Su z westchnieniem wspomniął na swą utraconą młodość. Ukłonił się i przytrzymując uprzejmie drzwi słuchał ich podziękowań, a potem śledził je wzrokiem, dopóki nie znikły za rogiem wąskiej, krętej uliczki.

— Jak wrócimy do hotelu? — spytała Stefania. Niosła lampę z brązu, a Sabrina zestaw do gry w szachy. Nie chciały tych przedmiotów powierzyć firmie przewozowej.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odparła beztrąsko Sabrina. — Myślałam, że pamiętam, jak się tu dostałyśmy, ale te ulice są gorsze niż labirynt w Treveston. Mamy nauczkę, żeby na przyszłość nie uciekać od swoich opiekunów i nie włóczyć się samotnie po ulicach Szanghaju. Będziemy musiały zapytać kogoś o drogę.

— Widziałas to? — Stefania wyjęła z pudełka rzeźbę z kości słoniowej, którą dał jej pan Su.

Sabrina podała jej do potrzymania swój pakunek i zatrzymała się,

żeby obejrzeć delikatny przedmiot. Składał się z tuzinów maleńkich, fantazyjnie wyrzeźbionych, splecionych ze sobą figurek, które tworzyły nieregularny sześcian. Jedna z nich poruszyła się pod dotknięciem palca.

— To się rozkłada! — krzyknęła.

— Wolę nie próbować — powiedziała Stefania. — Nigdy nie złożyłabym tego z powrotem. Ale czy to nie śliczne? Figurki dam dworu, splecione w jedną całość.

— W ten sprytny sposób pan Su chciał nam przekazać swoje myśli: według niego my dwie tworzymy jakby jedną całość. Jak sądzisz, gdzie jesteśmy?

Obok nich zatrzymał się jakiś rowerzysta.

— Czy mogę paniom w czymś pomóc? — spytał starannie wymawiając angielskie wyrazy.

— Zginął nam Hotel Heping — rzekła Sabrina.

— Zginął...? Ach, zgubiłyście drogę do hotelu. To rzeczywiście przykre. Proszę iść za mną, doprowadzę panie do Wschodniej Drogi Nanjing.

— Czy w Chinach wszyscy mówią po angielsku? — spytała Stefania.

— Wszyscy uczyli się go w szkole — powiedział niedbale. Wolno pojechał przodem, a one ruszyły za nim.

— Nie masz nic dla Gartha — zauważyła Sabrina.

— Chyba coś mu kupię, choć mówiłam ci, że w tej chwili nie jestem w nastroju, by obsypywać go prezentami. W każdym razie został jeszcze jeden tydzień. Och...!

— Co się stało?

— Jeszcze tylko jeden tydzień! Tak krótko. Przed wyjazdem dwa tygodnie wydawały się długie jak wieczność. Teraz apetyt mi rośnie. Chciałabym... Sabrino, nigdy nie chciałaś zniknąć na jakiś czas?

— Ostatnio myślę o tym mniej więcej raz dziennie. Lecz zwykle tym, od czego chcę uciec, jestem ja sama, i gdziekolwiek się udam, zawsze pozostanę sobą.

— Tak, to właśnie chciałam powiedzieć. Zawsze wiesz, co mam na myśli.

Rowerzysta skręcił za róg, oglądając się, czy idą za nim.

— Chiny to chyba najdalszy kąt, gdzie można uciec — powiedziała Sabrina.

— W takim razie może tu zostanę — rzekła Stefania wesoło. — I naprawdę zniknę. Przynajmniej na jakiś czas. Koniec ze Stefanią Andersen. Przedstawię się panu Su jako lady Longworth i powiem, że chcę zostać jeszcze na kilka tygodni, a ponieważ jesteś jego najlepszą

klientką, będzie zachwycony mogąc mi pomóc. To znaczy, jeśli nie przeszkodzi ci, że znikając przybiorę sobie czasowo twoje nazwisko i tytuł.

— Absolutnie, lecz skoro masz być mną, wolałabym, żebyś wróciła do Londynu i tam rozwiązała moje problemy.

— Pod warunkiem, że ty pojedziesz do Evanston i rozwiążesz moje. Wybuchnęły śmiechem.

— Czy to nie byłby pyszny kawał? — powiedziała Sabrina. Rowerzysta ponownie się odwrócił i wskazał ręką:

— Wschodnia Droga Nanjing.

Zanim zdążyły mu podziękować, zniknął w cizbie rowerów, samochodów i pieszych na zatłoczonej ulicy. Stefania szła wolno, patrząc niewidzącym wzrokiem na witryny sklepów.

— To byłoby jak w bajce — powiedziała. — Móc prowadzić twoje wspaniałe życie. Jedyne kłopot to odpieranie zalotów twojego brazylijskiego milionera.

Sabrina spojrzała na nią.

— Ja musiałabym opierać się zalotom twojego męża.

— Och, nie, wcale nie. Garth najczęściej śpi w swojej pracowni. Nie kochaliśmy się od... od bardzo długiego czasu. Nie byłoby czego odpierać.

W milczeniu minęły księgarnię i podeszły do sklepu ze sztucznymi kwiatami. Stefania przystanąła patrząc na płatki i liście z kolorowego papieru i jedwabiu.

— Myślisz, że to by się nam udało? Założę się, że tak. Oczywiście nie na długo, ale... mogłybyśmy to zrobić.

Sabrina napotkała jej spojrzenie w szybie odbijającej ich postaci wśród mieniących się różem i czerwienią bukietów i skinęła głową. — Prawdopodobnie. Przez kilka dni — roześmiała się. — Pamiętasz wtedy w Atenach, gdy...

— Mogłybyśmy przypatrzeć się sobie z daleka, z innego życia, i zrozumieć, co właściwie chcemy robić... No, to znaczy ja mogłabym zrozumieć, czego chcesz, ty zawsze dokładnie zdajesz sobie sprawę...

— Wcale nie tak dokładnie, wiesz o tym dobrze.

— W takim razie, obie miałybyśmy szansę, żeby pomyśleć o...

— Ach, jesteście! — zawołał przewodnik, który właśnie wyprowadzał grupę wycieczkową z pobliskiego sklepu. Zaczął je strofować za odłączenie się na własną rękę.

— Porozmawiamy o tym później — zdążyła tylko powiedzieć Stefania. Zapędzono je do grupy i zaprowadzono do hotelu na obiad, po którym nastąpił trwający cztery godziny pokaz akrobatyczny.



Okazja do poufnej rozmowy nadarzyła się dopiero nazajutrz. Stefania chciała obejrzeć resztę sklepów na Wschodniej Drodze Nanjing.

— Wciąż mnie to prześladuje — powiedziała. — A Ciebie? Wczoraj w nocy byłam zbyt zmęczona, żeby rozmawiać, lecz to wciąż tkwiło mi w głowie, a dziś od samego rana nie jestem w stanie myśleć o czymkolwiek innym.

— Wiem. — Od wczorajszego dnia myśli Sabriny również krążyły wokół tego samego tematu. — To jeden z tych zwariowanych pomysłów, które nie dają człowiekowi spokoju.

— Nie taki znów zwariowany, Sabrino. Ja mówię poważnie. Sabrina spojrzała na nią.

— To nie rozwiązałyby niczego...

— Skąd wiesz? Najważniejsze, że wyrwałybyśmy się z tego, w czym tkwimy-teraz.

Zapadła cisza. Sabrina poczuła, że krew zaczyna w niej szybciej krążyć. Stefania zawsze trafiała w sedno: wyrwać się...

— I to jest w pełni wykonalne — ciągnęła Stefania. — Wiemy tyle nawzajem o swoim życiu, rozmawialiśmy nieraz na te tematy. Poza tym myślimy w ten sam sposób...

To była prawda, o której obie wiedziały od dawna.

— Wszystko będzie takie nowe i będziemy mogły spojrzeć na siebie z całkiem innej strony... — wyrzucała z siebie bezładnie Stefania. — Nie można tego zrobić, gdy wciąż się jest w zamęcie codziennych spraw. Wśród nich brak czasu na myślenie. Przecież sama często mówiłaś, że chciałabyś popробować mojego życia, bo jest tak różne od twojego... Słuchaj, co masz do zrobienia w ciągu pierwszego tygodnia po powrocie?

— Niewiele. — Sabrina była coraz bardziej zainteresowana pomysłem. Wybiegła myślą naprzód. — Nie planowałam nic ważnego w przewidywaniu, że trzeba będzie przyjść do siebie po pobycie w Chinach. Nie ma nic szczególnego do zrobienia. *Ambasador* może zostać zamknięty przez następny tydzień.

— W moim domu też nie ma nawału pracy — powiedziała skwapliwie Stefania. — Penny i Cliff chodzą własnymi drogami. Mogłabyś dać znać do biura, że jesteś chora — na wschodnią dyzenterię czy coś takiego. Wszyscy tam wiedzą o moim wyjeździe do Chin; musiałam dostać specjalne pozwolenie na dwutygodniowy urlop. Och — ale musiałabyś gotować dla całej mojej rodziny!

Sabrina roześmiała się. Oczy jej błyszczały.

— Radzę sobie z tym całkiem dobrze. Jak myślisz, co jem, gdy pani Thirkell ma urlop?

— Oni zresztą i tak nie zwracają uwagi na to, co im się podaje — ciągnęła Stefania. — Wiecznie się spieszą. Tak naprawdę przez prawie cały czas byłabyś sama.

Zatrzymały się przed sklepem z papierowymi zabawkami, wystawa zapchana była skomplikowanymi kwiatami, łodziami, smokami i setką innych stworzeń. Sabrina czuła znajome podniecenie, które rosło w niej, gotowe wybuchnąć. Już jako mała dziewczynka doznawała tego często: pokusa podjęcia wyzwania, radość ryzyka, słodczy przyszedłszy sukcesu sprawiały, że zbierała się w sobie jakby szykując się do skoku.

— Stać się kimś innym... — wymruczała.

— Zacząć inne życie — zawtórowała Stefania. — To będzie przygoda, Sabrino!

Uśmiechnęły się na wspomnienie wydarzenia, które miało miejsce dwadzieścia lat temu. Miały wtedy po jedenaście lat i mieszkały w Atenach. Ich pierwsza wielka przygoda.

Ruszyły w dalszą drogę.

— Tydzień — powiedziała Stefania. — Jeden jedyny fantastyczny tydzień!

— Możesz znów kiedyś nabrać apetytu — rzekła niefrasobliwie Sabrina.

— Ty również.

Gdy od hotelu dzieliła je jedna przecznica, wpadły na wychodzącego ze sklepu ze słodyczami Nicholasa Blackforda, który niósł stertę zapakowanych słodkości. Uśmiechnął się jak uczeń przyłapan na lasowaniu.

— To takie trudne utrzymać dietę z dala od domu. Powiniennem wziąć ze sobą Amelię. Musisz mi porządnie zmyć głowę, Sabrino, jak wówczas, gdy pracowałeś u mnie w galerii i tępiłaś moje złe nawyki. Czy może mówię do Stefanii? Wicie, wstyd mi się przyznać, choć nie jest to ujma dla żadnej z was, ale — Sabrino — Stefanio — naprawdę nie umiem was odróżnić.

Sabrina i Stefania spojrzały na siebie ponad łysą, podrygującą głowę Nicholasa Blackforda. Nowo poznani ludzie często mylili je ze sobą, lecz Nicholas znał Sabrinę od dziesięciu lat. Sabrina, z roziskrzonymi oczami, złożyła przed Stefanią głęboki dworski ukłon.

— Lady Longworth — powiedziała czystym głosem. — Witamy w Szanghaju.

Stefania wyciągnęła rękę, by pomóc jej wstać.

— Pani Andersen — odparła. — Jakże się cieszę, że tu jestem.

## *Rozdział drugi*

Ich dom był w stanie nieustannej przeprowadzki. Zdawało się, że dopiero przed chwilą urządziły się na nowym miejscu, ustawiły meble i rozwiesiły swoje ubrania, a już służący znów zaczęli pakować wszystko w kartony przed podróżą do następnego egzotycznego miasta i szkoły pełnej cudzoziemców. Zaczęło się to w Waszyngtonie, gdy były dwuletnimi brzdącami i od tej pory co dwa lata przenosiły się na nowe miejsce: Norwegia, Szwecja, Portugalia, Hiszpania. Teraz znów je to czekało.

— Jeszcze nie teraz! — jęknęła Sabrina, gdy wróciwszy z konnej jazdy zastała matkę owijającą kruchy wazon w koc. — Dopiero co tu przyjechaliśmy!

— Dwa lata temu — skorygowała matka. — Tatuś i ja mówiliśmy wam na wiosnę, że w sierpniu przeprowadzimy się do Aten.

— Nie chcę jechać do Aten — lamentowała Stefania. — Podoba mi się tu, w Madrycie. Lubię swoich przyjaciół. I nasza klasa miała dostać najlepszą nauczycielkę w całej szkole!

— Znajdziecie tam nowych przyjaciół — rzekła matka ze spokojem. — W amerykańskiej szkole z pewnością będą dobre nauczycielki. A w Atenach jest mnóstwo ciekawych rzeczy.

— W Atenach jest mnóstwo ruin — sarknęła Sabrina.

— Które będziemy zwiedzać — odparła matka, wkładając owinięty wazon do kartonu i upychając wokół niego pogniecione gazety. — Przykro mi, dziewczynki, wiem, że tego nie lubicie, lecz my również. Po prostu jest to coś, co musimy...

— Tata to lubi — powiedziała z uporem Sabrina. — Za każdym razem, gdy się przeprowadzamy, robi się bardziej nadęty i ważny.

— Wystarczy, Sabrino — przerwała jej matka ostrym tonem. —

Pójdziecie obie na górę i zaczniecie sortować ubrania i książki. Wiecie jak.

— Mamy wystarczającą praktykę — wymamrotała Sabrina do Stefanii, gdy szły na górę.

Tak naprawdę zaczynała się cieszyć myślą o podróży do Aten, lecz nie mogła się z tym zdradzić, ponieważ Stefania była niepokieszona. Stefania chciała mieć jeden dom, jedną szkołę i tę samą grupę przyjaciół przez długie lata: nie znosiła, gdy wokół niej wszystko się wciąż zmieniało.

Nawet gdy Sabrina siedziała cicho, Stefania wyczuwała jej nastrój: prawie zawsze jedna wiedziała, co druga myśli.

— Mnie też podniecają nowe rzeczy — powiedziała Stefania, rzucając swetry na łóżko. — Ale czy nie byłoby cudownie mieć przez jakiś czas prawdziwy dom?

— Nie wiem — odpowiedziała uczciwie Sabrina. — Przecież nigdy takiego nie miałyśmy.

Według niej wynajęte domy nie były takie złe: matka wkraczała do nich jak czarodziejka i każdy zmieniała w piękną i wygodną siedzibę, tak że po krótkim czasie prawie nie pamiętały poprzedniego. Podobnie było z przeprowadzką do Aten. Biały, dwupiętrowy, lśniący w słońcu dom, otoczony ogrodem, z oddzielnymi pokojami dla Sabriny i Stefanii, wypełniły ich własne meble i dywany, poustawiane przez matkę na właściwych miejscach. Później, gdy ojciec udał się do ambasady, żeby poznać personel i wprowadzić się do nowego biura, matka wzięła je na przejażdżkę po centrum i przedmieściach Aten.

Otoczyły je widoki nowego miasta. Sabrina drżała z niecierpliwości. Przed nimi było tyle nowych rzeczy, które czekały na odkrycie: obce zapachy, widoki i dźwięki, nowe słówka, nowe piosenki do nauczenia się, nie znane baśnie ludowe, które będzie opowiadała służba, nowi przyjaciele. Nie mogła się tego doczekać.

Lecz widoczne przygnębienie Stefanii skłaniało ją do milczenia i nawet jej własne podniecenie nieco przygasło. Przez pierwszy tydzień podczas obiadów siedziała przygarbiona i dziobała niechętnie jedzenie, naśladując Stefanię, dopóki pewnego dnia ojciec nie odłożył z brękiem widelca, mówiąc:

— Mam już tego dość, Lauro. Sądziłem, że z nimi rozmawiałaś. Matka skinęła głową.

— Tak, Gordonie. Kilka razy.

— Najwidoczniej za mało.

— Zaraz usłyszymy wykład — szepnęła Sabrina do Stefanii.

— Wy tłumaczę to raz jeszcze — zaczął Gordon. — Nasz depar-

tament stanu co dwa lata przenosi pracowników służby dyplomatycznej na nowe stanowiska. Nie kwestionujemy tej zasady. Rozumiecie?

— To głupie — powiedziała Sabrina. — Wciąż zaczynacie od nowa i przez to nie możecie dobrze pracować.

— Doprawdy, nie sędzę — odparł sucho ojciec — żeby jedenastoletnia dziewczynka mogła sobie pozwolić na krytykę urzędów Stanów Zjednoczonych lub pracy swego ojca. Tłumaczyłem wam już wcześniej, że ta rotacja ma uchronić nas przed zbytnim osobistym zaangażowaniem w sprawy obcych krajów. Naszą pierwszą powinnością jest zawsze lojalność wobec Ameryki. — Spojrzał z powagą na Sabrinę i Stefanię. — Mógłbym dodać, że dla was jest to również dobre. Jakżeż inaczej mogłybyście poznać tyle krajów?

— Chcesz przez to powiedzieć — rzekła Sabrina równie poważnie jak jej ojciec — że to ci pomaga w karierze, więc lepiej, żebyśmy uważały, iż dla nas to też jest dobre.

— Sabrino! — warknęła Laura przygważdżając ją spojrzeniem. Sabrina pierwsza odwróciła oczy.

— Przepraszam — powiedziała. Laura podniosła kieliszek z winem.

— Opowiedz nam o swojej nowej szkole. Ty też, Stefanio. Nie życzę sobie więcej żadnych min.

Sabrina posłusznie zaczęła opisywać nauczycielki matematyki i przedmiotów ścisłych, a Stefania wyrecytowała listę książek, które miały przerabiać na lekcjach literatury i historii. Laura obserwowała je spod oka, nachmurzona. Stawały się coraz bardziej niesforne. Była dumna z tego, że są żywe, dumna z ich już widocznej urody i bystrości umysłu — lecz zbyt często przejawiały zuchwałość i skrytość, a przy tym wspierały się solidarnie w walce o niezależność. Nie miała pojęcia, jak z nimi postępować.

Cały kłopot polegał na braku czasu. Jej czas należał do dyplomatycznej kariery Gordona Hartwella. Wychodząc za niego za mąż złożyła w duchu cichą przysięgę, że będzie go pchała w górę i pomagała mu ze wszystkich sił, dopóki nie zostanie ambasadorem, a może nawet sekretarzem stanu. Nawet nie zaplanowane narodziny bliźniaczek nie zachwiały jej zdecydowania.

Współpracowała ręką w rękę z Gordonem: zajmowała jego miejsce na mityngach i przyjęciach, gdy był zbyt zajęty lub znudzony; uczestniczyła u jego boku w obiadach, bankietach, wycieczkach dla amerykańskich senatorów i zabawianiu amerykańskich biznesmenów; słuchała jego monologów, gdy myślał na głos, jak rozwiązać jakiś problem.

Potrzebował jej. Kiedyś był biednym, nikomu nie znanym profesorem historii w małym college'u w Maine. Oprócz pieniędzy i wyrafinowania, dzięki którym zyskał wstęp do grona ludzi bogatych i obdarzonych władzą, wniosła mu w posagu swoją urodę i szyk, co podniosło jego prestiż. Nawet teraz, mimo umiejętności wytrawnego dyplomaty i nie zasłużonej opinii eksperta od spraw europejskich porozumień kulturalnych i politycznych, wciąż jej potrzebował. Czekala ich jeszcze długa droga do ostatecznego sukcesu, a Gordon wiedział, iż Laura nie dopuści, żeby coś im stanęło na przeszkodzie.

Nic nie było w stanie zatrzymać Laury, gdy powzięła jakąś decyzję. Zajmowała się karierą Gordona, nadzorowała ich koczownicze wędrowki po Europie, ich życie towarzyskie i wychowanie córek. Najwięcej uwagi poświęcała Gordonowi, lecz dbała o to, by powierzyć Sabrinę i Stefanię kompetentnym służącym, i gdy tylko było to możliwe, urywała tu i tam parę godzin, żeby spędzać z córkami trochę czasu.

Od początku kładła nacisk na to, aby wychowywano je jako dwie odrębne indywidualności. Czy niezwykle fizyczne podobieństwo znaczyło, że musiały upodabniać się do siebie pod każdym względem? Tak więc miały odmiennie urządzone pokoje, nosiły różne ubrania i każda z nich dostawała inne prezenty, które miały w nich rozwinąć odmiennie zainteresowania.

Laura raz jeszcze osiągnęła swój cel: każda z jej córek była inna. Uważała, że Sabrina jest bardziej podobna do niej samej — zawsze gotowa puszcząć się na nieznane wody, podczas gdy Stefania swym spokojem i ostrożnością przypominała Gordona. Gordon również to zauważył i w rzadkich chwilach, gdy miał dla córek trochę czasu, całą swą uwagę poświęcał Stefanii, na co Sabrina patrzyła pociemniałymi ze smutku oczami.

Lecz nie różniły się od siebie aż tak bardzo, jak chciała w to wierzyć Laura. Nawet ona nie mogła zaprzeczyć, że ich myśli biegły tym samym torem, często wręcz zdumiewająco zbieżnym, i że łączy je instynktowna więź, tak silna, iż nikt, z wyjątkiem ich samych, nie zdołałby jej rozerwać.

To czyniło ich krnąbrność trudniejszą do zwalczenia: krnąbrność nie jednego, lecz dwóch podlotków walczących o niezależność.

— Dlaczego same nie możemy zwiedzić miasta? — spytała raz Sabrina. — Prawie nic nie widziałyśmy.

— Przecież jeździcie na szkolne wycieczki — powiedziała Laura. Szczotkowała włosy przy toalecie, a pod szczotką rozbłyskiwały iskierki, które odbijały się w lustrze.

— Uch! — skrzywiła się Sabrina. — Obejrzałyśmy wszystkie

możliwe pomniki i kościoły, ale przez cały rok nie spotkałyśmy ani jednej osoby z krwi i kości — nie licząc szkoły, w której są sami Amerykanie! Pozwól nam wyjść na krótki spacer. Tylko naokoło ambasady. Nigdy nic nie wolno nam robić!

— Nie — odmówił krótko Gordon. Poprawiał przed potrójnym lustrem swój czarny krawat. Wybierali się na obiad do pałacu królewskiego.

— Dlaczego nie? — jęknęła Sabrina.

— Sabrino — rzucił ostro Gordon. — Nie podnoś głosu.

— Dlaczego nie, tatusiu? — Stefania stanęła przy ojcu.

— Ponieważ miasto jest niebezpieczne dla małych dziewczynek — powiedział łagodniej, mierzwiąc jej włosy — a szczególnie amerykańskich dziewczynek, których ojciec pracuje w ambasadzie.

— Jakie nam grożą niebezpieczeństwa? — spytała Sabrina. — Mama wychodzi sama, jest dziewczynką i należy do twojej rodziny. Czy grozi jej niebezpieczeństwo? Dlaczego my nie...?

— Sabrino! — ostrzegł ją powtórnie Gordon. — Jeśli ci mówię, że to niebezpieczne, to masz polegać na moich słowach. Mogę znieść, że premier Grecji lekceważy sobie moje zdanie, lecz nie będę tego tolerował u mojej córki.

— Ale czy jest coś, co my tu możemy zrobić? — Sabrina zignorowała dotyk nakazującej ostrożność ręki Stefanii na swoim ramieniu. — Wychodźcie i zostawiacie nas ze służącymi, oglądacie sobie Ateny, spotykacie ludzi i świetnie się bawicie... W rezultacie widujecie wszystkich oprócz nas!

— Spędzamy z wami sporo czasu... — Laura wpięła we włosy grzebień wysadzane klejnotami.

— Nieprawda! — wybuchnęła Sabrina. — Na ogół tylko wtedy, gdy chcecie się nami popisać przed jakimiś staruchami z Ameryki!

Zanim Laura zdążyła otworzyć usta, aby ją skarżyć, wtrąciła się Stefania:

— Przez cały prawie czas jesteś razem z tatusiem albo na zakupach. A tatuś zawsze pracuje. W innych rodzinach tak nie jest. Dzieci spędzają razem z rodzicami weekendy, jedzą wspólnie posiłki i mają prawdziwą rodzinę.

— A u nas jedynie my dwie — dokończyła Sabrina. — Stefania i ja — my dwie jesteśmy dla siebie nawzajem całą rodziną!

— Bądźcie obie cicho! — Gordon mówił do ich odbicia w lustrze napełniając fajkę. — Niektóre zawody wymagają współdziałania całej rodziny. Pracujemy dla naszego kraju. Byłoby samolubne myśleć przede wszystkim o sobie.

— Ty myślisz o tym, żeby dostać awans — wypaliła Sabrina i aż się skuliła pod spojrzeniem ojca.

— Nic nie wiesz o tym, co ja myślę, i nie będziesz na ten temat wygłaszać komentarzy ani tutaj, ani gdziekolwiek indziej. Jasne?

Sabrina spojrzała ojcu w oczy.

— Gdybyś rozmawiał z Rosjanami tak jak ze mną, mielibyśmy wojnę.

Laura stłumiła śmiech. Gordon cisnął kapciuch na podłogę i Sabrina patrzyła, jak nitki tytoniu rozsypują się po dywanie, podobne do cienkich glist.

— Wyjdź z pokoju — rozkazał ojciec.

— Chwileczkę, Gordonie — Laura wstała, wysoka i wspaniała w sukni z czarnego jedwabiu i ze sznurami białych pereł na szyi. Sabrina nienawidziła jej za to, że jest tak piękna i daleka, a jednocześnie chciała wtulić się w jej ramiona i poczuć jej miłość. Lecz jedyną osobą, która czasem się do niej przytulała, była Stefania. Sabrina zastanowiła się, czy jej rodzice kiedykolwiek obejmowali się i całowali. Pewnie nie. Pognietliby sobie swoje piękne ubrania. Lecz matka sprawiła jej niespodziankę.

— Dziewczynki naprawdę potrzebują więcej uwagi — powiedziała. — Zabiorę je na którąś z moich wędrówek po sklepach.

— Och...! — wykrzyknęła Stefania. Gordon pokręcił przecząco głową.

— Lepiej nie.

— Gordonie, robię, co w mojej mocy — Laura głęboko westchnęła. — Wiem, iż nie pochwalasz tego, że jeżdżę w takie miejsca, lecz zapewniam cię, to zwykłe robotnicze dzielnice, a nie siedliska terrorystów. A ja muszę tam jeździć w poszukiwaniu wyjątkowych okazji.

— Jakich terrorystów? — spytała Sabrina.

— Nie ma żadnych terrorystów — odparł z rozdrażnieniem Gordon i spojrzał na zegarek. Sabrina знаła ten gest: znaczył on, że ojciec zaraz straci dla nich zainteresowanie. — Zabierz je, jeśli nalegasz, lecz jedźcie limuzyną.

— Oczywiście — Laura zapięła swój jedwabny płaszcz. — Idziemy? Wyprawy na zakupy rozpoczęły się następnego dnia po szkole.

Ścigane przez dzieciaki, które wołały za nimi, nazywając je trzema pięknymi amerykańskimi lady, polowały na antyki i dzieła sztuki w sklepach, na targach i w domach prywatnych. Laura mówiła lekceważąco o swoim hobby, lecz w istocie była to od dawna jej największa pasja. Studiowała w bibliotece dzieła z historii sztuki,



rozmawiała z kustoszami muzeów, chodziła na aukcje i przypatrywała się pracy konserwatorów mebli i dzieł sztuki. W miarę upływu lat wynajmowane przez Laurę domy stały się wystawami jej nabytków: lśniącego drewna i mozaiki, rzeźb i obrazów, szkła oprawnego w ołów i misternie tkanych materii. W chwili gdy zaczęła zabierać ze sobą Sabrinę i Stefanię, Laura była już doświadczonym rzeczoznawcą i kupcem, doskonałością w swym własnym świecie, do którego Gordon nigdy nie wkraczał.

Udzielała również w tej kwestii porad swoim przyjaciółom i osobom ze świetnego międzynarodowego towarzystwa, które obracało się w sferach dyplomatycznych. Wzywano ją do pomocy jako rzeczoznawcę tak często, że gdyby nie była żoną Gordona Hartwella, mogłaby zrobić karierę. Lecz Laura uwielbiała błyskotliwe życie towarzyskie, jakie dał jej Gordon, i zachowała obie swoje pasje, wpajając je również córkom.

W wieku jedenastu lat Sabrina i Stefania po raz pierwszy naprawdę zaprzyjaźniły się z matką. Zyskały wstęp do jej osobistego świata i zaczęły mówić jej prywatnym językiem. Pochłaniały łapczywie okruchy jej wiedzy, jakby to była miłość.

We trójkę myszkowały po obskurnych sklepikach, gdzie po kątach plotkowali starcy, a unoszący się w powietrzu kurz kręcił w nosie, odwiedzały domy, gdzie cała rodzina zbierała się, żeby pokazać im dywan lub obraz, który był w jej posiadaniu od pokoleń. Najprzyjemniejsze jednak były targowiska na świeżym powietrzu, z rzędami straganów, na których sprzedawano dywany, koszyki, makatki, wazon, nawet meble. Przed każdym z nich stał naganiacz, który krzyczał: „Kup to! Kupuj tutaj! Wyjątkowa okazja!” Sabrina i Stefania chciały kupować wszystko, lecz ich matka bezlitośnie oddzielała podróbki od autentyków, nie licząc się wcale z protestami sprzedawców, którzy spodziewali się po Amerykankach łatwości. Laura była opanowana, doskonale pewna siebie, i córki patrzyły na nią oczami rozszerzonymi z podziwu: zupełnie inna kobieta niż ta, którą znały z domu, gdzie była żoną Gordona.

Lecz te popołudnia zdarzały się tylko raz lub dwa razy w tygodniu i z nadejściem wiosny Sabrina znów zaczęła narzekać, że chce zobaczyć coś więcej z Aten.

— Spytajmy, może dziś pojedziemy na zakupy w jakieś nowe miejsce — powiedziała kiedyś, gdy wyszły ze szkoły i wdrapały się na siedzenie limuzyny z ambasady.

Theo, szofer, powiedział do wstecznego lusterka:

— Dziś nie będzie zakupów, miss. Wasza matka powiedziała, że bym was zawiózł do ambasady.

— Och, nie! — krzyknęła Stefania. Sabrina gniewnie uderzyła pięścią w książki.

— Tato pewnie znów chce nas wystawić na pokaz. Ale nic z tego. Zrobię swój uśmiech z wystającymi zębami.

— A ja zeza — rozpromieniła się Stefania.

Krzywiąc się w groteskowym grymasie, Sabrina podniosła prawy bark do ucha.

Stefania zrobiła zeza i wystawiwszy język, oblizała nim podbródek.

Przez chwilę obserwowały nawzajem swoje demoniczne pozy i wyobrażały sobie ojca, wysokiego i bardzo na miejscu, mówiącego do uroczystych gości: „A oto moje córki”, po czym opadły na oparcie, chichocząc bez opamiętania.

— Jasna cholera — zaburczał Theo. Podniosły wzrok. Czyżby był o coś na nie zagniewany? Nie, pomstował na korek na jezdni, spowodowany przez wypadek samochodowy gdzieś przed nimi. — Postoimy tu sobie z godzinę — dodał wznosząc ręce w górę.

Sabrina i Stefania spojrzały na siebie, nawiedzone tą samą szaloną, cudowną myślą. Obie sięgnęły do klamek, każda po swojej stronie, nacisnęły je, otworzyły drzwi, wyskoczyły zatrzaszkując je za sobą

i ruszyły biegiem w głąb ulicy, nurkując za róg i potracając przechodniów. Theo ciężko podrażłował za nimi, wykrzykując ich imiona, lecz zostawiły go daleko w tyle.

— Udało się, och, udało się — podśpiewywała Sabrina. — Teraz możemy wszystko sobie same pozwiedzać. — Ziemia pod stopami wydawała im się miękka i lekka jak obłoki. — Och, Stefanio, czy to nie cudowne?

— Cudowne — odparła jak echo Stefania.

Trzymając się za ręce oglądały sklepy na zatłoczonych placach, żując lepkie bakławy, kupione od ulicznego sprzedawcy, i dla wprawy czytały na głos greckie napisy, zatrzymując się od czasu do czasu przed stoiskami rzeźników i słuchając z fascynacją straszego świstu powietrza w smażonych na oleju owczych płucach. W końcu Sabrina spojrzała na zegarek i westchnęła.

— Minęło już pół godziny, lepiej wracajmy, zaraz Theo wydostanie się z korka.

Lecz zanim zdążyły zawrócić, usłyszały krzyki i tupot biegnących stóp. Stefania uchyliła się przed kamieniem, który uderzył w ścianę blisko jej głowy.

— Terrorysty! — krzyknęła Sabrina. Rozejrzała się wokół, chwytając rękę Stefanii i pociągnęła ją po schodkach do uchylonych ciężkich drzwi. Wsunęły się do środka, zamykając je szczelnie za sobą.

Po jaskrawym blasku słońca pokój wydawał się ciemny i dopiero po paru chwilach zobaczyły w kącie trójkę dzieci tulących się do siebie. Gdy Sabrina podeszła bliżej, najmniejsze z nich zaczęło płakać.

— Och, nie płacz — rzekła Sabrina. Zwróciła się do najstarszego, szczupłego chłopca mniej więcej w jej wieku, o prostych brwiach i czarnej kręconej czuprynie, i powiedziała po grecku:

— Czy możemy tu na chwilę zostać? Na ulicy biją się jacyś ludzie. Chłopiec i dziewczynka zaczęli szybko rozmawiać po grecku.

Sabrina i Stefania spojrzały na siebie bezradnie: nic nie mogły zrozumieć. Lecz rozpoznały baczne spojrzenie chłopca, który patrzył na nie z uwagą: widziały je wiele razy. Uśmiechnął się szeroko wskazując na nie kolejno. „Jesteście jak lustro” — powiedział wolno po grecku i wszyscy się roześmiali.

Z ulicy dobiegł głośny łoskot i donośne męskie głosy. Do pokoju napłynął ostry zapach. Sabrina i Stefania zacisnęły mocniej palce na splecionych dłoniach. Wszyscy siedzieli w milczeniu, nasłuchując. Ostra woń szczypała w nosie, usłyszeli odgłosy strzałów.

Chłopiec poruszył się, zaprowadził siostrę i małego berbecia do łóżka, przykrył kocem. Usiłował przybrać marsową minę, chciał wyglądać na odważnego. Gdy Stefania wyszeptła: „Co mamy robić?”, wskazał jej drzwi.

Sabrinę ogarnęła złość.

— Wiesz, że nie możemy wyjść na ulicę — powiedziała po grecku. Krzyki nasiliły się. — To są terroryści.

Chłopiec spojrział na nią wyzywająco.

— To wojna o niepodległość. — Na widok zdumionej miny Sabriny wzruszył ramionami z pogardą dla jej ignorancji.

Podbiegła do wysokiego okna i wspięła się na jakieś pudło, żeby wyrzeć na zewnątrz, lecz chłopiec dogonił ją i zepchnął. Upadła na podłogę. Stefania krzyknęła, lecz Sabrina pozbierała się i wstała.

— Ma rację. Ktoś mógłby mnie dostrzec. Chciałam tylko zobaczyć, co to tak pachnie.

— Płonące samochody — odparł chłopak.

— Płonące...? Dlaczego oni palą samochody?

— Żeby zablokować ulicę. — I mruknął pod nosem: — Głupia amerykańska dziewczyna.

— Skąd wiesz, że jesteśmy Amerykankami? — spytała Sabrina. Chłopiec w geście rozpaczliwej pogardy wznosił ręce do nieba. Wtem usłyszeli walenie do drzwi domów wzdłuż ulicy.

— Musimy się ukryć! — zawołała Stefania. — Nic mogą nas znaleźć!

— Gdzie możemy pójść? — nalegała Sabrina. — Proszę, nie powinniśmy tu zostawać. Moglibyście mieć kłopoty, gdyby nas znaleźli. Czy jest jakiś inny pokój?

Chłopiec zawahał się, a potem wskazał pod łóżko. Odepchnęli je wspólnymi siłami na bok, nie zszadając siedzących na nim dzieci, i oczom Sabriny i Stefanii ukazała się kłapa w podłodze. Chłopiec podniósł kłapę. Biorąc głęboki oddech Sabrina wsunęła się w otwór i wyciągnęła rękę do Stefanii. Kłapa nad nimi opadła i usłyszały szuranie łóżka po podłodze, gdy chłopiec przesunął je na dawne miejsce.

W ciemności nie widziały siebie nawzajem ani nic dookoła. Powietrze było wilgotne, dawał się w nim wyczuć słodkawy zapach. Piwnica, pomyślała Sabrina. Sufit był zbyt niski: uderzyły w niego głowami, gdy próbowały się wyprostować. Ktoś zastukał do drzwi pokoju nad nimi. Zamarły, przykucnąwszy w wilgotnych ciemnościach. Stefania wbiła paznokcie w rękę Sabriny. Sabrina pomacała wolną ręką, szukając miejsca do siedzenia. Natrafiła na brudną podłogę, a potem coś jakby konopną tkaninę. Z wypukłościami. Worek ziemniaków. Stąd pochodził ten słodki zapach zgnilizny: znajdowały się w piwnicy na warzywa.

Siedziały przytulone do siebie, objąwszy się ramionami, głowa przy głowie. Parę cali nad nimi tupwały czyjeś buty, słychać było szorstkie głosy, szybkie pytania. Sabrina usłyszała słowo „broń” i zaprzeczenie chłopca. Potem rozległo się szuranie wyciąganych szuflad i łoskot, gdy spadały na podłogę.

Ciałem Stefanii wstrząsały dreszcze, z trudem łapała oddech. Sabrina objęła jej ramiona mocniejszym uściskiem.

— Poczekaj — wyszeptała jej na ucho. — Oni zaraz sobie pójdą. Trzymaj się mnie. — Zamknęła oczy: było to mniej przerażające, niż patrząc, nie widzieć nic wokół.

— Boli mnie brzuch — wyszeptała Stefania. Sabrina skinęła głową. Ją też bolał. Zapach gnijących warzyw zagnieździł się w jej nosie, czuła jego smak głęboko w gardle. Ten smród ją dławił. Przycisnęła nos do tkaniny swojej kurtki i głęboko odetchnęła. Pomogło. Ludzie nad nimi kłócili się. Dziecko zaczęło płakać. Sabrina poczuła w ciemności, że coś pełźnie jej po nodze.

Poderwała się w chwili, gdy i Stefania z tej samej przyczyny wydała krótki krzyk, próbując wstać. Sabrina pociągnęła ją w dół.

— Nie — szepnęła. Miała nadzieję, że płacz dziecka zagłuszył krzyk Stefanii, lecz nie była tego pewna. Otrzeptała nogi Stefanii i swoje. Pająki. Jeden przyczepił się do jej palców. Rozgniotła go na podłodze.

Trzęsa się od stóp do głów. Bardzo się starała być dzielna, lecz strach Stefanii i jej się udzielił. Odgłosy kroków nad głową działały na wyobraźnię: oto za chwilę obie zostaną wywleczone na światło dzienne. Zgwałcą je, a potem zabiją lub zatrzymają dla okupu. Potną je na kawałki i będą po jednym wysyłać rodzicom, a mama będzie płakać. Nigdy nie widziały matki płaczącej i wystarczyła sama myśl o tym, aby Sabrina zaczęła łkać. Pełna świadomość okropieństw tego popołudnia dotarła do niej dopiero wtedy, gdy pomyślała o oplakującej je matce.

Nagle koszmar się skończył. Chłopiec powiedział głośno: „Mój ojciec”. „Gdzie?” — spytał mężczyzna, a chłopiec odpowiedział: „Na Cyprze.” Ton głosów się zmienił, jeden z mężczyzn zaśmiał się i stwierdził: „Patriota”. Odgłosy kroków oddalały się, usłyszały stuk zamykanych drzwi. Teraz rozlegało się tylko słabe kwilenie dziecka.

Sabrina miarowo otrząpywała nogi sobie i Stefanii, obejmując siostrę ciasno drugą ręką i oddychając przez materiał kurtki. W nagłej ciszy nowa myśl przejęła ją strachem: co będzie, jeśli chłopiec ich stąd nie wypuści? Pewnie był na nie wściekły za to, że się ukryły, podczas gdy on sam musiał stawić czoło mężczyznom. A jeśli położy na klapie coś ciężkiego, żeby nie mogły się wydostać? Skoczyła na równe nogi i wyrznęła głową w sufit tak mocno, że aż jej się zakręciło w głowie, lecz mimo to wparła ręce w sufit próbując znaleźć klapę.

— Gdzie jesteś? — wyszeptała przerażona Stefania, lecz Sabrina gorączkowo przesuwała ręce po suficie. Coś ostrego wbiło jej się w palec i właśnie w chwili gdy zdała sobie sprawę, że to gwóźdź w klapie, chłopiec ją otworzył. Zamrugła oczami w świetle, osłabła z ulgi i wstydu. Był równie młody i przestraszony jak one: jak mogła pomyśleć, że je skrzywdzi?

Gdy chłopiec wyciągnął je na górę, Sabrina i Stefania obejrzały się nawzajem w osłupieniu. Były brudne, miały podarte spódnice, na twarzach smugi od łez. Ze skaleczonej dłoni Sabriny ciekła krew, a gdy się poruszyła, z jej włosów wypadł pająk. Na ten widok Stefania czym prędzej przeczesła rękami własną czuprynę. Chłopiec wsuwał na miejsce szuflady, które mężczyźni zrzucili na podłogę. Dwie dziewczynki na łóżku, ta większa i ta zupełnie mała, leżały nieruchomo z szeroko otwartymi pustymi oczami.

Teraz, gdy najgorsze było już za nimi, w Sabrinie znów obudziła się ciekawość.

— Czego oni chcieli? — zapytała.

— Broni — odparł chłopiec. — To greccy patrioci, którzy walczą o niepodległość Cypru.

Sabrina przypomniała sobie coś niecoś na ten temat ze szkolnych wiadomości.

— Dlaczego tam się biją?

— Żeby wypędzić Turków. — Chłopiec wypluł z nienawiścią to ostatnie słowo.

— Ale czy tutaj są Turcy?

— Nie. Na Cyprze. Walczą z Grekami. Mój ojciec tam jest. Powinienem być z nim i bić Turków.

— To kto jest tam, na ulicy? — spytała z irytacją Sabrina, tupiąc nogą.

— Grecy, Turcy i policja — odparł chłopiec tonem człowieka, który mówi rzeczy oczywiste.

Stefania miała się już lepiej. Wiedziała, iż Sabrinie wstyd za to, że się schowały, i sama zaczęła odczuwać to samo.

— Gdzie jest wasza matka? — spytała.

— Nie żyje. Miała tu przyjść moja ciotka, ale się spóźnia.

— Nie żyje! Och, Sabrino, powinnyśmy... Lecz Sabrina z uwagą patrzyła na chłopca.

— Czy naprawdę byś walczył? — spytała.

— Gdybym miał pistolet — odpowiedział — to bym zabijał. Oczy Sabriny pociemniały w zadumie.

— Jak się nazywasz?

— Dmitri Karras. — Patrzyli na siebie nawzajem.

Hałas na zewnątrz przycichł, słychać było tylko trzask ognia trawiącego samochodu.

— Sabrino — odezwała się Stefania. — Późno już. Chyba powinnyśmy już iść. I może — skoro ich matka nie żyje — mogłybyśmy...

— Zabrać ich ze sobą — dokończyła Sabrina. Dmitri wyprostował się.

— Ja opiekuję się moimi siostrami.

— Oczywiście — rzekła Sabrina. — Ale możecie nas odwiedzić. I zostać na obiedzie — dodała wdzięcznie, jak jej matka w sali recepcyjnej ambasady. — Nasz szofer was odwiezie, kiedy tylko będziecie chcieli.

Dmitri nie mógł oderwać od niej oczu: taka dumna i piękna! Jak królowa. Jednocześnie kochał ją i nienawidził.

— Dobrze — powiedział w końcu.

Tak więc się stało, że gdy w parę chwil później przyjechali na ulicę strażacy, natknęli się na pięcioro dzieci: grecką dziewczynkę, niosącą niemowlę, i greckiego chłopca, który nie odrywał oczu od dwóch identycznych małych Amerykanek o twarzach obramowanych orze-

chowymi lokami, oblepionych brudem, lecz niezwykle pięknych. Strażacy zabrali ich na posterunek. Policjanci odwieźli całą piątkę pod podany przez bliźniaczki i dobrze im znany adres amerykańskiej ambasady, spodziewając się piekielnego zamieszania.

Jeden z nich uprzedził telefonicznie o ich przyjeździe, wobec czego przed wejściem do ambasady zebrał się spory tłum. Laura podbiegła do córek i przytuliła je do siebie, wydając okrzyki przerażenia na widok ich podartych, brudnych ubrań i krwi na rękach Sabriny. Gordon szedł za nią z kamiennym wyrazem twarzy. Gdy dotarł do nich, ze wszystkich stron rozbłysły flesze aparatów trzydziestu reporterów, którzy, podobnie jak reszta tłumu, sądzili, że córki amerykańskiego charge d'affaires zostały porwane przez cyprijskich patriotów.

Sabrina przywarła do matki i wtuliła się w cudowne ciepło jej ramion. Wszystko było w porządku. Były w domu. Nagle przypomniała sobie o Dmitrim. Rozejrzała się wokół i dostrzegła go przelotnie za tłumem przepychających się reporterów.

— Zaczekaj! — rozkazała donośnym głosem. Obie oderwały się od matki i podeszły do niego. — To są nasi przyjaciele. Oni nas ocalili. Zaprosiłam ich na obiad — zwróciła się do rodziców.

— Sabrino! — chlasnął ją jak biczem głos ojca. — Ani słowa więcej. Wyrządziłaś dosyć szkody swym nieposłuszeństwem i zuchwalstwem. Ile razy mam cię ostrzegać...?

Sabrina zamarła osłupiała z otwartymi ustami. Wróciły szczęśliwie do domu. Dlaczego tata na nią krzyczy? Nawet ich nie uściskał. Była cała obolała i zmęczona. Poczuli się tak bezpieczna, gdy zobaczyły ambasadę, a matka chwyciła je w objęcia... Dlaczego tata sprawił, że znów czuła się okropnie? Łzy wypełniły jej oczy i spłynęły po policzkach. Próbowiła je powstrzymać, bezskutecznie. Poczuli słony smak na ustach.

— ...lekkomyślność, która wskazuje, że nie masz ani trochę szacunku dla mojej kariery. Tym razem wciągnęłaś w to również swoją siostrę i te dzieci, kimkolwiek one są. W tej chwili marsz do domu! Wymierzę ci karę, gdy...

— Nie mówisz do Sabriny! Pomyliłeś nas! — Sabrina zobaczyła przez łzy, jak Stefania wali piąstkami w ramię Gordona. Ona też płakała. — To Stefania, nie Sabrina! Pomyliłeś nas! Nie możesz na nią krzyczyć przy tych wszystkich ludziach, ona nic nie zrobiła! A poza tym to był nasz wspólny pomysł, wysiadłyśmy z samochodu jednocześnie. Theo ci to powie... A potem na ulicy zaczęli się bić i schowaliśmy się, i nie możesz za to winić Sabriny — Stefanii — żadnej z nas, to nie jej wina!

Reporterzy przysunęli się bliżej, pstrykając aparatami.

— Sir, może młode damy — Sabrina? Stefania? — mogłyby nam opowiedzieć, co się stało...

Gordon, zbity z tropu, przenosił wzrok z Sabriny na Stefanię i z powrotem. Sabrina usłyszała, jak mruczy pod nosem: „Skąd u diabła mam wiedzieć...?” W tym momencie Laura przejęła inicjatywę.

— Bardzo prosimy, żadnych wywiadów — powiedziała. — Dziewczynki są wyczerpane ciężkimi przejściami. — Sama była ledwo żywa, wciąż w kleszczach paraliżującego strachu i poczucia winy. Całe popołudnie dręczyła ją myśl: nigdy nie zajmowałam się córkami jak należy, a teraz mogą już być martwe. Rozwrzeszczani reporterzy i groźba skandalu, jaka zawisła nad Gordonem, przypomnieli jej o obowiązkach. Ukryła swój ból na dnie duszy. Poczeka. Później, w samotności, będzie musiała sobie z nim poradzić.

— Sabrino, Stefanio, zabierzcie te dzieci do środka. Zjedzcie coś i czekajcie na mnie w biurze ojca. No już!

Pobiegły alejką, rozbłyskujące flesze atakowały je ze wszystkich stron. Za nimi już opanowany, uprzejmy Gordon obiecywał reporterom wywiad nazajutrz.

W porannych gazetach pojawiły się sensacyjne artykuły bez oficjalnej wersji Gordona, a każdy z nich ilustrował wielkie zdjęcia Sabriny i Stefanii z greckimi dziećmi. W tym czasie dziewczynki siedziały oddzielnie zamknięte w swych sypialniach, lecz grecka pokojówka przyniosła im gazety wraz ze śniadaniem, a gdy Gordon i Laura wyszli z domu, otworzyła drzwi ich pokoi. Sabrina wbiegła tanecznym krokiem do sypialni Stefanii z gazetą w ręku.

— Nigdy przedtem nie widziałam swojego zdjęcia w gazecie! Na pierwszej stronie, zupełnie jak mama i tatuś! I piszą, że znaleźli ciotkę Dmitriego! Och, Stefanio, czy to nie zdumiewające, że tyle rzeczy przytrafiło się naraz?

Stefania siedziała przy oknie. W głowie miała zamęt: wszystko działo się na opak.

— Tatuś zwolnił Thea z pracy — powiedziała. Sabrina zatrzymała się w pół kroku.

— Wiem. — Usiadła na parapecie. — To niesprawiedliwe. Tato wie, że to nie była jego wina. Jaka szkoda, że go zwolnił... Ale poza tym dzieje się tyle ciekawych rzeczy...

— Ale i złych! — krzyknęła Stefania. — Mama i tatuś są wściekli, a ambasador powiedział mamie, że jesteśmy niesforne i że Amerykanie nie powinni się mieszać do ulicznych bójek...

— Wcale się nie mieszałyśmy — wtrąciła Sabrina.



— I to nasza wina, że Theo został wyrzucony z pracy. Czuję się okropnie.

— Ja też — Sabrina wyjrzała przez okno. Bolały ją skaleczone palce, przyłożyła je więc do chłodnej szyby. — Wszyscy są wkurzeni na wszystkich. Naprawdę narobiłyśmy bigosu. Ale mimo wszystko to było podniecające, prawda? Takie straszne i, och, nie wiem... ważne. Bardziej prawdziwe niż szkoła i książki, i filmy. Dmitri tak poważnie traktował różne sprawy. Tak samo ci mężczyźni. To była przygoda, Stefanio!

— Wiem... to było interesujące, jak się pomyśli teraz, gdy jest już po wszystkim...

— Wszyscy w szkole przeczytają o nas w gazetach...

— ... i będą pękać z zazdrości...

— Założę się, że żadne z nich nigdy nie przeżyło takiej przygody...

— Nawet gdyby coś takiego im się przytrafiło, byłiby przerażeni, nie tak odważni jak ty.

— Byłam przerażona, dobrze o tym wiesz. Za każdym razem, gdy rozlegały się kroki nad głową...

— Ale byłaś też odważna, Sabrino. Jak zawsze. Żałuję, że nie jestem taka sama.

— Nie bądź niemądra. Oczywiście, że jesteś odważna! Powiedziałaś tatusiowi, że jesteś mną.

— Och, musiałam to zrobić... Okazałam się takim strasznym tchórzem tam, w piwnicy! Przynajmniej obie zostałyśmy ukarane, nie tylko ty.

— Widziałaś, jaką tatuś miał minę? Całkiem zgłupiał!

— Mama się połapała.

— Wie, jak się ubieramy.

— Tato prawie nigdy na nas nie patrzy. Zamilkły, rozmyślając o ojcu.

— Stefanio — powiedziała z namysłem Sabrina. — A jeśli przygody zawsze kończą się trochę dobrze, a trochę źle? Czy chciałabyś z nich zrezygnować?

— Och, nie wiem. Chyba nie. Chciałabym tylko móc w jakiś sposób wiedzieć zawczasu...

— Tego się nigdy nie wie. — Obserwowały ptaka, który przysiadł na gałęzi za oknem, tak blisko, że mogły rozróżnić na nim piórka. Sabrina uwielbiała siedzieć tak ramię w ramię ze Stefaniami, wygodnie, ze spokojem w duszy. Czasem pragnęła mieć spokojną naturę siostry, nie buntować się przeciwko rodzicom i nauczycielom, nie znajdować przyjemności w niebezpieczeństwach. Lecz wokół było tak wiele

kuszących rzeczy do spróbowania! Nie mogła długo usiedzieć na miejscu, pchana wewnętrznym niepokojem. I, co dziwne, była przekonana, że w głębi ducha matka woli ją taką, jaka jest. Często więc odpowiadała hardo lub wyczyniała na gimnastyce karkołomne ewolucje (nauczycielki krzyczały na nią, żeby przestała, co było jeszcze bardziej zabawne), aby matka i wszyscy inni ludzie podziwiali ją i kochali.

— Chyba wolę, żeby przydarzyło mi się coś złego niż nic w ogóle — powiedziała do Stefanii, która siedziała w milczeniu czekając na jej dalsze słowa.

Stefania rozważyła tę myśl.

— Dobrze, że tu ze mną jesteś — powiedziała w końcu. — Gdyby nie ty, pewnie nie przeżyłabym w życiu żadnej przygody. Nigdy. A tego ja także bym nie chciała.

W parę miesięcy później dowiedziały się z gazet o zakończeniu wojny na Cyprze. Dmitri i jego siostry wyjechali z ciotką. Sabrina i Stefania pożerały artykuły w greckich gazetach, szukając wiadomości o kimś nazwiskiem Karras. Lecz nic nie znalazły, a na jesieni przeniosły się do Paryża nie dowiedziawszy się, co się stało z ich greckimi znajomymi.

Gordon Hartwell został mianowany charge d'affaires ambasady amerykańskiej w Paryżu latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku, roku, kiedy to na niepodległym Cyprze objął władzę prezydent Makarios, a John F. Kennedy został wybrany prezydentem Stanów Zjednoczonych. Mimo zmian zachodzących w świecie, życie Sabriny i Stefanii w Paryżu było takie samo jak w Atenach. Ich wynajęty dom mieścił się w amerykańskiej enklawie. Chodziły do amerykańskiej szkoły i robiły zakupy na słynnych pchlich targach na obrzeżach Paryża, zawsze w towarzystwie matki, nigdy same.

Lecz Laura zdawała sobie sprawę, że w Sabrinie rośnie napięcie, które może doprowadzić do wybuchu. Gdy dziewczynki miały po czternaście lat, pozwoliła im uczestniczyć w towarzyskich imprezach synów i córek dyplomatów z innych ambasad. Chodziły na pikniki i przyjęcia nad basenem, na wieczorki taneczne, na mecze futbolowe i wyścigi konne, brały udział w wycieczkach w krainę winnic, w turniejach tenisowych i wyścigach rowerowych, jeździły w zimie na narty. Zawarły przyjaźnie z ludźmi z tuzina krajów, w ich języku zadomowiły się wkrótce wyrażenia różnych narodowości, a wszystkie akcenty zlały się w jeden. Zupełnie jakby miały swój własny kraj, oddzielony od reszty świata.

Potem jednak nadeszła kolejna zmiana. Pewnego zimowego wieczoru rodzice obwieścili im przy obiedzie wielką nowinę. Gordon został mianowany przez prezydenta ambasadorem Algierii i Senat wybór ten zatwierdził. Lecz, dodała Laura, wiąże się z tym pewien problem. Szybko, aby dziewczynki nie zdążyły jej przerwać, przypomniała im, że Algieria dopiero niedawno odzyskała niepodległość, uniezależniając się od Francji, i wciąż było tam niespokojnie, a możliwe, że dla cudzoziemców nawet niebezpiecznie. Z pewnością nie jest to odpowiednie miejsce dla amerykańskich nastolatek.

— Lecz w Szwajcarii jest szkoła z internatem — ciągnęła — którą dokładnie sprawdziliśmy.

Wybrali ją spośród tuzina rekomendowanych placówek. *Juliette, Institut International de Jeunes Filles* był szkołą średnią o nieposzlakowanej reputacji, gdzie, pod miłym przewodnictwem profesora L. E. Bossarda, zamożne młode panienki nabierały ogłady, doskonaliły się w sportach i otrzymywały wykształcenie na poziomie, który pozwalał im wstąpić na jakikolwiek francuski, amerykański lub angielski uniwersytet. Przepisy były surowe, a nadzór nad wychowanekami ścisły. Profesor Bossard dbał o to, aby żaden skandal nie splamił imienia *Juliette* — ani rodziców jego wychowanek.

Gordon miał objąć nowe stanowisko na wiosnę. Laura oznajmiła córkom, że zostanie z nimi w Paryżu do końca roku szkolnego. Potem Gordon przyjedzie do nich i oboje udadzą się z córkami do Szwajcarii dopilnować, aby dziewczęta schroniły się bezpiecznie pod skrzydła profesora Bossarda.

Sabrina patrzyła ponuro na rodziców. Na to właśnie ich matka pracowała przez te wszystkie lata: aby Gordon został ambasadorem. Teraz, gdy jej się to udało, pozbywa się ich z domu.

— To nie chodzi o Algierię — powiedziała — ale boicie się, że skoro tatuś ma zostać ambasadorem, i ty też czymś w tym rodzaju, możemy narobić kłopotów tak ważnym personom.

Laura wymierzyła jej policzek. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Natychmiast zawstydzona się swojego czynu.

— Przebac mi — powiedziała do Sabriny. — Ale żebyś ty tak się do mnie odzywała...

— Ona nie myślała tak naprawdę — wtrąciła szybko Stefania. — To dlatego, że nie chcemy wyjeżdżać.

— Tak właśnie myślę — oświadczyła Sabrina. — I pragnę wyjechać. Nie chcę zostawać z ludźmi, którym na mnie nie zależy.

Oczy Laury zaświeciły, lecz przemówiła gładko i z uczuciem:

— Oczywiście, że nam na was zależy, będziemy za wami okropnie

tęsknić. Lecz nie możemy z waszego powodu odrzucić tej propozycji. W Algierze wciąż panuje zamieszanie, szkoły nie są...

— W porządku — rzekła Sabrina. — Rozumiem. — Czuła ściskanie w dołku. Przepelniała ją nienawiść do matki, i ojca również. Patrzył sobie przez okno, jakby go to w najmniejszym stopniu nie obchodziło. — Wygląda na to, że to wspaniała szkoła. Będziemy się tam świetnie bawić, prawda, Stefanio? Powinniśmy chyba poćwiczyć trochę nasz francuski. To francuska szkoła, czyż nie? Myślę, że najlepiej będzie zacząć od zaraz. Stefanio, idziesz ze mną na górę powtarzać słówka?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Rodzina Hartwellów siedziała nieruchomo wokół stołu jadalnego w pięknym domu, który Laura urządziła dla nich w Paryżu. Byli jak zawieszoni w powietrzu, czekając, aż wiatry rozwieją ich w różne strony.

Sabrina wstała, za nią Stefania. Obie poszły na górę. Chciały być razem.

### *Rozdział trzeci*

Punktualnie o dziesiątej wieczór mahoniowe drzwi wielkiej sali balowej w Hotelu Genewskim otworzyły się i wenecki pałac z pociągniętego farbą papier-mâché stanął otworem przed gośćmi. Jego sklepiony sufit podierały rzeźbione kolumny, w łukowatych fałszywych oknach umieszczono widoki weneckich kanałów z gondolami i przewoźnikami. Wywoskowany parkiet otaczało sto stolików, każdy nakryty na cztery osoby, każdy z orchideą pośrodku. Przez otwarte drzwi do sali wpłynął czterystuosobowy tłum młodzieńców w smokingach i dziewczyn w balowych sukniach. Przybyli tu na swój bal absolwencki.

Przybyli z dziesięciu elitarnych szkół męskich i żeńskich Genewy, a znali się od lat z nadzorowanych przez starszych imprez towarzyskich, wycieczek do wielkich miast Europy i zawodów sportowych. Rankiem tego dnia odbył się coroczny Festiwal Sportowy Jeziora Genewskiego, na którym mieli ostatnią przed dyplomem szansę zdobycia nagrody dla własnej szkoły i ujrzenia własnego nazwiska wyrytego na jednym ze wspaniałych brązowych lub srebrnych pucharów dla zwycięzców w łucznictwie, żeglarstwie, szermierce, pływaniu, jeździe konnej lub piłce nożnej. Zawody trwały od wczesnego rana, sportowcy z gładko zaczesanymi włosami, zakurzeni i mokrzy od potu wysłali mięśnie w zmaganiach o zwycięstwo. Teraz, przeistoczeni w eleganckich młodzieńców i wytworne panny, startowali w innej konkurencji, której patronowała szkoła: w poszukiwaniu odpowiedniej partii.

Stefania w pienistym cytrynowożółtym szyfonie, z włosami opadającymi w ciężkich falach na plecy, siedziała z Deną i Anną w połączonym foteliku przy ich wspólnym stole i rozglądała się za Sabriną. Musiała z nią koniecznie pomówić. Tak wiele ostatnio się wydarzyło,

przepełniało ją tyle nowych uczuć, którymi nie mogła się podzielić z nikim innym, nawet ze swoimi dwoma najbliższymi przyjaciółkami!

Co prawda nie potrzebowała teraz Sabriny tak bardzo jak kiedyś: każda z nich miała swoje przyjaciółki i ich ścieżki stopniowo się rozeszły. W dniu ich przyjazdu do Szwajcarii, gdy samochód piał się pod górę nad brzegiem Jeziora Genewskiego, przytuliły się do siebie, patrząc na drogę wijącą się wśród winnic o żółtozielonych liściach obrzeżonych czerwienią, a potem, na szczycie wzgórza, na żelazną bramę, za którą rozciągał się park. Stał w nim kwadratowy kamienny zamek, w którym mieściła się **Juliette**. Stefanii wyznaczono pokój na czwartym piętrze z Deną Cardozo, Sabrinie na trzecim z Gabrielle de Martel. Spędziły tam wraz ze stu dwudziestoma pensjonariuszkami następne trzy lata. Nigdy dotąd nie przebywały tak długo w jednym miejscu.

Razem zaczęły chodzić na zajęcia ze sztuki i szermierkę, lecz gdy były juniorkami, Sabrina zainteresowała się żeglarstwem. Załoga pod jej dowództwem czterokrotnie zajęła pierwsze miejsce w regatach bratnich krajów. Stefania pozostała przy szermierce i wraz z pozostałymi w drużynie Deną i Annie MacGregor, zdobyła dla **Juliette** cztery nagrody przed końcem ostatniego roku nauki.

Uczyły się i uprawiały sport oddzielnie, lecz zawsze wzajemna bliska obecność była jak nitka wpleciona w wątek ich dni. Często też spędzały razem popołudnie lub wolny dzień, tylko we dwie, bez towarzystwa innych, „żeby wszystko porządnie obgadać”, jak mawiała Sabrina, sadowiąc się z westchnieniem zadowolenia do pogawędki.

— Hej — odezwała się Dena, gdy kelner napełnił ich kieliszki szampanem. — Znów śnisz na jawie. Wróc do nas: chcę wnieść toast. — Podniosła kieliszek. — Za college i do diabła z nim!

— Nie bądź niemądra, Deno — ofuknęła ją Stefania, żeby odwrócić jej uwagę od swojego roztargnienia. — Nie chcesz chyba przestać na liceum.

— Chciałabym, żebyśmy mogły mieszkać razem w pokoju.

— Więc jedź do Paryża z Sabriną i ze mną.

— Lepiej ty idź ze mną do Bryn Mawr.

— Chcę jechać do Paryża i wstąpić na Sorbonę.

— Wasi rodzice zapisali was do Bryn Mawr.

— A my same zapisałyśmy się na Sorbonę. Któregoś pięknego dnia rodzice zrozumieją, że naprawdę myślimy to, co mówimy. Dena uniosła w górę brwi.

— Odważna mowa, nie ma co!

Stefania potrząsnęła głową. To Sabrina utwierdziła ją w decyzji

swą determinacją. Sama poddałaby się pewnie woli rodziców, mimo że dysponowały obie własnymi pieniędzmi, zostawionymi im przez dziadka. Laura i Gordon chcieli wysłać je do Bryn Mawr, ponieważ tam chodziła niegdyś Laura i ponieważ, ich zdaniem, był najwyższy czas, aby dziewczęta zamieszkały w Ameryce. Lecz Sabrina i Stefania wrywały się do Paryża, o którym śniły od lat.

— Widziałaś Sabrinę? — spytała Stefania niecierpliwie. Wkrótce zaczną się tańce i nie będzie okazji do rozmowy.

— Od czasu zawodów szermierczych nie widziałam jej — powiedziała Annie. — Ale oto twój Charles. — Zrobiła przerwę. — Ma miłą twarz. — Znow urwała, czekając na jakieś zwierzenia. Gdy Stefania milczała, Annie spytała wprost: — Gdzie byłaś po południu, gdy mecz się skończył?

— Poszłam na spacer — odparła Stefania wymijająco, usiłując w tłumie kolegów dojrzeć Charlesa siedzącego ze swoją klasą seniorów. Poczula ukłucie tęsknoty, gdy zobaczyła na jego szczupłej, poważnej twarzy uśmiech skierowany do jakiegoś przyjaciela, taki sam, jakim ją obdarzył, gdy otoczył ją ramieniem i wyprowadził z sali gimnastycznej po jej fatalnej porażce w pojedynku szermierczym.

Pojechali potem na lunch do Lozanny. Płakała nad straconym tytułem mistrzowskim w małej kafejce z czerwonymi obrusami i białymi frankami, gdzie byli zupełnie sami, wreszcie poza zasięgiem wzroku gapiów.

— Zabrakło mi pewności siebie — wyjąkała wśród szlochów. — Wszystkie siły włożyłam w jeden atak, a potem, kiedy do zwycięstwa brakowało mi jeszcze jednego punktu, tylko jednego, nie mogłam się zdobyć na więcej. Nie wiem dlaczego. Sabrina byłaby...

Ale Charles odparł na to, że była wspaniała i że podziwiał jej umiejętności i grację.

— Każdemu wiadomo, że technika jest ważniejsza niż siła — powiedział. — Wcale nie musisz być agresywna. Przypomnij sobie, jaką ci sprawili owację.

Mówił tak, aż jej szlochy ucichły i zaczęła się czuć mniej beznadziejnie. Oparła się o niego, uszczęśliwiona i pełna ufności, myśląc, że chyba się w nim zakochała. W pewnej chwili głos mu pogrubiał i zaczął się jąkać. Stefania wiedziała, że chce jej zaproponować wypad do małego hoteliku tuż obok, że robi to pierwszy raz w życiu i że paraliżuje go trema. Była równie niedoświadczona jak on i nie miała pojęcia, jak go ośmielić. Podczas nocnych rozmów z przyjaciółkami rozprawiły całymi godzinami, jak należy przyjąć podobną propozycję i jak ją odrzucić, lecz ani chwili uwagi nie poświęciły zagadnieniu, jak samej wykazać inicjatywę.

Patrząc na niego pośród tłumu na sali balowej, wspominała, jak obejmował ją ramieniem podczas wielogodzinnej rozmowy. Oboje nie przestawali myśleć o pobliskim hoteliku aż do chwili, gdy musieli się rozstać i przygotować na wieczorny bal. Kocham Charlesa, myślała, uśmiechając się do siebie.

— Aha — powiedziała Annie wyczekująco, dostrzegłszy ten uśmiech. — Musiał to być przyjemny spacer.

Stefania wciąż milczała. Jediną osobą, z którą mogłaby rozmawiać o Charlesie, była Sabrina. Lecz wciąż nigdzie jej nie było widać.

Przy dźwięku fanfar pojawili się witani owacyjnie dyrektorzy dziesięciu szkół. Orkiestra zagrała tradycyjną wiankę szkolnych hymnów i rozpoczęła pierwszego walca. Światła przygasły. W niebieskawym wieczornym półmroku setki świateł migotały jak małe gwiazdki, a sala balowa mieniła się kolorami. Młodzi mężczyźni cisnęli się wokół Stefanii, prosząc o kolejny taniec. Sunęła w ich objęciach po parkiecie, czekając, aż podejdzie do niej Charles.

— Wielka szkoda, że tak ci się nie powiodło w zawodach — odezwał się jeden z jej partnerów, ściągając ją na ziemię. Skinęła głową. — Pomimo to przyjemnie było na ciebie patrzeć — dodał kojąco. — Konkurencje dziewcząt na ogół nie są ciekawe, lecz ty jesteś taka piękna, że naprawdę mi się podobało.

Stefania przestała tańczyć.

— Cóż to za głupia uwaga!

— Hej — zaczął obronnym tonem. — Chciałem tylko powiedzieć...

— Wiem, co chciałeś powiedzieć. — Nie interesował jej, chciała Charlesa. Gdzież on się podziewał? Dlaczego nie poprosił jej do tańca? — Przepraszam — powiedziała i odeszła, aby go poszukać, przemykając jak cień między kołyszącymi się parami. I wtedy go zobaczyła. Stał w osłoniętej niszy, żywo rozmawiając z jakąś dziewczyną. Dziewczyna, odwrócona tyłem do Stefanii, miała lśniąca zimnoniebieską suknię i ciężkie, brązowe włosy, luźno związane na karku wstążką w tym samym kolorze. Sabrina! — pomyślała Stefania, skwapliwie rzucając się naprzód. Jakież to zdumiewające odnaleźć ich razem. Nagle zatrzymała się, widząc wyraz twarzy Charlesa. Malował się na niej zapał, fascynacja, uwielbienie. W ciągu całego spędzonego wspólnie popołudnia nie spojrzął tak na nią ani razu.

Muzyka umilkła i do Stefanii podszedł jakiś młodzieniec. Nie odwróciła głowy. Widziała tylko Charlesa i Sabrinę.

— ...zatańczyć? — usłyszała koniec zdania i poczuła, że ujmuje ją w pół. Wciąż na niego nie patrząc potrząsnęła głową.

— Dlaczego nie? — zawołał. — Stefanio, co ci się stało?



Jego płaczliwy okrzyk zabrzmiał donośnie w chwili ciszy: dyrygent opuszczał właśnie pałeczkę do następnego tańca. Charles obrócił się na pięcie. Na krótką chwilę ich oczy spotkały się, a potem Stefania uciekła z sali balowej unosząc spódnicę i klucząc wśród wirujących par.

Sabrina pobiegła za nią. Puszczając mimo uszu gorączkowe pytania Charlesa, przecisnęła się przez zaciekawiony tłumek tańczących i wypadła przez mahoniowe drzwi. Żółta suknia Stefanii błysnęła jej w zamykającej się windzie, więc pognąła w głąb korytarza do następnej, aby szybko dostać się na piętro, gdzie seniorki *Juliette* miały przydzielone pokoje na noc balu.

— Stefanio? — zapukała do drzwi. Nie było odpowiedzi. Czekwała, wstrzymując oddech. Serce jej biło na wspomnienie wyrazu rozpacz na twarzy Stefanii. Nie wiedziałam, tłumaczyła się przed sobą.

0 niczym nie wiedziałam. Lecz gdybym nie była tak samolubna... — Stefanio, otwórz, proszę!

— Drzwi są otwarte — usłyszała stłumiony głos.

Stefania płakała, zwinięta w kłębek na sofie. Sabrina podbiegła do niej i przyklękła ujmując jej dłonie.

— Przepraszam, przepraszam. Dlaczego sprawiam ci ból, skoro kocham cię więcej niż kogokolwiek na całym świecie? — Stefania usiłowała wyrwać dłonie, lecz Sabrina trzymała je mocno w uścisku. — Stefanio, nie chciałam sprawić ci przykrości. Nie miałam zamiaru z nim flirtować. Po prostu podszedł do mnie...

Stefania wyszarpnęła rękę.

— Oni zawsze „po prostu do ciebie podchodzą” — powiedziała z wściekłością. — Czy nie przyszło ci nigdy do głowy odpowiedzieć „nie”?

Sabrina zmierzyła ją chłodnym wzrokiem.

— Owszem. Lecz tym razem to było coś innego. Charles...

— Nie kłam! Dla ciebie to był tylko jeszcze jeden...

— Stefanio, przestań. To naprawdę było coś innego. On myślał, że ja to ty.

— To nieprawda — zaprzeczyła szybko Stefania.

— Prawda. Przyszłam późno, byłam sama i gdy się pojawił, nie poznałam go. Widziałam go po raz pierwszy dziś rano na twoim meczu i to tylko przez minutę, gdy oboje wychodziliście. Nie wymienił mojego imienia: po prostu zaczęliśmy rozmawiać i nagle ni stąd, ni zowąd nazwał mnie Stefanią, a ja już nie mogłam wyjaśnić, że...

— Mogłaś to zrobić wcześniej. Wiedziałaś, o co chodzi. Sabrina przygarbiła się.

— Oczywiście, że tak. — Spojrzała na swoją piękną sukienkę

1 pomyślała: jakie to dziwne, że można czuć się okropnie, wyglądając

tak ładnie. I jej brak było Stefanii, chciała ją odszukać na balu, rozpaczliwie pragnęła z nią porozmawiać. Zamiast tego sprawiła jej przykrość, a teraz się kłóciły. — Chyba nie chciałam wyprowadzać go z błędu.

— Dlaczego nie? Czy zawsze musisz wszystkim pokazać, że jesteś lepsza niż ja? — Stefanio!

— Przecież tak jest, nieprawdaż? Wszyscy to wiedzą. Dziś rano odniosłaś zwycięstwo w regatach. Gdybyś była na moim miejscu, wygrałabyś ten mecz szermierczy. Nie straciłabyś chłopaka. Nigdy niczego nie tracisz.

Sabrina, przygnębiona, ujrzała, że dzieli je głęboka przepaść.

— Nie wiedziałam, że to twój chłopiec — powiedziała bezradnie.

— Wiedziałaś, że wyszłam z nim z sali gimnastycznej. Mogłaś się domyślić. — Oczy Stefanii były nieubłagane.

— Dlaczego nie powiedziałaś mu, kim jesteś?

Sabrina rozłożyła ręce.

— Szukałam cię, żeby porozmawiać o czymś ważnym, ale byłaś zajęta tańcem, a potem...

Mimo woli Stefanię poruszył smutek w głosie Sabriny.

— Co się stało?

— Marco przyjechał z Paryża.

— Myślałam, że wróci dopiero jutro.

— Spieszyło mu się.

Stefania pochwyliła pogardliwą nutę w jej głosie.

— Do czego?

— Do pewnych... igraszek, w które jego zdaniem powinnam się bawić, skoro już jestem dorosła.

Spojrzały na siebie.

— I co zrobiłaś?

— Rzuciłam w niego przyciskiem i kazałam mu się wynosić. Stefania zaśmiała się z niechętnym podziwem.

— I zmył się?

— Pewnie aż do Paryża.

— Myślisz, że go już nie zobaczysz?

— Co do tego nie ma wątpliwości. Powiedział, że jestem głupia. Może i jestem.

Stefania już miała zapytać, jakie to igraszki proponował siostrze Marco, gdy uderzyła ją myśl, że Sabrina znów wzięła nad nią górę jako ta pożądana i ścigana, podczas gdy ona sama nie umiała nawet skłonić Charlesa, żeby zabrał ją do hotelu.

— Ale dlaczego odegrałaś się za to na mnie? — krzyknęła i Sabrina poczuła się jak wtedy, gdy po chwilowym przejaśnieniu nadciąga kolejna burza.

Podniosła się i zaczęła spacerować po pokoju, masując sobie ramiona, aby się rozgrzać. Wstydziła się sztuczki, jaką wyplatała Charlesowi, i przerażał ją wyraz oczu Stefanii. Lecz najgorsza ze wszystkiego była dzieląca je przepaść. Jak to się stało, że się tak od siebie oddaliły?

— Nie odegrałam się na tobie. Nigdy bym tego nie zrobiła. Naprawdę nie wiedziałam, że on coś dla ciebie znaczy, a gdy zdałam sobie sprawę, że nas pomylił, potraktowałam to jak zabawę. Zresztą to trwało tylko parę minut. Właśnie chciałam powiedzieć mu prawdę, gdy usłyszeliśmy twoje imię. Stefanio, nigdy nie sprawiłabym ci przykrości...

— To nie ma znaczenia — odrzekła Stefania ze znużeniem. — Tak czy owak spodobałaś mu się bardziej niż ja. Cokolwiek próbuję zrobić, ty zawsze jesteś w tym lepsza.

— To nieprawda.

— W takim razie powiedz mi, dlaczego odeszłaś z drużyny szermierczej.

— Dlaczego odeszłam...? To było rok temu. I nie ma nic wspólnego z...

— Bo byłaś o wiele ode mnie lepsza.

— Nie byłam lepsza, byłam inna.

— Bardziej agresywna i groźniejsza dla przeciwników. Wszyscy o tym wiedzieli.

Sabrina przerwała spacer po pokoju. Ból w głosie Stefanii przejął ją do głębi.

— Chciałam zająć się żeglarstwem. I wiedziałam, że mogę zostać kapitanem.

— Wiedziałaś, że nikt nie zwracał na mnie uwagi, gdy uprawiałaś szermierkę. Dlatego odeszłaś z drużyny.

— Nie. Wolałam żeglarstwo od szermierki. To był jedyny powód. — Nigdy przedtem nie skłamała Stefanii.

Przepraszam, błagała ją w duchu. Po prostu nie mam innego wyjścia. — Zresztą co za różnica, przecież to przeszłość.

Chyba że chcesz, żebyśmy razem uprawiały szermierkę na Sorbonie. Co ty na to?

— Dobre stopnie też ci łatwiej przychodzą niż mnie.

Sabrina potrząsnęła głową. Czuła się chora. Od jak dawna Stefania gromadziła te urazy?

— O tak, owszem. Nigdy się nie uczysz ani nie wkuwasz i dostajesz same piątki, a ja zawsze ślęcę nad książkami.

— I też dostajesz piątki.

— Tak, lecz tobie wszystko przychodzi bez trudu: stopnie, fechtunek czy Charles, a ja muszę na to ciężko pracować i uważać, żeby nie wymknęło mi się z rąk — zakończyła Stefania z płaczem. Sabrina znów uknęła przy niej.

— Błagam cię, Stefanio, przestań, proszę, przestań, nie mogę znieść, jak płaczesz przeze mnie. Przykro mi z powodu Charlesa, przykro mi z powodu fechtunku, ale ty jesteś dla mnie najważniejsza. — Także zaczęła płakać, nad Stefanią i nad sobą, bo wszystko zrobiła nie tak jak należało, a Stefania w swoim gniewie była przeciwko niej.

— Nie wiem, czego ode mnie chcesz, ale zrobię wszystko, czegokolwiek...

— Niczego od ciebie nie chcę — Stefania usiadła, wyprostowana. — Postanowiłam pójść do Bryn Mawr, a nie na Sorbonę.

Sabrina spojrzała na nią, oszołomiona.

— Do Bryn Mawr?

— To dobra szkoła i tam właśnie pójdę, skoro rodzice mnie do niej zapisali.

— Ale miałyśmy jechać razem do Paryża!

— Sabrino, nie miej takiej... zagubionej miny! Czym się przejmujesz? Powiedzie ci się świetnie. Ja muszę myśleć o sobie. Muszę dowiedzieć się, kim jestem bez ciebie. Jesteś tak błyskotliwa i interesująca, że ja przy tobie po prostu ginę. Zauważają mnie tylko wtedy, gdy czasami usuniesz się na bok.

— Nie, nie, nie! — Sabrina porywczo kręciła głową. — Jasne, że ludzie cię dostrzegają, o czym ty mówisz?

Lecz Stefania nic na to nie odrzekła. Sabrina poderwała się i znów zaczęła krążyć po pokoju. Dlaczego nigdy do tej pory nie rozmawiały o tych sprawach? Zmieniły się, pomyślała: mówimy różnymi językami. Postanowiła wyznać Stefanii coś, do czego nawet przed sobą nie chciała się przyznać:

— Stefanio, robię te niezwykle i szalone rzeczy dlatego, że ludzie tego po mnie oczekują! Mówią mi, jaka to ja jestem wspaniała, i wtedy zaczynam wymyślać coś nowego... — urwała na chwilę. — Boję się, że jeśli tego nie zrobię, przestaną mnie kochać i uważać za wspaniałą. Ty jesteś jedyną osobą, co do której mam pewność, że kocha mnie dla mnie samej. Wszyscy inni cenią mnie za urodę, zwycięstwa w zawodach i konkursach, za oryginalność. — Znów się zawahała i wybuchła: — Zawsze muszę być w centrum zainteresowania, choć chciałabym być inna!

Stefania przestała płakać.

— W Paryżu będziesz mogła skupiać na sobie całe zainteresowanie Sabrina zastygła. Rzuciła siostrze przeciągłe spojrzenie.

— Nie zasłużyłam na to. Próbowałam być z tobą uczciwa.

— Przepraszam. Chciałam przez to powiedzieć, że każda z nas będzie miała swoją szansę. Pierwszy raz. — Jej oczy błyszczały — To będzie przygoda, Sabrino. Zawsze mi mówiłaś, że powinnam ich pragnąć, pamiętasz?

Sabrina poszukała w tych błyszczących oczach złośliwości i nie znalazła.

— Nigdy nie usiłowałam cię przyćmić — rzekła bezradnie. Możliwe, ale mimo to wciąż się czuję, jakbym była tylko

bliźniaczą siostrą Sabriny Hartwell. — Spuściła wzrok na swoje ręce. — Zamiast rozmów będziemy miały listy.

Sabrina usłyszała w głosie Stefanii nutę wahania: Stefania zaczynała się chwiać w swojej decyzji. Mogłabym ją przekonać, pomyślała babrma. Gdybym zaczęła nalegać, przypomniała, jak często potrzebowałyśmy siebie nawzajem w ciągu ostatnich trzech lat, pojechałyby do Paryża. Znów byłybyśmy razem. Kiedyś powiedziała matce o ojcu: „Stefania i ja jesteśmy dla siebie nawzajem całą rodziną” Wciąż była to prawda. Mogłaby namówić siostrę, żeby z nią pojechała

Lecz nie zrobi tego. Stefania miała rację: musiała się od niej oderwać. Sabrina wzdragała się przed tą okropną prawdą — że siostra ucieka od niej — lecz nie mogła jej zaprzeczyć. Pławiła się w swym własnym blasku i Stefania musiała odejść, by znaleźć własny Nie będę jej od tego odwozić, pomyślała. Narobiłam jej dziś dosyć przykrości

Usiadła przy siostrze na kanapce i przełknęła łzy wzbierające w gardle.

— Ileż będziemy miały do obgadania podczas letnich wakacji — powiedziała ze sztucznym ożywieniem. Siedziały obok siebie nie dotykając się, z rękami złożonymi na podołkach, jak przyzwoite młode damy. Kocham cię, powiedziała bezgłośnie Sabrina do Stefanii i z tą chwilą rozpoczęła samotne życie.

## *Rozdział czwarty*

W miarę jak przygasały światła, cichł gwar wśród publiczności. Reflektory oświetliły ciężką złotą kurtynę, dyrygent opuścił pałeczkę i salę ogarnęła zmysłowa hiszpańska melodia uwertury, której cygańskie tony wzbudziły w Stefanii chęć tańca. Spojrzała na Dene.

— Dziękuję — wyszeptała. W tym jednym słowie zawarła wdzięczność za wszystko: za Nowy Jork w czasie Bożego Narodzenia, za wędrowki po sklepach, za teatry i lożę państwa Cardozów na jej ulubionej operze. Z westchnieniem szczęścia zatopiła się w muzyce. Kurtyna rozsunała się majestatycznie, ukazując tłum jaskrawo odzianych tancerzy i żołnierzy w czerwonych mundurach.

Jakiś hałas przerwał muzyczną ekstazę: ktoś za nimi otworzył drzwi loży, potem potknął się o krzesło. Stefania i Dena odwróciły się.

— Przepraszam — rozległ się jakiś głos.

W półmroku Stefania zobaczyła wysokiego ciemnowłosego mężczyznę, który próbował jednocześnie zamknąć drzwi i wyplątać się z płaszcza.

— Czy trafił pan do właściwej loży? — spytała Dena.

Skinął głową i usiadł w fotelu za Stefanią. Dena czekała chwilę, lecz nie dodał niczego więcej. Obserwowała go przez moment, potem spojrzała na Stefanię, wzruszyła ramionami i odwróciła się z powrotem do sceny.

— Nieco zmięty — mruknęła pod nosem.

Stefania skwitowała krótkim śmieszkiem tę bystrą ocenę. Przybyły osobnik był jednak na pewno kimś na stanowisku, chociaż jego marynarka wymagała odprasowania. Miał również dość pewności siebie, aby przestać na krótkich przeprosinach.

Już po minucie nie pamiętała o nim. Na scenie Carmen śpiewała

z leniwą, drażniącą zmysłowością przed zauroczonym nią młodym żołnierzem, Don Josem, a dźwięki pieśni zalewały publiczność jak płynne złoto. Stefania pochyliła się do przodu, poddając się jej czarowi. Miała jednak świadomość czegoś, co ją rozpraszało. Odwróciła się i napotkała obserwujące ją oczy nieznajomego.

Pierwsza umknęła ze spojrzeniem, zarumieniona pod uporczywym wzrokiem mężczyzny. Był od niej starszy, a na jego twarzy o męskich rysach malowało się dużo więcej charakteru niż u młodzieńców z college'ów niedaleko Bryn Mawr. Obróciła lekko głowę, jakby chcąc zobaczyć coś w rogu sceny, i kątem oka dostrzegła, że wciąż na nią patrzy. Straciła całe przedstawienie, pomyślała i poczuła, jak jej wargi rozchylają się w uśmiechu. Po raz pierwszy zastanowiła się, kim on jest i skąd miał bilet do łoża rodziny Cardozów.

— Przepraszam — odezwał się. — Pani to upuściła?

Stefania spojrzała na program, który trzymał w wyciągniętej ręce, i potrząsnęła przecząco głową, a na jej wargi znów wypłynął uśmiech. Wiedział, że to nie jej zguba: mógł dostrzec jej własny program, który trzymała na kolanach. Ich oczy spotkały się na chwilę, a potem znów się odwróciła. Lecz przez pozostałą część pierwszego aktu wciąż widziała go kątem oka. Jego i utkwiony w siebie jego wzrok.

— Garth Andersen — przedstawił się wyciągając rękę, gdy rozbłysły światła podczas przerwy. Dena szybko ją ujęła.

— Dena Cardozo. Czy jest pan przyjacielem Bartonów? Troska Deny o ustalenie jego tożsamości pobudziła go do śmiechu.

Nie powinien się śmiać, pomyślała Stefania. Odezwał się szybko, jakby sam zdał sobie w tej chwili z tego sprawę:

— Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Przepraszam za hałas, jakiego narobiłem wchodząc. Bartonowie zapomnieli powiedzieć mi, że dzielą z kimś łożę, a w dodatku byłem spóźniony. Zasiedziałem się w pracy i już bałem się, że stracę uwerturę. — Wyciągnął rękę do Stefanii. — My się jeszcze nie znamy.

— Stefania Hartwell. — Wsunęła smukłą dłoń w jego wąską rękę o długich palcach. Muzyk, pomyślała. Albo artysta.

— W jakiej pracy pan się zasiedziało? — spytała Dena.

— Badawczej — odrzekł krótko i zaprosił je do hallu na drinka. Zastanawiał się, dlaczego tylko Dena zadawała pytania. Czy Stefania zawsze zachowywała milczenie, czy też nie była nim zainteresowana?

Gdy popijali wino, Garth w odpowiedzi na pytania Deny wyjaśnił, że zajmuje się biologią molekularną, prowadzi badania naukowe i jest wykładowcą na Uniwersytecie Kolumbijskim.

— Czego dotyczą pańskie badania? — pytała niezmordowanie

Dena, lecz odparł, że to zbyt skomplikowane jak na rozmowę podczas przerwy. Powiedział prawdę, lecz prawdą było również, iż nigdy nie rozmawiał z obcymi o swojej pracy w obawie, że uciekną od niego, znudzeni i nie pojmujący. Zresztą nie chciał mówić o sobie: chciał sam się czegoś dowiedzieć o Stefanii Hartwell.

W zatłoczonym westybulu, wibrującym od piskliwego śmiechu i szybkich rozmów, stanowiła wyspę spokoju. Jej ciało było prawie nieruchome, ruchy nieznaczne i kontrolowane. Rozmawiając Garth zapisywał w pamięci jej ciemnobłękitne oczy, delikatną linię kości policzkowych i cudowne usta, szerokie i hojne, zaskakująco wrażliwe, jakby proszące o ochronę.

Dena obserwowała go bez zazdrości. Cieszyło ją, że interesuje się Stefanią, ponieważ było jasne, że Stefania zainteresowała się nim. Szczęśliwa Stefania, pomyślał Garth, że ma taką przyjaciółkę. Gdy kurtyna opadła po raz ostatni, zapytał, czy może odwiedzić je do domu.

— Mamy limuzynę — rzekła Dena. Podniosła nagle wzrok, jakby coś sobie przypomniała. — Stefanio, obiecałam mamie, że do niej zadzwonię, zanim wyruszymy do domu. Zaraz wrócę.

Gdy znaleźli się sami, Garth odpowiedział uśmiechem na uśmiech Stefanii.

— Bardzo miły postępek.

— Dena zawsze robi miłe rzeczy.

— Chcę panią znowu zobaczyć. Jutro? Potrząsnęła głową.

— Więc pojutrze.

— Nie. Przepraszam. — Jej oczy były czyste i szczerze. — Chciałabym bardzo, ale spędzam wakacje u rodziny Deny, która rozplanowała nam cały czas. Są dla mnie tak cudowni, że nie mogę po prostu zniknąć i zostawić ich z biletami i rozkładem zajęć. Przykro mi.

— A po feriach?

— Wracam do Bryn Mawr.

— Robić dyplom. Roześmiała się.

— Jeszcze mi do tego daleko. Jestem na drugim roku. Zmarszczył brwi.

— Wygląda pani... Ile pani ma lat?

— Dziewiętnaście.

— Wygląda pani na starszą.

— Czy dziewiętnaście to nie dosyć?

— Nie byłbym pewien — powiedział z udawanym namysłem — ale będzie musiało wystarczyć.



Po powrocie Deny zabrali płaszcze z łoży i pożegnali się po przyjacielsku. Garth stał w cieniu, czując się jak groch przy drodze, którą przejeżdża królewska karoca. Te dwie dziewczyny miały pieniądze, styl i cały świat u swych stóp. Spojrzał na scenę, gdzie przez ostatnie trzy godziny śpiewano o namiętności, i zobaczył wrażliwe usta i czyste, szczerze oczy. Naciągnął płaszcz na grzbiet i uśmiechnął się do siebie. Groch czy nie groch, miał zamiar biec za karocą aż do samego zamku.

Bryn Mawr jest położone między porośniętymi bujną roślinnością wzgórzami Pensylwanii, o godzinę jazdy pociągiem od Nowego Jorku. Tuż po przyjeździe Stefanii, ledwo zaczęła się rozpakowywać, zadzwonił Garth.

— Przez ten weekend będę w pani sąsiedztwie — powiedział od niechcienia. — Pomyślałem, że mógłbym wpaść, jeśli pani będzie w domu.

Roześmiała się.

— Co pan będzie robił w moim sąsiedztwie?

— Spędzał z panią czas.

Spotkali się w Pembroke Arch, tradycyjnym miejscu spotkań na kampusie, i oficjalnie uścisnęli sobie ręce.

— Gdzie mnie pani zabiera? — spytał, gdy ruszyli przed siebie.

— Muszę zajrzeć na parę minut do biblioteki, a potem, jeśli to panu odpowiada, moglibyśmy zjeść śniadanie w Wyndham House. Jest dosyć wcześnie, więc sądziłam...

— Za wcześnie dla pani?

— Nie, cieszę się, że pan przyjechał.

W nocy spadł śnieg i szli teraz oczyszczonymi alejkami, które wyglądały jak ciemne kreski na rozległej, iskrzącej się białą przestrzeni; tu i ówdzie widniały na niej gotyckie budynki z szarego kamienia.

Garth wszedł za Stefanią do biblioteki i w dół po schodach do rampy załadowniczej w piwnicy.

— Nikt oprócz mnie nie ma tu dzisiaj prawa wstępu — powiedziała — a właśnie nadeszły jakieś meble na aukcję antyków na piętrze. Gdy tylko podpiszę fakturę, możemy stąd odejść.

Garth obserwował Stefanię rozmawiającą z kierowcą ciężarówki ustawionej tyłem do szerokich drzwi. Po minucie wróciła do niego, robiąc gest niezdecydowania.

— Mówi, że podnośnik nie działa, więc nie będzie mógł rozładować skrzyń. Będę musiała dopaść człowieka od napraw, a pan może w tym czasie zje śniadanie? Nie wiem, jak długo to potrwa.

— Od urodzenia miałem do czynienia z podnośnikami — oznajmił Garth. — Mogę na to rzucić okiem?

Przechyliła głowę i spojrzała na niego.

— Czy naukowcy prowadzą badania za pomocą podnośników? Roześmiał się i wdrapał na platformę ciężarówki.

— Podnośników używają parobki w Minnesocie. I muszą je regularnie naprawiać. — Po krótkiej naradzie kierowca wygrzebał z szoferki pudło z narzędziami, a Garth zwrócił się do Stefanii. — Do której podają śniadanie?

— Jeszcze przez trzy godziny.

— Do tej pory mój apetyt osiągnie zastraszające rozmiary. — Schylony nad maszyną pracował szybko i wprawnie. — Spróbuj teraz — powiedział po kilku minutach do kierowcy, a gdy motor zaskoczył, podszedł uśmiechnięty do Stefanii. — Nauka to cudowna rzecz.

— Parobki z Minnesoty też mają swoje zalety. — Przeciągnęła palcem po jego czole. Gdy go odjęła, był pokryty smarem.

Uśmiechnął się bezradnie i rozłożył uczernione ręce.

— Przy naprawie silnika zawsze przenosiłem na siebie połowę smarów. Moja matka wciąż na to utyskiwała.

Gdzie można się umyć?

— Tędy i w głębi korytarza.

— Niech pani nie odchodzi.

— Dobrze.

Odszedł długim krokiem, wciąż czując jej dotknięcie. Gdy wrócił, zastał ją w tym samym miejscu. Podpisywała kwity przewozowe.

Stefania uzyskała pozwolenie zabrania Gartha na śniadanie do najlepszej na całym kampusie jadalni Wyndham House, na ogół zarezerwowanej, wraz z pokojami gościnnymi na piętrze, dla przybyłych z wizytą rodziców i byłych wychowanków. Zasiedli pod wielkim oknem wychodzącym na kampus i zaczęli studiować menu. Obserwowała z przyjemnością, choć ukradkiem swego towarzysza: energiczne rysy twarzy, brązowe głęboko osadzone oczy, wystające kości policzkowe, szerokie usta i mocny rozdwojony podbródek. Gdy się uśmiechał, od kącików jego oczu odbiegały promieniście delikatne linie, ginące w gęstych czarnych włosach. Wszystko w nim było silnie zaznaczone: żadnych nieokreślonych czy miękkich rysów. Nawet jego głos, głęboki i wibrujący, mógł bez wysiłku dotrzeć do najdalszych ławek największej sali wykładowej.

— Czy wciąż ma pan swoją farmę? — spytała, gdy zamówili śniadanie.

— Nie. Oddałem ją mojej siostrze i jej mężowi. — Teraz, gdy

zaczęła zadawać pytania, opowiadał z całą swobodą o farmie założonej przez jego dziadka, o zbożu połyskującym złotem w blasku słońca, dotyku ziemi, na której pracował, samotnych godzinach, kiedy to jako chłopiec marzył, żeby zostać sławnym uczonym, i tych w towarzystwie ojca, podczas których chłonał całą jego wiedzę.

— Spokojne, bezpieczne dzieciństwo — powiedział Stefaniu, gdy kelnerka przyniosła naleśniki i parówki i nałala im kawy. — Pełne miłości. Wszystko na swoim miejscu, żadnych rozterek na temat przyszłości.

— Lecz to wszystko się zmieniło? — spytała, gdy zamilkł.

— Wszystko się zmieniło. — Urwał na chwilę, zatopiony we wspomnieniach. — Gdy miałem osiemnaście lat, otrzymałem stypendium na studia — miałem być pierwszym z naszego klanu, który pójdzie na wyższą uczelnię. Ale gdy rodzice zginęli w wypadku samochodowym, musiałem porzucić swoje plany i zająć się gospodarstwem.

— Powiedział pan to tak spokojnie...

— Kiedyś odczuwałem inaczej. Prawie cały mój świat uległ zniszczeniu. Lecz to było osiem lat temu — dodał łagodnie. *f*

Osiem lat temu, pomyślała. Miał osiemnaście lat, jego rodzice umarli, a on musiał prowadzić farmę. Nic dziwnego, że uważała ją za młodą: ona jeszcze niczego w swoim życiu nie dokonała.

— Czy naprawdę zupełnie sam prowadził pan farmę? — spytała.

— Przez rok. Moja siostra była wciąż w szkole średniej, więc zostałem z nią. Byłem jej jedynym bliskim krewnym. Gdy wyszła za mąż zaraz po maturze, dałem jej całe gospodarstwo w prezencie ślubnym... A potem pojechałem do Nowego Jorku w poszukiwaniu innego świata, świata, gdzie wszystko jest na swoim miejscu i istnieją szanse przewidywania przyszłości.

— Świata nauki — odważyła się zgadnąć Stefania.

Skinął z uśmiechem głową. Słuchała z taką uwagą, że wręcz docierały do niej nawet nie wypowiedziane słowa — o biedzie, jaką klepał w Nowym Jorku, i osamotnieniu, tak różnym od samotności na wsi. Opowiadał, jak nie miał czasu na przyjaciół, pracując na trzech posadach i jednocześnie zaliczając dodatkowe kursy, aby jak najszybciej zrobić dyplom i zacząć uczyć. Później, gdy już mógł wyjść gdzieś wieczorem, nie robił tego, bo bał się, że kradnie sobie czas przeznaczony na badania i przygotowywanie się do wykładów, że jakiegokolwiek inne zajęcie opóźni postęp jego badań. Nigdy nikogo nie odwiedzał, poza paroma bliskimi przyjaciółmi, u których czasem spędzał wieczór.

Aż do tej pory.

Skończył kawę i usiadł wygodnie.

— Teraz moja kolej. Nic o pani nie wiem.

— Ale pan jeszcze nie skończył. Czy znalazł pan świat, w którym wszystko jest na swoim miejscu?

— Prawie wszystko. Skąd pani pochodzi? Nie mogę określić pani akcentu.

— Wychowałam się w Europie. Ale na czym polegają pana badania? Nie mam pojęcia, czym zajmują się biolodzy molekularni.

Garth roześmiał się, odkrywając przyjemność, jaką sprawiły mu nalegania pięknej kobiety, aby mówił o sobie.

— W porządku — powiedział. — Badamy strukturę i zachowanie cząsteczek w żywych organizmach. Ja specjalizuję się w strukturze genów i możliwościach ich modyfikacji, aby usunąć choroby genetyczne.

Stefania oparła podbródek na dłoni, obserwując jego oczy i usta.

— Czyż zmieniając strukturę genów — odezwała się z wahaniem — nie zmienia się życia?

Spojrzał na nią z zaciekawieniem, jak jej wykładowcy, gdy zadała dobre pytanie.

— Co to ma znaczyć?

— To, że ingerujecie w sprawy natury.

— No, nie nazwałbym tego ingerencją: to brzmi tak, jakbym coś chrzanił. Proszę posłuchać, weźmy te antyki, które pani odbierała: czy rzemieślnicy nie zmieniali kształtu drewna, gdy je tworzyli? Czy rzeźbiarz nie zmienia marmuru? — Lecz artyści nie mają władzy. Marmurowy posąg nie może mieć wpływu na losy świata. Ale wy tak, dzięki zmianie genów, prawda?

— Prawdopodobnie.

— Ktoś więc powinien mieć nad tym kontrolę.

— Kto?

Zerknęła na niego sponad filiżanki z kawą.

— Rząd?

— Rząd jest małostkowy, niegodzien zaufania, powolny, ograniczony i pozbawiony wyobraźni.

— W takim razie naukowcy.

— Są nie lepsi. Większość z nas ma lekkiego bzika. Prawda jest taka, że nie można ograniczać zasięgu badań. Za każdym razem, gdy próbuje się położyć im tamę, wyskakuje coś nowego.

— Chyba muszę to przemyśleć. Co chciałby pan osiągnąć poprzez swoje badania?

Z powrotem wkracza na grunt osobisty, pomyślał, podziwiając jej nieustępliwość. Lecz prawdziwa odpowiedź zabrałaby zbyt wiele z dzisiejszego dnia. Odłożył ją na później.

— Wynaleźć sok z jagód, dający wieczną młodość, i zarobić na nim kupę forsy. Roześmiała się.

— A dlaczego nie wiśniowy?

— Zbyt banalne. Nie byłoby tego efektu.

— Garth, pan tak naprawdę wcale nie chce zarobić kupy forsy.

— Och, nie.

— A czy pan się spodziewa dużo zarabiać?

— O, jeśli ująć to w ten sposób, to nie. Nie na badaniach uniwersyteckich. Prywatne firmy dobrze płacą, ale praca dla nich nie jest w moim stylu.

Spojrzała pytająco.

— Nie lubię, gdy ktoś wywiera na mnie nacisk. Na uniwersytecie nikt nie zagląda mi przez ramię, żeby zobaczyć, jak dużo mi zostało do odkrycia czegoś, co przyniesie dochód. Lubię badania dla nich samych i swobodę w podążaniu ścieżkami, które mogą doprowadzić do celu...

— Szczęścia ludzkości.

— Czegoś w tym rodzaju. Jednak pani ma rację. Nie wydaje się prawdopodobne, żeby kiedykolwiek było mnie stać na to, aby panią zdobyć. Idziemy?

— Tak. — Stefania wyjmowała banknoty z portmonetki. — To najgłupsza uwaga, jaką kiedykolwiek słyszałam. Uważam za wspaniałe, że pana naprawdę obchodzą badania, ludzie, że gotów jest pan mniej zarobić, aby móc robić to, w co pan wierzy. To było bardzo głupie.

Złapał ją za ramię, gdy wstała.

— Stop. Poczekaj chwilę. Po pierwsze, to ja płacę za śniadanie.

— Jesteś moim gościem. To ja cię zaprosiłam.

— Sam się zaprosiłem na cały dzień. Mogę sobie być tylko jakimś młodszym asystentem, którego żywo obchodzi ludzkość, ale stać mnie na to, żeby zafundować przyjaciółce śniadanie. Pomijając moją głupią uwagę, dlaczego już stąd idziemy?

— Muszę znów wstąpić do biblioteki, żeby sprawdzić, czy nie trzeba pomóc w przygotowaniach do aukcji. Ma się odbyć za niecały tydzień, a tylu ludzi się rozchorowało, że jesteśmy ze wszystkim spóźnieni. Przykro mi, bo przecież obiecałam ci cały dzień, ale muszę to zrobić — to moja praca.

- Twoja praca.
- Pracuję na wydziale sztuki, który organizuje tę aukcję.
- Po co pracujesz na wydziale sztuki?
- Żeby zarobić pieniądze.
- Myślałem...
- Wiem, co sobie myślałeś.

Garth zapłacił za śniadanie i idąc z nią przez kampus poczuł nagle wielką ulgę i przyływ energii. Ona nie mieszka w zamku, powiedział sobie w duchu i ugniówszy kulę ze śniegu, rzucił ją zamaszystym łukiem w kierunku drzewa o powykręcanych konarach. Kula rozprysła się na czarnym pniu jak biała gwiazda. Spojrzał na Stefanię.

— Opowiedz mi coś o tej aukcji staroci. Czy wiesz, że zawsze pragnąłem w skrytości ducha pogłaskać marmurową naguskę? Może nadeszła moja szansa? Czy będą jakieś gołe rzeźby?

Stefania wybuchnęła śmiechem. Jakiż cudowny dzień ich czekał.

— Rzeźby nie mogą być gołe, bo się nie rozbierają. — Teraz on z kolei się roześmiał i opiekuńczo wziął ją za rękę, gdy wchodzili po schodach do biblioteki.

Garth miał mnóstwo okazji do roztrząsania przeciwieństw w charakterze Stefanii Hartwell, zanim doszło do jej wizyty w Nowym Jorku. W ciągu zimy i wiosny spędził w Bryn Mawr dziewięć sobót. Dowiedział się o jej siostrze bliźniaczce i rozdźwięku, który między nimi powstał i któremu wciąż nie umiały zaradzić, i o jej rodzicach przebywających w Algierii, skąd wkrótce mieli się przenieść do Waszyngtonu, gdzie ojciec miał objąć stanowisko podsekretarza stanu do spraw europejskich. Wysłuchał opowieści o pretensjonalnej, śmiesznie drogiej szwajcarskiej szkole. Zrozumiał, że chaos w jej wykształceniu pochodził ze zwariowanego trybu życia w czasach dzieciństwa, który dostarczył jej dosyć wiedzy o Europie, aby wypełnić encyklopedię, a jednocześnie nie uświadomił na temat seksu i mężczyzn nawet w takiej mierze, aby zapisać stronę pamiętnika. Poznał jej bystrą inteligencję, spokojną urodę i przyjaciół w rodzaju Deny, którzy gromadzili się wokół niej, proponując, żeby wpadła do nich na wakacje: każdy pragnął dać Stefanii dom. Garth również, ponieważ się w niej zakochał.

— Sama dotrę do twojego biura — powiedziała Stefania, gdy zadzwonił do niej do mieszkania Cardozów. — Nie ma sensu, żebyś po mnie przyjeżdżał. Jak można tam dojechać? — Wysłuchała jego wskazówek i skoczyła do swego pokoju, żeby się ubrać. Wiosenne ferie w Nowym Jorku oznaczały cały tydzień spędzony z Garthem.

Cardozowie wiedzieli o nim i nie zorganizowali tym razem jej pobytu. Tydzień z Garthem — śpiewała w duchu, jadąc metrem.

Gdy jednak dochodziła do gmachu uniwersytetu, pełna wewnętrznej euforii, usłyszała hałas tłumu. Zdawał się dochodzić zewsząd. Skręciwszy za róg, wpadła w sam wir zamieszania: cizba młodych/ludzi wydawała okrzyki, wymachując transparentami, i wiwatowała na cześć piegowatego chłopaka, który stał na ciężarówce, wrzeszcząc ochryple przez tubę. Pomiedzy Stefanią a czteropiętrowym budynkiem, którego okna i parapety zatłoczone były studentami, stał kordon policjantów ze splecionymi ramionami. Rozejrzała się niepewnie. Próbowwała spytać policjanta o właściwy adres, lecz wrzawa zagłuszyła jej głos. Nagle pojawił się przy niej Garth i obejmując ramieniem odprowadził ją spod okupowanego budynku.

Weszli do sąsiedniego i pojechali windą na czwarte piętro.

— Nie ma co, wspaniała chwila na zapoznanie się z moim przytulnym gniazdkiem — powiedział żałośnie Garth. — Gdybym wiedział, nie pozwoliłbym ci przyjechać. Zdaje się, że na razie są w impasie, więc możemy szybko wszystko zwiedzić i wynieść się stąd.

— Nigdy nie widziałam z bliska demonstracji. Bryn Mawr jest tak spokojne...

— My jesteśmy na nie narażeni w regularnych odstępach czasu. Stały się już niemal częścią życia uniwersyteckiego.

— Otworzył drzwi. — A oto moje salony.

Rząd wysokich stalowych szafek pośrodku przedziela! laboratorium na dwa pomieszczenia. Gdy weszli do pierwszego z nich, Garth stanął przy drzwiach, żeby zobaczyć reakcję Stefanii. Najpierw była zdumiona, potem rozczarowana, a wreszcie zaintrygowana. W tym dziwnym pokoju nie było lśniących przyrządów, probówek, płomieni palników ani bulgoczących płynów, a nawet mikroskopu. Zamiast tego na długiej steatytowej ławie leżało mnóstwo małych modelików z dziecięcych klocków — konstrukcje z patyków, drutu, piłeczek, kawałków plastiku, sznurka i papieru, wszystkich rozmiarów i kolorów. Na podłodze stały pudła, wypełnione po brzegi dalszym surowcem. Ściany były pokryte zdjęciami konstrukcji, a na szarej od wycierania tablicy widniało mnóstwo rysunków innych modeli. W kącie, ledwo widoczne spod stert książek i papierów, stało biurko z odrapaną maszyną do pisania.

Garth uśmiechnął się szeroko.

— Jestem znany w okolicy jako mały modelarz.

— I nic dziwnego — odparła Stefania. — Garth, co to wszystko znaczy?

Uczynił szeroki gest, obejmując nim cały pokój.

— Moje modele. Dzieła sztuki, co do jednego ręcznej roboty...

— Garth. Poważnie.

— Ja naprawdę mówię poważnie. Te koślawe modele to moje dzieła sztuki.

— Opowiedz mi o tym.

Uśmiechnął się patrząc na jej poważną twarz.

— Każdy model jest innym typem cząsteczki. Piłeczki są atomami, a patyki siłami, które je utrzymują w różnych konfiguracjach. Wiesz chyba, co to są cząstki.

Skinęła głową.

— W Szwajcarii też znają takie.

— Przepraszam, pewnie gadam jak bufon?

— Trochę. Choć naprawdę nie wiem na ten temat zbyt wiele.

— Zobacz. — Wytarł tablicę i zaczął rysować, jednocześnie objaśniając: — To jest komórka, a wewnątrz niej — nukleus. Te pasemka w środku to chromosomy, które tworzą długie łańcuchy pewnej cząsteczki. — Wyciągnął rękę po odpowiedni model, lecz w tejże chwili tłum przed gmachem wydał zbiorowy ryk. Garth spojrział z irytacją w okno. — Możemy tu wrócić innym razem.

— Nie, powiedz mi o tym teraz. — Czuła się dobrze blisko niego w cichym laboratorium. Na zewnątrz groziło niebezpieczeństwo, lecz tu, z Garthem, było bezpiecznie.

— Powiem w skrócie. Związek, z którego zbudowane są chromosomy, to DNA. Tu jest jego cząsteczka: coś w rodzaju drabiny skręconej w korkociąg. Cząsteczki DNA przekazują cechy dziedziczne. Są jakby kalką: różne szczeble drabiny zbudowane są w odrębny sposób i razem tworzą kod, w którym zawarta jest cała informacja potrzebna do duplikacji żywego organizmu. W tym właśnie miejscu zaczyna się moja rola — próbuję zrozumieć, jak zbudowana jest ta cząsteczka, ta drabina. — A gdy już zrozumiesz?

— Wtedy być może nauczę się, jak ją reperować, kiedy jest uszkodzona. — Odstawił model DNA na ławę. — Wiele dzieci rodzi się z nieuleczalnymi chorobami, ponieważ któryś ze szczebli w ich drabinie DNA jest nie w porządku. Gdybyśmy wiedzieli, jak...

Urwał. Krzyki stały się głośniejsze, przez tubę mówiła teraz jakaś dziewczyna.

— Można by jeszcze długo na ten temat, ale takie jest sedno sprawy. Przejdziemy do reszty któregoś spokojniejszego dnia. Idziemy?

Od drzwi Stefania spojrzała na drugą część laboratorium. Wy-



glądała bardziej znajomo: mikroskopy, probówki, zlewki, strzykawki i umywalka, a pod ścianą koło wielkiego okna mnóstwo małych klatek, po których biegały tuziny białych myszy. Garth zerknął ponad jej ramieniem i wyjaśnił:

— Bill i ja wymieniamy między sobą informacje: on pracuje nad dziedzicznymi chorobami myszy.

Stefania uśmiechnęła się.

— Mały modelarz i białe myszki. Więc tak wygląda nowoczesna nauka... — Krzyknęła. Nagły wybuch rzucił ją na niego, a u ich stóp rozsypało się potłuczone szkło.

Garth zaklął.

— Nic nie mów — powiedział szorstko — i staraj się wstrzymać oddech.

— Dlaczego? — spytała, lecz jego ramię przyduszało jej twarz, gdy prowadził ją, na wpół niosąc, na korytarz i w górę po schodach. Nagle poczuła się okropnie: piekły ją oczy, spod opuchniętych powiek spływały strumienie łez, coś jakby zgmiotło jej płuca. Oddychała urywanie przez piekące gardło.

Poczuła chłodne powietrze i blask słońca na twarzy. Wsparta na mocnym ramieniu Gartha powiedziała:

— Nie mogę przestać płakać. Nie mogę otworzyć oczu. Objął ją również drugim ramieniem.

— Za parę minut nic ci nie będzie. To tylko gaz łzawiący.

— Tylko...!

— Nie ma trwałych skutków. Czy możesz zostać tu sama? Przyniosę trochę wody.

— Gdzie jesteśmy?

— Na dachu. Zaraz wracam.

Pieczenie nie ustawało, lecz po dziesięciu minutach Stefania mogła otworzyć oczy i spojrzeć ponad krawędzią dachu na policjantów, którzy wciągali kaszlących i płaczących studentów do policyjnych suk.

— Dlaczego rzucili w nas?

— Nie specjalnie w nas, któryś musiał spudłować. Mają taką praktykę, że powinni rzucać celniej. Stefanio, muszę wrócić do laboratorium i zasłonić to rozbite okno. Chcesz tu zaczekać?

— Pójdę z tobą.

Gdy tam dotarli, aż się skuliła na widok jego gniewu. Stał pośrodku pokoju z nieruchomą twarzą i nabrzmiętymi żyłami na szyi, kipiąc furją.

— Skurwysyny — wyrzucił z siebie gwałtownie. — Cholerne skurwysyny.

Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem do drucianych klatek, w których niedawno biegały śmieszne myszki. Teraz żadna się nie poruszała. Leżały w bezwładnych kupkach, a podmuch z rozbitego okna łagodnie poruszał ich gładkie, białe futerka.

Garth wściekle kopnął pusty pojemnik po gazie, rozrzucając papiery, które leżały w bezładzie na podłodze. Pod nogami zgrzytało szkło.

— Rok pracy Billa, rok doświadczeń i badań... — Podniósł głos. - Pamiętasz, co ci mówiłem o tych dzieciach, urodzonych z nieuleczalnymi chorobami? One są u końca drogi, która zaczyna się tutaj. Rozumiesz, co to znaczy? Rozumiesz, że ludzie na tym uniwersytecie sądzą, iż rozkurzenie garści studentów jest ważniejsze niż ochrona pracy naukowców?

— Nie mówisz tego poważnie — powiedziała cicho Stefania. Drżała nie od gazu łzawiącego, lecz na widok gniewu Gartha, głębi jego troski. On wiedział, co jest ważne, wiedział, czego chce i dokąd zmierza. Jego świat był o wiele większy niż jej świat.

Przykląkwszy zaczęła zbierać rozsypane arkusze i wkładać je do pudełka, które znalazła na biurku. Garth obserwował jej pochyloną głowę, ciężkie brązowe włosy przesłaniające twarz. Cudowna, spokojna Stefania. W jednej chwili mądra ponad wiek, w następnej naiwna jak mała dziewczynka. Pełna oczekiwań. Kimże był, myśląc, że może jej dać to, na co czekała? Wciąż czuł się przy niej jak pospolity groch.

Wstała.

— Chyba zacięłam się w palec. Po jej dłoni spływała krew.

— Wszędzie to szkło — powiedział gniewnie. — Pokaż, niech zobaczę.

Wyciągnęła rękę jak dziecko. Wyjął ostrożnie długi odprysk szkła, znalazł w szufladzie kawałek gazy i przycisnął ją do skaleczenia. Wzdrygnęła się.

— Coś tam jeszcze jest — rzekł.

Teraz ona patrzyła na jego pochyloną głowę, gdy powtórnie szperał w szufladzie, by tym razem wyciągnąć z niej nożyczki.

— Wszystkie wygody zapewnione — wymruczał. — Jak się kaleczyć, to tylko w pracowni biologa. — Podniósł oczy i przyłapał jej spojrzenie. — Czy wiesz — ciągnął tonem lekkiej konwersacji — że jesteś prawdopodobnie jedyną kobietą na świecie, która wygląda pięknie po zagazowaniu gazem łzawiącym? Właśnie przeszedł test piękności Andersena. Aplikujemy jeden pojemnik gazu łzawiącego i wszystkie te, których piękno nie sięga głębiej niż skóra, przeistaczają się natychmiast w czkające ropuchy. Dlaczego się śmiejesz? Mówię ci,

że cię kocham, chcę się z tobą ożenić i chyba znalazłem ten odprysk, więc jeśli będziesz stać bardzo spokojnie, wyciągnę go. Pochylił się nad jej ręką i zaczął sondować ranę.

— Przepraszam — powiedział, gdy znów się wzdrygnęła. — Chciałbym również zabrać cię do domu i kochać się z tobą, a pragnienie to męczyło mnie od kilku tygodni nawet w słabo przewodzącej uczucia atmosferze Bryn Mawr. No. Zrobione. — Nie patrząc na nią wyjął z szuflady jeszcze trochę gazy i owinał nią jej rękę, tworząc zgrabny opatrunek. — Ćwiczenia harcerskie w dzikich ostępach Minnesoty. Co o tym myślisz?

— O czym? — spytała słabo.

— O jednej lub obu powyższych propozycjach.

Przysunęła się do niego pewnie, przeczuwając już, jak dopasują się do siebie ich ciała.

— Tak — odparła. — Na obie powyższe propozycje.

W maju krzewy na kampusie Bryn Mawr pokrywają się gęsto różowymi i białymi kwiatami, a ziemię zaściela dywan opadłych płatków. Gorące słońce wypala ślady kwietniowych deszczy, a w koronach sędziwych drzew gromadzą się ptaki. Jest to pora weselnych godów.

Laura stała na dziedzińcu Thomas Library przy boku Stefanii, mierząc krytycznym okiem okrągły staw z sielskimi kaczkami, stojące przy nim równe rzędy krzeseł i długie stoły zastawione jedzeniem i pićm.

— To przypomina bardziej garden party niż ślub — powiedziała z namysłem. — Czy nie chciałabyś czegoś bardziej oficjalnego, kochanie?

— Chciałam właśnie tego — odpowiedziała z rozmarzeniem Stefania, patrząc, jak jej i Gartha przyjaciele w małych grupkach czekają na rozpoczęcie ceremonii.

— Nie ruszajcie się, wy obie — zakomenderował Gordon. Trzasnęła migawka aparatu.

— I żeby rzucać szkołę — ciągnęła Laura. — Czy zastanowiłaś się, Stefano?

— Mamo, jak mogę tu zostać, skoro Garth ma pracę w Illinois?

— Mógłby poczekać dwa lata.

— Nie, nie mógłby. Ta posada na środkowym zachodzie jest zbyt dobra. — Pocałowała Laure w policzek. — Kupimy wielki dom z mnóstwem sypialni i będziecie nas odwiedzać. Nigdy nie byliście w Evanston, prawda? Ani w Chicago?

— Ani tu, ani tu.

— No więc teraz będziecie.

Stefania dostrzegła na dziedzińcu Sabrinę, która dołączyła do sędziego Fairfaxa i Cardozów. Przeprosiła matkę, przebiegła na drugi koniec dziedzińca i ujęła siostrę za rękę.

— Wyglądasz cudownie!

— Nie, to ty jesteś dzisiaj najpiękniejsza... Czy to możliwe, że jesteś tak szczęśliwa, na jaką wyglądasz?

— Spytam cię o to samo, gdy przyjdę na twój ślub. Sabrina uśmiechnęła się.

— Sędzia Fairfax twierdzi, że podrzucił nas na kolanie, gdy byliśmy małe, w Waszyngtonie.

— I prorokowałem, że będę wam obu udzielał ślubu — dorzucił sędzia. — Czekam na Sabrinę, aby dała mi pretekst do podróży do Europy.

Sabrina uniosła brwi i zmieniła temat rozmowy. Nigdy nic o sobie nie mówi, pomyślała Stefania, nawet w listach. Jak dobra przyjaciółka, opisywała swój tryb życia, dopytując się troskliwie o nią, lecz zawsze była trochę oddalona, podobnie jak zeszłego lata w Szkocji, dokąd pojechały wraz z rodzicami. Zachowywała się tam cicho i powściągliwie, niechętnie dając się wciągać w rozmowy, jakby się bała, że ktoś oskarży ją o pragnienie przyćmienia siostry. Stefania rozumiała to, lecz nie ułatwiła jej niczego. W ten sposób będziemy kwita, pomyślała, jeśli Sabrina chociaż raz poczuje się niezręcznie. Wstydziła się własnej małostkowości, lecz mimo to nie zrobiła nic, aby poprawić samopoczucie Sabriny i przez cały miesiąc żadna z nich ani razu dobrze się nie bawiła.

Kiedyś każda z nas była połową drugiej, pomyślała, patrząc na Sabrinę, która rozmawiała z Cardozami. Teraz nie wiem o niej nic: kogo kocha ani o czym marzy. A ona nie zna mnie.

— Sabrino — dotknęła ramienia siostry. Odeszły razem, pochylając ku sobie głowy.

Gordon uchwycił je swym aparatem — swoje wspaniałe córki, które mimo identycznego wyglądu nieuchwytnie, ale coraz bardziej różniły się od siebie. Sabrina dziwnie chłodna i cicha w wąskiej sukni koloru przydymionego różu, która dyskretnie podkreślała linie jej ciała, z włosami ukrytymi pod dopasowanym kapelusikiem, i Stefania, olśniewająca w białej sukni z tłoczonego materiału, obrzeżonej haftowaną koronką. W ciemnym brązie jej włosów spoczywała pojedyncza kamelia, jak rzeźba z kości słoniowej.

— Muszę cię przeprosić — powiedziała.

— Nie musisz — odparła Sabrina. — Myślę, że cię rozumiem.

— Jak to możliwe? Spędziłyśmy razem zaledwie kilka dni, a przez cały czas tylko ja gadałam. I nie powiedziałaś mi nic o sobie.

— To nieważne. Wyglądasz na tak szczęśliwą. Jeszcze nigdy cię taką nie widziałam. Stefanio, kocham cię. Po prostu ciesz się swoim dniem.

— Lubisz Gartha, prawda?

— Oczywiście, że tak. Jest uroczy i wyraźnie w tobie zakochany. Stefanio, tak się cieszę! Porozmawiamy o mnie innym razem. Nie dziś. Stefania położyła ręce na ramionach Sabriny i przytuliła policzek do jej policzka. W gruncie rzeczy była zadowolona, że nie usłyszy zwierzeń Sabriny. Nie chciała odkryć, że za zdawkowymi listami siostry kryje się życie bardziej ciekawe niż jej własne. Miała Gartha, nie potrzebowała już Sabriny.

— Dziękuję — powiedziała i odsunęła się, gdy podszedł do nich Garth. — Wyście się jeszcze nie mieli okazji poznać. Sabrina i Garth wymienili szybkie spojrzenia.

— Przepraszam — powiedział Garth. — Myślałem, że uda mi się przyjechać tutaj wcześniej. Za dużo roboty. Koniec roku szkolnego, koniec moich wykładów na uniwersytecie. Cała ta nostalgia, z którą trzeba dojść do ładu. Poznamy się jeszcze.

Stefania potrząsnęła głową.

— Nie, chyba że Sabrina opuści Paryż i osiedli się w Illinois. Sabrina mimowolnie uśmiechnęła się na myśl o tym, a Garth

zdumiał figlarny wyraz, jakiego nabrały przy tym jej chłodne, nieruchome usta. Lecz powściągnęła rozbawienie: chochlik znikł.

— Będziemy się odwiedzać — odparła. — Czy profesorzy nie przyjeżdżają do Europy na badania lub z innej okazji?

— Dzieci — wtrącił Gordon. — Sędzia jest gotowy.

Sędzia Fairfax stanął przed ścianą wysokich krzewów, a Stefania i Garth ustawili się przed nim ze świadkami: przyjacielem Gartha z uniwersytetu i Sabriną. Gdy zajmowali miejsca, Garth szepnął Stefanii na ucho:

— Ona jest zimna. Ty masz w sobie dużo więcej życia. I jesteś o wiele piękniejsza.

W nagłym momencie olśnienia Stefania zrozumiała postępek swej siostry. To był jej prezent ślubny — przytłumić swą urodę i witalność, które sprawiały, że wszędzie stawała się ośrodkiem zainteresowania. Zaszyć się w cieniu, a mnie zostawić blask słońca. Poczwała, jak zalewa ją fala miłości, a potem poczucie winy. Nic na to nie mogą poradzić,

że nie jesteśmy już sobie tak bliskie i ona mi się nie zwierza, rozgrzeszyła się. Każda z nas ma teraz własne życie: nie potrzebujemy siebie nawzajem.

„Skąd wiesz?” — spytał mały głos w głębi duszy. — „Pytałaś ją, czy jesteś jej potrzebna?”

Sędzia Fairfax rozpoczął przemowę i Stefania zepchnęła w głąb gorzkie myśli i poczucie winy. Zdążyła tylko pomyśleć, jak zadziwiająco się złożyło, że właśnie wtedy, gdy najbardziej oddaliła się od siostry, znalazła Gartha, który ją pokochał. Potem skupiła się na ceremonii, dzięki której miała zostać jego żoną.

## *Rozdział piąty*

Zamek wznosił się nad zielonymi wzgórzami Hampshire. Jego blanki i wieże nabrały w ciągu stuleci barwy bladej szarości, a okna były osadzone głęboko w kamiennych ścianach. Za zamkiem ciągnął się las czerwonych buków jak połyskująca brązowa kurtyna, szeleszcząca w podmuchach czerwcowego wiatru.

— Zamek Treveston — odczytała Stefania z nabożnym zdumieniem z listu Sabriny. — Osiemdziesiąt pokoi, tysiąc dwieście akrów parków i gospodarstwa... Garth, spójrz! — krzyknęła, podniósłszy wzrok. — Pawie!

Garth zwolnił i spojrział na dwa pawie, zamek i srebrzystobłękitne jezioro za nim, które pochłonęło była fosę.

— Przytulna chatka — powiedział ironicznie, lecz mimo woli był pod wrażeniem. Widok prosto z bajki, pomyślał: parobkom z Minnesoty i wykładowcom ze środkowego zachodu z trudnością przychodzi wierzyć, że to naprawdę istnieje. Oczywiście cały ten splendor był śmieszny: nie należał do dwudziestego wieku. Lecz pomimo to zamek, wspaniały, o przepięknych proporcjach i imponujących rozmiarach — rzucał czar.

— Czy możesz sobie wyobrazić Sabrinę mieszkającą tu po ślubie? — spytała Stefania. — Ja na jej miejscu czułabym się... pomniejszona. Jakbym wtargnęła do domu przeznaczonego dla gigantów. Nie wiem, jak ona sobie z tym poradzi.

— Zapytaj ją — odparł Garth i zatrzymał wóz. Służący otworzył przed nimi drzwi i wniósł ich bagaż do środka. Stefania podjęła ten temat nieco później, gdy zwiedzali posiadłość.

— Myślę o ludziach — powiedziała Sabrina. — Nie o czterechsetletniej historii wojen, rycerzy i procesji królów, lecz o rodzinie, a w szczególności o jej czarnych owcach.

We trójkę przechadzali się ścieżkami wijącymi się wśród tysiąca różanych krzewów. Sabrina opowiadała im o czarnych owcach w rodzinie Longworthów.

— Myślę, że w każdej generacji wynajdywali sobie kogoś do tej roli. Częściowo po to, żeby urozmaicić sobie życie, lecz głównie dlatego, że dzięki temu mogli być tak ekscentryczni, jak im się podobało, bo zawsze można się było zasłonić kimś, kto zachowywał się jeszcze bardziej skandalicznie.

Stefania roześmiała się.

— Czy obecnie też jest ktoś taki?

— O ile mi wiadomo, nie. Denton pewnie chętnie podjąłby się tej roli, ale jego ojciec i rada nadzorcza zzymają się na samą myśl o rozgłosie, nie mówiąc już o skandalu.

— Nie wiedziałam, że pracuje. Jak to możliwe, skoro tyle czasu spędza z tobą i na podróżowaniu?

— Pracuje, gdy jest w nastroju. Wygląda na to, że ma pewien system...

Rozmawiały dalej, idąc przez ogród. Garth marudził z tyłu, patrząc na rosnące z boku wysokie żywopłoty słynnego labiryntu Treveston.

— Garth, wchodzimy do środka — zawołała Stefania. — Chcesz obejrzeć dom?

— Dogonię was — odpowiedział. Stefania pokazała mu list od Sabriny, w którym był opis labiryntu. Miał on kształt trójkąta o bokach długości dwustu stóp. Został zasadzony w tysiąc siedemset siedemdziesiątym piątym roku przez Stauntona Longwortha, w miejscu, gdzie rósł przedtem nieregularny gąszcz krzewów, w którym goście błąkali się godzinami. Garth zajrzał w lukę między krzewami zastanawiając się, jakie zasady geometryczne mógł wykorzystać Staunton Longworth w swoim labiryncie. Spróbuje go spenetrować później, postanowił. Albo jutro, po ślubie.

Wszedł do budynku i podążył za dźwiękiem głosu swojej żony. Lecz gdy dotarł za siostrami do biblioteki, odkrył ku swemu zakłopotaniu, że był to głos Sabriny. Dziwne, że po latach spędzonych oddzielnie w różnych krajach, ich głosy wciąż brzmiały identycznie.

— ...odnowili sufit — kończyła właśnie zdanie Sabrina. Garth zaczął uważnie słuchać, przyznając przed samym sobą, że aczkolwiek ten dom był anachronizmem i przypominał bardziej muzeum, nigdy nie widział czegoś równie wspaniałego.

Przed nimi ciągnęła się długa amfilada majestatycznych, uroczystych komnat o ogromnych proporcjach i cudownie wyczelowanych deta-



lach, poczynawszy od parkietu i rzeźbionych progów, a skończywszy na przedzielonych kamiennymi słupkami gotyckich oknach w obramowaniu adamaszkowych zasłon koloru kości słoniowej, podwiązanych kokardami z obrzeżonego frędzlą aksamitu. Historia zamku sięgała roku tysiąc pięćset siedemdziesiątego piątego, kiedy to sir William Longworth, członek tajnej rady królowej Elżbiety, wybudował siedzibę w wiosce Treveston, ziemi подарowanej mu w nagrodę za wierną służbę. Pięćdziesiąt lat później jego wnuk wynajął największego architekta Anglii, Iniga Jonesa, który wprowadził zmiany we frontowej ścianie wschodniej i dobudował trzy sale recepcyjne oraz wielką klatkę schodową. Kolejni potomkowie przyczyniali się do rozbudowy pałacu, aż osiągnął swe obecne rozmiary, a w dwudziestym wieku zmodernizowano farmy i parki, łącznie z przeprowadzeniem wąskotorowej kolejki parowej i pokryciem całej posiadłości siecią torów.

W Wielkiej Sali Treveston występowała ongiś trupa Szekspira, zaś generacje dalekowzrocznych Longworthów wypełniły zamek bezcenną kolekcją płócien Tycjana, Rembrandta i Gainsborougha, rzadkimi książkami i drukami oraz zbiorem siedemnastowiecznych tkanin i mebli.

— Oczywiście tutaj nie można, ot tak sobie, powiesić jakiegoś obrazka albo kupić nowego dywanu, gdy masz na to ochotę — powiedziała Sabrina do Stefanii. Siedziały na balkonie, na który wychodziło się zarazem z jej sypialni i bawialni. Piły herbatę, podczas gdy Garth zmagął się z labiryntem. — To podstawowa zasada. Ale czy i tak nie jest tu wspaniale?

— Wyglądasz na tak szczęśliwą — rzekła Stefania. — Czy to możliwe, żeby ktokolwiek był równie szczęśliwy jak ty?

Roześmiały się na nagłe wspomnienie. Cztery lata temu, pomyślała Stefania. Cztery lata rozłąki. W czasie gdy ona urządziła się w Evan-ston, Sabrina ukończyła Sorbonę, przeniosła się do Londynu i podjęła pracę w galerii antyków Nicholasa Blackforda na Lowndes Street. Mieszkała samotnie w małym mieszkaniu, zawierała nowe przyjaźnie, pomagała w organizowaniu aukcji na cele dobroczynne. W listach nigdy nie napomykała o sprawach osobistych. Może teraz to się zmieni, pomyślała Stefania, ponieważ nagle poczuły, jak cudownie jest być razem. Przypomniała sobie wyraz twarzy Sabriny, gdy przyjechali. Miłość. I wdzięczność.

— Jesteś szczęśliwa, prawda? — spytała.

— Szczęśliwa lub podniecona — odparła Sabrina. — Sądzę, że dla Dentona to oznacza to samo. On jest niewiarygodny! Idzie spacerkiem przez życie, jakby cały świat był jednym z jego trevestońskich ogrodów. Nie uwierzyłabyś, jakie to robi wrażenie.

— I owszem — rzekła sucho Stefania, obejmując wzrokiem łoże z baldachimem zasłane ubraniami Sabriny, służącą, która składała je i pakowała na podróż poślubną, toaletkę i szafę w stylu regencji, francuskie drzwi wychodzące na balkon.

— Nie, to nie chodzi o pieniądze — zaprzeczyła Sabrina. — To znaczy, posiadanie pieniędzy jest bardzo przyjemne; gdy przyjechałam do Londynu, musiałam ciuć grosz do grosza. I nie chodzi o to, że ojciec Dentona jest wicehrabią, choć i to się liczy. Sedno sprawy polega na tym, że Denton wszędzie, gdziekolwiek się znajdzie, czuje się na swoim miejscu. I kocha mnie, więc teraz jestem już prawie tak pewna siebie jak on.

— Nie potrzebujesz Dentona, żeby czuć się pewną siebie.

— Ależ tak, w tym cały kłopot. Wiesz, że zawsze usiłowałam wyrzucić na ludziach wrażenie, aby mnie polubili...No i spójrz na matkę, jaka jest zadowolona ze mnie i mego wspaniałego zamążpójścia.

— Matka i bez tego cię kochała.

— Pewnie tak, ale czy widziałas, żeby była kiedy tak czuła?

— Nie — przyznała Stefania.

Mimo tej rozmowy, nazajutrz na widok Sabriny po ślubnej ceremonii Stefania pomyślała, iż nigdy nie widziała, żeby ktoś zachowywał się z większą pewnością siebie i opanowaniem. Istna królowa, przeszło jej przez głowę. Nigdy nie będę tak wyglądać. Ani mieć zamku. Poczula ukłucie zazdrości, lecz gdy Sabrina spojrzała w jej stronę i ich oczy spotkały się, zazdrość znikła. Chce jednego: żeby była szczęśliwa — pomyślała.

Sabrina przesłała jej ręką gest podziękowania. Denton trącił ją, aby odwróciła się z powrotem do gości weselnych, którzy ustawili się w kolejce, aby złożyć życzenia młodej parze.

— Moja droga Sabrino, przebojem zdobyłaś cały Londyn — powiedziała podszedłszy do nich księżna Westford. Promieniała podziwem, którym obdarzają młodszych i piękniejszych od siebie tylko ludzie mający o sobie niezachwianie dobre zdanie. Sabrina przyjęła ten wyraz uznania z uśmiechem, czarująca w swej białej sukni z jedwabiu i szyfonu. Jej smukła szyja wznosiła się nad potrójnym sznurem pereł i diamentów, prezentem ślubnym od męża; podobny sznur migotał w ciemnobrązowych włosach. Księżna ucałowała ją. — Nie ganię Iris za to, że porwała cię dla swojego syna. Żałuję, że pierwsza cię nie znalazłam dla mojego.

— Tak naprawdę, to ja ją porwałem — rzekł Denton. — Matka ją tylko odkryła. Szukała biurka i znalazła Sabrinę.

— Biurko również — dorzuciła wesoło Sabrina. — Sprzedałam je matce Dentona, a wtedy ona zaprosiła mnie na herbatę.

— Znakomity gust — powiedziała lady Iris Longworth do księżnej. — Sabrina pomogła swej matce urządzić dom w Waszyngtonie... Musiałas oczywiście poznać jej ojca, podsekretarza do spraw...?

— Uhm — skinęła głową księżna, mniej niż jej przyjaciółka Iris przejęta parantelą Sabriny.

— Księżno — zabrzmiał czyjś niecierpliwy głos. — Czy mogę ucałować moją starą przyjaciółkę ze wspólnego pokoju? — Gabrielle de Martel przysunęła się żywo i ucałowała Sabrinę w oba policzki. — Wyglądasz, jakby cię porwał jakiś przystojny obieżyświat i światowiec o złotym sercu, który uwielbia cię do szaleństwa, jak na to zasługujesz, i przyrzekł na każde urodziny i Boże Narodzenie podarować ci kawałek świata.

— Jeśli nie znajdzie czegoś lepszego — dodał Denton.

— Lecz co mogę ci dać w zamian, oprócz księżycy? — spytała Sabrina.

— Och, mniejsza o księżyc. Co mi po nim, skoro mam ciebie. — Ujął ją za rękę i Sabrina uśmiechnęła się patrząc na jego pogodną, okrągłą twarz, różowe policzki i równo przycięte czarne wąsy. Jego przenikliwe czarne oczy często miały twardy wyraz, lecz gdy patrzył na nią, miękkły i stawały się pełne żarliwości. — Nawet teraz nie mogę uwierzyć, że należysz do mnie.

Kolejka gości przesuwiała się.

— Sabrino, musicie przyjechać do nas na tydzień do Ranstead. Przyrzeknij, że przyjedziecie, poważnie na was liczę. Będziemy w małym gronie, dwadzieścia czy trzydzieści osób, tak abyśmy naprawdę mogły się poznać.

— A my oczekujemy was w sierpniu w Harleton House, nie zapomnij.

— Sabrino, czy Denton powiedział ci, że umówiliśmy się na dwa tygodnie w Colburn Abbey we wrześniu?

— Sabrino, masz już sekretarkę? Mogę ci polecić...

— Kiedy będzie gotowy wasz dom w Londynie? Słyszałam o nim wspaniałe rzeczy.

— Nigdy.

— Proszę?

— Do końca życia pozostaniemy gośćmi. Będziemy odwiedzać wielkie dwory i zamki, w każdym przysiadziemy na chwilę i ruszymy w dalszą drogę. Mamy tyle gniazdek do wyboru, że nie potrzeba nam własnego.

Iris Longworth poklepała Sabrinę po ramieniu, nie mogąc powściągnąć uśmiechu na widok jej figlarnych oczu.

— Ludzie będą cię krytykować za podobne żarty. Nasi przyjaciele traktują te zaproszenia bardzo poważnie. Sabrina skinęła głową.

— Dziękuję. — Wiedziała, że w jej głosie nie słyhać skruchy, lecz przynajmniej zdołała ukryć uśmiech, choć musowała w niej wesołość. Tak wspaniale się bawiła! Spojrzała w tłum, żeby napotkać wzrok Stefanii, lecz między nimi stała Laura, która skinęła aprobująco głową, gdy dostrzegła, że Sabrina patrzy w jej kierunku. Zafundowałam mamie rekordową starożytność, zięcia z czterechsetletnim rodowodem, pomyślała Sabrina. Gordon objawił mniej entuzjazmu. Garth przypadł mu do gustu bardziej niż Denton. „Bardziej solidny — poważniejszy” — ocenił. W istocie chodziło mu o to, że Garth jest bardziej podobny do niego samego. Lecz okazał Dentonowi sympatię i Sabrina nabrała przekonania, że w końcu zadowolili oboje rodziców.

A Stefania? Sabrina cofnęła się, żeby ją zobaczyć: spokojną, powściągliwie miłą, gdy sześciuset obcych ludzi pozdrawiało ją i komentowało jej niezwykle podobieństwo do siostry. Gabrielle doniosła, że widziała, jak gawędziła swobodnie z najbogatszymi kobietami Anglii o dwójce swoich dzieci, życiu na przedmieściu Chicago i nagrodzie, którą niedawno otrzymał jej mąż za badania naukowe.

Obok Stefanii dostrzegła Gartha obserwującego ją z ciekawością, której nie silił się ukrywać. Wiedziała, o czym myśli, i lekko się do niego uśmiechnęła, jakby przepraszając, zanim odwróciła się z powrotem do gości.

Garth wyszedł z kolejki składających życzenia i oparł się o okno. Próbował dopasować swoje wspomnienia o Sabrinie do tej oszałamiającej kobiety, która zdawała się roztaczać blask w swej sukni. Jej ciepło i witalność stanowiły ośrodek, wokół którego obracało się przyjęcie. Gdzie podziała się ta zimna, powściągliwa osoba, która przybyła do Bryn Mawr na ich ślub i złożyła im dwie krótkie wizyty po narodzinach ich dzieci, spędzając większość czasu ze Stefanią?

Garth zdał sobie sprawę, że nigdy przedtem jej nie znał. Coś sprawiło, że się zmieniła, lub Sabrina, którą spotkał w przeszłości, ukrywała swoje prawdziwe ja.

Spojrzał na żonę. W długiej różowej sukni, którą Sabrina kupiła jej w Paryżu, jaśniała łagodnym pięknem pastelowego portretu w ukośnych promieniach popołudniowego słońca. Narzekała ostatnio, że przytyła, chociaż Garth tego nie zauważył. Nie miała już tej królewskiej postawy, którą wpajano dziewczętom w *Juliette*, lecz przyćmiewała wszystkie kobiety z wyjątkiem Sabriny i trzymała się godnie jak angielska arystokratka. Garth był z niej dumny.

— To sprytne z twojej strony dać nogę — usłyszał niski śmiech Sabriny, która pojawiła się zniecka obok niego. Długi łańcuch życzeń pomyślności urwał się wreszcie. — Chciałabym móc zrobić to samo. Odnajdźmy Stefanię i zaszyjmy się gdzieś.

— A twój mąż?

— Denton dyskutuje na temat samochodów wyścigowych: inwestuje pieniądze w wóz stający do Grand Prix. Czy wiesz coś o Grand Prix? Ja też nie, ale mocno podejrzewam, że wkrótce się dowiem. Teraz jednak moim najgłębszym pragnieniem jest znaleźć jakąś kryjówkę, w której mogłabym zdjąć buty.

Garth chichotał, gdy wybawili Stefanię od towarzystwa tłusciutkiego lorda.

— On ciągle mówił o spanielach! — wykrzyknęła, gdy wśliznęli się do małego gabinetu. — Powiedział, że ten ślub przypomina mu ostatni pokaz psów!

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem. Sabrina ściągnęła pantofle i zwinęła się na kanapie z westchnieniem zadowolenia.

— Och, ależ się za tobą stęskniłam. Tylko ciebie śmiesz zawsze te same rzeczy co mnie. Stefanio, jak możesz wytrzymać w pantoflach? Dwie godziny w tej kolejce...!

Stefania potrząsnęła z ubolewaniem głową z drugiego końca kanapy.

— Nie mogę ich zdjąć. Nie w takim zamku! Mogę prowadzić konwersację z twoimi lordami i damami i ucztować przy twoim stole, ale nie mogę zdjąć butów. Nie słuchaj — dodała szybko. — Uważam, że to wszystko jest cudowne. Po prostu we własnym domu czuję się wygodniej, co stwierdzam z przyjemnością.

Sabrina uspokoiła się.

— Tak się cieszę. Miałam stracha, że...

— Że będę zazdrosna?

— Niezupełnie. Ale że pomyślisz: znów zagarnęła dla siebie światła jupiterów.

— Och, nie, nic podobnego. Czy to nie dziwne? Może dlatego, że teraz mam swój własny blask.

— Żadnych więcej obaw, że zostajesz w cieniu? Stefania zastanowiła się.

— To już chyba minęło.

Garth patrzył na nie z wyrazem cierpliwej ciekawości.

— Jakiś szyfr? — próbował zgadnąć.

Stefania aż podskoczyła. Zapomniała o jego obecności. Przez ostatnią minutę była tu tylko z Sabriną, jak za dawnych czasów: one i ich biegnące jednym torem myśli i słowa. Odwróciła się do niego.

— Kiedyś powiedziałam Sabrinie, że jej błyskotliwość usuwa mnie w cień, przez co nikt mnie nie zauważa.

— A potem wyjechała do Ameryki — dodała Sabrina. — Zostawiając mnie samą z całym moim blaskiem.

Stefania wyrzała przez okno na gości, sunących po trawie ogrodów lekko jak płatki kwiatów, częstujących się szampanem i zakąskami, które kelnerzy podawali na srebrnych tacach. Cztery lata temu stojąc w innym ogrodzie przed sędzią Fairfaxem, odrzuciła myśl, że Sabrina może jej potrzebować. Wolała o tym nic nie wiedzieć.

Teraz już wiedziała. Zabrzmiało jej w uszach echo słów Sabriny: „Zostawiając mnie samą z całym moim blaskiem”. Sabrina jej potrzebowała. Sabrina musiała za nią tęsknić. Może równie mocno, jak ona sama tęskniła za Sabriną i odczuwała jej brak, mimo że obecność Gartha i urządzenie domu w Evanston bardzo ją absorbowwały.

Goście zaczęli się gromadzić koło namiotu na trawniku. Sabrina westchnęła.

— Jeśli nie wrócę do nich, matka Dentona wyrazi obawę, że będą mnie krytykować. — Z jękiem włożyła pantofle.  
— Ślub powinno się zawierać w łóżku. Obecnie i tak większość z nich tam się zaczyna.

Garth roześmiał się. Stefania odwróciła się od okna.

— Sabrino, kiedy odwiedzisz nas z Dentonem? Mamy sobie tyle do powiedzenia, tyle do nadrobienia...

W duszy Sabriny coś drgnęło. Oczy Stefanii, czyste i błyszczące, patrzyły na nią bez zazdrości. Sabrina miała ochotę śpiewać. Tyle miłości do nadrobienia!

— Gdybym mogła, przyjechałabym choćby jutro. Zobaczę, co zaplanował Denton. Ma pełno projektów, chce pokazać mi wszystkie swoje ulubione miejsca. Ale gdy tylko będę mogła... — Wyciągnęła ręce. Stefania ujęła je i przez długą chwilę stały przytulone, tak jak w dawno minionych dniach, kiedy były dla siebie nawzajem całą swoją rodziną.

— Gdy tylko będę mogła — szepnęła Sabrina — zjawię się u was. Przyrzekam.

Denton Longworth pracował od czasu do czasu w rodzinnym przedsiębiorstwie przewozowym, w którym zajmował stanowisko wicedyrektora finansów, i zasiadał w radzie nadzorczej. Do pewnego stopnia spełnił oczekiwania swego ojca: zrobił dyplom uniwersytecki i zaraz potem zaczął pracować w firmie. Lecz nie miał zamiaru

spędzać swoich najlepszych lat za biurkiem. Czas na ustatkowanie się przyjdzie później, a teraz czekał na niego szeroki świat i mnóstwo rozrywek. Poświęcił więc jeden rok na pracę w biurze i wyszkolenie oddanego personelu, który mógł sprawnie prowadzić interesy pod jego nieobecność, a następnie ulotnił się, aby zażyć przyjemności na wielkim placu zabaw świata.

Pracował, gdy miał na to ochotę. Przed trzydziestką odkrył w sobie talent do reorganizacji małych, ledwo wiążących koniec z końcem firm, które jego ojciec nabywał po niskich cenach, a ponieważ sprawiało mu to przyjemność — miernik, którym kierował się we wszystkich swoich poczynaniach — poświęcał tej pracy kilka dni w miesiącu.

Teraz, mając skończone trzydzieści lat, przydzielił sobie miłszą funkcję, która polegała na wprowadzaniu w świat młodej żony. Skierował swą niespożytą energię na opracowanie wielkiego objazdu, którego trasa wiodła przez wszystkie jego ulubione miejsca. Już po upływie kilku miesięcy zblazowane międzynarodowe ekskluzywne towarzystwo w Biarritz i Cannes, w Wimbledonie i Buenos Aires, na Minorce i w Zermatt wyłaziło ze skóry, aby zabawić Sabrinę Longworth i pławić się w fascynującej kombinacji urody, wyrafinowanego smaku i szczerej, bezpośredniej natury. Bowiem nikt z tego środowiska nie pamiętał, kiedy ostatnio doświadczył prostych uczuć zachwyty i wdzięczności. Gdziekolwiek się udali, czekały na nich zaproszenia, przesyłane za pośrednictwem londyńskiej sekretarki. Denton przeglądał je niedbale, upuszczając niektóre na podłogę, i podawał resztę Sabrinie.

— Wybierz te, które ci odpowiadają, złotko. A pozostałe wyrzuć. — Mimo tych pobłażliwych słów bacznie obserwował jej wybory: „Chyba nie masz zamiaru wyrzucić zaproszenia Cory? Wspaniała gospodyni, nikt nie opuszcza jej przyjęć. I dlaczego pominęłaś...?”

W niespełna rok po ślubie dotarli w maju do Monaco. Sabrina już tylko rzucała okiem na zaproszenia i oddawała je Dentonowi.

— Ty zdecyduj. Ja wciąż jeszcze wszystkich nie znam. Rozłożył zaproszenia na stoliku do kawy w ich apartamencie jak

karty do pokera. Miały im wypełnić popołudnia i wieczory wolne od gry w kasynie i wyścigów Grand Prix.

— Dobra robota — pochwalił sam siebie, gdy udało mu się wszystkie pomieścić. — Zostanie nam nawet trochę czasu dla Maxa.

— Kogo?

— Maxa Stuyvesanta. Zdziwiająca, że jeszcze go nie spotkałaś: zawsze wszędzie go pełno. Miły facet, cokolwiek zagadkowy. Spodoba

ci się. Zaprasza nas na czterodniowy rejs swoim jachtem, zaraz po wyścigach. Dobry pomysł: to będzie dla ciebie całkiem nowe przeżycie.

— Na czym polega jego zagadkowość?

— Nikt nie wie, jak robi pieniądze.

Nikt nie wiedział, ale to nie znaczyło, że nikt nie próbował się tego dowiedzieć: wręcz przeciwnie. Lecz nikt nie posunął się w swych dociekaniach poza odpowiedź samego Maxima Stuyvesanta, który twierdził że „zajmuje się sztuką”, co mogło oznaczać wszystko. Niektórzy snuli domysły, że jest właścicielem galerii w Europie i Ameryce Południowej; inni, że pracuje jako agent bogatych klientów. Krążyły plotki, że pomagał młodym artystom, wynajmując ludzi, którzy na aukcjach podbijali ceny ich obrazów, aby zwiększyć zainteresowanie nimi, potem zaś, gdy kolekcjonerzy płacili wygórowaną cenę, zgarniał do kieszeni większą część pieniędzy. Cynicy utrzymywali, że jest rabusiem egipskich grobowców.

Jakiegokolwiek były źródła jego fortuny, wydawał ją hojną ręką. Zabierał gości na pokład swego prywatnego samolotu, aby mogli obserwować pokazy sztucznych ogni wysoko nad Monte Carlo, zapraszał trzydziestu przyjaciół na tygodniowe afrykańskie safari, woził dwuosobową grupę pociągiem na drugi koniec Europy, na festiwal tańców krajów Jugosławii. Sabrina już pierwszego dnia go nie cierpiała. Górował nad nią jak olbrzym, ze swymi szerokimi ramionami, aureolą kędzierzawych rudych włosów i płaskimi, szarymi oczami, które strzegły jego sekretów. Denton był zaskoczony.

— Jakim cudem możesz go nie lubić? Nawet z nim nie rozmawiałaś: wystarczy zresztą, że powiesz mu „cześć”, a poczujesz się na jego łodzi jak w domu.

— To arogancki brutal i założę się, że nie ma zielonego pojęcia o sztuce.

— Skąd, u licha, możesz...

— Poza tym żal mi jego żony. Zachowuje się jak szczeniak, który ciągle czeka, żeby go pan pogłaskał.

Denton zamilkł. Sabrina włożyła wieczorową suknię z niebiesko-czarnego jedwabiu, delikatnego jak skrzydło ćmy, która miękko układała się na jej ciele, odsłaniając ramiona i plecy.

— Lepiej zacznij się ubierać, kochanie. Koktajle podają o ósmej i jeśli nie zjawimy się punktualnie, będzie się na nas potem gapił tymi okropnymi oczami, aż skamieniejemy. To jest sztuka, jaką uprawia! Rzuca na ludzi zły urok, a potem sprzedaje na pamiątkę ich posągi pogrążonym w żalu rodzinom.

— Sabrino! Max jest naszym gospodarzem!



— Przepraszam, Dentonie, przykro mi, że się tak zachowałam.

— Spodziewam się. Gdzie są moje spinki?

W ich kabinie stało wielkie łóżce, nad którym wisiał francuski gobelin. Podłogę zaścierał gruby dywan, meble koloru jasnego popiołu miały uchwyty z hebanu. Łazienka była błękitnosrebrna. **Lafitte** miał kadłub długości stu czterech stóp, a mieściło się w nim sześć takich kabin i pomieszczenia dla załogi. Pokłady były wyłożone drzewem tekowym, w salonie pod żyrandolem z wisiorami w kształcie łez mogło się swobodnie pomieścić trzydzieści osób. Jacht sływał z dobrej kuchni i wyśmienitych win. Sabrina nauczyła się już nie pytać o ceny, lecz Denton, który zamierzał kupić podobny jacht, stwierdził, że jego wartość, łącznie z urządzeniem, sięga dwóch milionów dolarów.

Na **Lafitte** przebywało pięć zaproszonych par. Betsy Stuyvesant, trzecia żona Maxima, o blond lokach spływających smętnie koło uszu, drobna i cała miękka w kaszmirze i jedwabiu, powiedziała im przy koktajlach, że nie wolno jej wtrącać się do kierowania statkiem. Jeśli będą czegoś potrzebować, Kirst, starszy steward, jest na ich usługi. Maxim poczynił wszystkie przygotowania do wycieczek na ląd. Po tych słowach zamilkła i nie odezwała się więcej tego wieczoru.

Na obiad podano zupę rybną z szafranem i skórka pomarańczową, a po niej młode ośmiornice w sosie z szampana. Do tego pili schłodzone białe wino palette ze wzgórz w okolicach Marsylii. Max wzniósł toast:

— Za udany rejs!

Uśmiechnął się leniwie do swej towarzyszki przy stole, giętkiej blondynki, którą przedstawił jako księżnę Aleksandrę, z kraju, o którym nikt nigdy nie słyszał. Jej mąż, siedzący naprzeciw nich książę Martov, nie podnosił wzroku znad swego talerza.

Siedząca przy księciu opalona kobieta o sennych oczach spytała:

— A dokąd jutro popłyniemy?

— Na wschód — odparł Max, wciąż patrząc na Aleksandrę. — Wzdłuż włoskiej Riwieri di Potente do Alassio, Genui i z powrotem. Cztery dni. Wieczność. — Aleksandra uśmiechnęła się.

Sabrina zerknęła na Dentona i zobaczyła, że uśmiecha się leniwie do Betsy Stuyvesant, jakby chciał naśladować Maxa.

Rano znaleźli w małej jadalni owoce, rogaliki i kawę. Max był mistrzem ceremonii.

— Opalanie na rufie dla tych, którzy mają ochotę. Jazda na nartach wodnych o czwartej. Gry i środki pobudzające w salonie o każdej porze. Filmy w małej salce kinowej. Lunch będzie o pierwszej. Bawcie się dobrze, *mes amis*.

Denton przeciągnął się.

— Myślę, że najpierw udamy się do salonu. Potem opalanie. Zgoda, złotko?

W salonie pięć osób przebierało między kokainą, haszyszem i różnokolorowymi pigułkami w narożnej szafce.

— Max jest cudownym gospodarzem — powiedziała kobieta o sennych oczach i spytała Sabrinę: — Co dla ciebie?

Denton wkroczył między nie.

— To miło z twojej strony, ale sam zajmę się swoją żoną. — Nasypał do pustej fiolki niewielką ilość białego proszku i schował ją do kieszeni. Sabrina próbowała dopasować obecnego Dentona do człowieka, z którym mieszkała w Londynie. Tamten prawie nie pił, nigdy nie palił ani nie zażywał narkotyków, nigdy nie patrzył na kobiety w taki sposób, jak wczoraj wieczorem na Betsy Stuyvesant. W podróży od czasu do czasu dostrzegała w nim przebłyski tego drugiego Dentona, który teraz całkowicie się ujawnił. Zamyślona wyszła za nim z salonu na pokład, do leżaków, na których opalano się za dnia, a pito i pałaszowano zakąski w nocy. Zastali tam Aleksandrę z mężem i dwiema innymi parami. Wszyscy wystawiali swoje pięknie opalone nagie ciała na lejący się z góry blask śródziemnomorskiego słońca.

Denton ledwo na nich spojrział.

— Chodź, złotko — powiedział, zrzucając szlafrok. Sabrina czuła, że opierając się zachowa się głupio i niezręcznie. Istniał tylko jeden Denton, jej mąż, i pokazywał jej teraz, jakiego zachowania oczekuje po swojej żonie. „To będzie dla ciebie zupełnie nowe przeżycie” — powiedział o zaproszeniu Maxa. Od kiedy to oblatywał ją strach przed nowymi przeżyciami? Spojrzała na rozłożone na pokładzie wspaniałe kobiece ciała, błyszczące od olejku. Nie musiała się wstydzić porównania z nimi. Odrzuciła szlafrok i położyła się obok Dentona, pozwalając, aby nasmarował jej olejkiem plecy.

Gdy jednak wziął szczyptę białego proszku na koniec palca i podsunął jej pod nos, potrzęsnęła przecząco głową. Nie wszystko naraz, pomyślała. Nie nalegał. Wciągnął nosem proszek w każdą dziurkę z osobna. Reszta robiła to samo lub paliła haszysz. Słońce prażyło cichy pokład i Sabrina pławiła się w jego blasku, dopóki nie przesłonił go jakiś cień. Otworzyła oczy i zobaczyła stojącego nad nią Maxa. Jej mięśnie instynktownie się napięły, lecz on patrzył poza nią, na Aleksandrę. Aleksandra podniosła się jednym płynnym, wdzięcznym ruchem i podążyła z nim w stronę kabin.

Betsy zajęła jej miejsce, jakby tylko na to czekała. Denton patrzył,

jak się wyciąga i wklepuje olejek w białą skórę. Głaskała pieśczośliwie piersi, nucać coś do siebie, a potem położyła się i niebawem zapadła w sen, z rękami splecionymi jakby w modlitwie. Denton odwrócił się i napotkał wzrok Sabriny.

— Miałaś rację — powiedział, uśmiechając się pobłaźliwie. — Ona naprawdę jest jak kociak. Taka przymilna. Ale mniejsza z tym.

Sabrina powiedziała wprawdzie, że Betsy przypomina szczeniaka, lecz puściła mimo uszu pomyłkę męża.

W czasie lunchu w porcie Alassio Aleksandra manewrowała, aby usiąść obok niej.

— Skarbie — wymruczała. — Odpręż się. Niepotrzebnie się denerwujesz. Oni ustalają reguły, a my ich przestrzegamy. Wszystko stanie się łatwiejsze, gdy się z tym pogodzisz. — Sabrina bawiła się widelcem, pochylając ku niej głowę. — Jak widzisz, że twój Denton myśli o rozłożeniu nóg małej Betsy albo że to robi, zamykasz po prostu oczy, wyciągasz się na słońcu, uczysz się wachać kokę albo idziesz sobie w kącie z dobrą książką.

— Skąd wiesz...?

— Słuchaj, to następna rzecz, której musisz się nauczyć. Na tej małej łupinie nic nie jest tajemnicą. Możesz robić, co ci się żywnie podoba, bez ograniczeń, ale Max będzie wiedział o tym natychmiast.

Sabrina owinęła płat różowej, pikantnej szynki wokół trójkątnego kawałka bladzielonego słodkiego melona.

— Naprawdę jesteś księżną? Aleksandra roześmiała się z całego serca.

— To następna lekcja, skarbie. Tu każdy jest tylko w części prawdziwy. Pamiętaj o tym, jak przyłapiesz swojego męża na gapieniu się na kogoś innego.

Po południu, gdy *Lafitte* sunął na wschód, pływali na nartach wodnych, holowani przez motorówkę o potężnym silniku, którą umieszczono na jachcie w miejsce jednej z łodzi ratunkowych. Sabrina i Aleksandra ślizgały się obok siebie, rozbijając wodę w tuman niebieskiej i złotej mgły. Sabrina czuła się młoda, silna i piękna. Nie ma nic, czego nie mogłabym zrobić, pomyślała.

— Jeździsz na nartach jak wszyscy diabli — stwierdziła Aleksandra, gdy piły wino, znów na pokładzie, owinięte w prześcieradła kąpielowe. — Gdzie się tego nauczyłaś?

— W szkole w Szwajcarii.

— Szkole z internatem?

— Tak.

— Życie wybrańców. Ja chodziłam do szkoły średniej w Los

Angeles. — Roześmiała się na widok zdumienia Sabriny. — Moja matka grała ogony w filmach, ale nauczyła mnie, jak się obracać w świetle. Zrobiła ze mnie lepszą aktorkę od siebie. Skoro o tym mówimy... Wygląda na to, że zaczęłaś robić dobrą minę do złej gry. Czy to udawanie?

— Nie wiem. Właśnie doszłam do wniosku, tam na wodzie, że nie ma nic, czego nie mogłabym zrobić. Nawet żyć tak, jak wy wszyscy.

— Skarbie, powiedziałaś to tak, jakbyś miała połknąć arszenik. Jeśli sądzisz, że nasze towarzystwo to trucizna, to co tutaj robisz?

Sabrina zadygotała od podmuchu wiatru i ciaśniej owinęła się prześcieradłem.

— Nie miałam na myśli ciebie. Lubię cię. Ale nie lubię patrzeć, jak Denton... że tego się po mnie oczekuje... Do diabła, to brzmi głupio, prawda?

— Po prostu jesteś nie przygotowana. Czy on cię o tym nie uprzedził? Każdy wie, jak wyglądają rejsy Maxa.

— Ja nie. Denton nigdy nic mi nie mówił.

— A w Londynie zachowuje się inaczej? Grzeje się przy kominku i zawsze kładzie się spać o dziesiątej?

Sabrina zawahała się, obserwując wyłaniające się przed nimi włoskie wybrzeże.

— Nie. Ale gdy wychodzimy gdzieś oddzielnie, zawsze wiem, gdzie jest.

— Czyżby?

Sabrina zignorowała jej niedowierzanie.

— Problem polega na tym, że Dentona w gruncie rzeczy nie obchodzi to, czy ja coś lubię, czy nie.

— To nie obchodzi żadnego z nich, skarbie. To podstawowa zasada.

— W takim razie nie wiem, czy mam jakiś wybór. Aleksandra skinęła głową.

— Zaczynasz łapać. Dopóki chcesz tego, co oni ci mogą zapewnić, nie masz wyboru ani na paznokiec. Teraz idź i zrób się na bóstwo. Dziś jemy obiad w Genui. Fantastyczne żarcie.

Max zaaranżował wieczór stanowiący istną reklamę życia, które zapewniali tacy jak on i Denton; zupełnie jakby słyszał ich rozmowę. Limuzyny uniosły ich szybko autostradą daleko za Genuę do restauracji, z której roztaczał się wspaniały widok na wybrzeże. Po wyśmienitym obiedzie, serwowanym przez szefa kuchni i *maître d'hôtel*, przy wtórce małej orkiestry w tle, pojechali na przyjęcie do pewnego domu prywatnego, nowoczesnej konstrukcji z drewna i szkła, wy-

chodzącej częścią w morze. Popijali tam rubinowoczerwone wino i uprawiali hazard aż do trzeciej nad ranem. Potem wrócili na jacht. Gdy Sabrina kierowała się do swojej kabiny, Max ujął ją za rękę.

— Czynisz nam zaszczyt, będąc naszym gościem. Spędzimy razem wiele rejsów. Przyjemnych snów, moja droga. Denton leżał już w łóżku, kipiąc podnieceniem i radością z jej sukcesu.

— Byłaś fantastyczna, wszyscy się w tobie formalnie zakochali. W dodatku wygrałem w *trente-et-quarante*: dawno mi się to nie przydarzyło. Chodź do łóżka, złotko. Czekam.

Przyciągnął ją do siebie, pospiesznie głaszcząc jej ciało, niecierpliwym i podnieconym wygraną i olśniewającym sukcesem żony.

— Będą o nas mówić miesiącami — wymruczał z satysfakcją, kładąc się na niej. Rozsunął jej uda i zagłębił się w nią. — Mmmmm, jak miło i ciasno — mruknął z taką samą satysfakcją i zamknął oczy.

Sabrina leżała pod nim, poruszając się tak, jak lubił. Spieszyło mu się, więc wiedziała, że tym razem będzie tak jak zwykle: częściowo rozbudzona, odczuje na koniec częściowe zadowolenie. Próbowwała z nim kiedyś zacząć rozmowę o ich sposobie uprawiania seksu, lecz miał przed nią tyle kobiet, które okazywały mu wdzięczność, że uważał, iż jego technika może być tylko przedmiotem zachwytu, nie dyskusji. Sabrina rozważała, czy nie powiedzieć mu, że wdzięczność ta wynikała zapewne z tak bliskiego obcowania z jego tytułem, ściśle biorąc, leżenia pod przyszłym wicehrabią Treveston, lecz milczała. On naprawdę wierzył, że pragnie uczynić ją szczęśliwą.

— Seks nigdy nie sprawia mi radości, jeśli kobieta również nie jest zadowolona — powiedział jej, gdy po raz pierwszy znaleźli się razem w łóżku. I naprawdę w to wierzył. Podobnie jak w to, że nigdy nie cieszą go przyjęcia ani polowania zaplanowane przez niego na własny użytek, jeśli jego kompani i przeciwnicy nie bawią się dobrze.

Ponieważ zaś był hojny, gdy postawił na swoim, a skrycie okrutny po doznanym rozczarowaniu, niemal wszyscy okłamywali go i zapewniali w jego obecności, że są szczęśliwi. Każdy w jakimś stopniu udaje przed Dentonem, pomyślała Sabrina, gdy z premedytacją przyspieszyła oddech, na chwilę wyprężyła się, a potem opadła bezwładnie.

— Moja świetna dziewczynka — powiedział Denton; jego miłość własna nie doznała szwanku. A potem wszedł w nią głęboko i mocno, aby osiągnąć ostatecznie zadowolenie w tym dniu.

Gdy Denton spał, wyszła na pokład, aby przewietrzyć swe myśli w chłodnym powietrzu. Było wpół do piątej. Jacht zwolnił i kołysząc się lekko szedł kursem na zachód: wracali do Monte Carlo. Sabrina

usłyszała stłumiony odgłos silnika łodzi, pracującego na niskich obrotach, i w świetle padającym z jachtu zobaczyła motorówkę Maxa, którą prowadził jego sekretarz, Ivan Lazło. Patrzyła pod osłoną ciemności, jak przy pomocy jednego z członków załogi wciągnął motorówkę na jacht, po czym obaj zeszli po przedniej zejściówce do pomieszczeń załogi. Dziwne, pomyślała, jesteśmy tak daleko od brzegu. Dokąd on mógł popłynąć? Przez chwilę bawiła się przypuszczeniami, a potem wzruszyła ramionami. Ivan Lazło nic jej nie obchodził. Nic, co dotyczyło Maxa, nie obchodziło jej w najmniejszym stopniu: chciała tylko, aby rejs wreszcie dobiegł końca. Jeszcze dwa dni. Wystawiała się na podmuchy chłodnej bryzy, dopóki nie ogarnęła jej senność. Wtedy wróciła do kabiny.

Następnego dnia spali do późna i zjedli śniadanie w łóżku. Denton pocałował Sabrinę, a ona uśmiechnęła się do niego, taki był miły i ciepły. Odwzajemnił uśmiech.

— Złotko, mam zamiar spędzić dzisiejszy dzień z Betsy. Ty możesz robić, na co masz ochotę, ale powinnaś poświęcić trochę czasu Aldo Deronie. To miły facet i jest tobą zainteresowany...

Poderwała się z łóżka i odsunęła od niego.

— Nie jestem do wypożyczania.

— No, złotko, nie bądź taka ostra. Nie masz się czemu dziwić: wiedziałaś, co się tu dzieje. Czekałem na reakcję, ale nie powiedziałaś słowa, dostroiłaś się wspaniale. Jestem z ciebie dumny. Doprawdy nie sędzę, żebym zasługiwał na przykre słowa.

Była oszołomiona, bezradna, jakby oboje mówili różnymi językami. Spojrzała na Dentona i wydało jej się, że gwałtownie się od niej oddala, maleje i staje się małą figurką hen, na horyzoncie.

— Sabrino? — powiedział Denton niepewnie. W jego czach pojawił się niepokój. Żona patrzyła na niego w lodowatej ciszy. Wyciągnął ręce.

— Złotko, zbytnio się przejmujesz. Jakbyś myślała, że cię nie kocham. Oczywiście, że cię kocham, zawsze cię kocham. — Odczekał chwilę. — To wszystko nic nie znaczy, zrozum: jest nieważne. To pewnego rodzaju gra, coś, co robimy, bo... cholera, no, bo to coś innego! Ale naprawdę tak nie jest, wiesz... Nie myśl tylko, że to takie inne czy nadzwyczajne, nie, w gruncie rzeczy to się nie różni od bridża, jazdy na nartach wodnych czy innych rozrywek, w których tu wspólnie z przyjaciółmi bierzemy udział. Och, Bogu dzięki — dodał, bo w tym miejscu zaczęła się śmiać, potrząsając głową i nazywając go głupcem. Lecz przynajmniej przerwała to lodowate milczenie.

— Jazda na nartach wodnych — powtórzyła. — Przyjacielskie rozrywki.

Powtarzała te słowa, przyłożywszy ręce do czoła. A ponieważ Denton był taki, jaki był, nie usłyszał ani nie zrozumiał rozpaczy, jaka brzmiała w jej śmiechu.

Do końca rejsu Sabrina unikała męża. Nigdy się nie dowiedziała, czy przespał się z Betsy, czy nie. W czasie posiłków panował spokój, a ostatniego wieczoru Max wznosił toast za pierwszą rocznicę ślubu Sabriny i Dentona, którą mieli obchodzić w Ameryce u siostry Sabriny. Denton pochylił się i pocałował swoją oblubienicę, a Sabrina pomyślała, że wreszcie zostaną sami, będą mogli porozmawiać i wszystko naprawić. Przytrzymała ręką jego głowę, żeby przedłużyć pocałunek i żeby stłumić czające się w głębi duszy przekonanie, że mimo wszystko wciąż grają według reguł Dentona.

## Rozdział szósty

Stefania podała Dentonowi długi widelec o dwóch zębach i poprosiła, żeby sprawdził mięso. Ścisnął go za rączkę, jakby to był kij golfowy, i przesłał Sabrinie, która stała w kącie podwórza, błagalne spojrzenie nad głowami innych gości. Lecz Sabrina rozmawiała z jakimś profesorem, nie zwracając uwagi na Dentona i dwa kawały steku, które piekły się na grillu sycząc na niego pogardliwie. Jak się sprawdza mięso? Ukłuł raz na próbę oba kawałki, potem nabrawszy odwagi dźgnął je trochę mocniej, aż w końcu przebił cały widelec aż po rączkę na wylot przez mięso.

— *Voilà!* — zakrzyknęła Stefania przy jego boku. — Znałam kiedyś szermierzy, którzy używali podobnego sztychu.

— Czy zupełnie je zrujnowałem? Skoczę po więcej do sklepu, jeśli... Stefania zaśmiała się.

— Nic nie zrujnowałeś! I nie ma potrzeby uciekać: nie zaprzęgnę cię znowu do pracy.

— Po prostu nie jestem w tym zbyt dobry, jak widać.

— Brak wprawy. Sama się tym zajmę, Dentonie.

— Cóż, jeśli tak, poszukam swojej żony. — Odmaszerował. Sabrina na jego widok pomyślała, że wygląda jak turysta, któremu

pilnie jest potrzebna toaleta i szuka kogoś, kto mówi jego językiem, żeby zapytać o drogę. Stefania również na niego patrzyła; spojrzała w kierunku Sabriny i obie się uśmiechnęły.

— Różnice można podzielić na kulturalne, percepcyjne i sytuacyjne — mówił profesor Martin Talvia, cedząc słowa przez swoją fajkę. — Jeśli porównamy wasze poszczególne rysy, ty i Stefania jesteście identyczne. Zaś jako odrębne istoty ludzkie, będące odbiciem określonych środowisk, jesteście zupełnie różne, a fakt, że jesteście bliźniaczkami, raczej drażni, niż szokuje.



Sabrina z powagą przytaknęła.

— Można powiedzieć, że wyglądamy inaczej, bo inaczej żyjemy.

Pochylił się i zgiął do przodu jak dźwieg, zaglądając w jej ciemnoniebieskie oczy, w których błyszczała uczciwość albo lekka drwina. Było jasne, że się z niego nabija, ale cóż to za zachwycające stworzenie!

— Można tak to ująć. Lecz gdyby była pani wykładowcą socjologii, wstydziłaby się pani tak prostych sformułowań.

Śmiała się, gdy nadszedł Denton. Objął ją za ramiona i uścisnął.

— Z czego się śmiesz, złotko?

Sabrina zeszywniała. Wokół było pełno ludzi, z którymi Denton mógł zacząć rozmowę; dlaczego łązi za nią i chwyta ją jak w kleszcze za każdym razem, gdy ona się dobrze bawi? Bo nie jest tu szczęśliwy, pomyślała, gdy Martin zadał jakieś pytanie na temat Anglii, a Denton odpowiedział z jowialnym wdziękiem, który oznaczał, że się rozpaczliwie nudzi. Jest tu obcy, a ogródkowe przyjęcia nie są w jego stylu. Przecież ona sama też jest tu obca, przypomniało się jej. Od drugiego roku życia mieszkała w Europie i widziała przyjaciół Stefanii i Gartha tylko przelotnie, po narodzinach ich dzieci. Więc dlaczego ona dobrze się bawi?

Ponieważ uwielbia spotykać nowych ludzi, a Denton zawsze się nudzi z dala od swojej paczki.

— Ciociu Sabrino! — Spojrzała w dół na małą, roztropną buzię czteroletniego Clifforda Andersena. — Mam powiedzieć wszystkim, że obiad jest gotowy.

Sabrina schyliła się.

— Ważne zadanie. Skinął poważnie głową.

— Tak powiedziała mama. Ale kazała mi się spieszyć, a jest za dużo ludzi. Mogłabyś mnie podnieść, tak żebym był wysoki, to wtedy wszyscy usłyszą mnie za jednym razem.

Sabrina roześmiała się i podniosła go w ramionach.

— Praktyczny jak ojciec. Gotów?

Zaczerpnął głęboko powietrza i krzyknął piskliwym głosem:

— Obiad jest podany! Na patio!

Na przeraźliwy krzyk syna Garth podniósł wzrok i zobaczył jasną, roześmianą twarz Sabriny przy małej buzi Cliffa, który był czerwony z wysiłku i poczucia własnej ważności. Tak zapamiętał Stefanię z Cliffem zaraz po jego narodzinach.

— Ciociu Sabrino, dlaczego nie pozwoliłaś tego powiedzieć mnie? — dobiegł płaczliwy okrzyk z podwórka i Penny Andersen rzuciła się z rozpaczą zawiedzionej trzylatki na ziemię u stóp Sabriny.

— Czy ktoś nie może uspokoić tych dzieci? — spytał Denton. Sabrina rzuciła mu szybkie spojrzenie i uklękła obejmując ramionami Cliffa i jego siostrę.

— A może zapowiesz deser, co ty na to? — spytała. Na twarzyczkę Penny przez boleść przedarł się uśmiech i dziewczynka z zapałem pokiwała głową. — Umieram z głodu. Kto usiądzie przy mnie?

— Ja! — wykrzyknęli oboje i zaciągnęli ją na patio.

Goście rozsiedli się małymi grupkami na aluminiowych krzeselkach z wyplatanyimi siedzeniami, które ustawiono na patio i na trawniku, i pałaszowali marynowany stek, sałatkę ziemniaczaną i grube kromki francuskiej bułki, popijając to przyniesionym przez siebie winem. Rozmawiali o nadchodzących wyborach przywódców partyjnych, w wyniku których zapewne zostaną mianowani Richard Nixon i Hubert Humphrey, o szkołach, do których chodziły ich dzieci, o trawie, cenach jedzenia i o uniwersytecie, gdzie większość z nich wykładała.

Zapadał już zmrok. Garth zapalił lampy naftowe. Dolores Goldner nachyliła się do Dentona.

— Stefania dużo nam opowiadała o was obojgu, lecz nigdy o takich drobiazgach, jak co jadacie w domu albo gdzie robicie zakupy. Mało w gruncie rzeczy wiemy o rodzinie królewskiej.

— O arystokracji — skorygował Denton sztywno.

— Och, oczywiście. Obawiam się, że w Ameryce nie traktuje się podziału klas tak serio jak u was.

— Dentonie — wtrąciła pospiesznie Stefania. — Opowiedz nam o Treveston, historii twojej rodziny i zamku.

— Ciocia Sabrina przysłała mi jego zdjęcie — oznajmiła Penny.

— Mnie też, zaraz je przyniosę — wykrzyknął Cliff i jednym skokiem zerwał się z miejsca, strącając z kolan swój talerz i rozrzucając jedzenie na prawo i lewo.

— Cliff! — zawołała Stefania, lecz dzieciak nurknął już w drzwi do domu.

— To niesprawiedliwe! — krzyknęła Penny. — Ja to pierwsza powiedziałam! — Wygramoliła się z krzeselka i potknąwszy się o stopę Sabriny pobięła za bratem.

— Penny! — głos Stefanii stał się ostry, zacisnęła ręce. Sabrina wstała.

— Czy mam je uspokoić?

— Wszystko w porządku — rzekła Stefania. — Powiedziałam im, że mogą zostać na dole do końca kolacji. Jeśli o nich chodzi, kolacja już się skończyła. Bawcie się dalej beze mnie, pogonię ich, żeby się zbyt długo nie guzdrali przed pójściem do łóżek.

Drżała ze zdenerwowania. Sabrina patrzyła za nią, gdy wchodziła do domu. Przeprosiła towarzystwo i ruszyła za siostrą do kuchennych drzwi.

Czekając na powrót Stefanii, która była już na górze, usiadła na chwilę w kuchni. Było to cudowne staroświeckie pomieszczenie z wysokim sufitem, szafkami i blatami kuchennymi z klonowego drzewa. Stała tu zniszczona sofa, nad którą wisiała lampa, i niski stolik do kawy, miejsce częstych zabaw dzieci. Duża spiżarnia sąsiadowała z pokojem śniadaniowym, gdzie stał okrągły stół i krzesła z klonowego drzewa oraz narożny kredens z tego samego budulca, w którym widać było naczynia. Gdy Stefania kupiła te meble, były to stare i porysowane graty, lecz teraz ich gładka powierzchnia lśniła miodowym połyskiem.

— Na twoim miejscu zawsze siedziałabym w tym pokoju — powiedziała Sabrina, gdy po raz pierwszy go zobaczyła.

— Mnie to się rzadko zdarza — odrzekła Stefania. — Tylko w tych nielicznych chwilach, gdy mam trochę czasu.

Sabrina stała właśnie przy okrągłym stole, gdy Stefania zeszła na dół. Patrzyła, jak przystaje w kuchni, żeby schować coś do lodówki i tak jak tydzień temu, w chwili swego przyjazdu, pomyślała zaskoczona, że siostra sprawia wrażenie zaniedbanej. Wyraźnie przytyła i była przygaszona. Jej uroda zszarzała i wyblakła. Sabrina, smukła i rzucająca się w oczy w czerwonej szerokiej włoskiej spódnicy i białej bluzce z miękkiego materiału z długimi marszczonymi rękawami, wiedziała, że znów przyćmiewa swoją siostrę, lecz wyglądało na to, że Stefania nie zdaje sobie z tego sprawy. Lub też nie przywiązuje do tego wagi. Co liczyło się najbardziej dla Stefanii w jej własnym domu, wśród rodziny i przyjaciół?

— Możemy usiąść na chwilę? — poprosiła Sabrina. — Nie zależy mi na tym, żeby po raz kolejny wysłuchiwać historii rodu Treveston. Mogę ci ją opowiedzieć, jeśli chcesz.

Stefania usiadła z lekkim uśmiechem.

— Usłyszałam ją od matki Dentona na waszym ślubie. Pomyślałam, że Denton zapewne ucieszy się, gdy dam mu okazję...

— Żeby mógł skupić na sobie całą uwagę.

— Wygląda na to, że to lubi.

— A jakże. — Obie się uśmiechnęły. Sabrina wyciągnęła rękę i Stefania uściśniła ją. — Przykro mi, że trzeba było całego roku, abyśmy tu przyjechali. Miałam okropne trudności, żeby skłonić Dentona do porzucenia międzynarodowego wesołego miasteczka i zaszycia się na tydzień na cichym amerykańskim przedmieściu.

— A gdy się już tu znalazł, jest znudzony.

— Nie przejmuj się tym, Stefano. To nie wasza wina.

— Garth pokazał mu laboratorium, ale...

— Nie, nauka nie leży w kręgu zainteresowań Dentona. Gustuję w innych eksperymentach. — Stefania spojrzała, zdumiona tonem goryczy w głosie siostry, lecz Sabrina ciągnęła dalej. — W każdym razie rozłąka z tobą nie jest już tak ciężka do zniesienia jak niegdyś. Czy masz to samo uczucie? Wystarczy świadomość, że w każdej chwili możemy do siebie napisać lub zadzwonić i że znów się rozumiemy po tych wszystkich latach, gdy to wydawało się niemożliwe... — Lekko zadrżała. — Opowiedz mi o sobie. Czy jest coś, czego nie wiem?

O tobie i Garcie? O dzieciach?

— Nic istotnego. Mam to, czego zawsze pragnęłam, dom i rodzinę. Stabilizację. Gdzie te czasy, gdy jedna zmiana goniła drugą, zanim człowiek zdążył mrugnąć? — Roześmiała się miękko, wracając myślą do dzieciństwa. — Ale czy u ciebie wszystko w porządku? Przez cały ten tydzień mam uczucie, że coś nie gra.

— Och, mieliśmy nieporozumienie w czasie tego rejsu jachtem

I jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. Denton zapełnia nasz czas po brzegi różnymi rozrywkami, nie mamy nawet kiedy porozmawiać. Dam sobie z tym radę. Widziałam, że zachowanie dzieci przed chwilą porządnie cię zirytowało.

— Czy wyszłam na wiedźmę? Chciałabym mniej brać sobie do serca ich wybryki, ale Garth dzień i noc tkwi w laboratorium, jestem z nimi ciągle sama, tak że moja cierpliwość się wyczerpuje. Nie chciałam, żeby popsuły przyjęcie na twoją cześć.

— Skądże znowu? Świetnie się bawię. Robiłam sobie żarty z Martina i jego okropnego akademickiego żargonu.

— Oni są okropni, prawda?

— Tak, ale zabawni. Podobają mi się twoi przyjaciele.

— Oddałabym ich chętnie w zamian za twój zamek i ten jacht, na którym pływaliście.

— Stefano, nie mówisz tego poważnie.

— Nie, oczywiście, że nie. Nie wiedziałabym, co począć; twoje życie wydaje mi się tak nierzeczywiste! Poza tym mam wszystko, czego pragnę. Z wyjątkiem pieniędzy. Czasami męczy mnie to wiązanie końca z końcem. Nie — dodała szybko widząc wyraz twarzy Sabriny. — Nic nam nie możesz pomóc: Garth czułby się urażony. Zresztą prawdziwy kłopot polega na tym, że nigdy nie ma go w domu, nie mam w nim oparcia. Ale to niesprawiedliwe. Przecież on ciężko pracuje i właściwie wszystko idzie jak trzeba. Nie wiem, co za diabeł dziś we mnie wstąpił.

Moja czerwona spódnica, pomyślała Sabrina, rejsy jachtem, o których nie masz pojęcia, moje listy z ostatniego roku, wysłane z czternastu krajów, numer *Miasta i Wsi* na twoim stoliku nocnym, a w nim artykuł, który podaje, że Denton wydaje po sto tysięcy dolarów rocznie na ubrania dla nas obojga i że urządzenie naszego domu w Londynie kosztowało pół miliona dolarów.

Nie wypowiedziała jednak żadnej z tych myśli. Zamiast tego rzekła lekkim tonem:

— Widać daje ci się we znaki brzemię goszczenia Dentona w swym domu. On nie jest w stanie pamiętać, że nie ma tu służby na każde skinienie. Ma ją zakodowaną w genach: myślę, że Garth powinien go uwzględnić w swoich badaniach. Dziś rano, kiedy zmusiłam go, żeby powiesił ręcznik, nazwał mnie rewolucjonistką dążącą do obalenia klas uprzywilejowanych.

Stefania uśmiechnęła się.

— Na ogół jest czarujący. I musi się o ciebie troszczyć: wyglądasz znakomicie.

— To zasługa słońca nad Morzem Śródziemnym. Tobie też by się przydało.

— Wiem. I powinnam zrzucić trochę wagi. Może latem. Czy naprawdę tylko dzięki słońcu wyglądasz na kobietę piękną, olśniewającą i szczęśliwą?

Sabrina spojrzała w zamyśleniu na ich ręce złączone w uścisku.

— Czy wiesz, że w ciągu ostatniego roku poznałam około dziewięciu tysięcy osób, a z ani jedną z nich naprawdę nie rozmawiałam? — Oprócz, o dziwo, Aleksandry, pomyślała, lecz nawet Stefanii nie mogła opowiedzieć o Aleksandrze ani o rejsie. Na samą myśl o nim czuła wstyd, tak jakby to ona ponosiła odpowiedzialność za zabawy, jakim oddawało się tamtejsze towarzystwo. — Nie jestem przyzwyczajona do rozmów na temat własnego szczęścia.

— Ale ty wcale nie rozmawiasz na ten temat. Po prostu go unikasz.

— Wiem — westchnęła. — Czy pamiętasz, jak kiedyś powiedziałam ci, że przy Dentonie nie mogę odróżnić miłości od podniecenia? Wciąż czuję to samo. I trudno mi o tym mówić. — Bo ty kochasz swojego męża, dodała w duchu, i masz miejsce w świecie, do którego przynależysz. Nie mogę się zdradzić z zazdrością, jaką wobec ciebie czuję. Jestem mężatką dopiero od roku. Muszę bardziej się starać ułożyć nasze życie. Może następny rok będzie inny. — Lecz gdy czuję potrzebę zwierzeń, nie ma lepszej rzeczy na świecie, niż wiedzieć, że ty możesz mnie wysłuchać.

Oczy Stefanii błyszczały.

— To prawda. — Wstała i zerknęła na swoje odbicie w pociemniałej szybie, przeczesując włosy palcami. — Pora znów przedzierzgnąć się w gospodynię, Sabrino — powiedziała, schylając się, żeby pocałować siostrę w czubek głowy. — Cieszę się, że znów jesteśmy razem.

W patio szemrały przyciszone głosy; lampiony migotały nad ukrytymi w cieniu twarzami, kieliszkami czerwonego wina i filiżankami z kawą, pnącymi różami i klombami lwich paszcz. Sabrina czuła się jak na wyspie pełnej miłości, spokoju, prostoty. Muszę to sobie dobrze zapisać w pamięci, pomyślała, bo nie wiadomo kiedy znowu przyjadę do domu. I nie wydało jej się wcale dziwne, że nazwała to miejsce domem.

O północy Stefania pożegnała ostatniego gościa. Wróciwszy na patio potrząsnęła głową z udaną rozpaczą.

— Czy ktoś z was zna zaklęcie, które przywołuje krasnoludki?

— Już je wypowiedziałas — odrzekła Sabrina. — My będziemy krasnoludkami. Denton i ja posprzątamy.

Garth uśmiechnął się szeroko na widok miny Dentona.

— Oto człowiek prawdziwie przerażony. Nie bój się, Dentonie: jesteś niewykwalifikowaną siłą roboczą. Ja to zrobię.

— Ale nie sam. — Sabrina zaczęła zbierać talerze. — Muszę się też do czegoś przydać.

— Tobie również brak kwalifikacji — odparł Garth. Stefania stłumiła ziewnięcie.

— O mnie nie można tego powiedzieć. Zrobię to dwa razy szybciej niż wy oboje. Poza tym Sabrina jest naszym gościem. Wszyscy marsz do łóżka.

Sabrina pocałowała Stefanię w policzek i lekko popchnęła ją w kierunku drzwi.

— Pracowałeś cały dzień. Garth i ja skończymy robotę. No dalej. Jutro możesz krytykować jakość wykonania. Jeśli starczy ci odwagi!

Denton patrzył z chłodnym zainteresowaniem, jak Sabrina i Garth czyszczą talerze z resztek i układają je na tacach. Zrobił krok naprzód i cmoknął Sabrinę w czoło.

— Będę czekał na ciebie na górze, złotko. Machinalnie skinęła głową, zajęta ustawianiem filiżanek. Garth obrzucił stos krytycznym spojrzeniem.

— Ryzykowne.

Zignorowała tę uwagę i podniosła tacę. W kuchennych drzwiach krucha konstrukcja załamała się i filiżanki runęły roztrzaskując się w kawałki. Sabrina zagryzła usta i zaczęła szukać szczotki. Garth

zaniósł swoją tacę i wrócił ze śmietniczką. Bez słowa pozmiatali szczątki.

Już w kuchni Sabrina powiedziała odkręcając kran:

— Potwierdziły się twoje słowa, nieprawdaż? Niewykwalifikowana siła robocza.

— Niezbyt to było uprzejme z mojej strony. Przepraszam.

— Za co? Nie aprobujesz mnie, a raczej nas obojga. Obserwowałam twój wyraz twarzy, gdy opowiadaliśmy o naszych podróżach...

— Moja fatalna skaza. Twarz, z której da się wyczytać wszystkie myśli. — Wziął czystą ścierkę do naczyń. — Sabrino, nie o to chodzi, że was nie aprobuję. Ja was nie rozumiem. Waszego stylu życia ani waszych dążeń. Różnią się tak bardzo od moich, że nie mogę się w nich doszukać cienia sensu. Co bez wątpienia jest następną skazą na moim charakterze.

Sabrina zanurzała ręce w ciepłej wodzie z mydlinami, przypominając sobie studenckie czasy w małym mieszkanku niedaleko Sorbony i okres, gdy mieszkała w Londynie przed małżeństwem z Dentonem. Od tamtej pory nie umyła ani jednego talerza. Oboje z Garthem pracowali po cichu i rozmawiali zniżonymi głosami. Kuchnia ze złocistego drzewa była pogrążona w cieniu, cały dom ciemny i cichy. Poczwała, jak przepelnia ją uczucie spokoju.

— Skąd tyle wiesz o naszym życiu? — spytała.

— Otrzymuję w tej kwestii wyczerpujące sprawozdania od Stefanii, z całym bogactwem szczegółów. Słowem-kluczem jest tutaj bogactwo. Pozwól, że cię o coś zapytam. — Starannie wytarł talerz. — Czy Stefania czuje się nieszczęśliwa dlatego, że spędzam za dużo czasu w laboratorium, czy też dlatego, że nie mogę jej ofiarować takiego życia, jakie ty prowadzisz?

— Ależ ona wcale nie jest nieszczęśliwa! Mylisz się całkowicie...

— Nie sądzę. Słuchaj, proszę. Pomóż mi. Znasz Stefanię lepiej niż ktokolwiek inny. Odgadłabyś jej prawdziwe uczucia... — Zobaczył, że Sabrina zmienia się na twarzy. — Nie proszę cię, żebyś zdradzała mi jakieś sekrety, zrozum. Jestem jej mężem. Kocham ją. W porządku. Jesteś jej siostrą bliźniaczką, ale zapomnijmy o tym na chwilę. Ujmijmy to tak: jesteś naukowcem szukającym wyjaśnienia. Stefania jest nieszczęśliwa. Jak wytłumaczyć ten fakt?

— Twoją pracą. Podniósł następny talerz.

— Już od trzeciej osoby z rzędu dostaję burę. Przed tobą byli Nat Goldner i Marty Talvia. Ci dwaj systematycznie zmywają mi głowę. Wiem, że mój tryb życia jest ciężki do zniesienia dla Stefanii. Każdego

dnia przysięgam sobie, że się zmienię. Lecz wciągają mnie wciąż na nowo kolejne pytania, tajemnice, fascynacje... — Urwał. — Przepraszam: to dla ciebie niezrozumiałe. Sabrina puściła to mimo uszu.

— Szczęściarz z ciebie.

— Dlatego, że mam Stefanię? Nie musisz mi tego mówić...

— Nie. Oczywiście również z powodu Stefanii, ale chodzi mi o co innego... Masz dobrych przyjaciół, którzy pomagają ci zdać sobie sprawę z tego, kim jesteś.

Garth, zaintrygowany, przestał wycierać naczynia. Sabrina patrzyła nie widzącym wzrokiem w ciemne okno.

— Denton ugania się po całym świecie, żeby odkryć, kim jest, i nie może tego dopiąć. Ani nawet przyznać, że właśnie to usiłuje zrobić. Ludzie skaczą koło niego, ponieważ jest dziedzicem Treveston, lecz wielu go nie lubi, a on nie wie dlaczego. Często się nudzi i też nie wie dlaczego. Więc goni za rozrywkami. Nie słucha mnie, a kiedy coś w jego zachowaniu mi się nie podoba, mówi, że brak mi wyrozumiałości. Ale gdyby miał przyjaciół, mógłby spojrzeć na siebie ich oczami i dowiedzieć się, jakim jest człowiekiem, co chce robić w życiu. Tak jak ty. To właśnie dają nam bliscy przyjaciele, nieprawdaż? Cenią cię i troszczą się o ciebie dla ciebie samego, a nie ze względu na to, co reprezentujesz. Pomagają ci odkryć własną wartość.

Był zdumiony.

— Dobrze powiedziane. Zanurzyła w zlewie patelnię.

— Jak to miło, że zrobiłam na tobie wrażenie.

— Przepraszam. Nie chciałem cię obrazić. Ale skąd miałem wiedzieć, że masz głowę pełną poważnych myśli? Twój mąż nie jest taki, a biorąc pod uwagę wasz styl życia...

— Czemu wciąż się czepiasz naszego stylu życia? Sam przyznałeś, że się na nim nie rozumiesz. Pewne jego strony są cudowne.

— A te inne strony?

— Będziemy musieli co nieco zmienić. Tak się dzieje w każdym małżeństwie. — A kimże ja jestem, pomyślała, żeby udzielać lekcji na temat małżeństwa. — Nie możemy w nieskończoność włączyć się po świecie. Gdy przyjdą dzieci, będziemy mieszkać we własnym domu, w Londynie. Chciałabym spotykać rozmaitych ludzi i mieć pracę związaną ze sztuką i antykami: poproszono mnie o udział w organizacji nowego muzeum sztuki prymitywnej... Jest tyle rzeczy, które chcę robić. I chciałabym prowadzić otwarty dom. Poczekaj tylko: za jakiś czas zaprosimy ciebie, Stefanię i dzieciaki na przyjęcie na naszym tarasie.



Garth uśmiechnął się, jakby myśląc o czymś innym.

— Sabrino, wydaje mi się, że nie powinnaś zbyt liczyć na to, że Denton się usatkuje.

Wypuściła wodę ze zlewu.

— Dlaczegożby nie?

— Ponieważ nie sądzę, żeby był do tego zdolny.

— O czym ty mówisz? Nie znasz Dentona...

— Znam go lepiej, niż ci się wydaje: pamiętaj, że od tygodnia mieszkam z nim pod jednym dachem. A ten rodzaj życia, do jakiego cię zmusza...

— Och, nie bądź taki nadęty! — Odwróciła się od zlewu i zmierzyła go gniewnym wzrokiem. Jak śmie wygłaszać sądy na jej temat! Jest tak śmiertelnie poważny, bez isierki humoru i chyba w ogóle nie potrafi się śmiać. Taka wyrazista twarz, o mocnych i zdecydowanych rysach i ciepłych, głęboko osadzonych oczach, a pomimo to tępak. I zarozumialec. Zarozumiałały, ciasnogłowy profesorek. — Z jakiej racji uważasz mnie za ofiarę? Prowadzę najwspanialsze w świecie życie. Tobie pewnie trudno to zrozumieć w twoim sterylnym laboratorium, ale dla mnie jest ono podniecające. Tłumy ludzi, nowe miasta i krajobrazy, przyjęcia, tańce, rozmaite jedzenie, wspaniałe sklepy i bazary, nowe ubrania, książki z całego świata, teatry...

— Stop! Przekonałaś mnie, Sabrino, jestem pełen podziwu. Przepraszam, że byłem taki nadęty i próbowałem rozwiązać twoje złudzenia.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, a potem odwróciła się, by wytrzeć kuchenny blat.

— Lecz w dalszym ciągu uważasz, że Denton się nie usatkuje. Garth założył ręce i oparł się o lodówkę.

— Sabrino, czy Denton powiedział ci kiedyś, że jego zdaniem, życie składające się z samych rozrywek jest sztuką?

— Och, mówi czasem coś w tym rodzaju...

— Sztuką, którą się doskonalili z takim samym nakładem sił i zaangażowania jak zawód. Gdybyś go przyparła do muru, powiedziałby, że to jest jego praca. Niewielu mężczyzn porzuca pracę dla rodziny. Nie myślę, żeby Denton był jednym z nich. Wielu mężczyzn stawia pracę na pierwszym miejscu, przed rodziną. Sądzę, że Denton właśnie do nich należy.

W kuchni zapadła cisza, przerywana tylko miękkim szmerem ścierki, którą Sabrina wycierała zlew i kran do połyску.

— Mylisz się.

— Mam nadzieję.

Powiesił ścierki. Oczy Sabriny pociemniały. To właśnie były wątpliwości, do których nie mogła się przyznać Stefanii, rozterki, które, jak sądziła, zamknięte były w jej wnętrzu. A oto teraz zostały ujęte w słowa przez kogoś, po kim najmniej się tego spodziewała, przez osobę, która nigdy na pozór nie interesowała się ani nią, ani Dentonem.

Garth wszedł do spiżarki, żeby wyłączyć światło. Gdy wrócił, spytała:

— Czy masz na myśli, że czasami chciałby z tym skończyć, lecz coś go przed tym powstrzymuje?

Garth skinął głową.

— W takim razie, co to jest, to coś?

— Nazwałbym to pasją.

— Och, na litość boską, Garth, Denton niczym nie zajmuje się z prawdziwą pasją. — Westchnęła. Że też musiała się i z tym wygadać!

— Z wyjątkiem swoich rozrywek — odparł Garth. — Swojego trybu życia. To jego pasja. I jest nią całkowicie pochłonięty. Może mógłby się przełamać, lecz wymagałoby to walki wewnętrznej. Denton nie sprawia na mnie wrażenia człowieka, który chętnie stacza walki.

— Czy to naukowa hipoteza?

— Coś więcej. — Jego głos stał się szorstki. — Widziałem jego oczy. Istnieją różne rodzaje pasji, Sabrino, lecz wszystkie one są sobie bliskie. Oczy Dentona mają ten sam wyraz, jaki widzę za każdym razem, gdy patrzę w lustro. Dostrzegłem to już w chwili, gdy go ujrzałem. Dziwne to, ale wyczułem w nim pokrewną duszę.

Sabrina dosłyszała bolesną uczciwość dzwiczącą w jego głosie i pomyślała o uporczywym blasku oczu Dentona, który próbowała odczytać jako zapał. Obróciła ślubną obrączkę na palcu, przy czym rząd diamentów pochwyił światło i odbił je w wielobarwnych tęczach.

— Dziękuję — powiedziała cicho i uśmiechnęła się. — Przepraszam, że nazwałam cię tępakiem. To nieprawda.

— Powiedziałaś, że jestem nadęty. I tępy też? Wyrwał jej się śmiech.

— Jeżeli nie pamiętam nawet, jakimi słowami lżę ludzi, nie powinnam ich używać. Przepraszam za wszystkie nieuprzejme słowa. Nie jesteś tępy i nie jesteś nadęty.

— A ty nie masz pusto w głowie i nie jesteś niewykwalfikowana. Roześmiali się.

— Mam tu wyłączyć światło?

— Zrobię to sam, gdy zamknę drzwi. Dobranoc, Sabrino.

— Dobranoc, Garth.

Opuściwszy ciepłą kuchnię, przeszła przez ciemną jadalnię i salon, wyczuwając drogę pomiędzy meblami. U stóp schodów przystanęła i spojrzała przez całą długość domu ku oświetlonej kuchni. Garth stał w zamyśleniu, z pochyloną głową, przy tylnych drzwiach, które zamknął bezpiecznie na noc. Potem położył rękę na wyłączniku i kuchnia pograżyła się w ciemności. Sabrina wolno weszła po schodach na górę.

Sabrina stała na progu pustego sklepu, który świecił nagimi ścianami, i przytrzymała otwarte drzwi, podczas gdy stolarze wnosili do środka swój sprzęt. Jej życie stało się równie puste jak to pomieszczenie, które wynajęła, lecz przyrzekła sobie z wewnętrznym uśmiechem, że zapełni na nowo i jedno, i drugie. Po kłęsce z Dentonem zaczęła od początku.

Laura oglądała projekty na zapleczu, gdzie stolarze ustawili swój koziół do piłowania drewna. Sabrina w drzwiach frontowych patrzyła na deszcz siekący w dachy wysokich czarnych taksówek, które tłoczyły się na Brompton Road. Trzy lata. Tyle potrafilimy ze sobą wytrzymać. A kolejny rok zajęło mi odkrycie, że nic już nie będzie takie jak kiedyś.

— Milady — zawołał rzemieślnik, a jego głos odbił się echem od ścian. Gdy Sabrina podeszła do niego, narysował kredą linię na zakurzonej podłodze. — Czy tutaj chce mieć pani drzwi, milady?

— Tu będzie najlepiej — odpowiedziała i uśmiechnęła się z zakłopotaniem do matki. — Czuję się jak oszustka: ten tytuł już mi nie przysługuje.

— Och, używaj go nadal — poradziła Laura. — To ci pomoże. Nawet Amerykanie lubują się w tytułach. W zeszłym miesiącu, gdy wygłaszałam mowę w pewnym liceum, ktoś nazwał mnie panią podsekretarzową stanu.

— To tytuł dużo bardziej imponujący niż mój.

— Lecz twój jest dziedziczny. Czy Denton chce, żebyś do niego wróciła?

— Nie wiem. Cóż to zmienia?

— Myślałam, że może będziesz czuła się samotna.

— Och! — Sabrina wzięła szkic i udała, że z uwagą go ogląda. Rzecz jasna czuła się samotna. Samotna i przerażona. Lecz przetrwała już tak cały rok od czasu, gdy opuściła Dentona.

Przeprowadziła się do małego mieszkania i nie widywała się z nikim poza godzinami pracy w galerii antyków Nicholasa Blackforda, tej samej, w której pracowała przed ślubem. Przez sześć miesięcy żyła

samotnie, nękana telefonami od Dentona, jego rodziny i swoich własnych rodziców, a wszyscy oni powtarzali, że robi piramidalne głupstwo. Gabrielle zadzwoniła z Paryża.

— Sabrino, teraz, po śmierci ojca, mając tytuł i majątek, Denton się usatkuje.

— Jego ojciec umarł rok temu — odparła — a on się ani trochę nie zmienił.

Były również telefony od innych przyjaciół.

— On cię uwielbia, Sabrino. Te zabawki pozwalają mu po prostu wyładować nadmiar energii. Przejdzie mu to. Ilu mężczyzn uwielbia swoje żony? Nie wiesz nawet, jakie masz szczęście.

Mam dosyć jego nadmiernej energii, pomyślała. Mam dosyć życia jak w wagoniku rozpedzonej kolejki, bez żadnych solidnych podstaw. Chcę mieć dom, dzieci, miejsce, do którego należą. Lecz mówiła tylko:

— Chciałabym zrobić w życiu pewne rzeczy, na które nie ma miejsca w kalendarzu towarzyskim Dentona.

Zadzwoniła Stefania.

— Czy chcesz, żebym przyjechała do Londynu?

— Nie teraz — odpowiedziała Sabrina. — Mam stracha, ale jakoś sobie radzę. Dam ci znać. I matka mówi, że może się tu wybierze. Czy to nie zdumiewające?

Laura naprawdę przyjechała, została jakiś czas i wróciła do Waszyngtonu. W listopadzie Sabrina ustaliła z Dentonem warunki rozwodu i wprowadziła się z powrotem do domu na Cadogan Square, który z takim zapałem odnawiała i urządziła po ich ślubie. Teraz należał do niej. Od listopada zaś do kwietnia, przez cały londyński sezon, nie miała żadnych wieści ani nie widziała się z nikim z kółka przyjaciół Dentona — ich kółka, jak kiedyś sądziła. Spędzała długie godziny pracując w galerii Nicholasa Blackforda i długie samotne wieczory w swym prześlicznym, pustym domu. Londyn stał się zimny i obcy: nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Oprócz Stefanii. Lecz rozmowy ze Stefanią należały teraz do luksusów, bo musiała liczyć się z pieniędzmi, aby starczyło na utrzymanie domu i galerię, którą miała zamiar otworzyć, a również na codzienne życie, dopóki nie będzie miała dochodu ze sklepu.

Tak, mam, pomyślała, nieraz, gdy nie byłam pewna co jeszcze mnie czeka, myślałam, żeby wrócić do Dentona. Pod opiekuńcze skrzydła jego rodziny, do jego kółka. Przy boku Dentona przynajmniej zawsze wiedziałam, co dla nas zaplanował. Przeważnie wiedziałam nawet, z kim sypia.

— Gdy byłaś tutaj zeszłej zimy — powiedziała — przed podziałem majątku, poczułam się, jakbym znów miała dwanaście lat i chciała iść na zakupy z tobą i Stefanią.

— Nic mi o tym nie mówiłaś.

— Wiem. Gdybym zaczęła o tym mówić, mogłoby się tak skończyć, że usiadłabym ci na kolanach, prosząc o pociechę. Czy to nie byłoby dziwne?

— Milady, przepraszam — wtrącił się stolarz. — Czy w planach nie ma błędu? Ta ściana naprawdę ma nie sięgać sufitu?

— Tak — potwierdziła Sabrina, patrząc na podsunięty projekt.

— Ale w takim razie będzie pani słyszała w swoim biurze każdy hałas z frontu sklepu, nawet przy zamkniętych drzwiach.

— Mam nadzieję, że hałas będą robić klienci, z radością go usłyszę.

— Ach, naturalnie. I ja mam tę nadzieję, milady.

— Dlaczego miałyby to być dziwne? — spytała Laura, wracając do poprzedniego tematu.

— Bo gdy byłam dzieckiem, nigdy nie pozwalałaś mi siadać na twoich kolanach. Po co zaczynać teraz, gdy jestem dorosła i sama umiem się o siebie troszczyć?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Sabrina spojrzała na twarz matki i pożałowała swoich słów. Po co wspominać przeszłość, kiedy teraz uczyły się, jak żyć w przyjaźni? Laura była wyniosła i piękna jak zawsze, a Sabrina zadowolona z niej — piękna kobieta kochająca swą piękną matkę. Następny krok w dojrzwaniu.

— Jak według ciebie powinnam zagospodarować tę nową ścianę? — przerwała ciszę. — Ustawić półki czy powiesić obrazy? — Och... może jedno i drugie? Obrazy zgrupowane tutaj, a półki w tym kącie? A z przodu ustawić jedną lub dwie sztalugi na obrazy.

— Sztalugi. To doskonały pomysł. Na małym dywaniku. Jeśli fundusze na to pozwolą.

— Sabrino, dlaczego nie zażądałaś od Dentona więcej pieniędzy? Z chwilą gdy skończysz urządzenie sklepu, nie zostanie ci zbyt wiele.

— Dość, aby wyżyć przez mniej więcej pół roku, jeśli będę wydawać z umiarem. Nie mogłam prosić go o więcej. Tak często mi powtarzał, iż jestem jego własnością, że chciałam w ogóle gwizdnąć na niego i odejść. Byłoby to dramatyczne, lecz niezbyt praktyczne. Więc wzięłam tyle, ile według mnie potrzeba na start. Nie wolno ci się niepokoić, mamó. Od lat udzielałam za darmo porad w kwestii wystroju wnętrz krewnym i znajomym Dentona: to środowisko zna moje możliwości. Odniosę oszałamiający sukces!

Jeśli przyjdą, pomyślała. Nie powiedziała Laurze, że ignorowano ją od sześciu miesięcy; wstydziła się do tego przyznać, jakby ona również ponosiła za to winę. Poza tym chciała oszczędzić matce zdenerwowania. Zmuszę ich, żeby przyszli, przysięgła sobie w duchu.

— Oczywiście, że odniesiesz sukces — Laura przesunęła ręką po boazerii. — Czy wiesz, że to zawsze było moje marzenie? Mieć własną galerię, a nie kupować doraźnie różne przedmioty.

— Ale teraz możesz przecież otworzyć taki sklep. Mieszkacie na stałe w Waszyngtonie.

— O, już za późno! Nie mogę zaczynać od zera; nie mam twojej energii. Musiałam ją gdzieś roztrwonąć w drodze między jedną placówką dyplomatyczną a drugą. Będę ci za to pomagać od czasu do czasu w *Ambasadorze*. Ujęło mnie, że wybrałaś tę nazwę.

Sabrina objęła matkę ramieniem i patrzyły obie, jak stolarze ustawiają ścianę na tyłach sklepu. Galeria była długa i wąska, z kwadratową, oszkloną witryną na froncie. Ściany pokrywała dębowa boazeria; gipsowy sufit podzielony był na ośmiokątne kasetony. Sabrina czuła dreszcz zachwytu i zdumienia za każdym razem, gdy przestępowała próg galerii — że to należało do niej, że oto jej sen stawał się prawdą, a życie zaczynało biec w zgodzie z jej własnym zamierzeniem i rytmem. Nigdy przedtem nie byłam niezależna, myślała. Przechodziłam z rąk do rąk jak lalka. Nigdy nie ustalałam swoich własnych reguł. Impulsywnie rozpostarła ramiona.

— Czy to nie wspaniale!? — krzyknęła.

Laura uśmiechnęła się, a Sabrina znów ją objęła. Z biegiem czasu, gdy się starzejemy, potrzebujemy coraz bardziej swego wzajemnego dotyku, pomyślała Sabrina. I więcej miłości — w dawaniu i braniu.

— Mamo, dziękuję, że przyjechałaś. Dzięki temu wszystko jest jeszcze wspanialsze. I mniej przerażające.

— To ja ci dziękuję, że mnie tu zaprosiłaś — rzekła Laura. — Że po tylu latach dałaś mi okazję stworzyć galerię. Pewnie gdy czeka się dostatecznie długo, można się doczekać spełnienia większości pragnień. Sabrino, dlaczego nie przeprowadzisz się do Ameryki? Tak byśmy się wszyscy cieszyli. Nic cię nie trzyma w Londynie.

— Owszem, tak. Tu jest teraz mój dom. I znam Londyn lepiej niż jakiegokolwiek inne miasto. Zamożnych ludzi, rynek, konkurencję. A także ludzi starych, zwłaszcza tych, którzy stoją nad grobem. To okrutna prawda, ale jedyny sposób na to, żeby chapnąć najlepsze kąski, to wiedzieć, kto właśnie umiera, i mieć gotówkę w pogotowiu, gdy majątek nieboszczyka, jego antyki i dzieła sztuki wystawiają na aukcję. Mam tu również przyjaciół.

— W Ameryce masz siostrę i rodziców.

— Mamo, proszę, zrozum mnie. Kocham was wszystkich i tęsknię za wami. Ale tu poniosłam porażkę z Dentonem i tu właśnie muszę odnieść mój własny sukces. Chcę się dowiedzieć, co mogę z siebie wykrzesać. Czy nie możesz tego zrozumieć?

— Tak, rozumiem — powiedziała Laura. Zamilkła na chwilę. — Może przemawia przeze mnie zazdrość. — I po raz pierwszy, odkąd Sabrina w wieku lat piętnastu wyjechała z domu do szkoły z internatem, wzięła swą córkę w ramiona i pocałowała ją. — Taka jestem z ciebie dumna — powiedziała. — I kocham cię.

## Rozdział siódmy

Lady Andrea Vernon rozświetliła Alderley House urządzając wspaniałe bale. Sabrina, stanawszy w tych progach w towarzystwie Nicholasa i Amelii Blackfordów, chłoneła blask, kolory i muzykę, jakby nigdy nie miała się tym nasycić. Gdy zaś poprosił ją do tańca młody opalony mężczyzna o szczupłej twarzy i zaczęła sunąć w jego objęciach przez salę koloru złota i winnej czerwieni, pierwszy raz od wielu miesięcy poczuła się młoda i beztraska. Jej taftowa suknia wirowała jak chmura koloru bursztynu, gdy obracała się w takt muzyki, rozglądając się po sali balowej. Sala została odremontowana, od czasu gdy Sabrina widziała ją ostatni raz, a odnowiony złocony sufit wzbudził jej podziw. Za to z niedowierzaniem patrzyła na setki lamp na ścianach: przypominały pożyczowane nosy pijaków. Skądże, na Boga Ojca, dekorator Andrei je wygrzebał? Potrząsnęła głową, palce aż ją świerbiły, żeby wszystko to zedrzeć, a nagie ściany przyozdobić z prostą elegancją, stosowną do sufitu.

— ... a jakie jest pani zdanie na ten temat? — usłyszała pytanie młodego człowieka.

— Och, proszę mi wybaczyć, zamyśliłam się. Co pan mówił? Słuchała słów tego i następnego tancerza, lecz jej myśli wciąż

błądziły wokół wystroju domu Andrei Vernon i innych domów, do których dekorowania przygotowywała się kiedyś z taką nadzieją.

— Ktoś mi mówił, że otworzyła pani galerię — mówił jej partner. — Jak się nazywa?

— *Ambasador* — odparła.

— Dobra nazwa — ocenił od niechcienia. — Interesy dobrze idą?

— Czy interesy dobrze idą? — Zapanowała nad głosem. — Oczywiście.



— To świetnie — powiedział. Wiedziała, że w gruncie rzeczy nie słuchał odpowiedzi, a jeśli pochwycił drżenie jej głosu, to wołał je przemilczeć. Na balu nikt nie ma ochoty przyjmować do wiadomości, że młoda piękna kobieta ma problemy.

Wyglądało wprawdzie na to, że nigdzie nie miano na to ochoty: toteż i nikt jej nie słuchał. Sabrina nie dzieliła się z nikim wiadomością, *le* klienci omijają jej galerię.

Na sali balowej roilo się od ludzi z arystokracji i elity biznesu, udzi, których Sabrina uważała kiedyś za przyjaciół. Postawiła na tę orzyjaźń, lecz ostatnie osiem miesięcy wciąż dobitnie potwierdzało jej pomyłkę. Nikt się nie pojawił.

Wysłała zawiadomienia do wszystkich swoich znajomych. Nicholas poradził jej specjalnie zabiegać o Olivię Chasson.

— Gdy ona gdzieś pójdzie, inni idą za nią. Jeśli zdobędziesz jej łaski, koniec twoich trosk!

Dzień po dniu Sabrina z zapalem i podnieceniem otwierała drzwi galerii i czekała w swoim biurze, aż Olivia Chasson i jej przyjaciele wkroczą do ozdobionego makatami wnętrza, które z Laurą urządziły na wzór osiemnastowiecznych salonów w wielkich domach Anglii. Beznadziejne oczekiwanie na hałasy z frontu sklepu, których życzył jej stolarz, ostudziło zapal, podniecenie ulotniło się. Och, gdybyż wreszcie usłyszeć jakiś odgłos, modliła się w ciszy dzień po dniu, choćby najcichszy szmer, stapanie na paluszkach ostrożnego diuka! Lecz zjawilo się tylko paru turystów, którzy wstępowali na chwilę, ujrzawszy wystawę, myszkowali po sklepie, lecz rzadko coś kupowali.

Teraz pieniądze były na ukończeniu. Zaciągnęła pożyczkę w banku i wkrótce będzie musiała oddać swój dom w zastaw hipoteczny. Co będzie później... Wołała o tym nie myśleć.

— Obiad — powiedział jej partner, przerywając opis swoich rozgrywek w polo. — Zjemy coś?

Napełnili talerze przy bufecie i usiedli na kanapce, wokół której wisały ciężkie draperie, tworząc jakby alkowę. Jedli w milczeniu. Sabrina żalowała, że nie ma tu Stefanii. Tęskniła za przyjaciółką, która urozmaiciłaby długie dni i wieczory, pośmiałaby się z nią i czasem dałaby jej się wypłakać. Tęskniła nawet do niektórych zaproszeń, bagatelizowanych, gdy była żoną Dentona.

— Lecz jeżeli wyszła za Dentona dla pieniędzy — zabrzmiał kobiecy głos po drugiej stronie kotary — to dlaczego nie zażądała więcej po rozwodzie?

Sabrina znieruchomiała. Gdy jej towarzysz zaczął coś mówić, położyła palec na wargach.

Odezwał się drugi głos, wysoki i oburzony.

— Skąd wiesz, ile dostała? Denton jest zbyt wielkim dżentelmenem, żeby to wyjawić. Ale wiem z całą pewnością, że zażądała trzech milionów funtów, Treveston i nowego jachtu. Jej własny prawnik uznał to za skandaliczne. Wiesz jednak, jak Denton ją uwielbiał, więc oczywiście dostała istną fortunę. Oddał jej wszystko, co posiadał.

— Oprócz Treveston — sprostował sucho pierwszy głos. Jego brzmienie było dziwnie znajome, lecz Sabrina nie umiała zidentyfikować właścicielki.

— No, moja kochana, nie mógł oddać w obce ręce takiego narodowego skarbu jak Treveston. Wiesz przecież, że zagarnęła jego londyński dom.

— Moje słodkie panie plotkarki — zabrzmiał głos mężczyzny, który do nich dołączył. — Niech zgadnę, na kim to ostrzycie sobie języki? Czy chodzi o piękną lady Sabrinę Longworth, czy też w przeciwieństwie do was chybiłem, ustępując wam w celności, zwłaszcza zadawania ciosów w plecy?

— Peter, to okropnie niesprawiedliwe z twojej strony — odparł wburzony głos. — Rozmawialiśmy tylko o warunkach rozwodu, na które biedny Denton musiał przystać.

— Biedny Denton — powtórzył z chłodną drwiną pierwszy głos — musiał poświęcić tak niewiele, że zapewne zapisał to w rubryce „drobne wydatki”. Sabrina w niczym nie naruszyła jego przyjemnego trybu życia.

— W takim razie skąd wzięła ten sklep na Brompton Road? — spytał gniewnie wysoki głos. — Przechodziłam tamtędy wczoraj i widziałam, że na wystawie stoi zbroja, która, wiem z całą pewnością, jest warta co najmniej dwa tysiące funtów.

— Rose! Przechodziłaś tamtędy i nie weszłaś do środka?

— Na taki krok słodka Rose zdobędzie się dopiero wtedy, gdy wszyscy zrobią to już przed nią — stwierdził męski głos. — A skoro cała paczka zgodnie obwołała Sabrinę pariasem, ci sami ludzie, którzy podlizywali jej się, gdy była żoną Dentona...

— Peter, nie bądź śmieszny. Wystarczy na nią spojrzeć, żeby zgadnąć, po co poślubiła Dentona. Nie próbowała się nawet z tym kryć i porzuciła go w niespełna rok po tym, jak jego ojciec zmarł, a on sam został wicehrabią. Ale Amerykanie zawsze są bezceremonialni, nieprawdaż?

Sabrina siedziała sztywno w rogu kanapki, ze spuszczonego wzrokiem. Błędne myśli tłukły jej się w głowie: co zrobić ze sobą jutro i pojutrze, i przez wszystkie następne dni.

Usłyszała skrzypnięcie krzesła i pierwszy głos dobiegł z innego miejsca.

— Nigdy nie grała według waszych reguł i tego nie mogliście jej wybaczyć. Może zresztą uda mi się coś na to poradzić.

Sabrina przechyliła głowę. Wiedziała, kogo przypomina jej ten głos — kogoś, kto dawno temu powiedział jej, że musi „grać według ich reguł”.

Partner dotknął jej ramienia.

— Czy chciałaby pani, żebym odwiózł panią do domu? Podniosła na niego niezwykle błyszczące oczy.

— Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. — Jej głos stał się silniejszy. — Chciałabym jeszcze trochę potańczyć. — I przemyśleć, w jaki sposób z nimi walczyć, pomyślała, teraz, gdy wiem już, co się dzieje za moimi plecami. Dlaczego już dawno sama się tego nie domyśliłam?

Jego oczy wyraziły podziw.

— Dzielna z pani dama. Ci Raddisonowie są nieco wulgarni, zwłaszcza Rose, ale...

— Patrzcie państwo, a to niespodzianka! Spotkać cię tutaj! Czy świat nie jest mały — usłyszała Sabrina chłodny głos, który wcześniej dobiegał spoza zasłony, i obróciwszy się, ujrzała leniwy uśmiech księżnej Aleksandry Martovej. — Mam nadzieję, że twój przyjaciel nam wybaczy? — powiedziała księżna. — Chcę właśnie wziąć cię pod swoje skrzydła.

Aleksandra Martova była właścicielką czteropiętrowego sztywnego domu w stanie ruiny. Przybyła samotnie do Londynu, nie mając przy duszy nic oprócz środków, jakie otrzymała po rozwodzie: konta w szwajcarskim banku, domu na Minorce nieopodal wybrzeża Hiszpanii, apartamentu w Paryżu, alimentów w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów miesięcznie i doga, którego nazwała Maxim po starym przyjacielu. Wysoka, giętka, ze skośnymi jasnobłękitnymi oczami i jasnymi włosami spadającymi na ramiona, miała teraz w sobie wyraz stanowczości, którego Sabrina nie przypominała sobie z czasów, gdy spotkała ją na jachcie Maxa Stuyvesanta.

— Postanowiłam ustalić własne reguły gry — powiedziała Sabine. — Wygląda na to, że ty zrobiłaś to samo.

Przyjechała do Londynu, bo była znudzona.

— Nikt nie wie, jak wydać dobre przyjęcie. Więc pomyślałam sobie, że pokażę im, jak to się robi. Skarbie, niedługo stanę się najślawniejszą gospodynią w Europie.

Najpierw jednak musiała kupić dom. Znalazła odpowiedni na Belgravii. Był wysoki i wąski, miał podłużne okna i nasuwał na myśl obraz wiktoriańskiej damy wznoszącej ze zdziwieniem brwi. Wiodły do niego czerwone drzwi z kołatką w kształcie głowy lwa. Aleksandrze szalenie podobało się otoczenie domu, lecz samo jego wnętrze, mroczne i zagracone, napawało ją obrzydzeniem. Kazała zedrzyć wszystkie tapety i zasłony, wynieść meble i zburzyć ściany działowe. Pozostała sama zewnętrzna skorupa.

— Chcę, żebyś go dla mnie urządziła na nowo — powiedziała. — Z góry na dół. Napij się wina.

Zdmuchnęła gipsowy pył z butelki i ponownie napełniła kieliszki z rżniętego kryształu, które przyniosła w piknikowym koszu. Sabrina przysiadła na skrzyni, sącząc lekkie beaujolais o owocowym aromacie, i badała wzrokiem zaśmieconą gruzem ogromną, pustą przestrzeń pierwszego piętra. Po wyburzeniu wewnętrznych ścian miała widok na całość. Z poprzedniego urzędnika pozostał jedynie marmurowy kominek ze złuszczonego gzymsem. Smugi słońca, w których tańczyły pyłki kurzu, padały na obnażone belki i kawałki marmuru i drewna. Przywiodły one Sabine na myśl kupowane ongiś przez matkę antyki, które po oczyszczeniu zaczynały jaśnieć urodą. Sabine teraz tak samo korciło, jak wówczas, gdy z podziwem i zazdrością patrzyła na pewne ruchy rąk matki. Mogę uczynić ten dom pięknym, pomyślała. Odwróciła się do Aleksandry z błyszczącym wzrokiem.

— Dziękuję.

Aleksandra uniosła kieliszek.

— Liczę na to, że pomożemy sobie nawzajem. Tobie potrzeba zamówienia, lecz ja muszę mieć więcej: dom i powszechne poważanie. Znam w Londynie wszystkich, lecz, przykro powiedzieć, oni też mnie znają. Po wielu latach, spędzonych w tych wszystkich łózkach na zachód od Monte Carlo, sam tytuł księżnej nie wystarczy. Potrzebuję dobrego startu, który by mnie wydzwignął, ot co.

Sabrina potrząsnęła głową z komicznym ubolewaniem.

— Nie jestem właściwą osobą, żeby komukolwiek zapewnić dobry start. Po ostatnim wieczorze powinnaś to wiedzieć.

— Skarbie, niewiele nauczyłaś się od czasu, gdy dreptałaś śladem Dentona, skoro tak mówisz: po prostu jesteś trochę wyprowadzona z równowagi tym małym podsłuchiowaniem i nie możesz jasno myśleć. Siądź no tutaj i posłuchaj, to ci palnę kazanie. Ty zapewnisz dobry start mnie, a ja tobie. Czy nie powiedziałam, że biorę cię pod swoje skrzydła? Ty urządzisz mój dom. Zaprezentujemy go elicie towarzyskiej na wielkim przyjęciu. I okaże się taką sensacją, że w ciągu tygodnia

ludzie zaczną mówić: „Jeżeli lady Sabrina Longworth nie zechce się zniżyć, aby zostać twoim konsultantem wystroju wnętrza, to znaczy, że jesteś nikim”. Nie wyłączając jej wysokości Olivii Chasson.

Aleksandra opróżniła kieliszek i przespacerowała się po pokoju, zostawiając ślady stóp na zakurzonej podłodze i wymijając sterty tynku i drewna.

— A gdy odpali twoja rakietka, moja pójdzie za nią i zanieś mnie prosto w sfery szacownego towarzystwa, które wtedy znów będzie ci nadskakiwać w najlepsze. Sabrino, powiem ci coś, czego zdajesz się nie rozumieć: ludzie zawsze za tobą wariowali. Jesteś absolutnie fantastyczna — bardziej niż ja, czego nigdy bym nie przyznała przy kimś innym. Masz poczucie humoru i nikt nie może przewidzieć, co za chwilę powiesz czy zrobisz. Nigdy nie musnął cię ani cień skandalu, a ludzie, którzy nie cierpią się wzajemnie, ciebie kochają. Wiesz, kiedy po raz pierwszy usłyszałam coś o tobie? Zaraz po twoim ślubie. Gdziekolwiek się ruszyłam — do Rio, Cannes, na Majorce — byłaś na ustach wszystkich. Przez cały rok nie mogłam się doczekać, kiedy cię spotkam, żeby cię udusić. Lecz wtedy na łajbie Maxa byłaś tak cholernie niewinna i nieszczęśliwa, że nie mogłam własnym oczom uwierzyć, no i polubiłam cię. Najgłupsza sprawa pod słońcem.

Usiadła na skrzyni i wyciągnęła długie nogi.

— Słuchaj, jedynym powodem, dla którego oni się teraz na ciebie tak wściekają, jest to, że nikt nie wie, dlaczego ty i Denton rozeszliście się i dlaczego za niego wyszłaś. Powinnaś im powiedzieć. Nie kręć głową, mówię tylko, że moim zdaniem powinnaś to zrobić. Oni święcie wierzą, że pojawiłaś się znikąd, żeby poślubić kogoś z ich grona, dostałaś od niego tytuł i Bóg wie ile pieniędzy, a potem otworzyłaś dla kaprysu jakiś dracznym sklepik, sponsorowany przez biednego Dentona. A biedny Denton gędzi o swoim złamanym sercu w każdym łóżku, do którego uda mu się wpakować. Wiem, co dostałaś po rozwodzie, bo tak się składa, że wynajęłyśmy tego samego prawnika. Facet lamentował, że odpuściłaś taką fortunę. To twoja sprawa, więc nikomu o tym nie mówię, ale moim zdaniem większość z nich czeka, aż im udowodnisz, że się co do ciebie mylą, bo mają na twoim punkcie fioła. Sabrino, słuchaj.

Aleksandra rozlała do kieliszków resztę wina. Blask słońca przeszedł w łagodne popołudniowe światło. W bladym chłodnym wnętrzu pani domu wyglądała jak marmurowy posąg.

— Jesteś dla mnie idealną osobą. Masz klasę, masz swój styl i jesteś niezależna. Daję ci do zaprojektowania ten dom; staniesz u mego boku, gdy będę wydawać w nim przyjęcie. Co ty na to?

Sabrina błędziła myślą gdzieś daleko. Słyszała słowa Aleksandry, ale jednocześnie wybiegała w przyszłość, już projektując wnętrza, oceniając wymiary i rozkład pomieszczeń, styl mebli i bibelotów, dzieła sztuki, zasłony, dywany. Nie mogła się doczekać chwili, gdy zacznie pracę. Lecz musiała mieć pewność co do jednej kwestii.

— Czy dajesz mi *carte blanche*?! — spytała spokojnie.

Brwi Aleksandry uniosły się w górę w komicznym zdumieniu.

— No no, kogo my tu mamy?

Znikła gdzieś wdzięczna Sabrina sprzed kilku minut, nie zostało też śladu po oszołomieniu z zeszłej nocy. Nowa Sabrina, pewna siebie profesjonalistka, zmierzyla wzrokiem skorupę domu i spytała:

— Ile jesteś gotowa wydać?

— Ile tylko trzeba, żeby go dobrze urządzić. Sabrina skinęła głową.

— Powiedz mi, jaki efekt chciałabyś osiągnąć, a ja go stworzę.

— Tak, pszepani — Aleksandra uśmiechnęła się szeroko z wyrazem podziwu. — Do usług, pszepani. — Roześmiały się i lekko stuknęły kieliszkami, zanim wypily ostatni łyk wina. — Kiedy możesz zacząć?

Sabrina narzuciła płaszcz.

— Już zaczęłam — odparła.

Zjadły wspólnie lunch i obiad. W ciągu następnych dni spędziły tyle godzin rozmawiając, że w końcu Aleksandra przeprowadziła się z apartamentu w Connaught Hotel do jednego z pokoi gościnnych Sabriny. Rozmowy dotyczyły Aleksandry, a gawędząc Sabrina szkicowała projekty pokoi, które pasowały do osobowości księżnej. Wynajęła przedsiębiorcę budowlanego, który przebudowywał *Ambasadora*, do nadzoru nad elektrykami, hydraulikami i tynkarzami. Posadzkarze ułożyli zaprojektowane przez nią parkiety o zawitych wzorach. Po kilku tygodniach nadeszły zamówione meble, stanowiące eklektyczną, oryginalną mieszaninę, dużo bardziej odważną, niż Aleksandra przypuszczała.

W jej skład wchodziły neorokokowe mebelki z połowy dziewiętnastego wieku, o łagodnych krzywiznach i zakrętach, inkrustowane masą perłową, zdobione złoconymi i kwiatami malowanymi na czarnym lakierowanym tle. Miały symbolizować giętką, frywolną Aleksandrę błyszczącą od klejnotów i bywającą na przyjęciach. Sabrina dla kontrastu z nimi wybrała meble George'a Jacka z końca ubiegłego wieku: zwodniczo proste szafki, na których jawor i inne gatunki drewna tworzyły wzory w różnych odcieniach, przechodzących jeden

w drugi. To była Aleksandra, która z utęsknieniem mówiła, że kiedyś, w przyszłości będzie mogła przestać grać przed wszystkimi, również przed samą sobą. Do tego Sabrina dodała kilka uderzająco nowoczesnych foteli firmy Soriana i kanap Scarpy: płasko wznoszących się nad podłogą, wykonanych z miękkiej skóry w obramowaniu z chromowanych stalowych rurek.

Gdy ostatni fotel stanął na swoim miejscu, Sabrina powiedziała:

— Oto Aleksandra, która jest zarazem miękka i twarda, wyrachowana i czuła, przyziemna, seksowna, powściągliwa, lecz gdy się rozluźni, każdy czuje się przy niej jak w niebie.

Aleksandra kręciła się po pokojach, przebiegała w górę i w dół po schodach, dotykała mebli i tkanin, siadała i podrywała się do dalszego biegu.

— Cudownie, fantastycznie, chcę tu zamieszkać, chcę wydać przyjęcie. Czy mogę wprowadzić się dzisiaj?

Sabrina uroczyście podała jej klucz, którego używała przez ostatnie cztery miesiące, i listę gości, którą sporządziła w ciągu ostatniej nocy. Następnego dnia zaczęły omawiać towarzyski start Aleksandry.

Stało się nim przyjęcie na dzień wiosny: zaczęło się o dziesiątej wieczór pierwszego maja, a zakończyło śniadaniem nazajutrz. Był to największy triumf sezonu towarzyskiego 1976 i jedyne wydarzenie, któremu we wszystkich gazetach i międzynarodowych magazynach poświęcono tyleż miejsca na stronach dotyczących życia wyższych sfer towarzyskich, co na stronach zajmujących się architekturą i wystrojem wnętrz.

„Wystrój domu Martovej wydaje się na pierwszy rzut oka wyzywający i chaotyczny — pisał najbardziej liczący się w Europie znawca dekoracji wnętrz — lecz już po chwili można w nim odkryć swoistą harmonię, a świeżość i oryginalność stylu świadczy o silnej indywidualności jego twórczyni.”

„Co się tyczy samego balu — pisał reporter kolumny towarzyskiej w artykule zilustrowanym zdjęciami co wybitniejszych spośród dwustu gości — gra orkiestry była zachwycająca, podobnie jak pieśni miłosne przebranych w kostiumy śpiewaków i tancerzy. Stroje kobiet składały się na gwiazdozbiór największych światowych projektantów mody, a zastawiony stół oferował niewyczerpane zasoby egzotycznych dań. Księżna Aleksandra przypominała posąg bogini, cała w bieli, ze szmaragdowym naszyjnikiem na szyi. Gwiazdą wieczoru była lady Sabrina Longworth, olśniewająca w toalecie koloru złota, która od chwili swych zaślubin z byłym mężem, lordem Dentonem Longworthem, wicehrabią Treveston (nie był on obecny na balu), stała się

pupilką londyńskiego towarzystwa. Wspaniały wystrój siedziby księżnej w Belgravii jest dziełem właśnie lady Longworth. Wśród gości znaleźli się Peter i Rose Raddisonowie z rodziny fabrykantów samochodów, lady Olivia Chasson i Gabrielle de Martel, córka francuskiego ministra finansów, która twierdzi, że wkrótce będzie szukać samodzielnego mieszkania w Londynie."

Sabrina przechodziła z pokoju do pokoju w domu, który stworzyła. Zapomniała o reporterach i ledwie słyszała paplaninę gości, gratulujących jej projektu. Wpadały jej w ucho skwapliwe „musimy się wkrótce zobaczyć” i wiedziała, że wieczór stał się sukcesem, lecz wciąż przechadzała się, nie pragnąc rozmów, po prostu oglądając dom, który ożył pod wpływem światła, rozmów i śmiechu, właśnie tak, jak to widziała w swoich wizjach. Urządzała już przedtem inne wnętrza — dom na Cadogan Square, który kupił dla niej Denton, i *Ambasadora* — lecz kierowała się wtedy jedynie własnymi upodobaniami. Teraz po raz pierwszy stworzyła dla kogoś innego miejsce, w którym ten ktoś mógł mieszkać, kochać i wzrastać.

Stefania byłaby ze mnie dumna, pomyślała. Dziś po południu wysłała jej cały komplet zdjęć. Jedno z nich przedstawiało w powiększeniu mały prywatny ślad jej obecności, drobiazg, od którego nie mogła się powstrzymać. W mrocznym kącie salonu na parterze pięć małych kostek z parkietu ułożyła tak, że wyraźnie tworzyły literę S, jedyną w całym domu. Nikt tego nie zauważy. Lecz zostawiła swój znak.

Niedziela była dniem odpoczynku. Zaś w poniedziałek rano odkurzając meble we frontowej części sklepu, Sabrina usłyszała dźwięk małego orientального dzwonka, wprawionego w ruch przez otwierane drzwi. Podniosła wzrok i podeszła z uśmiechem, aby powitać lady Olivie Chasson w progach *Ambasadora*.



## *Rozdział osmy*

W mroźny październikowy poranek Sabrina i Stefania stały u wylotu Cadogan Square, długiego rzędu czteropiętrowych wiktoriańskich pałacyków z czerwonej cegły. Ogrodzony park po przeciwnej stronie ulicy należał do właścicieli owych siedzib. Jedną z nich był dom Sabriny, zdobny, tak jak wszystkie pozostałe, w gotyckie wieżyczki, szczyty, balkony, balustrady i spiczaste okna z witrażami. Pani Thirkell zabrała walizkę Stefanii na górę.

— Chcesz od razu obejrzeć dom? — spytała Sabrina, na co Stefania skinęła głową. Czuła już otulający ją wiew chłodnej elegancji, gdy przeszły razem przez hall, jadalnię i kuchnię na parterze. Salon zajmował całe pierwsze piętro. Na drugim było studio i pokój do gry w bilard, które przedzielał ruchomy regał z książkami, dający się odsuwać, tak iż oba pomieszczenia mogły tworzyć jedną wielką salę. Na trzecim piętrze mieściły się sypialnie. Stefania zatrzymywała się w każdym kolejnym pokoju, napawając się harmonijną równowagą światła i cienia, mocnych barw i pastelowych odcieni, grubo tkanych materii, błyszczących jedwabi i zmysłowych aksamitów, polerowanego drzewa, matowych tapet i lśniącego pożyłkowanego marmuru.

— Chciałabym tu mieszkać — westchnęła. — To istny dom z moich marzeń.

Zajrzała do sypialni Sabriny na trzecim piętrze, która za czasów Dentona była urządzona na brązowo-złoto, a teraz mieniła się barwą pawioniebiską i kości słoniowej, i do dwóch sypialni gościnnych.

— Wybierz, w której chcesz mieszkać — zaproponowała Sabrina i Stefania bez wahania weszła do pokoju, który wyglądał jak wiosenny ogród, cały w pastelowych odcieniach różu i zieleni.

— Na czwartym piętrze jest mieszkanie pani Thirkell i składzik —

powiedziała Sabrina pomagając Stefanii rozpakować się. — Co byś powiedziała na lunch? To wprost cudowne, że wreszcie tu jesteś... O co chodzi? Co się stało?

Stefania stała przed wysokim zwierciadłem, patrząc na poruszającą się wdzięcznie Sabrinę, wstrząśnięta i przerażona. Ona też kiedyś, dawno temu, tak wyglądała. Lecz nie teraz.

— Nie jestem już nawet przyjemnie zaokrąglona — powiedziała z rozpaczliwą szczerością. — Po prostu tłusta, i tyle. A w dodatku się garbię. W *Juliette* orzekliby, że nie wyglądam na damę. I mieliby rację. Ale tam nigdy nie uczyli, jak trzymać się prosto szorując podłogę albo szukając porozrzucanych kredek i krążków do hokeja, na których człowiek może się pośliznąć i skrócić kark. Moje włosy — dodała żałośnie. — A paznokcie, a ręce... No cóż, nie mam tyle czasu, co ty, na wylegiwanie się w ciepłej kąpieli i na parówkę w salonie piękności.

Stefania zdawała sobie sprawę z niesprawiedliwości swoich słów. W ciągu ostatnich trzech lat, od czasu, gdy urządziła dom Aleksandry Martovej, Sabrina pracowała ciężiej niż ktokolwiek ze znanych Stefanii osób. Zarządzała *Ambasadorem*, jeździła na aukcje w różne miejsca Europy, odwiedzała posiadłości, aby projektować w nich nowe pokoje, nawet latała do Nowego Jorku załatwiać zakupy dla klientów, gdzie dwukrotnie spotkała się ze Stefanią. Mimo nawału zajęć wciąż tryskała życiem i urodą, podczas gdy Stefania szarzała w domu w Evanston.

Sabrina objęła ją ramieniem.

— Czy nie możesz przeznaczyć trochę czasu dla siebie? Nie gracie już z Garthem w tenisa?

— Od wieków nam się to nie zdarzyło. Kiedyś próbował mnie wyciągać, ale zawsze mam robotę w domu lub przy dzieciach, więc w końcu zaczął umawiać się systematycznie z przyjaciółmi.

Zamilkły patrząc na swoje odbicia.

— Jak to się mogło stać tak nagle? — spytała Sabrina.

— To wcale nie było nagle. Zaczęło się psuć już w zeszłym roku.

— Nic mi nie mówiłaś, że tak kiepsko ci się wiedzie.

— Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Jej świat wydawał się tak kruchy i niestabilny, obawiała się, że gdy zacznie o tym mówić, wszystko wokół niej runie. Penny i Cliff dorastali i rzadko ich widywała. Garth był pochłonięty pracą. Otworzyła własne biuro organizujące wyprzedaże na przedmieściach miast północnego wybrzeża. Przez jakiś czas interesy szły tak dobrze, że ledwo mogła nadążyć z robotą, a później, nie wiadomo dlaczego, nastąpił zastój.

— Jak tam twoje biuro? — spytała Sabrina. Stefania aż podskoczyła.

— Właśnie o tym myślałam... Nie tak dobrze jak kiedyś. — Odwróciła się, żeby dokończyć rozpakowywania. Sabrina przysiadła na poręczu fotela.

— Ale jesteś w tym dobra. Znasz się na swojej robocie.

— Daję sobie radę ze wszystkim z wyjątkiem ludzi. Wciąż myślę, jak świetnie ty byś sobie poradziła z wy tłumaczeniem pani Jakiej ś-tam, że jej chochla do zupy nie pochodzi z okresu georgiańskiego, lecz jest wczesnym Woolworthem, i że musisz napisać na metce cenę dolar dziewięćdziesiąt pięć, a nie sto piętnaście dolarów. Czy zdążę się przebrać przed lunchem? — Sabrina skinęła głową, a Stefania ciągnęła: — Zawsze czuję się skępowana, gdy muszę powiedzieć ludziom, że niestety nie mają, jak sobie wyobrażali, fortuny. Zwlekam, mówię, że zasięgnę opinii, i po jakimś czasie chyba zaczynają myśleć, iż nie znam się na swojej pracy. Czy ten sweter i spódnica będą odpowiednie? Czuję się taka zaniedbana.

— Wyglądasz świetnie. Wychodzimy dopiero wieczorem.

— Wychodzimy wieczorem?

— Mamy obejrzeć sztukę, a potem będzie przyjęcie z udziałem autora i aktorów.

— Sabrino, nie mogę pójść, nie mam w co się ubrać.

— Mogę ci pożyczyć jedną ze swoich...

— Już nie. Kiedyś mogłyśmy tak zrobić, ale teraz jestem od ciebie grubsza o dwa rozmiary.

— Coś znajdziemy. Sądziłam, że zechcesz poznać moich przyjaciół i obejrzeć trochę Londyn.

— Och, z pewnością. Ale...

— Stefanio, będziemy robić, co zechcesz. Najpierw coś zjedzmy, a potem to omówimy. Lecz przede wszystkim powiedz mi coś więcej o tym, co zdarzyło się w ciągu ostatniego roku.

Zeszły na dół.

— To był taki dziwny rok. Nic nie układało się dobrze, i chyba trochę pozostawiłam rzeczy ich biegowi. Nie zdawałam sobie tylko do tej pory sprawy, jak daleko zaszły.

Sabrina zawahała się.

— A Garth?

Stefania wzruszyła ramionami.

— Co o nim można powiedzieć? Wciąż siedzi zagrzebany w laboratorium, nawet wieczorami, jest członkiem jakiejś tam komisji na wydziale i ma konsultacje ze studentami.

W salonie na okrągłym stoliku pod oknem stały przygotowane przez panią Thirkell zupa z ostryg, sałatka, białe wino i zimowe gruszki.

— Niepotrzebny ci jest Garth, żeby grać w tenisa — powiedziała Sabrina, gdy usiadły do posiłku. — Albo do tego, żeby uczesać włosy czy wyskrobać trochę czasu dla siebie. Czy nie możesz więcej o sobie myśleć?

— A cóż za różnica? Jasne, że nie jestem zadowolona z własnego wyglądu, ale nigdy nie chodzimy w takie miejsca, żebym musiała się specjalnie stroić. Odwiedzamy tylko przyjaciół albo idziemy do kina. Co do Gartha, to nie pamiętam, kiedy ostatni raz spojrzał na mnie. A Penny i Cliff— och, dzieci w wieku dziesięciu i jedenastu lat są tak sobą zajęte. Jestem dla nich meblem, który wymijają i biegną na dwór do swoich kolegów. Co ich obchodzi moja nadwaga? Przepraszam, nie powinnam ciągle jęczeć. Mam dom i rodzinę, którą kocham i która jest szczęśliwsza niż większość innych. Prawie nigdy się nie kłócimy. Lecz mój wygląd, Sabrino, prawdę powiedziawszy nikogo nie obchodzi. Więc nie warto się zameczać dietą i gimnastyką ani troszczyć o nowe ubrania.

— Mnie to obchodzi — rzekła Sabrina. — Uważam, że jesteś dla siebie niesprawiedliwa. Jeśli Garth jest na tyle szalony, że nie zwraca na ciebie uwagi, to czy nie powinnaś troszczyć się sama o siebie w dwójnasób?

Stefania spojrzała na siostrę i pokręciła głową ze zdumieniem.

— Tak mnie zawsze wciąga to domowe życie, że zapominam, jak cudownie jest być z tobą. Czemu tak długo zwlekałam z przyjazdem do Londynu?

— Z braku pieniędzy, jak twierdziłaś, i nie pozwoliłaś mi kupić ci biletu.

— Tak, bo mogłabym popaść w nawyk przyjmowania od ciebie różnych rzeczy, a to byłoby straszne. Lecz gdyby Garth przyjmował częściej zaproszenia na konferencje w Europie, bywałabym tu czasem z nim korzystając ze zniżkowych biletów. W gruncie rzeczy mogłabym się tu przeprowadzić na stałe. Powiedziałam ci już, że wcieliłaś w życie dom moich marzeń, prawda?

Sabrina przeprosiła na chwilę Michela Bernarda i przyjęła od Briana listę spraw pozostawionych do jej decyzji. Przejrzała ją spieszenie.

— Powiedz „tak” OHvii Chasson; „nie” Peterowi i Rose Raddi-sonom; „tak” księżnej, ale uprzedź ją, że będę mogła zacząć pracę w przyszłym miesiącu, a możliwe, że dopiero w sierpniu; „nie”

Nicholasowi i Amelii Blackfordom, ale przekaż, że z przyjemnością przyjadę do nich w przyszłym miesiącu na weekend, gdy będę miała mniej spraw na głowie. Antonio przesuwam spotkanie z wpół do dziewiątej na ósmą? W porządku. Jak już załatwisz się z tym, możesz wracać do domu. Ja zamknę sklep. Odwróciła się do Michela.

— O czym to mówiliśmy?

— O pewnym moim artykule. Przy tobie czuję się jak ślimak. Czy zawsze realizujesz tuzin projektów naraz?

— Ostatnio tak. Niewiarygodne, co?

— To ty jesteś niewiarygodna. Czy wiesz, że szukając materiału do tego artykułu, w całej Europie, gdziekolwiek się udaliśmy, wszędzie słyszeliśmy o tobie i **Ambasadorze!**

Sabrina wciągnęła głęboko powietrze w płuca. Kochany Michel, jak to dobrze, że to powiedział. Był jej dobrym przyjacielem już w Paryżu i wraz z Jolie Fantome, z którą już wtedy mieszkał, dopuszczali ją do swojej małej rodziny, ilekroć czuła się samotna. Teraz pisywali do niej i pojawiali się co jakiś czas w jej życiu, w przerwach między kolejnymi gonitwami za tematami, których szukali po całym świecie. Od miesiący nie miała od nich żadnych wiadomości, aż niedawno Michel zadzwonił, prosząc o informacje, które miały im pomóc w dochodzeniu na temat wzrastającej fali międzynarodowych fałszerstw w małych galeriach sztuki.

Spośród przyjaciół Sabriny tylko Jolie i Michel, podobnie jak ona, musieli zarabiać na życie. Przy nich mogła się odprężyć i bezpiecznie objawiać swój entuzjazm, co było nie do pomyślenia wobec bogatych klientów i przyjaciół, którzy oczekiwali po niej, że będzie traktowała pieniądze równie nonszalancko jak oni.

— Naprawdę słyszałeś za granicą o **Ambasadorze!** To mnie zastanawia: w ostatnim tygodniu dzwonili do mnie z Paryża i Brukseli. Och, Michel, jak się człowiek powinien zachować, gdy spełnią się za jednym zamachem wszystkie jego marzenia?

— Cieszyć się, ile wlezie. Zasłużyłaś sobie na ten sukces. To wyłącznie twoje dzieło.

— Czasem jednak się boję: wszystko dzieje się zbyt szybko. Czy znasz stary chiński przesąd, według którego gdy spojrzysz wprost na coś pięknego, to coś znika? Można zerknąć ukradkiem, ale nie wolno się otwarcie gapić, bo piękne rzeczy są delikatne i przemijające i brutalne spojrzenie może je zniszczyć. Czuję coś podobnego w związku z moim życiem. Jeśli zacznę o nim mówić albo przypatrywać mu się ze zbyt bliska, wszystko może się zawalić.

Michel wzruszył ramionami. W nowoczesnym dziennikarstwie nie było miejsca na przesady.

— Dzięki własnej pracy stałaś się jedną z najbardziej znanych kobiet sukcesu w Londynie. Nie wygląda na to, żeby twoja kariera miała się zawalić. Kim jest Antonio?

— Kto?

— Antonio. Ósma zamiast wpół do dziewiątej. Ale może jestem zbyt wścibski?

— Och. To przyjaciel.

— Aha. To znaczy, że jestem wścibski. Cóż, zostawiając romanse na boku, osiągnęłaś sukces, jesteś sławna i bez wątpienia masz niezłe dochody. Czego jeszcze można pragnąć?

— Pracy. Którą mam również. Mojej własnej pracy, którą lubię i dobrze ją wykonuję. To najlepsze ze wszystkiego.

— Najlepsza ze wszystkiego — wtrąciła Jolie, wchodząc do biura — jest niezależność. Zwłaszcza po tym małym dyktatorze, za którego wyszłaś, i jego metodzie prowadzenia na pasku.

— Najlepsze ze wszystkiego są pieniądze — stwierdził Michel. — Spróbuj kupić coś do jedzenia za swoją niezależność.

— O, Boże, on znowu o tym sa...

— Nie chcę wam przeszkadzać — powiedziała Sabrina, podnosząc się na dźwięk dzwonka. — Wstrzymajcie się tylko z rzucaniem w siebie przedmiotami do chwili, gdy mój klient wyjdzie.

W miękkim świetle galerii Rory Carr podziwiał stożkowaty francuski zegar stojący, którego okrągły cyferblat otaczały porcelanowe amorki.

— Przepiękny, milady — rzekł, schylając się nisko nad jej ręką. — Zapewne z majątku hrabiny du Verne? Sabrina uśmiechnęła się.

— Zawsze mnie pan zdumiewa, panie Carr. Nie widziałam pana na aukcji.

— Znam tę rodzinę od lat, milady. Spotkałem ich w zeszłym tygodniu w Paryżu, a młody książę przesyła pani wyrazy uszanowania. Lecz dziś jestem tu w interesach, chcę pokazać pani prawdziwą rzadkość. Czy mogę?

Na przyzwalające skinienie postawił skórzaną teczkę na biurku i otworzył ją. Wyjąwszy ze środka dużą paczkę, odwinął ją wolnymi, płynnymi ruchami. Sabrina podziwiała jego wyczucie dramatyzmu. Nienagannie ubrany, o srebrnych włosach i miękkich workach pod oczami, był efekciarzem, ale znał się na sztuce i w ciągu ostatniego roku sprzedał jej sześć wspaniałych okazów osiemnastowiecznej

porcelany. W przeciwieństwie do niektórych przedmiotów, zalegających długo w sklepie, prawie natychmiast znalazły nabywców.

Carr z namaszczeniem postawił na stole secesyjną figurkę: przypominający pagodę letni domek z rzeźbionymi schodkami i czterech chłopców w słomkowych kapeluszach, niosących siatki na motyle i koszyki jagód. Ubrania chłopców białe i żółte, pagoda z kratową konstrukcją i ozdobnym dachem w czystych podstawowych kolorach.

— Liick — wymruczała Sabrina.

Dawno temu Laura pokazywała jej i Stefanii w berlińskim muzeum figurki wykonane przez Lucka i innych artystów z fabryki porcelany Frankenthala w drugiej połowie osiemnastego wieku. Sabrina uniosła figurkę, żeby zobaczyć wyciśnięty na spodzie znak firmowy Frankenthala, koronę nad gotyckim F.

— Właściciele? — spytała. Carr podał jej zwinięty dokument, na który rzuciła okiem.

— Sądzę, że zdecydowali się na sprzedaż tylko ze względu na okrutne okoliczności. Jak pani widzi, to wyjątkowo piękny okaz. Sabrina obejrzała dokładnie figurkę.

— Ile?

— Cena jest dość wysoka. Cztery tysiące funtów. W twarzy Sabriny nie drgnął ani jeden muskuł.

— Trzy tysiące.

— Och, milady, doprawdy... No, jak dla pani, trzy i pół tysiąca.

— Jutro wyślę panu czek — odparła. Skłonił się.

— Zachwycająca lady Longworth. Oby wszyscy podejmowali decyzje równie szybko jak pani! Życzę dobrego dnia. — Sabrino — odezwał się Michel, gdy za Carrem zamknęły się drzwi. — Czy często robisz z nim interesy?

Odwróciła się.

— W ciągu ostatniego roku kilka razy. Znasz go?

— Rory Carr, zgadza się?

— A więc go znasz.

— Natknęliśmy się na niego jakiś czas temu.

— Niedawno?

Skinął głową. Sabrinę przejęło nagle zimno. Przesunęła palcem po chłodnej porcelanie: wspaniałe kolory, świetna gra cieni na delikatnej konstrukcji małego domku.

— Jak na niego natrafiliście? — Przez przedsiębiorstwo, w którym pracuje, *Westbridge Imports*. Wysokiej klasy przedmioty z całego świata, nowe i zabytkowe,

sprzedawane za pośrednictwem małych galerii, takich jak *Ambasador*. Okazało się, że w tym koszu trafiają się zgniłe jabłka.

— Falszowane okazy?

— Do tej pory odkryliśmy siedem takich, które w pewnym punkcie łączą się z *Westbridge*. Tak przy okazji: to jest ściśle poufne.

— Ale to nie znaczy, że Rory Carr...

— Zgadza się. Ktoś mógł go nabrać. Choć nie wygląda na głupca i służy za łącznika z galeriami. Dowiemy się więcej, gdy wykryjemy człowieka z forszą, który kryje się za *Westbridge* i kilkoma innymi zajmującymi się importem firmami w Ameryce i Europie. Mamy je na oku. Teraz wiemy jedynie, że na papierze właścicielem *Westbridge* jest facet nazwiskiem Ivan Lazło.

Sabrina powtórzyła to nazwisko.

— Gdzieś je słyszałam, ale to było dawno. We Francji? Włoszech? Nie mogę sobie przypomnieć.

— Cóż, jeśli sobie przypomnisz, daj nam znać. I uważaj na to, co przynosi ci Carr. Co z przedmiotami, które przyniósł ci do tej pory? Zamknęła oczy.

— Miały certyfikaty własności. Znaki firmowe na ceramice były autentyczne. Zawsze, jak to powiedziałaś, uważam na to, co sprzedaję. Nie przetrwałabym tygodnia, gdyby moi klienci wątpili w moją ocenę.

— Hejże, nie chciałem przez to powiedzieć...

— Milady. — W drzwiach biura stanął Brian. — Dzwoni señor Moleña.

— Przyjaciel. — Michel pocałował Sabrinę w policzek. — Będziemy lecieć.

Antonio Moleña wykonywał tuziny telefonów dziennie: w Brazylii kierując swoją firmą lub podczas pobytów w Londynie, rozmawiając ze swoimi menedżerami za oceanem i ustalając spotkania z finansistami, przyjaciółmi i kochankami w Europie. Ten milioner, który sam doszedł do wszystkiego, odznaczający się bezwzględnością odziedziczoną po portugalskim ojcu i skłonnością do mistycyzmu przejętą od indiańskiej matki, doczekał wieku pięćdziesięciu jeden lat, aby wreszcie znaleźć odpowiednią kobietę, zdolną do odegrania roli ozdoby jego imperium. Spotkał Sabrinę na przyjęciu noworocznym w wiejskiej rezydencji Olivii Chasson i w ciągu dziesięciu minut, kiedy rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy przechodził w rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewiąty, podjął decyzję. Postanowił się ożenić i mieć pierwszego syna.

Odprawił swoje kochanki, obdarzając je stosownymi prezentami, i natarł na Sabrinę niczym wielki drapieżny ptak, którego przypominał,



prześladując ją z uporem, dzięki któremu stał się panem rozległych plantacji kawy w prowincji Bania i hodowli bydła w położonej w głębi ładu prowincji Serro de Amambai. Spodziewał się, że w krótkim czasie wezmą ślub, Sabrina zajmie się prowadzeniem domu w Rio de Janeiro i będą oczekiwać narodzin syna. Zamiast tego musiał tkwić w Londynie i stosować się do jej rozkładu zajęć, czekając aż skłoni ją, aby przyjęła oświadczyzny.

Sabrina nie mogła się jakoś na to zdecydować.

Przyjaciele mówili, że Antonio ma wszystko, czego kobieta może zapragnąć: niezmierne bogactwa i potęgę. Był nowoczesnym księciem, latał własnym samolotem, lecz w rozmowie przytaczał tu i tam starodawne legendy plemienia swojej matki i babki.

— To lepiej, że mnie na razie nie kochasz — powiedział Sabrinie. — Bogowie Guarani mówią, że miłość powinna przyjść na ostatku, nie na początku. Rozwija się stopniowo w miarę dzielenia się wszystkim i współtworzenia. Gdy ludzie żyją razem i tworzą rodzinę, przychodzi do nich miłość.

Sfery towarzyskie czekały na następne małżeństwo Sabriny. Na każdym przyjęciu kojarzono ją z kimś nowym w nieustannej grze swatów „każdy z każdym”. Antonio górował nad innymi swoim zdecydowaniem w zalotach, pewnością co do ich wspólnej przyszłości, silną osobowością. Był zarazem mistykiem i człowiekiem praktycznym, biznesmenem i playboyem. Widziano ich razem w wielu miejscach, które kiedyś pokazywał jej z dumą Denton, lecz Antonio pracował równie ciężko, jak beztrosko się bawił. W przerwach między festiwalami filmowymi, wyścigami samochodowymi, balami, wyścigami konnymi i weekendami na wsi leciał do Brazylii, by pracować bite dwadzieścia cztery godziny, albo zamykał się w londyńskim apartamencie, gdzie odbywał telefoniczny maraton i dyktował swojemu sztabowi sekretarzy w Rio długie dokumenty.

Codziennie dzwonił też do Sabriny, aby przypomnieć jej, że czeka.

Lecz ona była ostrożna.

— W końcu kiedyś przecież uważałam, że ślub z Dentonem to również całkiem dobry pomysł — zwierzyła się Aleksandrze.

Aleksandra w odpowiedzi parsknęła.

— Byłaś wtedy młoda i niewinna. Zależna od innych. Teraz jesteś samodzielna, masz własny interes, dom i mnie do udzielania rad.

— W porządku, udzielaj. Dlaczego miałabym wyjść za Antonia?

— Bo, tak jak my wszystkie, najszcześniejsza będziesz z mężczyzną przy boku.

— Z byle jakim mężczyzną?

— Skarbie, Sabrina Longworth nie musi się zadowalać byle jakim mężczyzną. Twój Antonio jest bardzo rzadkim ptakiem.

Pracował nad projektem budowy wiosek, szpitali i szkół dla wieśniaków w brazylijskich prowincjach, które mu były podległe. Jego celem było powstrzymanie ich od zrzeszania się przeciwko niemu samemu i innym posiadaczom ziemskim, lecz oficjalnie twierdził, że chciałby jedynie przywrócić biednym godność i zapewnić im wygodne życie. Był to poważny zamysł, a w jego realizacji Sabrina miałyby swój udział. Oprócz wychowania ich dzieci i spełniania roli gospodyni pomogłaby mu dźwignąć na wyższy poziom życie tysięcy ludzi.

— Król Antonio Pierwszy — mówiła Sabrina żartem do Aleksandry, lecz nigdy nie powiedziała tego w obecności Antonia. Podchodził do swego projektu bardzo serio. Może to i prawda, że te tysiące wieśniaków wyjdą dobrze na tym, że on pokieruje ich życiem.

— Po prostu nie chcę, żeby kierował moim — powiedziała Aleksandrze.

Gdy pierwszy raz znalazła się w jego łóżku, w londyńskim apartamencie, zaskoczył ją łagodny dotyk jego rąk, pieszczących ją wolno, miarowo, w zmysłowym rytmie równie natarczywym jak jego zaloty. Wzbudził w niej takie pożądanie, że sama wciągnęła go w siebie. A gdy pozwolił jej prowadzić się ruchami jej ciała, zamiast zmuszać do podporządkowania się, jak to robił Denton, zaspokoił wreszcie jej pragnienie, które Denton tylko przytępił. Sabrina pierwszy raz zrozumiała, co oznacza wdzięczność seksualna.

— Lecz jeśli wyjdę znów za mąż — powiedziała Aleksandrze — to nie z wdzięczności, lecz z miłości.

Wiedziała, na czym polega miłość: na dzieleniu się z drugim człowiekiem. Nauczyła się tego obcując ze Stefanią. Podczas lat samotnego życia szukała kogoś, kto pragnął towarzysza, a nie pięknej ozdoby; kogoś, kto ukoi jej lęki, zamiast tylko podziwiać jej umiejętności; kogoś, kto chce troskliwości, a nie jej statusu i pozycji towarzyskiej; kogoś, kto będzie nad nią roztaczał czułą opiekę, lecz nie będzie wymagał, by dostosowała do niego swoje życie. Wiedziała, na czym polega wzajemność, i jakoś jej to nie pasowało do Antonia.

Tuż po ostrzeżeniu Michela na temat Rory'ego Carra zadzwonił Antonio. Może coś było w tych Indianach Guarani? Może to był omen? A nuż Antonio przejmie się jej kłopotami i pomoże je rozwiązać? Najwyższa pora przekonać się o tym. Żywym krokiem poszła odebrać telefon.

Garth otworzył okno biura i poczuł powiew wiatru od jeziora. Poranne słońce wspinało się po niebie. Już o tak wczesnej porze upał był większy niż zazwyczaj w końcu maja. Kilkoro studentów siedziało na skałach wzdłuż brzegu, machając gołymi stopami i pokrzykując, gdy palce zanurzały się w lodowatej wodzie. Nad grupkami uczących się do sesji żeglowały „latające talerze”, rowerzyści przejeżdżali koło zakochanych par, które spacerowały pod drzewami, objęte, z dłońmi w tylnych kieszeniach dżinsów swoich partnerów. W powietrzu pachniało latem: w taki czas powinno się siedzieć na dworze. Lecz Garth miał umówione spotkanie. Grzebał w papierach, szukając swojej teczki na temat Vivian Goodman. Jeśli mu się poszczęści, może uda mu się wykroić krótki spacer przed zajęciami o drugiej. Był w połowie drogi do drzwi, gdy zadzwonił telefon.

— Garth — usłyszał głos Stefanii — muszę porozmawiać z tobą o Cliffie.

— Mam spotkanie z dziekanem. Zadzwonię do ciebie za...

— Nie, to jedyna chwila, gdy jestem sama w biurze, wszyscy wcześniej wyszli na lunch. Garth, proszę.

— Cóż, jeśli nie można z tym poczekać do wieczora. Co on zmalował?

— Sądzę, że kradnie.

— Kradnie? Nie wierzę. Dlaczego tak myślisz?

— Dziś rano znalazłam w jego szafce pod ubraniami radio i dwa kalkulatory. Miałam zamiar zrobić pranie...

— Pod ubraniami?

— Tak. Jeszcze w opakowaniach. Nikt ich nie otwierał.

— Nie wierzę własnym uszom... On ich nie ukradł.

— Więc skąd się tam wzięły?

— Może to rzeczy jego przyjaciół.

— Garth, on je u k r y ł.

— Dobrze, jak się to stało według ciebie?

— Ktoś u mnie w biurze mówił, że dzieci kradną różne rzeczy, a potem je sprzedają.

— Po co mu to? Dostaje kieszonkowe i zarabiał sobie dodatkowo przez cały rok sprzątaniem piwnic i strychów. A zresztą, na cóż mogą być potrzebne pieniądze dzieciakowi, który chodzi do szóstej klasy? Myślałem, że nawet jego najbogatsi przyjaciele muszą poczekać na swojego pierwszego mercedesa, aż będą w siódmej.

— Garth, nie żartuj, to nie jest śmieszne.

— Ani mi to w głowie. Stefanio, Cliff to solidny, uczciwy chłopak.

Nie jest złodziejem. Ale wydaje mi się, że może zazdrościć tym wszystkim zamożnym dzieciom z jego szkoły. Albo może się wstydzi. Jeśli jacyś jego przyjaciele zrobili sobie hobby z popełniania drobnych kradzieży, mogli go namówić, żeby do nich dołączył. Pytałaś go, co myśli o swoich rozpuszczonych kolegach z klasy, którzy mogą sobie kupić wszystko?

— A czy ty go pytałaś?

— Gdyby tak było, znałbym odpowiedź. Stefanio. Przepraszam, ale już jestem spóźniony. Porozmawiamy wieczorem.

— Chcę, żebyś wrócił wcześniej i pomówił z Cliffem. Pomyślałaś nagle, że on może być zazdrosny? Mnie przyszło to do głowy już dawno. W ogóle z nim nie rozmawiasz: czy wiesz, co on myśli?

— Nie zawsze, ale on ma prawo do swoich sekretów. Ja w jego wieku uważałem rodziców za wścibskich intruzów. Czy Cliff wie, że wchodzisz do jego pokoju?

— Nie, i nie mów mu o tym. Powiedział mi, że bym tego nie robiła.

— No więc jak mam z nim rozmawiać o tych łupach?

— Coś wymyślisz. Nie możemy tego puścić płazem, Garth. Kiedy będziesz w domu?

— Około szóstej.

Pognał na górę po schodach. William Webster, dziekan wydziału nauk ścisłych, czekał już na niego za swoim biurkiem, spowity w obłok dymu z fajki. Garth otworzył teczkę i usiadł.

— Bill, chcę cię prosić, żebyś zmienił decyzję komisji kwalifikacyjnej w sprawie Vivian Goodman.

— Tak sądziłem. — Webster odchylił się na oparcie, a krzesło zaskrzypiało pod jego solidnym ciężarem. Był dobronudnym mężczyzną z brzuszkiem, świadczącym o wygodnym trybie życia, i łysą głową, która lśniła samozadowoleniem. I nie lubił różnicy zdań. W ciągu tygodnia usiłował spławić Gartha odsyłając go na rozmowę ze swoim zastępcą, lecz jedenaście lat spędzonych na uniwersytecie nauczyło Gartha odpowiednich manewrów taktycznych. Siedząc przed zasłoną dymną, którą Webster odgradzał się od świata, czekał, aż dziekan przemówi na temat Vivian Goodman.

— Zwołałaś dwa zebrania z jej powodu. Czytałaś jej prace i książkę o technikach badawczych. Czytałaś opinie innych biochemików. — Garth skinął głową. — Więc wszystko odbyło się zgodnie z procedurą. Zaś w wyniku głosowania jedenaście głosów przeciwko dziewięciu odmówiło przyznania jej stałej profesury, zarazem usuwając ją z wydziału. Garth, wiesz, że przyznanie etatu na uniwersytecie jest jak małżeństwo: zapewnia profesorowi pracę do końca życia, na zawsze

wciela go do uczelnianej rodziny. Trzeba całkowitej pewności, że ktoś się nadaje, żeby zdecydować się na ten krok, zatwierdzić go.

— Lub ją.

— Powiedziano mi — ciągnął Webster, ignorując słowa Gartha — że opublikowane prace pani Goodman są napisane nieco mętnie, a jej książka nie odkrywa żadnych nowych horyzontów. Jej najgorętszymi zwolennikami są, jak się zdaje, jej studenci. Co, oczywiście, niewiele znaczy. Mój Boże, nikt nie cieszył się większą popularnością wśród studentów niż ty, mój chłopcze, lecz nigdy nie dostałbyś etatu, gdyby twoja praca badawcza i naukowa nie była pierwszej klasy. Jesteśmy dumni, mając cię wśród nas. Studenci wciąż cię lubią, podobnie jak pracownicy katedry. Gdybyś był bardziej ambitny, mógłbyś wysadzić mnie z mojego stołka — zaśmiał się dobrodusznie. — Na szczęście wolisz swoje laboratorium. No cóż, przyjemnie mi się z tobą gawędziło. Szkoda, że pani Goodman musi wyjechać, ale znajdzie sobie inną pracę, a my jakoś pociągniemy bez niej. Cieszę się, że wpadłeś, Garth.

Garth wciąż siedział jak wmurowany, mimo że Webster podniósł się w oparach dymu, żeby odprowadzić go do drzwi.

— Usiądź na chwilę, Billu — powiedział cicho. Webster zawahał się, nasrożył brwi i usiadł. — Vivian jest tak samo dobrym fachowcem w biochemii jak większość ludzi pracujących na wydziale. Jej prace nie są mętne, lecz napisane z wielką skrupulatnością. To prawda, że nie jest wizjonerką, lecz ilu jest takich? Większość osób na wydziale, z którymi, jak twierdzisz, zawarłem jakiś mistyczny związek małżeński, wciąż przykrawa na nowo stare pomysły, zamiast torować drogę nowym. Rzecz w tym, że Vivian odrzucono, ponieważ jest kobietą.

— Och, daj spokój, powinieneś się wstydzić, mój chłopcze! Dobrze wiesz, że nie toleruję takich uprzedzeń. Nie pozwolę się o to oskarżać. Pani Goodman została potraktowana jak każdy inny członek wydziału, a głosowanie zadecydowało na jej niekorzyść. Nie dam się nakłonić do tego, aby przyznać komuś profesurę tylko dlatego, że ten ktoś jest kobietą, pomijając dorobek...

— Powiedziałem ci, że jej dorobek jest całkiem zadowalający.

— To twoje zdanie. Lecz inni...

— Potwierdzają je oceny z innych uniwersytetów.

— Lecz twoja komisja, Garth, twoja własna komisja przeprowadziła głosowanie. Jak miałbym podważyć ich decyzję? Osobiście nie czytałem prac pani Goodman, lecz doświadczenie mi mówi, że ktoś obarczony domem, mężem i dwójką dzieci nie może pracować równie dobrze jak mężczyźni, którzy wkładają w pracę stuprocentowy wysiłek.

To nie jest krytyka. Poznałem panią Goodman; jest osobą atrakcyjną i bardzo inteligentną. Lecz nie możemy zamykać oczu na fakt, jak wiele czasu musi poświęcać na inne zajęcia. Ponosimy odpowiedzialność wobec nauki.

Garth starał się mówić spokojnym, zrównoważonym głosem.

— Bill, jedenastu mężczyzn głosowało przeciwko awansowaniu kobiety, która jest równie dobrym naukowcem jak większość z nich oraz lepszym wykładowcą. Nie mogę udawać przed samym sobą, że to zwykła procedura. Wnoszę formalną prośbę, żebyś zmienił tę decyzję. — Wyciągnął teczkę. — Napisałem protokół mniejszości, podpisany przez całą naszą dziewiątkę. Zawiera listę kobiet, którym odmówiono stanowiska w ciągu ostatnich dwunastu lat. Oraz opis ich dorobku naukowego. Zostawię ci to i wpadnę za tydzień, żeby o tym porozmawiać.

Webster splótł ręce na piersiach.

— Garth, obawiam się, że nie będę w stanie tego przeczytać. Naprawdę mi przykro, ale jutro wyjeżdżam. Krótka podróż w sprawach zawodowych.

Garth po chwili cofnął rękę z dokumentem.

— W takim razie będę musiał zanieść to do zastępcy rektora, sam chyba rozumiesz, Bill?

— Garth, co cię opętało? Dlaczego uparłeś się odgrywać kowboja na białym koniu? Nie mów mi tylko, że masz coś z tą kobietą. Odwołując się do wyższego szczebla, zrobisz tylko z siebie głupca. A jeśli dojdzie do bitwy, mogę zmobilizować przeciw tobie całkiem spore siły.

Garth wstał. Górował teraz nad dziekanem. Jego ciemne oczy płonęły, lecz głos był cichy.

— W ciągu niespełna minuty nazwałeś mnie kowbojem, głupcem, kłamcą i cudzołożnikiem. Musi to być swego rodzaju rekord, Bill. Przyjemnej podróży.

Webster zawołał za nim „mój chłopcze!”, lecz Garth już wyszedł. Przemaszerował długimi krokami przez korytarz, potem po schodach zbiegł w dół na następny korytarz i wszedł do swego gabinetu. W kącie przy biurku stała jego rakietka tenisowa. Podniósł ją i wściekłymi ruchami zaczął uderzać w niewidzialną piłkę.

— Przeklęty idiota! Dureń! Obnosi się z tą swoją monumentalną głupotą...

— Och, przepraszam — usłyszał za sobą pełen zaskoczenia głos. Gdy się odwrócił, ujrzał różową twarz Rity McMillan, seniorki, która chodziła na jego zajęcia z genetyki.

Uśmiechnął się i opuścił raketę.

— To rozładowuje wojowniczy nastrój. W czym mogę ci pomóc, Rito? Usiądź: nie jestem niebezpieczny.

Usiadła na brzeжку krzesła.

— Chodzi o... końcową pracę pisemną.

— Wybrałaś pracę pisemną zamiast egzaminu?

— No cóż, pomyślałam, że tak będzie lepiej, bo ja chyba się zacinam na egzaminach?

Skinął głową, zastanawiając się, dlaczego studenci tak często kończyli zdanie pytającą nutą, jakby czekając na potwierdzenie, że naprawdę mają na myśli to, co mówią.

— Ale teraz mam kłopoty z pracą pisemną.

— Więc zapisz się na egzamin. Możesz przecież zmienić decyzję. Jej wielkie oczy wypełniły się łzami.

— Boję się, że nie uda mi się ani to, ani to.

— To znaczy, chcesz częściowego zaliczenia, żeby móc skończyć kurs w tym roku.

— Nie, wtedy nie dostałabym dyplomu, a moi rodzice... — Łzy stoczyły się z jej oczu okrągłymi kropelkami.

Wytarła je małą chusteczką.

Garth zmarszczył brwi.

— Co w takim razie masz zamiar zrobić? Zerknęła na niego bacznie przez łzy.

— Pamięta pan, jak spotykaliśmy się na kawie i mówili o moim projekcie badawczym? Myślałam sobie o tych spotkaniach. Wie pan, to były chyba najprzyjemniejsze chwile w moim życiu. A wtedy, pan pamięta, gdy piliśmy razem herbatę w klubie studenckim? Rozmawialiśmy i rozmawialiśmy, i widziałam, wie pan... że bardzo mnie pan polubił i... no, w każdym razie, wie pan, niektóre dziewczyny powiedziały mi... pan wie, nie z tego wydziału, z paru innych... no, one... to znaczy, ich profesory są... no, wie pan, chcę powiedzieć, że moglibyśmy znów wypić kawę... tym razem w moim pokoju... i moglibyśmy... to znaczy ja bym mogła... pokazać swoją pracę? To znaczy... ona jest nie skończona, ale mógłby pan mi dać, powiedzmy, tróję, i wie pan, mogłabym zrobić dyplom i... och, niech pan tak na mnie nie patrzy...!

Stłumiony gniew, jaki Garth nosił w sobie od spotkania w biurze dziekana, wybuchł w nim teraz.

— Ty głupia, mała idiotko! Ty... dziwko! — Przemierzał pokój do okna i z powrotem. — Chcesz się sprzedać za stopień, podczas gdy inne kobiety wychodzą z siebie, żeby dostać stopień naukowy, dobrą pensję, etat... i są traktowane przez obłudnych mężczyzn. Ale ty wiesz,

jak dopiąć swego, prawda? Niepotrzebna ci inteligencja, tylko trochę łez i cipka — o mój Boże! — Wciągnął głęboko oddech i przesunawszy się koło niej stanął przy drzwiach. — Lepiej już idź. Dam ci niepełne zaliczenie, skoro nie jesteś w stanie skończyć swojej pracy ani zdać egzaminu, ale to wszystko, co mogę zrobić. A teraz idź. Wynoś się stąd!

Prześliznęła się obok niego. Oczy miała szeroko otwarte, lecz nie ze strachu, a ze zdziwienia. Oczekiwała po nim innej reakcji. Czy naprawdę dał jej powody...? W tej chwili zadzwonił telefon. Chwycił słuchawkę.

— Andersen — warknął.

— Profesor Andersen? Proszę poczekać, będzie mówił pan Kallen. Kallen? Co to za jeden, u diabła...?

— Profesorze Andersen, mówi Horace Kallen, prezes *Foster Laboratories* w Stamford, Connecticut. Rok temu brał pan udział w sponsorowanym przez nas seminarium w Chicago.

— Panie Kallen, za pięć minut mam zajęcia.

— W takim razie nie będę pana zatrzymywał. W przyszłym tygodniu będę w Chicago i zastanawiałem się, czy nie moglibyśmy umówić się na lunch.

Garth zaczął słuchać uważniej. Prezesi międzynarodowych firm nie zapraszali zazwyczaj zwykłych profesorków na lunch: robiły to ich sekretarki.

— Chyba tak — odparł. — Lecz jeśli chodzi o następne seminarium...

— Ależ nie. — W słuchawce rozległ się śmiech. — Chcielibyśmy porozmawiać z panem na temat stanowiska, jakie panu pragniemy zaoferować tutaj, w Stamford, stanowiska dyrektora naszego nowego działu badawczego. Sprawdzamy kilku innych kandydatów, lecz pan jest pierwszy na naszej liście.

W budynku administracyjnym dwukrotnie zabrzączał dzwonek.

— Kiedy będzie pan w Chicago? — spytał Garth.

— We wtorek. Powiedzmy, o pierwszej w *Ritz-Carltonie!*

— Dobrze.

Po powrocie do domu, siedząc na kanapce w kuchni, opowiedział o tym Stefanii, gdy przygotowywała obiad.

— Rok temu nawet bym się nie zastanawiał nad taką propozycją. Ale teraz, gdy Bill zagroził mi, że zacznę ze mną walczyć...

— Ile byś zarabiał? — spytała Stefania. Odwrócona do niego lylem kroila warzywa.

— Nie wiem. Czy naprawdę chciałabyś przeprowadzić się do Connecticut?

— Choćby jutro.



Zaskoczyła go zaciętość w jej głosie.

— Przecież lubisz Evanston. Mamy tu przyjaciół, dzieci swoją szkołę, a ty pracę...

— Praca jest nudna, a przyjaciół mielibyśmy tam nowych. I jestem pewna, że w Stamford są dobre szkoły. — Wyjęła z lodówki sałatę, czerwoną cebulę i pomidory; spojrzała na niego. — Byłoby cudownie mieć pieniądze. I mieszkać tak blisko Nowego Jorku. To byłaby jakaś odmiana.

Garth zaczął czuć się nieswojo. Umówił się na ten lunch, idąc za popędem swego gniewu na Webstera, który jeszcze podsycało spotkanie z Ritą McMillan, ale nie widział żadnego powodu, żeby porzucać uniwersytet. Stefania natomiast aż podskoczyła na samą myśl o tym. Nic o tej posadzie nie wiedzieli, a ona już szukała pretekstów, żeby ją przyjąć, podczas gdy on, ochłonawszy, stracił całe zainteresowanie umówionym lunchem. Lecz oczywiście stawi się nań, chociażby po to, żeby sprawić przyjemność Stefanii.

— Zobaczmy, co powie Kallen. — Patrzył, jak Stefania odwraca się z powrotem do kuchennego blatu. — Nie powiedziałem ci jeszcze o Ricie McMillan. Co za przekłeta, niewiarygodna...

— Czy przyjmiesz tę pracę?

— Jeszcze mi jej nie zaproponowano.

— Więc jeśli ci ją zaproponują.

— Nie wiem. Mówiłem ci: zobaczę, co Kallen ma do powiedzenia. Zacząłem ci opowiadać o Ricie...

— Mamo! — krzyknęła Penny, wpadając do kuchni. — Umieramy z głodu!

— Nakryłaś do stołu?

— Dzisiaj kolej na Cliffa.

— No więc, czy Cliff nakrył do stołu?

— Właśnie to robi.

— Przypomnij mu o serwetkach. Czy umyliście ręce?

Stefania wyjęła ziemniaki z piecyka. W kuchni zapadła cisza. Garth czekał chwilę, potem wzruszył ramionami i podniósł gazetę.

— Mamo...! — powtórzyła Penny.

— W porządku, Penny. Garth — powiedziała Stefania. — Chodź na obiad.

Stefanio...

— Sabrina! Dzwoniłam do ciebie setki razy...

— Byłam na wsi i dałam pani Thirkell cały czerwiec na wakacje.

— Denerwowałam się, że może masz jakieś kłopoty.

— Czyżby moje koszmary senne dotarły aż do Evanston?

— Więc jednak kłopoty.

— Nie, ale tak myślałam. Parę tygodni temu miałam obawy, że kupiłam sfałszowaną porcelanę, ale sprawdziłam i okazała się prawdziwa. Koniec koszmarów. Jak tam twoje biuro wyprzedaży? Znalazłaś dla mnie jakieś wspaniałe antyki?

— Ja... ostatnio tym się nie zajmowałam.

— Och, Stefanie, dlaczego? Przecież tak to lubisz.

— Tak, ale nie było żadnego ruchu w interesie. Pracuję teraz na uniwersytecie. To nie jest tak zabawne, ale pomaga spłacić hipotekę. Może wrócę do branży po przeprowadzce. Sabrino, Garthowi zaproponowano pracę. Stanowisko dyrektora działu badawczego w zakładach farmaceutycznych w Connecticut.

— Garth odchodzi z uniwersytetu?

— Chcę, żeby to zrobił. Ma dostać dziewięćdziesiąt tysięcy rocznie.

— Och, Stefanie, to cudownie! Żadnych zmartwień związanych z pieniędzmi. Będiesz mogła podjąć taką pracę, jaka ci się spodoba. A może byś otworzyła w Ameryce coś w rodzaju *Ambasadora!* Mogłybyśmy posyłać sobie klientów przez ocean. I widywałybyśmy się o wiele częściej! Latałybyśmy na zmianę w obie strony. Pierwszy raz obie będziemy miały dosyć pieniędzy! Czy Garth jest zadowolony? — Myślę, że chce odrzucić tę propozycję.

— Ale... dlaczego?

— Nie wiem. Parę tygodni temu był na lunchu z prezesem kompanii i mówi, że musi to przemyśleć, że porozmawiamy o tym później. Ale nie przejawia zbytniego entuzjazmu. Oni chcą, żebyśmy przyjechali do Stamford — ja też muszę poddać się oględzinom, przejść inspekcję — ale Garth twierdzi, że jest za bardzo zajęty.

— Chyba nie będzie musiał się od razu do czegoś zobowiązywać?

— Nie. Po prostu złożyć wizytę, porozmawiać z ludźmi, spędzić weekend z własną żoną. Może nawet zwróciłby na mnie uwagę i zauważyłby, że schudłam.

— Naprawdę?

— Byłabyś ze mnie dumna. Po kazaniu, jakie mi palnęłaś w Londynie, zaczęłam nowe życie — w kółko dieta i gimnastyka. Przepuściłam też kupę forsy w pewnym miejscu na Michigan Avenue, które wygląda jak burdel. Nałożyli mi na twarz całe błoto z Missisipi i uczesali włosy. W domu nikt nic nie zauważył, ale tak się świetnie przy tym bawiłam, że machnęłam na nich ręką. Gdybyśmy teraz

obejrzały się razem w twoim lustrze, musiałabyś się grubo zastanawiać, która z nas jest słynną w Europie projektantką wnętrz, a która szarą żoną wykładowcy.

— Nie mów tak, to niesprawiedliwe. Nie powinnaś tak lekceważyć twojego życia: nawet nie wiesz, jak często żałowałam, że nie mogę go spróbować...

— ...nie jedząc całego dania...

— Stefanio, coś jeszcze cię trapi?

— Och, mamy kłopoty z Cliffem, a Garth unika przeprowadzenia z nim rozmowy. A Penny chce chodzić na specjalne lekcje malarstwa i zasługuje na to, bo jest zdolna. Ale te lekcje są okropnie drogie, więc wciąż wracam myślą prosto do tej oferty pracy dla Gartha i czuję się taka... bezradna. Jakbym, przygwożdżona przez kogoś, próbowała się wyrwać. Wiesz, co zrobiłam?

— Co?

— Tylko się nie śmiej. Złożyłam podanie o chińską wizę. We wrześniu jest wycieczka sponsorowana przez Międzynarodową Agencję Antyków i pomyślałam...

— Ależ ja zrobiłam to samo! To sprawiało wrażenie tak wspaniałej, podróży, że...

— Złożyłaś papiery o wizę?

— Musiałam. Jej wyrobienie trwa...

— ...dwa miesiące.

— Och, to wspaniale, pojedziemy razem! Czy możesz sobie na to pozwolić? Zaprosiłabym cię, ale...

— Jasne, że nie mogę sobie na to pozwolić. To znaczy, mamy jakieś pieniądze na rachunku oszczędnościowym, ale nie na podróże do Chin. Nie powiedziałam nic Garthowi.

— Więc sądzisz, że jednak nie pojedziesz.

— Chyba nie. Po prostu wypełniając podanie czułam się, jakby czekały mnie niesłychane przygody, i przyjemnie sobie o tym myśleć.

— Ja też nie jestem pewna, czy pojedę. We wrześniu mogę mieć dużo pracy. Ale gdybyśmy znalazły sposób...

— Och, oby! Co za szalony, piękny sen!

Odłożywszy słuchawkę, Sabrina siedziała w nocnej ciszy swej sypialni, zwinięta na grubych poduszkach małej sofy, i rozmyślała o sobie i Stefanii. Prowadziły zupełnie różne życie, a jednak, co graniczyło z cudem, były sobie bliższe niż kiedykolwiek. Miała wprawdzie Aleksandrę i kilku dobrych przyjaciół, lecz tylko głos Stefanii miał takie samo brzmienie jak jej głos.

Zadzwoił telefon.

— Sabrino, kochanie, wybacz — usłyszała głos Antonia. — Wiedziałem, że nie śpisz, bo telefon był przed chwilą zajęty.

Poczuła nagłe ukłucie obawy.

— Myślałam, że wyjechałeś dzisiaj do Brazylii.

— Owszem. Jestem w Nowym Jorku. Za dwa dni jadę do Rio. Dzwonię, żeby ci życzyć miłych snów. Gdy wrócę piętnastego sierpnia, dasz mi swoją odpowiedź i poczynimy plany na przyszłość.

Odetchnęła z ulgą. Naprawdę wyjechał. Przez cztery tygodnie będzie mogła robić to, co zechce, bez jego przytłaczającej obecności w pobliżu.

Lecz te kilka tygodni przeleciało jak sen. Sabrina właśnie zaczynała się przyzwyczajać na nowo do uczucia swobody, gdy raptem Antonio zadzwonił z nowiną, że przyjeżdża za dwa dni. Michel i Jolie, którzy wpadli, aby się z nią pożegnać, zastali ją wpatrzoną pośpiesnie w kalendarz.

— Jedziemy do Berlina, a potem do Nowego Jorku — powiedziała Jolie. — Afera się rozrasta. Chcieliśmy cię jeszcze raz ostrzec przed Rorym Carrem.

Sabrina potrząsnęła głową.

— Ten letni domek Lucka był autentyczny. Wiem, że macie dobre intencje, lecz spróbujcie mnie zrozumieć. Mógłby zanieść ten przedmiot do Adamsa albo innego poważnego agenta handlującego porcelaną i pewnie dostałby od nich więcej, ale on woli pomagać małym galeriom i za to jestem mu wdzięczna. Nie wierzę, żeby sprzedawał falsyfikaty i wiem, że nie próbował tego ze mną. Nie sądzę, żeby w ogóle był w to zamieszany.

— Jest w to zamieszany aż po worki pod oczami — oświadczył Michel bez ogródek. — Ile sztuk kupiłeś od niego?

— Siedem. I sprzedałam wszystkie oprócz letniego domku.

— Sabrino — powiedziała Jolie. — Musimy złapać samolot, więc nie mamy dużo czasu, ale proszę cię, posłuchaj, próbujemy ci pomóc. Poszliśmy tropem sfalszowanych przedmiotów i pięć z nich zaprowadziło nas do Carra, Lazła i *Westbridge Imports*. Wszystkie zostały sprzedane za pośrednictwem małych ekskluzywnych galerii, takich jak *Ambassador*.

— Pięć? — powtórzyła Sabrina. — Jesteście pewni?

— Na to wygląda. Co więcej, zdaje się, że niektóre galerie współpracują z *Westbridge* i mają z tego gruby profit. Płacą niższą cenę za falsyfikaty, a następnie sprzedają je jako autentyki. Tyle odkryliśmy, ale to poplątana historia. Jeśli robiłaś interesy z Carrem, lepiej sprawdź jeszcze raz rzeczy, które ci sprzedał. Proszę cię, zrób to!

Słuchaj, musimy lecieć. Tu jest nasz numer w Paryżu. Może zadzwonisz do nas dziś wieczór? Sabrino?

— Co? Przepraszam, nie słyszałam, co mówisz. — Nagle zrobiło jej się niedobrze i zapragnęła, żeby sobie poszli. Okazy porcelany, które nabyła od Carra, zostały kupione przez najbogatszych i najbardziej wpływowych klientów. Huczało jej w głowie. — Co mówiłeś?

— Zadzwonimy wieczorem, żeby sprawdzić, jak się czujesz. Sabrino, sprawdzisz pochodzenie tych przedmiotów? I dasz nam znać o wynikach, dobrze?

Odprowadziła ich do drzwi.

— Spróbuję. Nie mam pojęcia, jak to zrobię, ale postaram się. Gdy stali na chodniku, a Jolie próbowała zatrzymać taksówkę,

Michel spytał od niechcienia:

— A przy okazji, czy przypomniałaś sobie, gdzie zetknęłaś się z Ivanem Lazłem?

— O, tak, ale to było wieki temu — siedem lat, zdaje się. Był sekretarzem Maxa Stuyvesanta. Spotkałam go podczas rejsu na jachcie Maxa.

Michel przekrzywił głowę.

— Stuyvesant.

— To stara historia — wtrąciła Jolie, gdy zajęła taksówka. — Jego sekretarzem jest teraz Dennis Jakiś-tam. Poznałam go, gdy robiłam zdjęcia kolekcji rzeźb Maxa dla *Świata Sztuki*.

— No cóż — rzekł Michel niedbale. — Pewnie to nic ważnego. Przekręcimy do ciebie wieczorem, moja droga.

Machali jej na pożegnanie, gdy wracała z oślepiającego blasku sierpniowego słońca w chłodny półmrok galerii. Sześć kłopotliwych sztuk porcelany i na dobitkę powrót Antonia. Spojrzała w swój kalendarz. Obiady, pikniki, koncerty, przyjęcia. Podobno sierpień jest nudnym miesiącem, wszyscy wyjeżdżają... Jak mogła coś wymyślić, skoro nie miała chwili spokoju?

Usiadła przy stoliku z wiśniowego drzewa. Zadzwonił telefon i w drzwiach stanął Brian.

— Milady, dzwoni señor Moleña...

— Nie ma mnie — powiedziała. Nie będzie rozmawiać z Antoniem, dopóki osobiście nie musi mieć z nim do czynienia. — Przez jakiś czas nie chcę żadnych telefonów. Proszę, zanotuj wiadomość od niego.

Patrzyła nieruchomo na swoje splecione dłonie, dopóki nie pojawił się znowu.

— Señor Moleña żałuje, ale będzie mógł przyjechać dopiero za

tydzień. Spotka się z panią dwudziestego drugiego albo dwudziestego trzeciego sierpnia, a zatelefonuje dziś wieczór. Błogosławiona zwłoka.

— Dziękuję, Brian.

Jak może w ogóle myśleć o poślubieniu mężczyzny, który sprawiał jej największą radość, trzymając się od niej z daleka?

Rozważy to później: teraz miała czas, żeby sprawdzić pochodzenie porcelany. Tylko od czego zacząć? Nie może pójść do Olivii Chasson i poprosić bez żadnych wyjaśnień o pożyczenie porcelanowej figurki, którą jej sprzedała. Wśród nabywców była Aleksandra i tylko przed nią mogła odkryć karty, ale co z pozostałymi pięcioma osobami.

— Brian — odezwała się nagle. — Zamykamy. Jest lato, piątek, a jutro zaczynasz wakacje. Zobaczymy się za dwa tygodnie.

Wyszła. W skroniach jej pulsowało od żaru słońca. Osłoniła ręką oczy. Zwykle uwielbiała tę przechadzkę do domu, lecz dzisiaj ledwo zdawała sobie sprawę z tego, gdzie jest. Nie kusily jej drzemające w upale małe eleganckie sklepy i butiki na Beauchamp Place, nie zwolniła kroku nawet przy ustawionych na świeżym powietrzu straganach z owocami i warzywami, które tak lubiła. Kręciło jej się w głowie od gorąca i nagle poczuła wielkie zmęczenie. Mimo to przyspieszyła kroku, skręciła w cień Cadogan Square i po kilku minutach stanęła przed własnymi drzwiami.

Pani Thirkell otworzyła je, zanim Sabrina zdążyła skorzystać z klucza.

— Milady, chyba nie szła pani piechotą! W taki upał!

Lecz Sabrina prawie jej nie słyszała. Patrzyła na wypolerowaną mosiężną kołatkę u drzwi, która miała kształt ręki trzymającej zwój papieru. Certyfikaty. Miała kopie certyfikatów własności, które Rory Carr dostarczył wraz z każdą figurką: mogła sprawdzić ich wiarygodność! I zrobi to w najbliższym tygodniu, pod nieobecność Briana.

— Milady! Pani powinna odpocząć! Uśmiechnęła się do pani Thirkell.

— Chyba wezmę kąpiel. A potem proszę o lekką kolację. Mam zamiar pracować dziś wieczór.

Po południu wróciła do *Ambasadora* po certyfikaty. Wieczór upłynął jej na wertowaniu książek telefonicznych i poszukiwaniu abonentów w Paryżu, Bonn, Genewie, Mediolanie i Brukseli. Rano zaczęła serię telefonów.

Zabrało jej to wiele czasu: wyglądało na to, że wszyscy gdzieś powyjeżdżali. Sabrinie Europa w sierpniu przypominała wielką szachownicę, na której figurki przesuwają się z jednego kwadratu na

drugi. Służba i rozmaite sekretarki dały jej jednak numery wakacyjnych siedzib i wkrótce mogła dotrzeć do właścioych osób.

W ciągu pięciu dni sprawdziła byłych właścioieli czterech porcelanowych figurek. W srode potwierdziła autentycznosc nastepnej figurki, sprawdzilwszy sześć nazwisk. W czwartek rano zajęła się ostatnim certyfikatem — ten zawierał listę poprzednich właścioieli figurki bociana, rzadkiego okazu miśnieńskiej porcelany — i odkryła, że ludzie o takich nazwiskach nie istnieją.

Przez nastepne trzy dni wykonała w swoim cichym biurze tuziny telefonów, z oszalałym biciem serca, w nadziei, że po prostu nastąpił jakiś bład w pisowni nazwisk lub w adresach. Lecz wszystkie dane okazały się fałszywe.

Co znaczyło, że porcelanowy bocian też jest fałszywy.

Sabrina wbiła pusty wzrok w mały pejzaż na przeciwległej ścianie. Sama najbardziej zawiniła przez swoją lekkomyślność. Pięć wspaniałych okazów porcelany, nieposzlakowany wygląd Rory'ego Carra i jego przyjacielskie stosunki z utytułowanymi rodzinami w Europie, a także klienci, którzy domagali się pięknych przedmiotów — wszystko to popchnęło ją do nieostrożności. Jej powodzenie zależało od bystrego oka i głębokiej wiedzy, a jednak kupiła i przekazała w nastepne ręce okaz porcelany, nie poddawszy go właściwym oględzinom.

Jeśli to dostanie się do publicznej wiadomości, solidna reputacja, która zapewniała jej znaczącą pozycję wśród tyłu galerii sztuki, legnie w gruzach. Klienci, którzy dawali jej wolną rękę w realizacji zleceń, zaczną szukać innych dekoratorów. Możliwe, że kilku da jej jeszcze jedną szansę, lecz znakomita większość odwróci się do niej plecami. Ludzie korzystający z luksusu nieograniczonego wyboru rzadko kiedy tolerują niepowodzenia u innych.

Sabrina zadrzała. Będzie musiała odkupić bociana za jego obecną wartość rynkową. Jeśli zabraknie jej gotówki, Aleksandra jej chyba pomoże. Lecz problem polegał na czym innym: w jaki sposób ma wyjawic prawdę. Nie mogła odkupić figurki, nie podając właścioielowi powodu.

Kto był tym właścioielem? Przeczytała fakturę przypiętą do certyfikatu. Lady Olivia Chasson. „Właściwie czemu nie?” — mruknęła. Jej najlepsza klientka, która może okazać się najgorszym zagrożeniem. Lady Olivia co rok wydawała pięćdziesiąt tysięcy funtów na odnawianie domu i upominki. Regularnie przysyłała do *Ambasadora* nowych klientów, w tym cudzoziemców, którzy składali zamówienia pocztą lub przez telefon. Traktowała Sabrinę z wielką sympatią.

Lecz jeśli poczuje się oszukana, może zniszczyć kogoś w ciągu jednej nocy.

Znamy się przecież tak dobrze, myślała Sabrina. Mogę z nią porozmawiać. Należy do tych nielicznych, którzy mają dość poczucia pewności siebie, żeby zachować dyskrecję, w razie gdybym odkupiła od niej bociana lub zamieniła go na inną figurkę. Myślę, że wszystko pójdzie dobrze. Jesteśmy przecież bliskimi znajomymi. Chyba uda mi się to załatwić.

Zadzwoił telefon. Odebrała go, starając się nadać głosowi spokojne brzmienie.

Dzwonił Antonio, aby powiedzieć, że udało mu się wrócić trzy dni wcześniej i że o ósmej wpadnie po nią i zabierze ją na obiad.

Są ludzie, pomyślała z ironią Sabrina, którym życie układa się prosto. Lecz musiała uczciwie przyznać przed samą sobą, że nigdy nie chciała takiego życia. Pragnęła mocnych wrażeń, zamętu, przygód. Teraz musi im sprostać.

Najpierw Antonio. Potem Olivia. Na razie nie udzieli Antoniowi zdecydowanej odpowiedzi, a jeśli chodzi o Olivię... W ciągu ostatnich trzech lat wiele się zmieniło. Ludzie teraz znali lady Longworth i mieli do niej zaufanie: miała teraz pozycję w towarzystwie — nie tę, która była odbiciem pozycji Dentona, lecz tę, którą sama sobie wypracowała. Cokolwiek by zaszło, ona sobie poradzi.

Wybrała na wieczór suknię dostatecznie wyciętą, aby była odpowiednia na sierpień, lecz nie uwodzicielską, i podpięła włosy grzebieniami z masy perłowej. Ze zdziwieniem skonstatowała, że naprawdę z przyjemnością zobaczy Antonia. Jego obecność była tak przytłaczająca, że gdy zniknął, zostawiał w jej życiu wyrwę: coś w rodzaju wykopu pod budynek. Nie chciała do niego bynajmniej wpaść, lecz był za duży, żeby go lekceważyć.

Kłopot polegał na tym, że nawet gdy Antonio był na miejscu, wypełniając tę pustkę, nie dawał jej tego, czego potrzebowała. Przypomniało jej się, jak parę miesięcy temu próbowała powiedzieć mu o podejrzeniach Michela wobec Rory'ego Carra. Rozmyślnie zbaczał na inne tematy, aż Sabrina zrezygnowała i nie próbowała więcej mu się zwierzać.

Lecz dzisiaj spróbuje znowu. „Podziel ze mną tę troskę” — wyszeptła do jego fotografii na toalecie. Znał Olivię, może więc będzie miał jakiś pomysł, z której strony ją podejść. Własna radość na myśl, że go zobaczy, zastanowiła ją: może jednak zakochała się w nim?

Lecz gdy zasiadła naprzeciwko Antonia przy jego ulubionym stoliku w *Le Gavroche*, przy czym zdążyła już wysłuchać jego opowieści



o kłopotach z bankierami, urzędnikami, usługami pocztowymi w ośmiu różnych krajach, zbieraczami kawy w Brazylii, tragarzami w Nowym Orleanie i amerykańskimi przepisami o imporcie wołowiny, całkowicie odeszła ją ochota do rozmowy o czymkolwiek oprócz pogody.

— Tak, tak, moja Sabrino, zanosi się na deszcz — powiedział niecierpliwie Antonio, a potem dodał, jakby pod wpływem nagłego natchnienia. — W Rio tyle nie pada.

To ją rozśmieszyło i na moment poczuła się lepiej.

— Ależ ty jesteś śliczna — rzekł miękko. — Istna królowa. Przyjechałem, aby usłyszeć twoją decyzję, Sabrino — że zgadzasz się zostać moją królową, abym mógł złożyć u twych stóp cały świat...

Przez głowę Sabriny przemknęło wspomnienie Dentona mówiącego, że na każde urodziny kupi jej kawałek świata. Dlaczego wszyscy mężczyźni, których znała, ofiarowywali jej rzeczy zamiast uczuć?

Krojąc cielecinę i zanurzając każdy kęs w trzech rodzajach musztardy Antonio zauważył zmarszczoną brew Sabriny. Odłożył widelec.

— Chyba nie jest to dla ciebie niespodzianka. Uprzedziłem cię, że dziś oczekuję odpowiedzi.

— Antonio, chcę z tobą o czymś pomówić. — Szybko, aby jej nie mógł powstrzymać, zaczęła opowiadać o podejrzeniach Jolie i Michela związanych z Rorem Carrem i odkrytym przez nią samą fałszerstwem. Nie zwracała uwagi na coraz bardziej zachmurzoną minę Antonia. — Oczywiście odkupię tę figurkę od OHvii i powiem jej prawdę. Jestem pewna, że ona tego nie rozgłosi: cóżby jej z tego przyszło? Gdybyś mógł doradzić mi, w jaki sposób ją zawiadomić...

— Sabrino. — Zamilkła, czekając na jego słowa. — Twoi przyjaciele twierdzą, że było pięć fałszerstw? I że wszystko wskazuje na współpracę niektórych galerii z firmą *Westbridge!* Twoi przyjaciele mają zamiar opublikować tę historię w gazetach? Ujawnić machinacje *Westbridge!* I ich księgi rachunkowe?

Skinęła głową. Łagodne światło wokół zdawało się mrocznieć, w miarę jak powracał strach, który nękał ją przez ostatni tydzień.

— Oczywiście — odrzekła powoli. — Podadzą opisy wszystkich figurek sprzedanych różnym galeriom, łącznie z *Ambasadorem*.

— Jakież z ciebie dziecko — powiedział. — Sądzisz, że jedyne, o co chcesz prosić Olivię, to żeby siedziała cicho. A naprawdę oznacza to, że będzie musiała kłamać, gdy wszyscy jej przyjaciele przeczytają w artykule na temat fałszerstw sztuki opis jej miśnieńskiego bociana. Dlaczego miałyby kłamać dla twojego dobra?

Sabrina spojrzała na ludzi wokół, dyskretnie delektujących się

cielęcina, z której słynęła restauracja, kaczką i pikantnymi plotkami. Skłamałoby z łatwością, żeby ochronić samych siebie, lecz niewielu zrobiłoby to dla kogoś innego. Jest kilka osób wśród moich przyjaciół, których byłoby na to stać, pomyślała: Aleksandra, Antonio i paru innych. Chociaż, dodała w myśli z gorzkim humorem, Aleksandra nie może mnie ratować z opresji w nieskończoność, gdzieś musi być granica.

— Moja droga Sabrino — zaczął Antonio, dając kelnerom znak, aby zabrali talerze i przynieśli kawę. — Cieszę się, że w końcu powiedziałaś mi o tych zmartwieniach. Podziwiam twój hart ducha, lecz dla każdej kobiety istnieją w świecie wielkich interesów granice, poza którymi niewiele może zdziałać w pojedynkę. Nie pozwolę, żebyś ucierpiała. Wynajmę prawników, którzy zajmą się tymi z *Westbridge*, pomogę ci zwinąć twój mały kramik, a potem zabiorę cię daleko stąd, gdzie czeka cię życie bez kłopotów.

— Gdzie nawet pan Bóg siedzi u ciebie w kieszeni i odpędza deszczowe chmury.

— Proszę? Czy to kolejny przykład twojego poczucia humoru, moja droga?

— Nie. Przepraszam. — Mogła to zrobić: mogła wyjść za niego i dać się porwać tam, gdzie Antonio był naprawdę wszechwładny jak bóstwo i gdzie przy jego boku byłaby bezpieczna. Pozostając wciąż w jego olbrzymim cieniu i bez swojego „małego kramiku”...

Ale to za mało. Uniosła kieliszek koniaku pod światło i spojrzała przez płynny bursztyn. Chcę czegoś więcej niż osłaniającego cienia. Chcę kogoś, kto zdaje sobie sprawę, że ten „mały kramik” jest częścią mnie, czymś, co zbudowałam i z czego jestem dumna. Chcę kogoś, kto w nocy, w tej cichej godzinie, gdy budzę się przerażona tym, co może stać się jutro albo za tydzień, albo w przyszłym roku, weźmie mnie w ramiona, przytuli i powie mi: nie jesteś sama. Nie mam pewności, czy Antonio, gdy będę pod jego opieką, pozwoli mi w ogóle mówić o tym, czego się boję.

Postawiła kieliszek. Nie mogła w tej chwili podjąć decyzji, nie chciała też zostać do tego zmuszona, gdy targało nią tyle sprzecznych emocji. Antonio będzie musiał poczekać jeszcze. A jeśli się zbuntuje, sprawa rozwiąże się sama przez się.

Czekał na jej słowa. Zmieniła temat i zakończyła obiad lekką konwersacją, która już nieraz pomogła jej wybrnąć z wielu zawikłanych sytuacji. Na koniec cichym głosem powiadomiła Antonia, że jest bardzo zmęczona i chce wracać do domu.

Wstał gwałtownie i sięgnął po jej szyfonowy szal, zanim zaskoczony kelner ruszył z pomocą.

— Utrudniasz wszystko, jak możesz, Sabrino. Chcę ci tylko pomóc. — Gdy dotarli pod jej drzwi, powiedział szorstko: — Zadzwoń jutro.

Sabrina usiadła pod oknem w ciszy swego pięknego salonu. Przeżywała na nowo wydarzenia tego długiego dnia, od chwili gdy odkryła fałszerstwo aż do momentu, gdy odmówiła Antoniowi jasnej odpowiedzi, bez względu na to, jak mroczna wydawała się przyszłość. Podwinęła nogi i przytuliła głowę do oparcia fotela.

Wszystko się nawarstwiało. Gnała wciąż, jak to opowiedziała Michelowi, ścigana obawą, że życie wymknie jej się z rąk. Całą energię i czas zużywała na utrzymanie w ruchu galerii i jednocześnie dotrzymanie kroku licznym przyjaciółom, którzy byli zarazem jej klientami. To wymagało noszenia właściwych strojów, uczestniczenia w rozmaitych rozrywkach, przyjęciach i wakacyjnych rejsach z dala od *Ambasadora*. Uwielbiała to wszystko — wspaniałe, barwne życie Sabriny Longworth, osoby, której zdjęcia ukazywały się w magazynach z całego świata wraz z artykułami opisującymi jej przyjaciół z arystokracji, luksusowe domy, egzotyczne potrawy, podróże, ubrania, jej sławną galerię. Wirujący świat, który mogła utrzymywać w równowadze tak długo, dopóki miała nad nim kontrolę. Teraz jednak czuła, że traci wpływ na bieg wypadków.

Była wyczerpana, cała obolała. Czuła pustkę wewnątrz i doskwierała jej samotność. Zegar na podeście wybił wpół do jedenastej. Już od miesiący nie wracała do domu tak wcześnie. Teraz, gdy miała czas na refleksje, obezwładniło ją zmęczenie. Pragnęła tylko wypłakać się.

Lecz to mogło poczekać. Tak naprawdę nie była sama. Szybko obliczyła: dziesiąta trzydzieści w Londynie, czwarta trzydzieści w Evanston. Stefania powinna już być w domu po pracy. Penny i Cliff pewnie bawią się na dworze. Dobra pora na telefon. Podniosła słuchawkę.

W drodze do pracy Stefania zatrzymała się przed tablicą ogłoszeń. Notatka z osiemnastego sierpnia głosiła, że we wrześniu biuro będzie pracowało w pełnym wymiarze, choć zajęcia rozpoczną się dopiero w końcu miesiąca. Jeszcze jedna przeszkoda w wyjeździe do Chin. Jak gdyby opieka nad dziećmi, prowadzenie domu i brak pieniędzy nie wystarczały. Gdyby była wykładowcą, uniwersytet pokryłby koszty jej podróży, pomyślała, otwierając biurko w pokoju, który dzieliła z dwoma innymi pracownicami. Poczowała przyływ gniewu, jak zwykle, gdy myślała o wyjeździe Gartha do Berkeley i San Francisco.

Zrobił sobie urlop, a ona musiała zostać w domu i pracować. Spędzał miesiąc nad oceanem, zwiedzał fascynujące miasto: jej pozostawało jezioro Michigan, Evanston, dwójka dzieci i masa roboty.

— To nie urlop — zaprzeczał przed wyjazdem. — Cały czas pochłoną mi zajęcia na uniwersytecie. Nie będę miał ani chwili na włóczenie się po mieście i schodzenie na psy w tamtejszych nocnych klubach.

Obracał to wszystko w żart, ale poleciał, zostawiając ją samą. W końcu letniej sesji egzaminacyjnej, wyczerpana papierkową pracą i wilgotnym sierpniowym upałem, Stefania nie była pewna, czy zdobędzie się na to, by powitać go jutro z pogodną twarzą. Jak ukryć urazę i powstrzymać się od wybuchu, który zepsuje wszystkim dzień jego powrotu? Cóż, po prostu nie będzie się odzywać. Niech rozmawia z dziećmi.

— Stefania — odezwała się jedna z sekretarek. — Zrobić ci kawy?

— Nie, dziękuję. Chcę to jak najszybciej skończyć i wcześniej wyjść. Robiła porządek na biurku, słuchając jednym uchem, jak sekretarki

z sześciu dziekanatów wymieniają co smaczniejsze kąski o ostatnim skandalu na kampusie. Ta afera wyglądała gorzej od innych. Zarzucano niektórym profesorom, że dają studentkom zaliczenia w zamian za intymne usługi. Przez całe lato po kampusie krążyły szeptane na ucho plotki, lecz ostatnio ich liczba i zajadłość znacznie wzrosła. Stefania złowiła uchem kilka nazwisk przechodząc obok zbitych w małe grupki ludzi na korytarzach. Wymieniano wśród nich Martina Talwię, ich przyjaciela. Będzie musiała powiedzieć o tym Garthowi, gdy wróci.

Zaczęła przepisywać na maszynie notatki z posiedzeń ze studentami, sporządzone przez opiekunów roku. Po kilku minutach przerwała, zauważywszy, że sekretarki chyłkiem jej się przyglądają.

— No? — spytała. — Co się stało?

— Stefania — powiedziała sekretarka Williama Webstera — czy znasz kogoś, kto chciałby narobić kłopotu tobie i Garthowi?

— Nikt nie przychodzi mi na myśl... — zaczęła i nagle urwała. — O co chodzi?

Sekretarka podała jej kartkę papieru.

— Dziś rano znalazłam to na swoim biurku. W poczcie dziekana Webstera.

Stefania wzięła arkusik. Był to list, napisany na maszynie na różowym papierze: „Jeśli naprawdę chcecie wiedzieć, kto daje zaliczenia za pracę w łóżku zamiast w klasie, przyjrzyjcie się bliżej sławnemu profesorowi Garthowi Andersenowi, który przemawia jak mnich, ale pieprzy jak małpa.”

Czytała te słowa wciąż od początku. Dziecinne, ale plugawe

i bardzo skuteczne. Gorzka ślina wezbrała jej w gardle. Zapięło ją w przelyku, gdy ją przełknęła. Garth nie mógł tego robić. Nie było bardziej przyzwoitego i uczciwego człowieka niż on.

Lecz z drugiej strony... Garth większość wieczorów spędzał poza domem, „przy pracy”, jak twierdził, a potem „nie chcąc jej przeszkadzać” zostawał na noc w swoim gabinecie. Nie zwracał na nią najmniejszej uwagi: nawet nie zauważył jej szczuplejszej sylwetki, nowej fryzury i nowych ciuchów. Nie chciał zabrać jej do Stamford. Ileż to już czasu minęło, odkąd byli prawdziwym małżeństwem?

Stefania starannie złożyła liścik i schowała go do kieszeni swojej letniej sukienki.

— Stefanio — powiedziała sekretarka. — To nieprawda. Wszyscy znają Gartha...

— Dziękuję — rzekła i jak oślepią odwróciła się do swojej maszyny. Siedziała przez chwilę nieruchomo, dopóki nie uspokoił się jej żołądek, i pracowała spokojnie aż do trzeciej. Potem poszła do domu.

Penny i Cliff byli z wizytą u przyjaciół w Highland Park. Miała ich odebrać jutro przed wyjazdem na lotnisko. Sama w głuchej ciszy obszernego domu przygotowywała argumenty do dyskusji z Garthem, nie pomijając żadnego szczegółu z okresu ich zalotów i małżeństwa i przeżywając na nowo wszystko dobre i złe z ubiegłych dwunastu lat.

Jednak następnego popołudnia, gdy Penny i Cliff bawili się na dworze, a ona znalazła się sam na sam z Garthem, większość tych refleksji wyleciała jej z głowy.

Garth stał przy frontowym, półkolistym oknie z widokiem na podwórze, z nogą opartą na długim grzejniku, wygiętym, aby pasował do utworzonej przez okno wnęki.

— Nie ma sensu zaprzeczać, że jesteś zła. Jesteś tak naładowana wściekłością, że ledwo możesz ją opanować. Ale czy ja również nie mam powodów do złości?

Stefania usiadła na brzeжку sofy stojącej pod oknem.

— Nie. Wyjeżdżasz sobie, zabawiasz się z przyjaciółmi, a potem spodziewasz się, że cię powitamy jak Aleksandra Wielkiego, który wrócił do domu zdobywszy pół świata...

— Zdobyłem więcej, niż mi się kiedykolwiek śniło. Ale to cię nie interesuje.

— A powinno? Czy ty się nami interesujesz? Obchodzi cię to, co się tu dzieje, dobrego i złego?

— A co jest złego w twoim życiu?

— Jeśli po dwunastu latach małżeństwa zadajesz mi takie pytanie, chcąc ci na nie odpowiedzieć nie wiedziałabym, od czego zacząć.

— Na litość boską, to idiotyczne. — Zaczął chodzić wzdłuż, wypukłego okna. — Stefano, kocham cię. Nie mogłem się doczekać, żeby wrócić i powiedzieć ci o...

— Garth, postanowiłam na trochę wyjechać. Zatrzymał się.

— Co takiego?

— Za parę tygodni odbędzie się wycieczka do Chin, organizowana przez pośredników sprzedaży antyków... i ja na nią jadę. Mam wizę i wpłaciłam zaliczkę.

— Zrobiłaś to wszystko nie mówiąc mi ani słowa...?

— I tak byś nie słuchał. Kiwnąłbyś głową i powiedział... — zniżyła głos: — „To chyba będzie niezły ubaw”.

— Nie mówię do ciebie w ten sposób.

— Może byś spróbował posłuchać dla odmiany samego siebie.

— Nie mówię tak. Jeśli kiedyś to się zdarzyło, to przepraszam, ale kiedy ostatnio słuchałaś, co do ciebie mówiłem?

— A czemu miałam się przysłuchiwać? Opowieściom o uniwersytecie? Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że mam po dziurki w nosie uniwersytetu? Ale ciebie tylko on obchodzi. O mnie w ogóle nie dbasz. Kiedy po raz ostatni uważnie na mnie spojrzełeś? Rozmawiamy w kuchni, jemy przy jednym stole, przebieramy się, żeby wyjść gdzieś wieczorem, a ty nawet nie spojrzysz wprost na mnie! A jeśli już to się zdarzy, to patrzysz jakby na wylot, myśląc o czymś innym — zapewne o uniwersytecie. Gdybyś zamknął oczy, czybyś wiedział, jak wyglądam?

Wiedziałbyś, jak wyglądają twoje dzieci? Masz pojęcie, o czym myślimy? Czy pamiętasz, jak się kiedyś kochaliśmy, zanim stało się to czymś w rodzaju rutynowego ćwiczenia, które wykonujesz, kiedy czynisz mi łaskę i śpisz w sypialni, a nie w gabinecie? Masz w głowie tylko jedno: uniwersytet i to, co tam robisz, cokolwiek to jest...

— Dobrze wiesz, co robię. Mówię ci zawsze...

— I z kim to robisz.

— Co to ma znaczyć?

— Świetnie wiesz, co to znaczy!

— Nie wiem i nic mnie to, do cholery, nie obchodzi. Siedzisz tu i skarżysz się, że cię zaniedbuję, choć sama nie spytałaś mnie ani razu o Berkeley, a gdy próbuję ci o tym powiedzieć, podzielić się z tobą jedną z najważniejszych chwil w moim życiu, nie pozwalasz mi dojść do słowa. — Skąd miałam wiedzieć, że to takie ważne? Nigdy mi nie mówisz... — Mówiłem ci o tym w ciągu ostatniego roku ze sto razy, i powtarzałem za każdym razem, gdy dzwoniłem z Berkeley...

— Tak, i cały czas tokowałeś o sobie. Ani razu nie spytałeś o Cliffa.

— O Cliffa?

— Miałeś z nim porozmawiać, pamiętasz? Wiele tygodni temu, gdy znalazłam jakieś rzeczy w jego pokoju — radio i... zapomniałam, co jeszcze...

— Miałem zamiar, Stefanio, przepraszam cię, naprawdę chciałem to zrobić. Ale te przygotowania do seminarium w ciągu ostatnich kilku tygodni...

— Mówisz, jakbyś nigdy w życiu nie zetknął się z tym, a przecież mógłbyś to robić z zamkniętymi oczami.

— Na wszystkie możliwe sposoby próbowałem ci wyjaśnić, że to było coś innego. Stefanio, proszę, wysłuchaj mnie. Pracowałem na to przez całe dwa lata! Wiem, że was wszystkich zaniedbywałem, lecz musiałem wykonać ogromną pracę, żeby być przygotowanym na to, by wstać w obecności tych ludzi — czołowych genetyków świata, Stefanio — i wygłosić najważniejszą prelekcję na tym seminarium. Zebrałem do kupy wszystko, nad czym pracowałem przez ostatnie dwanaście lat, a potem zrobiłem kangurzy skok w przyszłość i zapowiedziałem, co będziemy robić w latach przyszłych. A wtedy ci znakomici uczeni poddali drobiazgowej analizie każde moje słowo, tak że przez resztę miesiąca mogliśmy rozmawiać o konkretach, opartych na wnioskach z mojego wykładu. Podtrzymałem się na duchu i uspokajałem mój nerwowy żołądek wyśpiewując pod nosem wzory cząsteczek. Obsługa w hotelu sądziła, że ze mnie jakiś nawiedzony matematyczny wyznawca Kriszny.

Stefania roześmiała się mimo woli.

— No i? Powiedziałaś, że wszystko poszło dobrze.

— A nawet trochę lepiej. W rzeczywistości był to triumf. Wszystkie nadzieje, jakie...

— To wspaniale. To znaczy, że skończyłeś swoją pracę tutaj. Możesz wziąć posadę w Stamford.

Garth wlepił w nią gniewny wzrok.

— Czy o niczym innym nie potrafisz myśleć?

— To dla mnie ważne. Dla ciebie też byłyby ważne, gdyby cię obchodziły moje pragnienia.

Odszedł spod okna i stanął za głębokim fotelem, w którym Stefania mościła się wieczorami, aby poczytać. Położył ręce na oparciu fotela i przyjrzał się im.

— Obchodzą mnie. Ale nie mogę zapominać i o swoich, nawet po to, żeby dać ci coś, na czym ci zależy. Czuję się rozdarty, Stefanio: chciałbym, żebyś rozumiała, przed jakim trudnym wyborem stoję.

Z jednej strony pieniądze; wiem, ile to dla ciebie znaczy. Dla mnie również to ważne. Czy wiesz, jaki w Stamford miałbym budżet na badania i personel? Lecz jest jeszcze druga strona medalu: swoboda, jaką mam na uniwersytecie, wykłady, które tak lubię. Znasz mój stosunek do tych spraw.

— Rozmawialiśmy dokładnie o tym samym przed ślubem. Nie sądzisz, że już pora, żebyś dorósł i zapragnął czegoś więcej?

— Tak, na Boga, racja. A tym czymś więcej jest żona, którą choć trochę obchodziłyby moje potrzeby i od której doczekałbym się odrobiny duchowego wsparcia, gdy...

— Jak śmiesz mnie oskarżać, że nie troszczę się o twoje potrzeby! Prawie całe życie — o ile nie zarabiam pieniędzy, żeby pomóc spłacić dom, w którym mieszkasz — spędzam prasując twoje koszule, gotując posiłki, szorując twoją łazienkę, pilnując, żebyś miał gatunek mydła stosowny dla twojej wrażliwej skóry...

— Niech to diabli! To nie duchowe wsparcie, tylko zajęcia gosposi. Stefania, kiedyś rozmawialiśmy o moich planach i zawsze zachęcałaś innie, żebym starał się je realizować.

— To było bardzo dawno temu. Dałam ci na to dwanaście lat; teraz czas, abyś i mnie parę poświęcił. Chcę się wynieść ze środkowego zachodu, poznać nowych ludzi i prowadzić inne życie. Chcę silnych wrażeń Nowego Jorku...

— Rany, boskie, musiałaś rozmawiać z siostrą.

— Co?

— Z milady Sabriną, która zajada obiady w pałacach i tańczy aż do świtu. Po każdym jej telefonie stajesz się coraz bardziej rozgoryczona. Nigdy nie chciałaś, żebym był bogatym lordem, dopóki Sabrina takowego nie poślubiła, a teraz namawiasz mnie, żebym stał się kim innym i zapewnił ci takie próżniacze, pasożytnicze życie, jakie ona prowadzi.

— Ona wcale taka nie jest! Nie masz prawa — nie znasz jej...!

— Nie moja wina. Prawie nigdy tu nie przyjeżdża: to ty pędzisz, żeby spotkać się z nią w Nowym Jorku albo zwiać do Londynu. Na Boga, ta wariacka wycieczka to jej pomysł, czyż nie tak? Namówiła cię do tego.

— Nie, nie, nie! — Stefania chodziła po pokoju splatając i rozplatając ręce. — To był mój pomysł. Sabrina nic o nim nie wie. To wszystko przez Cliffa i...

— Przeprosiłem cię za to. Porozmawiam z nim, obiecuję...

— Och, ty z twoimi obietnicami! Gdybyś jednak to zrobił, zapytaj no, skąd wzięły się u niego spinki do koszuli, spinki do krawatów i komplety długopisów.



- Dobry Boże. Wszystko to trzyma u siebie w pokoju?
- Pod brudnymi ubraniami. Zapewne powinnam być za to wdzięczna losowi; zadeklarowany kryminalista pomyślałby o innych schowkach.
- Stefano, strasznie mi przykro. Pomówię z nim jutro. Wygląda to tak, jakby chciał zostać przyłapany. Wie, że jeśli coś tam schowa, odkryjesz to przy praniu. Czy mówiłaś o tym komuś?
- Jakżebym mogła? Próbowałam zacząć rozmowę z Cliffem, ale zareagował wrogo. Nie chcę, żeby ktokolwiek o tym wiedział, zanim postanowimy, co robić.
- Więc cały czas dźwigałaś sama taki ciężar.
- O, czyżby to wreszcie do ciebie dotarło? Czyżby wreszcie powstała w tym twoim mózgu biologa myśl, że jestem samotna?
- Zaraz, chwileczkę, masz przecież bliskich przyjaciół, którzy...
- Nie mówię o przyjaciółach. Mówię o kimś, kto w nocy, gdy wokół jest cicho i budzę się przerażona tym, co się stanie jutro, za tydzień czy w przyszłym roku, wziąłby mnie w objęcia. Mówię o kimś, kto by mnie przytulił i powiedział, że nie jestem sama. Garth rzucił jej przeciągłe spojrzenie.
- Nie sądzisz, że ja też mógłbym tego pragnąć? Ale ty odwracasz się do mnie tyłem w łóżku, odsuwasz się, gdy chcę cię objąć, odwracasz głowę, gdy próbuję cię pocałować.
- Kiedyż to ostatni raz próbowałaś?
- Nie robiłem tego już od dawna. I bardzo mi tego brak. Lecz zmęczyło mnie już być ciągle odtrącanym. Mam tego dość. — Wobec tego znalazłaś sobie inny obiekt swoich czułości. Wielcy uczeni niedługo zostają na lodzie. Wiedzą, gdzie szukać rozrywki, prawda, profesorze?
- O czym ty, u diabła, mówisz?
- O tych słodkich młodych stworzeniach, z którymi sypiasz. O studentkach! — Wypluła to słowo. — Czy myślałaś, że utrzymasz to w tajemnicy? Ty i ci wszyscy inni wspaniali mężczyźni, którym nie potrzeba forsy na prostytutki z ulicy jak biednym zwykłym szarym facetom. Tobie wystarczy, że przyrzekniesz zaliczenie...
- Zamknij się!
- Jak śmiesz tak do mnie mówić!
- Będę mówił do ciebie tak, jak mi się podoba! Żyjemy razem od dwunastu lat i ty naprawdę mogłabyś uwierzyć, że ja... Och, do diabła z tym! Dygotał z gniewu, oddychając z trudem. Splótł ręce na piersiach, żeby się pohamować, a potem zawrócił na pięcie i wymaszerował

z pokoju. Stefania skurczyła się, przerażona wyrazem jego twarzy. Usłyszała, jak przystaje na chwilę w korytarzu za drzwiami sypialni. Teraz wróci i powie jej prawdę. Czowała się zbита z tropu. Tyle rzeczy w ich życiu wymagało naprawienia, a nic nie zdołali sobie wyjaśnić. I cich po chwili usłyszała jego kroki na schodach, a potem drzwi frontowe trzasnęły głośno.

Rozejrzała się po pokoju w panice. To nie mogło się zdarzyć naprawdę! To było nie do pomyślenia między nimi. Rozmowa nie rozwiązała niczego. Co ją czeka? Była przerażona.

No, wie przynajmniej jedno. Pojedzie na wycieczkę. Musiała się ślad wydostać... I powiedziała Garthowi, że jedzie. On się zaopiekuje dziećmi, mogła na niego liczyć pod tym względem, nawet jeśli poza tym stali się dla siebie obcy. Po jej powrocie wspólnie wszystko naprawią. Spojrzała na zegarek. Wpół do piątej. Wpół do jedenastej w Londynie. Właśnie sięgała po słuchawkę, gdy zadzwonił telefon.

## *Rozdział dziewiąty*

Gdy od hotelu dzieliła je jedna przecznica, wpadły na wychodzącego ze sklepu ze słodyczami Nicholasa Blackforda, który niósł stertę zapakowanych słodkości. Uśmiechnął się jak uczeń przyłapany na lasowaniu.

— To takie trudne zachować dietę z dala od domu. Powinienem wziąć ze sobą Amelię. Musisz mi porządnie zmyć głowę, Sabrino, jak wówczas, gdy pracowałeś u mnie w galerii i tępiłaś moje złe nawyki. Czy może mówię do Stefanii? Wicie, wstyd mi się przyznać, choć nie jest to ujma dla żadnej z was, ale — Sabrino — Stefano — naprawdę nie mogę was rozróżnić.

Sabrina i Stefania spojrzały po sobie ponad łysą, podrygującą głową Nicholasa Blackforda. Sabrina z roziskrzonymi oczami złożyła przed Stefanią głęboki dworski ukłon.

— Lady Longworth — powiedziała czystym głosem. — Witamy w Szanghaju.

Stefania wyciągnęła rękę, by pomóc jej wstać.

— Pani Andersen — odparła. — Jakże się cieszę, że tu jestem. Słyszac śmiech wibrujący w ich głosach, Nicholas wyprostował się,

żeby na nie spojrzeć ponad swoimi paczkami. Część z nich spadła.

— Och — zawołała Stefania z lekkim poczuciem winy — pomożemy ci.

Zebrały paczki i zniosły do jego pokoju w hotelu. Nalegał, aby przyjęły trochę słodyczy w nagrodę za to, że „postąpiły jak dobre samarytanki”.

Stefania potrząsnęła odmownie głową, lecz Sabrina przyjęła dar.

— Indianie Guarani uznaliby te ciastka za omen, że niby twój pomysł jest słodki, albo coś w tym stylu. Dziękujemy, Nicholas.

— Kto to są Indianie Guarani? — spytała Stefania, gdy ruszyły w głąb korytarza do swego pokoju.

— Szczep w Brazylii. Przodkowie Antonia. Tak twierdzi. Prawdopodobnie wywodzi się raczej z długiej linii portugalskich piratów, ale lubi cytować indiańskie powiedzonka i ten jego zwyczaj przydaje pewnej pikanterii wiejskim weekendom w Derbyshire. Nie spotkasz go, jest teraz w Brazylii i ma tam siedzieć miesiąc, ale możesz dowiedzieć się o Guarani, skoro masz poznać całą resztę.

Wszedłszy do pokoju, spojrzały na siebie nawzajem, dotykając się czubkami palców, jakby oglądały swoje odbicia w lustrze.

— Czy naprawdę zamienimy się na miejsca? — spytała niedowierzająco Stefania.

— Czy naprawdę tego chcesz?

— Och... obawiam się, że bardziej niż ty. Móc na pewien czas wyskoczyć ze swojej skóry, pobawić się w ciebie i poznać twoje cudowne życie, to jakby się śniło na jawie... Nie chce mi się wierzyć, że to możliwe.

— No więc zróbmy to. Dopóki jesteś pewna, że nie wrócisz pędem do domu jak trzy niedźwiadki z bajki i nie zaryczysz: „Ktoś spał w moim łóżeczku!”

— Nie ma znów o co tak głośno ryczeć. Seks nie gra już wielkiej roli w naszym małżeństwie. Inaczej nawet by mi do głowy nie przyszło... No, wiem, że nie mogłabyś spać z Garthem, jest moim mężem i w ogóle nie w twoim typie... Trudno wyobrazić sobie kogoś mniej przypominającego brazylijskiego milionera... Ale nie będzie z tym żadnych kłopotów.

— Nawet po twojej dwutygodniowej nieobecności?

— Nie sądzę, żeby to coś zmieniło. A nawet jeśli, to powiedz, że masz okres.

— Czy to oznacza „precz z łapami”?

— Tak, oczywiście. Zresztą nie tylko wtedy. Ostatnio niewiele było błędzenia łap w naszym domu. Powiedziałam ci, Garth zazwyczaj śpi w gabinecie.

— Stefanio, zazwyczaj nie znaczy zawsze.

— No, w razie czego odwróć się po prostu tyłem.

— Czy ty tak robisz?

Nastąpiła chwila ciszy. Stefania obeszła ozdobne dziewiętnastowieczne łóżka i stanęła w oknie, patrząc na burzliwe wody rzeki.

— Robię się zła, kiedy on nie zbliża się do mnie przez dwa albo trzy tygodnie i gdy potem wchodzi do sypialni, myślę tylko, że nie ma prawa tu być. Ani we mnie. Zarzucał mi to, gdy... — urwała.

— Gdy co?

— Och, pokłóciliśmy się parę tygodni temu, tuż po jego powrocie z Kalifornii, ale to nie trwało długo. Jakoś doszliśmy do ładu. Nic nadzwyczajnego, po prostu sprzeczka. Tobie z Dentonem też musiało się to zdarzać.

— Niekiedy — powiedziała sucho Sabrina. Stefania splatała i rozplatała ręce, co Sabrinie uświadomiło, że siostra jest zdenerwowana, bo coś zataiła. Bała się, że jeśli opowie wszystko, Sabrina odmówi zamiany, żeby się nie narazić... na co? Na kłótnię? Garth nie chciał jechać do Stamford albo zdecydować się na zmianę pracy. Te powody nie wyglądały zbyt poważnie, przynajmniej gdy się popatrzy na nie z boku, z pozycji widza, którym miała być przez kilka dni: tylko obserwatorem. A potem zniknie.

— To na nic — powiedziała gwałtownie Stefania. — Nie mam żadnego prawa prosić cię, żebyś porzuciła swoje wspaniałe życie i weszła w moją skórę. Nie wiem, dlaczego tak się tym przejęłam... Zapomnijmy po prostu o całym tym pomysle. Od początku był zwariowany.

Sabrina szybko podeszła do niej i objęła ją.

— Nie mów tak. Nie bądź taka smutna. Oczywiście, że to wariactwo, lecz już nieraz robiłyśmy szalone rzeczy. Ustaliliśmy, że to będzie po prostu kawał.

— Ale to niemożliwe, żebyś naprawdę tego chciała, Sabrino. Żyjesz jak w bajce, a u mnie wszystko jest takie zwyczajne. I nie o wszystkim ci powiedziałam.

— No więc nie mów. Chyba że muszę o tym koniecznie wiedzieć, żeby wytrzymać tydzień i nie zdradzić się. Wiesz, gdy mówiłam, że chętnie spróbowałabym twojego sposobu życia, naprawdę byłam szczerą. Moje życie może przypomina z zewnątrz bajkę, ale są w niej i smoki.

— Zionące ogniem?

— Zionące ogniem.

— Wolę chyba o nich nie wiedzieć. Chyba że muszę.

— Chyba nie. Zamknęłam *Ambasadora* i dałam Brianowi dodatkowe wakacje na czas swojego wyjazdu; po prostu przedłużysz je o tydzień. Antonio wyjechał na miesiąc do Brazylii, żebym miała okazję się za nim stęsknić, ponieważ nie pozwoliłam mu dyrygować moimi sprawami i nie dałam mu ostatecznej odpowiedzi w kwestii małżeństwa. Powiedział, że nawet nie zadzwoni. Jeśli się go zna, to największy cud, jaki mógł się zdarzyć. Nie mam nic w terminarzu, chciałam mieć trochę czasu, żeby przyjść do siebie po Chinach.

W domu jest pani Thirkell, ale ona prawie nie spuszcza z oka tego, co aktualnie pichci. To będzie bardzo spokojny tydzień: cały dla ciebie. I cały Londyn, po którym możesz buszować.

— I pełna szafa ciuchów. Nie będzie ci to przeszkadzać?

— Oczywiście, że nie. Ja będę nosić twoje.

— Dżinsy i koszulki polo.

— Coś nowego. Od lat nie nosiłam dżinsów. Stefanio, przestań się wstydzić swojego życia. Nie martw się o mnie. Mówimy o tygodniowym wyskoku, a nie całym życiu.

— Jeśli naprawdę masz na to ochotę... Chcę, żebyś była ze mną szczerą.

— Mówię prawdę. Stefanio. Myślisz, że nie mogę pragnąć tego samego, co ty? Wyskoczyć na trochę z własnej skóry? Spróbować innego życia? Chcę się przekonać, jak wygląda życie w domu z rodziną, wśród ludzi, którzy znają się nawzajem. Będę mogła trochę zwolnić tempo, pomyśleć. Na nic z tych rzeczy nie mogę sobie zwykle pozwolić. Jesteśmy sobie tak bliskie, że mogę przeżyć to wszystko z twoją rodziną bardziej niż gdziekolwiek indziej. To fantastyczna myśl. Każdy tak naprawdę pragnie tego w głębi ducha. Rzucimy wszystko i przez jeden tydzień doświadczymy czegoś nowego i wspaniałego — w zupełnie innym życiu. Gdy tydzień dobiegnie końca, każda z nas postawi kołnierz płaszcza, wymknie się ukradkiem na tajemnicze rendez vous, wyszepcze sekretne hasło i znów się zamienimy. Ty pojedziesz do domu, a ja odleczę do Londynu. I nikt nigdy o niczym się nie dowie. Cóż może być prostszego? I bardziej zabawnego?

— Och, Sabrina! — Stefania zarzuciła ramiona na szyję siostry i uściskała ją. — Dziękuję. Kocham cię.

Raz jeszcze Sabrina poczuła, że w życiu Stefanii kryją się pod gładką powierzchnią burzliwe tajemnice, lecz to nie zachwiało jej postanowienia. Stefanii tak bardzo zależało na tej zamianie. Zrobi to dla niej. Poza tym co za świetna zabawa! Ryzykancki pomysł opanował je i wyobraźnię i oczami duszy już widziała siebie samą w świetle swej siostry, pośród jej rodziny, w pokojach starego domostwa.

— Czy kupiliście nowe meble? — spytała. — Zacznijmy od tego. /ostał nam tylko tydzień.

Nazajutrz rano wyjechali z Szanghaju i polecili do Syjamu. Ich mała grupa stanęła na skraju wykopu. Wielki grobowiec pierwszego chińskiego cesarza, zmarłego dwa tysiące lat temu odkryto dopiero niedawno i wciąż odsłaniano cał po calu poszczególne jego partie, przy czym na światło dzienne wyjrzała armia ponad siedmiu tysięcy

nadnaturalnej wielkości figur wojowników i koni z terakoty, zgodnie z wolą cesarza mających towarzyszyć mu w życiu pozagrobowym.

W miejscowym muzeum obejrzeli z bliska kilka rzeźbionych postaci z grobowca, które, utrzymane w doskonałych proporcjach, emanowały dostojnością i spokojem.

— Wielkie wizje — wymruczała Stefania. — Nie znam dziś nikogo, kto by je miał. Może z wyjątkiem Gartha. — Wyglądała na zaskoczoną własnymi słowami.

Sabrina rzuciła jej szybkie spojrzenie.

— Przecież to wspaniałe.

— Zapewne. Ale ciężko z tym żyć.

Następnego dnia przejechali przez przepiękne okolice Guilin. Z płaskiej szarej równiny wystrzelały pionowo w górę wapienne skały. Ich strome wierzchołki kryły się w kłębach mgły, a spływająca woda wyrzeźbiła w zboczach jaskinie i ostre jak igła turniczki. Na łące otoczonej polami trzciny cukrowej i drzewami grapefruitowymi paść się domowy bawół, a po niebieskozielonych wodach rzeki Li żeglowały setki łódek, począwszy od małych tratw, z których rybacy łowili używając ryżu na przynętę, a skończywszy na zatłoczonych barkach mieszkalnych, kiwających się pod wielkimi płachtami kwadratowych żagli.

Sabrina miała uczucie, że weszła w jakąś rycinę lub ilustrację z książki. Zafascynowało ją senne piękno pejzażu: przez lekką mgiełkę widać było spokojne postacie wieśniaków, rybaków i ich schludne domki.

— Czy nie sądzi pan, że ludzie są szczęśliwsi, gdy otacza ich piękno? — spytała.

— Jeśli tylko mają co jeść — odrzekł z uśmiechem przewodnik i poprowadził grupę do fabryki porcelany.

Sabrina i Stefania zostały.

— To już chyba czternasta lub piętnasta na tej wycieczce — orzekła Sabrina. — Tak czy owak, darujemy ją sobie. Poszły na spacer brzegiem rzeki.

— Czego jeszcze nie przerobiłyśmy? — spytała Stefania. — Znajomi, rozkład dnia, sklepy, biuro. Masz zadzwonić i powiedzieć, że jesteś chora, pamiętasz?

— Nie bój się, nie zapomnę. Nie mam pojęcia o pisaniu na maszynie.

— Zresztą nie powinnaś pracować. Nikt nie nazwałby wielką przygodą pracy w dziekanacie. Zapytaj o Teda Morrowa, to dziekan, i powiedz mu, co uznasz za stosowne. Nie będzie zachwycony, lecz nie

zwracaj uwagi na jego słowa; jest miłszy, niż można sądzić po głosie. Jeśli Penny spyta o te lekcje malarstwa, powiedz, że jeszcze nie podjęliśmy decyzji. Zdaje się, że Cliff ma w tym tygodniu jakiś mecz, ale nie będzie miał pretensji, jeśli nie pójdziesz.

— A to dlaczego? Nigdy nie widziałam, jak Cliff gra. Chciałabym zobaczyć.

— Prawdę mówiąc, on też by tego chciał. Jedno z nas zawsze stara się być na jego meczach. Dom będzie pewnie w strasznym stanie, bo nie mieści mi się w głowie, żeby Garth i dzieciaki posprzątały, ale jeśli możesz to jakoś znieść, niczym się nie przejmuj. Zrobię porządki, gdy wrócę.

— Ja mogę posprzątać.

— Kiedy ostatnio to robiłaś?

— Wieki temu. Ale to tak jak z jazdą na rowerze — gdy się raz człowiek nauczy, nigdy nie zapomina.

Stefania roześmiała się.

— Nie chciałam, żeby to brzmiało jak niewiara w twoje umiejętności prowadzenia domu. Ale to do ciebie nie należy.

— Stefanio, wszystko należy. Jak inaczej będę mogła mieć poczucie, że żyłam tak jak ty?

— Przepraszam. Oczywiście możesz robić, co zechcesz. Powinnaś. Nie wiem, dlaczego zachowuję się tak niemądrze. Myślę, że to nerwy, za dwa dni...

— Wiem. Ja też w środku jestem cała spięta.

Wieczorem zwiedzały zatłoczone miasto przemysłowe Kantonu, a nazajutrz poszły do słynnego miejscowego zoo. W tym tropikalnym raj, który był oazą w wielkomiejskim brudzie, Sabrina doznała oszalamiającego uczucia, że jest odcięta od wszystkiego. Pozostała w tyle za grupą i usiadła na ławce w ogrodzie botanicznym pełnym orchidei, otoczona krzykliwie barwnym egzotycznym kwieciami. Kraj, w którym spędziła ostatnie dwa tygodnie, i jego mieszkańcy byli jej całkiem obcy. Przez ten czas wzrok nie napotykał niczego znajomego, nawet kwiaty były tutaj inne. A teraz zamiast powrotu do domu czeka ją znów podróż w nieznaną — inny dom w innym kraju i wśród innych ludzi. Zamieszka wśród obcych. Bo czyż w rzeczywistości zna Gartha i dzieci? Nic będzie miała żadnej podpory. Co za głupie myśli, skarciła siebie w duchu. Po prostu będzie poza domem tydzień dłużej, niż zamierzała, a potem wrócę.

Znalazła ją Stefania i razem obejrzały resztę zoo, podziwiając rzadko spotykane pandy olbrzymie. Następnego dnia wsiadły do



pociągu, który miał je zawieźć do Hongkongu. Wycieczka po Chinach dobiegła końca.

Wracając później myślą do tej podróży Sabrina nie mogła odżalować, iż wewnętrzne napięcie wywołane oczekiwaniem nie pozwoliło jej docenić wiktoriańskiego przepychu pociągu. Wagony, przyczepione do staroświeckiej lokomotywy parowej z olbrzymimi czerwonymi kołami i czerwonym zderzakiem z przodu, toczyły się po torach tak gładko, że nawet herbata w filiżankach nie drgnęła. Sabrina i Stefania siedziały na wyściełanych siedzeniach z zagłówkami przykrytymi białymi haftowanymi pokrowcami. Pod ich nogami rozciągał się miękki dywan, a w oknach wisiały aksamitne zasłony. Pociąg pędził przez tropikalną krainę wśród potężnych drzew i bujnej roślinności. Lecz siostry ledwie rzuciły na nią okiem, pochłonięte swoją grą. Powtarzały i zapamiętywały, przypominały sobie ludzi i miejsca znane z wizyt, jakie składały sobie nawzajem. Stefania splatała i rozplatała ręce. Sabrina złapała się na tym samym.

— Pieniądze — powiedziała. Otworzyła torebkę. — To jest moja karta kredytowa, możesz na nią wszędzie podjąć gotówkę. A to książeczka czekowa. Na koncie jest tyle, że na pewno starczy na tydzień. W razie czego wezwij w banku pana Ecclesa. Przeleje na konto tyle, ile ci będzie trzeba. Złożysz mój podpis.

— Co?

— Złożysz mój podpis, podpisując czek.

— Sabrino, nie będę wydawać twoich pieniędzy.

— Oczywiście, że będziesz. Mam tylko pięćdziesiąt funtów w gotówce, będziesz potrzebowała więcej, zanim tydzień dobiegnie końca. Co zrobisz? Ja będę miała w ręku wszystkie twoje dolary.

— Nie jest ich tak wiele.

— Później zrobimy rozliczenie. Stefanio, nie przejmuj się pieniędzmi, to zepsuje całą zabawę. Przyrzekam, że gdy wrócimy do domu, zażądam zwrotu każdego pensa. A teraz poćwicz mój podpis.

Stefania złożyła podpis, przygryzając wargę zębami z nadmiaru koncentracji.

— Co o tym myślisz?

— Fantastycznie. Zaczynij L trochę wyżej, pociągnij ostatni zawijas H trochę dalej, i zrobione. A co ze mną? Czy muszę wypisywać чеки?

— W sklepie spożywczym. Zwykle to robię. Mam ze sobą około trzydziestu dolarów. Podejmuj więcej w miarę potrzeby. — Pogrzebała w torebce. — To jest karta „Dominick's”, a to „Jewel”. Trzymam je w książeczce czekowej. Sabrina pewną ręką podpisała się nazwiskiem Stefanii. Podczas

gdy pociąg mknął brzegiem rzeki przez egzotyczny falisty kraj, omówiły wiele spraw. Poczte w Evanston, aptekę, sklep żelazny, pralnię samoobsługową i rzeczy w domu Stefanii, o których trzeba było pamiętać: zepsutą uszczelkę w szybkowarze, torby na ubrania z zapasowymi swetrami, kanapki z wędzoną kiełbasą, skrzywioną klapę pralki i dwie przetrzymane książki z biblioteki.

Gdy pociąg zbliżał się do Hongkongu, przeszły na temat Londynu. Sabrina opisała restauracje i puby przy Belgravii i Knightsbridge, sklepy i butikiki w Chelsea, Tate Gallery, Westminster Abbey, targ na Portobello. Poinformowała siostrę o dniach wolnych pani Thirkell i awaryjnych telefonach. Zanotowała jeszcze jedno nazwisko i numer telefonu i dała kartkę Stefanii.

— Gdy będziesz miała naprawdę poważny problem, na tyle pilny, że nie będzie czasu zatelefonować do mnie do Evanston, zadzwoń pod ten numer.

Stefania przeczytała na głos.

— Aleksandra Martova.

— Nie poznałaś jej podczas twojego pobytu w Londynie, bo nie było jej wtedy w mieście, ale opowiadałam jej o tobie. W razie konieczności możesz jej powiedzieć, co zrobiliśmy; można jej ufać pod każdym względem.

— Dziękuję. Właśnie pomyślałam sobie, że będę okropnie samotna.

— Nie będziesz, mając przy sobie Aleksandrę.

Miejscem, gdzie miały po kryjomu zamienić się na role, był pełen /amieszania i zgiełku Hongkong. Ulice były tak zatłoczone, że musiały przepychać się brzegiem chodnika. Betonowe pudła budynków pięły się stromo po zboczach gór, a w oknach odbijały się gęsto stłoczone w porcie łodzie, nad którymi kołysał się w podmuchach bryzy splątany las masztów. Po obiedzie w restauracji *Nefrytowy ogród* wróciły do hotelu. Mijały po drodze wróżbiarzy, szewców, budki z jedzeniem, sprzedawców siedzących nad otwartymi walizkami pełnymi dzinsów. Na składanych stolikach sprzedawali nefrytowe figurki i biżuterię.

— Garth — powiedziała nagle Sabrina.

— Co? — spytała Stefania.

— Czy kupiłaś coś dla niego?

— Och. Nie.

— Wobec tego, dla świętego spokoju w rodzinie... — Sabrina spojrzała na biżuterię rozłożoną na blacie stolika.

— Świetne! — namawiał entuzjastycznie sprzedawca łamaną angielszczyzną.

Potrząsnęła głową.

— Bardzo piękne rzeczy! — nalegał. Sabrina wzruszyła ramionami i odwróciła się.

— Pani zaczeka — poddał się sprzedawca. Pochylił się i wyjął z pudełka ustawionego między stopami małą tacę. — Może coś z tego? — Sabrina przyjrzała się uważnie drobiazgom na tacy i wskazała okrągłą spinkę do krawata, która lśniła łagodnie w jaskrawym świetle latarni. Przez następne dziesięć minut targowali się z przejęciem, odbijając sobie nawzajem ceny jak tenisowe piłki. Na koniec Sabrina skinęła głową i zapłaciła. Tłumek, który się zebrał wokół nich, powitał to owacjami.

— Tak robiła matka — rzekła Stefania.

— Dobrze jest się tak zabawić od czasu do czasu. To jak gra. Zdaje się, że to mój tydzień uprawiania różnych gier, nieprawdaż?

— Sama powinnam pomyśleć o jakimś prezencie dla Gartha. Sabrina popadła w zamyślenie.

— Czy to nie dziwne? Zupełnie, jakbyśmy już zamieniły się rolami.

Tej nocy spały niespokojnie i obudziły się z uczuciem zmęczenia.

— Serce mi bije jak szalone — powiedziała Stefania.

— Mnie też — odrzekła Sabrina.

Ubrały się. Stefania włożyła ciemnoniebieski kostium Sabriny z czerwonym obszyciem, zaś Sabrina jej brązową garsonkę i białą bluzkę. Zostawiła dwa górne guziki nie zapięte, lecz Stefania z lekkim uśmiechem naprawiła ten błąd. Przejrzały torebki i portfele, sprawdziły paszporty i bilety lotnicze. Po raz ostatni stanęły przed lustrem.

— Ależ się dziwnie czuję! — powiedziała Stefania.

Sabrina mogła tylko skinąć głową, rozdarta pomiędzy wyczekiwaniem a uczuciem dziwnego zagubienia, które nawiedziło ją w ogrodzie orchidei w Kantonie i powróciło teraz ze zdwojoną siłą.

Odwróciły się od swego odbicia i podniosły walizki.

— Och! — wykrzyknęła nagle Stefania. — Zapomniałam... — Szarpnęła obrączkę na palcu, zdjęła ją i podała Sabrinie. Ręka jej drżała. — Pierwszy raz ją zdjęłam.

Sabrina dotknęła jej palców biorąc obrączkę.

— Zaopiekuję się nią.

Wsunęła ją na palec. Ile to lat upłynęło, odkąd nosiła swoją własną. Ktoś zastukał do drzwi.

— To boy hotelowy — rzekła.

Zabrał walizki, a one przewiesiły przez ramię podręczne torby.

— Jeszcze jedno — powiedziała Sabrina. — Czekałam z tym aż do teraz.  
Sięgnęła do kieszeni i podała coś Stefanii. Ta uśmiechnęła się w odpowiedzi.  
— Ja też.

Stojąc w pokoju na szóstym piętrze hotelu Furama Inter-Con-continental w Hongkongu, Sabrina Longworth i Stefania Andersen wręczyły sobie nawzajem klucze do swoich domów. Zaraz potem przyszła pora rozstania.

## CZESC 2

## Rozdział pierwszy

Z głębin ciepłego łóżka Sabrina usłyszała odgłos otwieranych, a po chwili cicho zamykanych drzwi. Zmarszczyła brwi, wynurzając się z odmetów snu. Cóż to pani Thirkell robi tak wcześnie rano w jej pokoju? Ktoś cicho i powoli wyciąga szufladę. Sabrina otwarła oczy i zeszywniała z wrażenia, zatykając pięścią usta. Zobaczyła wysokiego mężczyznę w spodniach od pizamy, jego nagie plecy. Miał zmierzwione od snu czarne włosy. Przez rękę przewiesił spodnie, w drugiej trzymał koszulę. Garth.

Zamknęła oczy. Nie pani Thirkell. Znajdowała się w cudzej sypialni i cudzym łóżku. To był dom jej siostry, cztery tysiące mil od Londynu, a całe lata świetlne od...

— Nie ma wędzonej kiełbasy! — Ciszę sypialni przeszył pełen oburzenia okrzyk.

Dwa długie kroki i Garth znalazł się przy drzwiach. Zawołał stłumionym głosem:

— Cliff, mówiłem, że masz się cicho zachowywać. Za parę minut zejść i pomogę ci robić kanapki do szkoły. Nie wolno budzić matki.

Matki.

Sabrina poczuła się jak uwięziona w łóżku. Cóż za oszustwo. Traktowała to wszystko jak przygodę, lecz nagle przygoda obróciła się w kłamstwo. Była zawstydzona i trochę przestraszona. ***Nie mam żadnego prawa być tutaj; to miejsce należy do kogoś innego. To są prawdziwi ludzie, a ja jestem fałszywa.***

Poprzedni wieczór był beztroską, podniecającą zabawą, już od chwili, gdy wysiadła z samolotu i zobaczyła, że czekają na nią...

Szuflada została zasunięta. Cisza. Potem dało się słyszeć szuranie

bosych stóp po dywanie, na jej powieki, muskane przez słońce, padł cień i poczuła na policzku ciepło pocałunku. Zwalczyła uczucie paniki, znieruchomiała zmuszając się do spokojnych, głębokich, wolnych oddechów. Ostatnią noc Garth spędził w gabinecie, lecz teraz...

Cień zsunął się z jej twarzy. Otworzyły się i zamknęły drzwi łazienki, pstryknął przycisk światła i z prysznica zaczęła się lać woda. Sabrina zakopała się w pościel jak w jamę dającą schronienie. ***Nie wstanę. Zostanę tutaj cały tydzień, dopóki Stefania nie wróci. To jej życie, nie moje. Co ja tu robię?***

Wczoraj wieczór była tak spięta i czujna, że nie miała czasu na refleksję. Nowa rola nie sprawiała jej trudności. Na tym zapewne polegał kłopot. Wszystko zdawało się niemal zbyt łatwe, po prostu mały żarcik, który im zrobiła. Aż do tego ranka, gdy Garth podszedł do łóżka. Jego łóżka w jego własnym domu.

Czekali na nią na lotnisku. Pomimo że w Chicago była to pora obiadowa, cała trójka stała na oszklonym balkonie, gdy Sabrina posuwała się powoli w kolejce do odprawy. Penny i Cliff machali ku niej rękami i ruchami ust przesyłali słowa powitania. Garth stał spokojnie, patrząc na nią. Wyglądali jak publiczność, czekająca na jej popis. Ręce jej się trzęsły, gdy stopniowo przysuwała się coraz bliżej. Mam treść, pomyślała.

Lecz gdy w końcu przeszła przez kontrolę celną, zapomniała o strachu pod naporem powitań. Penny uwiesiła się ramionami u jej pasa i nawet Cliff, wysoki jak na swoje dwanaście lat wyrostek o płomiennie rudych włosach, wojowniczym nosie i wystudiowanym wyrazie chłodnego lekceważenia na twarzy, wciąż dotykał jej ramienia, jakby się upewniając, że matka naprawdę jest przy nim. Garth wychylił się spoza nich, żeby ją pocałować, lecz obróciła lekko głowę, słuchając słów Penny, i jego usta musnęły tylko brzeg jej warg.

— Witaj w domu — powiedział.

Oczami szukał jej spojrzenia, lecz odwróciła się do Cliffa i Penny, którzy nie odrywali wzroku od pudła stojącego u jej stóp.

— Czy to prezenty? — spytała Penny. Podniosła na Sabrinę ciemnoniebieskie oczy, takie same jak oczy Stefanii i Sabriny. Jej drobna twarzyczka, obramowana czarnymi lokami odziedziczonymi po ojcu, już zdradzała tę bujną urodę, jaką one obie jaśniały w wieku jedenastu lat. Sabrina patrzyła na nią jak w zwierciadło, które odczarowywało czas.

— To prezent dla domu — odpowiedziała. — Piękna lampa z brązu. Kupiłam ją w Szanghaju od małego człowieka, który nazywa się pan Su i który kiedyś mieszkał w Chicago.

— Dla domu — powtórzyła Penny z przygnębieniem.

— Ten pan Su — ciągnęła od niechcienia Sabrina — miał w swoim sklepie zadziwiającą szafkę, pełną magicznych przedmiotów. Jakimś sposobem, zapewne magicznym, dwa z nich znalazły się w mojej walizce.

Oczy Cliffa zaślniły.

— Chińska magia? Co można zrobić za jej pomocą?

— Zaczarować zbyt ciekawskich chłopców, żeby zniknęli — odparła i schyliwszy się pocałowała go w czubek głowy. — Co by to była za niespodzianka, gdybym wam teraz wszystko powiedziała? Poczekaj, aż będziemy w domu. W rodzinnym wehikule obydwójce siedzieli na brzeżku tylnego siedzenia i zasypywali ją pytaniami o Chiny. Garth prowadził, nie odzywając się słowem. Sabrina nie wiedziała, czy słucha paplaniny ich trojga, czy nie. Siedząc w zacisznym półmroku samochodu czuła, jak w jej wnętrzu musuje podniecenie. Jak to wspaniale mieć rodzinę, która czeka na twój powrót, jak to wspaniale być z nią teraz, rozmawiać i śmiać się. Nikt nic nie zauważył. Udało się, pomyślała. Musi się udać.

— Chcieliśmy kupić jakieś chińskie danie — powiedział Cliff, gdy Garth przyniósł bagaże z samochodu. — Ale pomyśleliśmy sobie, że może masz tego dość po Chinach, więc zdecydowaliśmy się na pizzę.

— A ja ją upiekę! — oznajmiła Penny, włączając piecyk.

— Tylko odgrzejesz — przeciwstawił się Cliff.

— Upiekę! — wyciągnęła z zamrażarki dwa pudełka. — A jeśli ja gotuję, to Cliff zmywa naczynia.

— Wcale nic nie gotujesz, po prostu wsadzasz je do piecyka. A ja pokroiłem dziś wszystko na sałatkę, więc zrobiłem więcej niż ty, i to ty będziesz zmywać naczynia!

— Nie będę! Chcę porozmawiać z mamą.

— Możesz rozmawiać później.

— Nie mogę.

— Możesz.

— Oboje pozmywacie — powiedział stanowczo Garth. — Ja chcę pomówić z waszą matką. Nakryliście do stołu?

— Tak — burknął Cliff. Sabrina uklękła przy walizce.

— A może by tak przed obiadem prezenty?

Wśród wrzawy (jakim cudem dwojgu dzieciom udaje się robić tyle hałasu, jakby było ich tuzin?) wyciągnęła upominki ze swetrów, w które otuliła je Stefania. Podała Penny i Cliffowi ich paczuszki i podnosząc się wyciągnęła rękę do Gartha. Spojrzał na jej dłoń.



— Dla mnie — wymruczał jakby do samego siebie i spojrzął Sabine w oczy. — Dziękuję.

— No, bierz — powiedziała, zaskoczona dziwną nutą w jego głosie. Ociągając się wziął po chwili małe pudełeczko i zaczął odwijać papier. Podczas gdy Penny i Cliff pochłonięci byli oglądaniem swoich prezentów i odczytywaniem instrukcji, spisanych dla nich przez Stefanię w Hongkongu, Sabrina obserwowała Gartha. Postarzał się w ciągu tych trzech lat. Linie, rozchodzące się promieniście z kącików oczu, stały się głębsze, twarz zeszcupiała, a czarne włosy przyprószyła siwizna. Lecz w jego oczach, gdy rozwijał swój prezent, paliło się takie samo chłopięce podniecenie jak w oczach Cliffa. Zauważyła, że zamyślił się i nieco posmutniał, spojrzawszy na lśniąca kulkę nefrytu. Zamknął ją we wnętrzu dłoni.

— Piękna rzecz. — Przysunął się do Sabriny. — Nie myślałem, że... Zakłopotana wyrazem jego oczu, poczuła ukłucie niepokoju.

— Pizza! — zawołała pośpiesznie i uchyliła się, zanim zdążył ją pocałować. Jedną ręką otworzyła piecyk, a drugą szufladę obok. Był w niej woskowany papier i folia. Otworzyła tę niżej — ręczniki. Wyciągnęła następną.

— Czego szukasz? — spytał Garth.

— Gdzie trzymacie małe ściereczki? — spytała z roztargnieniem. Zapadła cisza. Sabrina wstrzymała oddech.

*Idiotka. Skończona  
idiotka.*

— Tam, gdzie zawsze — odparł Garth.

— To znaczy, że nie przemeblowaliście kuchni za moimi plecami? — spytała wesoło i zmówiwszy w duchu krótką modlitwę, otworzyła dolną szufladę, w której leżał schludny stosik ściereczek i kuchennych rękawiczek.

— Te wszystkie supły rozwiązują się równocześnie, prawda? — spytał Cliff koło jej łokcia. — A potem tak jakby zawiązują się znowu? Nie mogę dać sobie z tym rady. Czy pan Su ci pokazał, jak to się robi?

— Ten mały człowieczek nie znika — odezwała się Penny przy jej drugim boku. — Nacisnęłam tam, gdzie każe instrukcja, ale nic się nie ruszyło.

— Mamo, jakbyś tak pottrzymała jeden koniec sznurka... — zaczął Cliff.

— Nie, najpierw pokaż mi, gdzie nacisnąć — przerwała mu Penny. Z uczuciem osaczenia Sabrina chwyciła się kurczowo brzegu

piecyka, wstrząśnięta swoją niedawną wpadką.

— Sznuerek zasupłuje się z lewa na prawo — powiedziała, próbując

mówić niskim, spokojnym głosem. — Ale zajmiemy się tym dopiero po jedzeniu. Nie zrobię nic, dopóki nie zjem swojej pizzy.

Cliff i Penny spojrzeli z otwartymi ustami najpierw na nią, a potem na siebie. Co takiego zrobiła? Próbowала właśnie wymyślić następną kwestię, gdy Garth, rzuciwszy szybkie spojrzenie na jej twarz, powiedział swobodnie:

— Powinniśmy sami o tym pomyśleć. Wasza mama chwije się na nogach z głodu i wyczerpania po osiemnastogodzinnej podróży, którą odbyła, żeby wrócić do nas z azjatyckiej dżiczy, a my nawet nie pozwalamy jej zjeść.

Odsunął łagodnie Sabrinę na bok i wyjął pizzę z piecyka.

— Penny, postaw sałatkę na stole. Cliff, nalej Penny i sobie mleka i soku jabłkowego. Otworzę butelkę wina, żeby uczcić powrót naszej podróżniczki. No dalej, ruszcie się. Później pomogę wam rozgryźć wasze magiczne sztuczki.

Prawdziwie magiczną sztuką był, według Sabriny, sposób, w jaki Garth przejął inicjatywę. Skierował ich wszystkich do jadalni i prowadził rozmowę tak, aby każdy mógł się do niej włączyć.

Gdy Sabrina opowiadała o mężczyznach i kobietach na ulicach i fabrycznych dziedzińcach, którzy w długich rzędach robili gimnastykę przed rozpoczęciem pracy, Garth spytał Cliffa i Penny, czy ich szkolne ćwiczenia są podobne. Usłyszawszy o kursach dobrego wychowania, na które zapisywała się większość Chińczyków, stwierdził, że zna paru wykładowców, których warto by tam wysłać. Cliff dodał, że w podobny sposób, analizując własne błędy, omawia się treningi w ich drużynie piłki nożnej. Gdy Sabrina wspomniała o rodzinie z Kantonu, mieszkającej w dwóch pokojach — dziadek, rodzice i trójka dzieci — Garth kazał Penny i Cliffowi wyobrazić sobie, że mieszkają w dwa razy mniejszym domu, sprowadzają do siebie dziadka z Waszyngtonu i jeszcze jakiegoś kuzyna lub kuzynkę i wyrzucają rzeczy, żeby starczyło miejsca dla wszystkich. Jak wtedy wyglądałby ich dzień powszedni?

Sabrina była mu wdzięczna. Dzięki niemu rozmowa toczyła się gładko, przypominała niemal grę. Jakie to miłe, pomyślała. Wszyscy siedzą przy stole, słuchają, rozmawiają, uzupełniają jej zabawne i egzotyczne wspomnienia. Dzięki temu jej podróż zdawała się wydłużać aż po chwilę obecną, nabierała większego znaczenia. Sabrina była przyzwyczajona wracać do pustego domu i dzielić się zaledwie drobnymi fragmentami swoich przeżyć z przyjaciółmi. Westchnęła. Tak było przyjemniej.

Nagle ogarnęła ją fala znużenia.

— Przepraszam — powiedziała po dziesiątym ziewnięciu. — Zdaje się, że wreszcie mnie dopadło zmęczenie podróżą. Czy nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, że położę się spać?

Garth wstał.

— Oczywiście, że powinnaś się położyć. Jutro znów będziesz sobą. To znaczy kim? — pomyślała Sabrina z gorzkim humorem, patrząc,

jak Garth wynosi z kuchni jej walizki. Pocałowała Penny i Cliffa na dobranoc.

— Jutro spędzimy razem mnóstwo czasu — obiecała i poszła za Garthem na górę.

Postawił bagaże za drzwiami sypialni.

— Domyślam się... — zaczął dziwnie nieśmiało. — Jeżeli jesteś tak zmęczona, prześpię się w gabinecie. Chyba że zmieniłaś zdanie...

O czym? — zadała sobie w duchu pytanie. O wspólnym łóżku? Marszcząc brew przypomniała sobie słowa Stefanii: „Mieliśmy kłótnię, ale pogodziliśmy się.” Czyżby? A może zawarli tylko rozejm — przyzwoite wzajemne stosunki, lecz bez seksu? W tym wypadku jej rola byłaby łatwiejsza: wystarczy zapewnienie, że nie zmieniła zdania. Lecz nie musiała robić nawet tego. Garth zauważył jej zmarszczone brwi i odsunął się.

— Będziemy musieli o tym porozmawiać — powiedział cicho. — Przed twoim wyjazdem do Chin nigdy nie wracaliśmy do tej kłótni. To wciąż otwarta sprawa. Jutro, gdy będziesz wypoczęta...

O nie, pomyślała. Nie mogą kończyć żadnych kłótni. Będziesz musiał tydzień z tym poczekać. A ja będę musiała znaleźć jakiś sposób, żeby rzecz odwlec.

— Dobranoc, Garth — powiedziała. — Dziękuję za pizzę. Wyglądał na zdumionego.

— Proszę bardzo. — Pocałował ją przelotnie. — Raz jeszcze witaj w domu. Tęskniliśmy za tobą. Spij dobrze.

Ledwie wyszedł, rozebrała się, rzucając ubranie gdzie popadło, i wsunęła się do łóżka. Zasnęła, zanim zdążyła się odwrócić na drugi bok.

A teraz słuchała odgłosów z dołu, które świadczyły, że rodzina przygotowuje się do nowego dnia. Bulgotu spływającej wody, szcęknięcia naczyń i sztućców, urywków rozmowy Cliffa i Penny, którzy na przemian kłócili się i zgodnie paplali, przygotowując kanapki na lunch, i głębokiego głosu Gartha, po którym rozległ się ich śmiech. Potem dobiegło ją trzaśnięcie zamykanych tylnych drzwi, obrót klucza w zamku i cisza. Wyszli.

Sabrina leżała nieruchomo, wsłuchując się w ciszę. Za otwartym

oknem zaszczekał pies, jakaś kobieta przywoływała dziecko na śniadanie, gdzieś daleko rozległ się dźwięk klaksonu. Lecz cały dom, w którym panował niezmacony spokój, miała dla siebie.

Panika powoli się ulatniała. Nie było powodu do zmartwień; Garth zachował się dokładnie tak, jak to przepowiedziała Stefania. Wczorajszego wieczora wśliznęła się w rodzinę tak gładko, jak sobie planowała. Przez tydzień będzie grać swoją rolę, a potem wyśliznie się równie gładko, cicho i bez śladu. Zaczęło w niej wzbierać radosne oczekiwanie. Pora zaczynać.

Najpierw prysznic. Potem śniadanie. Umierała z głodu. Wczoraj była zbyt zmęczona, by dużo jeść. Potem musi dokładnie zbadać dom, żeby na przyszłość uniknąć błędów podobnych do wpadki przy ściereczkach. Trzeba zadzwonić do biura, podlać kwiatki, zebrać dojrzałe pomidory w ogrodzie i pomyśleć o obiedzie, co zapewne oznacza, że będzie musiała udać się na zakupy... Wyskoczyła z łóżka. Nie warto tracić czasu w obliczu nowego życia.

Długo rozkoszowała się prysznicem, zmywając ostatki zmęczenia, a potem osuszyła skórę puszystym prześcieradłem kąpielowym, które kupiła u Harrodsa i wysłała Stefanii na ostatnie Boże Narodzenie. Czesząc mokre włosy, zrobiła szybką inspekcję w szafce z pościelą i innych miejscach łazienki. Zatrzymała się na chwilę nad fiolką pigułek nasennych, przepisanych Stefanii. **Bierze je wtedy, gdy Gartha nie ma w domu, czy gdy jest?** Potem poszła do sypialni spenetrować szafę z ubraniami.

Ubrania były zwyczajne, utrzymane w spokojnych kolorach. Niebieskie dżinsy, lniane żakiety i spodnie, marszczone spódnice. Spódnice, bluzki, koszule z szorstkiej bawełny. Suknia, którą Stefania nosiła na ogrodowym przyjęciu wydanym dla Sabriny i Dentona siedem lat temu. Garsonka. Miała ją na sobie przed dwoma laty, gdy spotkały się w Nowym Jorku. Ani jednej sztuki nie wyrzucono. Każdego roku Stefania dodawała do swej garderoby jedną lub dwie starannie wybrane bluzki, sukienkę lub sweter, rzadziej jakąś garsonkę. Wszystkie rzeczy były proste i zawsze pierwszorzędnej jakości. Laura, mając do dyspozycji ograniczony fundusz żony dyplomaty, nauczyła je, jak robić zakupy.

Wkładając niebieskie dżinsy i białą bawełnianą koszulę z golfem Sabrina wyobraziła sobie Stefanię na Cadogan Square, buszującą w jej szafie i szufladach wypełnionych frywolnymi strojami w żywych kolorach z kolekcji słynnych projektantów mody. Uśmiechnęła się do siebie. Jakież odmienny będzie ten tydzień dla każdej z nich.

Zeszła na dół i zbadała wielką kuchnię, popijając herbatę i żując

resztki na pół czerstwego kawowego ciasta. Notowała w pamięci zawartość wszystkich szafek i szuflad. Był tam mikser i robot kuchenny, garnki i patelnie z lanego żelaza pokryte emalią w żywych kolorach, drewniane łyżki z Portugalii, opiekacze z Niemiec, szklane dzbanki, żelazne naczynia z Anglii, szwedzkie sztucce z nierdzewnej stali i cała masa małych aparatów, których Sabrina nigdy nie widziała na oczy i nie miała pojęcia, jak się nimi posługiwać. Zamknęła czym prędzej szufladę. Skoro nie wie, do czego służą, nie będą jej potrzebne. Dolała herbaty do kubka i zabrała go ze sobą na lustrację reszty domu.

Dom. Był to dziewięćdziesięcioletni starzec, trzeszczący i zniszczony. Stefania często narzekała, że nie mają pieniędzy na konieczne naprawy. Ściany pokryte siecią drobnych pęknięć przypominały starą porcelanę. W niektórych pokojach przecinały je jak zygzak błyskawicy większe szczeliny biegnące od podłogi do sufitu. Dębowe klepki były matowe i starte, kafelki w łazience podpryskiwane. Ściany i ramy okienne wymagały odmalowania, sztukaterie na suficie i ścianach na wysokości ramienia odnowienia, a meble nowych pokryć.

A jednak był to ciepły, gościnny dom, który zdawał się zamykać Sabrinę w swych przytulnych objęciach, gdy przemierzała go wzdłuż i wszerz.

Stefania umeblowała pokoje w jesiennych kolorach, teraz nieco zblakłych, jakby padły na nie ukośne promienie zachodzącego słońca. Wygrzebywała na różnych wyprzedazach i pchlich targach staroświeckie lampy, które po oczyszczeniu i naprawieniu rozmieściła gdzie się dało: na małych stolikach, pod sufitem, przy fotelach i sofach. Kręgi padającego z nich światła nakładały się na siebie na wytartych wschodnich dywanach, przydając barw spłowiałym kwiatom i ornamentom.

Nie przypominało to w niczym Cadogan Square, a mimo to ręka Stefanii stworzyła tu podobną atmosferę przytulności, nastrój spokoju i wygody, który w Londynie był dziełem Sabriny.

— Dom — szepnęła Sabrina, stojąc przy grzejniku w sypialni Stefanii i Gartha. Wyjrzała przez szerokie, półkoliste okno do ogródka przed domem, gdzie w cieniu wielkich dębów kwitły grządki brązowych i żółtych chryzantem. Przyzwyczajona do swej lśniącej czystości i elegancją wiktoriańskiej siedziby w Londynie, czuła się cudownie w podniszczonym domu przypominającym ubranie, w którym ktoś spał. Dziwne.

Zadzwonił telefon.

Nie była przygotowana na żadne rozmowy: nie miała czasu, żeby

o tym pomyśleć. Było zaledwie wpół do dziesiątej. Kto mógł dzwonić tak wcześnie?

— Halo — powiedziała do słuchawki, lecz odpowiedzi nie było. Odchrząknęła. — Halo?

— Czy mówię z panią domu? Tu lady Longworth z Londynu. Chciałabym rozmawiać z...

— Stefania! — Sabrina roześmiała się z ulgą, słysząc figlarny głos siostry. — Jak cudownie! Byłam zajęta zapamiętywaniem zawartości twoich szafek kuchennych! Zapomniałam, że masz telefonować. Wszystko w porządku?

— Och, sama nie wiem, od czego zacząć. Dziwne i cudowne. Niewiarygodne. Jak we śnie. A co u ciebie? Czy Garth coś podejrzewa?

— Nic zupełnie. Co prawda prawie ze sobą nie rozmawialiśmy... I poszedł spać do gabinetu. Penny i Cliff czują się świetnie, kipią energią. Szalenie im się podobały te magiczne sztuczki. Aha, powiedziałam, że lampa z brązu jest urodzinowym prezentem od Sabriny. Życzę ci wesołych urodzin jutro, Stefanio.

Stefania roześmiała się.

— Ja tobie również, Sabrino. Doprawdy obchodzimy je w niecodzienny sposób. Naprawdę nie miałaś żadnych kłopotów?

— Ani trochę. Wiedzieli, że jestem wyczerpana podróżą, i kiedy palnęłam to głupstwo...

— Jakie?

— Spytałam Gartha, gdzie trzyma ściereczki.

— Och, nie!

— Wszystko w porządku, wywinęłam się z tego. Stefanio, nie mamy się czym martwić, to jest zdumiewająco łatwe. Oni nie mają powodu, by coś podejrzewać, a z małymi błędami jakoś sobie poradzę. Poradzę sobie ze wszystkim. Kiedy wrócisz tutaj, dom będzie na ciebie czekał, tak jakby mnie tu wcale nie było.

— Co robi Garth... To znaczy, czy wygląda... Co powiedział, gdy zobaczył spinę do krawata?

— Bardzo mu się podobała.

— Nie miałaś żadnych problemów w biurze?

— Biuro. O, cholera, zupełnie o tym zapomniałam. Za"raz zadzwonię. Powiem, że dostałam czkawki azjatyckiej i do tej pory nie mogłam wykrztusić słowa.

— Gdzie jesteś? — Co?

— Gdzie teraz jesteś?

— Och. W twojej sypialni. Oglądałam dom i właśnie wybieram się

po zakupy. Twoja rodzina pożarła wszystko, co było w polu widzenia i nie odnowiła zapasów.

— Z nimi zawsze tak jest. Pamiętaj, żeby kupić...

— Stefanio!

— Tak?

— Nie kłopotz się mną ani rodziną. Jesteś zbyt daleko, żeby cokolwiek zmienić. Po prostu baw się jak najlepiej podczas tego tygodnia. A teraz opowiedz mi, co robiłaś. Byłaś w *Ambasadorze*, dzwoniłaś do Briana, żeby przekazał ci wiadomości od klientów?

Słuchała odpowiedzi Stefanii: dotychczas nie opuszczała domu. Ma zamiar powałęsać się trochę po Londynie. Pani Thirkell martwi się o... W tym miejscu Sabrina zaczęła się niecierpliwić. Wszystko to było tak odległe, a na nią czekała masa pracy! Wreszcie Stefania zakończyła rozmowę.

— W takim razie, jeśli nic nowego nie zajdzie, porozmawiamy dopiero przy spotkaniu w Chicago w poniedziałek. Na lotnisku.

— Życzę ci wspaniałego tygodnia. Do widzenia. — Sabrina poderwała się na nogi, zanim skończyła mówić. Wbiegła pędem na drugie piętro, żeby dokończyć oględzin, ale po namyśle zawróciła. To mogło poczekać. Najpierw musi zrobić listę zakupów i zadzwonić do biura. Zeszła na dół i właśnie kierowała się w stronę kuchni, gdy telefon znów zadzwonił.

Mogła nie podnosić słuchawki, lecz to by tylko odwlokło moment konfrontacji. I ostatecznie, pomyślała, skoro umiałam wykiwać rodzinę, mogę też wykiwać przyjaciół. Odpowiedziała po piątym sygnale.

— Halo?

— Cześć, witaj w domu. Czyżbym cię obudziła? Jeśli wciąż odsypiasz podróż, zadzwoń do mnie później.

Cisza. *Bliscy przyjaciele nie przedstawiają się przez telefon. Zapomniałyśmy o tym. I co ja mam teraz zrobić?*

— Stefanio, jesteś tam?

*No dalej, udawaj. To tylko pierwsza z wielu przyjaciółek.*

— Tak. Przepraszam, właśnie kończyłam jeść stare ciasto kawowe. Jak się miewasz?

— Wszyscy czujemy się świetnie. Śniadanie tak późno? Czy pobyt w Chinach zmienił cię w próżnującą damę?

— Och, dziś dali mi pospać. Ale to pewnie nie potrwa długo.

— Też mi się tak wydaje. Jak się udała wycieczka? Była już prawie dziesiąta; powinna zadzwonić do biura.

— Co?

— Pytałam, czy wycieczka się udała. Jednak wciąż jeszcze śpisz.

— Nie, nie. Tylko właśnie sobie przypomniałam... nie uprzedziłam jeszcze w biurze, że nie przyjdę dziś do pracy.

— Dobrze, zrób to i zadzwoń do mnie.

— Nie! — *Jak mogę do niej telefonować, skoro nie mam zielonego pojęcia, kto to jest?* — Zwlekałam z tym tak długo, że parę minut nie gra roli. Powiedz mi, co tu się działo, gdy mnie nie było.

— Niewiele. Zaczęła się szkoła, więc w domu spokój. Nat wyjechał na konferencję do Minneapolis, wraca jutro. A ja postanowiłam obalić Radę Miejską Evanston za to, że nie ustawili świateł na rogu. Same błahostki w porównaniu z Chinami.

Sabrina wybuchnęła śmiechem. Nat. Nat Goldner, a w takim razie rozmawiała z Dolores Goldner. Wszystko gra.

— Aha, przychodźcie do nas jutro wieczorem na kolację — dodała Dolores. — Czy Garth pamiętał, żeby ci o tym powiedzieć?

— Nie. Urządzacie przyjęcie...?

— Co, w środku tygodnia? Nie, będzie tylko nasza szóstka. Żeby uczcić twoje urodziny i zapewnić ci publiczność, przed którą będziesz mogła snuć egzotyczne opowieści. Wpół do siódmej?

— Świetnie. Doprawdy przyjdę z największą przyjemnością. Nastąpiła chwila ciszy.

— Taką mam nadzieję — odpowiedziała po chwili Dolores. — W takim razie do zobaczenia.

Sabrina popełniła błąd. Ten zwrot zabrzmiał zbyt oficjalnie. Lecz lo nic poważnego. Ogólnie rzecz biorąc, niezły kawałek roboty, pomyślała.

Robota. Odszukała na pozostawionej jej przez Stefanię liście numer biura i zostawiła w centrali wiadomość, że jest chora. Potem, zrobiwszy przegląd spiżarki i lodówki, sporządziła listę zakupów, wymyślając najprzeróżniejsze jadłospisy i przekąski, a w miarę jak to robiła, jej ambicje rosły. Przepelniała ją energia i pewność siebie, jak bohaterkę powieści, która znalazła to, czego pragnęła — dom, rodzinę, przyjaciół. Wszystko było jej. Na troszeczkę.

Płynąc na tej samej fali pewności siebie, okiełznała wóz — dlaczego rządy nie mogły jakoś dojść do porozumienia, po której stronie ulicy mają jeździć samochody? — i odważnie wkroczyła do monstrualnego supermarketu, który pomieściłby dziesięć znanych jej londyńskich. Nigdy nie robiła zakupów dla czterech osób. Z obawy by czegoś nie brakło, wzięła wszystkiego cztery razy więcej, niż zazwyczaj brała dla siebie. Jej wózek wyglądał jak dostawa dla armii.



Jeździła od sklepu do sklepu z listą Stefanii. Pomyśleć tylko, Sabrina Longworth niosąca torby z produktami spożywczymi, pokarmem dla zółwia, papierem toaletowym, proszkami i opryskiwaczem do róż! Zaśmiała się do siebie. Co by powiedziała na jej widok Olivia?

Samochód był wypełniony brązowymi papierowymi torbami. Sabrina poczuła euforię zwycięstwa. Nikt nie zakwestionował jej podpisu na czeku. Rzeźnik uśmiechnął się do niej, gdy poprosiła, żeby okroił steki. W pralni wydano jej bez chwili wahania sportową marynarkę Gartha. Ekspedient w sklepie fotograficznym zwrócił się do niej po nazwisku, gdy podała mu rolki filmów, i zapewnił, że oczywiście zdjęcia będą gotowe na jutro i że zapewne nie może się doczekać, żeby je pokazać znajomym. Nie co dzień wyjeżdża się do Chin. Dała sobie radę ze wszystkim.

O trzeciej zadzwonił Garth.

— Chciałem się tylko upewnić, że dobrze się czujesz.

— A myślałeś, że nie?

— Wieczorem byłeś taka spięta, niepewna, jakbyś nie wiedziała, jak się zachować.

Pod wpływem tych słów nieco z jej pewności siebie ulotniło się. ***Stefania nie powiedziała mi, że on jest jasnowidzem.***

— Naprawdę tak to wyglądało?

— Trochę. Dobrze spałaś?

— Tak, czuję się o wiele lepiej. Wciąż mi się zdaje, że jestem turystką we własnym domu, ale przyzwyczaję się. O której będziesz w domu?

— Wpół do szóstej. Wszystko w porządku?

— Tak, oczywiście. No to do zobaczenia.

Do domu wpadł Cliff wracający ze szkoły i Sabrina przygotowała się na to, że usiądą razem i porozmawiają, jak mu upłynął dzień.

— Cześć, mama — powiedział otwierając torbę frytek. — Penny kazała ci powiedzieć, że ma gimnastykę i będzie w domu o wpół do szóstej. Ja wrócę później.

Był już w połowie drogi do drzwi, zanim Sabrinie udało się złapać oddech.

— Poczekaj no! — Najwidoczniej przyjacielskie pogawędki z rodzicami nie były tu w zwyczaju. — Ty też masz być z powrotem o wpół do szóstej — oznajmiła. Cliff skinął głową, zatraskując za sobą drzwi.

To nawet dobrze się składa. Przynajmniej będzie sama i nie obserwowana przez nikogo ugotuje dla rodziny pierwszy posiłek w obcej kuchni.

Garth wrócił do domu nieco wcześniej i wszedł akurat w momencie, gdy zabierała się do przyprawiania steków. Przeszedł cicho przez dom i patrzył na nią z drzwi jadalni. Stała przy kuchennym blacie odwrócona do niego tyłem, szczupła jak młoda dziewczyna w dżinsach i obcisłym sweterku, i mruzczała pod nosem:

— Tłuczek i moździerz. Muszą gdzieś tu być.

Garth był zdumiony. Znów to samo — udawanie, że o niczym nie wie, jakby widziała dom i rodzinę pierwszy raz od wieków. Wszystko stało przecież na swoim miejscu.

— Ani śladu moździerza — wymruczała. — Cóż, w takim razie wystarczy jakiś młynek.

Garth zrobił krok do przodu i Sabrina obróciła się błyskawicznie.

— Nie słyszałam, jak wchodziłeś.

— Właśnie przyszedłem. Do czego ci potrzebny tłuczek i moździerz?

— Do pieprzu. Ale mogę go zemleć. — Mam trochę tego w laboratorium. — Pieprzu?

— Tłuczków i moździerzy.

— Do czego ich używasz?

— Jasne, że do tłuczenia pieprzu.

— Żeby badać jego geny?

— Żeby je modyfikować. Wtedy pieprz będzie rósł na drzewach w małych kwadratowych puszkach z plastikowymi pokrywkami.

— Drzewko jak ze snu.

— Raczej z koszmaru. To trudny eksperyment.

Zgodnie się roześmieli cichym śmiechem. Ależ ona jest piękna, pomyślał Garth. Czy zawsze tak było, czy też stało się coś, co ją odmieniło? Przysunął się do niej, patrząc jej w oczy, jeszcze roześmiany. Sabrina odwróciła się szybko z powrotem do blatu.

— Miałaś dobry dzień? Zatrzymał się, jakby go uderzyła.

— Co?

— Pytałam, jak ci minął dzień.

W jednej chwili śmieje się razem z nim, w następnej odwraca do niego plecami, zupełnie bez powodu. Spojrzał na nią uważnie, lecz była pochłonięta wcieraniem dłonią zmielonego pieprzu w steki. Wzruszył ramionami i usiadł na kozetce, otwierając gazetę. — Kupiłaś wino?

— Tak, zaraz przyniosę. Chwileczkę.

Położyła steki na półmisku i przykryła woskowanym papierem. Przyniosła ze spiżarni butelkę czerwonego wina, korkociąg i dwa kieliszki. Garth spojrział na kieliszki i unióś brwi w niemym zdumieniu, lecz Sabrina nie zauważyła tego.

— Nie powiedziałeś mi, jak ci minął dzień.

— Ty też. Jak było? Nuda i rutyna po niezwykłościach podróży?

— Nie. Spokój i przyjemne samopoczucie. Obeszłam cały dom i stwierdziłam, że w całych Chinach nie ma nic, co by mogło się z nim równać, nie wyłączając popękanych ścian. Usiądziemy na patio? Jest tak pięknie, a ja prawie nie wychodziłam dziś z domu.

Garth odłożył gazetę.

— Dobry pomysł. Ja również. Wyszedł pierwszy i otworzył butelkę.

— Już dawno nie siedzieliśmy tak razem przed obiadem. Uśmiechnął się do niej, gdy usiedli przy małym okrągłym stoliku.

Nawet jeśli wciąż czuła urazę na wspomnienie kłótni sprzed jej wyjazdu, wyraźnie próbowała zmienić coś w ich życiu. To samo można było powiedzieć o nim, chociaż ona na pozór nie zauważyła, że wrócił do domu tak wcześnie i nie miał zamiaru wracać po obiedzie do laboratorium.

Sabrina patrzyła na ogródek. Promienie słońca nisko stojącego na niebie przeświecały przez wysokie kapryfolium przy ogrodzeniu. Przesiane przez nie cętki światła padały na brązowe chryzantemy, krzewy ciemnoczerwonych i żółtych róż i ogród warzywny, w którym błyszczące pomidory czerwieniły się obok kolczastych krzaków porzeczek i żółknących ogórków. Nikt ich nie zebrał pod nieobecność Stefanii.

Powietrze było świeże i słodkie, słońce leżało na twarzy Sabriny jak płynny miód. Czuła się zupełnie swobodnie.

— Opowiedziałam wam już wszystko o mojej podróży. Chciałabym usłyszeć, co się tu działo, gdy mnie nie było.

— Tęskniliśmy za tobą. — Nalał wina i obejrzał butelkę. — Dom był tak pusty, że echo się w nim odbijało i balansował na skraju chaosu. To jakieś nowe wino: eksperymentujesz?

***W domu nie było żadnego, a Stefania powiedziała, że lubisz czerwone, więc kupiłam jedno ze swoich ulubionych.***

— Któryś z uczestników wycieczki wspomniał o nim. Nie masz mi za złe, że próbuję czegoś nowego?

— Oczywiście, że nie. — Wysączył łyk i znów spojrział na etykietkę. — Jest znakomite. Co jeszcze kupiłaś?

— To, co zwykle. I zatankowałam benzynę. Zbiornik był prawie pusty.

— Zatankowałaś benzynę? To zabrzmiało z brytyjska. Sabrina zacisnęła palce wokół kieliszka.

— Jeszcze to robię? W wycieczce brał udział pewien Anglik, pośrednik sprzedaży antyków nazwiskiem Nicholas Blackford. Dużo rozmawialiśmy na tematy zawodowe i przejęłam od niego wiele angielskich wyrażeń. Gdy w Hongkongu nazwałam hotelową windę elewateorem, Nicholas stwierdził, że mogę się uważać za honorową obywatelkę brytyjską. Nie wiem, dlaczego ja podłapałam różne jego wyrażenia, a nie odwrotnie... — **Przestań tyle o tym gadać. Pogorszysz tylko sprawę.** — No, w każdym razie, widać wciąż to robię.

— Mamo? — dobiegł ich głos Penny z wnętrza domu. **Dzięki Bogu za dzieci.**

— Jesteśmy tutaj, na powietrzu — zawołała Sabrina. Penny wypadła na patio i rzuciła się na krzesło obok Sabriny.

— Barbara mówi, że to ona będzie robić lalki!

— O? — odezwała się czujnie Sabrina. — Dlaczego?

— Bo pani Casey powiedziała jej, że ma robić. — W oczach Penny zakręciły się łzy. — To niesprawiedliwe!

— Dlaczego pani Casey tak jej powiedziała?

— Nie wiem! Rozmawiałaś z nią przed wakacjami, pod koniec roku szkolnego i wtedy powiedziała, że ja mam je robić, prawda? Czy nic tak powiedziała?

— Chyba tak. Czy mówiła Barbarze, że zmieniła zdanie?

— Barbara mówi, że po prostu kazała jej się do tego zabrać. Ale ja już zaczęłam, a przedstawienie lalkowe ma być na Boże Narodzenie, więc nie ma dużo czasu. A ja mam tyle dobrych pomysłów i to miała być moja praca! — Wybuchnęła głośnym płaczem.

Sabrina nachyliła się ku niej.

— Może pani Casey powiedziała tylko Barbarze, żeby ci pomogła, bo to za dużo pracy dla jednej osoby.

— Mam troje pomocników, wiesz o tym! Mówiłam ci już dawno Innu! Obiecuj, że z nią porozmawiasz.

— No cóż... Czy pani Casey nigdy ci nie mówiła, że zmieniła zdanie?

— Nie!

— W takim razie pomyślę nad tym. To istotnie nie wydaje się upniwiedliwe, że nie powiedziała ci o tym, niezależnie od tego, jakie miała powody.

— Co wy tu robicie? — spytał Cliff, wychodząc z kuchennych iltzwi.

— Pijemy sobie w spokoju kieliszek wina przed obiadem — rzekł oschle Garth.

— Mogę sobie wziąć soku jabłkowego?

— Nalej dla siebie i Penny — powiedziała Sabrina. — Zaraz będziemy jedli.

— Już prawie wpół do siódmej — rzucił Clif. — Padam z głodu.

— Wpół do siódmej? — zdumiała się Sabrina. — Czy nie miałeś przypadkiem być w domu o wpół do szóstej? I ty, Penny?

— Ja byłam z Barbarą — odparła Penny, pociągając nosem.

— A ja rozmawiałem z Halem — dorzucił Cliff. — W bardzo ważnej sprawie. Chciałem zadzwonić, ale...

— Kiepsko u was z punktualnością — stwierdziła Sabrina. — Byłoby nieźle, żeby się to zmieniło w przyszłości. Począwszy od jutra. A teraz może będziecie tak nakryli do stołu? Obiad będzie około siódmej.

Cliff i Penny spojrzeli na siebie, obrócili się na pięcie i wbiegli do domu. Sabrina usłyszała, jak szepczą coś z przejęciem. — Żadnego kazania? — spytał Garth.

— Och, na dworze jest zbyt pięknie, żeby prawić kazania. — **Nie jestem dobrą matką: jestem za mało wymagająca.** — Czy opowiadałam wam, jaka pogoda jest w Chinach? To tak, jakby się było w różnych krajach, od chłodnego i górzystego aż po tropiki. — Mówiła płynnie, ilustrując swą opowieść gestami i pobudzając Gartha do śmiechu dowcipami o chińskim przewodniku. Po jakimś czasie podniosła się. — Obiad za parę minut. Dokończymy to wino przy stekach?

Skinął głową. Weszła do kuchni i wzięła głęboki oddech. **Całkiem nieźle.**

Gdy siedzieli przy stole, Cliff napchał sobie usta, po czym zrobił grymas.

— Co się stało z tym stekiem? W Sabrinie serce zamarło.

— Nie smakuje ci?

— Nowy przepis — spytał Garth — do nowego wina?

— Przepraszam — powiedziała. — Znalazłam go w książce kucharskiej...

— Za co przepraszasz? Fantastyczny stek. Cliff, zbierz się na odwagę i weź następny kęs. Życie jest pełne niespodzianek. Penny, nie daj mu się przestraszyć, zaryzykuj. — Odwrócił się do Sabriny. — Czy to ma jakąś nazwę? — **Steak au poivre.** Stek z pieprzem.

— I czym jeszcze?

— Masłem. I odrobiną madery. To wszystko. Jest bardzo dobry.

— Łaskocze mnie w język — powiedziała Penny. — Dobrze.

— Całkiem fajny — zgodził się Cliff. — Ale nie tak dobry jak

hamburger. Ja odbiorę! — wrzasnął, zrywając się z krzesła na dzwonek icelbnu. Po chwili zawołał z kuchni: — Tata! Do ciebie! Garth wrócił po chwili z zachmurzoną twarzą.

— Muszę wziąć dziś zastępstwo na seminarium — jeden z naszych bakteriologów złapał grype.

— Biedny facet — powiedziała Sabrina. — Będzie mógł teraz lobić w domu badania na własnych wirusach. Garth uśmiechnął się, lecz był poirytowany.

— Nie miałem zamiaru wychodzić dziś wieczór. — Po czym ona pozna, że on też próbuje się zmienić, jeśli zniknie z domu na kolejny wieczór? — Może uda mi się znaleźć kogoś innego?

— Nie, jesteś tam potrzebny — zaprotestowała Sabrina. To załatwi uprawę dzisiejszego wieczoru, a jutro mają iść do Goldnerów. — Wrócisz późno?

— Pewnie około jedenastej. Nie będziesz jeszcze spać, prawda?

— Chyba nie.

Lecz było inaczej. Posiedziała trochę nad układanką z Penny i Cliffem, a gdy oni odrabiali lekcje, oglądała telewizję w salonie. O dziesiątej sprawdziła, czy wszystkie drzwi — frontowe, wychodzące na patio i te boczne — są zamknięte. Weszła na górę, rozebrała się i umyła, a potem włożyła jedną z koszul nocnych z górnej szuflady Im-liźniarki i pasiasty, bawełniany szlafrok, który wisiał w szafce. Zwinęła się w kłębek w głębokim fotelu w niszy okiennej sypialni, wzięła jedną z książek leżących na stoliku obok i zaczęła czytać.

Przeczytała trzy strony i uniosła głowę, jakby nagle zbudzona. Dlaczego to wszystko zrobiła? Sprawdziła drzwi, choć nikt jej o tym nie mówił. Włożyła koszulę nocną, choć od dwudziestu lat nie miała na sobie żadnej: zawsze spała nago. Zdjęła bez namysłu szlafrok z właściwego haczyka, choć nie mogła sobie przypomnieć, by go zauważyła podczas porannego przeglądu domu. A potem od razu usiadła w tym fotelu i zabrała się do czytania.

Stefania musiała jej o tym opowiedzieć. Podczas ostatniego tygodnia opisywały sobie nawzajem swoje życie tak drobiazgowo, że wśród innych szczegółów mógł się zaplątać i ten. Możliwe też, pomyślała, że po całym dniu udawania Stefanii i przebywania w jej domu zmieniam się — do pewnego stopnia — w swoją własną siostrę.

Ogarnęła ją fala senności. Jutro pomyślę o obu moich ja, postanowiła i odrzuciwszy koce wśliznęła się do łóżka z sennym uśmiechem. ***Oba moje ja. Co za dziwny pomysł.*** Potem zapadła w sen.

Zbudziła się o siódmej. W domu panowała cisza. Pokój zalewały potoki słonecznego blasku. Odwróciła głowę, by spojrzeć na gładkie prześcieradła i poduszkę obok. Czy Garth wczoraj wieczorem pocałował ją, gdy spała? Nic nie słyszała ani nie czuła. Nie mogła nawet sobie przypomnieć, czy coś jej się śniło.

Przed nią jednak był nowy dzień — dzień jej urodzin, przypomniała sobie nagle. W Londynie obudziłaby się zapewne w melancholijnym nastroju rozmyślając, że ma trzydzieści dwa lata, jest samotna i nie wie, co przyniesie jej przyszłość. Lecz tu, w samym środku niezwykłej przygody i w otoczeniu rodziny, była podniecona i kipiała energią. Rażno wyskoczyła z łóżka i wzięła prysznic. Właśnie studiowała w kuchni poranny spis zajęć, który dała jej Stefania, gdy usłyszała odgłosy wstawania reszty rodziny.

Zanim się spostrzegła, cała trójka zjawiała się w kuchni i jej starannie obmyślony rozkład wziął w łeb. Wszystko trzeba było zrobić natychmiast — przygotować śniadanie i kanapki na lunch, poszukać szkolnych podręczników i zagubionych ołówków, przepytac Cliffa z ortografii, pomóc Penny przyszyć guzik. Sabrina czuła, że potyka się o własne nogi. Szukała chaotycznie naczyń, zapomniała postawić dżem na stole i włożyć serwetki do pudełek z lunchem.

— Nie przynieśli gazety? — spytał Garth.

— Nie wiem — odpowiedziała, smarując kanapkę Penny musztardą.

— Mamo! Wiesz, że nie cierpię musztardy! — krzyknęła Penny. — Nie zjem tego!

— Nie sprawdzałaś na wycieracze? — spytał Garth.

— Nie. — *Mc nie wiedziałam o gazecie. Stefania mówiła mi o musztardzie, ale zapomniałam.* Próbowала zdrapać musztardę z chleba, potem zrezygnowała i wzięła świeżą kromkę.

Garth przyniósł gazetę z ganku i zaczął czytać. Sabrina przypuszczała, że jest zły, bo nie zaczekała na niego wczoraj wieczór, lecz nie było czasu ani warunków, żeby poruszyć ten temat. Po półgodzinie gorączkowego zamieszania wszyscy się wynieśli — Garth ze swoją teczką, Penny i Cliff z książkami i kanapkami na lunch — a dom odetchnął z ulgą i zapadł w błogi bezruch.

Sabrina triumfowała. Dopięła swego: nakarmiła ich i wyprawiła z domu zgodnie z planem, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Aż kipiała chęcią pochwalenia się komuś: „Popatrz, czego dokonałam. Zająłam się wszystkim, choć nigdy przedtem tego nie robiłam.” Lecz nie było przed kim się chwalić, a nawet Stefania powiedziałaaby: „Z czego tu być dumnym? Ja robię to każdego ranka, nawet o tym nie myśląc.”

To jednak nie przeszkadzało, że była z siebie dumna, choć nikt w rodzinie nie doceniał jej starań. Nawet nie pamiętali o jej urodzinach. Czyżby wszyscy troje zapomnieli o nich? Nic nie szkodzi, pomyślała. Sama sobie wyprawię urodziny. Pojadę zwiedzić Chicago. I kupię sobie jakiś prezent.

Doprowadziła kuchnię do porządku, a rzuciwszy okiem na pokoje na parterze, zdecydowała, że mogą poczekać jeszcze jeden dzień na odkurzenie. Pościeliła łóżka na górze. Weszła do pracowni i zobaczyła, że Garth złożył rozkładaną kanapkę, na której miał poślanie. Sabrina rozłożyła ją i znalazła w środku prześcieradła i pled. Ma zamiar znów tu spać, pomyślała, i poczuła jakby urazę. Czyżby w ogóle mu się nie podobała? Zaśmiała się sama z siebie. Najwyraźniej nie. Z jakiegoś powodu, może z powodu tej kłótni, po której, jak twierdziła Stefania, pogodzili się — nie chciał jej. Tym lepiej.

Zignorowała bałagan w pokoju Cliffa i ubrała się do wyjścia. Włożyła granatową lnianą spódnicę i jaskrawożółtą jedwabną bluzkę, którą znalazła po dłuższym grzebaniu w szafie. Potem wybrała z kasetki / . biżuterią przepiękny naszyjnik z matowych, dużych, nie szlifowanych bryłek bursztynu, do tego stopnia odbijający od reszty ozdób Stefanii, że zastanowiła się, skąd się wśród nich znalazł. Sama kupiłaby go dla siebie. Lśnił na żółtym jedwabiu bluzki blaskiem jesiennego dnia. Narzuciwszy kremowy blezer, wyszła z domu.

W skrytce w samochodzie znalazła mapę i kierując się nią, dojechała do Chicago od południa, przez Lake Shore Drive. Prowadziła wolno, patrząc z zachwytem na park Lincolna po prawej i rozległe plaże, omywane przez niebieskozielone wody jeziora Michigan po lewej stronie. Przed nią wyrosły miejskie drapacze chmur, odcinające się ostro na tle błękitnego nieba. Gdy zatrzymała wóz na parkingu, przemieszane ze sobą rzeźbione fasady starych budowli i smukłe nowoczesne kolumny ze szkła i stali wypełniły całe pole widzenia.

Chicago, przeszło tysiąc lat młodsze od Londynu, było zgiełkliwe, śmiało i bardziej na pokaz. Sabrina poczuła tęsknotę za zacisznym Londynem, jego tajemniczymi bocznymi uliczkami i dyskretnymi witrynami sklepów, rezerwą, z jaką odnosili się do siebie ludzie na ulicy.

Spodobała jej się jednak w Chicago jego zuchwałość, która sprawiała, że miasto narzucało swe atrakcje odwiedzającym, jakby mówiąc: „Nawet jeśli ci się teraz nie podobam, jeszcze mnie polubisz”. Londyn witał przybyszów grzecznie i po przyjacielsku, lecz nastrój miasta wyrażał się w słowach: „Lubisz mnie — to dobrze. Nie — lalwo to przeżyję.”

Lubię oba te miejsca, pomyślała Sabrina. Czuję się tu jak u siebie.



A dlaczegożby nie? Wszak mieszkam w Evanston. Szła dalej, aż dotarła do parku Granta i Instytutu Sztuki. Weszła na szerokie schody, na których szczycie z obu stron stały dwa wielkie lwy, strzegące oszklonego wejścia. Chciała obejrzeć ekspozycję, gorąco polecaną przez Stefanię.

— Stefania! Co za szczęśliwy traf, że cię tu spotkałam! Nie wiedziałam, że wróciłaś już z Chin!

Słowa te wykrzyknęła wysoka kobieta o kasztanowatych włosach, dużych brązowych oczach za okrągłymi okularami w rogowej oprawie i bladych, nie umalowanych wargach, nieco przygarbiona, jakby w ten sposób maskowała swój wzrost. Miała na sobie prostą brązową garsonkę i brązowe buty ze skóry jaszczurki. Zbyt przygaszone, oceniła Sabrina. Powinna ubierać się na czerwono lub choćby mieć w stroju coś czerwonego. Rzuciła jej przyjacielski półuśmiech.

— Wróciłam w poniedziałek wieczorem.

— Wyglądasz wspaniale! Jak tam wycieczka, udana?

— Cudowna. — Urwała. — Jak się miewasz?

— Lepiej niż gdy widziałyśmy się ostatnio. Odroczyli mi egzekucję. — Sabrina patrzyła na nią nie pojmując. — Przepraszam za moje wisielcze poczucie humoru, ale to żeby nie dać się rozpaczy. Chciałam powiedzieć, że wciąż jestem na wydziale. Czy Garth nic ci nie mówił? Po tym, jak objechał Webstera i uderzył do wyższej instancji, zastępca rektora zdecydował, że mój przypadek wymaga obserwacji, więc mogę zostać jeszcze na rok.

— Bardzo się cieszę — odparła Sabrina. Rok? Dlaczego mieliby ją wyrzucić? I dlaczego Garth objechał Webstera, kimkolwiek on był?

— Ja nie tylko się cieszę, ale wprost wariuję ze szczęścia. Hans właśnie rzucił posadę, co oznacza, że jestem obecnie jedyną żywicielką rodziny. Jednak żeby się zabezpieczyć, składam podania o pracę do innych szkół, od końca przyszłego roku. — Jej głos załamał się przy ostatnich słowach. — Wiesz, nie chcę odchodzić z tej pracy. Dopiero co kupiliśmy dom, dzieci przyzwyczyły się do szkoły, a ja byłam taka szczęśliwa ucząc tutaj...

Sabrina impulsywnie położyła dłoń na ramieniu kobiety.

— Może zjemy razem lunch? Mogłabyś opowiedzieć o...

— Nie, nie. Staram się tego nie robić. Stanę się nudziarą, na której widok uciekają wszyscy przyjaciele. Poza tym mam spotkanie o czwartek. Ale zadzwonię, można? Może umówimy się na lunch innego dnia. Zawsze chciałam poznać cię bliżej.

— Z radością.

— W takim razie zadzwonię. — Odwróciła się, by odejść, wysoka

i przygarbiona, lecz po chwili zatrzymała się i dodała: — Jeszcze jedna rzecz. Zapewne i tak o tym wiesz, ale chcę mimo wszystko powiedzieć, że Garth to cudowny człowiek. Opiekuńczy, potrafi dodać innym odwagi i słucha z uwagą, która sprawia, że każdy czuje się naprawdę wyjątkowo. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie on. Czy powiesz mu, że jestem mu bardzo wdzięczna? Gdy ja próbuję, przerywa mi w pół słowa. Zadzwoń niedługo w sprawie lunchu. Jesteś w dużej mierze podobna do Gartha — umiesz słuchać.

Spacerując wśród eksponatów, Sabrina myślała o Garcie. ***Słucha z uwagą, która sprawia, że każdy czuje się naprawdę wyjątkowo.***

Na parterze znalazła salę wczesnoamerykańskich tkanin; niektóre z nich miały mały, lecz wyraźny inicjał w rogu. Uśmiechnęła się na wspomnienie swojego S na posadzce domu Aleksandry i znów wróciła myślą do Gartha. Opiekuńczy, powiedziała ta kobieta, i potrafi dodać innym odwagi.

W stoisku z reprodukcjami kupiła sobie prezent urodzinowy, bogato ilustrowany album o Wenecji. Potem, wciąż błądząc myślą wokół Gartha, pojechała do domu. Zatrzymała się po drodze przy zakładzie fotograficznym, żeby odebrać zdjęcia z Chin.

Garth. Widziała go już w trzech postaciach: obojętnego męża Stefanii, człowieka, który potrafił sprzeciwić się zwierzchnikowi dla dobra kolegi z pracy, i ciepłego, pełnego humoru kompana, z którym od niedawna mieszkała pod jednym dachem. Jaki jest Garth naprawdę? Nie wiedziała. I nie będzie miała czasu, aby się dowiedzieć.

W domu Penny i Cliff szeptali konspiracyjnie po kątach, podczas gdy ona przed wyjściem do Goldnerów smażyła im na obiad frytki i hamburgery. Garth wrócił do domu z białym pudłem. Całując Sabrinę w policzek dotknął naszyjnika na jej szyi i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Wszyscy usiedli przy stole. Penny i Cliff zaczęli jeść.

— Nie rozmawiałaś z panią Casey — przypomniała Penny.

— Umówię się z nią — obiecała Sabrina.

Garth podniósł rękę, uciszając wszystkich i mniej więcej jednocześnie cała trójka zaczęła hucznie i fałszywie śpiewać „Sto lat”. Sabrinę ogarnęła fala szczęścia: jednak nie zapomnieli. Radość w kręgu najbliższych była dla niej zupełnie nowym uczuciem. Gdy dorastała, wymogi kariery ojca rozdzieliły rodzinę, zaś później Denton nie chciał takowej założyć. Jej życie na Cadogan Square było samotne, otoczone luksusem, lecz brak w nim było rodzinnego ciepła. Stała zarumieniona, z uśmiechem na ustach, gdy nagle smagnęła ją myśl. Oni śpiewają dla Stefanii, nie dla ciebie.

— Otwórz pudełko! — krzyczała Penny, podskakując na krześle. Sabrina rozwiązała wstążkę i znalazła w dużym pudle trzy mniejsze.

W największym był tort z kunsztownie wyczelowanym sercem z różowym S w środku. Drugie, krzywo zawinięte, zawierało dwa okrągłe, gładkie kamyki. Na jednym był jej portret, na drugim wizerunek klauna w obszernym ubraniu.

Wzięła chłodne kamienie w dłonie. Portret był zdumiewająco wierny, zaś fizjonomia klauna stanowiła śmiałą karykaturę. Oba wizerunki zostały starannie namalowane, pokryte lakierem, owinięte w bibułkę i przewiązane złotym sznureczkiem. Szkoda, że to nie dla mnie, pomyślała Sabrina.

— To przyciski do papieru — powiedział Cliff niespokojnie. — Nie podobają ci się?

Sabrina przyciągnęła dzieci do siebie i mocno przytuliła.

— Są cudowne, strasznie wam dziękuję. Będę je wszystkim pokazywać.

Penny rozpromieniła się.

— Mogę zrobić więcej, jeśli ktoś będzie chciał. Na przykład u ciebie w biurze.

— Ja też — powiedział Cliff. — Ale ten Penny jest lepszy.

— Bardziej artystyczny — zgodziła się Sabrina. — Lecz twój byłby świetnym prezentem dla nadętych lordów i wielkich dam, którzy nie mają pojęcia, jakimi śmiesznymi klaunami wydają się innym.

Penny i Cliff wybuchnęli śmiechem.

— Lordów i wielkich dam? — powtórzył pytająco Garth.

— Nie otwierasz prezentu od taty? — spytał niecierpliwie Cliff. Odwijając wąskie pudełko Sabrina dokonała szybkiej pracy umysłowej i powiedziała:

— Niektórzy z tych bogaczy, z którymi się zetknęłam przy organizowaniu wyprzedaży, przypominali mi całą tę arystokrację, którą widzieliśmy w Anglii na ślubie... e... Sabriny. Nie mówię o wszystkich, tylko o tych, którzy uważają, że posiadanie pieniędzy czyni z nich istoty lepszego gatunku.

Wyjęła z pudełka porcelanową sójkę. Spojrzała na figurkę z niedowierzaniem. Miśnieńska porcelana. Jakim cudem Gartha stać było na...? Obróciła ją i pod spodem zobaczyła znak firmowy. Miśnieńska współczesna kopia jednego z ich własnych osiemnastowiecznych wyrobów.

— To do twojej kolekcji! — powiedziała Penny. — Będzie pasować do innych, które przysłała ci ciocia Sabrina. Czy nie jest piękna? Pomogliśmy ją wybrać.

— Bardzo piękna — powiedziała Sabrina do Gartha. — I bardzo oryginalna. Dziękuję.

Nikt nie musiał wiedzieć, że porcelanowy ptak przypominał jej o czekających ją kłopotach; należały one do Sabriny Longworth, a nie Stefanii Andersen, zaś Garth, podobnie jak dzieci, wybrał dla niej prezent z miłością. Chciałabym, żeby to naprawdę było dla mnie, pomyślała znowu. A potem był już czas, żeby się zbierać na kolację do Goldnerów.

Siedząc na białej skórzanej sofie w salonie Goldnerów Sabrina puściła w obieg swoje zdjęcia z Chin i opowiadała o podróży. Była napięta jak struna, próbując zachowywać się jak stara znajoma wobec Goldnerów i drugiej pary — Martina i Lindy Tah/iów, przyjaciół Stefanii i Gartha od dwunastu lat. Wszyscy uściskali ją na powitanie i złożyli jej życzenia. Ta grupka ludzi była sobie bliższa niż niejedna rodzina. Sabrina przy powitaniu dała Dolores i Lindzie jedwabne apaszki, które Stefania kupiła dla nich w Szanghaju, a teraz nie przestając mówić, jednocześnie jakby obserwowała z boku samą siebie i swoich słuchaczy. Czuła się, jakby brała udział w przedstawieniu.

I nie jest to też nic innego, myślała, słysząc swój własny głos opisujący fabryki porcelany i otulone mgłami, postrzępione wierzchołki gór. Już na lotnisku, przed wejściem na scenę, miała tremę. Teraz pozostając uczestnikiem przedstawienia, czuła się zarazem jak widz.

Jedno jej wcielenie siedziało z mężem i przyjaciółmi w surowo nowoczesnym salonie Goldnerów, w którego wystroju przeważały skóra, chromowany metal i szkło. Drugie chłodno i krytycznie obserwowało każdą czynność pierwszego.

— Wspaniałe zdjęcia — pochwalił Martin Talvia, pochylając się do przodu. W tej pozycji przypominał jej wysoką, chudą czaplę, która ćmi fajkę, zupełnie jak podczas tego przyjęcia w ogrodzie, dawno temu. — Czy wszystkie robiłaś sama?

— Nie, na zmianę z... — wymamrotała, przeglądając te, które miała w ręku.

— Z kim? — spytała Linda.

— Och, z kilkoma osobami — dokończyła szybko Sabrina, lecz w następnej chwili zamarła z przerażenia: trzy zdjęcia, zrobione przez Nicholasa Blackforda w Hongkongu przedstawiały ją i Stefanię w takich samych jedwabnych sukniach z Szanghaju. Bliźniacze twarze, identyczne figury. Jeśli Garth odkryje, że były tam razem, ile czasu

będzie potrzebował, by rozszyfrować jej błędy i dojść do wniosku, który sam się nasuwał?

— Co jeszcze? — zawołała Linda wesoło i wyciągnęła rękę po pozostałe zdjęcia. Sabrina raptownie przycisnęła je do siebie. — Hej! — zaskoczona i zmieszana Linda zaśmiała się. — Co takiego zrobiłam?

Sabrina ścisnęła zdjęcia tak mocno, że zbieleły jej kostki palców. Twarz poczerwieniała jej z zakłopotania.

— Przepraszam. Te... te zdjęcia są raczej kiepskie. Trochę się ich wstydzę.

— Jesteś zbyt drażliwa, Stefanio — stwierdziła Dolores. — Z łatwością ci wybaczymy jedną czy dwie fuszerki.

— Ale są aż trzy — odparła Sabrina, niby bagatelizując sprawę. — Lindo, bardzo mi przykro. Kiedy indziej pokażę ci dowody mojej nieudolności. — A jeden właśnie zobaczyłaś, dodała w myśli. Czowała, że drży. Powinna była szybciej myśleć, przewidywać, nie pozwalać sobie na momenty nieuwagi. Było zbyt wiele rzeczy, na których mogła zostać przyłapana, i wszystko zepsuć.

— Chodźmy jeść — powiedziała Dolores i poprowadziła gości do jadalni, która płonęła kolorami kwiatów z jej ogrodu. Sabrina zatrzymała się w drzwiach, przejęta podziwem na widok piękna poszczególnych kompozycji; każda była dziełem sztuki. Na środku stołu stał pęk wiotkich gałązek jarzębiny obsypanych czerwonymi owocami. W wielkich koszach na podłodze i kredensie tkwiły bukiety chryzantem, późnych lilii i błyszczących czerwonych liści klonu. Olivia Chasson zawsze szczyliła się kunsztem swojego kwiaciarza, lecz gdyby ujrziała te kompozycje, natychmiast wylałaby go z pracy i zaproponowała jego miejsce Dolores.

— To najwspanialsze kompozycje, jakie... — zaczęła Sabrina, zwracając się do gospodyni, lecz Nathan Goldner przerwał jej w pół zdania:

— Gdy ciebie nie było, dostała za nie kolejną nagrodę. Jest zbyt skromna, żeby się tym pochwalić.

Sabrina złożyła mu w duchu dzięki i zakończyła zdanie inaczej:

— ...jakie u ciebie widziałam. Co to była za nagroda?

— Pierwsza w jesiennym konkursie kompozycji kwiatowych — odpowiedziała Dolores, podając pieczone kurczęta z ryżem. — Chyba mówiłam ci, że mam zamiar wziąć w nim udział.

— Świetna rozrywka — odezwał się Martin Talvia. Odwrócił się do żony, która siedziała obok niego. Była drobna i gustownie ubrana, jej krótko obcięte ciemne włosy przypominały czapeczkę, a usta pod małym mopsim noskiem miały nadąsany wyraz. — Mogłabyś spróbować czegoś takiego. Masz masę twórczych pomysłów, gdy ci się tylko chce.

Linda spojrzała na niego chłodno.

— A gdy mi się nie chce?

— Wtedy cały dom idzie w rozsypkę — odpowiedział uprzejmie.

— W sprzątanii nie ma nic twórczego. Według mnie to nudne.

— Tak jak i małżeństwo? Wzruszyła ramionami.

— Jeszcze wina? — spytał Nathan.

— Ja się napiję — powiedziała Sabrina. Czowała pewne skrepowanie. Nathan nalał gościom wina, obchodząc stół.

— Czy opowiadałem wam...? — zaczął.

— Tak jak i ja jestem dla ciebie nudny? — ciągnął uparcie Martin. Linda znów wzruszyła ramionami.

— Ile życia może mieć w sobie ktoś, kto pisze książki o socjologii?

— Skąd wiesz? Nigdy nie słuchasz tego, co mówię na ten temat.

— Nie interesują mnie grupy społeczne.

— Jednak gdybyś czasem raczyła posłuchać... Dziś na przykład porównywałem wyniki badań na temat częstotliwości przypadków niewierności wśród żon urzędników. Czy to przypadkiem nie twój konik? Na tym się chyba znasz? — Cóż za obrzydliwa aluzja! Dlaczego nie powiesz mi wprost, o co mnie oskarżasz, zamiast chować się za swoimi podręcznikami!

— Chciałabyś tego? Chciałabyś, żebym powiedział ci to jasno?

— Hej — wtrącił Nathan. — Wasza rozmowa staje się dla nas krępująca. Zwłaszcza dla Stefanii, która przez dwa tygodnie zdążyła zapomnieć o waszych obyczajach. Pozwólcie, że zmienię temat. Nie będę mówił o ortopedii, ponieważ to interesuje wyłącznie mnie, lecz o moich hobby. Co wolicie — relację z mojej ostatniej wędrowki po niezgłębionych puszcach w Wisconsin czy też historię weneckiego kielicha, najnowszego nabytku do mojej kolekcji szkła? — O kielichu — odparła szybko Sabrina, wdzięczna za przerwanie przykrew kłótni. Zauważyła, że wszyscy pozostali puszczała ją mimo uszu, traktując jak rzecz na porządku dziennym.

— Umiesz wybierać — pochwalił Nathan. — Jak ten cudowny naszyjnik. Nigdy go przedtem nie widziałem. Skąd go masz? Sabrina szeroko otworzyła oczy. — Nie wiem...

— Ze Szwecji — powiedział cicho Garth.

***Och. Prezent od Gartha. A Stefania z jakiegoś powodu nigdy go nie nosiła. Więc dlatego Garth jest taki zadowolony. Czy myśli, że założyłam i;o dla niego?***

— Gdzie go znalazłeś, Garth? — spytał Nathan.

— W Sztokholmie, podczas konferencji poświęconej genetyce, parę lat temu.

***Dwa lata temu. Dlaczego Stefania go nie nosiła?*** Spozrzęła, że wszyscy na nią patrzą.

— Nigdy nie myślałam, że jest tak piękny — powiedziała. — Dziś rano te bursztyny wydały mi się jak odlane z jesiennego słonecznego światła, złote i klarowne jak dzisiejszy dzień, i czułam się taka szczęśliwa... że postanowiłam go włożyć.

Twarz Gartha nabrała miękkości. Odwróciła wzrok. Dolores i Linda zaczęły sprzątać talerze. Po upływie minuty Sabrina poderwała się, odsuwając krzesło.

— Nie — zaprotestowała na to Dolores. — To twoje urodziny. Dziś nic nie robisz.

Odśpiewano dla niej „Sto lat” i ofiarowano jej prezent od wszystkich: robota kuchennego Cuisin-art.

— Należy go ostrożnie używać — ostrzegła Linda. — Inaczej przerabia wszystko na papkę dla niemowląt. Szkoda, że nie widziałas, co mi wyszło z cebuli, gdy skorzystałam z niego pierwszy raz.

— Miała być pokrojona — dorzucił Martin. — Zabrało mu to dwie sekundy. Po następnej była posiekana w drobny mak. Nie zdążyliśmy mrugnąć okiem, a już została zmielona, ubita, przerobiona na *puree* i sok. Cały dom był pełen cebulowej woni. Płakaliśmy przez tydzień.

I on, i Linda śmiali się z innymi, a o burzliwej kłótni zapomniano. Sabrina pokroiła tort, Dolores nalała kawy i rozmowa zaczęła się toczyć wokół prowadzonej przez wszystkich sąsiadów kampanii o założenie świateł ulicznych w pobliżu szkoły.

Sabrina ogarnęła wzrokiem stół. Spokojny wieczór z przyjaciółmi, niewyszukane jedzenie, wymiana wrażeń, nawet spokojna akceptacja prywatnej małżeńskiej sprzeczki. Nic w tym nie było nadzwyczajnego. Ani mąż, ani czworo bliskich przyjaciół Stefanii nie powzięło żadnych podejrzeń, że siedzi przed nimi kto inny. Jak to możliwe? Zdarzyły jej się drobne pomyłki, nie знаła odpowiedzi na niektóre pytania, czasami miała spóźnione reakcje. Jakim cudem nikt nic nie zauważył?

***Dlatego że ludzie widzą tylko to, co chcą widzieć. Nikt nie ma powodu, by podejrzewać, że udaję Stefanię. Cokolwiek bym zrobiła, oni wytłumaczą to sobie po swojemu lub to zignorują, bo inaczej moje zachowanie nie miałoby dla nich sensu. Gdy ludzie wierzą w coś, robią wszystko, by się w tej wierze utwierdzić.***

— Byłaś tak cicha pod koniec — powiedział Garth, gdy wracali pieszo do domu. — Coś cię zmartwiło?

— O nie. Po prostu było mi dobrze. To był miły wieczór.

Rzucił jej dziwne spojrzenie, lecz nie odezwał się, dopóki nie dotarli do ganku. Położywszy rękę na jej ramieniu zaczął:

— Chciałem ci powiedzieć...

Zesztywniała i natychmiast urwał, lecz wyczuła, z jakim wysiłkiem powstrzymał się od dalszych słów.

— Przepraszam — odezwała się. — Nie doszłam jeszcze całkiem do siebie. Za kilka dni...

Wyciągnął dłoń i dotknął naszyjnika.

— To, że włożyłaś go dziś wieczór, znaczy dla mnie bardzo wiele. Stefanio, chcę cię zrozumieć, chcę zrozumieć to, co próbujesz robić. Jeśli nie możesz teraz o tym rozmawiać, poczekam, aż będziesz gotowa. Nie będę nalegał i będę trzymał się z daleka od twojego łóżka, jeśli potrzeba ci odosobnienia. Lecz w końcu będziemy musieli porozmawiać o tym, co się z nami dzieje i dokąd zmierzamy. Zbyt wiele jest między nami pytań bez odpowiedzi i zapiekłych uraz... Co się stało, ty płaczesz?

— Nie. — Lecz w jej oczach były łzy. — Przepraszam — powtórzyła. — Proszę, daj mi tylko jeszcze kilka dni...

Pocałował ją w czoło.

— Chyba zostanę tu na chwilę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Idź na górę. Pozamykam drzwi.

Skinęła głową.

— Dobranoc, Garth. — Dotknęła przelotnie jego dłoni. — I dziękuję za cudowne urodziny.

W czwartek rano, gdy nikogo nie było w domu, Sabrina zaczęła penetrować drugie piętro. Były tam trzy mansardowe pokoje. Jeden z nich służył jako składzik. Drugi, z prostym umeblowaniem składał się z szafy i dwóch bliźniaczych łóżek, mógł służyć za pomieszczenie dla pomocy domowej lub awaryjną sypialnię dla Penny lub Cliffa, gdyby jacyś znajomi zatrzymali się na noc. Jej uwagę przyciągnął trzeci pokój. Weszła do środka.

W smutnym, pustawym wnętrzu stało małe biurko, krzesło i kilka pokrytych kurzem kartonowych pudeł. Dawno temu ktoś tu posprzątał, pochował wszystko, co mogło świadczyć o przeznaczeniu tego miejsca i zostawił je swemu losowi. Sabrina usiadła przy biurku i wyciągnęła gorną szufladę. Leżały w niej równo poukładane sterty papierów z firmowym nagłówkiem — rachunki biura wyprzedaży, które Stefania prowadziła przez dwa lata. Zawierały skrupulatne spisy inwentarza w domach jej klientów, począwszy od noży do skrobania warzyw,



a skończywszy na łóżach z baldachimem. Przy każdej pozycji cena, na jaką oszacowano przedmiot, suma uzyskana za niego na wyprzedaży i prowizja Stefanii.

W następnej szufladzie Sabrina natrafiła na kolorowe zdjęcia domów klientów, ukazujące wnętrze i widok ogólny. Inne przedstawiały rzadkie i wartościowe okazy srebra i kryształów oraz meble i przedmioty zabytkowe z wyprzedaży. Sabrina była pewna, że mogłaby znaleźć w Anglii i Europie nabywców na większość z tych rzeczy. We dwie ze Stefanią stworzyłyby wspólny zespół! A przecież gdy raz jej to zaproponowała, Stefania zmieniła temat. Zdawała sobie pewnie wówczas sprawę, że jej biuro upada, i szykowała się do zwijania manatków.

Sabrina dotknęła otwartych szuflad. Wyczuwała w koniuszkach palców staranność, z jaką jej siostra ułożyła pliki papierów i fotografii. Leżały idealnie równo. ***Pomyśleć, że w tym samym czasie moja zła passa dobiegała końca i zaczynały się lata sukcesu. Stefanio, dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Mogłybyśmy pracować razem i uratować twoją firmę. Zadawałaś wciąż pytania na temat Ambasadora, a ja relacjonowałam ci wszystkie swoje triumfy. To musiało być okropne dla ciebie wysłuchiwać o moich sukcesach, gdy jednocześnie twoje biuro chyliło się ku ruinie. Powinnam była się czegoś domyślić. Powinnam pytać w kółko, dopóki nie powiedziałabyś mi o wszystkim. Zawiodłam cię.***

Usłyszała dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych. Skoczyła na równe nogi i nagle zauważyła, że płacze. Otarła oczy wierzchem dłoni. ***Gdy tylko wrócę do domu, musimy porozmawiać o zawiązaniu spółki. Jesteśmy potrzebne sobie nawzajem.*** Jeszcze raz otarła łzy i zbiegła na dół.

W otwartych drzwiach stała Dolores Goldner. Przeszła obok Sabriny i skierowała się wprost do kuchni. Sabrina podążyła za nią, zdumiona tak bezceremonialnym wtargnięciem. A może to nie była bezceremonialność? Dolores prawdopodobnie zawsze wchodzi tu jak do siebie. A Stefania pewnie postępuje tak samo w jej domu.

Było to zgoła różne od obyczajów w Anglii, gdzie nawet najbliżsi przyjaciele czekają, aż się ich zaprosi do środka. W Ameryce nawet ludzie obcy mówią sobie po imieniu, a przyjaciele wchodzi do domu bez zaproszenia.

— Muszę z tobą pomówić o Lindzie — powiedziała Dolores, siadając za stołem w pokoju śniadaniowym. Rozejrzała się, jakby szukając czegoś.

— Właśnie miałam zrobić herbatę — powiedziała Sabrina.

— Czyżbyś przekabaciła się w Chinach na miłośniczkę herbaty? To dlatego nigdzie nie widać dzbanka z kawą?

Poranna kawa, przypomniawszy sobie Sabrina. Odwróciła się, żeby ją zaparzyć. Na jej ustach pojawił się mały, przebiegły uśmiešek, gdy wypowiadała następne słowa, lawirując wokół prawdy.

— Nie uwierzyłabyś, jak mocna wydaje mi się teraz kawa. Zupełnie jakbym od wielu lat nie piła nic oprócz herbaty.

— No cóż, przynajmniej nie wróciłaś stamtąd w niebieskim robociarskim ubranku, czy czymś, w co oni tam teraz się odziewają.

— Nie, ale we wszystkim, co noszę, czuję się nieswojo. Jakbym wkładała to na siebie pierwszy raz.

— Jesteś zbyt podatna na nowe wrażenia. Gdybyś więcej podróżowała, uodporniłabyś się na nie. Zobacz, co się z tobą stało po jednym wyjeździe — żłopiesz herbatę, chowasz zdjęcia... nawet jakoś inaczej wyglądasz. Czy zrobiłaś coś z włosami?

— Nie. Wyglądają inaczej? Jestem pewna, że sedno zmiany tkwi w tym, o czym mówiłaś. Czuję się teraz jakaś inna.

— Porozmawiajmy o Lindzie. Ona i Marty mają kłopoty. Musimy jakoś im pomóc.

Sabrina nalała kawy do dwóch kubków i usiadła.

— Na przykład?

— Nie podasz śmietanki? Wielkie nieba, Stefanio, czy nie posuwasz się za daleko?

— Przepraszam, myślałam o Lindzie. — Zawahała się przy drzwiach lodówki, zdecydowała, że lepiej będzie nie przelewać śmietanki do dzbanuszka i postawiła na stole tekturowy pojemnik.

Jednym uchem słuchała słów Dolores, lecz jej drugie ja, chłodny obserwator, przypatrywało się z boku tej scenie. Dwie kobiety przy kawie w słonecznym pokoju śniadaniowym rozmawiają o nieszczęśliwej przyjaciółce. Czują się zawstydzona obecnością tego drugiego ja, które przypominało jej, że udając Stefanię oszukuje Dolores, naprawdę szczerze martwiącą się o Lindę. Sabrina nie przepadała za ludźmi, którzy próbowali układać innym życie — przez głowę przemknęła jej przelotna myśl o Antoniu — lecz trudno było nie lubić Dolores, którą żywo obchodziły troski jej przyjaciół. Jeśli chciała nimi dyrygować, to dlatego, że pragnęła ich dobra.

— Stefanio? Słuchasz mnie? Wyglądasz, jakbyś była milion mil stąd.

— Nie, wszystko słyszałam. Myślałam sobie tylko, że to miłe, jak ludzie troszczą się o siebie nawzajem. Dolores była zaskoczona.

— No chyba. Więc co o tym sądzisz? Lunch z Lindą w przyszłym tygodniu, a potem wystawa kryształów w Palmer House. Potrzebna jej okazja, żeby się wygadać. Możesz urwać się z pracy któregoś dnia?

*Już mnie tu nie będzie, ale Stefania na pewno wyraziłaby zgodę.* — Sądzę, że tak. Czy mogę dać ci znać w poniedziałek?

— Oczywiście. Nie umówimy się bez ciebie. — Wstała i przeszła przez cały dom z taką samą bezpośredniością, z jaką weszła. — Spotkamy się na meczu dziś po południu?

— Tak.

Sabrina przyrzekła Cliffowi, że pójdzie na mecz. Odnalazła boisko na kilka minut przed początkiem gry. Cliff siedział ze swoją drużyną, okazując pozorną nonszalancję, ale na jej widok twarz mu się rozjaśniła. Przybiegł do niej.

— Gramy z Lakeside. Są na trzecim miejscu w tabeli. Na pewno wygramy. Jedyny, który może narobić kłopotów, to ten wysoki; to ich najlepszy napastnik.

Publiczność składała się z około czterdziestu matek i kilku mężczyzn. Kobiety siedziały w napiętym milczeniu, a mężczyźni wykrzykiwali do swych synów polecenia i krytyczne uwagi. Zjawiła się Dolores i usiadła obok niej, lecz Sabrina ledwo zauważyła jej obecność. Znała się na zasadach piłki nożnej równie dobrze, jak większość Amerykanów na baseballu, i wkrótce mecz zaabsorbował ją całkowicie.

Cliff był dobrym zawodnikiem, bystrym i szybkim, a inni gracze z jego drużyny darzyli go zaufaniem. „Idź!” — jęknęła, gdy drugi napastnik podał mu piłkę, a on, lawirując między obrońcami Lakeside, popychał ją zręcznie krótkimi kopnięciami do celu. Sabrina skoczyła na równe nogi, jakby chciała pobiec razem z nim, przepełniona radością z pościgu i podnieceniem. Dobiegłszy do bramki, Cliff posłał w nią piłkę potężnym kopnięciem tuż obok bramkarza, a reszta jego drużyny powitała gola krzykiem i wiwatami.

— Na pierwszy rzut oka widać, że puchniesz z rodzicielskiej dumy — usłyszała przy sobie głos Gartha.

Odwróciła się szybko.

— Nie wiedziałam, że przyjdiesz.

— Ja też nie. Lecz przypomniałem sobie, jak kiedyś słusznie mnie objechałaś za to, że nie przychodzę na mecze. Jaki wynik?

— Jeden zero. Cliff zdobył bramkę.

— Łatwo się tego domyślić patrząc na ciebie. Rodzicielska duma. Naprawdę ją czuła.

— Dobrze, że przyszedłeś — powiedziała do Gartha. — Cliff tak się będzie cieszył.

To była prawda: w przerwie podbiegł do nich uśmiechając się szeroko już z drugiego krańca boiska. Zdążył do tej pory strzelić drugiego gola.

— W drugiej połowie będę grał jeszcze lepiej — powiedział. — Widzieliście Pata Ryana? Tego wysokiego chłopaka? To ci dopiero świr! Założył się ze swoją drużyną, że strzeli więcej goli niż ja.

Pat Ryan strzelił w drugiej połowie trzy bramki. Drużyna Cliffa zdobyła jeszcze jedną, lecz sam Cliff był zaciekle pilnowany przez przeciwników i nie udało mu się zbliżyć do bramki. Do końca meczu brakowało kilku minut, przy stanie remisowym trzy-trzy. Cliff był zły i zdenerwowany. Sabrina potrząsnęła głową, widząc desperację na jego twarzy.

— Stracił rozeznanie w grze.

Garth zaczął mówić coś w odpowiedzi, gdy z boiska doleciał krzyk:

— Cliff! Tutaj!

To krzyczał drugi napastnik, lecz Cliff nie zwracał na niego uwagi, prowadząc piłkę wzdłuż linii bocznej. Napastnik właśnie oderwał się od obrońców Lakeside i miał przed sobą czyste pole.

— Podaj! Podaj! — wrzasnął.

Między nimi nie było nikogo z drużyny Lakeside: sytuacja idealna. Cliff podniósł na chwilę oczy i spojrzał w tę stronę, lecz dostrzegł również przed sobą małą lukę, przez którą mógł się dostać pod bramkę.

— Podaj! — Tym razem krzyczał trener, był to wyraźny rozkaz. Cliff nachmurzył się, zawahał, a potem wciąż z piłką przy nodze zбочzył na lewo, żeby przedrzeć się przez lukę w obronie.

— On jest naprawdę dobry — westchnęła Sabrina. — Świetnie panuje nad piłką. Ale nie umie... Zaraz straci piłkę.

Nadbiegli obrońcy Lakeside, aby przeciąć Cliffowi drogę do bramki, a jeden z nich wszedł mu ślizgiem pod nogi, wybijając piłkę.

— Mam ją! — krzyknął jego kolega i podał piłkę do czekającego w pogotowiu Pata Ryana. Ten poprowadził ją z powrotem przez boisko, nie tak wdzięcznie Cliff, lecz z całą determinacją jedenastolatka, który chce wygrać zakład. Gdy dobiegały końca ostatnie sekundy meczu, z triumfalnym okrzykiem ominął bramkarza i strzelił piłkę do bramki, zapewniając swojej drużynie zwycięstwo.

Z początku Cliff nie chciał mówić na ten temat. Gdy przyjechali do domu, rzucił tylko: „Trener nieźle mnie objechał”. Zaszły się nadąsany w swoim pokoju, podczas gdy Penny nakrywała do stołu. Sabrina zrobiła sałatkę i wyjęła z piecyka mięso z jarzynami, które dusiło się na małym ogniu całe popołudnie. Garth chciał ją zapytać, od kiedy to mecze piłkarskie stały się dla niej rozrywką, a nie przykrym obowiązkiem, ale zamilczał. Odpowie mu kąśliwie, jak to się już zdarzało, że gdyby spędzał trochę czasu z rodziną, zauważyłby pewne zmiany. Dał więc temu spokój.

Przygnębienie Cliffa wisiało nad stołem jak gradowa chmura.

— Kara czy upomnienie? — spytał Garth współczująco.

— Nie twoja sprawa — wypalił nagle Cliff z oczami wbitymi w talerz.

— Clifford! — Sabrina nie posiadała się z gniewu. — Jak śmiesz! Spójrz na mnie. Spójrz na mnie, powiedziałam!

— Zdumiony podniósł wzrok. — Jakim prawem mówisz w ten sposób do ojca? Chcieliśmy porozmawiać o meczu i o tym, do czego prowadzi zapominanie, że jest się częścią drużyny, ale nie ma o tym mowy, dopóki nie przeprosisz ojca. I to już!

— Nie zapomniałem! — zaperzył się Cliff. — Próbowałem...

— Czekam na twoje przeprosiny.

— Słuchaj, mama, miałem przed sobą wolną drogę...

— Cliff!

Spiorunowała go spojrzeniem, aż spuścił wzrok. Kątem oka zauważyła, że Garth ją obserwuje. Najwyraźniej posunęła się za daleko i jej postępowanie nie przypominało postępowania Stefanii. Lecz w tej chwili nic jej to nie obchodziło. Widziała, jak Garth wzdrygnął się po grubiańskich słowach Cliffa i to popchnęło ją do działania. Nie pozwoli, aby ktoś go skrzywdził! Nie po tej rozmowie na ganku ostatniego wieczoru, gdy ofiarował jej zrozumienie, czułość — i czas.

— Przepraszam — wymruczał Cliff.

— Nie słyszałam dobrze — powiedziała zimno.

— Przepraszam! — krzyknął Cliff. — Odstawił mnie na ławkę rezerwowych na następny mecz!

— To zbyt surowe — orzekł Garth. — Połowa meczu by wystarczyła.

— Tak, pewnie, powiedz to trenerowi.

— Może to i zrobię.

— Dzięki, ale nie trzeba, tato. Wtedy dałby mi jeszcze większy opieprz.

— Cliff! — skarciła go Sabrina. Garth stłumił uśmiech.

— Niektóre słowa bardziej pasują do szatni niż do obiadów rodzinnych.

— Okay, kapuję, sorry. — Zwrócił się do Sabriny. — Zapomniałem, że jestem częścią drużyny? Co to miało znaczyć? — Chciałeś, żeby Pat Ryan przegrał zakład, więc pozwoliłeś sobie na bardzo efektowny manewr, którego dobry gracz zespołowy nigdy by nie wykonał.

— Nieprawda...!

— Twój kolega miał czysty strzał na bramkę. Ale ciebie obchodziło tylko to, żeby samemu wbić decydującego gola.

— Ale myślałem, że to się da zrobić. Była luka w obronie.

— A cała drużyna pędziła już, żeby ją załatać. Dobrze to wiedziałeś.

— Miałem szansę.

— Tylko cudem mogło ci się udać.

— No i co z tego? Ale szansa była. Mam nigdy nie podejmować ryzyka?

— Oczywiście, że masz. — Sabrina uśmiechnęła się ledwie widocznie. — Ryzyko może być czymś wspaniałym. Ale musisz obliczyć szanse powodzenia. Wiedzieć, w co się pakujesz. Inaczej tylko głupio nadstawiasz karku. — Spojrzała na niego w zamyśleniu. — Jesteś dobrym graczem, Cliff. Dobrze się ruszasz, panujesz nad piłką i masz wyczucie czasu. Ale jeśli będziesz się zachowywał na boisku jak gwiazdor, to marny twój los, bez względu na twoje umiejętności. Cliff wyglądał na zdumionego.

— Skąd tyle wiesz o piłce nożnej? Myślałem, że nie lubisz futbolu.

— Przeczytałam książkę na ten temat. Głupio się czułam nie wiedząc, co się dzieje na boisku. — Sabrina odwróciła się szybko do Penny, żeby spytać o wyniki klasówki z historii, z której przepytowała ją przy śniadaniu.

Garth nie spuszczał z niej oka. Promieniała energią, podobnie jak wczoraj u Goldnerów. Wygląda na to, że to ożywienie dotyczy wszystkich — oprócz męża. Zachowywała się tak zapewne już od dłuższego czasu, choć przed jej wyjazdem nie było to tak widoczne. Poczul się upokorzony. Nie był więc na tyle ważny, by zechciała obdarzyć go podobnie żywym zainteresowaniem lub chociaż je udać.

Sabrina zerknęła na niego badawczo, nalewając kawę. Czemu się lak zasepił? Który z jej błędów nicuje w myślach? — Co dziś robiłaś? — spytał.

— Och... Dolores wpadła na kawę.

— Miała jakąś sprawę, czy tylko chciała pogadać?

— Obmyśla kampanię uszczęśliwienia Lindy. Czy to nie zabawne? I Dolores lubi układać ludziom życie tak samo, jak układa kompozycje z kwiatów. Nie sądzisz, że pewnego dnia wystawi nas jako eksponaty na wystawie Jesienny Konkurs Par Mażeńskich, czy coś w tym guście? Roześmiał się.

— Myślisz, że wygralibyśmy?

— A czy Dolores kiedykolwiek przegrywa? — odparowała. — Dziś zrobiłam coś niezwykłego. Poszłam na górę do swego biura.

— I co tam znalazłaś?

— Kurz. Wspomnienia. Ale przeglądając te stare rachunki poczułam pewne podniecenie i pomyślałam, że może mogłabym znów się tym zająć. Przeczytałam w *Evanston Review*, że na całym północnym wybrzeżu jest masa wyprzedaży. Sądzę, że to skutki inflacji i przeprowadzek — do mniejszych miejscowości albo z powrotem do miasta, gdzie dzieci mogą chodzić do college'u... — jej głos ucichł.

Garth patrzył gdzieś w bok, jego twarz była obojętna i bez wyrazu. Jedno spojrzenie starczyło mu, by dostrzec podniecenie w jej oczach i pomyślał, że splajtowana firma budzi w niej więcej zainteresowania niż on.

— Jeśli tego właśnie chcesz — powiedział sztywno. — Trochę to, co prawda, ryzykowne. Jeszcze nie wiesz, dlaczego ci się nie powiodło za pierwszym razem.

Sabrinę ogarnęła furia. To ona troszczy się do tego stopnia o jego uczucia, że omal się nie zdradza, gdy Cliff niegrzecznie się do niego odzywa, a on na pierwsze słowo o wyprzedażach robi się zimny jak mrożona ryba! Nie spytał żony, co zamierza zrobić, żeby interes dobrze szedł, ani czy może w czymś pomóc. Przypominał Antonia mówiącego o jej „małym kramiku”. Teraz już wiedziała, dlaczego Stefania była na niego wściekła: nie obchodziło go nic poza nim samym. Zaskoczona, spostrzegła, że bardzo zraniło ją to odkrycie.

— Idę do laboratorium — powiedział, odsuwając krzesło. — Jeśli nie będziesz jeszcze spała, wstąpię później, żeby ci powiedzieć dobranoc.

Skinęła głową. Tego właśnie chciała: spokojnego wieczoru w domu. Wciąż jednak przenikało ją dziwne poczucie straty, a gdy usłyszała szcęk zamykanych frontowych drzwi, dom wydał jej się bardzo duży, a ona sama najsamotniejszą osobą na świecie.

Atmosfera przy śniadaniu była napięta: nawet Penny i Cliff przycichli. Sabrina przepytowała Cliffa ze słówek przed klasówką z ortografii, co trwało dłużej niż zwykle, gdyż piątkowy sprawdzian zawierał słówka z całego tygodnia. Penny znów spytała o panią Casey, a Sabrina odparła, że zobaczy się z nią w przyszłym tygodniu.

— Dziś wczesnie zjemy obiad, mam, dobra? — poprosił Cliff. — Oboje idziemy na prywatki.

Po chwili zniknęli, a ona i Garth zostali sami. Otworzył i zamknął teczkę.

— Przepraszam cię za wczoraj. Nie mam prawa krytykować twego braku zainteresowania moją pracą, skoro sam go nie okazuję, gdy chodzi o ciebie.

Jaki znów brak zainteresowania, pomyślała. Stefania na pewno interesuje się twoją pracą. Nie chciała się jednak spierać; brakowało jej ciepła uśmiechu Gartha.

— Dziękuję — odparła.

— Jeśli chcesz teraz o tym pomówić...

— To może poczekać. — Spojrzała na jego teczkę. — Czy nie powinieneś już iść?

Pocałował ją w policzek.

— Mam zebranie wydziałowe za pół godziny. Do zobaczenia wieczorem.

Przy obiedzie Garth nie mógł sobie znaleźć miejsca. Penny i Cliff miotali się po domu, przygotowując się na dwa różne przyjęcia. Ledwie wyszli, wstał i podszedł do okna.

— Może się przejdziemy? Cały dzień siedziałem w biurze, patrząc na studentów próżnujących nad jeziorem. Czy przypominasz sobie, dlaczego wiele lat temu postanowiłem zrobić dyplom, zamiast pozostać wiecznym studentem? Jakoś umknęło mi to z pamięci.

— Zapewne po to, żeby zamiast zdawać egzaminy, sprawdzać wiedzę innych.

Skinął głową.

— Byłem praktycznym młodzieńcem. To mi przypomina, że mam coś dla ciebie. — Wyszedł z pokoju i wrócił z papierową torbą. — Z najlepszymi życzeniami od pracownika uniwersytetu, który ma tylko jedno życzenie: żebyś przyrzadzała ten wysmienity stek częściej.

Wyjęła z torby porcelanowy mózdzierz i tłuczek.

— Fantastyczne. Oczywiście, że będę go robić. Do czego używa się tego w laboratorium?

— Nie mam pojęcia. Ukradłem to chemikom. Dobrze by było gotować to ze dwa lub trzy dni przed użyciem. Ze śmiechem zabrała prezent do kuchni. Garth sprzątnął ze stołu filiżanki i dzbanek z kawą i ruszył za nią.

— Co z tym spacerem?

— Powinnam posprzątać. Penny i Cliff wypadli w takim pośpiechu...

— To może zaczekać. Proszę.

— Nie wracasz do laboratorium?

— Nie. Spodziewałaś się tego? Masz jakieś inne plany na wieczór?

— Oczywiście, że nie. Z chęcią sobie pospaceruję.

Słońce wisiało nisko nad horyzontem. Powietrze było łagodne



i ciepłe, przepojone świeżym zapachem jeziora i cierpką wonią jesiennych kwiatów. Przeszli przez park i stanęli nad brzegiem jeziora, którego spokojna toń koloru głębokiego błękitu rozciągała się przed nimi pod ciemniejącym niebem. Kilka żaglówek lśniło ostrą bielą na tle ciemnych fal. Samotni biegacze mijali grupki chłopców grających w piłkę nożną. Jakiś mały piesek przedzierał się przez krzaki płosząc wiewiórki. Pod drzewami przechadzały się zakochane parki.

Gdy ruszyli wzdłuż brzegu, Garth wziął Sabrinę za rękę. W ukośnych promieniach słońca ich wyciągnięte cienie kładły się daleko na wodzie, nakładały na siebie i rozdzielały. Sabrina schyliła się, żeby zawiązać sznurówkę buta, a potem podjęła spacer, odsuwawszy się nieco od Gartha. Szli teraz, nie dotykając się.

— Vivian mówiła mi, że widziała cię wczoraj — odezwał się Garth.

— Kto?

— Vivian Goodman. Twierdzi, że spotkała cię w Instytucie Sztuki.

— Och, Vivian. Zapomniałam ci powiedzieć. Mówiła, że zachowałeś się w stosunku do niej cudownie, ale wciąż jest zdenerwowana. Czy możesz zrobić coś więcej, czy też wszystko zależy teraz od zastępcy rektora?

Zwolnił kroku i spojrział na nią.

— Czy Vivian opowiedziała ci całą historię?

— No... — **Stefania nie wiedziała o tej sprawie? Dlaczego?** — Zauważyła, że mnie to interesuje.

— To znaczy, udawałaś, że tak jest.

— To znaczy, że naprawdę byłam zainteresowana. — Jej ręce były zimne. — Ona wygląda na osobę o silnym charakterze, lecz gnębi ją wiele spraw. Grozi jej przymusowa przeprowadzka, jej dzieciom zmiana szkoły, a... — **Jak u licha miał na imię jej mąż?!** — ...a Hans właśnie odszedł z pracy. Spodobała mi się i zaimponowała mi. Oczywiście, że byłam zainteresowana. — Zaryzykowała, wchodząc na nieznany teren. — Może to dawniej wyglądało inaczej, bo co innego było usłyszeć tę historię od ciebie, a co innego z jej własnych ust.

— Wcale nie słuchałaś, gdy ci ją opowiadałem, za mało była ciekawa, by zasłużyć na twoją uwagę.

— Właśnie to mam na myśli.

Wiedziała, że plecie głupstwa, lecz Garth puścił to mimo uszu.

— Nie rozmawiałem jeszcze z zastępcą rektora. Może spotkam się z nim w przyszłym tygodniu. — Zaczął opowiadać o członkach komisji kwalifikacyjnej, której był przewodniczącym. Sabrina słuchając go analizowała w myśli małżeństwo swojej siostry.

Wczoraj wieczorem była wściekła na Gartha, że nie obchodzi go

biuro wyprzedaży. Ale czy Stefania naprawdę interesowała się pracą męża? Jeśli nie, musiała mieć po temu jakieś powody. Ja nic nie muszę o tym wiedzieć, pomyślała Sabrina, to ich prywatna sprawa. Nie będę się nawet nad tym zastanawiać. Skupiła uwagę na opowiadaniu Ciartha i roześmiała się, usłyszawszy cięty opis Williama Webstera. Zrozumiała w tej chwili uwielbienie Vivian.

Szli niespiesznie przed siebie. Zapadł już zmrok, który rozpraszało blade światło wiktoriańskich latarni na nabrzeżnej promenadzie. Sabrina czuła przy sobie siłę idącego obok mężczyzny, jego niekrepującą obecność. Nie była sama, a jednocześnie mogła swobodnie być sobą.

***To znaczy kim?*** Uśmiechnęła się w ciemności. ***Jeszcze przez niedługi czas nami obiema.***

Tata mówi, że tak — zaraportowała Penny w sobotni rano — jeśli ty się zgodzisz. Chcemy pojechać na wycieczkę rowerową i urządzić piknik. Mamusiu, pojedziemy? Mogłabym pozbierać liście na lekcje przyrody, a Cliff chce znaleźć ropuchę.

— Czemu nie? Będzie świetna zabawa. — Od lat wprawdzie nie jeździła na rowerze, ale tego się nie zapomina. Zapakowali chleb, zimne mięso, ser, jabłka i schłodzone puszki napoju imbirowego.

— A co z deserem? — spytała Penny.

— Kupimy po drodze pączki.

— A jednak nie zapomniałaś! Cliff powiedział, że na pewno zapomnisz, a ty pamiętasz!

***Pamiętam o czym?***

— Dlaczego miałabym zapomnieć?

— Bo ostatnio różne rzeczy wylatywały ci z głowy i Cliff powiedział, że zapomniałaś o pączkach, które zawsze brałyśmy na piknik, ja powiedziałam, że nie, i miałam rację! Czy możemy już jechać?

— Tak — Sabrina podała jej koszyki. — Pomożecie tacie przywiązać je do bagażników?

— A ty?

— Jak tylko skończę sprzątać.

Wyrzucając odpadki i wycierając blat kuchenny, Sabrina za-Mnnawiała się nad pączkami. Czy Stefania mówiła jej o tym? Czy był to następny przykład niewytłumaczalnej intuicji?

— Mamo! — zawołał na nią Cliff. Dołączyła do ich trójki i zaczęła pierwszą przejażdżkę rowerową od prawie piętnastu lat.

Nie zapomniała tej umiejętności. Jej nogi były mocne od tenisa.

Minąwszy kilka przecznic, wiedziała, że może dotrzymać tempa innym i jechać tak długo jak oni. Trzymała się w tyle, podniosła twarz do niebieskożółtego nieba i poddała się swobodnie rytmowi jazdy, podczas gdy jej myśli biegły swoją drogą.

Nikt nie powiedział jej o pączkach, koszuli nocnej, szlafroku ani zwyczaju Stefanii czytania w fotelu w sypialni. Dziwne przebląski jasnowidztwa. Czy wywołał je fakt, że były bliźniaczkami? Obie zawsze czytały nowe publikacje na ten temat. Głupota niektórych pobudzała je do śmiechu, lecz inne zawierały sensowne spostrzeżenia. Nikt do tej pory nie zaaranżował eksperymentu, w którym bliźniaki zamieniają się na role i jeden zaczyna wieść życie drugiego. Czy mogłoby się wtedy zdarzyć, że któremuś przyszyłaby do głowy uwaga „jutro pomyślę o obu moich ja”, jak jej się to zdarzyło?

Zastanowiło ją, czy Stefania odczuwa to samo w Londynie. Musimy o tym pomówić, pomyślała, gdy spotkamy się w poniedziałek na lotnisku.

W poniedziałek. Pojutrze. Tydzień minął tak prędko. Tydzień to o wiele za mało, żeby poznać Penny i Cliffa i poczuć przynależność do rodziny. Nie miała też ani chwili czasu, żeby z tej odległości spojrzeć na swoje prawdziwe życie i znaleźć rozwiązanie własnych problemów. A czy nie był to główny powód, dla którego zgodziła się na zamianę? Zwolnić nieco szaleńcze tempo, w jakim toczyło się jej życie...

— Stefanio! Uważaj!

— Mamo! Sa...

— Mamuś!

Usłyszała ich krzyki i pisk opon, a zwróciwszy głowę w prawo zobaczyła tuż za sobą furgonetkę. Skreśliła ostro w lewo, wpadając w poślizg na suchym kurzu drogi. Gdy próbowała odzyskać równowagę, furgonetka potraçała tylne koło roweru, rzucając go na krawężnik. Sabrina wyleciała w powietrze i uderzyła o drzewo. Usłyszała jeszcze jakiś trzask, głos Gartha wołający ją po imieniu, a potem w środku złotego dnia zapadła w czarną noc.

Ocknąwszy się w wypełnionych bólem ciemnościach, usłyszała jakieś słowo, pytanie, okrzyk. Garth trzymał ją w objęciach szepecząc jej imię — nie jej, jej siostry. Drżała w szoku i nie mogła powiedzieć mu, że się myli. Jacyś obcy ludzie prosili Gartha, żeby poczekał w drugim pokoju. Lecz ona go potrzebowała, czyż nie wiedzieli o tym? Leżała na czymś, co toczyło się po gładkiej podłodze. Potem ktoś poruszył jej lewą ręką i ból przeszył całe jej ciało.

— Nie! — krzyknęła.

— To potrwa minutkę, Stefanio. Musisz wytrzymać.

Głos Nata Goldnera, potem jego uśmiechnięta twarz. Oślepiło ją światło lamp, jej ramię przypięto paskami pod kwadratowym czarnym pudełkiem. Aparat rentgenowski. Ale Nat pomylił jej imię, podobnie jak Garth.

— Poczekaj. — Z jej ust wydobył się tylko cichy szep. Wciąż dygocząc spróbowała odchrząknąć. — Muszę ci powiedzieć...

— Nie ruszaj się, moja droga — przerwał Nat. — I lepiej nic nie mów, po prostu odpręż się.

Poczuła w prawej ręce ukłucie igły i po chwili dreszcze zmniejszyły się. Ogarnęła ją wielka senność i nagle zobojętniała na słowa otaczających ją ludzi.

— Lekki wstrząs mózgu — usłyszała słowa Nata, wróciwszy do przytomności. Leżała na kozetce w małym czworoboku, który tworzyły parawany z jasnozielonego płótna. Jej lewa ręka była jakaś obca. Dotknęła jej drugą i trafiła na gips.

— Nie śpisz? — spytał Nat. Spojrzeli na nią obaj, Nat z uśmiechem, Garth oczami pociemniałymi z niepokoju. Gdzie były dzieci?

— Penny... Cliff... — powiedziała suchymi wargami.

— Są w poczekalni — odparł Nat. — Powiedziałem im, że czujesz się dobrze. Możesz je za chwilę zobaczyć. W gruncie rzeczy wkrótce możesz wracać do domu, jeśli będziesz posłuszna. Proszę, wypij to.

Podparł ją ramieniem do pozycji półsiedzącej, żeby mogła przełknąć. Poczuła potworny ból głowy.

— Posłuchaj, Stefanie. Mówiłem już Garthowi, co powinnaś robić...

— Czekać. — Dlaczego wszyscy uparcie nazywają ją imieniem jej siostry?

— Tylko słuchaj. Masz uszkodzony przegub i cierpisz na lekki wstrząs mózgu. Nie ma żadnych trwałych uszkodzeń, nie zostanie ci nawet blizna. Mówiłem to przed chwilą Garthowi, ale powtórzę raz jeszcze — zafunduj sobie parę dni wolnego. Żadnej pracy — ani w biurze, ani w domu. Niech rodzina gotuje i sprząta. Możesz brać prysznic, byle nie zamoczyć gipsu. Najlepiej owiń go torebką foliową. Mów jak najmniej przez następną dobę. Pij sześć szklanek wody dziennie i jedz między posiłkami. Nie ma to wprawdzie medycznego uzasadnienia, ale odwróć swoją uwagę od bólu głowy, który zresztą powinien ustąpić jutro wieczorem. Za miesiąc znów zrobimy prześwietlenie. Gdy okaże się, że kości się zrosły, zdejmujemy gips. Masz jakieś pytania?

— Dlaczego mówisz do mnie Stefanie?

— Bo zawsze się tak do ciebie zwracałem. Czy powinienem zwracać się do ciebie per pani Andersen, bo zostałam moją pacjentką? Dam ci trochę środków przeciwbólowych, wystarczą na tydzień. Nic ci nie będzie. Przez jakiś czas możesz czuć się trochę dezorientowana, ale to nic poważnego. Nie denerwuj się. Teraz odpocznij przez kilka minut. Zaraz wrócimy.

Leżała cicho, wpatrując się w pęknięcia na suficie. Pani Andersen. Stefania. Garth. Podniosła głowę i spojrzała na koszulę i niebieskie dżinsy, które miała na sobie.

Należały do Stefanii.

Stefanii, która była w Londynie. Ze zdrową ręką. ***O, mój Boże. Muszę zadzwonić do Stefanii.***

## *Rozdział drugi*

Gdy Stefania wylądowała na Heathrow, była prawie dziesiąta wieczór. Przez szesnaście godzin podróżowała na drugi kontynent przez kolejne strefy czasowe, a w jej wyobraźni wirowały chaotyczne marzenia o oczekującym ją tygodniu. Jak w transie przeszła przez kontrolę celną i wsiadła do taksówki, wyczerpana. Odchyliwszy głowę na oparcie patrzyła na migające światła. Widziała je z okna samolotu, tworzyły rozszerzającą się mozaikę, która wypełniła całe pole widzenia, gdy samolot zszedł do lądowania. Teraz mozaika rozsypała się na oświetlone witryny sklepów, latarnie, jasne okna. Światła Londynu.

Była tu w zeszłym roku z wizytą u siostry. Miała przed oczami Sabrinę, która otwiera drzwi swego wspaniałego domu i zaprasza ją do środka. Otworzyła w ciemnościach taksówki torebkę z miękkiej skóry, którą trzymała na kolanach, i wyjęła z niej pęk kluczy. Tym razem nie była gościem. Tym razem ona przekreśli klucz w drzwiach. Hył to powrót do własnego domu.

Lecz drzwi otwarły się na oścież, zanim do nich podeszła. Stała w nich rozpromieniona pani Thirkell.

— Witam panią, milady! Tak się za panią stęskniłam! — Stefania dała taksówkarzowi uprzednio przygotowane monety i podniosła walizki, które zaniósł pod drzwi. — Czeka na panią w jadalni mała przekąska. Przygotowałam pani ulubiony biszkopt z kremem i kilka innych potraw, żeby panią skusić, choć pewnie to niepotrzebne po tym t ałym cudzoziemskim jedzeniu. Musiała pani się stęsknić za domową kuchnią. Byłam pewna, że zostanie z pani skóra i kości, ale wygląda pani znakomicie. Och, milady, tak się cieszę, że pani wróciła. Czy pójdzie pani najpierw na górę, czy prosto do jadalni?

Milady. Stefanię zachwyił ten tytuł i to, co oznaczał. Dom

podporządkowany jej wygodzie, wszystko zrobione przez kogo innego, nienaganny porządek. Czowała się jednak znużona.

— Pójdę na górę — odrzekła. — Doprawdy jestem zbyt zmęczona, żeby jeść. — Już miała zamiar życzyć pani Thirkell dobrej nocy, gdy nagle ujrzała wyraz oszołomienia na jej twarzy. Ileż długich godzin musiało jej zająć przygotowanie „małej przekąski”, którą chciała wyrazić przywiązanie, i z jaką radością oczekiwała na wdzięczność milady witającej porządne angielskie jedzenie po wędrowce po obcych krajach. Stefania nigdy nie miała sprzątaczk ani gospodyni. Sabrina wiedziałaby od razu, że rozpromieniona twarz pani Thirkell jest ważniejsza niż jej zmęczenie.

— Chociaż biskopt... — dodała miękko, odwracając się w stronę jadalni — to brzmi bardzo smakowicie. Chińczycy nie mają nic, co mogłoby się z nim równać. Zjem teraz odrobinę, pani Thirkell, a jutro może mnie pani rozpuścić podając rano śniadanie do łóżka.

— Och, milady, dokładnie tak sobie planowałam. Proszę, wszystko jest przygotowane. Zaniosę bagaże na górę.

Tej nocy w jej snach biskopt z konfiturą i kremem przeplatał się z ciastkami Nicholasa Blackforda rozsypanymi na ulicy w Szanghaju i pieczenią, którą przygotowała dla rodziny wieczorem przed wyjazdem do Chin. Nad tym wszystkim zaś unosił się różowy uśmiech pani Thirkell w aureoli błyszczących świateł Londynu i brązowa kołatka w kształcie ręki trzymającej zwój papieru na drzwiach domu Sabriny.

Gdy rano się obudziła, obrazy ze snu wciąż stały jej żywo w pamięci, toteż nie miała kłopotów z rozeznaniem, gdzie się znajduje. Budziła się z wolna, przeciągając się jak kot w miękkich prześcieradłach z egipskiej bawełny. Poprzedniego wieczora nie zdołała znaleźć żadnej nocnej koszuli i teraz, czując na skórze pieszczotliwy niemal dotyk chłodnych prześcieradeł, jakby po raz pierwszy w życiu świadoma była swego nagiego ciała. Przeciągnęła się jeszcze raz i w końcu otworzyła oczy.

Ściany dużej sypialni w kształcie litery L pokrywał pasiasty jedwab, na przemian bladobłękitny i koloru kości słoniowej, a podłogę pawioniebieski dywan. Wysokie łóżko w stylu Ludwika XIV i stoliki nocne stały w mniejszej części pokoju. W drugiej, bawialnianej, kanapka i fotel z oparciem na nogi przed kominkiem, dwie francuskie komódki pod jedną ścianą i dobrana do nich toaletka tuż obok. Pod wysokimi oknami z widokiem na otoczony murem ogród na tyłach domu i taras na parterze stał okrągły stół, przykryty sięgającym ziemi obrusem z adamaszku, i dwa wyściełane fotele. Było to niepospolite wnętrze, sprawiające jednocześnie wrażenie miękkości i rozmachu, przytulne i przestronne zarazem.

Stefania przeszła się nago po pokoju, co zdumiało ją samą. Jak łatwo było wejść w nową rolę! Czowała się swobodna i pewna siebie. Przesuwając po drodze dłonią po jedwabnych pokryciach i wypolerowanym drewnie, marmurze kominka i aksamitnym obiciu fotela podeszła do dużego lustra przy toaletce i stanęła przed nim na palcach, rozkładając ramiona.

— Milady — powiedziała do swego odbicia i uśmiechnęła się na widok blasku w jego oczach.

Podniecenie musowało w niej jak szampan. Rozejrzała się po luksusowym wnętrzu i wsłuchiwała w ciszę. Nikt nie domagał się śniadania ani przyszcycia guzika, za drzwiami nie piętrzyła się brudna bielizna do prania, nie oczekiwano jej w biurze. Była sama i wolna. Była lady Sabriną Longworth.

Zadzwoiła na panią Thirkell i poprosiła o śniadanie za pół godziny. Która mogła być? To nie miało znaczenia.

W wysłanej dywanem łazience, połączonej z garderobą, odkręciła kurki i weszła do trójkątnej bladożółtej wanny, przy której z jednej strony rosły zielone pnącza, a z drugiej ciągnęła się wnęka zastawiona olejkami, mydłami, szczotkami i szamponami. Chwilę medytowała nad obcymi nazwami, po czym wybrała jeden na chybił trafił. W obłokach perfumowanej pary pomyślała z westchnieniem zadowolenia, że ma cały tydzień na wypróbowanie wszystkich po kolei.

Lecz gdy w szlafroku z kwiecistego jedwabiu usiadła przy małym stoliku pod oknem i susząc włosy w słońcu patrzyła, jak pani Thirkell ustawia przed nią naczynia i kładzie poranną gazetę, jej nastrój nagle się zmienił — jakby przez otwarte drzwi wpadł do przytulnego pokoju mroźny powiew wiatru.

— Dyspozycje na ten tydzień, milady? — spytała pani Thirkell. — Wezwę Doris, jeśli będzie pani przyjmować gości, i sądzę, że Frank powinien przepracować dodatkowo jeden dzień; ostatnio nie przyłożył się zbyt do mycia okien. Księżna Aleksandra dzwoniła wczoraj wieczorem, gdy pani się położyła. Idę dziś rano na targ, więc gdyby pani powiedziała, jakie ma plany...

Stefania wyrzała bezradnie przez okno. Nie była Sabriną Longworth — jakże mogła ją udawać? Pani Thirkell więcej wiedziała o światowym trybie życia niż ona. Nie miała wyrafinowania swojej siostry, me miała pojęcia, jak się zwracać do służby, czuła się nieswojo w bogatym otoczeniu. Była zwykłą prowincjonalną kurą domową. Wystawi na pośmiewisko siebie i własną siostrę.

Pani Thirkell czekała na instrukcje. Stefanię znów przeszedł lodowaty dreszcz i zniweczył jej podniecenie. W tym tygodniu swobody



może zrobić tylko jedno: zaszyć się w domu, gdzie nikt jej nie zobaczy i nie wytknie pogardliwie palcem.

— Milady, czy pani chora? Może zamknę okno?

- Nie. — Stefania otrząsnęła się. — Tak jest znakomicie, pani Thirkell. Jest całkiem ciepło. Myślę jednak, że złapałam coś w Chinach, może jakąś wschodnią grypę, więc przez kilka dni nie będę wychodzić z domu. Ani przyjmować gości. Zostawiam pani wszystkie sprawy związane z zakupami.

Na czole pani Thirkell pojawiły się linie znamionujące zafrasowanie.

— Doktor Farr mógłby wpaść dziś rano, milady...

— Nie, nie... Zadzwoń do niego, jeśli mi się nie polepszy. Ale na pewno wkrótce mi przejdzie... Za kilka dni, może tydzień, wrócę do normy.

— I nie będzie pani chodzić do *Ambasadora*, milady?

— Przez kilka dni nie.

— No, w takim razie, jeśli niczego pani nie potrzebuje...

— Dziękuję pani, pani Thirkell, śniadanie wygląda cudownie.

— No więc zostawiam panią, żeby mogła je pani zjeść. Już pewnie wystygło, mogę podgrzać je w minutkę...

— Pani Thirkell, wszystko jest jak należy.

— Dobrze, milady. Jeśli pani tak mówi... No, to będę się zbierać.

Stefania ujęła łyżeczkę. Skoro ma być więźniem... trudno o wygodniejsze więzienie. Który więzień ma troskliwą jak matka opiekunkę i tak luksusowo jada, pomyślała z ironią, sięgając po kawałki melona i truskawki. Jajka na miękko i francuskie rogaliki zdążyły ostygnąć, lecz była tak głodna, że zjadła wszystko. Wypiwszy herbatę, która zachowała ciepło w izolowanym dzbanku, poczuła się lepiej. Mogę wybrać się na zwiedzanie miasta, pomyślała. To niczym nie grozi.

Najpierw jednak szafy i dwie komódki... Wczoraj w nocy rzuciła okiem na pochowane w nich stroje; w ich miękkich fałdach krył się lekki zapach perfum. Miała zamiar przymierzać po kilka dziennie przez cały tydzień, lecz gdy zaczęła, nie mogła się powstrzymać. To było jak darmowa przymiarka w salonie mody. Obszyta koronką jedwabna bielizna, kaszmirowe swetry i jedwabne bluzki, garsonki, sukienki, toalety wieczorowe, pantofle i szale. Była też biżuteria, schowana w wyściełanej aksamitem rosyjskiej szkatułce.

Właśnie włożyła wieczorową obcisłą suknię z liliowego jedwabiu, wąską w ramionach, z szeroką falbaną sięgającą kolan. Ze stanowiącym kompletem z suknią żakietem z czerwonym obszyciem w rękę podeszła do lustra i spojrzała w nie. Nieoczekiwanie jej nastrój uległ zmianie.

Z lśniącej tafli patrzyła na nią Sabrina.

Jak to się stało? Stała w królewskiej pozie Sabriny, z lekko wygiętym kolanem, wysoko podniesioną głową, jej oczy błyszczały, a usta uśmiechały się wyczekująco. Wsunawszy stopy w wąskie czarne czółenka na wysokich obcasach i zarzuciwszy żakiet przez ramię na plecy, przechyliła głowę, uśmiechnęła się triumfująco i skłoniła się głęboko przed lady Sabriną Longworth.

Nie ma nic, pomyślała, czego nie mogłabym zrobić.

Z nowym przypływem energii spojrzała na ściągawkę, którą zostawiła jej Sabriną, i zadzwoniła do *Ambasadora*.

— Wpadnę przejrzeć pocztę, Brian, ale nie zabawię długo; trochę kiepsko się czuję i jeśli nie ma żadnych pilnych spraw, zostanę w domu przez kilka dni. Kiedy chciałbyś wziąć sobie wolne?

— W czwartek, milady, jeśli to pani odpowiada.

— Znakomicie.

Słuchała własnego głosu. Był spokojny i opanowany. Nigdy nikogo nie zatrudniała i nie miała okazji nauczyć się, jak rozmawiać z własnym pracownikiem. Brian jednak rozpoznał jej głos jako głos Sabriny. W czwartek pójdzie do galerii i sprawdzi pocztę.

Wróciła niespokojna pani Thirkell i zastała Stefanię przekładającą rzeczy do drugiej torebki.

— Wybieram się na spacer, pani Thirkell. Pani wspaniałe śniadanie niemal mnie uleczyło. Chcę mieć trochę spokoju w tym tygodniu, więc może się pani spodziewać mnie codziennie na kolacji. Czy nie widziała pani gdzieś mojego zegarka? Nie mogę go jakoś znaleźć.

— Nie położyła go pani na zwykłym miejscu, milady? Stefania zamilkła na chwilę.

— Nie mam pojęcia. W nocy byłam tak zmęczona, że zapamiętanie własnego imienia przychodziło mi z trudnością. Pamiętam, jak smakował mi ten doskonały biszkopt, ale...

— Jest na swoim miejscu — powiedziała pani Thirkell z triumfem. — Pomimo zmęczenia tam go pani położyła.

Stefania spojrzała na zegarek leżący na toalecie w małym plastikowym pudełeczku.

— Nie do wiary — wymruczała.

— To nic takiego — pospieszyła ją uspokoić pani Thirkell. — Z nawyku robi się zdumiewające rzeczy. Proszę bardzo, milady.

Podala jej zegarek i Stefania zerknęła na wskazówki. Prawie wpół do czwartej. To ją zdumiało. Jakim cudem tak szybko zszedł ten dzień? Penny i Cliff będą w domu lada... Nie, oczywiście, że nie... przynajmniej nie tutaj. W Evanston, gdzie czeka na nich Sabriną... Sabriną! Miała do niej zadzwonić o... Która godzina jest teraz

w Evanston? Wpół do dziesiątej rano. A więc wszystko w porządku, przypomniała sobie w samą porę.

Niewiele jednak brakowało, żeby zapomniała. Przepeliło ją poczucie winy. Jak mogła prawie przez cały dzień nie poświęcić ani jednej myśli swojej rodzinie?

— Na którą przygotować obiad, milady? — spytała pani Thirkell.

— Och. O... o zwykłej porze. Wrócę niedługo.

Zamknęła drzwi sypialni. Usiadła na fotelu z telefonem na kolanach i zamknęła oczy. Mogła dokładnie wyobrazić sobie swój dom, pocętkowany plamami cienia rosnących przed nim dębów. Widziała kuchnię, która w słońcu miała kolor miodu, i swoje dzieci, chwytające w przelocie książki i pudełka z lunchem przed wyjściem do szkoły. Widziała plecy swojego męża, który oddalał się w stronę kampusu. Gdzie może być Sabriną? Jest teraz sama i zapewne penetruje dom. To może być pierwszy telefon, jaki odbierze. Stefania uśmiechnęła się przebiegle, podając centrali swój numer w Evanston.

— Czy to pani domu? Mówi lady Longworth z Londynu. Chciałabym rozmawiać z...

— Stefania! — krzyknęła Sabriną, oddzielona szerokością oceanu. — Jak to cudownie!

Stefania podwinęła pod siebie nogi, jak zawsze robiła, gdy zasiadały do dłuższej rozmowy, i zaczęła zadawać pytania na temat Gartha i dzieci, odpowiadając jednocześnie na pytania Sabriny.

— Sabrino — przypomniała sobie nagle — czy mówiłaś mi kiedyś o tym, że chowasz zegarek na noc do tego pudełeczka na toaletce?

— Możliwe, nie pamiętam. Dlaczego pytasz?

— Musiałaś chyba mówić. Odłożyłam go tam wczoraj wieczorem, gdy snułam się po pokoju kompletnie wykończona i objedzona po uszy biszkoptem pani Thirkell.

Sabriną wybuchnęła śmiechem.

— Jest z niego niesamowicie dumna. I wie, że za nim przepadam. Pewnie znów go upiecze na twoje urodziny.

— Czy powinnam dzwonić do ciebie w dniu urodzin? Ty zawsze tak robisz i Garth mógłby się zdziwić...

— Powiem mu, że złożyłaś mi życzenia, gdy zadzwoniłaś, żeby spytać, jak dotarłam. Baw się dobrze przez ten tydzień, nie zwracaj sobie głowy telefonami.

Stefania dosłyszała w głosie Sabriny nutę zniecierpliwienia.

— Tak, to go przekona. Czy spieszysz się gdzieś?

— Nie, chodzi o to, że czeka mnie tyle roboty! Porządki i zakupy... Stefania знаła to na pamięć: sprawunki, domowe zajęcia, codzienna

porcja obowiązków. Gdy się pożegnały, wyobraziła sobie Sabrinę, jak krząta się po jej pokojach, gotuje w jej kuchni, rozmawia z jej rodziną, je śniadanie z Garthem, siedzi naprzeciwko niego przy obiedzie...

Miała ochotę zadzwonić znowu i porozmawiać jeszcze, lecz Sabriną była wyraźnie zniecierpliwiona. Ostatecznie to jest teraz jej dom, nie powinnam się wtrącać. Ona nie miesza się do moich spraw. Skoczyła na równe nogi i zbiegła po trzech kondygnacjach schodów do drzwi frontowych. Tydzień minie jak z bicza trząsk; czas już zaznajomić się z sąsiedztwem.

Okrążywszy park poszła na Sloan Square, uśmiechając się na widok kontrastu, jaki stanowił stary gmach Królewskiego Teatru Dworskiego naprzeciw nowoczesnego domu towarowego Petera Jonesa. Na placu pośrodku fontanna, której płaskorzeźby przedstawiały beztrioskie zaloty Karola II i jego metresy, Neli Gwynne. Czcigodny, sędziwy Londyn. Niech turyści myślą, co im się podoba. W Chicago bardziej jest widoczny wysilek podobania się, pomyślała.

Wypatrywała różnic, aby głębiej przeżyć swą przygodę. Przeszedłszy na drugą stronę Sloan Street, podziwiała wąskie witryny sklepowe z dziełami sztuki, antykami, konfekcją, butami, biżuterią i książkami. W duchu uczyniła surowe postanowienie, że nie będzie robić żadnych zakupów, zdecydowana oszczędzać, lecz w końcu pokusa okazała się zbyt silna i wstąpiła do **Bendicks** po torebkę domowych cukierków i do **Taylor of London**, gdzie kupiła małą flaszeczkę perfum.

Pogryzając cukierka, szła przed siebie powolnym krokiem. Czuła się lekka i niczym nie skrepowana, jakby płynęła nad ziemią. Było to dziwne uczucie, lecz gdy minęła sklep z zabawkami, uświadomiła sobie jego źródło. Nikt nie wie, gdzie ona jest. Nikt jej nie oczekuje. Była osobą samotną, anonimową i to dawało jej poczucie wolności.

Mijali ją przechodnie z zamkniętymi, obcymi twarzami. Niektórzy otwarcie podziwiali jej urodę, lecz większość była pochłonięta własnymi sprawami. Nikt też nie patrzył na nią jak na obcą i nagle przestała się czuć nieswojo. Kupiła czasopismo i kierując się znakami rozpoznawczymi szybko odnalazła drogę do domu. Klucz do drzwi frontowych obrócił się gładko w zamku już za pierwszym razem. Pani Thirkell powiadomiła ją, że poczta leży na biurku w gabinecie i przyjrzała się badawczo jej twarzy, pytając, czy naprawdę grypa mija. Nic nie wskazywało na to, iż podejrzewa, że stojąca przed nią osoba nie dorasta do pięt prawdziwej lady Longworth.

Stefania, pełna wewnętrznej radości, weszła do gabinetu na drugim

piętrze. Nie ma nic, czego nie mogłabym zrobić, pomyślała znowu. I w duchu podziękowała Sabrinie.

— Milady, zapomniałam panią powiadomić — powiedziała pani Thirkell przez telefon wewnętrzny. — Od kiedy pani wróciła, znów zaczęto przysyłać kwiaty.

— Kwiaty — powtórzyła ostrożnie.

— Postawiłam je w salonie, jak zwykle.

— Dobrze. Dziękuję. — Stefania zeszła piętro niżej i od progu uderzył ją ich widok. W pokoju królowały trzy tuziny czerwonych róż w kryształowej kuli, zapierających dech, absurdalnych. Pomiedzy nimi tkwiło jak skrawki lśniącego księżycowego światła dwanaście wielkich białych orchidei.

Nigdy nie widziała czegoś podobnego. Zapach róż docierał do niej przez całą szerokość pokoju, gdy podchodziła do stołu, myśląc, jak śmieszne jest robienie czegokolwiek na taką skalę: cóż to za niebywała rozrzutność — i jakie to robi wrażenie! Przeczytała liścik.

Witaj w domu, moja śliczna Sabrino. Prosiłaś, żebym nie dzwonił, więc dotrzymuję obietnicy. Lecz w przyszłym tygodniu wracam do Londynu i liczę, że twoja dobroć i wspomnienie miłych godzin, jakie razem spędziliśmy, skłonią cię, abyś poświęciła mi wieczór i nareszcie oddała mi swoją rękę.

Antonio

— Milady — zaanonsowała pani Thirkell, gdy Stefania wetknęła kartkę z powrotem pomiędzy kwiaty. — Księżna Aleksandra.

Aleksandra pojawiła się za nią, wysoka, jasnowłosa, o uderzającej urodzie. Stefania nie spotkała jej nigdy przedtem, w czasie jej zeszłorocznej wizyty u Sabriny Aleksandra była we Francji. Lecz widząc rozpoznała ją natychmiast z opisu Sabriny — córka hollywoodzkiej aktorki, grającej ogony, która zrealizowała marzenia swojej matki poślubiając księcia i obracając się swobodnie wśród europejskiej arystokracji. Aleksandra złożyła przed Stefanią komiczny ukłon.

— Nie mogłam się oprzeć, aby powitać podróżniczkę. No i jak, udał się manewr?

— Jaki manewr?

— Z wyjazdem. Wynajdywanie nowych sposobów na stare kłopoty. Czy nie po to właśnie pojechałaś do Chin?

— Próbuję czegoś nowego, lecz nie mam jeszcze pewności, czy to coś da.

— Cóż, póki co, możesz zahulać w moim domu jutro wieczorem. Mała bibka na twoją cześć.

— Mała...?

— Przyjęcie urodzinowe. Skarbie, strasznie cię przepraszam. Napisałam ci o tym, Bóg mi świadkiem, ale list nigdy nie dotarł na pocztę. Nie wiem, jak coś takiego może się zdarzyć w domu pełnym służby. Tobie nigdy się to nie przytrafia, prawda? Zresztą to nie ma znaczenia, bo jak sama powiedziałaś przed wyjazdem, nie robiłaś na ten tydzień żadnych planów, jesteś wolna i swobodna, a wiesz, że nie pozwoliłabym, żeby twoje urodziny minęły bez żadnej uroczystości. Ma być trochę twoich przyjaciół, około szesnastu osób. A jeśli przypadkiem przestałaś liczyć już kolejne urodziny, nazwiemy to przyjęciem powitalnym, więc nie sprzeczasz się ze mną, tylko zjaw się w całej swojej krasie o ósmej. Liczę na ciebie.

— Chyba mam jakąś gripę. Raczej nie powinnam...

— Najlepszym lekarstwem na gripę jest przyjęcie. Spytaj pierwszego z brzegu lekarza, który ma trochę oleju w głowie.

— No to... dam ci jeszcze znać. Aleksandra posłała jej pocałunek.

— Do zobaczenia jutro — powiedziała i znikła.

Zanim Stefania zdążyła się zastanowić nad sprawą przyjęcia, zaczęła się seria telefonów. Każdy pani Thirkell zapowiadała głosem wyrażającym surową dezaprobatę dla wszystkich, którzy zawracali milady głowę rozmowami, gdy była chora. Michel Bernard z Paryża pytał, czy przyjęcie u Aleksandry nie zostało odwołane, i oznajmiał, że on i Jolie zjawią się na nim. Andrea Vernon doniosła radośnie szczebiocząc, że zdjęcia jej sali balowej, którą Sabriną udekorowała na nowo i ozdobiła setką nowych lamp, pojawiły się we włoskim magazynie, a wydawca chce zrobić za dwa tygodnie nową serię zdjęć, tym razem z projektantką. „Dam ci znać” — przyrzekła Stefania. Amelia Blackford pytała, czy Sabriną zechciałaby pojechać wraz z Nicholasem na aukcję w Chilton w przyszłym tygodniu. „Dam ci znać” — odparła znowu.

W chwilach przerw między telefonami otwierała pocztę, z której wysypywały się jak z rogu obfitości zaproszenia na przyjęcia, partie tenisa, kolacje, polowanie na lisy w Derbyshire, uroczysty lunch na cześć jakiejś księżnej w Paryżu i tuzin bali dobroczynnych od października do maja. Stefanii ich obfitość wydała się równie wspaniała jak przepych kwiatów od Antonia. I niczym zapach róż napływający z daleka zamajaczyła przed nią wizja wesołości i blasku, które obiecywały ozdobne litery na grubym pergaminie.

Poukładała porządnie zaproszenia i pomyślała zazdrośnie, że kalendarz towarzyski Sabriny na przyszły miesiąc jest już w tej chwili bardziej wypełniony niż jej plan zajęć na najbliższy tydzień. Oczekiwała ją tylko — rzuciła okiem do kalendarza — wizyta u fryzjera i przyziarka u krawcowej. No i przyjęcie u Aleksandry.

O ile się na nie wybierze. Myśl o tym jednocześnie przerażała ją i pociągała. Nie chciała zblążyć się publicznie, lecz pragnęła obejrzeć dom Aleksandry. I jak cudownie byłoby zjawić się tam w roli gościa honorowego na jednym z jej słynnych przyjęć.

Rozterka trwała cały wieczór, nie opuszczała jej nawet gdy zwinięta na fotelu w sypialni usiłowała czytać książki na temat Londynu z biblioteczek Sabriny. Myśl o przyjęciu towarzyszyła jej przy zaśnięciu i pojawiła się jako pierwsza, gdy otworzyła oczy. Postanowiła, że powłóczy się trochę po mieście, zanim podejmie decyzję.

Najpierw jednak zadzwoniła do fryzjera Sabriny i niechętnie odwołała wizytę. Poznałby od razu, że jej włosy strzygł ktoś inny. Można oszukać własnego męża, pomyślała ze zgryźliwym humorem, ale nie własnego fryzjera. Postanowiła za to pójść do krawcowej. Zawsze pragnęła móc sobie na to pozwolić, więc nie przepuści tej jedynej szansy.

A przyjęcie u Aleksandry? Przecież i ono jest jedyną szansą! W końcu, czemu nie? Stefania wysoko trzymała głowę wchodząc w ciepły wrześnieowy poranek po schodach na piętro, gdzie mieszkała krawcowa, pani Pemberley. Uczci trzdzieste drugie urodziny lady Longworth w wielkim stylu, tak by nikt nie wiedział, że w rzeczywistości obchodzi urodziny prowincjonalnej kury domowej.

Pani Pemberley ustawiła odpowiednio lustro o dwóch skrzydłach.

— Tak jakby pani przybrała troszkę na wadze na tej chińskiej wycieczce — powiedziała przez trzymane w ustach szpilki.

Stefania spojrzała na jej pochyloną głowę i nie odezwała się ani słowem.

— Ale oczywiście przy pani świetnej figurze to nie robi różnicy — dodała pospiesznie krawcowa. Jej palce, które wsuwały szpilkę w materiał zamszowej sukni, drżały.

Ona się boi, pomyślała Stefania, boi się, że poczuje się obrażona i znajdzie sobie inną krawcową. Po raz pierwszy zrozumiała władzę ludzi wpływowych nad tymi, którzy im służą.

— Może pani zechce teraz zobaczyć — rzekła pani Pemberley, podnosząc się na nogi. — Poprawiłam troszkę linię rękawa, żeby układał się bardziej miękko, lecz poza tym wszystko jest tak, jak pani sobie życzyła. Proszę sprawdzić... — Otworzyła błyszczący francuski

żurnal, w którym widniało zdjęcie modelki w zamszowej sukni. Nagle Stefania zrozumiała, w jaki sposób w garderobie jej siostry znalazły się świetne kreacje, jak z kolekcji największych projektantów mody. Nie kosztowały tysiący dolarów, zaledwie ułamek tej sumy — dzięki krawcowej, która umiała skopiować krój z fotografii aż do najdrobniejszego ściegu i dopasować go do fantazyjnego gustu Sabriny. Przeniosła wzrok z żurnalu na swoje odbicie.

— Wspaniałe — mruknęła, i twarz pani Pemberley rozluźniła się i ułożyła w uśmiech. Krawcowa wyjęła następną suknię i jeszcze następną, a po nich kreację wieczorową, dwie garsonki dostatecznie eleganckie, by wybrać się w nich na kolację po dniu spędzonym w pracy, długą do ziemi spódnicę z wzorzystej wełny z aksamitną narzutką oraz spodnie i zakiet do konnej jazdy. Stefania mierzyła je po kolei, a pani Pemberley zaznaczała poprawki i gawędziła o innych klientkach, z których większość najwyraźniej została skierowana do niej przez Sabrinę.

— ...Księżna Aleksandra mówiła, że dziś są pani urodziny, madame. Składam pani najlepsze życzenia. Znosi się na huczne przyjęcie...

— Słucham? — wyrwało się zaskoczonej Stefanii. Nie pragnęła szerokiej publiczności w obawie przed popełnieniem jakiejś gafy.

Strach pani Pemberley powrócił. Zacisnęła usta, żeby nie wymknęła się z nich żadna uwaga o charakterze osobistym. Stefanii zrobiło jej się żal, lecz nic nie powiedziała i przymiarka dobiegła końca w zupełnym milczeniu.

— Wszystkie rzeczy będą gotowe za tydzień, madame — rzekła pani Pemberley, odprowadzając ją do drzwi.

Stefania skinęła głową. Miała wyrzuty sumienia, że stała się przyczyną jej zdenerwowania.

— Szalenie mi się podobają — powiedziała i szybko wyszła. Wcale nie była pewna, czy podoba jej się taka władza nad ludźmi, którą Sabriną i jej przyjaciela uważali za coś oczywistego.

Za progiem mieszkania pani Pemberley znów stała się kimś anonimowym. Przemierzyła miasto od Kensington Church Street do Ciray's Mews piętrowymi autobusami i metrem, którego wagony lśniły od czystości. Budowle nie były tak wysokie jak amerykańskie drapacze chmur, a liczne małe sklepiki przypominały Stefanii salki w ogromnym muzeum, pełnym po brzegi cudownych przedmiotów, zabytkowych mebli, porcelany, żyrandoli, rżniętego szkła, zegarów, lalek, biżuterii i obrazów. Krocząc jak we śnie, znów poczuła się małą dziewczynką, która robi zakupy wspólnie z Sabriną i matką w zaczarowanym



świecie targów pod gołym niebem i małych, zakurzonych sklepów. Jak proste było życie w dzieciństwie! Nie było w nim miejsca na komplikacje małżeńskie, kłopoty z pieniędzmi, tęsknotę do czegoś innego.

Choć przecież uciekłyśmy wtedy z samochodu, przypomniła sobie z uśmiechem. Żeby wyrwać się na swobodę.

Na Grosvenor Square stanęła przed posągiem króla Jerzego I, który patrzył pustym wzrokiem gdzieś w bok. Wspominała Ateny. Teraz zrobiłam to po raz drugi, uświadomiła sobie. Wyrwałam się na swobodę. Po drugiej stronie placu rozpierał się pomiędzy dwoma przecznicami budynek amerykańskiej ambasady. Bywały w nim od czasu do czasu w towarzystwie ojca. Skierowała się w tamtą stronę. Najpierw uciekłam od ojca, a teraz od Gartha. Przeszła obok ambasady. Ale oczywiście wrócę do Gartha.

Zmieszała się z tłumem ludzi spacerujących po Park Lane, na skraju zielonej przestrzeni Hyde Parku. Były tam piastunki z wózkami, przywidłe wdowy, młode dziewczyny w szerokich spódniczkach, które paplały o dyskoteci, biznesmeni w melonikach i kobiety interesu w garsonkach i białych bluzkach. Postanowiła zajrzeć jeszcze do Harrodsa i przyspieszyła kroku. Wkrótce ujrzała charakterystyczne kopulaste markizy z brzegami wyciętymi w półkola i nazwę sklepu wypisaną energicznym, śmiałym pismem — nazwę największego magazynu w Europie i jednego z najbardziej luksusowych na całym świecie, który chlubił się posiadaniem nawet własnego odźwiernego w liberii.

Krażyła beztrąsko między stoiskami, szukając upominku dla Sabriny. Zostawi go przed swoim wyjazdem. Właśnie myszkowała w dziale porcelany Wedgwooda, gdy ktoś za nią wykrzyknął:

— Sabriną! Coś podobnego! — Jakaś uderzająco ładna młoda kobieta, drobna i delikatna, z aureolą szaroblond włosów i wielkimi szarymi oczami, rzuciła jej się na szyję i obsypała pocałunkami. — Myśleliśmy, że spotkamy cię dopiero wieczorem, a ty tutaj! Wszystkiego najlepszego!

Stefania wytrzeszczyła na nią oczy.

— Gabrielle! Ani trochę się nie zmieniłaś!

— W ciągu dwóch tygodni? Mam nadzieję. Chyba, że chciałaś... Czyżbyś już coś słyszała? Od kogo? Czekaliśmy, żeby tobie pierwszej powiedzieć.

— Co miałam słyszeć? — Serce Stefanii wciąż biło niespokojnie na myśl o własnym głupim okrzyku przed chwilą. Zupełnie ją zaskoczył widok Gabrielle de Martel, współmieszkanki Sabriny z *Juliette*, w samym środku Harrodsa. Nie widziała jej od prawie piętnastu lat,

lecz Gabrielle wyglądała tak jak dawniej, mimo że zdążyła już wyjść za mąż i rozwieść się, o czym Stefania wiedziała z listów Sabriny. Mieszkała w Londynie i pracowała jako modelka w firmie kosmetycznej. Jej głos również pozostał taki sam — jasny i lekko zdyszany.

— Całe szczęście, o niczym nie wiesz. A oto moja rewelacja. Stefania podniosła wzrok na mężczyznę, który do tej pory stał

opodal, a teraz, pociągnięty za rękę, wysunął się naprzód. Był od Gaby o wiele wyższy, przystojny i barczysty, miał gęste jasne włosy i brązowe oczy o niecierpliwym wyrazie i wyglądał dokładnie tak, jak opisała go Sabrina. Był to Brooks Westermarck, prezes *Westermarck Cosmetics* — bogaty i wiecznie zapracowany ulubieniec fotografów i reporterów kolumn towarzyskich, zawsze w towarzystwie pięknej i coraz to innej kobiety.

— Witaj w domu, Sabrino — powiedział miłym głosem. — Czy przywiozłaś mi moją chińską tancerkę?

Tancerka. No i co teraz? Stefania wpadła w rozpacz. Nie mogę się w tym wszystkim połapać, za dużo tego jest. Wtem przypomniała sobie wyrzeźbione z nefrytu figurki kupione w Pekinie przez Sabrinę. Która z nich była tancerką Brooksa? Nie miała pojęcia.

— Oczywiście — odparła swobodnie. Mogła z łatwością odwlec wręczenie prezentu o tydzień. — Ale wciąż nie wiem, co to miała być za wielka wiadomość.

— Zamieszkaliśmy razem — powiedziała Gabrielle. — Nie chciałaś mi poradzić, więc sama podjęłam decyzję. A teraz powiedz mi, jaka byłaby twoja rada?

— Zamieszkać z Brooksem — odrzekła natychmiast Stefania.

— Mądra dziewczyna — roześmiał się Brooks. — Czy zjesz z nami jutro kolację, Sabrino?

— Żeby uczcić tę okazję — dorzuciła Gabrielle. — *U Annabel*. Brooks należy do tego klubu od lat, ale ja nigdy tam nie byłam. Proszę, przyjdź.

— Och, nie w najbliższych dniach. Prawdę mówiąc chciałam zostać w domu aż do końca tyg...

— Bo Antonia nie ma w mieście? Nie weźmie ci tego za złe, jesteśmy wystarczająco porządnym towarzystwem. Czekałam specjalnie na twój powrót z tą uroczystością. Strasznie chcę, żebyś z nami była.

— A czy może być coś ważniejszego niż życzenie Gaby? — powiedział z rozbawieniem Brooks.

Właściwie czemu nie, pomyślała Stefania. Jeśli Sabriną może mieć terminarz wypełniony po brzegi, to ja również mogę.

— W takim razie zgoda. Bardzo wam dziękuję. Ale ponieważ to wasza uroczystość, wam pozostawię cały ciężar prowadzenia rozmowy.

— To niezwykle taktownie z pani strony, lady Longworth — rzekł Brooks, wciąż rozbawiony. — W ten sposób uczynisz Gaby najszcześniejszą z kobiet pod dachem *Annabel*.

Tak wygląda początek miodowego miesiąca, pomyślała Stefania, zaskoczona własnym rozgoryczeniem. Kiedyś Garth i ja byliśmy tacy sami: z twarzami jaśniejącymi szczęściem, jakby łączył nas wspólny cudowny sekret. I tak było — byliśmy zakochani. Wydaje się, że to tak dawno. Nawet nie pamiętam, co się wtedy odczuwa.

W domu pani Thirkell przyniosła jej herbatę do gabinetu, gdzie znów wertowała pocztę i notatki o telefonach. Potem zaczęła się szykować na przyjęcie u Aleksandry.

Rozkoszowała się właśnie kąpielą, cała w bańkach piany, gdy usłyszała dzwonek telefonu. Po chwili pani Thirkell weszła na górę i stanęła za drzwiami łazienki.

— Dzwoniła księżna Aleksandra, milady. Jej szofer podjedzie po panią o ósmej. Którą suknię mam przygotować?

— Sama to zrobię, pani Thirkell — powiedziała Stefania, zastanawiając się, czy nie spytać jej o radę. Potrząsnęła jednak głową. Sabrina nie zrobiłaby tego. Sabrina zdecydowałaby sama. A jej wybór zawsze byłby słuszny. Ponieważ kto ośmieli się powiedzieć lady Sabrinie Longworth, że ma ona na sobie nieodpowiedni strój? Albo że jest zbyt tępa, aby połączyć się w rozmowie?

Gdy weszła do salonu Aleksandry, wiedziała, że miała słuszość. Stała na środku sali we wdzięcznej pozie. Smukła, w długiej spódnicy ze szmaragdowej tafty i w białej satynowej bluzce z małymi kryształowymi guziczkami, błyszczała niby klejnot, pełna prostoty i elegancji. Goście otoczyli ją obsypując w beładzie uśmiechami, pocałunkami i powinszowaniami. Dostrzegła wśród obecnych Gabrielle i Brooksa i właśnie próbowała dopasować inne twarze do opisów Sabriny, gdy jeden ożywiony głos wzbił się ponad pozostałe.

— Wyobraźcie sobie, że kupiły identyczne chińskie sukienki i nie mogłem ich zupełnie odróżnić! Nie uwierzycie, jaki byłem zakłopotany! A teraz powiedz mi — ciągnął Nicholas Blackford, uśmiechając się z jowialną figlarnością do Stefanii i ściągając na nią uwagę gości.— Kim jesteś naprawdę? Zdradź nam tę słodką tajemnicę! Jesteś Stefanią i chcesz nasz wszystkich nabrać, prawda?

Stefania, w centrum uwagi obecnych, stała oszołomiona z pustką w głowie. Zrobiło jej się niedobrze. Sabrina z powodzeniem oszukiwała jej męża i dzieci, a ona nie umiała nawet wyprowadzić w pole zwykłych znajomych. Spuściła wzrok i jej oczy oślepił promień światła, załamanego w kryształowych guziczkach. Nagle podniosła

wysoko głowę. Wiedziała, że wygląda dokładnie tak samo jak Sabrina. Nikt nic nie podejrzewał. Nicholas po prostu żartował. Jak on, to i ja, pomyślała.

Jej wahanie trwało tylko kilka sekund. Spojrzała na Nicholasa, którego mała postać balansowała na piętach, i zrobiła zafrasowaną minę.

— Nicholas, tak mnie zbiłeś z tropu, że sama nie wiem. Zawsze miałam zaufanie do twego zdania, więc oddaję się w twoje ręce. Powiedz mi, kim jestem, i tego będziemy się trzymać.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i wiwatami.

— Teraz cię dopadła, Nicky — rzekła Aleksandra. — No i kto to jest?

Nicholas schylił się w ukłonie i ucałował dłoń Stefanii.

— A któżby inny jak nie nasza wspianiała Sabrina? Nie wątpił w to ani przez chwilę. W Chinach moja spostrzegawczość nieco osłabła z powodu tej okropnej diety. Przez cały czas byłem bliski śmierci głodowej.

Stefania uśmiechnęła się, czując, jak ustępuje wewnętrzne napięcie.

— O ile pamiętam, wszyscy subiekci w sklepach ze słodyczami zostali poinformowani szeroko o twojej diecie. I to nie raz.

Goście skwitowali tę uwagę śmiechem. Aleksandra poprowadziła ich do bufetu z zakąskami. Oddech Stefanii wrócił do normy. Wszystko w porządku. Udało się.

— Żałuję, że nie poznałam twojej siostry w zeszłym roku — powiedziała Aleksandra. — Czy ona naprawdę jest tak do ciebie podobna?

— Nie, oczywiście, że nie. Przyłapałyśmy Nicholasa z całą górą słodyczy, a on był tak tym zmieszany, że wymyślił pierwszy lepszy powód tego zmieszania — Stefania słuchała ze zdumieniem swoich własnych słów. Jak łatwo było kłamać! Wiedziała jednak doskonale, dlaczego było to tak łatwe. Ci ludzie słyszeli tylko to, co spodziewali się usłyszeć. Cokolwiek powie, dopasują jej słowa do swoich oczekiwań lub pragnień. Czy w ogóle jej słuchali? Czy naprawdę na nią patrzyli? Tylko do pewnego stopnia. Śmiejąc się wraz z Aleksandrą, poczuła, że gładko wsunęła się na właściwe miejsce. Nareszcie ten tydzień należał do niej.

— Ach, ten Nicholas i jego sztuczki — rzekła Aleksandra.

Do tej pory Stefania, pełna zazdrosnego podziwu dla jej posągowej urody i kwiecistego cygańskiego stroju, usiłowała nie gapić się na nią

zbyt otwarcie. Teraz, poczuwszy napływ pewności siebie, zaczęła jej się odważnie przyglądać.

— Wyglądasz fantastycznie. Istna cygańska królewna.

— To był przecież twój pomysł, skarbie. I jak zawsze miałaś rację. Słuchaj, nic nie jesz, a wszak to twoje przyjęcie. Nałóż sobie coś. Masz tu liście winorośli, jakąś szpinakową papkę z orzeszkami, płonące saganaki... Gdzie jest Arnold z zapalkami?

— Arnold?

— Kucharz, skarbie. Dlaczego nigdy nie możesz zapamiętać, jak się nazywa?

— Może dlatego, że nie podoba mi się jego uczesanie — odparła Stefania, myśląc jednocześnie o niewiarygodnej rozrzutności wynajmowania kucharza na przyjęcie dla szesnastu osób. Ona sama przygotowywała nieraz kolację dla przeszło dwudziestu gości, mając tylko Gartha do pomocy przy sprzątanii.

Arnold wyszedł z kuchni z długą zapalką i podpalił kwadraciki sera saganaki, osmażane w maśle i oblane brandy. Stefania spojrzała na jego włosy, szesane do przodu: przypominał kudłatego owczarka. Skąd o tym wiedziała? Czy Sabrina wspomniała coś o kudłatym kucharzu imieniem Arnold?

— Sabrino, wyglądasz cudownie — dobiegł ją cichy głos. — Pozbyłaś się w Chinach wszystkich swoich trosk?

Odwróciła się i napotkała bystry wzrok niskiego mężczyzny o przyjemnej twarzy i nijakim wyglądzie, który w tłumie nie zwróciłby na siebie niczyjej uwagi. Tymi właśnie słowami Sabrina opisała Michela Bernarda.

— Jakież troski mogłabym mieć w Chinach? — odparła.

— Absolutnie żadnych. Masz całkowitą rację. Ale gdy dostaliśmy twój list, obawialiśmy się, że to, czego się dowiedziałas, może ci zepsuć podróż.

— Aha. No cóż, nie było czasu na myślenie. Przewodnik wypełnił nam program co do minuty... — Ostrożnie badała nieznaną teren, nie mając pojęcia, o czym on mówi. — Jak... jak przyjęliście mój list?

— Rzecz jasna stał się dla nas wspaniałym dowodem. Ten list to wielki akt odwagi z twojej strony. — Zniżył jeszcze bardziej głos. — Niewielu ekspertów przyznałoby, że dali się nabrać na imitację. Chcę jednak, abys wiedziała, że twój list bardzo nam pomógł. Co ciekawe, nie tyle sam bocian, ile nazwiska na certyfikacie, który nam przysłałaś. Niektórych używano więcej niż raz — dałabyś wiarę?

Potrząsnęła przecząco głową.

— To wygląda na ich pierwszy poważny błąd. Zdawałoby się, że powinni być dość sprytni, aby wpisać inne nazwiska na każdym fałszywym certyfikacie. Zamilkł na chwilę, czekając na reakcję Stefanii. Skinęła tylko potakująco.

— Te nowe informacje opóźniły publikację artykułu. Będziemy mogli go wydrukować dopiero w połowie lub pod koniec listopada. To powinno ci pomóc, prawda?

— Tak sędzę...

— Szczególnie, jeśli masz zamiar odzyskać bociana. Postanowiłaś już coś? Czy wciąż nie masz pewności, że wielka Olivia zatrzyma przy sobie ten sekret?

— Nie wiem.

— Jeśli możemy ci w czymkolwiek pomóc... Stefania poczuła zawrót głowy.

— Możesz mi powiedzieć, co odkryliście — powiedziała bliska rozpaczy.

— Od naszej ostatniej rozmowy? Niewiele, głównie dowody na potwierdzenie tego, o czym już wiesz. Ale to niezły pomysł, żeby jakoś to wszystko podsumować. Może w poniedziałek? Wcześniej nie będzie nas w mieście.

— Raczej nie. — W poniedziałek rano będzie już w drodze, aby spotkać się z Sabriną w Chicago. W poniedziałek po południu Sabrina poleci z powrotem do Londynu. — Czy możemy porozmawiać w ciągu weekendu?

— Zobaczymy. Zadzwoimy do ciebie z Paryża w czwartek lub piątek, gdy będziemy już znali swój rozkład zajęć. A cóż to?

Stefania również usłyszała z początku ciche, a potem coraz głośniejsze dźwięki skocznej greckiej melodii granej na buzuki. Gdy ucichł gwar rozmów, Aleksandra odsunęła zasłonę w głębi pokoju. Oczom zebranych ukazała się orkiestra, przed którą siedział po turecku na podłodze grajek z buzuki. Na jego sygnał reszta kapeli podchwyciła melodię, którą przędły jego szybkie palce.

Światła przygasły. Kelnerzy jak bezszelestne cienie ustawili niski stół i porozkładali wokół niego obszyte frędzlami poduszki. Na stole pojawiły się złote talerze i kielichy, koszyki z bułkami, dymiące szaszłyki jagnięce z cebulą, krewetki w sosie winnym, dorsz z pomidorami i porzeczkami, potrawka z kurczęcia oraz tace świeżych owoców i butelki białego i czerwonego rodyjskiego wina, na które rzucały migotliwe cienie świece osadzone w miseczkach z pływającymi w wodzie kameliami.

Aleksandra wzięła Stefanię za rękę i poprowadziła ją do poduszki u szczytu stołu.

— Miejsce dla gościa honorowego.

Stefania patrzyła na to wszystko rozszerzonymi oczami, niczym wieśniaczka podziwiająca dworskie cuda. Jak zachowałyby się Sabrina? Okazałyby zadowolenie, lecz nie przesadny podziw: to był jej świat. Przybrała twarz w wyraz zachwytu i powiedziała do Aleksandry siedzącej po jej lewej ręce:

— To jest cudowne. Widzę, że stałaś się ekspertem od spraw Grecji.

— Nie ja. Arnold ma żonę Greczynkę. Wzięłam od niej kilka pomysłów i dodałam parę własnych.

— A gdzie są owcze płuca smażone na oleju? — spytała Stefania rozglądając się po stole.

— Wydałam co do nich kategoryczny zakaz. Skąd wiesz o takich rzeczach?

— Dawno temu mieszkaliśmy w Atenach... — I Stefania opowiedziała o dniu, gdy obie z Sabriną uciekły szoferowi z limuzyny i trafiły na uliczne zamieszki. Wszyscy słuchali w milczeniu. Suto zastawiony stół z siedzącymi przy nim gośćmi zniknął, a ona znów tuliła się do siostry w piwnicy, do której dochodził z góry tupot ciężkich buciorów. W tej chwili była i Stefanią, która przedzierzgnęła się w Sabrinę, i Sabriną, która opowiada o czasach, gdy obie były przerażonymi dziećmi i przywarły do siebie w poszukiwaniu schronienia.

— Biedne maleństwa — powiedziała Amelia Blackford. — To musiało być okropne.

— Sabrina dodawała mi odwagi — powiedziała miękko Stefania. — Zawsze...

— Kto? — spytali chórem Jolie i Michel. Stefania roześmiała się lekko.

— Dodawałyśmy sobie nawzajem odwagi.

— No cóż — westchnęła Amelia. — Mnie nigdy nie przydarzyło się nic tak emocjonującego.

Czar prysł. Podjęto znów rozmowy, które trwały, dopóki nie uporano się z mocną czarną kawą i ciastkami polanymi miodem. Aleksandra oznajmiła, że czas na wręczenie prezentów.

Każdy coś przyniósł. Nicholas i Amelia dziewiętnastowieczne lustro ręczne Saint Gobain, z rzeźbioną rączką z kości słoniowej, Michel i Jolie książkę o sztuce greckiej, Gabrielle i Brooks kaszmirowy szal z Indii, Aleksandra komplet kryształowych lichtarzy. Od pozostałych gości dostała książki, wysadzone kamieniami spinki do włosów, oprawione reprodukcje i miniaturową porcelanową tancerkę.

— I to — powiedziała Aleksandra podając jej wąskie pudełeczko owinięte w srebrny papier. — Antonio to przysłał. Wolisz otworzyć je teraz czy w domu?

— Och, teraz — poprosiła Gabrielle. — Otwórz teraz! Stefania zawahała się.

— Może lepiej poczekam... — zaczęła, lecz prezent wzbudził już powszechne zainteresowanie. Zdarła papier i bez słowa wyjęła z pudełka błyszczący sznur doskonałych gwiazdzystych szafirów i diamentów. Na dnie pudełka

leżała jakaś kartka, lecz Stefania zignorowała ją. Takie postępowanie ze strony Antonia, który łatwo mógł się domyślić, że prezent może zostać otwarty wobec gości, miało w sobie coś brutalnego — jakby ciskał jej prezent w twarz, pyszniąc się wobec wszystkich, że ma prawo stroić ją w takie klejnoty. Stefania upuściła naszyjnik z powrotem do pudełka. Inni wyczuli jej zakłopotanie i pominęli incydent milczeniem.

Aleksandra klasnęła w ręce. Pojawili się tancerze, rozjaśniono światła, a kelnerzy zaczęli krążyć wokół stołu z drinkami. Stefania przeprosiła na chwilę Aleksandrę. Chciała w samotności obejrzeć dom.

— To nie potrwa długo.

— Nie ma pośpiechu, skarbie. Sama znasz drogę.

Nie знаła, lecz przypomniała sobie zdjęcia Sabriny. Podczas gdy inni śledzili wirowanie wybitnej specjalistki od tańca brzucha, wymknęła się po cichu i weszła po szerokich schodach na piętro.

Przechodziła z pokoju do pokoju pełna zachwyty i dumy. Sabrinie udało się tu połączyć lekkość z bujnym przepychem, co na ogół leżało poza zasięgiem możliwości architektów wnętrz, mających przeważnie ciężką rękę i upodobanie do pompy. Stefania zrozumiała, dlaczego fotografie tych wnętrz wciąż ukazują się w czasopiśmie na całym świecie.

Co za szczęście, pomyślała zazdrośnie, mieć taką szansę — żeby z pustego budynku stworzyć prawdziwy dom o określonej atmosferze, gdzie można przyjmować gości, żyć i kochać... Och, co za wspaniała okazja.

Stała przed kapryśnym obrazem Joana Miró i patrzyła na grube, jakby dziecinne pociągnięcia pędzla, mocne i zdecydowane. Czegóż bym nie dała za taką szansę, pomyślała.

— Skarbie, dobrze się czujesz? Odwróciła się

— Tak. Zachowałam się niegrzecznie. Przepraszam.

— To twoje przyjęcie i prawie twój dom. Nie musisz przeproszać, jeśli chcesz zostać sama. Jaki on jest tak naprawdę, ten Antonio?

— Niekiedy nieokrzesany.



— To już wiemy. Właśnie mieliśmy przykład. I?

— Niekiedy miły.

— Jakże inaczej mógłby cieszyć się twoim zainteresowaniem przez prawie rok? W porządku, wolisz o nim nie mówić. Chcesz, pokażę ci coś, co niedawno odkryłam. Chyba to rozpoznasz.

Sprowadziła Stefanię na niższe piętro, powiodła do ciemnego kąta w salonie i wskazała na podłogę.

— Czy to nie zdumiewające? Kto twoim zdaniem mógł o czymś takim pomyśleć?

Stefania schyliła się i spojrzała na małe wyraźne S wplecione w ozdobny deseń parkietu.

— Sprytnie — mruknęła. Sabrina przysłała jej zdjęcie tego inicjału.

— Owszem, sprytnie. Wiesz, skarbie, jestem tak zachwycona tym domem, że mogłabyś wyryć to S wysokie na sześć stóp nad głównym wejściem. Nie musiałaś się wcale kryć.

Stefania dotknęła małej litery czubkiem pantofla, wciąż uśmiechnięta i zarumieniona z dumy i poczucia władzy, jakim przepełniło Sabrinę urządzenie tego domu.

— To zupełnie wystarczy — odparła miękko. — Dosyć, żebym wiedziała, że zostawiłam swój ślad.

Następnego dnia rano, pod wpływem wspomnienia inicjału siostry na podłodze, Stefania udała się do *Ambasadora*. Brian miał dzień wolny i galeria była zamknięta. Wsuwała do zamka wszystkie klucze z kółka po kolei, aż natrafiła na właściwy.

Była tu wcześniej z Sabriną. Teraz podniosła stopy w oknie wystawowym i poszła w głąb długiej wąskiej galerii, która przypominała osiemnastowieczny salon. Jej wystrój był oszczędny i elegancki: najpiękniejsze przedmioty ustawiono po dwa, po trzy, a oświetlało je słońce lub rozproszone światło osłoniętych kloszami lamp. Drzwi w tylnej ścianie prowadziły do biura Sabriny. Zamiast biurka stał tu stolik z drzewa wiśniowego.

Stefania usiadła przy nim, chłonąc wzrokiem długie, niskie, wyładowane książkami półki, zasłony ze starego aksamitu, wschodnie kobierce i głębokie fotele dla gości. Wszystko to tchnęło sukcesem i świadczyło o życiowych osiągnięciach, a również o pewności siebie, pieniądzu, nawet władzy. Na wspomnienie emocji z poprzedniego wieczoru: dumy posiadaczki, zawiści i tęsknoty, poczuła się tak mała jak jej odbicie w srebrnym serwisie do herbaty na stoliku pod ścianą.

— Muszę coś zrobić — powiedziała do odbicia. — Tak naprawdę zajmowałam się dotychczas tylko jednym: domem. W ciągu dwunastu lat miałam jeden dom, jedną splajtowaną firmę, jednego mężczyznę... — Co jej przychodzi do głowy? Powinna się skoncentrować na przyszłych osiągnięciach, przywróceniu do życia swego biura. To na razie wystarczy. Nie ma co myśleć o innych niepowodzeniach.

Na odgłos dzwonka przy wejściu aż podskoczyła. Zapomniałam go zablokować, pomyślała, i weszła do galerii, aby wyjaśnić, że sklep jest zamknięty.

— Aha, ktoś się wreszcie pokazał — powiedział przysadzisty mężczyzna, który siedział na fotelu w stylu regencji i zdjawszy buty, masował stopy. — Ma pani szczęście, bo mało brakowało, a klient przeszedłby pani koło nosa. Pani tu pracuje? Pewnie, że tak, co za pytanie. Muszę też powiedzieć, że śliczna z pani dziewczuszka, czego pewnie nie weźmie mi pani za złe. Ma pani, jak mówi Betty — to znaczy moja żona — prawdziwie angielską cerę. O mnie mówi jedną rzecz: że potrafię rozpoznać cudzoziemca, zanim otworzy usta. Wszędzie poznałbym, że pani jest Angielką! Widzę, że zerka pani na ten fotelik. Musiałem gdzieś usiąść, żona cały dzień zmuszała mnie do włóczęgi po sklepach ze starociami. Nie udało mi się zobaczyć nawet zmiany wart przed Pałacem Buckingham. Myślałem, że mi nogi odpadną, ona gdzieś znikła, drzwi były otwarte, więc wszedłem tutaj. Nie połamię tego fotela, jeśli o to się pani martwi.

— A co mogłabym panu pokazać? — spytała Stefania ze spuszczonej oczami, chcąc ukryć rozbawienie. — Mógłby sprawić pan żonie niespodziankę jakimś wyjątkowym prezentem. Na przykład... — cofnęła się do półki w głębi galerii i wróciła z francuską torebką wieczorową z paciorków i szkłem powiększającym. — To pochodzi mniej więcej z tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego roku i jest arcydziełem sztuki rzemieślniczej. Proszę spojrzeć przez lupę. Widzi pan pojedyncze paciorki? I ściegi między nimi?

Przyjrzał się z bliska torebce. Paciorki były nie większe od ziaren piasku, a łączące je ściegi bodaj mniejsze. Bez szkła powiększającego kwiatowy wzór wyglądał jak namalowany, w powiększeniu stawał się mozaiką o cudownej misterności.

— Wcale nieźle — przyznał mężczyzna z podziwem. — Jak oni, u licha, to robili?

— Zdaje się, że używano do tej roboty dzieci. Prawdopodobnie nadwierały sobie przy tym oczy, ale wielkie damy na królewskim dworze nie mogły się przecież obejść bez swoich wieczorowych torebek.

— Wcale nieźle — powtórzył. — Betty chciałaby być wielką damą. Ile?

— Sześćset funtów — rzekła Stefania, podając cenę na chybił trafił według tych, jakie widziała przy francuskich torebkach na Bond Street.

— Nie chcę słyszeć o funtach, niech pani przeliczy to na dolary.

— Tysiąc dwieście. Gwizdnął głośno.

— Ma pani tupet, mała damo. Daję dwieście, a to i tak pewnie za dużo.

Stefania była wściekła. Jak on śmie targować się z nią niczym w kramie na pchlim targu? Chciała sfinalizować tę sprzedaż, która nagle wydała jej się bardzo ważnym sprawdzianem, ale zrobi to na warunkach swoich, a nie jakiegoś nieokrzesanego łowcy okazji. Uśmiechnęła się łagodnie.

— Skąd pan pochodzi, panie...?

— Pullem. Z Omaha. Robię w mięsie.

Stefania wyobraziła go sobie zagrzebanego po pas w polciach wołowiny.

— I od czasu do czasu jeździ pan do Chicago? I do San Francisco? I do Nowego Jorku? I do Nowego Orleanu? — Po każdej nazwie kiwał głową. — I bierze pan ze sobą żonę.

— Jasne. Dzieciaki już dorosły, nie ma nic do roboty w domu.

— Czy pan wie, panie Pullem, że we wszystkich tych miastach i w każdym innym mieście Ameryki, Betty byłaby jedyną kobietą, która ma taką torebkę wieczorową? Każdy będzie chciał ją obejrzeć, każda kobieta zapragnie mieć taką samą, lecz drugiej identycznej nie ma na całym świecie.

Zapadła krótka cisza. Obrócił torebkę w rękach.

— Sześćset.

— Funtów?

— Dolarów! Dolarów! W funtach waży się mięso, a nie liczy. Stefania łagodnie odebrała mu torebkę.

— Bardzo mi przykro, panie Pullem. Z radością pomogłabym panu zrobić z Betty wielką damę. — Ruszyła w głąb sklepu.

— Siedemset! — rzucił. — Powiedzmy siedemset pięćdziesiąt i dobijemy targu.

Stefania odwróciła się.

— Panie Pullem. W *Ambasadorze* nie targuje się cen. Układając torebkę na półce usłyszała, że wstaje.

— Umie pani postawić na swoim. Powinna pani być Amerykanką. — Położył na stojącym obok stoliku dwanaście studolarowych banknotów. — Jak się Betty nie spodoba, będę mógł ją zwrócić, dobra?

Stefania owinęła torebkę w bibułkę i włożyła do małego pudełka, które znalazła w biurze Briana.

— Oczywiście. Chociaż sędzę, że nie powinien się pan o to martwić. Włożył buty i wyciągnął rękę po pudełko. Gdy Stefania podała mu

je wraz z rachunkiem, przytrzymał jej rękę.

— Śliczna z pani dziewczuszka, pani wie. Twardo się pani targuje, i w ogóle. Może któregoś dnia przyprowadzę żonę. Jak się znowu dorobię majątku. — Mrugnął do niej i wyszedł.

Stefania, nie posiadając się z radości, wypuściła powietrze z płuc w długim westchnieniu. Udało mi się, śpiewała w duchu, nie ma nic, czego nie mogłabym zrobić. Zamknęła drzwi frontowe, włożyła pieniądze wraz z kopią rachunku do biurka Briana i niemal przefrunęła z jego biura do wiśniowego stolika. Rozejrzała się wokół. Atmosfera znacznie się tu zmieniła. Teraz czuła się tu swojsko. Podobnie jak jej siostra, zostawiła swój ślad.

Klub *U Annabel* może wydawać się hałaśliwy tym, którzy chcą spokojnie spędzić wieczór, lecz większość ludzi uważa jego atmosferę, dźwięki muzyki i rozmów, za podniecającą. Tu zaczynają się lub kończą małżeństwa, rozkwitają lub więdną romanse, zawierane są umowy i znajomości. Członkostwo *U Annabel* nosi znamię wykwintu, i to samo można powiedzieć o tutejszym menu. O każdej porze roku figurują w nim maliny, szparagi, trufle i ślimaki, dostarczane z prywatnych źródeł drogą powietrzną i elegancko podane. W klubie *U Annabel* można zjeść i potańczyć, a również, co ważniejsze, zobaczyć, jak toczą się sprawy w światku towarzyskim.

Maxim Stuyvesant często umawiał się tu na spotkania. Gwar rozmów i przyćmione światła stwarzały atmosferę większej intymności niż biuro, a obsługa, zawsze gdy spodziewano się jego przyjścia, rezerwowała dla niego stolik w rogu sali, nieraz przez wiele godzin. Max starał się znaleźć podobne miejsce w każdym mieście, w którym robił interesy i szukał rozrywek. Klub *U Annabel* na Berkeley Square był jego ulubionym klubem.

W czwartek przybył o dziewiątej wieczór w towarzystwie swego gościa, niskiego, brodatego mężczyzny o przenikliwych oczach, wyolbrzymionych przez szkła okularów. Mężczyznę cechowało zachowanie pełne wystudiowanego znudzenia. Gdy usadowili się przy stoliku Maxa, kelner otworzył przyniesioną z piwnicy win butelkę chardonnay. Max powąchał korek.

— Jaką macie dziś rybę?

— Miecznika w sosie z jeżozwierzy. Bardzo delikatny. Bardzo smaczny.

Max spojrział na gościa, który skinął głową.

— W takim razie podajcie rybę — powiedział Max. — Niech Louis wybierze resztę menu. Przynieś nam pasztet i podaj zupę za pół godziny.

— Louis? — powtórzył jego gość.

— To szef kuchni. Znakomicie gotuje.

— Zaś pół godziny poświęcimy na rozmowę o interesach.

— Te pół godziny przeznaczymy na przyjemną pogawędkę, która wprawi nas w odpowiedni nastrój przed posiłkiem. Sprawy interesów nie zajmą nam więcej niż kilka minut. — Nalał wina do kieliszków. — Za chwałę przeszłości.

Ronald Dowling skinął głową, pociągnął łyczek, uniósł brwi, zdumiony znakomitą jakością wina, i znów łyknął.

— Waza dorównuje wszystkim twoim pochwałam. Doprawdy jestem pod wrażeniem. Nawet w twoim obskurnym magazynie...

— Nie moim. *Westbridge Imports*.

— Czy to oni właśnie ją wywieźli przez Morze Śródziemne — dokąd to? Do Francji? Czy bezpośrednio do Wielkiej Brytanii? Max uśmiechnął się.

— Trochę tu dziś hałaśliwie. Nie usłyszałem twojej ostatniej uwagi. Etruska waza, którą widziałeś, pochodzi z kolekcji pewnej angielskiej rodziny arystokratycznej. Trudności finansowe zmusiły ją do sprzedaży jednej ze swych posiadłości. *Westbridge Imports* organizowało wyprzedaż i gdy zobaczyli wazę, powiadomili mnie, wiedząc, że moi klienci interesują się antycznymi skarbami i mogą sobie na nie pozwolić.

Dowling uśmiechnął się blado.

— Przeczytałem spis w katalogu, który mi przysłałeś. Możesz innym opowiedzieć tę bajeczkę, Stuyvesant, lecz ja przyjechałem tu specjalnie z Toronto, żeby obejrzeć tę wazę. Płacę ci za nią półtora miliona dolarów i w zamian spodziewam się prawdy, nie bajek.

— W sztuce i seksie nigdy nie można być pewnym prawdy.

— Ja nie żartuję, Stuyvesant.

— Ronaldzie, gdybym powiedział ci, że pewien przedmiot został przemycony z Turcji i wpisany na listę jako należący do majątku diuka, że diuk otrzymał dwadzieścia tysięcy funtów, aby w razie potrzeby przysiąc, iż ten przedmiot należał do jego rodziny od pokoleń, i że tenże przedmiot zostanie przemycony do kraju rodzinnego jego nabywcy — czy nie pomyślałbyś, że ta opowieść zakrawa na bajkę daleko bardziej niż pierwsza wersja?

Oczy Dowlinga zabłysły.

— Powiedziałbym, że to dużo zabawniejsze niż wiercenia w zachodniej Kanadzie w poszukiwaniu ropy i gazu — i diablo niebezpieczne.

Max wzruszył ramionami.

— Życie jest pełne niebezpieczeństw. Spróbuj przejść cało i zdrowo Piątą Aleję w Nowym Jorku. Albo Via Véneto w Rzymie. Wspólnie zarechotali.

— W porządku — powiedział Dowling. — Jutro przekażę na twoje konto szwajcarskie dziesięć procent ceny zakupu w złocie. Gdy dostarczysz wagę do mojego domu w Toronto, otrzymasz resztę.

— Niezupełnie, Ronaldzie. Gdy waga dotrze do Kanady, w przybliżeniu w miesiąc po przekazaniu zaliczki, zostaniesz powiadomiony. Zechcesz ją uważnie obejrzeć. Kiedy będziesz zadowolony, wydasz polecenie, żeby wypłacono resztę. Wtedy obejmiesz wagę w posiadanie.

Dowling skinął głową.

— Mówiono mi, że jesteś człowiekiem ostrożnym. Podoba mi się to. Zadzwoń rano do mojego agenta.

Max dał znak kelnerowi.

— Jeszcze jedną butelkę — zażądał i rozparł się na siedzeniu, lustrując tłum. Nagle jego wzrok zatrzymał się na trzyosobowej grupie, którą właśnie prowadzono do stolika. Przyglądał się z namysłem jednej z tych osób.

— ...inne twoje zajęcia — kończył jakieś zdanie Dowling. — Handel ziemią, mówiłeś? I galerie sztuki? Z tyloma legalnymi... Max wstał.

— Przepraszam na chwilę, muszę z kimś pomówić. Manewrując zręcznie między stolikami i obitymi mosiądzem filarami dotarł do grupki nowych gości.

— Drogi Brooks, miło cię znowu zobaczyć po tylu latach. I ciebie, Sabrino. — Podniósł jej rękę do ust. — Słyszałem, że jesteś w Ameryce Południowej. Czyżby złośliwa plotka?

Stefania podniosła wzrok i ujrzała mężczyznę, którego potężna sylwetka zasłaniała widok na salę. Jego ciemne ubranie było znakomicie skrojone, a sposób bycia znamionowała pewność siebie granicząca z arogancją. Rude kędzierzawe włosy, przyprószone siwizną, tworzyły wokół jego głowy jakby aureolę, a płaskie oczy nie zdradzały myśli. Z ręką uwięzioną w mocnym uścisku Stefania poczuła jego siłę i zapłonęło w niej podniecenie. Opuściła oczy, żeby to ukryć, lecz po lekkiej zmianie na jego twarzy poznała, że dostrzegł ten ukryty płomień. Nie miała pojęcia, kim jest ten człowiek, i zerknęła na Brooksa, który właśnie przedstawiał go Gabrielle.

— Max Stuyvesant, Gaby. Max, to Gabrielle de Martel.

Max puścił rękę Stefanii i zręcznie pochwycił dłoń Gabrielle, lecz złożył na niej tylko zdawkowy pocałunek.

— Zdaje się, że przyjechała pani do Londynu mniej więcej w tym samym czasie, gdy ja wyjechałem do Nowego Jorku.

— Trzy lata temu — uściśliła Gabrielle, przyglądając mu się z nie ukrywaną ciekawością. — Dużo o panu słyszałam.

Uśmiechnął się uprzejmie i odwrócił do Stefanii.

— Więc twój wyjazd do Brazylii jest tylko złośliwą plotką?

— Złośliwą lub wyrażającą czyjeś pobożne życzenie — odparła. — Zależnie od tego, kto puścił ją w ruch.

Roześmiał się.

— Twój dowcip ani trochę nie stępsiał. Zatańczymy po kolacji?

— Nie tańczyłam... — powstrzymała się. Nie tańczyła od lat, ale co z Sabriną? — Przepraszam, ale nie sędzę.

— Byłby to dla mnie prawdziwy zaszczyt. O ile, oczywiście, przymkniesz oko na moje talenty tancerza.

Zadarłszy głowę dostrzegła mały uśmieszek na jego ustach i płaskie szare oczy, które bacznie ją obserwowały.

— W porządku. Z chęcią.

— W takim razie do zobaczenia później. Brooks, Gabrielle, życzę miłej kolacji. — Ukłonił się lekko i odszedł.

— Jakie to dziwne — powiedziała Gabrielle, gdy kelner nalewał wino. — Czasami słysząc tyle plotek o człowieku, ma się uczucie, jakby go się znało, a on okazuje się zupełnie inny. Znałeś go za czasów twojego małżeństwa z Dentonem, prawda, Sabrino?

— Tak — odpowiedziała Stefania ostrożnie. Czy Sabrina lubiła go? Kochała? Nigdy nie wymieniła jego nazwiska. — Jakie plotki słyszałaś?

— Żadnych takich, których byś i ty nie znała. Wygląda na bardziej cywilizowanego, niż go malują. Co nie przeszkadza, że Brooks go nie lubi.

Brooks spojrział na nią przeciągle.

— Nigdy nie przestajesz mnie zadziwiać, Gabrielle. Czyżbym zachował się niegrzecznie?

— Nie, byłeś nienaganny i niewzruszony, tak jak zawsze, gdy nie podoba ci się coś, co mówię lub robię, ale czekasz, aż znajdziemy się na osobności, żeby spuścić mi lanie.

— Czy cię kiedykolwiek uderzyłem?

— Tylko słowami.

Zapadła krótka cisza. Brooks przykrył dłonią rękę Gabrielle.

— Proszę o wybaczenie. Nigdy mi nie przyszło na myśl, że tak to może wyglądać. I przyrzekam nigdy nie podnieść ręki na Maxa Stuyvesanta, publicznie czy na osobności.

— Mam nadzieję — roześmiała się Gabrielle. — Mógłbyś przy tym sam oberwać.

— Czy istniała naprawdę jakaś Annabel? — spytała Stefania. Czuła się nieswojo w towarzystwie tej pary: dziecinnej Gabrielle, która sprawiała wrażenie bardziej dorosłej dawno temu w *Juliette*, i Brooksa, który przybierał krytyczny i z lekka rozbawiony ton nauczyciela, zdziwionego, gdy jego uczniowi wyrwie się inteligentna uwaga.

— Nigdy nie spotkałem Annabel — rzekł Brooks, gdy kelner podał zupę. — Lecz jeśli chcesz poznać historię klubu...

— Skąd on bierze pieniądze? — wtrąciła Gabrielle.

— Znow fascynujący Max Stuyvesant — westchnął Brooks. — Tego nikt naprawdę nie wie. Jest właścicielem licznych galerii sztuki w Europie i obu Amerykach i możliwe, że pełni rolę agenta, lecz to wszystko nie wyjaśnia pochodzenia jego majątku. Jest częstym gościem na aukcjach, a jego prywatną kolekcję uważa się za jedną z najpiękniejszych na świecie. Wszystko poza tym to plotka. Nie mówi o sobie. Przy tym nie było go przez trzy lata, co czyni plotki o nim niewątpliwie jeszcze mniej wiarygodnymi niż zazwyczaj.

Stefania popadła w zamyślenie, z którego wyrwało ją głośne pytanie Gabrielle:

— Zgoda, Sabrino? Brian może zająć się *Ambasadorem* przez jeszcze jeden dzień. Radził sobie z tym podczas twojego pobytu w Chinach. Wrócimy w niedzielę wieczorem. Sabrino. Słuchałaś, co mówiłam?

— Nie, przepraszam, zdaje się, że...

— Odpłynełam myślami gdzieś daleko. Więc słuchaj: czy pojedziesz z nami do Szwajcarii?

— Do Szwajcarii?

— Powtórzę jeszcze raz, skoro nic do ciebie nie dotarło. Jutro Brooks leci w interesach do Berna, a ja z nim na doczepkę. Będę się okropnie nudzić, gdy będzie załatwiał sprawy zawodowe, więc zapraszam cię: dołącz do nas. W samolocie jest mnóstwo miejsca, a Brooks zamówi ci pokój w hotelu. Wrócimy w niedzielę. No więc, tak?

— Tak — odparła Stefania bez wahania.

Gabrielle klasnęła w ręce z radości. Jeden kelner sprzątnął talerze, drugi nalał kawę, trzeci podzielił na części słodki suflet *Grand Marnier*, a oni gawędzili we trójkę jak starzy przyjaciele. Stefania uśmiechnęła się z zadowolenia na widok Maxa Stuyvesanta, który znow prze-



dostawał się do ich stolika, a jej uśmiech spotkał się z jego uśmiechem.

Parkiet taneczny był zatłoczony, więc poruszali się niemal w miejscu. Powolny rytm muzyki z miarowym biciem basu, przypominającym uderzenia serca, wsączał się w krew Stefanii, a ciało kołysało się z nim w zgodzie, prowadzone przez Maxa.

— Jak to się stało, że nigdy nie tańczyliśmy? — spytał.

— Jak to się stało, że nigdy nie rozmawialiśmy? — odparowała brawurowo. Czuła się młoda, nie skrepowana żadnymi więzami, a w jego uśmiechu czytała, że jest piękna i godna pożądania.

— Rozmawiali... — powtórzył. — Był czas, gdy odnosiłem wrażenie, że poufne pogawędki ze mną budzą w tobie żywiołowy wstręt.

— To wyjaśnia, dlaczego nigdy nie tańczyliśmy.

— Co wyjaśnia? Moje wrażenie czy twój wstręt?

— I jedno, i drugie.

— Bardzo szybka riposta, Sabrino. Czy zjesz ze mną jutro kolację?

— Nie.

— Cóż za szorstka odprawa. I to bez żadnej wymówki.

— Przykro mi, ale wyjeżdżam i wracam dopiero w niedzielę.

— W takim razie umówmy się na niedzielę.

— Wracam późnym wieczorem.

— Mam wolny czas w poniedziałek.

— W poniedziałek muszę... znowu wyjechać na cały dzień. Taniec dobiegł końca. Max wciąż trzymał ją w objęciach.

— Znajdziemy jakiś wieczór. Czy mogę zadzwonić do ciebie w przyszłym tygodniu?

Stefania skinęła przyzwalająco głową, gdy wracali do stolika. Była wstrząśnięta własnymi myślami. Pragnęła go, tego całkiem obcego człowieka, tajemniczego, aroganckiego, o zimnych oczach i sposobie bycia nacechowanym absolutną pewnością siebie. Jakże się różnił od Gartha, którego zadowalało własne miejsce na ziemi i który nie wymagał dla siebie niczego więcej. Jak mogła pożądać tego obcego? Od lat nie pragnęła nikogo oprócz Gartha, a nawet i on nie przyprawiał jej o takie wewnętrzne rozdygotanie. W duchu odetchnęła z ulgą, że przez następne trzy dni będzie daleko stąd.

Co znaczyło, że nigdy więcej nie ujrzy Maxa Stuyvesanta.

Dotarli do stolika. Gaby i Brooks tańczyli. Stefania wahała się przez chwilę, ale utwierdziła się w decyzji. No więc dobrze, nigdy go już nie zobaczy. To najlepszy sposób, żeby zapanować nad szarpiącymi nią uczuciami.

— Do widzenia — powiedziała głosem, z którego nie udało jej się usunąć nuty żalu.

Pocałował ją w rękę.

— Do przyszłego tygodnia.

Stefania patrzyła, jak wraca do stolika, przy którym czekał jego przyjaciel. Podniosła kieliszek, a najbliższy z kelnerów rzucił się, aby go napełnić. Tak będzie najlepiej, powtórzyła sobie w duchu. Spróbowała płynu koloru bladego złota. Jutro wyjeżdżają do Berna.

Umebłowanie odrzutowca „Lear” składało się z wbudowanej w ściankę skórzanej półkolistej kanapy, dwóch foteli i długiego tekowego stołu pełniącego zarazem funkcję biurka, przy którym jadło się zamawiane przez Brooksa na drogę pakowane lunchy firmy *Fortnum and Mason*. W ciągu półtoragodzinnego lotu do Berna Gabrielle i Stefania raczyły się francuskimi serami, chlebem i owocami, podczas gdy Brooks czytał raporty swoich szwajcarskich menedżerów.

— Wprowadzają na rynek nową serię kosmetyków — wyjaśniła Gabrielle. — A może starą z nowymi nazwami. Brooks nie chce o tym rozmawiać. Nie uwierzyłabyś, co oni wyrabiają ze szminkami, kremami i całą resztą — wymyślają hasła, szyfry, zaszyfrowane receptury, wszędzie węszą szpiegów z innych firm. To naprawdę wielki biznes. Stefania wyjrzała przez okno na małe, schludne poletka w dole, tak bardzo odmienne od pełnych rozmachu krajobrazów Ameryki. Oto Stefania Andersen, która robi mały wypad do Szwajcarii prywatnym samolotem przyjaciela, podczas gdy jej gospodyni troskliwie dogląda jej czteropiętrowej miejskiej rezydencji i obmyśla smakowitą przekąskę na powrót milady.

— Ładne — powiedziała.

— Co, widok? Ja wolę Alpy. Wiesz, co mi przyszło do głowy? Mogłybyśmy odwiedzić *Juliette*. Nie byłam tam od czasu, gdy zrobiliśmy dyplom, a pociągiem to mniej niż godzina drogi. Co o tym myślisz?

— Bardzo chętnie się wybiorę.

Lecz gdy się tam znalazły i stanęły w parku, patrząc na balkony i dach z czerwonej dachówki szkolnego gmachu, doznały rozczarowania. Na pozór nic się nie zmieniło, lecz jak stwierdziły jednogłośnie, wszystko tak dziwnie zmalowało! Ogromny pałac przeistoczył się w duży budynek o wdzięcznej linii i nie wydawał się już tak\* wielki i imponujący jak za ich studenckich czasów.

— I zobacz, jak młodo wyglądają te dziewczyny. Jakie są bezpo-

średnie! — zachwyciła się Gabrielle. — My miałyśmy bez porównania więcej towarzyskiego poloru.

— Może tylko nam się tak teraz wydaje — uśmiechnęła się

Stefania.

— Oczywiście, że nie.

— Sama nie wiem. Gnieździłyśmy się wtedy na trzecim piętrze i marzyłyśmy o dorosłym życiu...

— Na drugim.

— Co?

— Mieszkałyśmy na drugim piętrze. Twoja siostra mieszkała na trzecim, pamiętasz, z tą dziewczyną, jak ona się nazywała? Ta z Nowego Jorku.

— Dena Cardozo. Masz rację.

Zwiedziły wnętrze szkoły. „Z każdą chwilą czuję się starzej”, mruknęła pod nosem Stefania. Profesor Bossard nie żył, a jego miejsce zajął okrągłutki, białobrody facecik podobny do świętego Mikołaja. Znalazły go w sali gimnastycznej zatopionego w dyskusji na temat turnieju szermierczego z instruktorem fechtunku.

Stefania przeszła na środek sali, czując w dłoni ciężar wyimaginowanej szpady. Przypomniała sobie przegrany mecz i kłótnię z Sabriną.

— Gaby — powiedziała gwałtownie. — Umieram z głodu! Chodźmy do miasta coś zjeść.

Zeszły ze wzgórza drogą między winnicami.

— Dobrze się tu bawiłam — stwierdziła Gabrielle — ale zawsze rozczarowywałam ludzi, którzy oczekiwali po mnie zbyt wiele. Ty wiedziałaś, że chcesz mieć pracę związaną ze sztuką i antykami, lecz ja pragnęłam jedynie znaleźć kogoś, kto by się mną zaopiekował, stanął murem pomiędzy mną a resztą świata i otoczył mnie czułą troską. Wiesz, co mam na myśli?

Stefania skinęła głową ze wzrokiem utkwionym w pomarszczoną błękitną toń Jeziora Genewskiego i postrzępiony łańcuch Alp na drugim brzegu. Czy nie tego właśnie chciała od Gartha?

— A teraz masz Brooksa — powiedziała.

— Teraz mam Brooksa. Tak długo, dopóki będę się trzymać tej linii postępowania, która go zadowala.

Znalazły w miasteczku małą kawiarenkę, która była ich ulubionym miejscem za studenckich czasów. Usiadły na tarasie w blasku słońca i zamówiły lunch.

— Jakiej linii postępowania? — spytała Stefania.

— Sama mnie ostrzegałaś. Zapadła cisza.

— I co, miałam rację?

— Zawsze miałaś rację we wszystkim, co dotyczy Brooksa. On rzeczywiście chce kobiety-dziecka, którą mógłby urabiać po swojemu, z której mógłby być dumny i która by go adorowała. I żeby była jednocześnie profesjonalistką w łóżku i prowadziła dowcipną konwersację przy obiedzie.

— Czy ja naprawdę tak mówiłam? — zapytała zaskoczona Stefania.

— Dokładnie nie. Lecz coś w tym rodzaju. Wtedy ci nie wierzyłam, ale za to teraz przekonałam się, że miałaś rację. Więc gram. W jednej chwili jestem małą dziewczynką, a w następnej wydrą z półświatka, która miała stu kochanków, po czym przeistaczam się w bystrą damę, umiejacą dostrzec na przykład, że on nie lubi Maxa Stuyvesanta, mimo że usiłuje to ukryć.

— Niełatwe masz życie.

— Owszem. Sama już nie wiem, kogo oszukuję — jego czy siebie. Ale, Sabrino, co mi innego pozostało? Kocham go tak bardzo! Chciałabym tylko zatopić się w nim i żyć tak do śmierci. I zrobię wszystko, co będę musiała, żeby go nie stracić.

Stefania obwodziła palcem czerwoną kratkę na obrusie i myślała o Garcie, ich życiu w Nowym Jorku przed ślubem i pierwszych latach, gdy wszystko było nowe i cudowne. On kochał ją taką, jaką była, nie wymagał pozy.

Muszą znowu odnaleźć tę miłość! Niemożliwe, żeby wypaliła się doszczętnie. Gdyby wróciła do domu i powiedziała mu, że chce zacząć wszystko od początku... Cóż, kiedy nie mogła. Nie teraz, nie dziś. Nie mogła wmaszerować do swojego domu z okrzykiem „Cześć i czołem! Wróciłam!” i stanąć twarzą w twarz z Sabriną, gotującą obiad. Ale to tylko jeszcze trzy dni, pomyślała. Potem wrócę do Gartha i mojej rodziny. Nawet niecałe trzy dni. Właściwie tylko ten weekend. Potem wrócę do domu.

I cóż tam na mnie czeka?

Wstrętny list anonimowy o moim mężu, kłopoty finansowe, lekcje malarstwa dla Penny, kradzieże Cliffa i ponowna próba uruchomienia własnego biura.

Wszystko to czeka na mnie. Nie ma jednak sensu teraz o tym myśleć, skoro i tak nic nie mogę zrobić. Zepsuję sobie tylko resztę tygodnia. Będę miała mnóstwo czasu, żeby o tym pomyśleć, gdy wrócę do domu. Mnóstwo czasu, żeby się wszystkim zająć.

W powrotnej drodze do Berna Gabrielle paplała nieustannie, bezwiednie udzielając przy tym Stefanii nowych informacji o Sabrinie

i szczegółach jej trybu życia. Wielka szkoda, że muszę wyjechać, pomyślała ironicznie Stefania. Z takim zapasem wiadomości mogłabym odgrywać Sabrinę całymi tygodniami.

Pomimo to była zdenerwowana, gdy Brooks zaprowadził je po obiedzie do *Kursaal*. Nigdy w życiu nie grała w gry hazardowe i nie chciała brać pierwszej lekcji kosztem Sabriny. Lecz Brooks i Gabrielle uważali za całkiem naturalne, że to on kupi żetony dla całej trójki. Zatem jedyne zmartwienie, jakie mi pozostało, pomyślała Stefania, to udawać, że wiem, jak się gra w *boule*.

Gra była jednak tak łatwa — uproszczona wersja ruletki — że po kilku minutach zaczęła ostrożnie stawiać. Gabrielle nachyliła się do niej.

— Brooks myśli, że grasz ostrożnie, bo nie płaciłaś za żetony. Jeśli nie zaczniesz szastać nimi na lewo i prawo, poczuje się obrażony. I bardzo trudny w pożyciu.

— Nie o to chodzi — wytłumaczyła Stefania. — Po prostu zdaje mi się, że to nie ma sensu...

— Oczywiście, masz rację — wtrącił Brooks — to miejsce me może równać się z Monte Carlo, ale to najlepsze, co Berno ma do zaoferowania. Pogramy jakąś godzinę, a potem Gaby chce iść potańczyć. Stawiaj tyle, żeby gra była interesująca. Wszystkie zyski idą na nowe muzeum, na które pomagasz zbierać fundusze.

Zyski, pomyślała Stefania, w sytuacji gdy ja jeszcze nigdy w życiu nie grałam. . .

Zacząła jednak wygrywać, wciąż myśląc, jakie to głupie stawiać pieniądze na małą skoczną kulkę, która mogła się zatrzymać w każdej z dziewięciu małych przegródek. Otoczona poważnymi graczami, postawiła dla kaprysu na pierwszą cyfrę numeru telefonu w Evanston i wygrała. Postawiła na pierwszą cyfrę swojego adresu, pierwsze cyfry dat urodzin Penny i Cliffa i wygrała kolejne trzy razy.

Oczy Gabrielle zaiskrzyły się.

— Jaki masz system?

— Daty urodzin, adresy, numery telefonów.

— Czyje?

— Zdaje się, że to nie ma znaczenia.

— Sabrino, to nie system, lecz gusła i czary.

— Masz pewnie rację. Zanim się obejrzą, zamienię się w kogoś innego.

Postawiła na pierwszą cyfrę swego londyńskiego adresu. I przegrała. To było tak nieoczekiwane, że znieruchomiała i patrzyła z niedowierzaniem na małą białą kulkę, która ją zdradziła. Postawiła umiarkowaną liczbę żetonów na pierwszą cyfrę londyńskiego numeru telefonu — i znowu przegrała.

— Tak to jest z systemami — oświadczył Brooks. — I z czarami. Gabrielle, która grając według systemu Stefanii, wygrała raz,

a przegrała dwa razy, wstała i zsyłała pozostałe żetony na dłoń Stefanii.

— To idzie na muzeum, Sabrino, a ja na tańce.

Gdy wymienili żetony na gotówkę, okazało się, że Stefania wygrała ponad tysiąc dolarów.

— System dobrze się przysłużył muzeum — powiedziała niedbale i ruszyła za Brooksem i Gabrielle do stolika niedaleko orkiestry.

Sens własnych słów dotarł do niej w całej rozciągłości dopiero gdy tańczyła z Brooksem. Ach, drobiazg, system przysłużył się muzeum? Tydzień temu tysiąc dolarów wydałby jej się cudowną manną z nieba: zakupy, opłacenie rachunków, wysłanie Penny na lekcje malarstwa, może kupno nowej sukienki... Powoli staje się Sabriną, stwierdziła w duchu. Zaczynam myśleć jak wszyscy w tym świecie z bajki.

— Sabrino — odezwała się Gabrielle w drodze powrotnej do hotelu. — Było tak cudownie, że aż nie chce mi się wracać.

— Mnie również.

Lecz jutro była niedziela. Ostatni dzień.

— Pojedźmy do mnie — zaproponowała. — Zadzwoń do pani Thirkell i uprzedzę ją, żeby nas oczekiwała. Przez cały tydzień karmiła tylko mnie, a najszcześliwsza jest wtedy, gdy może się popisać przed wybitnymi gośćmi.

Czy naprawdę знаła tę cechę pani Thirkell? Oczywiście, ponieważ znała ją Sabrino. A gdy przylecieli w niedzielę wieczorem i Stefania zaprowadziła Gabrielle i Brooksa na górę do salonu, uśmiech pani Thirkell był tak pełen zachwytu, a zimny bufet, który przygotowała na kolację, tak obfity i wyszukany, że dla Stefanii stało się jasne, iż nie mogła wymyślić lepszego zakończenia tygodnia niż podejmując gości w swoim domu na Cadogan Square, zanim na dobre go opuści.

### Rozdział trzeci

Od chwili gdy Garth przywiózł ją ze szpitala do domu, Sabriną nie była ani przez chwilę sama. Myślała tylko o jednym: zadzwonić do Stefanii — lecz Garth wciąż krzątał się wokół niej, a Penny i Cliff tańczyli w pobliżu, usiłując się na coś przydać i podziwiając gips, który sięgał od dłoni prawie do łokcia. Przynieśli jej herbatę, lody i gorące angielskie bułeczki, lecz szczytem jej marzeń było pięciominutowe sam na sam z telefonem. Leżała na kanapie z uczuciem osaczenia, w głowie jej huczało, a rodzina skakała wokół niej.

O ósmej oczy same jej się zamykały. Próbowwała opanować senność, lecz połączony efekt bólu głowy i lekarstwa sprawił, że otulił ją jakby gruby, tłumiący dźwięki koc, obraz przed oczami rozpląnął się i zapadła w sen.

— Położymy cię do łóżka — powiedział Garth. Poderwała się, rozbudzona.

— Nie, dam sobie radę...

— Jutro dasz sobie radę.

Podniósł ją, zaniósł na górę do sypialni i posadził na łóżku.

— Pozostaw wszystko mnie.

Rozpiął jej bluzkę, zsunął prawy rękaw, a potem przełożył lewy przez gips. Sabriną zamknęła oczy na wpół śpiąc. ***Nie mogłabym go powstrzymać, nawet gdybym wiedziała jak. Zresztą to i tak nie ma znaczenia.***

Podtrzymując ją jednym ramieniem, Garth ściągnął jej niebieskie dzinsy i majtki, a potem rozpiął biustonosz. Złapał gwałtownie oddech na widok sińców pokrywających lewą stronę jej ciała.

— Moje biedactwo, musisz się czuć, jakby ta furgonetka przejechała cię w poprzek.

Otworzyła oczy, lecz on był już przy szafce i wyjmował czystą koszulę nocną.

— Podniosę teraz chorą rękę. Powiedz, gdy będzie bolało. — Wsunął jej koszulę przez głowę. Z potulnością dziecka włożyła drugą rękę w nadstawiony rękaw. — Teraz wstań na chwilę. — Odwinął koc i prześcieradło, pomógł jej się położyć i przykrył ją. Przez chwilę stał patrząc na nią w milczeniu. — Gdybyś czuła ból lub czegoś potrzebowała w nocy, będę tutaj. Szturchnij mnie, to się obudzę.

Łzy nieoczekiwanie wypełniły jej oczy. ***Jesteś taki dobry. I chcę, żebyś był przy mnie. Wszystko mnie boli, i chciałabym, żebyś mnie przytulił i pocieszył. Ale jesteś mężem Stefanii. Nie mogę ci nawet powiedzieć, jak się cieszę, że jesteś blisko.***

— Dobranoc — powiedziała tylko i po chwili już spała.

Gdy obudziła się w niedzielę rano, Garth był już na nogach. Nie słyszała, jak kładł się do łóżka, i nie czuła jego obecności przy swoim boku, ale gdy otworzyła oczy, stał w pogotowiu, żeby pomóc jej się ubrać, i trzymał się wraz z dziećmi w jej pobliżu przez resztę dnia. Sabrinie przypomniawszy się, jak na ironię, że mówiła Stefanii o swoim wielkim pragnieniu zaznania życia w rodzinie. Cóż, miała to, czego chciała. Wiele by jednak dała w tej chwili za kilka cennych minut samotności w londyńskim mieszkaniu.

Po południu Garth pomógł jej wejść na górę, żeby ucieła sobie drzemkę. Gdy tylko zniknął za drzwiami, sięgnęła po telefon, który zadzwonił pod jej ręką. Ktoś na dole podniósł słuchawkę. Zasnęła, zanim mogła spróbować powtórnie.

— Dzwoniła Dolores — oznajmił Garth, pojawiając się w drzwiach, gdy się zbudziła. — Ma przynieść obiad około szóstej. Linda zgłosiła się na ochotnika na poniedziałek. Gdybym obszedł miasto z notesem, mógłbym zamówić tyle darmowych posiłków, że wystarczyłoby do końca roku. — Przerwał, ale ona tylko się uśmiechnęła. — Chcesz się zobaczyć z Dolores, gdy przyjdzie?

— Nie dziś. Może jutro. — Na myśl o jutrze ogarniała ją beznadziejność. Poniedziałek. Dzień, w którym miała spotkać Stefanię na lotnisku i wrócić do Londynu, do własnego życia. Nasza przygoda dobiega kresu, pomyślała. Tylko jak, u licha, ją skończyć?

Przy obiedzie milczała, patrząc, jak Garth podaje potrawkę i ciasto z dyni przygotowane przez Dolores, i słuchając jego rozmowy z dziećmi. Zachowanie żony zbijało go z tropu. Nigdy nie poddawała się łatwo cierpieniu lub chorobie. Tym razem zdradzała oznaki nie tylko bólu, lecz strachu graniczącego chwilami z paniką. Czego się bała? Gdy pytał ją o cokolwiek, zamykała się w sobie i odpowiadała potrząsaniem



głowy, więc dał spokój. Był bezradny i ogarniał go gniew. Dlaczego nie uczyniła nic, aby poczuł się jej mężem, a nie kimś, kogo ona się obawia i kto budzi w niej nieufność?

Po obiedzie odrzuciła propozycję kąpieli i jego pomoc przy wchodzeniu na schody.

— Sama sobie poradzę. Dziękuję.

Przestała się przejmować tym, jak Garth przyjmie jej zachowanie: i tak wkrótce dowie się prawdy. Ważniejsza była w tej chwili Stefania. Za parę godzin będzie wybierać się na lotnisko. ***Muszę ją ostrzec, dać jej czas na przemyślenie, jak sobie poradzić z bałaganem, którego narobiłam.***

Leżała w łóżku, a w głowie wirowało jej od bezładnych myśli. Zapadła w drzemkę, która przeszła w głęboki sen. Obudziła się, gdy Garth położył się do łóżka, a potem siłą przewyciężywszy senność, obserwowała zegar. Pierwsza w nocy, wpół do drugiej, druga. Ośma rano w Londynie. Oddech Gartha był głęboki i regularny. Wymknęła się z łóżka, ukradkiem zeszła po schodach i wśliznęła się do pokoju śniadaniowego. Tam namacała w ciemnościach telefon i podała cichym głosem telefonistce w centrali swój własny numer. Nareszcie.

Słuchając sygnału w słuchawce wyobrażała sobie panią Thirkell, jak odbiera telefon, a także własną sypialnię. Po chwili usłyszała głos Stefanii:

— Sabriną! Właśnie szykowałam się do wyjścia. Czy cos się stało? Sabriną opowiedziała jej szybko o wypadku.

— Bardzo się poraniłaś?

— To nic poważnego. Wyglądam okropnie, cała w siniakach i zadrapaniach, i męczy mnie okropny ból głowy, skutek lekkiego wstrząsu mózgu, jak twierdzi Nat. Lecz prawdziwy kłopot to moja ręka. U... uszkodziłam sobie kość. Założyli mi gips.

Stefania nie odezwała się. Sabriną przymknęła oczy; huczało jej w głowie.

— Musiałam cię ostrzec, żebyś mogła przemyśleć to podczas lotu.

— Przemyśleć to? — odparła Stefania słabiutkim głosem.

— Jak powiedzieć o wszystkim Garthowi. Stefanio, przepraszam, to wszystko moja wina. Początkowo sama chciałam mu powiedzieć i utorować ci drogę przed powrotem, ale tylko pogorszyłabym sprawę.

Nie było odpowiedzi.

— Stefanio, czy nie rozumiesz? Jeśli powiesz mu o tym od razu, jeśli we dwoje o tym porozmawiacie, tak żeby on nie gryzł się tym w samotności, możecie wszystko naprawić.

Między nimi rozpostarła się cisza wypełniona trzaskami na linii.

Stefania słuchała tych odgłosów w pawioblękitnej i kremowej sypialni, skulona na fotelu z podnóżkiem, przyciskając jedną rękę do żołądka.

— Sabrino, mieszkasz z nim od tygodnia pod jednym dachem; czy naprawdę uważasz, że przejdzie nad tym do porządku dziennego, jakby nic się nie stało?

— Nie, wszystko się zmieni, ale niekoniecznie na gorsze. Jeśli kochacie się naprawdę...

— Miłość nie ma z tym nic wspólnego. On powie, że zrobiliśmy z niego durnia...

— No i tak było, prawda? Nie jest głupcem, ale przez nas wyszedł na głupca.

— Ty robiłaś z niego balona. I jak ja mam teraz to naprawić? To nie to samo, co kłótnia...

— Nie. — W kłótni, pomyślała Sabriną, ludzie są sobie równi. W oszustwie jedna osoba wie wszystko, a druga nic. Gdy Garth odkryje, że jego starania, by poprawić ich współżycie małżeńskie, były skierowane do obcej osoby, że jego żona i szwagierka zrobiły mu dowcip na miarę kosmiczną... Skuliła się na krześle. — Myślałam, że zrobię ci prezent: tydzień dla samej siebie. A przyniosłam tylko destrukcję.

— To moja wina. On jest moim mężem. Nie dopuszczałam do świadomości tego, co może się stać, gdy odkryje prawdę. — Stefania zamknęła oczy. Nigdy nie zrozumie, dlaczego to zrobiłam, pomyślała, nigdy mi nie przebaczy. To dla nas koniec wszystkiego. — Nie mogę mu powiedzieć — oznajmiła.

— Ale jeśli ja to zrobię...

— Nie, będzie jeszcze gorzej. Boże, nie wiem, co robić. Gdybyśmy tylko mogły... Sabrino! A gdyby tak udać, że nic się nie stało?

— Udać, że...?

— Powiemy Natowi, co zrobiliśmy. On założy mi gips i będzie udawał, że mnie pielęgnuje. W ten sposób nikt nie zauważy różnicy.

— Myślałam o tym. Ale gdybyś mogła mnie zobaczyć... Stefanio, jeden bok mam cały sinoczarny i rozcięte czoło...

— Och! — Stefania nagle poczuła wielką senność. Zapragnęła zwinąć się w kłębek i o wszystkim zapomnieć. — Poczekaj chwilę — powiedziała do Sabriny i odłożywszy telefon na podolek, tarła oczy pięściami jak dziecko, które siłą próbuje powstrzymać się od płaczu. Przepraszałam, Garth, westchnęła w duchu. Nie wiedziałam, co robię. Tak się boję. Nie wiem, co się teraz stanie. Spojrzała na telefon łączący ją z Sabriną, a poprzez nią z Garthem. Nie pozostawało nic innego, jak stawić czoło sytuacji. Podniosła słuchawkę. — Będziesz na lotnisku?

Sabriną zawahała się.

— Tak. Oczywiście.

— O co chodzi? Nie możesz prowadzić?

— Nat twierdził, że nie powinnam, ale mniejsza o...

— Nie, to nic nie szkodzi. Mogę chyba przyjechać do domu. Ale co z Penny i Cliffem?

— Cliff ma trening piłki nożnej, a Penny może iść do Barbary Goodman. Zajmę się tym.

— Do zobaczenia za parę godzin. — I Stefania przerwała połączenie.

Sabriną ukryła twarz w dłoniach. W ciszy mijały minuty. **Garth, twój los nie jest mi obojętny. Przebac mi to, co zrobiłam. Stefania, Kocham cię. Chciałam ci dać...**

Telefon zaczął dzwonić. Podniosła czym prędzej słuchawkę.

— Stefania?

— Sabrino, nie mogę tego zrobić. Nie mogę! Proszę cię, pomóż mi. Nie mogę powiedzieć mu tego wszystkiego prosto w oczy. Nie mogę!

— Dobrze. — Sabriną głęboko wciągnęła powietrze. — Sama z nim porozmawiam rano, gdy tylko Penny i Cliff...

— Nie!

— W takim razie czego ode mnie chcesz?

— Zostań tam. Czy mogłabyś to zrobić? Czy to nie będzie dla ciebie zbyt okropne zostać, dopóki nie zdejmą ci gipsu? Czy to długo potrwa? Parę tygodni? Jak długo masz go nosić?

— Nat powiedział, że miesiąc — Sabriną wyprostowała się, a jej myśli ruszyły w oszalały taniec. **Zostać tutaj. Jakże to? Mam Ambasadora, dom, przyjaciół, przyszłość, o którą muszę się troszczyć. To nie moje życie.**

— A za miesiąc? — spytała Stefania nieco silniejszym głosem.

— Drugie prześwietlenie. Jeśli wykaże, że kość się zrosła, Nat zdejmie gips.

— No cóż, mogłabym wrócić dopiero wtedy. Nikt by się o niczym nie dowiedział. Sabrino... — Głos Stefanii brzmiał już całkiem rażno, błagalny, lecz zarazem podniecony. — Tutaj wszystko w porządku, mogę nawet zastępować cię w **Ambasadorze**. Sprzedałam francuską torebkę z paciorków — opowiem ci o tym później. A ty dasz sobie radę, wiem, że tak. Po prostu jeszcze przez jakiś czas będziemy robiły to samo, co dotychczas. Czy to nie brzmi sensownie? Sabrino? Tylko cztery tygodnie! Wtedy nikomu nie stanie się krzywda.

— Poczekaj — poprosiła Sabriną. Tępy ból za oczami niemal ją

oślepiał. Spróbowała myśleć. Chyba dałaby radę. Tydzień minął tak szybko, że i miesiąc nie wydał jej się za długi, a chciała tu jeszcze niejedno zrobić. W gruncie rzeczy podobało jej się to życie. Decyzja należała do Stefanii. Było jedno „ale”.

— Stefanio, nie wiem, czy poradzę sobie przez cały miesiąc... z Garthem.

Stefania wzięła głęboki oddech. W sypialni ściemniło się, za wysokimi oknami przepływały chmury, przez które gdzieś gdzieś przeświecało blade słońce.

— Bywało już, że nie kochał się ze mną dłużej niż miesiąc.

— Stefanio, sama policz. Dwa tygodnie w Chinach, kolejny tydzień właśnie minął, dodaj jeszcze cztery, to już siedem. Czy naprawdę sądzisz...?

— Dasz sobie radę, jestem tego pewna. Od tego zależy tak wiele — przyszłość mojego małżeństwa.

— A co później?

— To znaczy?

— Jeśli Garth później dojdzie prawdy, co mu powiesz? Im dłużej to potrwa, tym trudniej będzie znaleźć coś na swoją obronę. Stefanio, mogłabyś wytłumaczyć jakoś tygodniową nieobecność, ale czy wasz związek będzie miał przyszłość, jeśli Garth dowie się, że oszukiwałyśmy go przez przeszło miesiąc?

Chmury pędziły za oknem, bawiąc się w chowanego ze słońcem.

— Nie będzie miał żadnej przyszłości. Lecz nie sądzę, aby miał ją obecnie, jeśli wrócę do domu dziś po południu i powiem mu całą prawdę. Więc co za różnica? Sabrino, b ł a g a m cię...

Jakiś węzeł rozsypał się we wnętrzu Sabriny i opanowała ją jedna myśl: **Będę mogła z nimi zostać jeszcze trochę.**

— Zgoda. Ale mamy do omówienia wiele spraw, związanych z **Ambasadorem**, Antoniem i tak dalej. Zadzwońisz do mnie później, gdy będę sama?

— Oczywiście, kiedy tylko chcesz. Sabrino, sama nie wiem, jak ci dziękować. Wiem, że nie odpowiada ci takie życie, jest nudne i...

— Stefanio? Głos Gartha.

Sabrina osłoniła ręką mikrofon i powiedziała:

— Muszę iść. Garth się obudził. Zadzwoń później, około dziesiątej tutejszego czasu.

— Dobrze, zadzwonię. Sabrino, dzie...

Odłożyła słuchawkę. Gdy Garth wszedł do kuchni, stała przy lodówce.

— Czy coś nie w porządku? — spytał.

— Nagle ogarnął mnie wilczy głód. To pewnie świadczy o powrocie do zdrowia.

— Szkoda, że mnie nie obudziłaś.

Uśmiechnęła się, żeby rozproszyć niepokój w jego oczach.

— Chciałam, żebyś się wyspał. Ale skoro już tu jesteś, może skończymy ciasto z dyni od Dolores?

— Rzykując, że ściągniemy sobie na głowy gniew Cliffa — odparł ze śmiechem.

Usiedli razem w pokoju śniadaniowym koloru miodu i jedli z jednego talerza, otuleni ciszą i ciemnością.

## Rozdział czwarty

W poniedziałek rano Garth patrzył na swoich studentów z grupy, ale zamiast nich widział twarz śpiącej Stefanii. Jej alabastrowa cera lekko zaróżowiła się od snu, kasztanowe włosy leżały potargane na poduszce, powieki lekko trzepotały, jakby o czymś śniła.

Jeden ze studentów zadał mu trudne pytanie i otrzymał na nie zwięzłą odpowiedź. Mądrała, chce zaskoczyć profesora, a na ten temat można by napisać całą książkę. Profesora guzik to obchodzi, a poza tym jest niewyspany, bo o trzeciej rano jadł ciasto z dyni ze swoją żoną.

Wcześniej skończył zajęcia.

Zadzwoń do niej, sprawdzi, jak się czuje, a później upora się z papierkową robotą, żeby jeszcze przed następnymi zajęciami móc wpaść do laboratorium. Pobiegł do gabinetu, przeskakując na schodach po dwa stopnie. Na drzwiach zauważył nowy napis, wygrawerowany złotymi literami: **dr Garth Andersen, Dyrektor Instytutu Biologii Molekularnej**. Otworzył już drzwi, by polecić sekretarce go zdjąć, lecz rozmyślił się. Zrobiła to dla niego. Od roku wzbraniał się przed autoreklamą, a ona argumentowała, że studenci i interesanci powinni wiedzieć, iż mają przed sobą samego dyrektora instytutu. Wyglądało na to, że postanowiła na własną rękę położyć kres tej dyskusji i zamówiła tabliczkę. Wzruszył ramionami. Być może tytuł dodawał mu znaczenia w opinii jej i otoczenia; dla niego oznaczał tylko więcej pracy administracyjnej i mniej czasu na laboratorium.

Nakręcił swój numer domowy, lecz linia była zajęta. Przy telefonie leżała notatka „Zadzwoń do Teda Morrowa”. Do licha, zapomniał. Naprawi ten błąd od razu. Powiadomił Teda o wypadku i o tym, że Stefania przez tydzień nie będzie mogła pracować.

— Poza tym przez jakiś miesiąc nie będzie mogła pisać na maszynie,

więc mówi, że w pełni was zrozumie, jeśli weźmiecie na jej miejsce kogoś innego.

— Nie ma strachu, Garth, zaczekamy na nią.

Garth powtórnie nakręcił domowy numer, lecz telefon wciąż był zajęty. Przewertował pocztę. Zawiadomienie z biblioteki o przetrzymanych książkach, dwa listy od biologów z Amsterdamu i Sztokholmu, reklama sprzętu laboratoryjnego, wiadomość o spotkaniu z zastępcą rektora w sprawie Vivian Goodman. Jeśli dalej będą się posuwać w tak ślimaczym tempie, Vivian dostanie dożywotni kontrakt na swoje dziewięćdziesiąte urodziny. Na samym spodzie był bilet lotniczy do San Francisco z programem konferencji genetycznej w Berkeley, która miała się zacząć szóstego października i potrwać tydzień. Jeszcze jedna rzecz, o której zapomniał.

Znowu zadzwonił do Stefanii. Zajęte. Pewnie wszyscy sprawdzają, jak się czuje. Przejrzał program konferencji. Wyjazd do Kalifornii to żaden problem. Za dwa tygodnie Stefania z łatwością da sobie radę bez niego. Nie powinien jednak zniknąć na tydzień w tej niepewnej sytuacji. Podniósł słuchawkę i spróbował znowu. Wciąż zajęte. Przyszło mu do głowy, że może coś się stało. Spojrzał na zegarek. Miał mnóstwo czasu na jazdę do domu i powrót na zajęcia o wpół do drugiej.

Znalazł Stefanię w pokoju śniadaniowym, rozmawiającą przez telefon.

— Zadzwoń, gdybym czegoś potrzebowała — mówiła właśnie. — Ty też dzwoń, kiedy tylko zechcesz. Myślę, że udało nam się ustalić wszystkie istotne sprawy...

Nagle znieruchomiała. Garthowi przywiodło to na myśl wiewiórki w ogrodzie, które zastygały czujnie, gotowe do ucieczki, gdy tylko wyczuły koło siebie jakieś poruszenie. Podszedł i położył jej rękę na ramieniu, czując, jak napina mięśnie pod jego dotykiem.

— Poczekam, aż skończysz — powiedział spokojnie. — Denerwowałem się, nie mogąc się dodzwonić.

— ...a jeśli pojawi się coś nowego, porozmawiamy — dokończyła zdania, jakby nic nie przerwało jej słów. — Dbaj o siebie i nie martw się o mnie. Dam sobie radę. — Odłożyła słuchawkę i odwróciła się wolno. Jej oczy były w cieniu. — Przepraszam. Nie przypuszczałam, że będziesz próbował dzwonić.

— Nie przyszło ci do głowy, że mogę się o ciebie niepokoić? — Zamilkł na chwilę. — Mniejsza o to. Z kim rozmawiałaś?

— Z siostrą.

— Całe rano? Czy zaprosiła cię do Londynu na rekonwalescencję?

— Nie, jest...

— W takim razie bez wątpienia przysłała ci swoją służącą do pomocy.

- Nie ona, Dolores.
- Co?
- Dolores pożyczła mi na parę dni Juanitę. Wszystkie koszty opłacone. Dlaczego jesteś zły na Sabrinę?
- Nie jestem zły. Nie powinienem robić żadnych uwag. To normalne, że chciałaś z nią porozmawiać po wypadku. Czy to ci dobrze zrobiło? Czujesz się lepiej?
- Owszem. Urwałeś się na wagary?
- Szanowani profesorzy nigdy nie chodzą na wagary. Wzywają ich ważne sprawy — takie jak partia golfa, wizyta u dentysty lub schadzka. Albo żona, która może ich potrzebować. Czy Dolores naprawdę przysłała ci swoją sprzątaczkę? Żałuję, że sam o tym nie pomyślałem.
- Nie masz sprzątaczkę, którą mógłbyś przysłać.
- Mógłbym porwać Juanitę i przynieść ci ją obwiązaną czerwoną wstążeczką. Kiedy ma przyjść?
- Jutro.
- W takim razie, w czym mogę ci dzisiaj pomóc? Zrobić zakupy? Wybuchnęła śmiechem i otworzyła lodówkę.
- Popatrz tylko. — Kuchenne urządzenie pękało w szwach od jedzenia. — To od Dolores, Lindy i całej plejady samarytan. Zjawiła się nawet żona Teda Morrowa. Jak to się dzieje, że wiadomości tak szybko się tu rozchodzą?
- Małe miasteczko. — Spenetrował lodówkę, obwąchując przykrywkę i wyciągając różne opakowania. — Sałatka z łososia, ser cheddar, oliwki. Czy ktoś pomyślał o chlebie? Tak. Jest również masło. Siadaj i pozwól, że cię obsłużę. Potem powinnaś odpocząć. Przybladłaś.
- Mogłabym to równie dobrze sama zrobić.
- Garth nałożył jedzenia na półmisek i ustawił na stole talerze z nakryciami.
- Co za ważne sprawy omawialiście z siostrą?
- Masując z roztargnieniem gips na rękę Sabriną patrzyła na jego dłonie, zręcznie nakładające porcje na talerze.
- Chodziło o pewne... kłopoty. To ma związek z *Ambasadorem*. Zdaje się, że ktoś sprzedaje małym galeriom fałszywą porcelanę. Rozmawialiśmy o sprawdzaniu autentyczności tych przedmiotów i innych takich sprawach.
- Wygląda na to, że kupiła coś i odkryła, że jest fałszywe już po sprzedaniu rzeczy klientowi.



Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

— Tak. Gdyby cię poprosiła o radę, co byś jej powiedział?

— Wyznać klientowi całą prawdę i odkupić ten przedmiot jak najszybciej. Im dłużej będzie z tym czekać, tym trudniej przyjdzie jej przekonać tę osobę, że działała w dobrej wierze, gdy prawda wyjdzie na jaw.

Zagryzła usta.

— Masz rację. Smaczny ten łosoś, prawda? Zostało jeszcze trochę? Już drugi raz zmieniała temat, gdy rozmowa schodziła na Sabrinę.

To było do niej niepodobne; zazwyczaj opisywała mu ze wszystkimi szczegółami jej pełną blasku londyńską egzystencję, która w jej wyobraźni wyglądała na nie kończącą się bajkę. Teraz, zamiast emocjonować się wieściami z wielkiego świata, zaczęła mówić o znajomych, które wpadały co chwila przez cały ranek, znosząc prowianty.

— ...Vivian nie była tu jeszcze nawet dziesięciu minut, a Dolores już zaczęła przypominać z wyglądu nadętego pelikana. Szyja robiła jej się dłuższa z każdą chwilą. Vivian była zdumiona tą reakcją, oczywiście niczym nie zawiniła z wyjątkiem tego, że mówiła o ludziach, których Dolores nie zna. Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Dolores odprężyła się i znów stała się sobą: osobą despotyczną, lecz troskliwą. To zdumiewające, jak ona odgradza się od ludzi, przy których czuje się skępowana.

— Kto jeszcze był?

— Linda z jakąś włoską potrawą. Obie miały różowy koloryt, okrągłą fizjonomię i mile gulgotały. Były niemal nie do odróżnienia, z tym że w Lindzie gulgotało od plotek, nie pomidorów, więc wiedziałam, do kogo się zwracać...

Garth śmiał się serdecznie, sprzątajac ze stołu. Nie pamiętał, żeby Stefania była kiedyś tak bystra, obserwując swoich przyjaciół świeżym okiem i podsumowując te obserwacje w sposób dowcipny, lecz nie okrutny. Dziś rano wyglądała też inaczej — bardziej ożywiona i podniecona. Piękniejsza. Ileż to razy wyrzucała mu, że nigdy jej się nie przygląda? Jacy stali się sobie obcy!

Miał jednak wrażenie, że odgrywa na jego użytek jakieś przedstawienie i zabawia go, żeby odwrócić jego uwagę od czegoś innego. Od rozmowy z siostrą? Od skrytych myśli o sobie, o ich małżeństwie, które sprawiały, że była napięta, zdenerwowana, nawet przestraszona, i nieobliczalna w postępowaniu? Po kolacji u Goldnerów prosiła go o kilka dni czasu. Potem miała wypadek. Cóż, zdecydował się czekać, aż będzie gotowa do rozmowy. Zauważył, że tymczasem próbuje wprowadzić jakieś zmiany w ich ustalonym trybie życia: kieliszek wina

przed obiadem, zainteresowanie kwestią Vivian i sprawami uczelnianymi, nawet nowy przepis na stek. Pochylił się i pocałował ją w czoło.

— Utnij sobie drzemkę. Musisz zebrać siły przed dzisiejszym obiadem. Penny i Cliff uparli się, że oni będą gotować. Wyglądała na zaniepokojoną.

— Czy nie mogliby podgrzać włoskiego dania, które przyniosła Linda?

— Podsunę im ten pomysł. Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebowała.

— Kiedy będziesz w domu?

— Najszybciej jak się da. Mam nadzieję, że o czwartej lub w pół do piątej.

Przez resztę popołudnia i następne dwa dni, wypełnione spotkaniami ze studentami ostatniego roku, układaniem rozkładu zajęć na kampusie i pomaganiem w domu, Gartha pochłaniały rozważania o żonie. Nie zaprzętała go w tym stopniu od lat, lecz nigdy do tej pory jej zachowanie nie było tak zastanawiające. Złapał się na tym, że po pracy pędzi czym prędzej do domu, żeby być z nią, i że bezustannie ją obserwuje. Odwracała się i napotykała jego uporczywy wzrok, a on szybko pytał, jak się czuje.

— Dużo lepiej — odpowiedziała nieco zniecierpliwiona, gdy siedzieli przy obiedzie w środę wieczór. — Nie powinniście się tak ze mną cackać. Znakomita pieczeń. Która z naszych opatrnościowych przyjaciółek ją przygotowała?

— Vivian. Przyniosła ją do biura po południu. Podobno rozmawiała z tobą dzisiaj.

— Tak, umówiliśmy się na lunch w przyszłym tygodniu. Przyniosła mi oprócz tego nowy numer *Newsweeka*. Dlaczego nie powiedziałeś nam, że piszą tam o tobie?

— Kilka akapitów w długim artykule.

— Tato jest w *Newsweeku*?! — wrzasnął Cliff. — Gdzie on leży? — Zerwał się z krzesła.

— W salonie — krzyknęła za nim Sabrina. — Parę akapitów też coś znaczy — powiedziała do Gartha. — Zwłaszcza że dotyczą czegoś tak ważnego. I niemal przekraczającego ludzkie pojęcie.

Spojrzał na nią ciekawie.

— Przeczytałaś cały artykuł?

- No pewnie. Przecież wspominali tam o tobie, zamieścili nawet zdjęcie. Zresztą i tak bym go przeczytała. To fascynujący temat.

Cliff wrócił, trzymając czasopismo otwarte na stronie z fotografiami trójki badaczy inżynierii genetycznej: jasnowłosej kobiety z Harvardu, siwego Anglika i Gartha bez marynarki na tle laboratorium.

— Ależ surowo tu wyglądasz — oceniła Sabrina, zaglądając Cliffowi przez ramię. — Jakbyś lada chwila miał wylać na zbity pyszczyk kilku studentów.

Penny i Cliff zachichotali.

— O czym to jest? — spytał Cliff.

— Przeczytaj, to się dowiesz. Artykuł nie jest zbyt trudny.

— Okay. Ale o c z y m to jest?

Sabrina obserwowała twarz Gartha, gdy wziął czasopismo od Cliffa i przeglądał jego stronicę. Kiedyś, dawno temu, uważała go za nadętego nudziarza. Teraz raptem zaczął ją fascynować. Artykuł, który opisywał go jako jednego z najwybitniejszych badaczy w dziedzinie genetyki, zaimponował jej i zapragnęła więcej się dowiedzieć o jego pracy. Jesteśmy sobie całkiem obcy, pomyślała. Nie wiedząc czemu poczuła, że za wszelką cenę musi go zrozumieć.

— Tak, opowiedz nam o tym — poparła Cliffa. — To nie takie proste, przypomina raczej rozwiązywanie jakiejś zagadki z nową wskazówką na każdej stronie.

— Dobrze powiedziane. — Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała mu tym samym. — Już od dawna nie myślałaś w ten sposób.

Jej uśmiech zbladł, lecz Garth nie zauważył tego, zajęty nalewaniem kawy. Po chwili podniósł wzrok i zaczął swoją opowieść.

Gdy zaczął pracę wykładowcy, wiadomości o DNA nie wykraczały niemal poza znajomość jego struktury i sposobu działania. W latach sześćdziesiątych nastąpiła w dziedzinie genetyki fala odkryć, w których również miał swój udział. Jego fachowość i skrupulatność w badaniach oraz śmiałe hipotezy wysuwane w publikowanych przez niego artykułach zaowocowały zaproszeniem na międzynarodowe miesięczne seminarium do Berkeley, które odbyło się w sierpniu, przed podróżą Stefanii do Chin. Garth zaprezentował tam swój dorobek, co przypieczętowało jego pozycję wybitnego genetyka.

Prowadzone obecnie próby polegały na rozszczepianiu cząsteczek DNA, z których każda miała długość dziesięciotysięcznych części cała, i zastępowaniu brakującej lub uszkodzonej części cząsteczki fragmentem innej, zdrowej. Suche zwroty „łączenie genów”, „inżynieria genetyczna”, „rekombinacyjne DNA” nie brzmiały porywająco, lecz w głosie Gartha dźwięczało podniecenie na myśl o kryjących się za nimi cudach.

Rodzina chłonęła jego słowa w ciszy i skupieniu. Gdy spostrzegł to ich zasłuchanie, poczuł się nagle żywotny, silny i szczęśliwy.

Położył rękę na dłoni żony i uśmiechnął się do niej, wdzięczny, że sprowokowała tę rozmowę. Zaczął opowiadać, co się dzieje w laboratoriach na całym świecie, o czym jest mowa na konferencjach, na które jeździł, i seminariach, na których wykładał.

Główne zagadnienie to badania nad chorobami genetycznymi. W wypadku hemofilii, na przykład, w DNA brakowało informacji o procesach krzepnięcia krwi lub były one niekompletne. Gdyby naukowcy mogli wyizolować jedną komórkę z uszkodzonym DNA i drugą z tkanek osoby zdrowej, a następnie wyciąć ze zdrowej cząstki fragment z odpowiednią informacją genetyczną i przyłączyć go do uszkodzonego DNA, stałoby się możliwe założenie kultury naprawionej komórki, gdzie mogłaby się reprodukować, dopóki nie powstałoby ich dość, aby wstrzyknąć je osobie chorej na hemofilię. Rozmnażałyby się w dalszym ciągu w jej organizmie. Wtedy osoba ta nie żyłaby już pod groźbą wykrwawienia się na śmierć przy najlżejszym draśnięciu.

Jednocześnie bada się metody wytwarzania szczepionek przeciwko chorobom. W tym celu należy usunąć z komórki pewne geny, których funkcją jest wytwarzanie antyciał zwalczających daną chorobę, i rozszczepić je na bakterie. W założonej kulturze nowych bakterii zwielokrotniłyby się one biliony razy, stając się wytwórniami produkującą te antyciała, których można by następnie użyć do robienia szczepionek ochronnych przeciwko chorobie. Przykład: interferon, który jest obecnie w postaci gotowej do testowania na zwalczanie infekcji wirusowych i raka.

Można również dzielić na bakterie geny, które kontrolują wytwarzanie hormonów. Po rozmnożeniu bakterii tych używa się do zwalczania choroby spowodowanej brakiem tychże hormonów. Przykładem może być tu insulina, lek na cukrzycę.

Sabrina zdziwiła się.

— Nic nie słyszałam o tym, że hemofilia i cukrzyca stały się uleczalne.

— Jeszcze nie. To, o czym wam opowiadam, będziemy mogli robić w niedalekiej przyszłości, gdy znajdziemy odpowiedzi na resztę niewiadomych.

Sabrina obserwowała płonące oczy Gartha, wpatrzone intensywnie w jakiś daleki punkt, i porwało ją brzmienie w jego głosie oczarowanie rozległymi horyzontami.

— To chyba niełatwa sprawa — powiedziała lekko — kosić trawę przed domem lub reperować kran, gdy dopiero co rozcinało się cząsteczki DNA i zmieniało formy życia.

Posłał jej długie spojrzenie.

— Dziękuję — powiedział stłumionym głosem. — Te słowa znaczą

dla mnie bardzo wiele. — Przerwał i rozejrzył się wokół. — Stwierdzam z bolesnym zdziwieniem, że naczynia nie zostały jeszcze umyte.

— Słuchaliśmy ciebie — odparł z oburzeniem Cliff. — Czy musimy jeszcze sprzątać?

— Odkryliście może nową formę życia, która by to za was zrobiła?

— Dobrze wiesz, że nie.

— Wobec tego z przykrością oświadczam, że zostałeś tylko ty i Penny. No dalej, do roboty oboje. Już późno.

Już późno, powtórzył w myśli, odchylając się na oparcie z westchnieniem zadowolenia. Kiedy to siedzieliśmy tak razem wokół stołu w rodzinnym kółku? Nie mógł sobie przypomnieć. Tak bardzo się o to starał, a jego żona osiągnęła to bez trudu w ciągu pięciu minut. Uśmiechnął się do niej.

— Wszystko jest już dla ciebie jasne?

— Muszę więcej o tym poczytać. Trochę to przerażające.

— Raczej przejmujące szacunkiem. Cud, który dzieje się na naszych oczach przy każdym kroku naprzód, stwarza nadzieję dla ludzi, którzy nie mieli jej przedtem... Lecz w tej chwili najbardziej się dla mnie liczy fakt, że przeczytałaś ten artykuł i zaczęłaś rozmowę na ten temat. Dzięki czemu choć raz mogłem ci wytłumaczyć, dlaczego czasami praca pochłania mnie do tego stopnia, że nie myślę o rodzinie. Zresztą akurat teraz wydaje mi się niemożliwe, że mógłbym kiedykolwiek nie myśleć o tobie.

Podszedł do jej krzesła, stanął za nim i położył ręce na jej ramionach. Potem zsunął je w dół, obejmując piersi. Schylił się i przesunął ustami po jej włosach, odsłaniając ucho.

— Myślę...

— Nie — wycedziła przez zaciśnięte zęby i wyrwała się z jego uścisku. Stała w pewnej od niego odległości.

Uparcie odwracała oczy, a jej blada twarz była zamknięta i zastygła.

— Nie teraz, jeszcze nie, przynajmniej nie...

Garth osłupiał ze zdumienia. Ogarnęła go wściekłość. Podrażniono się z nim, a potem dano klapsa i odprowadzono. Ponieważ jego żona miewa kaprysy. Ruszył do drzwi; chciał wyjść, zejść jej z oczu, lecz w połowie drogi usłyszał drżący głos.

— Przepraszam, naprawdę bardzo przepraszam. — Wciąż nie patrzyła mu w oczy. — Wszystko mnie boli przy każdym ruchu... Moje siniaki... Myślałam, że zdajesz sobie z tego sprawę...

— Wierutna bzdura! — Stanął w łukowatym wejściu do bawialni. — Nie tylko Dolores odgradza się od ludzi, gdy sytuacja robi się niewygodna, co? Mogłaby się od ciebie dużo nauczyć. — Jego głos ciął

jak biczem. — Nie masz powodu do obaw: nie będę ci się więcej narzucał. Stosowanie przemocy jakoś mnie nie bawi. Ani nie podnieca. Dołożę starań, żeby to samo móc powiedzieć o tobie.

Zatrzasnął drzwi frontowe i poszedł nad jezioro, oddychając głęboko i przeklinając w duchu swoją żonę i samego siebie, że tak się dał zwieść. Czego, u diabła, chciała od niego? Jeśli ma go dosyć, dlaczego nie powie tego wprost?

Przeszedł dobre parę mil, a gdy wrócił o późnej porze, cały dom spał. Palily się tylko światła w salonie i kuchni. Ktoś zostawił dla niego na kuchennym blacie talerz ciastek. Nie tknął ich i poszedł do pracowni, wyczerpany wciąż nurtującym go gniewem. Położył się na kanapie, nie zadając sobie trudu, żeby ją rozłożyć.

Gniew wrzał w nim równie mocno, gdy zbudził się wcześniej rano, zanim ktokolwiek wstał. Wyszedł bez śniadania i wstąpił do kawiarni w klubie studenckim.

— Tenis jest tym, czego ci potrzeba — powiedział Nat Goldner, budząc go z zamyślenia. — Wszystko, od czego tak groźnie marszczy się brew, można wyegzorcyzmować wyłącznie maltretując piłkę lub przeciwnika. Jestem do dyspozycji. Chyba że wolisz porozmawiać.

— Nie, wolałbym coś zetrzeć z powierzchni ziemi. Dobry pomysł. Ich umiejętności stały na tym samym poziomie i gra była szybka.

Po godzinie Garth nieco się odprężył. Nat był pełen podziwu.

— Dobry mecz. Jeden z najlepszych, jakie rozegraliśmy. Pomyśl tylko, czego moglibyśmy dokonać, gdybym był równie wkurzony jak ty. Masz czas na drugie śniadanie?

— Masę czasu. Nie mam dziś żadnych zajęć. Ale o dziesiątej chcę być w laboratorium.

Udali się do klubu wykładowców, domu w stylu wiktoriańskim niedaleko kampusu, i usiedli w wykuszu przy oknie wychodzącym na jezioro. Na horyzoncie widać było frachtowiec, którego kadłub był głęboko zanurzony w wodzie.

— Płynie z ładunkiem — stwierdził Nat atakując swoje jajka na grzance i szynkę. — Węgiel na nadchodzącą zimą. Trudno w nią uwierzyć w takim dniu jak dzisiejszy. Jak się czuje Stefania?

Garth posmarował masłem grzankę z chleba ryżowego.

— Świetnie.

— Nie dolegają jej żadne bóle ani migreny? Garth podniósł wzrok.

— Nieco staroświeckie określenie jak na nowoczesnego lekarza.

— Podoba mi się. Jak inaczej ująć w jednym słowie „przygnębiona, poirytowana i narwana w zachowaniu”?

- Z powodu złamanego nadgarstka?
- Z powodu traumy lub jak wolisz, szoku. Czy Stefania mówiła ci o pomocy domowej, którą jej przysłała Dolores, Juanicie?
- Tylko tyle, że zrobiła kawał dobrej roboty. Kiedy to było? Przedwczoraj, we wtorek. To bardzo ładnie ze strony Dolores, że ją wypożyczyła. Czy jest coś jeszcze, o czym mi nie mówiła?
- Według Dolores, która cytuje Juanitę: „Ta pani z pewnością wie, czego chce. Wydaje rozkazy jak królowa”.
- Stefania? Nonsens. Czuje się niezręcznie, dając komukolwiek polecenia.
- Powtarzam ci tylko słowa Dolores.
- Która powtarza słowa Juanity. A ta z kolei pewnie zdrowo przesadza.
- Garth, uspokój się. Nikt niczego nie zarzuca Stefanii.
- Co jeszcze powiedziała ze wszech miar godna zaufania Juanita ustami Dolores?
- Że Stefania zjadła lunch na patio, a ona w kuchni.
- Więc?
- Zdaje się, że w tych okolicach panie domu jedzą lunch razem ze sprzątaczkami. Do tej pory nie miałem o tym pojęcia, ale nigdy nie ma mnie w domu.
- Dlaczego powinny jeść razem?
- Skąd mam to wiedzieć? Może panie domu chcą, żeby ich pomocnice czuły się kochane. W każdym razie Stefania postąpiła wbrew zwyczajowi.
- Nie jest przyzwyczajona do służącej.
- W porządku, już ci mówiłem: nikt nie ma do niej żadnych pretensji. Lecz jako jej lekarz powinienem być poinformowany, jeśli jej zachowanie odbiega od normy. Porządnie oberwała w głowę, Garth, i to ją mocno przeraziło. Czasami ten strach utrzymuje się. Pacjenci sądzą, że są poważnie ranni, a lekarz ich okłamuje i spiskuje przeciwko nim z resztą rodziny. Co może sprawić, że są nerwowi, narwani i nieobliczalni. Nie możemy temu zaradzić, jeżeli nic o tym nie wiemy. No więc, czy ona tak się zachowuje?
- Garth zostawił nie dojedzoną grzanekę i nalał sobie drugą filiżankę kawy.
- Nie. Mówi, że bołą ją siniaki, i na tym koniec. Nat westchnął.
- Nawet jeśli występują takie objawy, prawdopodobnie miną po krótkim czasie, gdy Stefania poczuje się lepiej. Garth skinął głową.
- Jeżeli będziesz chciał pogadać, wiesz, gdzie mnie szukać. W każdej chwili.

— Nat, nie przyszedłbym do nikogo innego. Twoja przyjaźń wiele dla mnie znaczy i wysoko sobie cenię twój bystry wzrok i szczerą mowę. Nie mówiąc już o grze w tenisa. Kiedy chłopcy mają następny mecz piłki nożnej? Zapomniałem spytać o to Cliffa dziś rano.

— Jutro. A w następny wtorek zakończenie sezonu. Nie podoba mi się sposób, w jaki podchodzi do nich trener, lecz niewiele możemy na to poradzić...

Gawędząc już tylko na ten temat, skończyli kawę i wyszli. Na pozór, pomyślał Garth, dwóch czcigodnych profesorów z ustaloną reputacją w środowisku, z rodzinami, które mogły służyć za wzór, i bez żadnych problemów, których nie mogłaby rozwiązać szybka partia tenisa i przyjacielska pogawędka przy kawie.

Spojrzał na swoje odbicie w szklanych drzwiach laboratorium. Czy naprawdę jestem takim człowiekiem, pomyślał, a moja rodzina taką rodziną? Jeżeli tak, to dlaczego nie mogę zrozumieć własnej żony, a ona nie może się zdecydować, czy skleić nasze małżeństwo, czy też rozbić je do końca? Coś się dzieje z nami obydwójkiem, coś, co nas zmienia. Jakbyśmy stawali się parą innych ludzi.

Cliff marudził w drodze powrotnej ze szkoły. Jeśli Penny dotrze pierwsza do domu, może zdąży zmyć naczynia, zanim on przyjdzie. Żeby mamie zdjęli już gips i żeby robiła wszystko tak jak dawniej! Chociaż, jak tak się zastanowić, chyba nic już nie będzie do końca po staremu. Trochę to dziwne, bo kiedyś mama zajmowała się całym domem, a teraz nigdy nie było wiadomo, co robi, co każe im zrobić, a co wyleci jej z pamięci.

Ale nie złościła się już tyle co dawniej. Właściwie nie zwracała teraz na niego i Penny tyle uwagi. Czasami nawet wolałby, żeby to robiła. Pewnie ręka ją bolała. Albo coś innego.

Przynajmniej znowu zaczęła gotować, z pomocą tatusia, a to może świadczyć, że wróci i do innych zajęć. To niesprawiedliwe, żeby on musiał pracować w domu po szkole i treningach piłkarskich! Chyba pomówi z mamą na ten temat. Ostatnio traktowała go prawie jak dorosłego.

— Mamo! — wrzasnął trzaskając drzwiami i rzucając książki w bawialni. Znalazł ją w kuchni, siedzącą z Penny na kanapie.

— Rozmawiamy o sprawach osobistych! — powiedziała Penny.

— Nie pomyślaś naczyń — warknął rzucając pełne odrazy spojrzenie w kierunku zlewu.



— Ty też powinieneś to robić.

— Ja chcę pomówić z mamą.

— Teraz ja z nią rozmawiam.

— Mamo... — zaczął Cliff.

— Może powinnam wpuszczać za biletami — rzekła Sabrina, jakby się zastanawiając. Cliff był zbity z tropu: oczekiwał bury za kłótnie z Penny, a ona wcale nie wyglądała na rozzłoszczoną. Prawdę mówiąc, sprawiała wrażenie ogromnie zadowolonej.

— Cliff, a gdybyś sobie wziął trochę ciastek i mleka do ogródka? Co ty na to? Za parę minut przyjdzie twoja kolej.

Penny odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął w drzwiach niosąc niezgrabnie ciastka, mleko i pudełko precli, po czym odwróciła się do Sabriny.

— Chodzi o to, że przez nie czuję się taka drętwa, i jakby się boję.

— Boisz się czego? — spytała Sabrina.

— Tego, o czym one wszystkie rozmawiają. Na przerwach, wiesz.

— Nie jestem pewna, czy wiem. O jakich rzeczach rozmawiają?

— No... och... sama wiesz... o pieprzeniu i masturbacji, i o...

— Penny! Penny skuliła się.

— Wiedziałam, że zaczniesz się wściekać. Wszyscy mówią, że o takich sprawach nie można mówić z matką. Ale nie mam z kim o tym rozmawiać. Barbara nic nie może mi poradzić. Sama wie tyle co ja. A nie mogę przecież spytać nauczycielki! Gdyby ktoś się o tym dowiedział, chyba bym umarła!

Sabrina przytaknęła, wspominając własne dziewczęce czasy. Nie sposób było zdradzić się przed nauczycielką z tematami, na które koleżanki rozmawiały między sobą, ani też spytać którąś z nich i obnażyć własną ignorancję. Ale Penny mogła, do licha, poczekać z tym kilka dni, aż Stefania wróci do domu! Koniec końców to należało do matki! Spojrzała na zakłopotaną twarz Penny, na której odbijała się troska, i wiedziała, że nic z tego.

— Poczekaj chwilę. — Podeszła do zlewu i nalała szklanek wody, żeby zyskać na czasie. Co ja wiem o małych dziewczynkach? Gdy my byłyśmy w wieku Penny, nie miałyśmy pojęcia o takich rzeczach. Jakim cudem jedenastolatki rozmawiają o pieprzeniu i masturbacji? Dlaczego nie myślą raczej o lodach i lekcjach pływania?

Wróciła na kanapkę.

— Penny, czy nie macie lekcji o higienie czy czymś takim, na których jest mowa o waszym ciele i dorastaniu?

— Mamy lekcje uświadamiające, ale nie o to chodzi. To całe gadanie o spermie, jajczkowaniu, menstruacji i chorobach wenerycznych — wszyscy o tym wiedzą! Nie o to chodzi! Sabrina spojrzała na Penny, nie rozumiejąc.

— Więc o co chodzi?

— Że ja nie chcę tego robić. *W szóstej klasie?*

— No chyba, że nie. Dlaczego miałabyś chcieć? Nikt nie ma w tym wieku stosunków seksualnych.

— Ale kiedy one o tym rozmawiają, o tym, co chłopcy lubią najbardziej i jak by to było pieprzyć się z nimi — to czuję się taka drętwa, jakby coś ze mną było nie w porządku, bo ja nie chcę tego robić! Nigdy! To okropne. Nie chcę, żeby chłopcy mnie tam dotykali i wsadzali we mnie swoje penisy. Ale kiedy to powiedziałam, inne dziewczyny zaczęły się ze mnie śmiać...

— Które dziewczyny? — spytała Sabrina.

— Te z mojej klasy. One mają już okres i noszą staniki, a ty nie pozwalasz mi kupić sobie biustonosza...

— Ale, Penny... — przerwała Sabrina patrząc na jej płaską klatkę piersiową.

— Wiem, ale przez to w rozbieralni czuję się jak małe dziecko!

A one szepczą i chichoczą, i mówią o...

Sabrina słuchała z przerażeniem szczerych wynurzeń Penny o pokoleniu, o którym nic nie wiedziała. Ona i Stefania czuły się zuchwałe w wieku jedenastu lat, gdy uciekły szoferowi! Czego mogły się spodziewać w dalszym życiu te dzieci, skoro wszystko poznawały już w szkole? Co będą robić po czterdziestce? Grać w klasy?

Westchnęła. To nie żarty. Penny była zdezorientowana, przygnębiona i oczekiwała od niej pomocy.

— Widzisz — ciągnęła Penny — nie obchodzi mnie, co robią. To znaczy, jeśli tego właśnie chcą, to w porządku. Ale ja wolę rysować albo szyć ubrania dla lalek, albo coś takiego. Czy to znaczy, że ze mną jest coś nie w porządku? Że jestem nienormalna czy coś w tym rodzaju?

— Nie — odparła cicho Sabrina. — Sądzę, że jesteś najbardziej normalna z nich wszystkich.

— Naprawdę? Normalna? Naprawdę tak uważasz po wszystkim, co powiedziałam?

— Niezupełnie, ponieważ gdy będziesz starsza, zmieni się twoje podejście do stosunku z mężczyzną...

— Masz na myśli pieprzenie.

— To jest jedno z istniejących określeń, ale nie moje. Powiem ci, dlaczego. Wiesz chyba, że mieć stosunek to innymi słowy kochać się?

— No pewnie, każdy to wie.

— Czyżby? Ale wolą nazywać to pieprzeniem. Jak ci się zdaje, dlaczego?

— Nie wiem. Pewnie bardziej im się podoba.

— Penny, dlaczego twoim zdaniem uprawianie seksu nazywa się kochaniem?

— Bo... bo się kogoś kocha i to robi.

— A jeśli robi się to z kimś, kogo się nie kocha? Penny zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami.

— Widzisz, można eksperymentować z seksem i jeżeli ma się trochę szczęścia i wszystko pójdzie dobrze, jest to bardzo przyjemne. Możesz robić to z wieloma chłopcami i wiele razy będzie przyjemnie — jak po podrapaniu ukąszenia komara albo zjedzeniu obfitego posiłku, gdy jesteś głodna. Możesz też za pomocą seksu okazać swoje uczucia osobie, która jest dla ciebie najważniejsza. Wtedy będzie to znaczyło, że się z nim kochasz.

Spojrzała przez okno na pnące róże, ciężkie od późnych pąków.

— Przez kochanie się z kimś okazujesz coś pięknego: że kochasz tego kogoś tak bardzo, iż chcesz złączyć się z nim w jedno. Jest wiele możliwości okazywania komuś, że się go lubi — można z nim rozmawiać, żartować w specjalny sposób, uśmiechać się do niego z drugiego końca sali, trzymać się za ręce i wspólnie spędzać czas. Ale stosunek to coś więcej niż wszystkie te rzeczy: to jedyny sposób, żeby ciałem zbliżyć się do drugiej osoby równie blisko jak myślami.

Sabrina splotła palce z palcami Penny.

— Właśnie tak. Myśli i ciała. Wtedy wiesz, że jesteś zakochana. Czy myślisz, że te dziewczynki z twojej klasy wiedzą o tym cokolwiek? Albo że je to obchodzi?

Penny spojrzała na ich splecione palce i wolno potrząsnęła głową.

— Penny, posłuchaj mnie. Poczekaj z tym. Niech inni robią, co chcą, ale ty nie pragnij im dorównać tylko ze wstydu. Nie zmieniaj kochania w pieprzenie; nie traktuj go zdawkowo jak potrząśnięcia ręką. Poczekaj, aż ktoś stanie się dla ciebie tak ważny, tak cudowny i wyjątkowy, że będziesz chciała podzielić się z nim tym, czym jesteś, i tym, co czujesz, w ten jedyny, niepowtarzalny sposób. Stosunek nie jest sportem pozaszkolnym ani drapaniem swędzącego miejsca. Współzycie z kimś to język, Penny: za pomocą swego ciała mówisz komuś, że go kochasz. Poczekaj na to. Czekaj, dopóki nie spotkasz kogoś tak cudownego, że będziesz chciała mu wyznać swoją miłość oczami, ustami i całym swoim ciałem.

Widząc przed sobą rozszerzone zamyśleniem oczy Penny Sabrina

wsluchala się jakby w echo własnych słów. Coś się w niej załamało: poczuła się pusta i wyjałowiona. *Ja sama nie posłuchałam tej rady. Jaka szkoda...*

— Ale jeśli to jest takie dobre, dlaczego ty i tatuś prawie nigdy tego nie robicie?

W ciszy słycać było głucho, rytmiczne odgłosy piłki Cliffa, która odbijała się od ściany domu.

— Dlaczego tak myślisz? — spytała Sabrina.

— No, on prawie nigdy nie śpi już w twoim pokoju. Czy to znaczy, że już się nie kochacie?

— Nie — odparła szybko, żeby spędzić nowy niepokój z twarzy Penny. — Dorośli czasami doświadczają skomplikowanych uczuć, które niełatwo wyjaśnić. Mogą się kochać nawzajem, a mimo to czasem chcą być oddzielnie... Wziąć sobie jakby wakacje od tej drugiej osoby i pomyśleć o sobie jako kimś oddzielnym.

— Czy dlatego wyjechałaś do Chin?

— To był jeden z powodów.

— Dużo dzieci w szkole... Ich rodzice się rozwodzą.

— Ale my nie. — To zabrzmiało zbyt defensywnie, pomyślała, i dodała spokojniej: — Nie mamy takiego zamiaru, Penny. — Jak wyjechałaś do Chin, Cliff i ja myśleliśmy, że się rozwiedziesz. Bo pojechałaś sama, a tato był smutny. Sabrina objęła ją, a Penny potarła nosem o jej pierś.

— Kocham cię, mamó. Nie wyjeżdżaj więcej.

Sabrina pocałowała ją w czubek głowy — w czarne kędziory podobne do włosów Gartha — i poczuła opiekuńczą falę miłości, której nigdy przedtem nie zaznała. *Me bój się, Penny. Nie pozwolę cię skrzywdzić.*

— I ja cię kocham, Penny — odpowiedziała.

Odgłos piłki Cliffa na dworze był jak bicie serca. Nagle ustał.

— Hej — powiedział Cliff pojawiając się w drzwiach. — Czy to już nie moja kolej?

Chciałabym mieć pięć minut przerwy, pomyślała Sabrina, lecz Cliff zerkał przez siatkę drzwi jak wygnaniec.

— Owszem, wejdź.

— Czy mogę zostać? — spytała Penny. Sabrina spojrzała na Cliffa.

— Czy to ma być prywatna rozmowa?

— Chyba nie. — Cliff zajął miejsce siostry, a Penny usiadła na podłodze i zaczęła rysować w bloku. — Ja... e... chodzi o pracę w domu. — Tak? — Sabrina uśmiechnęła się do niego z anielskim spokojem.

— Nie cierpię tego — wypalił. — I nie powinienem mieć takich obowiązków. Chodzę przecież do szkoły i trenuję futbol, i mam lekcje do odrabiania.

— Tak?

— No... to już są trzy zawody.

— Dwa, jeśli używasz słowa zawód. Uczeń i napastnik w drużynie.

— Dobra, dwa. Ale jeśli muszę jeszcze tutaj pracować, to już są trzy, a nikt nie ma trzech zawodów.

— A ja?

— Ty? Ty jesteś po prostu... matką.

— Po prostu matką. Pomyśl o tym. Sprzątam dom, czyli pracuję jako sprzątaczką — co bynajmniej nie jest tak zabawne jak piłka nożna. Jestem kucharzem — zawód numer dwa. Odwożę was samochodem, a więc jestem szoferem — zawód numer trzy. Jestem praczką — to już cztery. Ogrodnikiem — pięć. Odnawiam meble i ustawiam je, a więc pracuję jako dekorator — to sześć. Jestem gospodynią, gdy przychodzą nasi przyjaciele — to siedem. Pielęgnuję was, gdy jesteście chorzy — to osiem. Pracuję na uniwersytecie — to dziewięć. — **Czy Stefania naprawdę robi to wszystko!** — Poza tym jestem oczywiście, jak mówisz, matką, to już dziesięć, i żoną, co daje nam jedenaście. Możliwe, że kilka opuściłam. Iluż to swoich zawodów się doliczyłeś? Wytrzeszczył na nią oczy.

— Ale... ale to wszystko do ciebie należy.

— A kto tak powiedział?

Przetrawiał to w myślach, ważąc odpowiedź.

— Biblia? Roześmiała się.

— W Biblii są kobiety-wojownicy, które obciachują głowy mężczyznom ich własnymi mieczami. Czy mam być do nich podobna?

— Nie, ale... No, może tego nie ma w podręcznikach ani w przepisach prawnych, ale wszyscy wiedzą, co powinny robić matki: to, co zawsze robiły. W rodzinie nic się nie zmieniło.

Skinęła poważnie głową.

— A co powinni robić synowie?

— Chodzić do szkoły.

— Tylko w tym stuleciu. Dawniej wszyscy oprócz bogaczy pracowali po dwanaście albo czternaście godzin na dobę w fabrykach i kopalniach, na polu. Zarabiali, żeby pomóc rodzicom.

— Ale to wszystko się zmieniło...? Zrobiła zdziwioną minę.

— Coś w rodzinie się zmieniło?

Po dłuższej chwili Cliff uśmiechnął się szeroko.

— A niech to — powiedział i oboje wybuchnęli śmiechem. Sabrina miała ochotę go uściskać, ale wyciągnęła tylko rękę

i zmierzwiła jego włosy, przy czym oboje zaśmiewali się i na tym właśnie zastał ich Garth, gdy w chwilę później wszedł do kuchni. Sabrina przestała się śmiać.

— Cliff, przegadaliśmy całe popołudnie, i co teraz będzie z obiadem?

— Nie pozmywaliśmy naczyń — powiedział, ześlizgując się z sofy. — Cześć, tato. Zmajstrowałeś dzisiaj jakieś nowe klony?\*

— Właśnie pracuję nad jednym, który wzbudzałby szacunek w synach — odparł Garth, ale patrzył na Sabrinę. — Przyniosłem steki. Jeśli mi powiesz, jak je przyrządziłaś w zeszłym tygodniu, zrobię je sam.

— Ja to zrobię — zaprotestowała podnosząc się.

— Ale ja chcę sam się tym zająć. — Chętnie wyręczy swoją żonę, która zawsze wytrwale obsługiwała wszystkich w domu, bez względu na to, jak źle się czuła. Chciał dla odmiany poczuć się jej potrzebny.

Sabrina usiadła z powrotem. Garth nalał dwa kieliszki wina i postawił je przed nią na stole. Potem zgodnie z jej wskazówkami utłukł pieprz w nowym moździerzu i wtarł go w steki po obu stronach. Obok Cliff zmywał naczynia ze śniadania i paplał o swoich lekcjach. Sabrina obserwowała, jak pracują ręka w rękę. Penny siedziała przy niej na podłodze i nucąc pod nosem rysowała, zamknięta w swoim własnym świecie, nie zwracając uwagi na obecność rodziny. Lecz Sabrina uświadamiała sobie tę obecność z całą wyrazistością. Nie szło jej zbyt dobrze z Garthem, lecz mimo to czuła siłę więzów uczuciowych, które ich wszystkich łączyły. Szczęśliwa była, że jest z nimi, należy do ich grona, chociaż wspomnienie gwałtownego wybuchu gniewu Gartha z zeszłej nocy wciąż wisiało w powietrzu.

Garth usiadł przy niej. Odruchowo odsunęła się. Podał jej kieliszek z winem.

— Winienem ci przeprosiny za zeszłą noc. Wmówiłem sobie coś tylko dlatego, że bardzo tego chciałem. To było bezmyślne z mojej strony. Bardzo cię przepraszam za tę scenę, zwłaszcza że nastąpiła po tak wspaniałym wieczorze. Przynajmniej dla mnie wspaniałym.

— Dla nas wszystkich. Ja też powinnam cię przeprosić...

— Nie masz za co. Powinienem wiedzieć, że minie trochę czasu,

\* **Klon** — kolonia drobnoustrojów lub komórek pochodzących od jednej komórki, rozmnożonych na drodze mitozy.

zanim wrócisz do psychicznej równowagi, a wykazałem się subtelnością nastolatka w ciemnej ulicy. Sabrina zmarszczyła brwi.

— Kto mówił coś o mojej psychicznej równowadze?

— Nat. W związku ze skutkami szoku i kontuzji. Nie wchodząc w szczegóły, uświadomił mi, że zachowałem się samolubnie. — Wyciągnął do niej rękę dłonią do góry i po chwili wahania położyła na niej swoją. — Nie chciałbym, żebyś mnie uważała za gbura. Przepraszam.

— Dziękuję. — Łagodnie cofnęła rękę. — Chyba powinnam zająć się obiadem.

— Nie, dzisiaj masz nam wydawać rozkazy i nadzorować naszą pracę. W ten sposób odpowiedzialność za ewentualne niepowodzenie spadnie również na ciebie. Co mam teraz zrobić?

Wciągnął Cliffa i Penny do pomocy i wszyscy zaczęli przygotowywać posiłek. Sabrina wydawała z kozetki kolejne polecenia, dając jednocześnie folę myślom. Rutyna zajęć domowych ustalała się z każdym dniem, lecz ona sama czuła wewnątrz dziwną pustkę. To już nie była krótka przygoda, ona już nie była gościem w rodzinie. Był to teraz jej własny dom. Ich dzień dzisiejszy i plany na przyszłość dotyczyły również jej.

Ale nie mogła planować niczego, nie miała prawa. Pewnego dnia opuści ich oboje i Gartha...

Garth. Najważniejszy składnik przyszłości, od którego powinna trzymać się z daleka.

— Obiad — powiedział z uśmiechem i wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać.

Juanita pojawiła się ponownie w piątek. Jej przyjście poprzedził telefon od Dolores.

— Traktuj ją łagodnie; ona nie lubi, gdy ktoś wydaje jej rozkazy.

— Dolores, muszę jej przecież powiedzieć, co ma zrobić.

— Nie rób tego. Niech robi, co chce. Wtedy pracuje najlepiej. Od czasu do czasu możesz jej o czymś napomknąć. A jeśli chodzi o lunch...

— Ktoś dzwoni do drzwi. Pomówię z tobą później.

Juanita cicho sprzątnęła pokoje i zmieniła pościel. Sabrina zajęła się pakowaniem letnich ubrań i wyjmowaniem zimowych ze specjalnych toreb w szafie w przedpokoju, co, jak mówiła jej Stefania, robiło się rokrocznie pod koniec września. W południe Juanita przerwała jej, pytając:

— Co jest na lunch?

***Ileż bym teraz dała za panią Thirkell!***

— Wybierz sobie w lodówce, co ci przypadnie do gustu — odparła składając swetry. Gips utrudniał jej ruchy i dwa z nich strąciła na podłogę. Juanita je podniosła.

— Pani Goldner i inne panie zawsze mi coś szykują. Sabrina wzięła od niej swetry.

— Dziękuję. Sama sobie gotujesz we własnym domu, Juanito? Po chwili ciszy Juanita odpowiedziała: „Tak, pszepani” i ruszyła

na dół. Gdy Sabrina w godzinę później zeszła na własny lunch, znalazła na stole talerz z plastrami pieczeni na zimno, pomidorami i chlebem francuskim, sztucze owinięte w serwetkę i szklanę napoju imbirowego. Juanita wyszła z bawialni.

— Pomyślałam, że może pani być trudno przygotować coś z tą ręką i w ogóle.

— To bardzo miło z twojej strony. Ten lunch wygląda wspaniale. Może jesteś jeszcze głodna?

— Nie, psze pani. — Odwróciła się i weszła z powrotem do bawialni.

Gdy wychodziła po skończonej pracy, Sabrina przycinała róże w ogrodzie na tyłach domu.

— Mam wolną co drugą środę. Jakby pani chciała, mogę przyjść.

— Ile bierzesz, Juanito?

— Trzydzieści dolarów plus koszty dojazdu.

Czy mogli sobie na to pozwolić? Nie miała pojęcia. Stefania zawsze sama wykonywała wszystkie prace domowe. Lecz z jakiej racji ja mam to robić, pomyślała Sabrina. W końcu zostałam pozbawiona pani Thirkell. Zostanę tu tylko parę tygodni, a gdy Stefania wróci, niech sama podejmie decyzję.

— Dobrze. Przyjdiesz w tę środę czy następną?

— Następną.

— A więc do zobaczenia.

Odwróciła się do róż. Ich mała utarczka nie skończyła się niczyją wygraną. Juanita posprzątała dom na swój sposób, a Sabrina postawiła **na** swoim w sprawie lunchu. Kto jednak miał ostatnie słowo? Juanita. To ona postanowiła, co Sabrina zje i wypije. Sabrina zaczęła się śmiać. Niech no tylko Garth o tym usłyszy.

Podczas ostatniego obiadu fundowanego przez sąsiadów słuchała, **jak** Garth i Cliff rozmawiają o meczu, który chłopiec rozegrał dziś po południu. Był to pierwszy mecz od czasu, gdy został za karę wykluczony z gry. Dwukrotnie wbił gola.



— Powinnaś to zobaczyć, mamó, gra była ekstra. Przyjdiesz za tydzień na ostatni mecz w sezonie, co? Najfajniej się czuję, jak oboje patrzycie, ty i tato.

— Oczywiście, że przyjdę — przyrzekła. — Myślę, że Penny może też będzie miała ochotę. — I zamilkła, pozwalając innym mówić. Garth co parę minut zerkał na nią ze zdziwieniem. Czekał, aż się włączy do rozmowy i nada jej ton, jak w poprzednie dni, lecz ona siedziała cicho. Niech sobie żyją po swojemu, ona będzie się przyglądać.

— Wciąż ci dokucza ból głowy? — spytał po obiedzie.

— Tylko od czasu do czasu. To coś w rodzaju przytłumionego hałasu za oknem: wciąż obecny, ale można się do niego przyzwyczaić.

— Jesteś taka cicha. Miałaś zły dzień?

— Och, nie. Nawet były zabawne akcenty... — Penny przyniosła pudełko lodów. W czasie gdy Garth rozdzielał je na talerzyki i nalewał kawę, opowiedziała o swoim starciu na charaktery z Juanitą. Roześmiał się, lecz był zaskoczony.

— Zawsze mówiłaś, że krępuje cię wydawanie poleceń, i dlatego nie chciałaś sprzątaczkii.

— Och! no cóż, w takim razie... dziw, jak złamany przegub i pękająca z bólu głowa ułatwiają wydawanie poleceń i przyzwyczajanie się do pomocy sprzątaczkii. W gruncie rzeczy Juanita miała tu ostatnie słowo. Najpierw postanowiła, co mam jeść na lunch, a potem skłoniła mnie, żebym przyjęła ją do pracy.

Garth uniósł brwi.

— Przyjęłaś ją do pracy?

— Tylko na jeden dzień co dwa tygodnie — Sabrinę zirytował obronny ton, jaki mimo woli przybrała. Nie była do tego przyzwyczajona. W Londynie nie musiała się przed nikim tłumaczyć ze swoich decyzji, była odpowiedzialna tylko przed sobą. Czy Stefania musiała zasięgać porady Gartha za każdym razem, gdy chciała wydać na coś pieniądze?

— No to świetnie — stwierdził. — Wiesz dobrze, ile razy ci to proponowałem. Sądziłem tylko, że wpiers się naradzimy.

***Nie mam zwyczaju radzić się kogoś w sprawach moich planów.***

Nagle stanął jej przed oczami siedzący naprzeciwko niej w *Le Gavroche* Antonio, który zbywa wszystkie jej kłopoty propozycją, że wyręczy ją i sprzeda jej „mały kramik”. Czyż ta swoboda stanowienia o sobie wydawała jej się wtedy luksusem, czy raczej ciężarem?

— Przepraszam — powiedziała. — Zupełnie nagle strzeliło mi to do głowy...

Zadzwoił telefon. Cliff pobiegł go odebrać i zawołał z kuchni:

— Mamuś! To ciocia Sabrina!

Sabrina wyteżęła słuch, żeby coś usłyszeć poprzez trzaski w słuchawce i pobrzękiwanie naczyń, które Penny i Cliff sprząтали ze stołu. Zrozumiała, że chodzi o Antonia; Stefania była chyba zdenerwowana.

— Oddzwonię do ciebie — przerwała jej Sabrina. — W czasie weekendu, dobrze?

— Nie — głos Stefanii nagle odpłynął — ...dę na wsi.

— A więc w poniedziałek — skwitowała Sabrina i dodała: — Nie zawracaj sobie głowy Antoniem.

Sprawy, których mógł dotyczyć ten telefon, wydawały się jej odległe i nieważne.

Mało brakowało, by w ciągu weekendu doszczętnie o nim zapomniała. Niemal niedostrzegalnie wpasowała się w rodzinny tryb życia. Oboje z Garthem wykonywali wspólnie z dziećmi różne zajęcia w domu i ogrodzie, rozmawiając o zwykłych domowych sprawach. Znow zaczęła gotować, wybierając przepisy z najbardziej zniszczonych kartek, bo one właśnie, uznała, musiały dotyczyć ulubionych dań. Nie mogła się oprzeć pokusie wprowadzenia kilku drobnych poprawek i sądziła, że nikt ich nie zauważył, dopóki przy niedzielnej wieczornej kawie Garth nie pochwalił jej, iż jedną ręką gotuje o niebo lepiej niż większość kucharek dwoma.

Nie do wiary, w jaki dobry humor wprawił ją ten komplement.

Rozmyślała o tym później, gdy oboje siedzieli w salonie. Obejrzeni program rozrywkowy w telewizji, a potem czytali, siedząc blisko w zachodzących na siebie kręgach światła. Dom wokół nich zdawał się drzemać, cicho płynęła muzyka z adapteru. Sabrina podniosła wzrok znad książki i napotkała spojrzenie Gartha. Uśmiechnęli się do siebie — dwoje ludzi w pogrążonym we śnie świecie. Spuściła szybko oczy na książkę, żeby przerwać czar.

O północy Garth oświadczył, że idzie spać.

— Mam jutro rano spotkanie z zastępcą rektora.

Nieco później, gdy wyłączyła światło i poszła na górę, zastała go leżącego na własnej połowie łóżka. Oddychał głęboko. Wsunęła się w pościel, wstrzymując oddech i usiłując stać się niewidzialną i nieważką. Nie poruszył się i zanim się zorientowała, czy udaje, czy śpi naprawdę, sama zapadła w sen.

W poniedziałek Garth zaproponował, żeby wzięła sobie w biurze jeszcze parę dni wolnych.

— Zadzwoię do Teda i wytłumaczę cię — powiedział, a ona chętnie na to przystała. Tchórz, pomyślała pod własnym adresem. Wcześniej czy później będziesz musiała się tam pojawić.

Niektórych rzeczy jednak nie można było dłużej odkładać. Sabrina umówiła się wreszcie z nauczycielką Penny i po lunchu poszła do szkoły. Stefania opisała ją jako „onieśmielającą osobę” i Sabrinie wystarczył jeden rzut oka na niską postać z nienagannie ułożonymi siwymi włosami, zdecydowany wyraz ust i sztywno trzymaną głowę, by zrozumieć powody tej opinii.

— Proszę usiąść, pani Andersen. Penny mówiła mi o pani wypadku. Jak pani ręka?

— Mam nadzieję, że zrasta się bez przeszkód.

— Oczywiście nie wiadomo, co dzieje się pod gipsem. Można tylko mieć nadzieję. Chciałabym powtórzyć pani to, o czym mówiłam już w zeszłym roku. Otóż jestem naprawdę zadowolona z Penny. To przemiłe dziecko i świetna uczennica. Czasami jednak jest zbyt samowolna; powinna pani mieć to na uwadze.

— Zbyt samowolna — powtórzyła Sabrina, mierząc panią Casey spokojnym spojrzeniem.

— Lubi postawić na swoim. To oczywiście cecha wszystkich nastolatków, lecz Penny jest zbyt pewna siebie. Powinno się ją nieco przywołać do porządku.

— W jaki sposób? — zainteresowała się Sabrina.

— Musi nauczyć się pokory, bez której dzieci całkowicie wymknęłyby się nam spod kontroli, pani Andersen. Penny, jak i wszyscy pozostali, musi nauczyć się szacunku dla zwierzchników i przyswoić sobie umiejętność zajmowania właściwego miejsca w uporządkowanej hierarchii władzy. To, że dorośli wiedzą więcej od dzieci, jest niepodważalną prawdą. Jeśli dzieci zaczną sądzić, że ich opinie są równorzędne z naszymi, kto zdoła utrzymać je w ryzach? Jak moglibyśmy je wtedy uczyć? Pani, oczywiście, rozumie to wszystko, lecz podnoszę tę kwestię, ponieważ Penny ma skłonność do... e... pewnej apodyktyczności. Cenię niezależność, do pewnego stopnia, pani Andersen, lecz nie pochwalam krnąbrności.

Sabrina, nieporuszona, przytaknęła skinieniem głowy.

— A jeśli chodzi o to przedstawienie lalkowe?

— To dobry przykład. To przedstawienie ma obrazować ekspansję na zachód, wojnę meksykańską, czasy gorączki złota. Jest rekwizytem pomocnym w nauczaniu, a nie zabawą. Ubiegłej wiosny pozwoliłam Penny na zaprojektowanie i wykonanie kostiumów. Do końca roku szkolnego wykonała kompletny zestaw szkiców, które wykazywały podziwu godną werwę. Lecz gdy zasugerowałam pewne zmiany, zaczęła się ze mną kłócić, a gdy wydałam w tej kwestii stanowcze polecenie, odmówiła wykonania go twierdząc, że nie powinnam się wtrącać do jej projektu. Tego, rzecz jasna, nie mogłam tolerować. Władzę w klasie powinna sprawować jedna osoba lub powstanie chaos. Więc przydzieliłam kostiumy Barbarze Goodman, która...

— Nie powiadamiając o tym Penny.

— Aaa. Tak, przyznaję, to był błąd. Miałam zamiar jej o tym powiedzieć, lecz przeszkodziła mi jakaś pilna sprawa, a następnego dnia umknęło mi to z pamięci. Mogę zrozumieć, że dziecko jest tym wzburzone. Zanutuję sobie, że powinnam ją przeprosić. Przepraszając dzieci za swoje błędy, dajemy im dobry przykład. Chciałabym dodać, że gdyby Penny zgodziła się na wprowadzenie poprawek, ten projekcik wciąż należałby do niej i nie trzeba by jej przeproszać.

— Pani Casey.

Po raz pierwszy nauczycielka spojrzała wprost na Sabrinę i dostrzegła błysk w jej oczach.

— Pani Andersen, to doprawdy błaha sprawa. Penny zapomni o niej niebawem...

— Pozwoli pani. Teraz moja kolej. — Sabrina pozwoliła, aby na długą chwilę zapadła cisza. — Jest pani tyranką — ciągnęła miłym głosem. — Tyrani zawsze mają bardzo określone poglądy na hierarchię władzy i przypominanie ludziom o ich właściwym miejscu. — Trzęsła się z gniewu, lecz wciąż przemawiała spokojnym i pogodnym głosem. — Gdyby pani organizowała swoje małe przedstawionko z dorosłymi, nie poświęciłabym pani chwili uwagi. Lecz pani sprawuje władzę nad sześcioklasistami, którzy nie wiedzą jeszcze, jak się obronić przed kimś, od kogo są uzależnieni, gdy ten ktoś próbuje ich stłamsić i pozbawić całej niezależności i pewności siebie.

— Nie ma pani prawa tak do mnie mówić...

— Płacę podatki na pani pensję, pani Casey, pracuje pani dla mnie. Pozwoli pani, że skończę. Dopóki jestem matką Penny, zamierzam zrobić wszystko co w mojej mocy, żeby utrzymać jej poczucie własnej wartości. Chcę, żeby wierzyła w to, że może coś samodzielnie osiągnąć, a jednocześnie nie wstydziła się prosić o pomoc, gdy jej potrzebuje. Nie pozwolę z niej zrobić służalczej, pokornej kreatury, czego pani najwyraźniej wymaga, aby zaspokoić swoje dyktatorskie zapędy.

— Jak pani śmie...

— Jeszcze nie skończyłam. Ma pani dwa wyjścia. Mogę przenieść Penny do innej klasy, przedstawiając pani zwierzchnikowi wyczerpujące wyjaśnienie powodów, które mnie do tego skłoniły. Pozwolę jednak Penny zostać, jeśli zdoła mnie pani przekonać, że w przyszłości skoncentruje się na nauczaniu, a nie tyranizowaniu.

Pani Casey milczała, kurczowo wykręcając ręce na podolku. Usztywnione mięśnie jej szyi zwiotczały i głowa drżała jak suchy kwiat na pochylonej łodydze. W duszy Sabriny poprzez gniew doszło do głosu współczucia. Zgadła, że były już wcześniej skargi na panią Casey, a przedłużająca się cisza utwierdziła ją w tym mniemaniu.

— Może porozmawiamy o tym nad filiżanką kawy? — odezwała się impulsywnie. — Czy jest w szkole takie miejsce...?

Pani Casey podniosła wzrok.

— Tak, zna je pani doskonale. Świetlica nauczycielska, gdzie w zeszłym roku pomagała pani przygotowywać przyjęcie na Boże Narodzenie.

— Tak, oczywiście, ale miałam na myśli jakieś bardziej prywatne miejsce.

— Nikt nam nie będzie przeszkadzał. — Zaczepnęła powietrza. — Pani Andersen, od trzydziestu lat jestem nauczycielką. Mój zawód to wszystko, co posiadam. Uczniowie są jedynymi bliskimi mi ludźmi, poza nimi nie mam nikogo na świecie. Pani, rzecz jasna, nie może tego zrozumieć, skąd miałyby pani coś wiedzieć o absolutnej samotności? Wszyscy potrzebujemy wiary w coś, wiary, która by nas podtrzymywała. Ja wierzę w porządek i zachowanie dyscypliny. Zawsze jednak chciałam być dobrą nauczycielką. Jeśli nią nie jestem, poniosłam życiową klęskę.

Gniew Sabriny ulotnił się. Zostało tylko współczucie. Ja wierzę w samą siebie, pomyślała. Pani Casey nigdy nie było to dane. Wstała z krzesła.

— Co pani powie na kawę? Sądzę, że jest wiele rzeczy, o których możemy porozmawiać.

We wtorek Penny wróciła ze szkoły w podskokach i rzuciła się Sabrinie na szyję, wykrzykując entuzjastycznie, że pani Casey znów przydzieliła jej szycie kostiumów dla lalek, a Barbara Goodman ma być jej główną pomocnicą.

— Powiedziała, że bardzo jej przykro, i nawet się uśmiechnęła!

— A co na to Barbara?

— Och, bardzo ją to ucieszyło, nie ma zielonego pojęcia o projektowaniu kostiumów. Dlaczego siedzisz przy telefonie? Czy ktoś ma dzwonić?

— To ja do kogoś dzwoniłam. Ale nie ma go w domu.

— To chodź obejrzyć moje rysunki. Pani Casey mówi, że mogę wykorzystać je wszystkie, ale muszę przerobić generała Santa Anna. Pokazała mi go na obrazku w książce, więc teraz wiem, o co chodzi. No, idziesz?

Sabrina powoli poszła za nią na górę. Próbowwała dodzwonić się do Stefanii, żeby się dowiedzieć, po co telefonowała w piątek. Lecz w domu nikogo nie było, nawet pani Thirkell. Spróbuję później z aparatu w sypialni, pomyślała. Nikt nie będzie mi przeszkadzał.

Przy obiedzie Garth spojrzał na nią kpiąco.

— Słyszałem dziś o tobie fascynującą opowieść. Poczula, że spina się wewnątrz.

— Tak?

— Od Vivian Goodman.

***Vivian o niczym nie wie. Nie ma się czym przejmować.***

— Twierdzi, że wczoraj poszła na rozmowę do nauczycielki, która przydzieliła jej córce zadanie przyprawiające ją o paniczny strach. Przekraczało jej możliwości, lecz bała się do tego przyznać. Gdy Vivian przyszła do szkoły, nauczycielka była zajęta rozmową w tej samej sprawie z inną matką. Było to tak ciekawe, że Vivian zaczęła podsłuchiwać. Nic mi nie mówiłaś, że nazwałaś panią Casey tyranem.

Sabrina potrząsnęła głową. Nie przytoczyła szczegółów rozmowy, bo nie wiedziała, jak przeprowadziłaby ją Stefania.

— Według Vivian byłaś chłodna, opanowana i zrównałaś ją z ziemią. Żałuję, że mnie tam nie było. Na ogół, gdy chodzi o dzieci, emocje biorą w tobie górę.

Oczywiście, Stefania nie zdołałaby tak bez trudu powściągnąć gniewu. Łatwo jednak być chłodnym i opanowanym, gdy chodzi o cudze dziecko. Nie mogę sobie przypisywać zasług za to, że jestem mniej zaangażowana emocjonalnie niż prawdziwa matka.

— Dlaczego kręcisz głową? — spytał Garth. — Nie nazwałaś jej tyranem?

— Co? A! Tak, po prostu jakoś mi się wyrwało, bo naprawdę jej zachowanie i słowa same to nasuwały...

— Nie musisz się usprawiedliwiać. Vivian mówi, że pani Casey od lat budziła paniczny strach w uczniach. Niezwykła z ciebie kobieta. Jestem z ciebie dumny.

Zarumieniła się z zadowolenia i natychmiast w środku zabrzączał mały sygnał ostrzegawczy. Zaczynało jej zależeć na pochwałach Gartha.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że Barbara jest córką Vivian — odwróciła temat rozmowy. — Nie skojarzyłam nazwisk. — Myślałam, że poznałaś je obie na pikniku klasowym w zeszłym roku.

— Doprawdy? Nie pamiętam.

***W dodatku mężczy mnie to ciągle udawanie i brak kogoś, przy kim***

*mogłabym się odprężyć, mówić swobodnie i po prostu być sobą. Oprócz Stefanii.*

*Dlaczego Stefanii nie ma w domu? Ani pani Thirkell.* Gdy siedzieli oboje w bawialni nad lekturą, ciszę przerwał nagle dzwonek telefonu.

— Zamiejskowa do ciebie — powiedział Garth. Pobiegła do kuchni. *Stefania. Nareszcie.*

— Stefania? — usłyszała w słuchawce głos matki. — Właśnie wróciliśmy do Waszyngtonu. Jak się czujesz? Jak ci się udała chińska przygoda? Nie mogłam się dodzwonić do Sabriny w Londynie, więc będziesz musiała opowiedzieć mi wszystkie nowiny.

— Myślałam, że jesteście w Paryżu. Czy Genewie. Czy gdzieś tam.

— W Moskwie, kochanie. Twój ojciec miał tam konferencję, lecz skończyła się wcześniej, więc wróciliśmy do domu. Opowiedz mi o Chinach.

Sabrina relacjonowała przez chwilę wrażenia z podróży i jeszcze raz opisała pana Su, lampę z brązu, zestaw do gry w szachy i misterną rzeźbę złożoną z figurek dam dworu, którą dostała w podarunku.

*Jak mogę oszukiwać własną matkę? Czy ona nic nie podejrzewa?*

— Masz zmęczony głos, Stefanio. Wszystko w porządku?

*Nie mów nic o złamanej ręce, bo może zechce przyjechać i pomóc w domu. Wątpię, czy zdolalabym oszukać ją z bliska.*

— Czuję się świetnie, mamó, jestem tylko zajęta. Wiesz, ile pracy czeka, gdy się wraca z podróży.

— Jesteś pewna, że to wszystko? Czy ty i Garth... dobrze ze sobą żyjecie?

— Tak, oczywiście. A dlaczego miałyby być inaczej?

— Nie musisz przybierać tak obronnego tonu. W twoim ostatnim liście wyczytałam podteksty, które nas trochę zaniepokoiły.

— Wszystko w porządku, mamó. Nie cierpię prac domowych i uwielbiam dom jako taki.

Laura roześmiała się, zaskoczona.

— A to coś nowego!

— Może to takie nowe wrażenie po powrocie. — Sabrina rozgadała się: już od tak dawna nie miała z kim porozmawiać. — Nienawidzę prania, a przepadam za pracą w ogrodzie. Wynajęłam sprzątaczkę, która ma przychodzić co dwa tygodnie i zastanawiam się, czy między jej wizytami nie pozostawić spraw ich biegowi i nie zatonać w bałaganie.

— Stefanio, nie poznaję cię!

— Możliwe. Od czasu tej podróży czuję się jakoś inaczej. Podoba mi się cichy rytm życia tutaj: ten brak przymusu nadążania za tempem życia towarzyskiego...

— Czy to ma być krytyka naszego stylu bycia, moja droga? Sabrina umilkła na chwilę.

— Ależ skąd. Nawet mi to do głowy nie przyszło. Czy to nadążanie stanowi dla was źródło troski?

— Zawsze tak było. Wiesz o tym od chwili swoich urodzin. Sabrina rozumiała to lepiej niż ty i dlatego świetnie sobie radzi w Londynie. Ty nigdy nie dałabyś sobie z tym rady.

— Nie. Co to ja mówiłam? Ach, tak. Lubię naszych tutejszych znajomych i ich powiązania z uniwersytetem i miasteczkiem. Lubię wygodę zaniedbanych pokoi w tym dużym, cudownym domu. Lubię mieć wokół swoją rodzinę. Robią masę hałasu, ale wnoszą też wiele życia. To pomaga mi pozbierać rozproszone myśli.

— Stefano, czy ty i Garth zażywacie narkotyki?

— Mamo!

— Bo mówisz naprawdę niezwykle rzeczy. Dlaczego wyliczasz swoje upodobania?

— Bo mam okazję z tobą porozmawiać. Myślałam, że z radością się dowiesz, jaka jestem szczęśliwa. I że Garth i ja nie zamierzamy się rozwieść.

— Moja droga, nigdy nie wspominałam...

— Czy nie to właśnie zaczęłaś podejrzewać po przeczytaniu mojego listu?

— Może i tak było. Obecnie rozwody przysparzają wiele zmartwień. Spójrz na Sabrinę. Sama nie wiem, kiedy popełniła większy błąd — wychodząc za Dentona czy biorąc z nim rozwód — ale nie jest chyba bardzo szczęśliwa. Jak sądzisz? Sabrina milczała.

— Stefano? Co ty o tym myślisz?

— Prawdopodobnie nie jest. Przynajmniej nie zawsze.

— Więc rozumiesz, czemu się o ciebie martwię. Moja droga, ojciec mnie woła. Przyjedziemy do was na Święto Dziękczynienia, jak zwykle. Czy, twoim zdaniem, moglibyśmy namówić Sabrinę, żeby się do nas przyłączyła w tym roku?

— Wątpię.

— W każdym razie zapytam ją.

Odłożywszy słuchawkę, Sabrina stała chwilę w pokoju śniadaniowym. Opowiadając o swoim tutejszym życiu, mamo, pominęłam milczeniem istotną kwestię — że lubię należeć do społeczności, która akceptuje mnie taką, jaką jestem, a nie z powodu mojego wyglądu,



wytwornej konwersacji, ekskluzywnego sklepu, dobrych znajomości czy byłego małżeństwa.

Dajże spokój, sztychł jakiś głos w głębi jej duszy, a kogóż to akceptuje ta społeczność? Sabrinę Longworth czy Stefanię Andersen?

Wolała nie odpowiadać.

W środę spróbowała ponownie zadzwonić do Stefanii.

— Lady Longworth nie ma w domu — usłyszała głos pani Thirkell. — Czy mam poprosić ją, aby do pani zadzwoniła, pani Andersen?

— Tak, już od jakiegoś czasu usiłuję ją złapać.

— Och, tak mi przykro, pani Andersen. Byłam w Szkocji w odwiedzinach u chorej siostry, a lady Longworth jest, zdaje się, zajęta urządzaniem domu na Eaton Square. Lecz przekażę z całą pewnością, aby oddzwoniła do pani.

Sabrina odłożyła słuchawkę czując, jak ogarniają ją fale depresji. To tak, jakby ktoś zatrzaskał jej drzwi przed nosem! Lady Longworth, która pracuje na Eaton Square! Pani Thirkell, która zwraca się do niej „pani Andersen”. Jakby straciła swoje miejsce w tamtym życiu. ***Nie mogę, to niemożliwe. To, że mi się tu podoba, nie znaczy jeszcze, że chcę wyłącznie tego. Porozmawiam jutro ze Stefanią, żeby się dowiedzieć, co się tam dzieje.***

***I przypomnieć sobie, gdzie jest moje właściwe miejsce.***

Lecz następnego ranka Penny obudziła się z gorączką i suchym kaszlem, co napełniło Sabrinę przerażeniem. To moja wina, pomyślała, nie zwracałam uwagi na to, co dzieci wkładają, gdy wychodzą na dwór. Zadzwoniła do pediatry, znalazłszy numer na liście Stefanii.

— Niech ją pani przywiezie — powiedziała siostra. — Zobaczymy, co jej dolega.

Sabrina znów spojrzała na listę. Cos Building na Ridge Avenue.

— Jak się tam dostać? — pomyślała na głos. W słuchawce nastąpiła chwila zdumionej ciszy.

— Czy coś się stało z pani samochodem? — spytała wreszcie pielęgniarka. — Może któraś z pani przyjaciółek...

— Tak. Tak, oczywiście. Zaraz tam będziemy.

Z gorączkowym pośpiechem wyciągnęła mapę, której używała od trzech tygodni, i znalazła drogę do ośrodka medycznego przy szpitalu miejskim.

— To do pani niepodobne, żeby się tak denerwować — zauważyła lekarka, gdy przybyły na miejsce. Spojrzała z sympatią na Sabrinę. — Wygląda pani na przemęczoną. Dolega pani ręka? Czy jest może jakiś inny powód?

— Czy mogłybyśmy porozmawiać o Penny? — poprosiła Sabrina.

— Naturalnie. Penny, masz bronchit, niezbyt ciężki, ale może się pogorszyć, jeśli nie będziesz uważać. Zaordynuję ci parodniowe leżenie w łóżku, nawilżacz powietrza w pokoju i paskudny syrop, który wyleczy twój kaszel. Ty albo mamusia powinnyście zadzwonić w sobotę, żeby dać mi znać, jak się miewasz. Są jakieś pytania?

Penny potrząsnęła głową.

— Przepraszam — powiedziała Sabrina, wściekła na siebie za swoją niegrzeczność. — Tyle mam na głowie. Bardzo dziękujemy i odezwiemy się w sobotę.

— Lub wcześniej, gdy będzie potrzeba. I proszę się nie martwić. Penny to krzepka młoda dama, wyjdzie z tego w mgnieniu oka.

Gdy wsiadły do samochodu, Sabrina pokręciła głową z naganą dla samej siebie. Jaskrawy przypadek przesadnej reakcji. Stefania sprostałaby sytuacji bez najmniejszych trudności. Lecz ja pierwszy raz w życiu miałam do czynienia z chorym dzieckiem.

Wieczorem poszli z Garthem na kolację do Talviów, zostawiając Penny podpartą poduszkami i radośnie jedzącą z Cliffem kolację z jednej tacy.

— Kupiliśmy ci prezent — oznajmiła Linda na przywitaniu.

— Czyżby na następne urodziny?

— Nie — zaśmiała się — ale obie z Dolores doszłyśmy do wniosku, że trzeba cię rozweselić, więc kupiliśmy ci to. — Wręczyła jej paczuszkę. — Jest bardzo wesola.

Była to domowa suknia z miękkiej bawełny w jaskrawe kwiaty, przewyższająca żywością kolorów całą zawartość szaf Stefanii, z rodzaju tych, jakie Sabrina lubiła najbardziej. Gdy dziękowała Lindzie, jej twarz rozjaśnił uśmiech zachwyty, na widok którego Garthowi zaparło dech.

— Chyba będę ją nosić do pracy. Jest za śliczna, żeby chować ją cały dzień w szafie.

— Naprawdę ci się podoba? Dolores myślała, że będzie dla ciebie zbyt jaskrawa.

— Nic podobnego, jest przepiękna. Masz wspaniały gust. Linda promieniała zadowoleniem.

— Skąd wiesz, że to ja ją wybrałam?

— Bo Dolores myślała, że będzie za jaskrawa.

Włożyła ją następnego wieczora, czując, że jej nastrój generalnie się polepszył. Gorączka Penny spadła, a kaszel się zmniejszył. To dla niej, nie dla Stefanii, kupiły prezent Linda i Dolores. W ciągu ostatnich trzech tygodni prawie co dnia dzwoniły do siebie i często

spotykały się w kuchni u którejś z nich na popołudniową kawę. Niezależnie od tego, jakim imieniem się do niej zwracały, to ona była ich przyjaciółką. Nie zdążyła jeszcze pomówić ze Stefanią, lecz teraz nie wydawało jej się to tak ważne. Gdyby coś było nie w porządku, Stefania zadzwoniłaby do niej.

— Śliczna sukienka — powiedział Garth. — Prawie oddaje ci sprawiedliwość.

Zarumieniła się.

— Dziękuję.

— Wyglądasz o wiele lepiej.

— I tak też się czuję. I Penny wraca do zdrowia.

— Nie męczą cię już te bóle głowy?

— Ani trochę. A sińce wprawdzie wyglądają okropnie, ale już prawie o nich nie pamięć... — urwała.

— To dobrze — odparł swobodnie. — Miałem zamiar darować sobie konferencję, ale skoro czujesz się tak dobrze, myślę, że jednak pojedę.

— Konferencję?

— Wiesz przecież... Czyżbym ci o tym nie mówił?

— Nie sędzę.

— Zaczyna się szóstego października. Jutro. Odbędzie się w Berkeley i potrwa tydzień. Wielki Boże, czy naprawdę zapomniałem ci o tym powiedzieć? To niewybaczalne, jak mogłem...

— Nic nie szkodzi, nie denerwuj się tak. Pewnie mi o tym wspominałeś, a ja zapomniałam. — Lecz w duchu wiedziała, że to nieprawda. Nie zapomniałaby tak łatwo o perspektywie całego wspaniałego tygodnia bez potrzeby wynajdowania wymówek w łóżku, szczególnie po tym, jak się wygłupiła przyznając, że czuje się świetnie. — Cieszę się, że się tam wybierasz — dodała.

— Będiesz miała cały tydzień dla siebie. Zaskoczyło ją to. Jak często odgadywał jej myśli?

— Powiedziałam to w innym sensie: jeśli chcesz pojechać, ciesz się, że nie musisz się nami przejmować.

Poradzimy sobie. Już teraz wszystko idzie świetnie.

— Czy wybierasz się do biura w poniedziałek?

— Chyba tak. Tak, oczywiście. Dlaczego pytasz?

— Wolałabyś się tam w ogóle nie pojawiać.

— Nic takiego nie mówiłam.

— Ale tak myślałaś.

— Zrobię wszystko, co do mnie należy — powiedziała prawie z gniewem. — Zresztą będę też miała trochę przyjemności. Umówiłam się na lunch z Vivian. Chciałam cię zapytać, co się dzieje z jej pracą.

— Czy mówiłem ci kiedyś o mojej Teorii Mechanizmu Działania Wyższej Uczelni? Podobnie jak większość instytucji, podobna ona jest do kadzi z melasą — wszystko odbywa się tu nieruchawo i ospale. Gdy w jednym miejscu powstaje jakieś wrzenie, reszta masy rozlewa się i przykrywa drażliwy punkt. Gdy próbuje się wygrzebać w niej dołek, powierzchnia natychmiast wyrównuje się z powrotem. Gdy brodzi się przez nią zbyt szybko, można paść z wyczerpania, a gdy chce się zanurzyć w nią i popłynąć, energicznie rozpychając, człowiek tonie.

To ją rozśmieszyło.

— Wystarczy jednak ją podgrzać, a robi się rzadka i łatwiej się przelewa.

— Otóż to. Toteż rozpaliliśmy małe ognisko pod zastępcą rektora, Lloydem Straussem. Znasz go.

— I zaczął się żwawiej ruszać?

— Z impetem fali przypływu. W ciągu zaledwie jednego tygodnia doszedł do wniosku, że połowę rasy ludzkiej stanowią kobiety, i spytał Williama Webstera, którego wydatny brzuch znakomicie spełnia rolę kłody rzucanej pod nogi, dlaczego nasza wieża z kości słoniowej przypomina klub czysto męski.

— Chciałbyś pozbyć się Webstera, co?

— Czy to aż tak rzuca się w oczy? Mam nadzieję, że nikt inny tego nie zauważył. Wyglądałoby na to, że chcę go wygryźć z posady. — Ale to nieprawda.

— Rany, nie. Chcę więcej czasu siedzieć w laboratorium, nie za biurkiem.

— Czy *Foster Laboratories* daje ci to, czego chcesz?

— Zastanawiałem się, kiedy znów poruszysz ten temat.

— Nie miałam zamiaru wszczynać długiej dyskusji, spytałam tylko, czy ta praca dałaby ci zadowolenie.

— Nie jestem o tym przekonany — powiedział zmierzwiwszy ją długim, przenikliwym spojrzeniem.

— W jaki sposób chcesz się tego dowiedzieć?

— Chyba będę musiał tam pojechać i rozejrzeć się trochę. Przytaknęła skinieniem głowy.

— Żadnych uwag?

— A jakich uwag się spodziewałeś?

— Niech mnie diabli, jeśli wiem. W przeszłości nigdy ci ich nie brakowało. Jeśli pojedę na rekonesans, wybierzesz się ze mną? — Chyba nie. Powinieneś mieć okazję sam to przemyśleć.

— To coś nowego. Do tej pory...

Wstała i strzepnęła fałdy sukni.

— Chyba pójde na górę. Chcę zadzwonić do siostry.

— Od kiedy ona jest na nogach o wpół do szóstej rano?

— Tam teraz nie jest rano, a późne... Nie, masz rację. Jakie to głupie z mojej strony, policzyłam na wspak. Ona naturalnie jest w łóżku. Zadzwonię jutro. W takim razie idę spać.

— Bez dalszej rozmowy na temat *Foster Laboratories!*

— Wolałabym odłożyć to na kiedy indziej. Poczekał chwilę.

— W porządku. Wkrótce pójde na górę.

— Dobranoc.

Wolno wchodziła po schodach, zastanawiając się, jak mogły jej się pomylić czasy w Chicago i Londynie po prawie trzech spędzonych tu tygodniach. Czuła się nieswojo w obecności Gartha — oto powód. Swoboda i bliskość ich rozmów niepokoiły ją. Skąd znała go tak dobrze, by czytać w jego myślach? Nie chcę tego, pomyślała.

Czego więc chciała?

Zachować dystans między nim a sobą — lecz jednocześnie widzieć jego uśmiech i słyszeć pochwały.

Próbowała sobie wmówić, że to tylko nudny szwagier. A jednak potrafił pobudzić ją do śmiechu, jego praca była fascynująca. Wydawał jej się taki mądry...

Pamięć podsunęła jej wspomnienie Stefanii zarzucającej mu zamykanie się w sobie i zaniedbywanie żony, lecz natychmiast wyparła je myśl o jego opiekuńczej troskliwości, która obudziła w niej ciepłe uczucia dla niego.

Leżąc tak i rozmyślając o Garcie usłyszała jego kroki na schodach. Gdy stanął w drzwiach sypialni, Penny zaczęła kaszleć. Sabrina odrzuciła pled, lecz ją powstrzymał.

— Ja pójde.

Penny siedziała na łóżku, drobna figurka o bladej twarzy, na którą padało światło z korytarza. Nalał jej na łyżkę lekarstwa na kaszel, a ona skrzywiła się połykając je.

— Dlaczego to takie okropne?

— Im gorszy ma smak, tym szybciej cię uleczy i nie będziesz już musiała go zażywać. Wskakuj pod kołdrę, szybko, a ja cię opatulę.

— Tato, możesz ze mną chwilę posiedzieć? Położył rękę na jej czole. Było chłodne.

— Co, kochanie?

— Pytałam mamę o lekcje malarstwa i powiedziała, że mogę się na nie zapisać, jeśli ty się zgodzisz.

- Tak? No cóż, myślę, że jakoś sobie z tym poradzimy. Kiedy mają się zacząć?
- Zaraz po Bożym Narodzeniu. Ale...
- Ale?
- Muszę mieć farby, pędzle, węgiel i płótno. A to dużo kosztuje.
- No, czyja wiem. Myślałem, że mogłabyś rysować na serwetkach patykiem umaczanym w błocie. Skoro jednak upierasz się przy przyborach Leonarda da Vinci, potraktujemy to jako wczesny prezent pod choinkę i kupimy ci wszystko, czego potrzebujesz.
- Och, tatusiu! — Wyplątała się z prześcieradeł i zarzuciła mu ręce na szyję. Przytulił ją do siebie.
- A teraz spać, dobrze? Trudno namalować arcydzieło, gdy człowieka rozrywa kaszel.
- Tato?
- Co znowu?
- Dlaczego mama jest ostatnio jakaś dziwna?
- Jak to dziwna? — Garth znów usiadł na łóżku.
- Och, no wiesz... d z i w n a. Na przykład częściej nas teraz ściska, a prawie nigdy nie krzyczy. Czasem jakby w ogóle nie zauważała, co my robimy. I czasem się do ciebie uśmiecha, a czasem tak jakby nie chciała mieć z tobą nic do czynienia. I często patrzy gdzieś daleko i tylko... myśli. Jakby... jakby była tutaj i jednocześnie całkiem gdzieś indziej. Garth odgarnął jej włosy z czoła. Nie było sensu udawać. Wiele z zachowania rodziców umyka uwadze dzieci, lecz to, co dostrzegają, widzą z niesamowitą ostrością i intuicją.
- Sądzę, że gnębi ją wiele spraw, które stara się jakoś rozwikłać. Po osiągnięciu pewnego wieku, najczęściej trzydziestki, człowiek zaczyna się zastanawiać, czy robi w życiu to, czego naprawdę pragnie i tak, jak naprawdę chce. Więc czasami odsuwa się trochę...
- Jakby brał sobie wakacje od wszystkich, żeby pomyśleć o sobie samym oddzielnie?
- Właśnie tak. — Był zaskoczony. — Skąd ci to przyszło do głowy?
- Tak właśnie powiedziała mama, gdy ją spytałam.
- Ach tak. I co jeszcze powiedziała?
- Że się nie rozwiedziecie. — Że...
- Ale boję się, że ona wciąż o tym myśli. Garth siedział nieruchomo ze wzrokiem wlepionym w światło padające z korytarza. Głupi dureń. Głupi dureń z niego, że tego nie

zauważył. Jego jedenastoletnia córka musiała mu powiedzieć o tym, co samo rzuciło się w oczy. Jego mięśnie się napięły, a ręka zacisnęła na nie istniejącej rakiecie tenisowej, jakby chcąc posłać z całej siły piłkę przez pokój. Co za przeklęty, ślepy głupiec z niego, żeby nie domyślić się, iż ona chce rozwodu od — od jak dawna? Od czasu tej wycieczki? Jeszcze wcześniej?

Penny wiedziała. Wiedziała już od dłuższego czasu i nawet rozmawiała o tym z matką. „Ona wciąż o tym myśli.” Pewnie, że o tym myślała. Kto poza Penny zdawał sobie z tego sprawę? Kto był na tyle bystry, by spojrzeć prawdzie w oczy?

Gdzieś w zakamarkach duszy on również zdawał sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa, lecz spychał podejrzenie w głąb, gdy tylko wysunęło swój ohydny łeb. Na dobrą sprawę wszystko na to wskazywało, począwszy od ucieczki do Chin, a skończywszy na zapomnieniu o przepierce. Gdy chciał jej powiedzieć, że pod wpływem jej nalegań przeprowadził z Cliffem rozmowę na temat złodziejskiego łupu ukrytego w szafie, przyjęła to na pozór całkiem obojętnie. Nawet to. Gorzej, wyglądała, jakby nie miała zielonego pojęcia, o co chodzi. Jakby jej to wcale nie obchodziło. Wszystko, wszystko świadczyło o zamiarze odejścia.

Z wyjątkiem jednej rzeczy: faktu, że jeszcze wciąż tu była. I chciała, jak na razie, zostać. Bo jak inaczej można wytłumaczyć jej pracę nad sobą, jej usiłowania, żeby się zmienić, być bardziej żywą, interesującą i atrakcyjną, bardziej zainteresowaną nimi wszystkimi? Nie polegało to tylko na wspólnym kieliszku wina przed obiadem ani na tym, że przyznawała się do słabości i oddała pod jego opiekę, ani nawet na rozmowie przy stole o jego pracy. Próbowwała zachowywać się inaczej pod każdym względem i zmuszała go do tego samego. Aby mogli zacząć od nowa...

Czasami. Czasami jej zachowanie za tym przemawiało. A czasem zamykała się w sobie, jakby w głębi to lgnęła do niego, to go odpychała, dzień po dniu, godzina po godzinie. Myślała o rozwodzie. Lecz nie podjęła jeszcze decyzji.

Ogarnęła go fala czułości i podziwu. Jakaż okazała się silna zmuszając jego i siebie do ponownych zalotów. Przecież nie była pewna, jakie efekty ta próba przyniesie i czy mimo wszystko nie będzie musiała odejść, aby stać się kimś... kim chciała się stać... Mniejsza o to. Dość, że ta rola jej zdaniem wykluczała ich dalsze małżeństwo.

Musi jej pokazać, że rozumie, że pojął wreszcie, iż zaabsorbowany własną pracą, prawie pozwolił jej się wymknąć... że razem z nią zacznie od początku, jeśli ona zostanie i da im jeszcze jedną szansę.

To właśnie musi zrobić.

— Tato?

— Wszystko w porządku, kochanie. Twoja mamusia i ja me mamy zamiaru się rozwodzić. Dużo małżeństw o tym myśli i czasami, gdy mają poważne problemy, muszą się rozstać. Ale nie zawsze. I wiesz co?

— Co? — Jej głos był już senny.

— Kocham waszą mamę, ciebie i Cliffa bardziej niż kogokolwiek na świecie. Czy myślisz, że byłbym tak niemądry i pozwolił, żebyśmy musieli się rozstać, przy całej tej miłości?

— Kocham cię, tato — westchnęła Penny i zasnęła.

Garth schylił się i pocałował ją w czoło. Czasami nawet cała miłość świata nie wystarcza, pomyślał. Lecz zrobię, co w mojej mocy. Leżąc obok żony w ciemności przemówił cicho:

— Nie chcę jechać na tę konferencję. Ostatni tydzień był tak dobry: czułem, że na nowo się poznajemy po długim rozstaniu. Wiem, że ja bardziej tu zawiniłem. Chciałem o tym porozmawiać, ale ostatnio zaczęło wyglądać na to, że naprawdę zaczynamy wszystko od początku, więc nie było potrzeby. Czy miałas to samo wrażenie? Stefano? Wiem, że nie śpisz. Czy to był dobry tydzień?

Zacisnęła dłonie pod osłoną ciemności.

— Tak — odpowiedziała niechętnie. Przed oczami stanęły jej ciche wieczory, jego aprobaty dla jej poczynań, uczucie bliskości pośród rozmów i śmiechu, sposób, w jaki ich oczy spotykały się, gdy Cliff lub Penny powiedzieli coś śmiesznego, wspólne zajęcia w domu i to uczucie zespolenia z nim, z całą rodziną... — Tak.

Wsunął ramię pod jej kark i przyciągnął ją do siebie.

— Chcę poznać cię na nowo, zacząć od nowa. — Musnął ustami jej policzek i zamknięte oczy. — Trzymać się wspomnień o dobrych chwilach i budować na nich. Moja miłości — powiedział i przywarł wargami do jej ust.

Leżała sztywno, ogarnięta paniką, w rozterce, na przemian pograżając się w szczęściu i rozpacz, która drażyła ją od wielu dni. Gdy zsunął koszulę z jej ramion, w głowie jej huczało od sprzecznych myśli.

***Powstrzymaj go... Powiedz mu... Co? Wyskocz z łóżka. Odepchnij go. Powiedz... Co, na Boga? Że nie może tego robić?***

***Jest z żoną w swoim własnym łóżku.***

Jego dłonie i usta przesuwają się po jej ciele; szepcząc cicho całował jej piersi, a pocałunki te przyprawiały ją o dreszcze. Wyczuwała końcami palców kości i mięśnie jego ramion, gładką skórę grzbietu, i zdała sobie sprawę, że go obejmuje. Oderwała ręce. Znieruchomiał,



jakby zastygły w biegu, a potem znów pochylił się ku niej. Objął jej piersi i całował wgłębienie na jej szyi.

Sabrina usłyszała cichy jęk, który jej się wyrwał. Próbowwała walczyć z własnym uniesieniem. **Nie wolno, nie wolno nam tego robić...** Lecz jego ciało poruszało się tuż, nalegające i już znajome, a natarczywość jego rąk sprawiła, że zaczęła się osuwać jak w omdlenie w mroczną głąb pożądania, które przepływało ciężkimi falami przez jej wygłodniałe ciało.

**Nie wolno ci tego robić.** — Zimny głos ostrzeżenia przeciął jeszcze miękką ciemność. Drgnęła. Garth cofnął się, sądząc, że sprawił jej ból. Lecz jej ciało, całkiem niezależne od zamętu w jej mózgu, pomogło mu się w siebie wsunąć i gdy wszedł w nie, zastał ją otwartą, wilgotną i gładką. W nagłym porywie radości, która wybuchła jak płomień i której nie mogła już stłumić, uniosła się ku niemu z taką namiętnością, że — po tak długim okresie abstynencji — z niskim okrzykiem osiągnął spełnienie głęboko w niej, a potem znieruchomiał, przygniatając ją sobą.

Przeciągała tę chwilę... Jego silne ciało na niej... A potem położywszy mu rękę na ramionach lekko go odepchnęła. Podniósł głowę.

— Przepraszam, najdroższa. Pozwól...

— Nie — szepnęła w poczuciu winy i poniesionej straty. Własne pragnienie ją zawstydzalo. Odwróciła głowę.

Uniósł się i położył obok niej. Sabrina zadrżała pod wpływem przejmującego smutku.

— Zostanę w domu na ten tydzień — powiedział.

— Nie, chcę, żebyś pojechał.

— W takim razie skrócę pobyt do minimum. Mamy sobie tyle do powiedzenia, tyle czasu do nadrobienia.

Usłyszała w jego głosie nową nutę i spróbowała ją odczytać. To nie był triumf, nie satysfakcja... Nadzieja.

— Dobranoc, najdroższa — powiedział.

— Dobranoc. — Jej głos był niemal niedosłyszalny. — Śpij dobrze. Wyciągnął rękę i zamknął jej dłoń w ciasnym uścisku. Tak zasnęli.

## *Rozdział piąty*

Stefania i Max Stuyvesant weszli razem do ogromnego białego namiotu rozstawionego na terenach Chilton House. Max poprowadził ją przez tłum trzymając pod ramię. Znaleźli swoje miejsca przy Nicholasie i Aleksandrze właśnie w chwili, gdy licytator wszedł na podium. Krzesła stały blisko siebie i Stefania czuła nacisk ramienia Maxa równie mocno jak jego władczą obecność i spojrzenie jego oczu na swej twarzy. Odwróciła wzrok, gdy licytator rozpoczął wdzięczne przemówienie powitalne.

Aukcja w Chilton. Pierwsze wielkie wydarzenie nowego sezonu towarzyskiego. Trzystu uczestników z Wielkiej Brytanii i reszty Europy. Zamożni, nad wyraz wytworni w wiejskich tweedach, zajmowali w wyłożonym dywanem namiocie rzędy krzeseł i stali stłoczeni pod ścianami. Podniesiono klapę namiotu i na zewnątrz pozostałe sto osób obserwowało aukcję, siedząc na aksamitnych trawnikach lub rozkładanych krzeselkach. Słońce przeświecało przez wysoko płynące, rzadkie chmury; ciepłe powietrze pachniało ściętą trawą i przystrzyżonymi żywopłotami.

Aukcja w Chilton. Wydarzenie z towarzyskich wyżyn, nieosiągalne illa zwykłych śmiertelników, impreza z rodzaju tych, o jakich Stefania zwykle tylko czytała w gazetach.

I Max Stuyvesant, którego spotkała nieoczekiwanie w parku przed namiotem. Ramię przyciśnięte do jej ramienia nie pozwalało zapomnieć o jego obecności, chociaż próbowała skoncentrować się na aukcji.

Licytator kończył informację o historii rezydencji Chilton, zbudowanej za panowania królowej Anny, i jej nieżyjącym już właścicielu, słynnym malarzu, który nie pozostawił spadkobierców. Wykonawcy

testamentu sprzedawali dom i jego zawartość, a także stojącą oddzielnie pracownię, szklarnię, cztery garaże i dziesięć akrów parku.

— Otwieram licytację domu — powiedział jowialnie licytator — ceną dwustu tysięcy funtów.

Z grupy stojącej pod ścianą namiotu podniósł się szmer głosów.

— To okoliczni mieszkańcy — rzekł Max. — Niepokoją się, czy im nie spadnie na głowę jakiś niepożądany sąsiad. To istotny problem w wiosce liczącej dwustu mieszkańców.

— Sprzedane — zawołał licytator i przez tłum przeszedł szmer zdumienia. Po niespełna dwóch minutach licytacja skończyła się na sumie dwustu piętnastu tysięcy funtów. Stefania usłyszała, jak Aleksandra mówi z oburzeniem:

— Gdybym wiedziała, że pójdzie za takie grosze, także bym się na to rzuciła.

— To lord Wexon — zaszeptał ktoś. — Kupił ten dom dla swojej matki.

Miejscowi wydali westchnienie ulgi i wielu z nich wyszło, gdy licytator ziemski zszedł z podium, a jego miejsce zajął kolega z londyńskiego salonu aukcyjnego *Christie*.

— Teraz cyfry pójdą w górę — mruknął Max. — Mienie ruchome zawsze lepiej się sprzedaje niż sam dom. Co cię interesuje?

— Wazy miśnieńskie — odrzekła Stefania, zachwycona spokojnym brzmieniem swego głosu. W zamszowej spódnicy Sabriny i sztruksowym żakiecie, pod którym miękko gładził jej skórę kaszmirowy sweter, podniesiona na duchu obecnością potężnej postaci Maxa przy boku, stąpiła się z tłumem, była jedną z nich. Przewracała kartki katalogu. — Komódka w stylu Ludwika XVI z drzewa tulipanowca i stół z epoki Jerzego III. Państwo Raddison chcą biblioteczki z okresu regencji, lecz nie sądzę, żeby im się to udało: oznaczyli maksymalną cenę na trzy i pół tysiąca.

— Kupujesz w imieniu Petera i Rose? Czy przyczołgali się do ciebie na kolanach, czy też może masz tydzień dobroci dla zwierząt?

Stefania zmarszczyła brwi. O czym on mówi? Czy Sabrina miała jakieś nieporozumienia z Raddisonami?

— To niedyskretne pytanie z mojej strony — dorzucił Max gładko. — Pozwolisz, że zmienię temat. Ja mam zamiar kupić trzy figury z drzewa wiśniowego, co oznacza, że nie jesteśmy przeciwnikami. Miałem szczęście, że znalazłem cię dziś rano.

Skinęła głową udając, że studiuje katalog. Mało brakowało, a w ogóle by tu nie przyjechała. Gdy Nicholas zadzwonił wczoraj do

*Ambasadora* z propozycją, że po nią wpadnie w drodze na aukcję, wykazała niesłychany brak refleksu i głupotę.

— Na jaką aukcję?

— Moja droga Sabrina, na aukcję w Chilton; Amelia dzwoniła przecież do ciebie w tej sprawie, a z *Christie* z pewnością przysłali ci katalog. Musisz ze mną pojechać. Jak mógłbym zapuścić się samotnie w ostępy Wiltshire?

Roześmiała się na myśl o ich współpracy. Wiódł ślepy kulawego. Nigdy nie była w Wiltshire. Będzie musiała zdobyć mapę i przestudiować trasę.

— Rozumiem, Nicholasie. O której wyjeżdżamy?

— Obawiam się, że o ósmej. To absurdalna pora, ale co na to poradzić.

Odnalazła katalog i wkrótce całkowicie ją pochłonęła jego zawartość. Pożerała wzrokiem kolorowe zdjęcia na błyszczących stronicach, jak zawsze, gdy czytała o czymś, co leżało poza zasięgiem jej możliwości. Nagle uświadomiła sobie, że teraz ma odpowiednie środki. *Ambasador* miał oddzielne konto bankowe na licytacje — a ona miała *Ambasadora*. Podczas długiej rozmowy w poniedziałek siostra powiedziała jej, żeby nie krepując się czerpała z konta pieniądze na sklep w miarę potrzeb. Raz w życiu weźmie udział w licytacji, zamiast przyglądać się jej z daleka jak przygodny przechodzień lub marzyć o niej jak wtedy, gdy jako dziecko stała w milczeniu, ramię w ramię z siostrą, słuchając głosu matki.

Sabrina poradziła jej, żeby zasięgała rady Briana we wszystkich sprawach dotyczących galerii.

— Omawiamy wspólnie większość spraw i porównujemy notatki, więc nic nie będzie podejrzewał, jeśli o coś spytasz. — Zawahała się na chwilę. — Nie wie tylko o jednej rzeczy. Nie kupuj niczego od śliskiego jegomościa nazwiskiem Rory Carr lub jego firmy, *Westbridge Imports*. Powiedz o tym Brianowi, dobrze? Istnieje podejrzenie, że oni bawią się w fałszerstwa; trzymaj się od nich z daleka, dopóki nie zdobędziemy pewności. Co do reszty, po prostu pytaj Briana.

— Masz może jakieś propozycje? — zagadnęła Stefania Briana. — Czego możemy potrzebować z aukcji w Chilton?

Razem przejrzeli katalog, pozycja po pozycji, i Brian zaproponował wazy miśnieńskie, komódkę w stylu Ludwika XVI i stolik z epoki Jerzego III.

— Tak — zgodziła się Stefania. — Dziękuję ci. Czy mógłbyś przynieść mi rejestry aukcyjne?

Rozłożyła opasłe księgi na biurku sprawdzając, jakie ceny uzyskały

podobne przedmioty na poprzednich aukcjach. Zrobiwszy notatki, wkrótce wiedziała, jak licytować poszczególne przedmioty, by zapewniły Sabrinie zysk przy sprzedaży. Poczła przyływ otuchy. Pierwszy raz od tej niewiarygodnej chwili przed dwoma dniami, gdy Sabrina powiadomiła ją o swojej złamanej ręce, mogła pomyśleć o tym życiu jako o swoim własnym.

Przez cały poniedziałek aż do późna w nocy siedziała samotnie w galerii, przedzierając się przez rejestry i katalogi, zgłębiając tajniki firmy Sabriny i sięgając po książki na półkach, żeby wypełnić luki w swojej wiedzy o antykach. Nie wiem nawet połowy tego co Sabrina, myślała. Lecz w miarę jak czytała, zaczęło jej się przypominać sporo z tego, co umiała prowadząc biuro wyprzedaży. Okazuje się, że nie była to całkowita kłapa, pomyślała z czarnym humorem. Raczej okres przygotowawczy do przeobrażenia się w moją siostrę.

Siedząc o północy w ciszy biura Sabriny, wdychała zmieszane zapachy politory, zakurzonych aksamitów i brokatów oraz goździków w kryształowym wazonie, które Brian postawił na jej biurku dziś rano. Dotknęła szkła i poczuła mrowienie w czubkach palców. Cały miesiąc! *Ambasador*, Cadogan Square, pani Thirkell. Sklepy i zabytkowe ulice Londynu. Teatry, restauracje, uroczyste kolacje; żywiołowa przyjaźń Aleksandry i Gabrielle. Wolność.

Nagle pożądlive mrowienie ustało. Przytłoczyło ją poczucie winy, chłodne i twarde jak dotyk kryształu. Była żoną i matką: nie miała prawa do wolności. Odezwało się w niej poczucie odpowiedzialności i przywiązanie. Dlaczego nie przemówiły do tej pory? Dlaczego nie zjawiała się samotność, niepokój, chęć powrotu tam, gdzie należała?

— Bo nie mam żadnego wyboru — powiedziała na głos w nocnej ciszy. — Nie mogę wrócić. Zrujnowałabym wszystko, gdybym wróciła teraz.

„I bardzo jesteś nieszczęśliwa z tego powodu, co?” — naigrawał się z niej wewnętrzny głos.

Nie, nie jestem, odpowiedziała wyzywająco w duchu. Tęsknię za dziećmi, ale wiem, że są pod dobrą opieką, mają Sabrinę. Wróciłabym tam, gdzie moje miejsce, lecz skoro mam jeszcze przed sobą trochę czasu, chcę wykorzystać go na wszystko, o czym do tej pory tylko marzyłam. Nigdy nie będę miała drugiej takiej okazji. Czy to takie okropne, że tego pragnę? Wkrótce wrócę do domu, wezmę się w garść i podejmę wszystkie swoje obowiązki. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz.

We wtorek dała Brianowi listę zakupów, które Sabrina zrobiła w Chinach.

— Te zaznaczone wystawi się w galerii; inne, gdy nadejdą, trzeba dostarczyć zaraz klientom, których lista jest na odwrocie. Masz wszystkie potrzebne adresy.

— Tak, milady. Zajmę się tym.

— Jeszcze jedno, Brian. Nie mogę znaleźć wrześnieowej listy należności.

— Och, milady, przepraszam stokrotnie: lista jest u mnie w biurku. Lady Vernon przysłała w zeszłym tygodniu czek... — zamilkł. Na co czekał? Na jakąś reakcję. Może objawy zaskoczenia? Zapewne lady Vernon nie była znana z szybkiego płacenia należności.

— Naprawdę?

— Tak. Tym razem tylko z sześciomiesięcznym opóźnieniem.

— No cóż, poprawa.

— I to znaczna, milady. Ostatnim razem spóźniła się z zapłatą osiem miesięcy.

— Jeśli Bóg obdarzy nas długim życiem, może doczekamy chwili, gdy lady Vernon zapłaci bez zwłoki.

Uśmiechnął się.

— Przygotuję na pojutrze чеки do podpisu, milady.

Potem przyszła Rose Raddison, aby zapytać o biblioteczkę w stylu regencji, która miała być wystawiona na aukcji w Chilton.

Teraz, gdy Stefania siedziała przy boku Maxa w namiocie licytacyjnym, przyszło jej do głowy, że mogłaby spróbować wybać, co wiedział o kłótni z Raddisonami. Musiała do niego dotrzeć ta historia. Lecz porzuciła ten zamiar. Jego tajemnicze spojrzenie i lekki uśmiech sprawiały, że czuła się naiwna i niedoświadczona. Łatwo mógł ją przechytryć i wyciągnąć z niej więcej niż ona z niego.

Licytacja toczyła się wartko i wiele przedmiotów już sprzedano. Stefania obserwowała biorących w niej udział, szczególnie Aleksandrę, która dołączała się w ostatniej chwili, odzywając się z wdziękiem i zdecydowanie, lecz bez przesadnej gestykulacji i nerwowych podrygów. Dla Stefanii wkrótce stało się jasne, że prawdziwą umiejętnością podczas licytacji jest nie rzucać się w oczy nikomu poza licytатorem i w ten sposób utrzymywać przeciwników w nieświadomości co do tego, przeciwko komu stają. Nie znając stopnia zamożności uczestników licytacji, nie mieli pojęcia, jak daleko będą musieli się posunąć, i łatwo odpadali. Przypomniała sobie rozmowy Gartha i Nata Goldnera o pokerze i uśmiechnęła się w duchu. Aukcja w Chilton była grą pokera na najwyższym poziomie.

Gdy przyszła kolej na komodę w stylu Ludwika XVI, licytator opisał jej pochodzenie i procesję właścicieli, po czym otworzył licytację

sumą tysiąca ośmiuset funtów. Zatrzymał się na chwilę i omiótł wzrokiem namiot z wyczekującym wyrazem twarzy. Gdy jego spojrzenie dotarło do Stefanii, uniosła podbródek.

— Dwa tysiące — powiedziała. Zrozumiał. Ogarnęła ją fala triumfu.

— Kto daje więcej niż dwa tysiące? — spytał i jego beznamiętny głos na sygnały innych uczestników zaczął wyliczać coraz wyższe sumy. Podczas krótkiej chwili ciszy, gdy jego wzrok znów skrzyżował się z jej wzrokiem, Stefania dotknęła szpilki w klapie.

— Sześć tysięcy — rzucił i dodał szybko, gdy Stefania dotknęła jej ponownie. — Przepraszam najmocniej, siedem tysięcy.

W namiocie nastąpiła chwila konsternacji, a potem dwie kolejne osoby podbiły stawkę. Stefania usłyszała monotony komunikat licytatora „Osiem tysięcy” i „Osiem tysięcy pięćset” i poczuła gniew. Nie pozwoli się pokonać w pierwszej próbie.

Licytator znowu zlustrował tłum. Gdy spojrzął na nią, Stefania lekko obróciła głowę w prawo.

— Dziewięć tysięcy — powiedział, lecz ona zwróciła już lekko głowę w lewo.

— Dziesięć tysięcy. — Czekał przez chwilę. Stefanii szumiało w uszach: była przerażona. — Sprzedane — oznajmił licytator — lady Longworth za dziesięć tysięcy funtów.

W tłumie rozległy się odgłosy aplauzu. Stefania wlepiła wzrok w uprzejmą twarz licytatora, zbyt osłupiała, by się poruszyć. Dziesięć tysięcy funtów! Przeszło dwadzieścia tysięcy dolarów. Dwa razy tyle, ile zarabiała przez cały rok pracując na uniwersytecie. Sabrina nigdy jej tego nie wybaczy.

— Doprawdy, niezwykle popis, lady Longworth — odezwał się Max, a jego płaskie szare oczy wyrażały podziw. — Umiejętna, subtelna i ostrożna gra. Mam nadzieję, że nigdy nie znajdziemy się po przeciwnych stronach.

Spojrzała na niego ponuro. Jeśli zechce sobie z niej kpić, wkrótce te kpiny staną się znane w towarzystwie.

— Powinienem wiedzieć, że Sabrina Longworth przystępuje do licytacji — powiedział ktoś blisko nich. — Widziałem już te jej sztuczki. Najpierw pierwsza rzuca cenę, a potem podnosi ją w zawrotnym tempie, zanim ktokolwiek się obejrzy. Niesamowite, jak to zwala z nóg innych reflektantów.

Skąd wiedziałam, zastanowiła się w duchu Stefania. Przebiegło ją drżenie. Skąd wiedziała o tym wszystkim? Max podniósł się z miejsca.

— Zjesz ze mną lunch?

Instynktownie odwróciła się do Aleksandry i Nicholasa, którzy stali czekając, aż tłum opuści namiot.

— Możemy zjeść razem — zaproponował Nicholas. — Amelia zapakowała dosyć, by nakarmić całe Wiltshire.

Przyniósł z samochodu kosz i rozłożył jedzenie na jednym z licznych rozstawionych na trawniku stolików przykrytych papierowymi obrusami i zielonymi serwetkami. Max dla całej czwórki kupił piwo w barze prowadzonym przez właściciela miejscowego pubu. Usiedli na składanych krzesłach, zając przrządzonego przez Amelię Blackford wędzonego indyka z ostrym sosem korzennym, ser i chleb.

— Amelia też chciała przyjechać — oświadczył Nicholas między jednym a drugim kęsem — ale ma robotę w sklepie. Wiecie, że to zdumiewające, do jakiego stopnia przejęła tam wszystko pod swoje berło. Stała się prawdziwym zawodowcem. Nigdy nie przypuszczała, że ma takie zdolności. — Wstał i zaczął kołysać się lekko na piętach. — Sabrino, moja droga, zastanawiałem się ostatnio nad czymś. Co powiedziała byś na zawarcie ze mną spółki? Nie mam co robić, odkąd Amelia została spuszczone ze smyczy — och, mój Boże, co za niefortunne określenie! Choć naprawdę, posunęła się znacznie dalej w obejmowaniu roli przewodniej, niż przewidywałem. Prawda jest taka, że mam teraz niewiele do roboty. Jestem też za stary i zapewne zbyt wygodnicki, żeby zacząć coś nowego. Pomyślałem więc, że moglibyśmy nawiązać współpracę. Ty zajęłabyś się wystrojem wnętrza, ja zaś miałbym w swej pieczy sprawy handlowe zarówno Galerii Blackforda, jak i *Ambasadora*.

Nikt nie odbierze mi *Ambasadora*, pomyślała Stefania, i odpowiedziała krótko:

— Nie.

Twarz Nicholasa skrzywiła się jak twarz dziecka, które dostało klapsa zamiast spodziewanej pochwały. Aleksandra wyglądała na zaskoczoną i w Stefanii serce zamarło. Sabrina nigdy nie zachowałaby się tak szorstko, potraktowałaby tę ofertę po przyjacielsku i z wdziękiem.

Max ujął ją pod łokieć.

— Należałoby tu coś wyjaśnić, Nicholasie — powiedział gładko. — Sabrina...

— ...Zachowała się bardzo niegrzecznie — wpadła mu w słowo Stefania odsuwając się. Nie potrzebowała Maxa Stuyvesanta do naprawiania własnych gaf. — Nicholasie, błagam cię o wybaczenie. Myślałam o czymś innym i odpowiedziałam gburowato i zbyt po-



spiesznie. Czy mogę to przemyśleć? Moglibyśmy porozmawiać o tym później, za kilka dni, jeśli wciąż będziesz o mnie dobrze myślał...

— Dobrze myślał...! Moja droga Sabrino, ja cię uwielbiam! Odłóż to, na ile chcesz: nie zwrócę się z tą propozycją do nikogo innego. Czy jesteśmy gotowi wrócić do namiotu? Druga część licytacji zaraz chyba się rozpocznie.

— Ja jeszcze nie mam ochoty na siedzenie — odrzekła Aleksandra. — Sabrino, może pozwolimy tym dżentelmenom, aby znaleźli nam miejsca, a same obejrzymy posiadłość?

Stefania wyraziła zgodę, błogosławiąc ją w duchu i ruszyły przez aksamitny trawnik między grupkami ludzi pakujących koszyki z jedzeniem i odprowadzających psy do samochodów, gdzie miały zostać na resztę popołudnia pod czujnym okiem służby. Wszyscy goście ubrani byli w sztruksowe ubrania, których ciepłe kolory harmonizowały z bladozieloną trawą i pociemniałymi ze starości ceglanyimi ścianami domu pod ciemnymi dębami. Stefania czuła się, jakby szła przez zamglony pejzaż z jakichś zamierzchłych czasów. Cechowała go łagodność, piękno i doskonałość, jakby miejsce to nie znało niepokoju ani nieszczęść. Jakież to dziwne, że Sabrino chciała się stąd wyrwać.

— Wszystko gra, skarbie? — spytała Aleksandra.

— Jestem trochę rozstrojona, sama nie wiem czemu.

— Opóźniona reakcja po podróży. Może powinnaś zaordynować sobie następną, jako kurację.

Stefania roześmiała się.

— Nie w najbliższej przyszłości.

— Gdzie brazylijski kochanek?

— Według moich informacji, w Brazylii.

— A Max?

— Co Max?

— Zastanawiałam się, co sądzisz o jego nowym wcieleniu. Max. Siła jego obecności działała sugestywnie nawet tutaj. — Od dawna go znasz? — spytała mimochodem Stefania.

— Skarbie, zejdź na ziemię, chyba nie zapomniałaś tego sławetnego rejsu! Choćby z tego powodu, że właśnie tam poznałyśmy się. — Wiesz, że na chwilę wyleciało mi to z głowy. Może podświadomie miałam ku temu jakiś powód?

— Mam nadzieję, że to nie ja. Osobiście nie mam nic przeciwko tym wspomnieniom. Max ma dużo wrogów, jak myślę, i prawdopodobnie sobie na nich zasłużył — nic o tym nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ale bawiliśmy się razem świetnie i byliśmy dla siebie dobrzy. Wciąż jesteśmy przyjaciółmi. Zresztą to było dawno i zmieniliśmy się

wszyscy od tamtej pory, więc dobra pamięć w niczym mi nie przeszkadza.

Minęły małą pracownię z cegły, w której świętej pamięci właściciel tworzył swoje dzieła, i rząd garaży. Nagle jakiś głos zawołał radośnie Lady Longworth!" i Stefania odwróciwszy się, ujrzała nieskazitelnie ubranego siwowłosego mężczyznę z miękkimi workami pod oczami. Skłonił się i ucałował jej dłoń.

— Miałem nadzieję panią tutaj spotkać. Zdaje się, że była pani w Chinach.

Stefania czekała na jakąś wskazówkę, która pozwoliłaby jej go rozpoznać i przedstawić Aleksandrze.

— Czy robiła pani zakupy dla swojej znakomitej galerii? Dwukrotnie zerknął na Aleksandrę. Stefanię zmieszał i rozgniewał

brak pomocy z jego strony. Spojrzała na niego zimno.

— Częściowo.

— Mam nadzieję, że z powodzeniem — rzekł. — Lecz również mam nadzieję, że nie znalazła tam pani zbyt wielu okazów porcelany. Spodziewam się w ciągu kilku najbliższych dni przedmiotów, które, jak sędzę, zrobiłyby na pani wrażenie. Czy mogę je pani pokazać?

Handlarz. Lub pośrednik.

— Naturalnie — odpowiedziała i odprężyła się, ponieważ nie miała obowiązku przedstawiać Aleksandrze kogoś takiego. — Chętnie je obejrzę. — Skinęła mu głową, co oznaczało odprawę, a gdy powtórnie skłonił się lekko w odpowiedzi, odwróciła się i ruszyła dalej.

— Czy wszyscy handlarze ubierają się jak francuscy hrabiowie? — spytała Aleksandra.

— Tylko w Anglii. We Francji ubierają się jak angielscy lordowie.

— A w Niemczech?

— Jak włoskie książątka.

— Myślisz, że to wszystko przebierańcy — roześmiała się Aleksandra.

— Bardzo prawdopodobne — odparła lekkim tonem Stetania. Czowała, że może odważyć się na każdy postępek: dziś wszystko jej się udawało. — Czy naprawdę myślisz, że Max się zmienił? — rzuciła od niechcienia.

— Złagodniał. Jak gruszka, stał się słodszy, gładszy, może i mięk-szy, choć prawdopodobnie w głębi równie twardy jak dawniej, a tylko to ma znaczenie. Gdybym nie znała go tak dobrze, mogłabym sądzić, że jest właśnie tym, czego szukam. — To znaczy?

— Och, dobrze wiesz. Kimś, kto zbuduje mi zamek, ale pozwoli,

żebym mieszkając w nim pozostała sobą. To nie oznacza puszczenia się na prawo i lewo. Dochowanie wierności jednemu mężczyźnie nie sprawia mi żadnych kłopotów, w gruncie rzeczy nawet to lubię. Mężczyźni wcale się tak bardzo nie różnią od siebie: gdy się prześpisz z jednym, to tak, jakbyś zrobiła to ze wszystkimi, jeśli pominąć pewne drobne i mało znaczące różnice. Widzę po twoich brwiach, że nie podzielasz mojego zdania.

Przez całe swoje życie spałam tylko z jednym mężczyzną, pomyślała Stefania, a głośno powiedziała:

— To temat do dyskusji.

— Zapewne. Dla zabicia czasu. W każdym razie chcę w życiu czegoś więcej niż urody i przyjemności w łóżku. Nie wiem tylko, co by to mogło być. Więc czekam, aż ktoś wskaże mi kierunek, ale bez przymusu. Myślisz, że to realne? Pewnie nie. Doskonałość nie czeka za każdym rogiem. — Zbliżyły się do namiotu. — Widzę, że nasi szarmanccy panowie kiwają na nas. Co Max sobie upatrzył?

— Figury z drzewa wiśniowego.

— Pewnie do swojego nowego domu. Obserwuj go w czasie licytacji: zawsze ma taki wyraz twarzy, jakby chciał wymordować swoich przeciwników, gdyby to tylko było możliwe.

Gdy wszyscy znów się usadowili na krzesłach wśród szmeru rozmów i szelestu katalogów, jako pierwsze wystawiono na licytację drewniane figury. Stefania dyskretnie obserwowała Maxa. Przy każdej wywoływanej cenie jego oczy ciemniały, a kości policzkowe rysowały się ostro w bladej twarzy. Dla niego licytacja była zacieklą utarczką, a pozostali uczestnicy jego wrogami, dopóki ich nie pokonał płacąc sumę przewyższającą i ich, i własne oczekiwania. Gdyby pozwolił mi siebie zastąpić, pomyślała Stefania, mogłabym zaoszczędzić dla niego tysiące funtów.

— Więc uważasz, że tobie poszłoby lepiej — rzekł znienacka, gdy figury stały się już jego własnością.

Roześmiała się, zaskoczona.

— Czy to było aż tak widoczne?

— W tobie nic nigdy nie jest do końca widoczne, moja droga Sabrino. Lecz oboje wiemy, że ty lepiej dałabyś sobie radę. Następnym razem poproszę cię o zastępstwo.

Patrzył z rozbawieniem i aprobatą, jak kupowała stolik z epoki Jerzego III za sumę niższą od tej, jaką spodziewała się zapłacić. Potem wystawiono na licytację biblioteczkę w stylu regencji i Stefania zdała sobie sprawę, że najbardziej zależy jej na tym właśnie przedmiocie. Raddisonowie wyrządzili Sabrinie jakąś krzywdę, w przeciwnym razie nie byłaby z nimi skłócona, i Stefania nie chciała do nich wracać z poczuciem klęski.

Licytator rozpoczął od dwóch tysięcy funtów. Gdy cena doszła do dwóch i pół tysiąca, Stefania zwróciła na siebie jego uwagę. Stosowała te same znaki co rano, nieco urozmaicone i bardziej nieznaczące, ponieważ była teraz pewniejsza sobie. Stała się również nader wojownicza i musiała się powstrzymać od podbijania ceny bez potrzeby.

— Sprzedano — zakończył wreszcie licytator — lady Longworth za trzy tysiące sto funtów.

Tak jak poprzednio usłyszała wokół wyrazy uznania, a Max skinął głową, jakby je potwierdzając.

— Mistrzowska rozgrywka — mruknął.

Pobiłam Raddisonów, pomyślała Stefania z triumfem. Jeśli spodziewali się, że sprawią Sabrinie kłopot ograniczeniem ceny, dałam im łupnia. Poczekajcie tylko, aż powiem... Rozejrzała się wokół, pękając z dumy, lecz w całym tym tłumie nie było ani jednej osoby, której mogłaby się zwierzyć. Zadzwoń dzisiaj wieczór do Sabriny, niech no ona tylko usłyszy, co zrobiłam.

Tego jednak również nie mogła zrobić. Sabrina, uwiązana w Evan-ston, nie słuchałaby łaskawym uchem opowieści o wspaniałych wrażeniach, które ją ominęły. Poczwała, że blask jej triumfu nieco zbladł. Będzie mogła napawać się nim tylko w samotności.

— Jeszcze raz chciałbym złożyć ci wyrazy uznania, Sabrino — rzekł Max. — Może pewnego dnia udzielisz mi lekcji.

Uśmiechnęła się. Max w pełni doceniłby historię ich oszustwa. Żałowała, że nie może mu o nim opowiedzieć.

Co doprowadziło ją do takiego przekonania? Może aura niebezpieczeństwa, która go otaczała: wyglądał na człowieka, który lubi podejmować ryzyko i ceni tych, którzy również to robią. Nie jest to cecha, jaka w normalnych warunkach spodobałaby mi się w mężczyźnie, pomyślała. Odpowiada mi teraz, gdy sama nadstawiam karku. I odkrywam w sobie nowe możliwości.

— Kupiłem nowy dom — mówił w tym czasie Max. — Na Eaton Square. Pochodzi z osiemnastego wieku i był niegdyś wspaniały, lecz został spartaczony przez właścicieli, którzy sądzili, że wymaga poprawek. — Na odwrocie swego katalogu naszkicował energicznymi pociągnięciami pióra rozkład pokoi, opisując każdy z nich. — W ciągu ostatnich trzech miesięcy przez dom przewinęło się pół tuzina dekoratorów. Jeden odłupał kawałek gzymsu kominka, drugi uszkodził żyrandol, trzeci zaproponował zastąpienie drewnianej poręczy schodów

balustradką z kutego żelaza. Pozostali dorównywali im w zidioceniu. Czy ocalisz mój dom i mnie samego przed tymi osłami?

Stefania spojrzała na szkic. Oto dom, który mogłaby urządzić. Od czasu przyjęcia urodzinowego u Aleksandry zazdrościła Sabrinie jej szczęścia i marzyła, by i jej przytrafiła się podobna okazja. I okazja zjawiała się jak na wezwanie.

— Mam meble — ciągnął. — Aż za dużo. Za dużo dzieł sztuki, nadmiar dywanów, zasłon, lamp. Całe wyposażenie mojej poprzedniej londyńskiej siedziby i nowego domu w Nowym Jorku. Mam brygadę robotników. Potrzeba mi kogoś, kto im powie, co mają robić, zdecyduje, które meble mam zatrzymać i gdzie je ustawić, a które sprzedać. Potrzebna mi twoja pomoc.

— Nie — potrząsnęła głową. — Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić.

— Ależ możesz. Płacę bardzo dobrze.

— Tu nie chodzi o pieniądze. — Mocno ścisnęła ręce na podolku. W pierwszej chwili myślała, że odrzuca ofertę, żeby utrzymać dystans wobec Maxa, lecz nie to było prawdziwą przyczyną odmowy. Tak naprawdę obawiała się niepowodzenia.

Przez długie lata wmawiała w siebie, że prowadząc życie Sabriny i mając jej szanse, odniosłaby taki sam sukces. Teraz Max dał jej okazję, by się o tym przekonać, a ona czuła, jak strach dławi ją w gardle. Potrząśnięciem głowy odtrąciła uśmiech losu. Wolę zachować moje złudzenia, pomyślała.

— To absurd — nalegał Max. — Widziałem dom Aleksandry i londyński pałacyk Olivii Chasson. Jesteś jedyną osobą, która może to zrobić.

— Lecz siódmą z kolei, którą o to prosisz.

— A, to cię uraziło! Rozumiem. Tamci zostali przysłani przez niekompetentnych przyjaciół. Nie ma się co nimi przejmować, już nie istnieją.

Roześmiała się mimo woli, lecz obstawała przy swoim.

— Nie o to chodzi.

— Więc o co, u diabła?

— Nie mam czasu — odparła rozpaczliwie. Co było prawdą. — Mam tylko około miesiąca.

— A potem co? Rozpuścisz się? Znikniesz? Wyparujesz? — Znów pobudził ją do śmiechu. — Jeśli masz inne zobowiązania, zrobisz tyle, ile się da w czasie, jaki masz do dyspozycji. Chcę, żebyś ty to zrobiła. Będziesz miała całkowicie wolną rękę i żadnych ograniczeń w wydatkach.

Stefania nie mogła się dłużej opierać jego namowom. Przyglądając się szkicom pokoi, już czuła, jak pomysły z jej wyobraźni wypełniają puste miejsca między grubymi liniami.

— Zgoda — przystała. Licytacja dobiegła właśnie końca i wszyscy zaczęli wychodzić z namiotu.

Nie zbląźnię się, złożyła w duchu cichą przysięgę. Nie bardziej niż dzisiaj. Dlaczego miałoby mi się nie udać? Poradzę sobie równie dobrze jak Sabrina. Byle mi dano szansę.

Jeśli zaś chodzi o Maxa, będzie widywać go tylko wtedy, gdy okaże się to konieczne przy urządzaniu domu. Zresztą, jak jej się spodoba, w każdej chwili będzie mogła wycofać się z tego, przekazać robotę komuś innemu i nigdy już nie zobaczyć Maxa.

— Kiedy możesz zacząć? — spytał przy pożegnaniu.

— Już zaczęłam — odrzekła.

Następnego ranka znalazła na wiśniowym stoliku plik czeków czekających na jej podpis. Dotyczyły wydatków, na jakie Sabrina wyraziła zgodę przed swoim wyjazdem do Chin. Stefania nauczyła się na pamięć wszystkich pozycji, aby dać sobie radę z finansami w ciągu tego miesiąca. Wydawanie takich sum, mimo że nie należały do niej, wprawilo ją w buńczuczny nastrój. W ciągu jednego ranka złożyła podpis na czekach opiewających na wiele tysięcy funtów.

Właśnie podpisywała ostatni, gdy zadzwonił telefon. Za chwilę w drzwiach pojawił się Brian.

— Señor Moleña, milady.

Pióro Stefanii znieruchomiało. Sabrina twierdziła, że Antonio wróci dopiero na początku października, to znaczy najwcześniej za tydzień. Skrzywiła twarz w grymasie: będzie musiała wynaleźć jakiś sposób, żeby zbyć go byle czym do przyjazdu Sabriny.

— Jeśli milady chciałyby, żebym ją jakoś wytłumaczył... — zaczął Brian.

— Nie — odparła sięgając po słuchawkę. — Ale dziękuję ci, Brian.

— Moja Sabrino — odezwał się Antonio ciepłym, intymnym głosem. — Skończyłem pracę w Sao Paulo i jak najszybciej wróciłem, żeby się z tobą zobaczyć. Wybaczysz moją niecierpliwość? Dziś wieczorem zjemy kolację.

— Nie...

— Masz plany na dzisiejszy wieczór?

Zawahała się na myśl o absurdalności swego zachowania. Zawsze odrzucała wszystkie propozycje, jakby miała wyjechać za parę dni.

Prawda jednak była inna: teraz tu był jej dom i tutaj musiała się znaleźć. Nie miała dokąd pójść.

— Kolacja to dobry pomysł — odparła.

— O ósmej, moja Sabrino. Czas strasznie się dłużył bez ciebie. Podjechał po nią swoim wozem i ruszyli krętymi uliczkami w kierunku Fulham Road. Podczas gdy Antonio bawił ją anegdotami o jakimś przygodnym zabawnym towarzyszu lotu, Stefania patrzyła na mijane ulice. Antonio dostrzegł zdumienie na jej twarzy, gdy skręcili w prawo i znaleźli się przy murze cmentarza Brompton.

— Niespodzianka — powiedział z uśmiechem i zaparkował wóz. Schodząc za nim po niewysokich schodkach Stefania obserwowała jego ciemną twarz i jastrzębi nos. Zasugerowana opisem Sabriny spodziewała się trudnego w kontaktach, apodyktycznego mężczyzny oraz posiłku w wytwornym otoczeniu. Zamiast tego znalazła się w towarzystwie miłego kompana w piwnicznej restauracji, na zapuszczonej uliczce przy murze cmentarza.

Jednak z chwilą gdy znaleźli się w środku, *La Croisette* (bo taką nazwę nosił lokal) przeszła wszelkie jej oczekiwania, a Antonio przedzierzgnął się w czarującego bywalca. Oczy mu zabłysły na widok naszyjnika z szafirów na jej szyi, a w jego głosie zabrzmiała nuta posiadacza, gdy przedstawiał ją *monsieur* Martinowi, który odważył się otworzyć restaurację na niemodnej Ifield Road i w ciągu kilku miesięcy sprawił, że stała się jedną z najmodniejszych i najdroższych w Londynie. Potem obaj, ignorując Stefanię, pograżyli się w poważnej dyskusji nad wyborem ryby na kolację.

Stefania słuchała w rozmarzeniu. Żaden z nich nie wydawał się ciekaw jej zdania, lecz to jej nie obchodziło. Z rozkoszą chłonęła uroczą atmosferę sali pełnej przyćmionych świateł, pięknych tkanin i pojawiających się jak spod ziemi kelnerów, którzy odsunęli jej krzesło i pomogli zdjąć luźny żakiet, pod którym miała obcisłą satynową suknię. Wokół rozbrzmiewał dyskretny szmer rozmów bogatych mężczyzn i kobiet, którzy wierzyli święcie, że świat istnieje tylko dla ich rozrywki. Mój świat, pomyślała, i gdy *maître d'hôtel* nalał wino, uśmiechnęła się aprobująco nie z powodu samego faktu, ale dlatego, że zrobił to dobrze.

Antonio opowiadał o São Paulo i Rio de Janeiro, o balach kostiumowych i przyjęciach, o szpitalach i projektach szkół dla osiedli, które budował. Usiłował zrobić na niej wrażenie, i to z powodzeniem. Olśniłby nawet Sabrinę, pomyślała Stefania. Jakikolwiek było jego zachowanie w przeszłości, obecne ujmujące obejście mogłoby skłonić ją nawet do małżeństwa.

— Nie mogę za niego wyjść — stwierdziła Sabrina w trakcie długiej poniedziałkowej narady przez telefon. — Wszystko stałoby się wówczas łatwiejsze, ale nic by z tego nie wyszło: nie potrafię żyć tak, jak on by pragnął. Ale

powiem mu to sama, gdy wrócę. Zbądź go po prostu wykrętem, że potrzeba ci jeszcze trochę czasu; kazałam mu już tak długo czekać...

— Czy nie mogłabyś do niego napisać? — spytała wtedy Stefania. — Nie mam dość sprytu, żeby go skłonić do grzecznego czekania przez następny miesiąc.

— Mogłabym... tak, dlaczego nie? Wyślę list do ciebie, a ty nadasz go z Londynu. Zrobię to dzisiaj, w ten sposób powinien do ciebie dotrzeć na początku przyszłego tygodnia. Gdyby Antonio dzwonił wcześniej, poproś go o kilka dni do namysłu. Sądzę, że zaakceptuje to i nie będzie naciskał.

List Sabriny jeszcze nie dotarł, lecz Antonia chyba w pełni zadowalała zwyczajna rozmowa i patrzenie na nią. Nie nakłaniał jej nawet do żywszego udziału w rozmowie. Gdy zapytał o jej podróż do Chin, Stefania zaczęła lekką i wdzięczną relację o panu Su, rycerzach z terakoty zakopanych w grobowcu cesarza w Si-an, barkach mieszkalnych na rzece Li i orchideach w ogrodzie zoologicznym w Kantonie. Antonio interesował się warunkami życia wieśniaków, więc przekazała mu swoje nieliczne spostrzeżenia, które nie zaspokoily w pełni jego ciekawości.

— Pojedź sam — zaproponowała. — Wspaniale spędziłbyś czas.

— Pojedziemy razem — oświadczył z naciskiem. — Cudownie byłoby wybrać się we dwoje w taką podróż.

Dał znak kelnerowi, aby przyniósł koniak, a potem przytoczył długą legendę Indian Guarani o poszukiwaniu rzadkich klejnotów, co miało coś wspólnego z poszukiwaniem miłości. Lecz Stefania słuchała tylko dźwięku jego głębokiego głosu, odprężając się w jego niekłopotliwym towarzystwie.

W przytulnych ciemnościach samochodu westchnęła i oparła głowę o fotel.

— A twój sklep? — spytał. — Wszystko idzie dobrze?

— Tak — wymruczała. — Wszystko idzie wręcz wspaniale.

— Czy twoim przyjaciółom z gazety również?

— Co?

— Nie opublikowali swojego artykułu. Prosiłem znajomych, żeby mi go przysłali do Brazylii, ale się nie ukazał. Czyżby się rozmyślili?

— Nie. — Stefania, wytrącona gwałtownie ze stanu rozmarzenia, stała się ostrożna, nie wiedząc, ile on wie o tej sprawie. — Druk został odłożony o dwa miesiące.



— Ach. Doskonale. Skoro Olivia wciąż sądzi, że jej miśnieński bocian jest prawdziwy, to mi daje trochę czasu, aby ci pomóc.

— Nie — odmówiła prędko, notując w pamięci nową informację, żeby ją później przemyśleć. Ale zaraz, ujęta jego uprzejmością, dodała nie chcąc go urazić: — Przynajmniej nie przez kilka następnych tygodni.

— Kiedy tylko będziesz gotowa, moja Sabrino. Lecz nie zwlekaj z tym zbyt długo. Chodzi mi jedynie o twoje dobro.

— Dziękuję — odpowiedziała ciepło, zachodząc w głowę, jak Sabrina mogła tak łatwo dać mu kosza.

Odwróciwszy głowę zaczęła się przyglądać sklepom i budynkom mijanym po drodze. Żaden nie wydał jej się znajomy. Pewnie odwoził ją do domu inną trasą, lecz nie mogła o to zapytać. Sabrina Longworth, znająca Londyn jak własną kieszeń, wiedziałyby, gdzie jest.

Właśnie układała sobie w myśli, jak mu powiedzieć, gdy tylko dotrą do Cadogan Square, żeby do niej nie dzwonił, dopóki sama się do niego nie odezwie, gdy samochód skręcił w okrągły podjazd i zatrzymał się przed smukłym nowoczesnym budynkiem. Odźwierny w liberii pozdrowił Antonia grzecznie.

— Możesz odprowadzić samochód — polecił mu Antonio.

— Tak, sir — powiedział portier, przechodząc na drugą stronę samochodu, żeby otworzyć drzwi przed Stefanią.

Nie poruszyła się. Jego mieszkanie. Jego łóżko. Dlaczego nie zorientowała się, dokąd jadą? Bo nigdy nie powstała jej w głowie myśl, że mogłaby pójść z nim do łóżka. Nigdy nie była jego kochanką, w przeciwieństwie do Sabriny. Stefania Andersen nigdy nie była w łóżku z żadnym mężczyzną oprócz własnego męża.

— Sabrino — ponaglił ją Antonio z nutą zniecierpliwienia w głosie.

— Sądziłam, że odwozisz mnie do domu — powiedziała. Czuła się głupio w obecności odźwiernego, który czekał z wyciągniętą ręką, aby jej pomóc przy wysiadaniu.

Antonio obszedł samochód i schyliwszy się chwycił ją za ramię i wyciągnął na zewnątrz.

— Wiedziałaś, gdzie jadę, i nie protestowałaś. Co to za nowe sztuczki?

— To nie żadne sztuczki — powiedziała z oburzeniem, rozwścieczona uściskiem jego ręki, brutalnym wyciągnięciem z samochodu, własną głupotą. — Byłam pewna, że nie muszę cię nadzorować przy prowadzeniu — dodała lodowato. — Nawet mi do głowy nie przyszło, że śmiałyś pomyśleć, nie pytając mnie o zgodę, iż tu przyjadę...

Urwała w pół zdania wobec jawnego zainteresowania odźwiernego. Po drugiej stronie ulicy był mały park.

— Może wybierzemy się na mały spacer? — Nie czekając na odpowiedź zwróciła się do portiera. — Proszę nie odprowadzać samochodu.

— *Caramba!* — burknął Antonio i ruszył przed siebie, wciąż ściskając jej ramię. — Zostaw tu wóz — rzucił przez ramię.

W parku Stefania wyrwała mu się.

— Nigdy tak się nie zachowywałaś — wściekał się Antonio. — Nie spodziewałem się tego po tobie. Kobieta, która ma zostać moją żoną, nie zachowuje się w ten sposób. Mieliśmy umowę...

— Jedyna umowa między nami to umowa, że nie będziemy się widzieli przez miesiąc. Wróciłeś przed upływem tego czasu, a ja zgodziłam się z tobą zobaczyć. Nie wyrażałam zgody na nic więcej.

— Włożyłaś klejnoty ode mnie, byłaś pełna uśmiechów, ciepła i rozkosznie miła. Byłaś zadowolona ze mnie i z naszego wieczoru i mnie również starałaś się zrobić przyjemność. Przypomnij sobie łaskawie, jak powiedziałaś, że za parę tygodni będę mógł cię wyciągnąć z bigosu, w który się wpakowałaś z tym swoim małym kramikiem.

— Małym kramikiem! — wybuchnęła zatrzymując się. — Bigosu, w który się wpakowałam! Co za bezczelność!

Słuchała ze zdumieniem własnych słów. Powinna zważać na to, co mówi, na wypadek, gdyby Sabrina zmieniła zdanie, pomyślała o An-toniu cieplej, zrezygnowała z napisania listu i może nawet postanowiła wyjść za niego. Nie powinna go zrażać. Lecz gniew przeważał. Stefania i ukryta w niej Sabrina były rozgniewane i urażone do żywego. Sabrina nigdy go nie poślubi, a ona, Stefania, wyłoży mu jasno, dlaczego.

— Traktujesz mnie jak dziecko. Nie będę tego tolerować. Robię to, na co mam ochotę, i nikt mnie nie będzie do niczego zmuszał.

— Sabrino moja, ja do niczego cię nie zmuszam, chcę się tylko tobą zaopiekować...

— Na swój własny sposób i według własnego widzimisie.

— Jakże inaczej? Ty głupia dziewczyno, czy tak dobrze ci się wiedzie z tą samodzielnością? Nie miałabyś żadnych kłopotów z tym małym... z tym twoim sklepem, gdybyś pozwoliła mi kierować twoimi sprawami. Grozi ci, że wszystko stracisz. Proponuję ci bezpieczną przystań, pozycję społeczną, bogactwo. A ty odpowiadasz mi na to jakimś śmiesznym banałem o niezależności.

— Antonio, zawieź mnie, proszę, do domu.

— Co to ma znaczyć?

— Że moje śmieszne pojęcie niezależności jest dla mnie bardzo ważne i nie wyrzeknę się go.

— Nie wyjdiesz za mnie?

— Nie.

— Wyjdiesz. Nie czekałbym przez tyle miesięcy, gdybym nie był tego pewny.

— Odwiesz mnie do domu, czy mam wezwać taksówkę?

— Zadzwonię jutro.

— Nie będzie mnie w domu.

— Będiesz w domu. Do tej pory ochłoniesz i odzyskasz rozsądek. Dzięki Bogu za panią Thirkell, która odbiera telefony, myślała

w czasie jazdy na Cadogan Square. W ciągu najbliższego weekendu mnie tu nie będzie, a w przyszłym tygodniu list Sabriny zakończy tę sprawę na dobre.

Mimo wszystko nie opuszczała jej lekkie poczucie winy, zadzwoniła więc wieczorem do Sabriny. Połączenie było złe i nie rozmawiały długo. Sabrina zdawała się obojętna, jakby myślami była gdzie indziej.

— Nie przejmuj się Antoniem — powiedziała tylko. Nazajutrz Stefania wybierała się na weekend do Olivii Chasson i czuła się zdana na łaskę losu, bez żadnych wskazówek i nikogo, kto mógłby jej doradzić.

Olivia, którą zobaczyła po raz pierwszy, była dobrym antidotum na brak zdecydowania. Miała przenikliwe oko i ostry język. — Bez Antonia? — spytała, gdy Stefania pojawiła się sama.

— Nie w tej chwili.

Olivia kiwnęła ze zrozumieniem głową.

— Byłam pewna, że to się wkrótce skończy. Mężczyzna w typie pan i władca. Zauważyłam, że ludziom, którzy sami do czegoś doszli, nie wystarcza poprawienie własnej sylwetki, lecz chcą za wszelką cenę zrobić wszystkich wokół na swoją modłę. Mężczyźni urodzeni w dostatku rzadko mają ten problem.

— A to dlaczego? — spytała ze śmiechem Stefania.

— Ponieważ dorastanie w dostatku wywołuje w nich taką nudę, że satysfakcjonują ich tylko projekty na wielką skalę, na przykład ocalenie świata. Spójrz na przykład na Rockefellerów. Niech to diabli, muszę przywitać Raddisonów, po jakie licho ich zapraszam, skoro nie cierpię Rose?

— Widocznie jedna kolczasta róża zwiększa powab innych kwiatów. Olivia odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem. Goście w wielkim salonie odwrócili się w ich stronę i uśmiechnęli do towarzystwa.

— Istna perła z ciebie, Sabrino. Życie byłoby bez ciebie bardzo nudne. Chciałabym, abyś przy obiedzie siedziała po mojej prawej ręce.

— Oczywiście — odparła Stefania beztrąsko, lecz widząc wyraz twarzy Olivii domyśliła się, jak wielki to był przywilej. — Będzie to dla mnie wielki zaszczyt — dorzuciła czym prędzej.

Patrzyła, jak Olivia przechodzi na drugą stronę pokoju, i uśmiechnęła się do Rose Raddison, która pomachała do niej radośnie. Kelner podał jej kieliszek szampana. Odbłyśki świateł żyrandoli tańczyły w musującym winie, iskrząc się jak klejnoty, gdy Stefania krążyła po salonie, uznana za swoją i podziwiana przez wszystkich. Nikt z obecnych tutaj wytwornych gości nie podważył jej prawa do przebywania w tym świecie, gdzie nie myślało się o długu hipotecznym, rachunkach ze sklepu lub o tym, czy w nocy wywieźli śmieci. Zaczarowane miejsce, pomyślała, do którego ja również należę.

Wiejski dom Chassonów w Kent miał wielkie kwadratowe pokoje i wysokie okna, które wychodziły na ogrody, trawnik do krykieta i niewielki staw. Salon, w którym lord i lady Chasson podejmowali gości przed kolacją, służył z malowanego sufitu i ciężkich żyrandoli. W zeszłym roku Sabrina odnowiła go: obiała fotele kremowym zamszem, a sofy bladozielonym aksamitem. Zabarwiła parkiet na ciemny, głęboki odcień dębu, w którym odbijał się blask żyrandoli, tak że goście zdawali się przepływać między lśniącymi kręgami światła. Podłużna, lśniąca komoda chippendale zawierała kolekcję dziewiętnastowiecznych porcelanowych tancerek, a na małej konsoli w kącie pokoju stał, odbijając się w zawieszonym nad nią lustrze, wysoki, śnieżnobiały miśnieński bocian.

Przypatrując się z namysłem bocianowi Stefania ruszyła w jego kierunku przez salon, rozdając pogodne uśmiechy nieznanym ludziom, którzy ją pozdrawiali. Była odprężona. Otrzymała od Sabriny list z wiadomościami. W domu wszystko było w porządku, Dolores przysłała nawet Juanitę do pomocy. Żadnych kłopotów, pisała Sabrina dodając: „Jestem tak posiniaczona i zeszywniała, że nie ma mowy o robieniu w łóżku czegokolwiek poza spaniem”.

Wśród jasnych świateł i cichego gwaru rozmów Stefania wyobraziła sobie Evanston i Sabrinę stojącą na straży jej małżeństwa, tak aby ona mogła do niego wrócić bez przeszkód. Spojrzała w dół na siebie, na suknię Sabriny z białej welenki z wplecionym wzorem ze srebrnych nitek na spódnicy i przed oczami stanęła jej własna szafa w Evanston. Sabrina w niebieskich dzinsach, która gotuje obiad. Wszystko jej zawdzięczam, pomyślała.

Podniosła bociana i przesunęła palcami po gładkiej emalii, subtelnym liniach skrzydeł, piór, pazurów i konturze małej rybki, którą trzymał w dziobie. Antonio wspominał, że Olivia wierzy, iż miśnieński

bocian to oryginał. Na przyjęciu u Aleksandry Michel mówił o fałszerstwach. O lady Olivii. O odzyskaniu bociana. Sabrina przestrzegła ją, żeby nie kupowała niczego od kogoś nazwiskiem Rory Carr, bo wygląda na to, że para się on sprzedają fałszyfikatów.

Stefania poczuła, jak rośnie w niej podniecenie. Sabrina kupowała porcelanowe figurki od Rory'ego Carra i przynajmniej jedna z nich — miśnieński bocian — okazała się fałszyfikatem, a została sprzedana Olivii Chasson. Bocian, którego trzymała w ręku, również pochodził z Miśni: prawdopodobnie był dziełem Kandlera. Obróciła go, żeby sprawdzić znak firmowy. Tak. Figurka była wspaniała, tak doskonale wykonana, że skrzydła zdawały się trzepotać pod dotykiem. Nic dziwnego, że Sabrina dała się oszukać.

Czas, żeby odzyskać miśnieńskiego bociana, powiedział Antonio. Powinna zrobić to dla Sabriny: trzymała go w ręku. Lecz w jaki sposób? Nie mogła powiedzieć Olivii, że to fałszyfikat — tylko Sabrina mogłaby wyjawic jej prawdę. Nie mogła skłamać, że trzeba go naprawić, bo widać było od razu, że to niepotrzebne. Nie mogła go chyłkiem wynieść, bo figurka była zbyt duża, a w domu roiło się od ludzi. Lecz zanim weekend dobiegnie końca...

— Sabrino, jakże się cieszę, że tu jesteś! — Stefania aż podskoczyła na dźwięk donośnego głosu Rose Raddison, która podeszła do niej niepostrzeżenie od tyłu i krzyczała jej prosto do ucha. Była równie cienka jak jej głos, miała ostry nos i spiczasty, drgający podbródek. Najładniejsze w niej były oczy, które podkreślała przesadnie grubym makijażem. Stefania pomyślała, że wygląda jak wychudzona panda.

— Gdy powiedziałaś mi wczoraj, że kupiłaś dla nas tę biblioteczkę, byłam zdumiona, przyznaję, i nie podziękowałam ci jak należy. Teraz mam pewność, że ta głupia plotka, jakobyś nas nie lubiła, nie ma podstaw.

— Dziwne, że komuś zależało na rozgłaszaniu czegoś takiego — rzekła Stefania dodając w myśli: „No dalej, podaj mi jakiś powód”.

— Cóż, niektórzy ludzie lubią robić zamieszanie.

— Lecz nie nasza mała Rose — dorzucił miły, lecz bezbarwny mężczyzna, który pojawił się obok nich. — Moja słodka żoneczka rozsiewa wokół tylko miłość i uprzejmość. Czy właściwie się wyraziłem, moja kochana?

— Peterowi się wydaje, że jest bardzo zabawny — syknęła Rose.

— Głowi się więc nad tym, dlaczego jej mimo to unikasz — ciągnął jej mąż. — Czyżbyś jeszcze po czterech latach pamiętała tę podsłuchaną rozmowę, w której splamiła twoje dobre imię?

— Podsłuchaną? — powtórzyła Stefania obojętnym tonem.

— Peter jest zupełnie niepoczytalny — krzyknęła Rose. — Droga Sabrino, nigdy nie przyszłoby nam do głowy posadzać cię o podsłuchiwanie. Twoja przyjaciółka Aleksandra wspomniała po prostu niedawno, że przypadkowo znalazłaś się w pobliżu, gdy — to już stare czasy \_ rozmawialiśmy o tym, jakie to smutne, że ty i Denton...

— Dokładnie rzecz biorąc — wtrącił Peter — mówiłaś wtedy, że Sabrina obdarła Dentona ze wszystkiego, co posiadał. Sabrina oczywiście nie pamiętałaby o czymś takim, nieprawdaż, droga Rose?

Rose wyciągnęła szyję.

— Sabrina ma dobre maniere, Peterze. Twoje gburowate zachowanie jest jej całkiem obce. Gdyby uwierzyła w to kłamstwo, nie wykonałaby dla mnie tak wspaniałej roboty na aukcji. Jakim cudem ci się to udało?

Stefania podniosła brwi. Sabrina nigdy nie opowiadała jej o tym zdarzeniu; to musiało być dla niej okropne. Czemu jednak głos Rose Raddison, gdy mówiła o jej powodzeniu na aukcji, drżał z gniewu?

— Jakim cudem udało mi się co? — spytała chłodno.

— Rzecz jasna kupić ten przedmiot za tak niewiarygodnie niską cenę. Jesteś ósmym cudem świata!

Stefania zrozumiała. Rose wysłała ją na aukcję nie wierząc, że uda jej się zakupić biblioteczkę za cenę, jaką oznaczyła. Pragnęła jej porażki. Dotknięta w imieniu Sabriny odparła z równą złośliwością:

— Staralam się jak mogłam, by was nie zmartwić niepowodzeniem. Peter Raddison mimo woli wybuchnął śmiechem.

— To był celny strzał, droga Rose.

Rose, ignorując go, skrzyżowała spojrzenie z uśmiechającą się spokojnie Stefanią.

— Zawsze byłaś arogancka jak na osobę spoza naszej sfery...

W tej chwili Stefania wpadła na pomysł, jak rozwiązać sprawę bociana, który wciąż spoczywał w jej dłoni, chłodny i delikatny.

— Najmocniej przepraszam? — odezwała się cichym głosem. — Niezbyt dobrze zrozumiałam...

Rose wysunęła wojowniczo podbródek.

— Powiedziałam, że jesteś przybłądą... — Stefania cofnęła się o krok, a Rose sunęła ku niej. — I jeżeli myślisz, że uda ci się kogokolwiek oszukać...

- och! — krzyknęła nagle Stefania. Cofając się, zaplątała obcas w frędzle perskiego dywanu. Straciła równowagę i padając wyciągnęła na oślep rękę, żeby się czegoś przytrzymać, a wtedy miśnieński bocian wysliznął jej się z dłoni i roztrzaskał na parkiecie.

— O mój Boże — szepnęła Rose.

Stefania, rozcierając kostkę, patrzyła z niewzruszonym spokojem na kawałki białej porcelany u swoich stóp. Peter Raddison odsunął się od żony. Obok nich zmateriałizowało się dwóch służących ze zmiotkami i śmietniczkami.

Stefania zwróciła się do nadchodzącej Olivii:

— Okropnie mi przykro! Nie wiem, jak to się stało, że zachowałam się tak niezgrabnie...

— Nie byłaś stroną zaczepną, moja droga — odparła Olivia. — Jeszcze trochę, a Rose pożarłaby cię żywcem.

— Rozmawialiśmy — powiedziała Rose przez mocno zaciśnięte zęby. — Lecz jeśli w jakiś sposób przyczyniłam się do tego, że lady Longworth straciła panowanie nad sobą, wyślij mi proszę rachunek za tego... To był jakiś ptak, prawda?

— Olivio — rzekła cicho Stefania — odkupię tego bociana. Może dowiem się o innej podobnej miśnieńskiej figurce...

— Nie zrobisz niczego podobnego, moja droga. Nasze ubezpieczenie wystarczyłoby na odkupienie Wysp Brytyjskich, gdyby je ktoś zgubił. Znajdź mi innego, proszę bardzo, a my zajmiemy się kosztami. Czy mocno zraniłaś się w kostkę? Może wezwać lekarza?

— Nie, dziękuję, tylko ją lekko skręciłam.

— W takim razie powinnaś wygodnie usiąść.

— Olivio — odezwał się donośnym głosem Peter Raddison. — Rose źle się czuje. Wybaczysz nam, jeśli odwożę ją do Londynu? Wiesz, że miewa te okropne bóle głowy. Gdy w domu poczuje się lepiej, mogę wrócić sam, o ile to nie popsuje symetrii twojego przyjęcia.

— Jak sobie życzysz — odpowiedziała Olivia obojętnie. — Odprowadzę was do wyjścia. Sabrino, usiądź i odpocznij.

Stefania usiadła na kanapie z błogim spokojem w duszy. Goście, których głosy pobrzmiwały wokół, nie zostawili na Raddisonach suchej nitki. Gawędzili o kolekcji dzieł sztuki w galerii na piętrze, nowej sztuce w Londynie, balu dobroczynnym, który miał się odbyć w grudniu w Barchester Towers. Olivia zniknęła za podwójnymi drzwiami z Peterem i Rose. Służący skończyli sprzątanie szczątków miśnieńskiego bociana. Stałam się mistrzynią w oszustwie, pomyślała Stefania. Wkrótce odkryła, że w życiu Sabriny nie było jakiegoś ustalonego trybu. *Ambasador* był miejscem, gdzie krzyżowały się sprawy interesów i po większej części jej życia towarzyskiego, lecz na co dzień to Brian zajmował się prowadzeniem galerii, co dawało lady Longworth czas wolny na udział w aukcjach, na wizyty w domach, które dekorowała,

na tygodniowe wycieczki jachtem. Czasem dla odmiany zajmowała się sklepem. Po ściśle określonym rozkładzie dnia w Evanston Stefania przez pewien czas czuła się zawieszona w próżni i mimo woli zerkąła wciąż na zegarek: czas wrócić do domu, punktualnie zacząć obiad, zdążyć do sklepu przed zamknięciem. Wkrótce jednak spoglądała na wskazówki tylko po to, żeby zaplanować resztę dnia lub zastanowić się, jak spędzić wieczór. Miała w kalendarzu tylko jeden nieprzekraczalny termin: dzień, w którym Nat Goldner miał zrobić prześwietlenie ręki Sabriny. Za trzy tygodnie.

W poniedziałek rano, pierwszego dnia października, już od chwili przebudzenia myśli jej absorbowano spotkanie z przedsiębiorcą budowlanym w domu Maxa, gdzie miała sprawdzić postępy robót. Po południu czekała ją wyprawa w towarzystwie Maxa do magazynu, w którym przechowywano jego meble. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za dwa tygodnie przystąpią do meblowania górnych pięter.

Kolejni właściciele od dawna przyczyniali się do dewastacji domu. Zmieniali instalacje, przestawiali ściany działowe, zamuroywali niektóre okna, usunęli jeden komin. Przez ostatnie kilka lat mieściła się tu szkoła prywatna, a jej wychowankowie zabazgrali ściany i sufity w sypialniach na trzecim piętrze jędrnymi nieprzyzwoitymi wierzykami.

— Pan Stuyvesant mówi, że nadają wnętrzu ludzki akcent — oznajmił przedsiębiorca — i kazał ich nie zamalowywać.

Stefania uśmiechnęła się.

— Zapiszę to sobie.

Zrobili obchód domu, porównując stan robót z rysunkami Stefanii. Z każdym dniem jej pomysły bliższe były urzeczywistnienia; stopniowo przywracano równowagę między powierzchnią okien i pełnych ścian i manewrowano grą światłocienia, żeby przywrócić domowi życie. Nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa.

Można to było dostrzec w jej twarzy.

— Obraz czystego szczęścia — zauważył Max po południu, gdy szli razem przez otchłań magazynu. — Czy tak jest zawsze przy nowym zleceniu? Czy też to zlecenie jest czymś niezwykłym?

— Zawsze.

— To dla mnie prawdziwy zawód.

— Ale nie niespodzianka — zaśmiała się. Cieszyła się ze spotkania z Maxem. Odbijał od rozplotkowanego towarzystwa z kręgu Sabriny swoim tupetem i nonszalancją, był tajemniczy i intrygujący. Zbywał milczeniem wszystkie pytania dotyczące spraw osobistych, a jego



plaskie szare oczy nie zdradzały żadnych uczuć. Nie mogło ich łączyć nic intymnego, pomyślała Stefania o nim i Sabrinie. Przez ten krótki czas, jaki tu spędzi, mogła czuć się bezpieczna.

Szli przejściem między dwoma rzędami piętrzących się aż do sufitu drewnianych skrzyń, wysokich, szerokich i głębokich na sześć stóp, które były wypełnione sprzętami. Wózek widłowy opuścił, po jednej, dwadzieścia dwie skrzynie na betonową podłogę, a robotnicy odbili wieka łomami. Zaczęli wyjmować rzecz po rzeczy, a Max porównywał ich liczbę ze swoją listą, podczas gdy Stefania patrzyła zachłannie, starając się nie wytrzeszczać oczu.

Nie przyszło jej to łatwo, bo nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. Kolekcja Maxa, która obejmowała różne okresy rozkwitu sztuk pięknych i użytkowych i zawierała różne przedmioty począwszy od rosyjskich samowarów, poprzez fotele Williama Morrisa aż po kubistyczne lampy, a nawet rozłożone na części łoże z baldachimem z okresu Jakuba I, przeistoczyła zakurzony magazyn w olśniewający pałac.

— Czy obrabowałeś muzeum? — spytała wesoło, żeby ukryć podziw.

W jego oczach zamigotał jakiś błysk, gdy podniósł wzrok znad spisu.

— Niejedno. Czy coś z tego ci się przyda?

Tym razem była to zbyt daleko posunięta nonszalancja.

— Nie gadaj bzdur, Max. To wspaniała kolekcja i świetnie o tym wiesz: jest tego znacznie więcej, niż zdołamy wykorzystać.

— Dobrze. A teraz przepraszam, Sabrino, ale muszę cię opuścić. Mam dziś po południu spotkanie, którego nie mogłem odłożyć. Zostawiam cię, abyś mogła w samotności zastanowić się nad wyborem. Mój szofer wróci po ciebie za pół godziny, czy to ci odpowiada? Będzie czekał tak długo jak to konieczne, żeby odwieźć cię do domu.

Odwróciła się, aby ukryć rozczarowanie, i wyjęła ze skrzyni porcelanowego kanarka, przycupniętego na kępie kwiatów.

— Kopenhaga — wymruczała, przypomniawszy sobie dzień, gdy jej matka triumfująco przyniosła do domu podobnego; wygrzebała go na pchlim targu w Paryżu. — Tak, oczywiście — dodała. — Ale ja spędzę tu wiele godzin. Nie ma potrzeby, żeby twój szofer czekał tak długo...

— Za to mu się płaci. Zjesz ze mną kolację we czwartek?

— Tak.

Pocałował czubki jej palców.

— W takim razie do zobaczenia we czwartek.

Bogata kolekcja rozpała wyobraźnię Stefanii i jeszcze bardziej ją podnieciła. Dom zaprzętał wszystkie jej myśli i spędzała tam coraz więcej czasu, śledząc krok po kroku poczynania przedsiębiorcy, któremu Max hojnie płacił za nadanie za jej planem. Muszę zobaczyć całość, myślała; nie mogę wyjechać nie skończywszy tego.

Max załatwił również sprawy związane z dostarczaniem klepki, stolarką, tapetami i instalacją oświetleniową.

— Czy jest coś takiego, na czym się nie znasz? — spytała Stefania, gdy jednym telefonem załatwił dostawę ręcznie tkanych szwedzkich dywaników do sypialni.

— Nie znam się na tobie. Na razie.

W piątek Stefania wstąpiła do *Ambasadora* przejrzeć pocztę. Wspominała kilka chwil wczorajszą kolację z Maxem. Było to zwykle spotkanie towarzyskie. Podczas wielogodzinnej rozmowy w żartobliwym, niemal obojętnym tonie żadne z nich nie odłoniło się ani na chwilę. Znow wróciłam do szermierki, pomyślała z ironią. Odgłos dzwonka nad frontowymi drzwiami przerwał jej myśli. Podniósłszy wzrok zobaczyła przed sobą elegancko ubranego mężczyznę, który przywitał się z nią na aukcji w Chilton. Teraz jednak nie był tak ugrzeczniony. Stefania zauważyła ze zdumieniem, że przygląda jej się z bliska, najwyraźniej ją obserwując. Wyciągnęła rękę.

— Milady. — Skłonił się. — Przyniosłem pani coś nader niezwykłego. — Dramatycznymi ruchami otworzył paczkę i odwinął porcelanowy posążek: pełna królewskiego majestatu Wenus patrzyła na małego, psotnego Kupidyna ze zwiniętymi skrzydełkami i buzią zwróconą ku strzałom w kołczanie. Posążek wykonano z matowej porcelany w odcieniu bladego różu zwanego *rose pompadour*. Nagle Stefania z zachwytem pojęła, że jest to wyrób Sèvres z końca osiemnastego wieku, rzecz o ogromnej wartości.

Pod jego baczny wzrokiem siedziała z nieprzeniknioną twarzą, a ręce splotła przed sobą. Znowu poker, pomyślała. Zupełnie jak na aukcji.

— Bardzo piękna — orzekła spokojnie.

— Milady — zamruczał z wyrzutem. — To nieporównany okaz. Kupiłem to prywatnie w zeszłym tygodniu w Niemczech; uprzedzono mnie, że figurka będzie do sprzedania. Ledwie ją zobaczyłem, pomyślałem o pani.

Nie kupuj tego. Stefania przechyliła głowę, usiłując dociec, skąd pochodziło to wewnętrzne ostrzeżenie. Omijając figurkę wzrokiem spojrzała za okno wystawowe na zachmurzone niebo i ruchliwą ulicę, pozwalając, żeby cisza, jaka zapadła, przedłużyła się.

Handlarz poprawił fular, a ten ruch zdradził ukrytą nerwowość.

— Nie mówiliśmy jeszcze o cenie, milady, ale pani oczywiście zna wartość tego okazu. — Przeniosła powoli wzrok na jego twarz. Odchrząknął. — Zapewne zechce pani sobie to przemyśleć. Mogę ją tu zostawić: mamy przecież do siebie zaufanie... — W dalszym ciągu patrzyła na niego bez słowa i dostrzegła, jak przełyka ślinę raz i drugi. — Słyszałem — ciągnął rozglądając się wokół — że spotkał panią przykry wypadek u lady Chasson. To dziwny zbieg okoliczności, że stłukła pani figurkę, którą sama pani jej sprzedała.

Nagle Stefania odgadła, kogo ma przed sobą. To był Rory Carr. Przyszedł, żeby wybadać, co wie o bocianie — i czy stłuczenie go było naprawdę przypadkowe.

— Panie Carr... — powiedziała na próbę.

— Milady?

Strzał prosto w dziesiątkę, pomyślała triumfalnie. To ty sprzedałeś Sabine tego bociana.

— Nie mam teraz zapotrzebowania na porcelanę — ciągnęła głosem przepojonym szczerym smutkiem. — Muszę zrezygnować z kupna tej figurki pomimo jej świetności.

— Milady, to coś niespodziewanego. Nasza współpraca trwa już od tak dawna i układała się tak miło...

— Owszem — przytaknęła twardo. Zauważyła, że jego potoczysta wymowa staje się mniej potoczysta, co dodało jej pewności siebie. — Lecz nie dzisiaj. Kupiłam dużo porcelany w Chinach i dopóki nie zorientuję się, ile mam na składzie, nie będę robić żadnych nowych zakupów!

— Ależ, milady!

— Żadnych, panie Carr. A teraz pozwól pan, że pana przeproszę... Dostrzegła w jego oczach przelotny błysk strachu.

— Milady, może jednak uda mi się skłonić panią do zmiany zdania.

— Nie może mi pan powiedzieć niczego, o czym bym nie wiedziała — odparła Stefania. Były to nieco pochopne słowa, lecz porwał ją awanturniczy zapał. Na własną rękę rozwiązała problem bociana, a teraz brała odwet na Rorym Carrze za oszukanie Sabriny. Zasłużył sobie na solidną porcję strachu. Sabrina też z pewnością była w strachu, gdy odkryła fałszerstwo. Gdyby siostra uprzedziła ją o tym wcześniej, wiedziałyby dosyć, aby nie zachować się tak uprzejmie na aukcji.

To jednak nie miało już znaczenia. Należało do przeszłości. Właśnie wychodził. Więcej nie ujrzy go na oczy.

— Zatrzymam figurkę Wenus, milady, i zadzwonię za kilka dni.

— Gdy będę chciała kupić ją od pana, panie Carr, sama do pana zadzwonię.

Po jego wyjściu poszła do biura, zamknęła drzwi i wykrciła numer Sabriny. Nie było odpowiedzi. W Evanston była dziesiąta rano, piątek. Mogła być wszędzie: w supermarkecie, w sklepie żelaznym, w pralni. Lub w pracy. Czy w tym tygodniu miała zacząć pracę w biurze? Stefania nie mogła sobie tego przypomnieć. Zamknęła oczy, wracając myślą do ich ostatniej rozmowy. Czego dotyczyła? Nie miała pojęcia. Zaczynała tracić kontakt ze swoim drugim życiem, tym prawdziwym: z własnym domem.

Nie wolno mi tego robić, pomyślała, nie wolno mi się od nich oddalać. To jedyna prawdziwa rzecz, jaką posiadam. Przed jej oczami stanął jak żywy ganek przed wejściem, wewnątrz salonu. Wyobraziła sobie nową lampę, porzucony przez Penny węgiel do rysunku, rozdarcie w obiciu kanapy, które miała zamiar naprawić przed wyjazdem. W kuchni była nowa półka na kubki, a na blacie stołu?... Ach tak, robot kuchenny Cuisin-art, który dostała na urodziny; Sabrina wspomniała o tym. W sypialni na górze łóżko przykryte kraciatym pledem, a na ścianach tapeta w paski... Nie, tapeta w paski była tutaj, na Cadogan Square, podobnie jak niebieski dywan i... i co? Obrazy dwóch sypialni mieszały się, zlewały ze sobą w jej umyśle. Która sypialnia była która? I która jest prawdziwa?

Kłopot polegał na tym, że była zbyt zmęczona, aby myśleć. Próbuąc robić wszystko naraz, nie wysypiała się dostatecznie. Co wieczór wychodziła na przyjęcia, sztuki i koncerty, bo z tego składało się życie towarzyskie Sabriny. Kolekcjonowała, niczym wycinki z gazet w albumie, barwną elegancję, egzotyczną kuchnię, uroki rozrywki. Wkrótce jednak odkryła, że były równie wyczerpujące jak atrakcyjne. Męczył ją przymus orientowania się w błyskawicznie zmieniających się plotkach, rozpoznawanie spojrzeń i przyznawanie się do wspólnych wspomnień z różnymi grupami ludzi, które z trudnością rozróżniała, gdy wreszcie wracała do domu, nerwy miała tak napięte, że spała niespokojnie, a nazajutrz z trudem przychodziło jej odróżnić treść snów od wydarzeń londyńskiego życia, a wszystko razem od p r a w d z i w e j e g z y s t e n c j i w Evanston.

Jeśli można było ją tak nazwać.

— Gdzie jest mój dom? — powiedziała na głos.

— Milady? — Brian otworzył drzwi swojej klitki i stał wyczekująco. Stefania zepchnęła w głąb swoje myśli.

— Brian — zaczęła — przed chwilą powiedziałam Rory'emu ( arrowi, że nie będziemy od niego kupować przez jakiś czas. Będziesz łaskaw o tym pamiętać? Istnieją pewne podejrzenia co do jego uczciwości.

— W związku z czym?

— Możliwe, że jest zamieszany w fałszerstwa. Będziemy go unikać, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

Brian powściągnął ciekawość, a Stefania zebrała swoje rysunki i udała się do domu Maxa.

Wieczorem zadzwoniła Gabrielle. Było jasne, że ona i Brooks mieli jakieś kłopoty. Przez jej relację przewijały się fragmenty kłótni i podejrzeń. Od pewnego czasu każdego dnia, ledwie Stefania przekraczała próg domu, brzęczał dzwonek telefonu i Gabrielle zalewała ją potokiem słów.

— On tak się zmienił — powiedziała w tydzień po pierwszym telefonie. — Jest zimny i... taki, jakby mnie o coś podejrzewał. Obserwuje mnie. Gdy piszę list, zagląda mi przez ramię. Gdy odbieram telefon, musi wiedzieć, od kogo. A teraz zaczął spędzać wieczory w biurze. Siedzi tam teraz, wiem, bo dzwoniłam...

— Czy pytałaś, o co mu chodzi?

— Nie chce mi powiedzieć, w ogóle prawie się do mnie nie odzywa. Wraca bardzo późno, a ja nie czekam na niego. Boję się, bo i tak nie rozmawia ze mną i wystarczy, że na mnie spojrzy, a czuję się czegoś winna. Wolę już spać, niż znosić coś takiego. Rano wychodzi, ledwo się budzę.

Tak, pomyślała Stefania, ja wiem, jak to jest żyć z kimś, kto ledwo zauważa twoją obecność.

— Nie wiem, co się dzieje — poskarżyła się Gabrielle tonem przerażonego dziecka, co przywiodło Stefani na myśl Penny, która ze łzami przywierała do niej, gdy się czegoś bała.

— Chcesz, żebyśmy przyjechała i została z tobą na noc? — spytała. Była już północ i prawdę mówiąc, wolałaby zostać w domu. Jadła dziś z Maxem kolację, trzeci raz w tym tygodniu, i czuła się jednocześnie upojona i zmęczona. Chciała przemyśleć w spokoju parę spraw. Lecz panika w głosie Gabrielle wywołała w niej niepokój i przyływ opiekuńczości, uczucia, którego nie doznała od dłuższego czasu.

— Nie, nie trzeba. Sabrino, jesteś cudowna i bardzo cię kocham. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Lecz jeśli Brooks wróci wcześniej do domu, domyśli się, że ci coś mówiłam. Zadzwonię jutro.

Nazajutrz zjawiała się we własnej osobie.

— Powiedział mi, że muszę się wyprowadzić. Twierdzi, że jestem szpiegiem przemysłowym i że sprzedałam tajne wiadomości o nowej serii kosmetyków *Westermarck* konkurencyjnej firmie, nawet nie pamiętam której... — Patrzyła bezradnie, a gdy Stefania ją objęła, zaczęła szlochać.

Usiadły na sofie. Stefania kołysała Gabrielle w ramionach, czując jak przemaka jej bluzka na piersiach. Przytuliła policzek do zlepionych loków Gabrielle.

— Cicho, moja mała Penny — wyszeptała i wstrzymała oddech. Lecz Gabrielle nie usłyszała tych słów. Stefania odezwała się głośniejszym głosem: — Wszystko będzie dobrze, Gaby. Dowiemy się, co się stało, wszystko będzie dobrze. — Jednocześnie aż do bólu zatęskniła za Penny i lzy stanęły jej w oczach. Zamrugowała, żeby się ich pozbyć.

— Gaby, czy rozmawiałaś z kimkolwiek o kosmetykach *Westermarck!*

— Nie. Przysięgam. Nic kompletnie o nich nie wiem. Nigdy nawet o nich nie myślę, z wyjątkiem chwili, gdy robię makijaż. Bo i po co? Zresztą i tak nie mam pojęcia, czym się różni jedna firma od drugiej. *Westermarck, Revlon, Estee Lauder* — to dla mnie to samo. O Boże, nie mów przypadkiem Brooksowi, że tak powiedziałam!

Stefania ukryła uśmiech.

— Zabrałaś ze sobą jakieś ubrania? — Gabrielle potrząsnęła przecząco głową. — No cóż, musimy pojechać po twoje rzeczy.

— Nie mogę. Nie mogę się tam pojawić, dopóki on nie zadzwoni — bo on zadzwoni, prawda?

— Jak nie on, to ja. — Stefania zaprowadziła Gabrielle na górę do różowo-zielonej sypialni, z której korzystała podczas odwiedzin u Sabriny w zeszłym roku. — Weź, co chcesz, z mojej garderoby, a potem zastanowimy się, co dalej robić.

W tej chwili zadzwonił telefon. Odebrała go szybko, lecz nie był to Brooks, lecz Aleksandra.

— Zostałam zaproszona na wytworną kolację do nowej włoskiej restauracji w Soho. Moja łaskawa obecność ma pomóc w jej wylan-sowaniu.

— Trochę to gruboskórne z ich strony. Czy to się często zdarza?

— Skarbie, wszystko u ciebie w porządku?

— Oczywiście. Dlaczego pytasz?

— Bo albo wyrwałam cię ze snu, albo... do diabła, czy jesteś z kimś w łóżku?

— Nie. O czym ty mówisz?

— Mówię o tym, że dostajemy takie zaproszonka bez przerwy. No więc co cię gnębi?

— Eee... Porozmawiamy o tym później.

— Aha, a jednak. Co powiesz na to, żeby zjeść ze mną dzisiaj kolację? Tym razem zgodziłam się, bo właściciel wyświadczył mi kiedyś przysługę.

— Jak się nazywa to miejsce?

— *Il Cocchio Oro*. Czy to możliwe, żeby to znaczyło Złoty Kutas? Stefania roześmiała się.

— Złoty powóz. Twój włoski wymaga oszlifowania. O której godzinie?

— Może o ósmej? Podjadę po ciebie.

Zanim Stefania zdążyła powrócić do spraw Gabrielle, telefon zadzwonił powtórnie. Tym razem na linii była Sabrina.

— Nie mam wiele czasu, Stefanio, ale musiałam cię o tym zawiadomić.

— Co się stało?

— Nic, wszystko w porządku, tylko Nat mówi, że zrobi prześwietlenie dwudziestego drugiego.

— Dwudziestego drugiego? To już za tydzień.

— Dokładnie za dziesięć dni. Co znaczy to j uż?

— To znaczy... wydaje się, że to tak szybko minęło. Jak twoja ręka? Lepiej?

— Trudno coś powiedzieć, skoro tkwi w gipsie. Poczekaj chwileczkę. — Głos Sabriny ścichł, jakby odsunęła się od słuchawki. — Tak, Cliff, na pewno pojedziesz ze mną na lotnisko. Tak, Penny, ty także. Jedziemy wszyscy. — Jej głos znów zabrzmiał w słuchawce wyraźnie i z irytacją. — Kiedy, u licha, można mieć chwilę samotności w rodzinie?

— Nieczęsto — przyznała Stefania, sięgnąwszy do wspomnień. — Po kogo wyjeżdżasz na lotnisko?

— Po Gartha. Był w Berkeley cały tydzień. Stefanio, muszę kończyć. Słyszę na dole jakieś odgłosy wróżące rozlew krwi. Chciałam cię tylko powiadomić o terminie. Dwudziesty drugi października. Zadzwoń do mnie niedługo, to pogadamy.

Stefania powtórzyła te słowa w myśli. Jeszcze dziesięć dni. Sabrina wydawała się taka... neutralna. Ani szczęśliwa, ani smutna. Co naprawdę czuła? A co j a czuję? — zastanowiła się. Nie miała jednak czasu na rozmyślanie, bowiem Gabrielle potrzebowała kogoś, przed kim mogłaby się wygadać. Słuchała więc jej zwierzeń aż do popołudniowej herbaty.

Do czasu owej herbaty zdążyła się tak przejąć jej rozpaczą i taka poniosła ją wściekłość na myśl o niegodziwym potraktowaniu dziewczyny przez Brooksa, że zadzwoniła do niego bez wahania i kazała mu przyjść na spotkanie do *Il Cocchio Oro* w porze deserów i kawy. Nie dała mu czasu na odmowę.

— Nie masz mi za złe? — spytała Aleksandrę w czasie kolacji, gdy

jadły cielecinę z migdałami i winogronami, pieczony ser *mozarella* i *scampi*\*, odpierając ataki kelnerów, którzy zgodnie z otrzymanym poleceniem robili wszystko, aby posiłek zapisał się trwale w ich pamięci.

— Skarbie, nie mogę się go wprost doczekać, usłyszawszy tę historię. Użyjemy szpicruty, a potem powiesimy go za kciuki, co?

— Najpierw damy mu szansę. Ze względu na Gaby. Uśmiechnęły się do siebie, a wyłożone lustrami ściany odbiły ich zwielokrotniony obraz na tle białozłotej sali — dwie oszałamiające kobiety w prostych strojach, obsługiwane z atencją godną członków rodziny królewskiej. Gdy Brooks przybył o dziesiątej, nie musiał ich długo szukać; błyszcząły pośrodku sali jak klejnoty.

— Trzy razy *zabaglione* \*\* i kawa *espresso* — powiedziała Stefania do kelnera. Spojrzała bez uśmiechu na Brooksa. — Gaby zostaje u mnie. Jutro przyjadę po jej rzeczy. Każ je zapakować i przygotować.

Skinął głową.

— Na pewno rozumiecie, jak bardzo martwi mnie ta sprawa.

— O rety — powiedziała Aleksandra. — Rozdzierasz mi serce. Brooks zignorował ją.

— Nie działałem pochopnie. Mam dowód, że za ćwierć miliona funtów sprzedała informacje firmie *Rymer Cosmetics*.

— To śmieszne — odparła bez wahania Stefania. — Gaby nigdy by ciebie nie zdradziła. I nie potrzebuje pieniędzy. — Wszędzie pozaciągała długi — u krawców, szewców, w salonach piękności i w klubie gimnastycznym. Poza tym miesiąc temu podpisała w Monte Carlo jakieś weksle, o których nie miałem pojęcia aż do ubiegłego tygodnia. — Przecież wszyscy tkwią po uszy w długach — rzekła Aleksandra. — Założę się, że ty też.

— Nie.

— W takim razie jesteś anormalny — stwierdziła lakonicznie.

— Co to za dowód? — spytała Stefania.

— Powiedział mi o tym człowiek, który kupił tę informację. Rymer wypuścił na rynek swoją nową serię dwa tygodnie temu, wyprzedzając nas o cały miesiąc. Użyli identycznych nazw, kolorów i opakowań. Nawet nie podobnych, lecz co do joty identycznych. Wszystko to zostało skradzione. Czy wiecie, ile będzie nas kosztować zaprojektowanie nowej serii? Wiecie, jakie będziemy mieli straty pozostając o całe miesiące w tyle za Rymerem, Revlonem i innymi?

\* **Krewetki smażone w cieście.** \*\* **Włoski deser, krem z jajek, cukru i wina.**



— Nie. Ale dlaczego zakładasz z góry, że ten człowiek mówi...

— Przeszło milion funtów. Cztery razy tyle, ile Gabrielle dostała za tę małą fuchę. Gdybym wiedział, podkupiłbym ją i zaoszczędził trzy czwarte miliona.

— Drań z ciebie, Brooks — rzekła Aleksandra.

Stefania siedziała w milczeniu, gdy kelner podawał im pieniste *zabaglione* i kawę. Wzięła ze spodka kawałek skórki cytrynowej i wrzuciła do kawy.

— Na twoim miejscu — odezwała się do Brooksa — przyjrzałabym się swoim pracownikom. Twój usłużny informator ochrania kogoś, zwalając winę na Gaby.

— Rany boskie, to nie jest jakaś zawiła powieść szpiegowska. Gaby od miesiąca zachowywała się, jakby coś przeszkrobała, wzdrygała się za każdym razem, gdy się do niej zbliżyłem, trzymała w tajemnicy swoje listy i telefony. Na moim miejscu postąpiłybyście tak samo w podobnej sytuacji. Kocham Gaby...

— Och, gówno — rzekła Aleksandra z niesmakiem. — Moja staromodna mamuśka zawsze mnie uczyła, że miłość znaczy: najpierw ufasz, a potem strzelasz.

— Kocham Gaby — podjął Brooks mniej zdecydowanie — ale wszyscy wiemy, że ona jest jak dziecko. A dziecko może ulec pokusie...

— Ale ty właśnie tego pragniesz, prawda — wtrąciła Stefania — żeby zachowywała się jak mała dziewczynka? Brooks spojrział na nią, zdumiony.

— Nigdy od niej nie wymagałem, żeby zachowywała się dziecinnie — odparł, lecz obojgu przyszedł w tej chwili na myśl wieczór, kiedy Gaby powiedziała, że bije ją słowami.

— Ona chce sprawić ci przyjemność — rzekła Stefania. — To wszystko, na czym jej zależy.

— Sprawiłaby mi przyjemność, mówiąc mi o swoich długach. Stefania wzruszyła lekko ramionami.

— Może nie lubi prosić o pozwolenie na wydawanie pieniędzy.

— To nie ma nic wspólnego z udzielaniem pozwolenia. Muszę wiedzieć, co ona robi. Prawdę mówiąc...

— Prawdę mówiąc — wpadła mu w słowo Stefania, która nagle to zrozumiała — właśnie dlatego, że nie masz pewności co do Gaby, jesteś taki wściekły.

— Powiedziano mi... — zawahał się. — Może powinienem z nią porozmawiać.

— Czy to nie poniżej twojej godności — spytała Aleksandra — pertraktować ze zdrajczynią, która sprzedaje informacje?

— Ona nie jest zdrajczynią — odparł zimno. — Może być w kłopotach. A jeśli zareagowałem ze zbytnim pośpiechem... — Ze zbytnim pośpiechem, patrzcie państwo! Z tego pośpiechu tak ją przeraziłem, że nie mogła wydobyć z siebie słowa. A teraz wyrządzisz jej łaskę i rozmówisz się z nią. Może byś tak raczej znalazł najpierw prawdziwego szpiega? To cię wprawi w nastrój odpowiedni, żeby przyczołgać się na czworakach i błagać o przebaczenie. Lepiej jej teraz u Sabriny.

— Sabrina — zawołał ktoś i Stefania odwróciwszy się zobaczyła za sobą Antonia.

— Jak się masz? — powiedział. — Jak widzisz, nie dzwoniłem do ciebie.

— Wiem — uśmiechnęła się. Nastąpiła krótka cisza. — Czy przyłączysz się do nas na chwilę?

Przysunął sobie krzesło od sąsiedniego stolika i usiadł pozdrawiając Brooksa i Aleksandrę i zamawiając dla wszystkich koniak.

— Jeśli przerwałem wam rozmowę o sprawach osobistych... Znow zapadła cisza.

— Rozmawialiśmy o kanalizacji — odezwała się Aleksandra.

— O czym, przepraszam? — spytał Antonio, a Stefania zdusiła śmiech.

— Dyskutowaliśmy o przeciekach i karaniu obywateli, którzy je powodują. Czy wiadomo panu coś o tych sprawach?

— Nic. Mam ludzi, którzy załatwiają to za mnie. Chociaż ostatnio rozmawiałem na ten temat w związku z miastem, które buduję.

— Co to znaczy „miastem, które buduję”?

— Dokładnie to, co powiedziałem. Czyżby to było niejasne?

— Na pustym ugorze buduje pan miasto? Z domami, sklepami i całą resztą?

— Wszystko. Szkoły, szpitale...

— Skąd pan bierze ludzi?

— Oni tam są, mieszkają na razie w hotelach. Buduję im nowe życie.

Oczy Aleksandry zabłyśły.

— Zawsze myślałam, że miasta po prostu... powstają same z siebie.

— Ja sprawiam, że rzeczy powstają.

Stefania obserwowała, jak tych dwoje patrzy na siebie, mówi i słucha słów drugiego, a każde zastanawia się w duchu: „co masz do zaoferowania?” Są do siebie podobni, zdecydowała Stefania. Oboje urodzili się w biedzie i doszli do bogactwa dzięki sprytowi i zdecydowaniu, przy użyciu wszystkich możliwych środków. Oboje też szukali

teraz gorliwie jakiegoś miejsca w życiu i kogoś bliskiego, kto nadałby sens ich wysiłkom.

— Aleksandro — odezwała się — muszę wcześniej być w domu, żeby zadzwonić do Stanów. Czy mi wybaczysz, jeśli cię opuszczę?

Aleksandra zmrużyła oko tak szybko, że nie dostrzegł tego nikt oprócz Stefanii.

— Zadzwoń, gdy będziesz miała ochotę porozmawiać o kanalizacji.

— Wyjdę z tobą — powiedział Brooks. — Chcę cię o coś zapytać... Ich oczy spotkały się i Stefania mimo woli się uśmiechnęła. Mimo

wszystko lubiła go. Nawet w obecnej sytuacji osiągnęli ciche porozumienie, żeby zostawić Aleksandrę i Antonia samych. Gdyby nie wyrządził Gaby takiej krzywdy, mogliby stanowić trójkę świetnych przyjaciół.

W domu zdała Gabrielle relację z wieczoru. Gabrielle siedziała skulona w fotelu, w jednym z szlafroków Sabriny, z oczami czerwonymi od płaczu. W miarę jak Stefania opowiadała, zaczęła się rozjaśniać.

— Muszę do niego zadzwonić! — krzyknęła. — On nie cierpi przyznawać się do błędów! W końcu to była moja wina, powinnam była wcześniej go zapytać, o co chodzi, a wtedy wszystko by się wyjaśniło.

— Gaby, to nieprawda — Stefania przysiadła na poręczy jej fotela. — Nie bierz winy na siebie. Powinnaś była wcześniej go zapytać, to prawda, ale on bardziej tu zawinił. Usłyszał jakąś bajeczkę i nie pomówiwszy z tobą, z góry założył, że jesteś winna.

Gabrielle westchnęła.

— Chyba masz rację. Sabrino, ty tak dużo wiesz!

Patrzcie no, kto tu jest wyrocznią, zadrwiła w duchu Stefania, gdy Gabrielle poszła spać. Patrzcie, kto udziela rad, jak postępować z mężczyzną. Pomyślała o Garcie, który siedzi w kuchni i czyta gazetę, podczas gdy ona gotuje obiad, odwrócona do niego tyłem. Powinnam była dawno temu pomówić z nim o tym, co się z nami dzieje.

Uwierzyłam w ten obrzydliwy list jak Brooks w donos na Gaby. Przyczyniłam się tyleż co Garth do tego, że staliśmy się sobie tak obcy. To tak samo moja jak i jego wina, że tak rzadko się kochaliśmy. Chciałam go tym ukarać. Za co? Za to, że był Garthem Andersenem: że robi karierę, ma publiczne uznanie i sukcesy, podczas gdy całym moim dorobkiem było biuro wyprzedaży, które zrobiło klapę. I rodzina. Tak, lecz rodzina należała również do niego. Miał wszystko.

No cóż, odegrałam się na nim, prawda? Zrobiłam mu pierwszorzędny kawał — porzuciłam go tak, że nic nie spostrzegł, i odkryłam, że mogę prowadzić samodzielne życie.

Nie, to nie tak, zaprzeczyła szybko. Brak mi mojej rodziny. Po prostu nie mam czasu, żeby o nich teraz myśleć.

Interesy w *Ambasadorze* kwitły. Stefania przyjęła trzy nowe zlecenia na listopad i grudzień. Nie będę mogła ich wykonać, pomyślała z zalem. Zrobi to już Sabrina. Pojechała na kolejną aukcję z Nicholasem, który znów poruszył kwestię współpracy.

— Myślę nad tym — odparła. — Wkrótce dam ci odpowiedź.

W piątek nadzorowała rozstawianie mebli na dwóch górnych piętrach domu M axa. Pani Thirkell zapakowała jej lunch, lecz Stefania zapomniała o nim zupełnie i dopiero gdy tragarze zniknęli i została sama, chodząc z pokoju do pokoju ze swoją listą, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna. Dochodziła już prawie piąta. Pierwszy posiłek w moim nowym domu, pomyślała i usiadłszy po turecku na podłodze w gabinecie, otworzyła wiklinowy koszyk.

Właśnie jadła z plastikowego pojemniczka mus z małży, gdy w drzwiach pojawił się Max.

— Piknik inauguracyjny. A ja nie zostałem zaproszony. Zaskoczona, podniosła wzrok.

— Jak się tu dostałeś?

— Otworzyłem drzwi moim kluczem. Czyżbym popełnił niedyskrecję?

Roześmiała się.

— Oczywiście, że nie. Przepraszam. Spojrzał na nią z sympatią.

— Zapomniałaś, że to mój dom.

— Na to wygląda. — Dokładała starań, żeby jej głos brzmiał swobodnie. — Trochę się zatraciłam i zapomniałam o rzeczywistości. I .ecz przyrzekam, że nie posunę się aż tak daleko, żeby się wprowadzić.

— To dodałoby temu miejscu uroku. Mogę usiąść?

— Oczywiście. — Czują, że się rumieni. Udała, że jest pochłonięta nakładaniem krakersów, pasztetu i musu na talerzyk. — Twój piknik inauguracyjny. Przykro mi, że nie mam wina.

— Chwileczkę. — Odszedł na chwilę i wrócił z butelką i korkociągiem.

— Czy zawsze nosisz przy sobie butelkę beaujolais? — spytała, lidy wyciągnął korek.

— Tylko dziś. Dom jest umeblowany wtedy, gdy jest w nim łóżko, stół i wino. Powiedziałaś, że pierwsze dwa przedmioty zostaną dziś przywiezione. Zatroszczyłem się więc o trzeci. Czy mamy jakieś puchary?

Podniosła szklanę.

— Znowu muszę przeprosić. To miał być jednoosobowy piknik.

— W takim razie będziemy pili z jednej.

W trakcie posiłku opowiedział jej o planach założenia galerii tkanin ze wschodniej Europy.

— Musisz je zobaczyć. Duże w rozmiarach, śmiałe i pełne życia. Chciałbym mieć jedną z nich w tym domu, na długiej ścianie w salonie, jeśli wyrazisz na to zgodę.

— Nie potrzebujesz mojej zgody. Jeśli chcesz kupić coś do swojego domu, powinieneś to zrobić.

— Twój sąd jest dla mnie ważny. Czy urządzimy wycieczkę z przewodnikiem, by obejrzeć twoje dotychczasowe osiągnięcia?

— Proszę bardzo.

Pakowała powoli koszyk, próbując przywrócić chwilę intymnej przyjemności zakłóconą przez niego. Jego obecność wypełniła przestrzeń, którą istotnie zaczęła uważać za swoją, a która teraz znowu stała się jego domem. Zaczepnęła głęboko powietrza, żeby zwolnić bicie serca.

Mimo wszystko dom był częścią niej samej i przechodząc przez pokoje prawie zapominała o Maxie. Wiedziała, że nie udało jej się dorównać Sabrinie w lekkości, błyskotliwych kombinacjach i nieoczekiwanych kontrastach materiału i kształtów. Lecz jej projekt dotyczył Maxa Stuyvesanta, który nie służył z lekkości ducha. Mając za klientkę Aleksandrę zyskałaby szersze pole do popisu.

Pokoje nosiły znamię elegancji i silnej osobowości. Stefania skomponowała każde wnętrze jako odrębną całość, w której jeden lub dwa masywne meble zrównoważone były przez mniejsze, a ściany pokrywała ciemna jutowa tkanina lub zamsz. Harmonijnie zestawione ciemne odcienie drzewa i tkanin rozjaśniały lampy we wnękach i z rzadka plamy żywszych kolorów. A wszystko razem składało się na atmosferę zarazem zmysłową i wyniosłą, z odcieniem skrytości, prawie tajemniczości — i wiernie odzwierciedlało naturę Maxa.

Stefania wchodziła na środek każdego pokoju włączając światła, aby rozproszyć październikowy zmierzch, i kryjąc dumę twórcy sucho opisywała pozostałe do wykończenia detale i objaśniała plany dolnych dwóch pięter.

— Nie będę mogła wszystkiego dopiąć na ostatni guzik — zakończyła. — Mam czas tylko do poniedziałku. Lecz większość pracy jest już wykonana.

Max kwitował kolejne szczegóły skinieniem głowy. Gdy zamilkła, znajdowali się w hallu na trzecim piętrze, a ich cienie odcinały się w prostokącie światła padającego z drzwi sypialni. Ujął dłoń Stefanii.

— Wspaniała robota. Nie zmieniałbym tutaj ani jednego szczegółu. — Pocałował wnętrze jej dłoni i wyczuł drżenie, jakim ją to przejęło. Schyliła głowę na jego pierś, a wtedy otoczył ją ramionami i poprowadził do sypialni.

Nie było czasu na namysły. Od tańca *U Annabel* myśl o Maxie towarzyszyła jej bezustannie i Stefania wiedziała, że teraz wykona krok, który oddzieli ją ostatecznie od pani Andersen. Stefanii, która miesiąc temu przyjechała do Londynu. Dlaczego nie, myślała w nagłym przypiływie wojowniczości. Garth ma Sabrinę. Byłoby szaleństwem udawać, że do tej pory nic między nimi... Max zacieśnił uścisk przyciągając ku sobie jej głowę i przywarła do jego rozchylonych ust. Pożądanie wzięło górę nad ostrożnością.

To moje! — myślała w uniesieniu. Moje! Mój dom, który sama stworzyłam, i mój kochanek. Życie Sabriny, takie jak je sobie wyobrażałam. I moje.

Max rozebrał ją i ułożył na łóżku, zanim sam zdjął ubranie. Stał nad nią patrząc na jej smukłe ciało. „Długo na to czekałem” — usłyszała mruknięcie, a potem położył się przy niej. Jego potężne ciało i kędzierzawe rude włosy były obwiedzione aureolą przyćmionego światła. Wyglądał jak cień, lecz dotyk jego rąk był twardy i chłodny. Przysunęła się do niego, potrząsnął głową. Ujął obie jej dłonie w jedną swoją i unieruchomił nad jej głową. Drugą skłonił ją, by leżała wyprostowana i zaczął wolno gładzić zaokrąglenia jej ciała, dopóki skóra nie zaczęła reagować na jego dotyk. Opuścił głowę i biorąc kolejno jej sutki pomiędzy zęby przesuwał po nich szybko i delikatnie językiem, a potem przesunął go ognistą linią w dół do trójkąta włosów który próbował mu umknąć.

— Nie... — jęknęła Stefania. Próbowała się odsunąć lub wciągnąć go na siebie, lecz Max wciąż ją przytrzymywał. Próbowała leżeć sztywno, odgrodzić się od ostrego bólu i rozkoszy, jaką budziły jego natarczywe usta, lecz jej biodra mimowolnie zaczęły się poruszać, szyja wygięła się w łuk i Stefania krzyknęła głośno w nagłym spazmie wyzwolenia, zdumiona ogromem rozkoszy.

Reakcje własnego ciała uświadamiały jej niejasno wyrachowanie w zręczności rąk i ust Maxa, lecz zignorowała to. Gdy wreszcie oswobodził jej ręce i położył się na niej, napotkała spojrzenie jego płaskich, szarych oczu, które ją obserwowały. Poruszał się z rozmyślną powolnością, wsuwając się w nią stopniowo, aż niezdolna już dłużej czekać, uniosła biodra i położywszy ręce na jego pośladkach, wciągnęła go gwałtownie głęboko w siebie. Usta wymówiły jego imię, a Max uśmiechnął się.

Skarbie — powiedziała Aleksandra w poniedziałek rano patrząc na Stefanię, która nalewała jej herbatę w swoim biurze. — Wyglądasz na zmęczoną.

Usta Stefanii rozchylił uśmiech.

— Nie spałam za dużo w ciągu weekendu. Ty natomiast wyglądasz wspaniale. Nie widziałam cię od czasu tej włoskiej kolacji.

— Pomyślałam, że powinnam z tobą pomówić. Czy możemy porozmawiać o Antoniu?

— Jeśli ci to sprawi przyjemność.

— Sprawiłoby mi przyjemność dowiedzieć się, czy wciąż myślisz o wyjściu za niego.

— Nie.

— Bez cienia wątpliwości?

— Bez cienia wątpliwości. Aleksandro, on się spodziewa... Nie, nie powinnam narzucać ci własnego zdania.

— Skarbie, ile razy w ciągu ostatniego roku słyszałam z twoich ust, czego on się spodziewa? I ile razy mówiłam ci, czego szukam ja sama?

Stefania patrzyła na nią w milczeniu; nie знаła odpowiedzi.

— Przypuszczam, że chodzi ci o mój występ wobec Brooksa w zeszłym tygodniu. — Aleksandra wyciągnęła filiżankę prosząc o więcej herbaty i wbiła zęby w rogalik. — Z przyjemnością rozrywałam go na strzępy, choć nie dlatego, że lubię Gabrielle — tak między nami, uważam ją za głuptasa — ale dlatego, że denerwują mnie zadowoleni z siebie faceci, którzy łamią swoje lojalne małe kobietki na pół jak zapalki. Jednak w głębi ducha cały czas zdawałam sobie sprawę, że jest przy tym mężczyzną w moim typie.

— Brooks?

— Pod niektórymi względami. Nie jako drań, który chce, żeby jego mała dziewczynka otaczała go nieustającą adoracją, lecz jako pewny siebie człowiek sukcesu, który zbudował imperium i czuwa nad jego całością. Takiego właśnie chcę. Mogłabym zaufać takiemu mężczyźnie, być pewną, że zbuduje dla mnie zamek i pomoże zorganizować mi moje życie. Dostatecznie długo robiłam to sama, jak wiesz, i jestem już zmęczona. Antonio jest wystarczająco bogaty, żeby kupić wszystko, o czym nam się zamarzy, i pozwoli mi zarządzać częścią swego imperium. Będę czymś więcej niż zabawką. Będę miała swój udział w b u d o w a n i u m i a s t. Jak można się temu oprzeć? Jeśli on w zamian wymaga wyłączności i tego, żebym była przy jego boku, to jest to uczciwa wymiana. W końcu jak długo jeszcze będę

miała trzydzieści pięć lat lub na tyle wyglądała? Do diabła, skarbie, chcę mieć swoje własne miejsce na świecie, oddać się komuś w opiekę i mieć własną robotę. Chcę nareszcie zacząć coś robić. Czy nie tego wszyscy pragniemy?

Stefania mieszała herbatę w filiżance. Kilka listków na dnie ułożyło się we wzór, który przypominał czterolistny kwiat. Lub symbol rodziny. Dziś jest poniedziałek, pomyślała. Dwudziesty drugi października. Dzień prześwietlenia Sabriny.

— Sabrino? Słuchasz mnie? Naprawdę wyglądasz na zmęczoną.

— Zastanawiałam się, gdzie w tym wszystkim miejsce na miłość.

— Och, miłość! Antonio twierdzi, że miłość przychodzi później. Mówi o tym stara legenda Guarani. Będę zadowolona, jeśli zostaniemy przyjaciółmi. Może to najlepsze z tego, czego się spodziewamy.

— Przepraszam, milady — przerwał im rozmowę Brian — ale monsieur Michel Bernard twierdzi, że ma pani coś ważnego do powiedzenia.

Aleksandra wstała, tryskając energią.

— W takim razie pożegnam się, skarbie. Wylatujemy na tydzień do Rio.

— Już?

— No, nie mów Antoniowi, ale Aleksandra sądzi, że to dobry pomysł rozpoznać teren, zanim wpakuje się po uszy w ziarenka kawy i legendy Indian Guarani.

— A co myśli Antonio?

— Antonio utrzymuje, że stracił cię, ponieważ za długo okazywał cierpliwość. Tak więc na porządku dnia stanęły szybkość działania i siła, która rzucił mnie w jego ramiona. Opowiedział mi legendę Indian (iuarani, która może służyć tu za przykład. Za długa, żeby ją powtarzać. Jak się zastanowić, jest za długa, żeby ją w ogóle pamiętać.

Wybuchnęły śmiechem. Stefania impulsywnie uściskała Aleksandrę i pocałowała ją w policzek czując, jak ta lekko się cofa, wyraźnie zaskoczona. Błąd, pomyślała; takie czułości nie są w ich zwyczaju. Zresztą co za różnica? Gdy Aleksandra wróci, nie będzie mnie tutaj. Może już nigdy jej nie zobaczę.

— Zadzwońię po powrocie — rzuciła od drzwi Aleksandra, na co Stefania skinęła głową, podnosząc jednocześnie słuchawkę.

— Michel? Czy nie miałeś przypadkiem dzwonić miesiąc temu?

— Pamiętam swoją obietnicę i proszę o wybaczenie. Byłem w Bonn, a Jolie siedzi w Turcji. Słyszałem, że miałaś mały wypadek u lady Chasson?

— Tak. Wykazałam niewybaczalną niezdarność.



— Prawdziwie zdumiewające zachowanie jak na damę, która tak dobrze zna się na kruchych dziełach sztuki. Doszły mnie również słuchy o małej różnicy zdań z Rose Raddison.

— Usłyszałaś o tym wszystkim w Bonn?

— Nie, w Paryżu. Lady Chasson przyjechała tu w odwiedziny do przyjaciół. Mały jest ten świat, prawda?

— Prawda. — Ze smutnym uśmiechem Stefania przypomniała sobie, jak nieskończony wydawał jej się zawsze świat Sabriny w porównaniu z ciasnym światkiem w Evanston. — Co Jolie porabia w Turcji?

— Robi zdjęcia tajnego ładunku waz, które zostały skonfiskowane przy próbie przemytu za granicę. Dzwonię z prośbą o pomoc. Mamy teraz pewność, że fałszerstwa są tylko interesem na boku, a nie główną dziedziną działania szajki. Prawdziwie wielkie pieniądze pochodzą z przemytu dzieł sztuki i zabytków z krajów, w których ich wywóz jest zabroniony. Ktoś w tych krajach finansuje szajki złodziei, które okradają muzea, grobowce i starożytne świątynie, a potem przemyca cały towar za granicę i sprzedaje w Europie i Ameryce. Słyszałaś coś o tym procederze?

— Niewiele...

— No, ciebie to tak bardzo nie dotyczy, bo nie sprzedajesz rzeczy tego typu, zabytkowych przedmiotów i biżuterii z grobów w Turcji i Egipcie, rzeźb, a nawet całych drzwi, ścian i ołtarzy ze świątyń w Kambodży, Tajlandii i Kolumbii.

— W takim razie jak mogę wam pomóc?

— Podejrzewamy, że Ivan Lazło, który jest na papierze właścicielem *Westbridge Imports*, i jego agent handlowy, Rory Carr, przechowują przemycone przedmioty w magazynie tej firmy. Niektóre są sprowadzane na zamówienie dla konkretnych nabywców, inne sprzedaje się wraz z antykami legalnego pochodzenia. Wygląda jednak na to, że Ivan i Rory chcieli zarobić trochę forsy na boku, więc zaczęli babrać się w fałszerstwie.

— Lecz kto jest prawdziwym właścicielem *Westbridge*!

— To jest właśnie ta tajemnicza gruba ryba, której jeszcze nie złowiliśmy. Gdy to nastąpi, ostatni kawałek układanki znajdzie się na miejscu. Ostatnio doszły nas słuchy, że między drobnymi płótkami a grubą rybą mogą zaistnieć nieporozumienia w kwestiach pieniężnych oraz w sprawie wystawiania procederu przemytu na dodatkowe ryzyko. Bowiem jeśli fałszerstwa wyjdą na jaw, nastąpi kontrola ksiąg rachunkowych i zostanie zadana masa pytań. Złodzieje zawsze kłócą się przy podziale łupu, prawda? Sądziłeś więc, że może coś słyszałaś. Plotki o pośredniku handlowym, który nagle został wylany z pracy

albo odchodzi na własną prośbę, o agentach, którzy szukają nowych partnerów, a może o dziwnym zgęszczeniu rzadkich okazji, które jednocześnie trafiły na rynek. Jeśli coś zauważysz, zadzwoń do nas do Paryża, dobrze? Za dwa tygodnie będziemy w Londynie. Zarezerwuj dla nas wieczór, to zabierzemy cię na kolację. Dobrze?

— Dobrze — odpowiedziała. Już mnie tu nie będzie, pomyślała. Brian przyniósł pocztę.

— Dzwoniła Gabrielle de Martel, milady. Prosi, aby pani się do niej odezwała. Czy mam przynieść jakiś lunch?

— Nie, dziękuję, Brian. Możliwe, że wyjdę na miasto. Wykreśliła numer, wertując jednocześnie pocztę.

— Sabrino — odezwała się Gabrielle. — Dzwonił Brooks. Stefania zauważyła list od Sabriny i otworzyła go.

— Nie rozmawiałam z nim, poprosiłam panią Thirkell, żeby powiedziała, że wyszłam.

Nowiny z Evanston, wiadomości o rodzinie. Zwykła paplanina, nic osobistego.

— Ale teraz sędzę, że powinnam do niego zadzwonić. Gniewa go, jak...

Jakże to możliwe, że nie może się doszukać niczego osobistego w liście o swojej własnej rodzinie?

— Nie chciałam jednak niczego robić, dopóki z tobą nie pomówię. Bo a nuż coś zepsuję?

Żadnej wzmianki o Garcie.

— Tylko sama dobrze nie wiem, co powiedzieć.

Nie rozmawiała z Sabriną od tygodnia. Nie chciała tego, jej myśli za bardzo wypełniał Max.

— Sabrino? Słuchałaś mnie?

— Tak, Gaby. — Śledziła treść jej monologu brzegiem świadomości. — Nie uważam, że powinnaś do niego dzwonić.

— Jesteś zdania, że powinnam czekać na jego inicjatywę.

— A tobie tak się nie wydaje? Wtedy oboje z całą pewnością będziecie wiedzieli, jakie macie zamiary. Nie powinniście... oszukiwać się nawzajem. Ani samych siebie.

Gabrielle westchnęła.

— Chyba tak. Boże, tak nie cierpię rozsądnie się zachowywać! W Evanston pewnie nie nadszedł jeszcze świt; miną godziny, zanim

Sabrina pójdzie do Nata Goldnera i zadzwoni do Stefanii, żeby powiedzieć o wyniku wizyty. Stefania mogła więc poświęcić na razie wszystkie myśli Maxowi. I całemu spędzonemu z nim weekendowi, przerywanemu posiłkami, które kamerdyner Maxa przynosił z najlep-

szej londyńskiej restauracji i podawał na biurku w gabinecie. Służąca przyniosła walizkę z rzeczami Maxa, który przebrał się w purpurowy szlafrok. Stefanii przypadł drugi, z błękitnego aksamitu, mogła się nim owinać dwukrotnie wokół talii. Podkasała rękawy i związała je w łokciach szpagatem zostawionym przez robotników. Z potarganymi włosami i błyszczącym wzrokiem, każdym nerwem wyczuwała zmianę temperatury, powiew powietrza, dotyk słońca na skórze i dłoni Maxa na swej piersi, smak mocnej kawy rano, a nocą smak wytrawnego cierpkiego burgundzkiego wina, które lśniło ciemnym blaskiem w świetle płomieni dogasających na kominku w sypialni.

Pełna pożądania i podniecona odkrywała nowe lądy. Twarz jej pałała.

— Jesteś fantastyczna — powiedział Max. — Moja olśniewająca piękność.

— Cenna to pochwała w ustach konesera — rzekła żartobliwie, lecz w oczach jej zamigotał triumf.

Teraz, siedząc w biurze, zadawała sobie pytanie, czego dotyczył ten triumf. Nie bliskości ani uczucia, ani nawet przyjaźni. To był triumf namiętności. To, jeśli dobrze pamięta, był chyba ostatni punkt na jej liście. Chciała przeżyć wszystko to, co przeżyła Sabrina, wszystko to, co odmienne, a ostatnim doświadczeniem stała się wyrachowana zmysłowość Maxa Stuyvesanta.

Zadrzała. Satysfakcja z pracy w *Ambasadorze*, urządzenie domu Maxa, troska o Gabrielle, przyjaźń z Aleksandrą. To wszystko sen.

Nawet gdybym mogła to zatrzymać, odczuwałabym brak czegoś, pomyślała. Pragnę miłości, czułości i oddania. Tylko wtedy wiem, że mam swoje własne miejsce.

Gdzie jest moje miejsce? Tam, gdzie łączy mnie więź z drugim człowiekiem. Kiedyś to miałam lub sądziłam, że mam, a potem to straciłam. Teraz odkryłam, że życie Sabriny też nie jest tym, czego chcę.

Czy jednak bez Gartha mogę odkryć, czego chcę? Garth. Penny. Cliff. Mój dom.

— Tęsknię do nich — powiedziała i w ciszy zaskoczył ją dźwięk własnego głosu. — I są mi potrzebni.

Czy oni tęsknili za nią i jej potrzebowali? Nie bądź śmieszna. Nawet nie wiedzą, że cię nie ma. Zadzwoił telefon. Briana nie było, więc odebrała go sama i usłyszała jedwabisty głos Maxa.

— Zdaje się, że nie mając takiego zamiaru, wprowadziłem się w ciągu weekendu do mojego nowego domu. Teraz co chwila potykam się o robotników. Chyba powinienem się ulotnić na kilka dni.

— O! — Poczula ukłucie żalu, który zabrzmiał również w jej głosie.

— Przyszło mi na myśl, że przyjemnie byłoby wybrać się na wycieczkę jachtem. Morze Śródziemne jest cudowne o tej porze roku. To dałoby robotnikom możliwość ukończenia prac bez żadnego zawałidrogi płaczącego się w pobliżu.

— Tak.

— Czy mogą się obejść bez twoich wskazówek?

Westchnęła. Zapomniała o jeszcze jednej pozycji na liście rzeczy, które chciała zrobić: o rejsie jachtem. Sabrina odbyła już ich tyle. Stefania pragnęła choćby jednego. Potem wróć, pomyślała, do tego, co na mnie czeka. Wróć do Gartha i odnajdziemy niegdysiejszą miłość. Teraz stać mnie na to. Tak wiele się o sobie nauczyłam. Spróbuję. Przyrzekam.

Lecz najpierw chcę zrealizować jeszcze jedno marzenie. Tylko jedno.

— Brian może kierować pracą ekipy budowlanej — powiedziała do słuchawki.

— Popłyniemy z Monaco na włoską Riwierę. Zajmie nam to cztery lub pięć dni. Odpowiada ci to?

— Tak.

— Doskonale. Weźmiemy ze sobą na pokład jeszcze trzy pary, przekonasz się, że miłe. Wyruszamy w środę rano, dwudziestego czwartego. Czy możesz być gotowa na dziewiątą?

— Tak.

Odłożywszy słuchawkę, obróciła krzesło i spojrzała przez drzwi biura i całą długość galerii na ulicę za oszkloną witryną. Dzień był pochmurny, lecz ciepły, a ławica srebrzystego powietrza jak zasłona rozciągała się między Stefanią i przechodniami na ulicy. Zadzwoń do Sabriny i dowie się o wynik prześwietlenia, po czym powie jej, że wyjeżdża na kilka dni. A potem przygoda się skończy.

Wszystko z wolna dobiegało do końca. Pani Thirkell będzie dbać o Gaby, zresztą jej powrót do Brooksa był już tylko kwestią czasu. Aleksandra połączyła się z Antoniem. Fałszywy bocian z miśnieńskiej porcelany przestał istnieć, a Rory Carr został odprawiony z kwitkiem. W *Ambasadorze* wszystko szło dobrze pod jej opieką. Sprzedała kilka dużych przedmiotów, zarobiła pokaźne honorarium za dom Maxa i przyjęła parę zleceń na przyszły miesiąc.

Gdy Brian wrócił, wstała i włożyła żakiet. Miała dużo do zrobienia: zadzwonić do Sabriny, doprowadzić do porządku szuflady i szafy na Cadogan Square, które urządziła już po swoim, wybrać rzeczy potrzebne na rejs. Stała na środku galerii, usiłując wryć sobie w pamięć jej widok i śląc jej ostatnie nieme pożegnanie.

## Rozdział szósty

Sabrina poruszyła się, na wpół obudzona. Dziś szósty października, pomyślała. Garth jedzie do Kalifornii. Gdy otwarła oczy, ujrzała, że dopiero zaczęło świtać, pierwsza blada poświata barwiła okna perłową szarością. W gałęziach klonu zaśpiewał jakiś ptak. Poruszyła się znowu i poczuła uścisk Gartha na swej ręce. Ich palce były splecione. Wróciły do niej wspomnienia zeszłej nocy — usta Gartha szepczące coś wśród pocałunków, jego ciało na jej ciele i jej niepohamowana namiętność. To nie był sen, dopuściła do tego naprawdę. ***Nie, to nie tak... Nie mogłam nic na to poradzić...***

Garth przez sen wzmocnił uścisk. Sabrinę ogarnęło uczucie ciepła i nagle uświadomiła sobie, jak świat może się zmienić za sprawą czyjejś ręki, która trzyma twoją w ciemności.

To rozczulenie przeraziło ją. Wyrwij rękę. ***Nic się przecież nie zmieniło.*** Lecz myśl odpłynęła. Zasnęła znów i obudziła się, gdy przez czyste lśniące szyby bił słoneczny blask, sama w łóżku.

Ogarnęła spojrzeniem pokój. Na krześle leżała walizka Gartha, zapakowana, lecz wciąż otwarta. Powinnam wstać, pomyślała, i sprawdzić, czy nie trzeba mu w czymś pomóc. Ale jak stanąć z nim twarzą w twarz, myślała ze strachem. ***Stefanio, błagam cię, przebacz mi. Ja tego nie chciałam, zrozum...*** Niespodziewanie przypomniało jej się niesłychane uczucie radości, gdy był w niej, oraz poczucie winy i tęsknota za niespełnionym, które je wkrótce zastąpiły.

***Nigdy się nie dowiem, co moglibyśmy przeżyć razem.***

Nie miała prawa tak myśleć. Zawstydzona, znów zamknęła oczy, jak dziecko, które myśli, że w ten sposób stanie się niewidzialne. Nie mogła wyprzeć się przed sobą, że chciała kochać się z Garthem. Nigdy

się nie dowie, czy to właśnie jej pragnienie sprawiło, że zbliżył się do niej nie z wahaniem, lecz z pewnością męża.

To jasne, że nie mógł czekać w nieskończoność, pomyślała. Co za głupota z naszej strony liczyć na to.

Niebezpieczeństwo istniało zawsze, a wczoraj spełniło się. Ale to nie ma znaczenia.

Usłyszała jego ciche kroki na schodach i czym prędzej zacisnęła powieki. Podszedł do łóżka, pocałował ją, podniósł walizkę i wyszedł z pokoju.

Po chwili zamknęły się za nim drzwi wejściowe. Sabrinę uskrzydliło niezwykle uczucie lekkości. Ubiegła noc to całkowity przypadek. W jej uczuciach nie kryło się nic szczególnego — po prostu instynktowna reakcja. Nie należy przywiązywać do nich żadnej wagi.

***Pragnęłaś go i on o tym wiedział. Trzymałaś go w objęciach i aż do rana twoja dłoń spoczywała w jego dłoni.***

To był przypadkowy epizod, powiedziała sobie zdecydowanie. Byłam zmęczona i mniej niż zwykle miałam się na baczności. To był nagły kryzys, który mógł nadejść w każdej chwili; zdawałam sobie sprawę z ryzyka. I nic więcej.

***Kłamczucha.***

Stefania nie ma żadnego powodu do obaw. Z łatwością zapomnę o wszystkich moich emocjach. Mam tutaj konkretną pracę do wykonania i określony termin wyjazdu. Nie będę się angażować w nic innego.

Unikała wzroku swego odbicia w lustrze. ***Nie pozwolę, żeby to się powtórzyło.*** A Gartha nie będzie przez cały tydzień. Zadzwoiła Linda z zaproszeniem na obiad.

— Nie przez najbliższe kilka dni — odmówiła Sabrina. — Może pod koniec tygodnia.

— Szanowna pani pragnie nieco spoczynku w samotności — rzekła Linda. — Znam to uczucie. Gdy Marty wyjeżdża, czuję się trzy stopy wyższa i sto funtów lżejsza. Cały dom dla siebie. Istny raj!

Tak wyglądało moje życie w Londynie, pomyślała Sabrina. Nikomu nie musiałam się opowiadać. I od tego właśnie chciałam uciec.

— Naprawdę chcę się z tobą zobaczyć — dodała Linda. — Kiedy Garth wraca?

— W przyszłą niedzielę.

— Czy mogłabyś wpaść w środę, może nawet we wtorek? Wczesnym popołudniem? Myślałam, że mogłybyśmy trochę pogadać.

Ma chyba coś na wątrobie, oceniła w duchu Sabrina.

— Może wpadniemy już dzisiaj? To cudowne uczucie, gdy dla odmiany ktoś raz wyreczy cię w gotowaniu.

— Mówisz poważnie? Och, Stefanio, co ja bym bez ciebie poczęła? Przyjdź o wpół do piątej. Marty ma całodniowe seminarium i nie wróci przed szóstą. Dzieciaki mogą bawić się w ogrodzie.

— No więc czekaj na nas — powiedziała Sabrina.

Po południu zabrała Penny i Cliffa na zakupy. Odkładała tę imprezę w nadziei, że doczeka powrotu Stefanii, lecz buty Cliffa rozpadały się, a Penny jęczała, że wszystkie dziewczynki mają coś, co nazywa się *Beene Jeans*, i umrze, jeśli nie będzie miała takich samych, więc Sabrinie z czasem zabrakło wymówek. Zaczyna mi ich brakować we wszystkich dziedzinach, pomyślała; może czas, żebym złamała drugą rękę.

W sklepie z obuwem sprzedawca zmierzył stopę Cliffa i wyciągnął pudełka z butami. Cliff przymierzał je po kolei, przenosząc wzrok z butów na Sabrinę. Na co czekał?

— Które są najlepsze? — spytała. — Które najbardziej ci się podobają?

Cliff z wahaniem podniósł ciężki bucior, przypominający obuwie do wycieczek wysokogórskich.

— Nie uważasz, że może ci być w nich za ciepło cały dzień w szkole? — Potrząsnął głową. — No dobra, zgoda. Chodźmy kupić Penny jakieś džinsy.

— Mamo! — wybuchnął Cliff. — Naprawdę mogę je zatrzymać? *No i co ja najlepszego narobiłam?* Wzięła do ręki jeden z buciorów

udając, że dokładnie go ogląda. Najwidoczniej Stefania nie zgodziłaby się na nie, może dlatego, że nadawały się raczej do chodzenia na dworze, może ze względu na cenę. Ale ona nie miała pojęcia, ile kosztują buty dla chłopca.

— Jeśli chcesz te, są twoje. Postanowiłam kupić coś w miarę możliwości trwałego. Ale będziesz musiał o nie dbać. Czy można je zaimpregnować przeciw wilgoci?

Sprzedawca przyniósł spray do impregnacji i gdy Sabrina grzebała w torbie szukając jednej z kart kredytowych Stefanii, Cliff włożył nowe buty i wyszczerzył zęby w uśmiechu zadowolenia.

Gdy wyszli ze sklepu, ruszył w stronę boiska, gdzie miał spotkać się z kolegami. Po chwili przystanął z wahaniem.

— Mama? Dzięki. Wielkie dzięki.

Potem odbiegł, a Sabrina zaczerwieniła się z zadowolenia. Przed wejściem do *Marshall Field's* zobaczyły Vivian Goodman z Barbarą.

— Polujemy na coś, co się nazywa *Beene Jeans* — powiedziała Vivian.

- Dziwne — rzekła z udaną oschłością Sabrina. — Geoffrey Beene widocznie zahipnotyzował całą szóstą klasę.
- Mamo — poprosiła Penny — mogę iść z Barbarą?
- Idźcie same, a my z Vivian ruszymy własną drogą. Masz tu kartę kredytową. Ale kup na razie tylko jedną parę. Vivian spojrzała na nią z zaciekawieniem.
- Czyżbym nie nadażała z liberalizmem? Nigdy nie wysłałabym Barbary na własną rękę z kartą kredytową.
- To jej dziewicza podróż — odparła Sabrina, zauważywszy zachwyt malujący się w szeroko otwartych oczach Penny. — Dziś jestem w nastroju do brawurowych czynów. Lecz nie chciałabym ciebie zarazić...
- Ależ skąd, bardzo mi się to podoba. Napijemy się kawy?
- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym obejrzeć ten nowy sklep z antykami.
- Ach, racja, Garth mówił mi, że lubisz zabytkowe przedmioty. Był to mały sklepik o nazwie *Starocie*, wciśnięty między drogi sklep z walizkami i restaurację specjalizującą się w naleśnikach i ciastkach domowej roboty. Doskonała lokalizacja, pomyślała Sabrina: właścicielka wie, co robi. Podłogę kwadratowego wnętrza zastawionego meblami przykrywały dziesiątki małych wschodnich kobiercyków.
- Vivian dotknęła secesyjnej lampy w kształcie tulipana z kolorowych szkiełek oprawnych w ołów.
- Kto może sobie pozwolić w dzisiejszych czasach na lampę Tiffany?
- Sabrina oszacowała lampę szybkim spojrzeniem.
- To nie Tiffany, wygląda na czeskie szkło. Robią wspaniałe imitacje Tiffany'ego. Gdybym ja wystawiła ją na sprzedaż, wyceniłabym ją na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu dolarów.
- Doprawdy? — rozległ się nowy głos i Sabrina dostrzegła szczupłą kobietę, która zbliżała się do nich lawirując między meblami. Jej szesane z czoła krótkie srebrzyste włosy odsłaniały wąską, delikatną Iwarz, w której głównym akcentem były przenikliwe czarne oczy. Pomimo że ubrana była niebogato, udało jej się osiągnąć efekt elegancji i odrębnego stylu, co wywołało podziw Sabriny. Potrafi dużo osiągnąć małymi środkami, pomyślała. I jest tu właścicielką.
- A jaką cenę ja wyznaczyłam? — zagadnęła kobieta. Vivian spojrzała na małą nalepkę u podstawy lampy.
- Pięćdziesiąt pięć dolarów. Nie do wiary.
- Nie dla kogoś, kto zna się na szkle czeskim. — Kobieta



wyciągnęła rękę do Sabriny. — Madeline Kane. Czy pani praca związana jest z zabytkami?

— Sa... Stefania Andersen. — Uścisnęły sobie dłonie. — Kiedyś, w przeszłości, tak było.

— Proszę się rozejrzeć i wyrazić swoją opinię. Sklep otwarłam dopiero tydzień temu. Wszystko jest w trakcie urządzania.

Zaczęły krążyć wokół mebli. Nerwy Sabriny były napięte. Pierwszy raz zdarzyła jej się pomyłka z podaniem niewłaściwego imienia i zdawała sobie sprawę, że przyczyniła się do tego atmosfera sklepu: ostry zapach politory, woń starych aksamitów i brokatów, pyłki kurzu tańczące w promieniach słońca, które barwiło słoje zniszczonego drewna na złoty kolor. ***Chcę wracać do domu. Chcę wejść do Ambasadora i usiąść w swoim biurze, chcę wrócić do swojej pracy.*** Uczucie tęsknoty było tak przeszywające, że jej oczy napelniły się łzami.

Vivian spojrzała na nią z przestraszonym wyrazem twarzy.

— Stefanio! Co się stało?

— Nic. — Zamrugnęła i monstrualnie brzydka kanapa przybrana purpurowymi guzami rozplynęła się przed jej załzawionymi oczami. — Nierealne marzenia.

— Czy mogę w czymś pomóc?

— Nie, chodzi o to... och, kiedyś miałam swoją własną firmę, organizowałam wyprzedaże i zajmowałam się podobnymi meblami, dziełami sztuki i antykami, właśnie starociami. Nie powiodło mi się, musiałam zamknąć biuro i podjąć inną pracę. Ale brakuje mi tego. Zapachu, widoku i atmosfery mojego własnego sklepu...

— Miałaś sklep?

— Och, nie, ale zawsze tego chciałam.

Madame Kane szła tuż za nimi. Jest coś w tej kobiecie, co ją wyróżnia, pomyślała. Sposób, w jaki chodzi i trzyma głowę. Sposób, w jaki obrzuciła cały sklep fachowym i pewnym spojrzeniem. Madeline obserwowała Sabrinę z namysłem. Rozbudziła w niej ciekawość.

— Może mogłaby mi pani pomóc. Próbuję zdobyć jakieś informacje o tym stole Duncana Phyfe'a. Czy wie pani coś na ten temat? Wiem, że to chyba połowa dziewiętnastego wieku...

— To nie Phyfe — zaprzeczyła kategorycznie Sabrina. Przesunęła po stole ręką i schyliła się, żeby spojrzeć na nogi. — To Belter. Bardzo wczesny, pochodzi z lat czterdziestych dziewiętnastego wieku, lecz Phyfe nigdy nie obrabiał w ten sposób drzewa różanego; proszę zwrócić uwagę na rzeźbę nóg w kształcie lwich łap.

Madeline schyliła się posłusznie.

— Tak — powiedziała. — Oczywiście. — Wyprostowała się

i z namysłem ściągnęła usta, jakby zastanawiając się nad czymś. — Stefano, dlaczego nie wróci pani do organizowania wyprzedaży? Sabrina zmierzyła ją chłodnym wzrokiem.

— Myśli pani, że to nie mój interes — domyśliła się Madeline. — Potrzeba mi osoby, która pomogłaby mi w pracy, czasem w sklepie, lecz głównie w organizacji wyprzedaży majątków. Kiedyś się tym zajmowałam i niezbyt mi to odpowiadało; wolę się kręcić tutaj. Jednak te wyprzedaże przynoszą niezły dochód i są najobfitszym źródłem nowych eksponatów. Proponuję więc pani pracę. Może w niepełnym wymiarze godzin, jeśli musi pani zajmować się dziećmi. Teraz chyba rozumie pani, że zadając pytanie, miałam w tym również swój interes?

***Nie, ty wspaniała, wspaniała kobieto, to złoty interes dla Stefanii. Dopiero co dałaś jej pracę.***

— Powiedzmy, że nasz wspólny — sprostowała Sabrina z uśmiechem. — Kiedy mam zacząć?

— Im wcześniej, tym lepiej.

— A więc stawię się w poniedziałek około dziesiątej rano.

— Godzina dziesiąta jest dla klientów, moja droga. Dziewiąta będzie bardziej odpowiednia.

— Oczywiście — pospieszyła naprawić omyłkę Sabrina. ***Już zapomniałam, jak to jest, gdy się pracuje na cudzym.*** — Ale muszę wcześniej zadzwonić i zrezygnować z dotychczasowej posady. Postaram się przyjść najwcześniej, jak będę mogła.

— Świetnie. Zdaje się, że pensja nie interesuje pani w najmniejszym stopniu?

— Słucham?

— Nie spytała pani o wysokość wynagrodzenia. Sabrina roześmiała się.

— Przy organizowaniu wyprzedaży okażę więcej zmysłu praktycznego. Możemy z tym poczekać do poniedziałku, gdy ustalimy liczbę godzin pracy i szczegółowy zakres zajęć.

Madeline spojrzała na nią wyraźnie zdumiona, co było dla Sabriny ostrzeżeniem, że powinna bardziej uważać. Zaczynała przybierać maniery lady Longworth, zamiast trzymać się roli żony przy mężu, która musi pracować, żeby związać koniec z końcem.

— Jeśli pani to odpowiada — zakończyła. Madeline uśmiechnęła się lekko.

— Oczywiście. Będę pani oczekiwać w poniedziałek.

— Garth nigdy nie wspomniał, że jesteś taką znawczynią — powiedziała Vivian, gdy szły po Penny i Barbarę.

— Nieczęsto rozmawiamy na te tematy.

Sabrina miała ochotę skakać z radości. Załatwiła pracę dla Stefanii. I dla siebie samej, dopóki tu pozostanie. Jednak tęsknota za własną galerią nie minęła. Zadzwonię do Nata, zdecydowała, i spróbuję przyspieszyć termin prześwietlenia. Jeżeli będzie mógł zrobić je tuż po powrocie Gartha, wyjadę od razu. Przypomniała sobie przebudzenie ze splecionymi palcami. Muszę wyjechać od razu.

— Mamo, zobacz, co kupiłam! — krzyknęła Penny. — I wiesz co? Ekspedientka wcale nie chciała nas obsłużyć, ale pokazałam jej kartę i potem traktowała nas jak dorosłe. Mówiła do nas „pani”!

Dziewczynki zwracały rozpromienione buzie to na Vivian, to na Sabrinę.

— Zrobiłaś im ogromną przyjemność — powiedziała Vivian. — Żałuję, że sama o tym nie pomyślałam. Ale zdawało mi się, że jedenaście lat to taki młody wiek...

Pomyślałam o tym, bo nie jestem matką, sprostowała w duchu Sabrina. Ale gdy Penny uściskała ją wśród okrzyków wdzięczności, poczuła radość, jak wtedy gdy Cliff dziękował jej za buty. Sprawiała dzisiaj uciechę obojgu. A oni ją kochali.

W drodze do domu Penny trzymała ją mocno za rękę. Sabrinę zmroziła myśl, że gdy wyjedzie, porzuci to wszystko na zawsze.

Penny roztrącała nogami brązowe i rude liście na chodniku, paplając radośnie o kostiumach dla lalek na przedstawienie szkolne.

— Za kilka dni zrobię dla was pokaz mody — obiecała. — Zostaną mi już wtedy tylko cztery do uszycia. Będziesz mi musiała przy nich pomóc.

Nie będę jeszcze dzwonić do Nata, rozmyśliła się Sabrina. Nie chcę, żeby to wyglądało na zbyt ni pośpiech. Mógłby zacząć coś podejrzewać.

Garth zadzwonił z Berkeley, gdy Penny i Cliff kładli się spać. Sabrina, która właśnie nieudolnie manipulowała igłą przy rozdartej kurtce Cliffa i składała winę za swoją niezdarność na gips, a nie fakt, że nigdy nie nauczyła się szyć, pozwoliła im zagarnąć słuchawki w kuchni i sypialni. Słyszała ze swego miejsca w salonie, jak trzepią na wyścigi, jakby Gartha nie było w domu co najmniej od miesiąca. Penny raz wybuchnęła perlistym śmiechem, który zadźwięczał w całym domu.

— Mamo! — zawołał Cliff. — Tato chce z tobą mówić. Podniosła słuchawkę w pokoju śniadaniowym i po chwili usłyszała głos Gartha, zadziwiająco wyraźnie, niski i ciepły, tak dobrze znajomy. Podskoczyło w niej serce i zdała sobie sprawę, jak bardzo za nim tęskni.

— Tu jest bardzo pięknie — powiedział. — Chciałbym, żebyś była /e mną i mogła zobaczyć, jak słońce prześwituje przez mgłę. Wszystko staje się zielonożółte, a szara woda robi się fantastycznie srebrno-błękitna.

— Jakim cudem widać to wszystko z sali wykładowej?

— Wykłady zaczynają się od jutra. Do tej pory jedynym moim osiągnięciem było spotkanie organizacyjne z innymi uczestnikami seminarium. Zdaje się, że dzięki tobie Cliff i Penny przeżyli pamiętny dzień.

— Kiedy, wczoraj? Świetnie się bawiliśmy.

— A gdzie wyście się podziewały w czasie, gdy Penny i Barbara mierzyły te swoje mini-dżinsy?

— Beene — poprawiła go ze śmiechem. Stęskniła się za koleżeństwem i przyjaźnią, która się nawiązała między nimi, mimo że ona wciąż go odpychała. A przecież z radością myślała o tym tygodniu: nacieszyć się życiem rodzinnym bez niebezpieczeństw. ***Ale bez Gartha to nie jest rodzina.*** — Czy to samo powiedziałaś Penny?

— Tak. Bardzo ją to ubawiło. Więc gdzie poszłyście, gdy one robiły zakupy?

— Do nowego sklepu z antykami na Sherman Avenue. Właścicielką jest bardzo przystojna i nader bystra dama, która, jak sędzę, poddała mnie testowi w związku z czymś, co nazwała stołem Duncana Phyfe'a.

— I jak, przeszłaś go?

— Śpiewająco. Wtedy zaproponowała mi pracę. Zaczynam jutro rano.

— Rzucasz pracę na uniwersytecie?

— Z samego rana.

— Cóż. To wspaniale.

— Na pewno? Może myślisz, że nie powinnam rezygnować z tej posady?

— Jasne, że powinnaś. Jak sobie może przypominasz, sam wiele razy cię namawiałem, żebyś znalazła coś, co by ci bardziej odpowiadało. Ale, jak to byłaś łaskawa zaznaczyć nie tak dawno temu, twoje zarobki pomagają w spłacaniu hipoteki, więc nie mam prawa ci mówić, gdzie masz pracować.

— Garth, co się stało? — spytała ze wzrastającym niepokojem. ( zym go rozgniewała? Zrazu szukała gorączkowo jakichś słów, a potem ochłoneła. To praca dla Stefanii, więc co ją obchodzi, czy Garth jest zły, czy nie.

***Właśnie że to mnie obchodzi. Gdy Garth się złości, to zwykle znaczy, -V mu przykro. A ja nie chcę, żeby cierpiał.***

— Garth, jesteś tam?

— Tak. Przepraszam, jeśli to zabrzmiało...

— Nie, to ja przepraszam. Nie powinnam ci w ogóle o tym mówić, ale byłam taka przejęta... Wyobraź sobie, że nawet jej nie zapytałam, ile będę zarabiać! Dowiem się jutro, zanim zrezygnuję z posady, i wtedy podejmę decyzję...

— Nie, rzuć tę posadę. Jeśli ta nowa okaże się niezbyt dobra, znajdziesz inną.

Próbujemy sobie wzajemnie poprawiać humor, stwierdziła w duchu Sabrina.

Garth wciąż coś mówił.

— Co? — spytała.

— Pytałem, jak się udał obiad u Lindy i Marty'ego.

— Aha. Było raczej smutno.

— Smutno?

— Nie chodzi o sam obiad. Tylko Linda poprosiła, żebym przyszła wcześniej porozmawiać; była taka zdenerwowana sprawą... Garth, czy Marty opowiadał ci kiedyś o swoich przygodach z kobietami?

Po chwili Garth odpowiedział:

— Gdyby mi się zwierzał, to w całkowitej dyskrecji.

***Och, daj spokój, niczego nie da się długo utrzymać w całkowitej dyskrecji; wszyscy zawsze trąbią o tych sprawach. Ale Garth to nie wszyscy.***

— No dobra — poddała się. — A czy on nie sądzi, że Linda ma romanse?

— Sam jej powiedział, że tak myśli.

— Ona chce, żeby tak myślał. Nie robi tego, rozumiesz, ale stwarza pozory, żeby wzbudzić w nim zazdrość i powstrzymać go od romansów, które jej zdaniem ma właśnie on. Chce w ten sposób rozniecić w nim większą miłość, sprawić, żeby pilniej jej strzegł przed pokusami — coś w tym rodzaju. Szczerze mówiąc, nigdy w życiu nie widziałam dwojga ludzi, którzy by do tego stopnia wikłali sytuację i byli mniej zdolni do przeprowadzenia otwartej rozmowy...

— Nigdy? ***O, cholera.***

Zignorowała to, nie miała zamiaru dać się wciągnąć w dyskusję o ich małżeństwie.

— Garth, znane ci są plotki, że niektórzy wykładowcy dają zaliczenia studentkom, z którymi sypiają?

Tym razem cisza była dłuższa.

— Skąd o tym wiesz? — spytał w końcu.

— Linda coś usłyszała w uniwersyteckiej księgarni. Czy tobie obilo się coś podobnego o uszy?

— Nic, co by zasługiwało na wiarę.

— A więc jednak. I Marty'ego wymienia się między nimi?

— Mój Boże, skądże! Czy Linda to właśnie usłyszała?

— Dlatego właśnie chciała ze mną rozmawiać. Czy to prawda?

— Ta plotka? Chyba tak. Ale nie wiem, kogo konkretnie to dotyczy. Same oskarżenia nic nie znaczą. Pierwsza lepsza studentka, niezadowolona ze stopnia, mogłaby wytknąć kogoś palcem. Była jednak o tym mowa w klubie wydziałowym, co wygląda bardziej poważnie. Czy mówiłaś o tym komuś?

— Nie mam zwyczaju rozpowszechniać plotek.

— Wiem. Przepraszam. Co poradziłaś Lindzie?

— Żeby siedziała cicho, dopóki z tobą nie porozmawiam.

— Naprawdę?

— No, a dlaczego nie miałabym jej tego powiedzieć? Ufam ci bardziej niż komukolwiek. I jesteś osobą, która najlepiej wie, jak radzić sobie z różnymi sprawami uczelnianymi. Pewnie cała buda aż się trzęsie, co? Wszyscy walcą sprawę przy śniadaniu i obiedzie, jakby tylko to istniało na świecie. Pamiętam, jak Aleksandra opowiadała mi kiedyś o pewnym rejsie... — urwała.

— Aleksandra?

— Ktoś, kogo poznałam na... wycieczce do Chin. Była kiedyś na jachcie i już na trzeci dzień podobno aż huczało tam od plotek: w powietrzu krzyżowały się poświadczone przysięgą zeznania o tym, k i o z kim spał, a kto siedział pod łóżkiem, sporządzając notatki. U was jest chyba podobnie, prawda? Z tą różnicą, że, jak się **Npodziewam**, w świecie akademickim dyskusja stoi na wyższym poziomie. Zaśmiał się.

— Cudowna jesteś i bardzo za tobą tęsknię. Może przylecisz tutaj nu weekend?

***Och, strasznie bym chciała.***

— Nie mogę po prostu zniknąć ot, tak sobie, i zostawić dzieci.

— Można by poszukać kogoś, kto się nimi zajmie.

— A moja nowa praca?

— Tak, rzeczywiście. No więc, co jeszcze dzieje się w Evanston? Gadali, jak się później zorientowała Sabrina, równą godzinę. — Uniwersytet za to zapłaci — uspokoił ją Garth podczas kolejnej łozinowy. — Ale masz rację, że to niesłychana rozrzutność. Twój przyjazd zaoszczędziłby uczelni setki dolarów.

Roześmiała się, lecz nic nie odpowiedziała. Zostanie tu, gdzie jest. Pomimo tęsknoty lżej jej było podczas jego nieobecności. Dla wszystkich zainteresowanych będzie lepiej, jeśli ona i Garth pozostaną rozdzieleni dwoma tysiącami mil.

Każdego ranka budząc się słyszała głosy dzieci i sąsiadów i cieszyła się na nadchodzący dzień. Wieczorem zaś, gdy dzwonił Garth, nie mogła się nadziwić, jak szybko zleciały godziny.

Przed południem galopem i byle jak wykonywała zajęcia domowe, ograniczając je do minimum. Czuła bezsensowną złość na Stefanię, że przez nią musi się nimi parać, i porzuciłaby je całkowicie, poprzestając na działalności Juanity, gdyby nie to, że zbyt wiele było do zrobienia. Nawet z Penny i Cliffem, pomocnikami, czuła się niewolnicą kłębków kurzu, brudnych ubrań i porzrzucanych przedmiotów.

Po zajęciach domowych praca w *Starociach* wydawała się wypoczynkiem. Wraz z Madeline zajmowały się przedmiotami na sprzedaż. Trzeba było przypiąć do każdego historię pochodzenia i metkę z ceną i ustawić tak, by wszystkie, nawet te o dość nijakim wyglądzie, prezentowały się jak najokazalej. Sabrina polubiła Madeline i chociaż drażnił ją fakt, iż pracuje dla kogoś, ustalała porządek i tryb swoich zajęć tak, żeby Stefania mogła po powrocie bez kłopotów zająć jej miejsce. Zanim się obejrzała, nadchodziło wczesne popołudnie i musiała pędzić do domu, aby uchronić go przed inwazją wracających ze szkoły, najczęściej w towarzystwie przyjaciół, dzieci, które ogołacały lodówkę do czysta.

Później jedli we trójkę składający się z nieskomplikowanych dań obiad na patio. Gdy Penny i Cliff uporali się ze zmywaniem naczyń, Sabrina grała z nimi w grę słów lub zgadywanek, po czym zwykle następował telefon od Gartha. Wreszcie dom spowijała cisza, a Sabrina sadowiła się, zwinięta w kłębek, w cichej bawialni lub fotelu w sypialni i czytała, dopóki głowa nie zaczynała jej się kiwać nad książką.

W czwartek przyniosła do domu wok, czyli głęboką chińską patelnię z wypukłym dnem, i książkę kucharską. Ugotowali obiad po chińsku. Gdy nikt nie patrzył, Penny dodała do kurczenia dwa tuziny strączków ostrej suszonej papryki.

— Szkoda, że nie mogłeś nas widzieć, tato — relacjonowała później Garthowi przez telefon. — Wszyscy płakaliśmy jak bobry. Ale mama powiedziała, że i tak było pyszne. — Wyciągnęła słuchawkę do Sabriny. — Tatus chce z tobą mówić i powiedzieć ci, że cię kocha.

Serce Sabriny wykonało nagły skok.

— Czy tak powiedział?

— Nie dosłownie, ale przecież właśnie to ci mówi, gdy dzwoni? Sabrina uśmiechnęła się.

— Mieliście nieco żrący obiad, jak rozumiem — odezwał się Garth.

— Długo będziemy go pamiętać.

— Żałuję, że mnie to ominęło.

— Ja też.

— Czy możemy powtórzyć go wspólnie w niedzielę? Łącznie /. papryką?

— Jeśli masz dosyć odwagi, a nas nie rozmiękczy litość, zrobimy go wyłącznie dla ciebie.

— Nie mogę się doczekać. Tak przy okazji, Penny miała rację. W czym?

— W tym, że chcę ci powiedzieć: kocham cię.

Znów poczuła, jak jej serce wykonało dziki podskok, a po nim następny. Brakowało jej tchu. To tylko dlatego, że jestem zmęczona po ciężkim dniu. Uspokoję się, gdy tylko będę miała trochę czasu dla siebie.

— Samolot przylatuje o drugiej po południu w niedzielę. Możesz wyjechać po mnie na lotnisko?

— Tak, oczywiście.

— Co robisz jutro wieczorem? Następne chińskie danie?

— Dolores i Nat zaprosili nas na kolację.

— Pozdrów ich ode mnie.

— Nie omieszkam.

Nazajutrz po skończonej kolacji, gdy Penny i Cliff udali się na górę z trójką dzieci gospodarzy, Sabrina gawędząc, przytoczyła opowieści o Garcie, ludziach, których spotkał, i treści ich wykładów.

— Nie chce się do tego przyznać, ale wygląda mi na to, że jest tam gwiazdą pierwszej wielkości.

Przyłapała ich na wymianie szybkich spojrzeń.

— O co chodzi?

— O nic — powiedział szybko Nat.

Sabrina przycisnęła palcami czoło. Jaki błąd popełniła tym razem?

— Stefania ma prawo wiedzieć — zdecydowała nagle Dolores. — Myśleliśmy właśnie o tym, że zwykle, gdy Garth odnosi jakiś sukces, ty wyjeżdżasz z posadą, jaką mu zaproponowali w Stamford. A tym niżej nie zrobiłaś tego.

— Och. — *Wciąż zapominam, ile ta posada znaczy dla Stefanii. Muszę przed odjazdem zapytać Gartha, jaką podjął decyzję. Obiecałam to siostrze.*



— Wciąż miewasz bóle głowy? — spytał Nat, zapalając fajkę.

— Nie — odparła, zdumiona. Potem nieoczekiwanie coś jej przyszło do głowy. — No, prawdę mówiąc, tak. Nie miałam zamiaru o tym mówić.

— Dlaczegożby nie? Wzruszyła ramionami.

— Wiedziałam, że spotkamy się wkrótce na prześwietleniu, i gdyby z moją głową wciąż było niedobrze...

— A jest niedobrze?

— Czasami.

— Kiedy?

— Przeważnie wieczorem. Zapewne przyczyną jest zmęczenie.

— W którym miejscu odczuwasz ból? Pokaż mi.

Przyłożyła dłoń do miejsc, w których czuła ból tuż po wypadku. W duchu przeprosiła Gartha za mało wyszukaną wymówkę, dzięki której chciała wykręcić się od stosunków seksualnych. Lecz to było najprostsze kłamstwo, jakie jej wpadło do głowy. Bóle potrwały kilka dni, do powrotu Stefanii. Wtedy się skończą.

— ...powinny już ustać — doszły do jej uszu słowa Nata. — Myślę, że powinnaś się skonsultować ze swoim internistą. A termin prześwietlenia jest już chyba tuż-tuż, prawda? Kiedy złamałaś rękę?

— Dwudziestego drugiego września.

— W takim razie jeszcze z dziesięć dni. Zadzwoń do recepcji i umów się na przyszły poniedziałek. Jeżeli prześwietlenie wykaże, że wszystko się zrosło, zdejmujemy gips.

— W porządku. — Już wiedziała. Jutro zadzwoni do Stefanii. Dziesięć dni. Tak długo będzie musiała radzić sobie z Garthem.

Mimo to jednak pomyślała: Wraca do domu w niedzielę. Jak cudownie będzie znowu go zobaczyć. Ale zaraz, próbując skupić uwagę na tym, co właśnie mówiła Dolores, usiłowała wmówić sobie, że nic podobnego nawet jej przez myśl nie przeszło.

Garth dopiero w środę odrobił zaległości na uczelni i znalazł trochę czasu na przejrzanie stosu poczty nagromadzonej podczas jego nieobecności. Był rozdrażniony i miał wyżej uszu irytujących szczegółów wydziałowej biurokracji, która więziła go przy biurku. Wrócił do domu w niedzielę jak uczeń pędzący na spotkanie swej pierwszej miłości, opanowany wspomnieniem ciepła rozmów ze Stefanią i jej śmiechu, rozpamiętując, jak się kochali w noc przed jego wyjazdem. A teraz zamiast spędzać długie godziny z rodziną, na co się cieszył,

tkwił na zmianę w biurze, laboratorium i salach wykładowych i rodzinę widział z rzadka.

Natomiast żona niemal zachęcała go, żeby zniknął z domu. Przekonał się z rozpaczą, że jej serdeczność znikła, a wróciła poprzednia ostrożność.

Nie od razu. Na lotnisku powitała go tak promiennym uśmiechem, że aż zwolnił kroku, olśniony jej urodą.

— Mój ty Boże — westchnął jakiś facet za nim. — Ależ chciałbym być tym gościem, na którego ona czeka.

Garthowi w duszy aż śpiewało, lecz gdy podszedł do niej, jej uśmiech się zamazał, a oczy pomroczyły.

— Witaj w domu — powiedziała opanowanym głosem. Pocałował ją w chłodne, miękkie wargi, których kąciki lekko drżały. Potem jakby mimochodem odsunęła się od niego.

Radość powróciła dopiero przy rozpakowaniu prezentów. Penny i Cliff dostali do sklejenia modele wozów kopaczy z czasów kalifornijskiej gorączki złota. Dla Stefanii Garth wybrał w sklepie na Ghirardelli Square blezer w kolorze głębokiej zieleni z mięciutkiego zamszu, prosty, lecz efektowny, ze staroświeckimi złotymi guzikami.

Włożyła go na siebie z błyszczącymi oczami i okręciła się jak modelka.

— Naprawdę dla mnie — wymruczała pod nosem, jakby do siebie.

Jej zdziwienie niespodzianką wzruszyło go i zasmuciło.

— Dla nikogo innego. Przyłożyła miękki zamsz do policzka.

— Dziękuję. Jest cudowny.

— Wydawało mi się, że to właściwy rozmiar — powiedział z ledwie wyczuwalną ironią. — Nie bardzo pasuje do reszty twoich rzeczy, ale i ul powiada twojemu nowemu stylowi ubierania się.

— Ubieram się inaczej?

— Według mnie tak. A ty tak nie sądzisz?

— Jak?

— Wydaje mi się, że bardziej kolorowo. Albo inaczej zestawiasz kolory. A może bardziej swobodnie. Przedtem chyba zapinałaś bluzki aż po szyję, nie zostawiałaś kilku górnych guzików rozpiętych? — Śmiała się. Potrząsnęła głową. — Ileż to razy wypominałaś mi, że nie zwracam uwagi na to, co nosisz. Miałaś rację i bardzo cię przepraszam. Pewne różnice dotarły jednak do mojej świadomości. Podoba mi się twój nowy wygląd, obojętnie co się na to składa.

Powiadomiła go o swoich bólach głowy i rozmowie z Natem. Po czym stopniowo wycofała się do przyjacielskiego dystansu, który

zachowywała wobec niego od powrotu z Chin. I wydawała się jeszcze bardziej nerwowa.

Wytrwale przeglądał pocztę; prawie na wierzchu znalazł kolejne zaproszenie do Stamford sprzed dwóch dni od Horacego Kallena, prezesa *Foster Laboratories*. Dwudziestego trzeciego października. To nie wchodziło w rachubę, nie mógł znów odwoływać zajęć po tygodniu nieobecności. Ale z drugiej strony... *Foster* i Stamford to było marzenie Stefanii. Wiedział również, że miałyby tam do dyspozycji nowoczesny sprzęt pozwalający na prowadzenie bardziej zaawansowanych badań. Nie zastanawiając się dłużej, napisał od ręki krótką wiadomość, że przyjmuje zaproszenie, i dołączył ją do oczekujących na wysłanie listów. Może to zadowoli Stefanię.

Zmienne humory żony rozstrajały go do tego stopnia, że zaczął rozważać, czy nie lepiej byłoby doprowadzić wbrew jej chęciom do otwartej rozmowy, ryzykując, że wszystko zniszczy, niż w nieskończoność chodzić wokół niej na palcach. Długie lata spędzone na badaniach naukowych nauczyły go nie tylko cierpliwości i tolerancji dla nieoczekiwanych zjawisk, lecz również wyciągania logicznych wniosków z przesłanek lub szukania innych rozwiązań. Albo byli małżeństwem i stać ich było na to, aby razem przezwyciężyć trudności, albo nie. Jeżeli nie, będzie musiał położyć kres temu życiu w zakłamaniu.

Zadzwoił telefon. W słuchawce zabrzmiał głos sekretarki zastępcy rektora, która pytała, czy mógłby przyjść za parę minut do biura pana Straussa. Było to wezwanie, a nie prośba, i raz jeszcze Garth stracił nadzieję na wczesny powrót do domu.

Lloyd Strauss był tylko parę lat starszy od Gartha. Od dawna byli przyjaciółmi i partnerami do gry w tenisa. Lloyd był ciemnowłosy, mały, przysadzisty. Kłębek energii pozostającej w wiecznym ruchu. Rychło opanował wszystkie meandry uniwersyteckiej administracji, co pozwoliło mu się wznieść prosto na stanowisko zastępcy rektora. Było powszechnie wiadome, że większość rady nadzorczej zamierzała po odejściu na emeryturę obecnego rektora przekazać mu jego funkcję, zaś niewielu odważało się negować decyzje Straussa, zanim nie pomyśleli dwa razy.

— A więc, rada akademicka szczegółowo zbadała sprawę — zaczął chodząc po pokoju, podczas gdy Garth przysiadł na skraju biurka. — Zapoznali się z twoją listą żeńskich odrzutów — przepraszam za ten niefortunny dobór słów — z listą kobiet ubiegających się o etat wykładowcy, których podania odrzucono. Rozpatrzyli stosunek Webstera do kobiet-wykładowców, w gruncie rzeczy do kobiet w ogóle,

i przesłuchali pracowników wydziału nauk ścisłych i pozostałych członków komisji kwalifikacyjnej. Nie ma żadnych wątpliwości, że miałeś rację. Facet przekroczył wszystkie istniejące pod słońcem przepisy o równych prawach dla obu płci. Te przepisy obowiązują od niedawna, można zatem założyć, że przez większość swego nietolerancyjnego żywota zachowywał się jak drań, lecz w granicach prawa. Garth poruszył się, lecz Strauss wyciągnął rękę.

— Chwileczkę, daj mi skończyć. Rada akademicka poleciła komisji kwalifikacyjnej ponownie rozpatrzyć podanie Vivian Goodman. Przypuszczam, że tym razem pójdzie jak po maśle. W swej niezglębionej mądrości rada poprosiła również dziekana Webstera, aby udał się na wcześniejszą emeryturę. Ma sześćdziesiąt dwa lata, za trzy lata i tak musiałby odejść. Najprostszy sposób. Powiedziano mu, że ponieważ iok akademicki zaczął się niedawno, damy sobie jakoś radę, nawet H's!i odejdzie niezwłocznie. Nie powiem, że został wyrzucony na zbity pysk, bo to niekulturalne. Tak więc, potrzeba nam nowego dziekana wydziału nauk ścisłych.

Usiadł przy biurku i zaczął wertować stertę papierów. Garth obrócił się, aby go obserwować, wiedząc, co teraz nastąpi. Stefania byłaby zadowolona, pomyślał. Większa płaca i prestiż, regularne Kodziny pracy, więcej czasu na dom. Musiałby jednak skończyć / badaniami. I z nauczaniem. Posada dziekana wydziału oznaczała lyle pracy administracyjnej, że nie miałyby czasu na nic innego. Cały dzień tkwiłbym w biurze, pomyślał, gdy tymczasem inni badaliby nieznanne światy, które dopiero zacząłem odkrywać. Jeśli muszę zmienić pnicę dla zadowolenia Stefanii, lepsze będą laboratoria *Foster*.

Strauss znów poderwał się na nogi.

— Nie muszę ci mówić, że pierwszą kandydaturą, jaka wchodziła w grę, była twoja osoba. Cieszysz się reputacją znakomitego badacza i uutora prac naukowych w kraju i za granicą. Przy okazji chciałem ci pogratulować tego artykułu w *Newsweeku*. Zdumiewające, że dużo niniejsze wrażenie wywarła na członkach rady twoja przystojna gęba w popularnym piśmie niż cały tuzin twoich prac w periodykach naukowych. Wedle wszelkich pozorów przydałbyś temu stanowisku prestiżu, godności i uczciwości. Nie sądziłem jednak, żeby ci na nim zależało.

Garth spojrzał na niego ostro. Zrezygnować samemu ze stanowiska to rzecz całkiem inna, niż pozwolić, żeby Strauss wyręczał go w tej decyzji.

— Daj spokój, Garth — uśmiechnął się szeroko Strauss. — Gdybym zaproponował ci tę posadę, podziękowałbyś, uścisnął mi

dłoń i powiedział, że w każdej chwili mogę liczyć na twoją pomoc, ale wolisz laboratorium i wykłady. Po czym zaofiarowałbyś się, że pomożesz w szukaniu nowego dziekana. Garth się roześmiał.

— Zgoda. Ale to nie w porządku pozbawiać mnie okazji do wygłoszenia tej zgrabnej mówki.

— Dam ci okazję do wygłoszenia innej. Co byś powiedział na stanowisko dyrektora naszego nowego Instytutu Inżynierii Genetycznej?

Garth drgnął.

— Kiedy zapadła decyzja o budowie instytutu?

— Niedawno.

— Lloyd, od pięciu lat robiłem starania o ten instytut i zawsze odpowiadano, że nie ma pieniędzy. To jeden z powodów... — Że zastanawiasz się nad pracą w labach *Foster* — dokończył Strauss. — Czy byłeś już u nich?

— Jadę w przyszłym tygodniu.

— Kiedy pokażą ci swoje wyposażenie, możesz porównać je z tym. — Rozwinął rulon projektów. — Dodaj do tego pensję dyrektora, pewnie około sześćdziesięciu tysięcy rocznie i wszelkie zajęcia ze studentami, jakie tylko zechcesz.

Garth rozłożył szkice na biurku.

— Widzę pewne zmiany. Nie ma sali konferencyjnej.

— Nie możemy sobie na to pozwolić. Za to nie robiliśmy żadnych cięć w wydatkach na urządzenie laboratoriów.

— Skąd wzięliście pieniądze?

— Zostały odmrożone. Garth spojrzał na Straussa.

— Więc zawsze były, lecz nie do podjęcia?

— Mieliśmy inne pilne wydatki...

— Dlaczego nie można ich było podjąć?

Strauss otworzył szafkę na akta, w której wnętrzu mieściła się mała lodówka.

— Zawsze lubiłem drinka o tej porze. Czego się napijesz?

— Szkockiej. Lloyd, zadałem ci pytanie...

— Poczekaj chwilę i słuchaj. Przekonałeś nas, że budowa instytutu jest rzeczą konieczną, aby móc korzystać z federalnych funduszy na badania naukowe i opracowywać receptury produktów, na które mielibyśmy licencję. Natomiast za każdym razem, gdy szukaliśmy kandydata na dyrektora, tu lub w Europie, dostawaliśmy tę samą odpowiedź: że najlepszą osobą na to stanowisko mamy pod nosem, więc dlaczego szukamy gdzie indziej?

- A jaki był powód?
- Pij swoją whisky.
- No?
- Garth, ty się do tego nie nadawałeś. Jesteś błyskotliwym naukowcem, ale brak ci podejścia do ludzi. Jesteś niecierpliwy, skory do gniewu — u diabła, wszyscy wiemy, jak często szedłeś do swego Imira i waliłeś wściekle rakieta w wyimaginowanych głupców czy przeciwników... Jeszcze szkockiej?
- Nie.
- Strauss nalał po porcji do obu szklaneczek i doprawił to wodą sodową.
- Miałeś opinię naukowca do szpiku kości, który byłby najszczęśliwszy na świecie nie zaśmieconym ludźmi. Widzę, że to cię ubodło. Czyżbyś już gdzieś to słyszał?
- Nie. — Lecz moja żona robiła uwagi mniej więcej tej samej treści, dodał w myśli, kołysząc szklaneczką. — Więc nie mogliście dać mi kierowniczego stanowiska i zarazem nie mieliście możliwości lub chęci sprowadzać kogoś z zewnątrz. Aż do teraz. Czyżby nagle nadeszły dobre czasy dla naukowców do szpiku kości, którzy grzeszą popędliwością i ćwiartują niewidzialnych wrogów za pomocą rakiety musowej?
- Moim zdaniem zmieniłeś się bardzo w ciągu ostatniego roku, szczególnie paru ostatnich miesięcy. Świetnie się sprawdziłeś pełniąc funkcję sekretarza wydziału. Rozumiesz, że u nas wdzięcznym okiem patrzy się na ludzi, dzięki którym otrzymujemy rządowe fundusze na badania. Twoje poparcie dla Vivian było godne podziwu, a wymierzone przeciw Websterowi oświadczenie dla rady akademickiej związało i nie do odparcia. Poza tym była sprawa tego smarkacza, który pokręcił coś z pracą w laboratorium, gdy byłeś w Berkeley. Mój Boże, Garth, pięć miesięcy temu rozdarłbyś go na strzępy i wygnał na Akademię Rolniczą, żeby do końca życia zamiatał stajnie. Teraz zasadziłeś go tylko do czyszczenia zlewów i naczyń laboratoryjnych, które nie widziały mydła od stu pięćdziesięciu lat. Więcej whisky?
- Jeśli jestem taki miękki, jak mówisz, whisky mi już niepotrzebna.
- To prawda. To oblewanie twojej nowej posady.
- Czekaj chwilę, jeszcze jej nie przyjąłem.
- Garth, muszę powiadomić radę nadzorczą...
- Niech to diabli, przecież powiedziałem ci, że w przyszłym tygodniu jadę do Stamford.
- Wcale nie chcesz odchodzić do *Foster Laboratories*. To była tylko lufa rewolweru przyłożona do naszych głów.

— Nie mów mi, co to było czy nie było. W przyszły wtorek jadę do Stamford. W czwartek lub piątek dam ci odpowiedź.

— A jeśli muszę wiedzieć wcześniej? Garth wahał się przez krótką chwilę.

— Zależy mi na tej posadzie, Lloyd; wiesz, od jak dawna myślałem o tym projekcie. Mam nadzieję, że będę mógł ją objąć. To wszystko, co mogę ci teraz powiedzieć. Muszę jechać do Stamford.

— A, Stefania... Garth, nie zapominaj, że z pozycją dyrektora wiążą się większe pieniądze i wyższy prestiż...

— Wiem. Dla niej to też będzie jasne. Ale jestem jej winien ten wyjazd. A mnie samemu przyda się otrzaskać trochę dla odmiany w wielkim świecie. Dam ci moją odpowiedź w przyszłym tygodniu, Lloyd. Mam nadzieję, że to wystarczy.

— Wystarczy. Czy na pewno odpowiesz w piątek?

— Tak.

Sabrinę obudził zgiełk kłótni Penny i Cliffa, którzy miotali się po kuchni przypalając grzanki. Sobotni poranek. Nie ma lekcji. Zaryła głowę w poduszkę. Dadzą sobie sami radę, a ona jeszcze troszeczkę pośpi.

Nie mogła jednak znów odpłynąć w sen. Męczyło ją coś, o czym powinna pamiętać. Usłyszała, jak Penny i Cliff rozmawiają o sadach jabłoni.

— Zbiorę sto koszy jabłek — oznajmił Cliff.

— Nie pozwolą ci — odparowała Penny. — Nic by wtedy nie zostało dla reszty świata.

Teraz Sabrinie przypomniała się ta ważna sprawa. ***Penny i Cliff są w kuchni. Sobota. Zbieranie jabłek. Sobota dwudziestego października. W poniedziałek będzie dwudziesty drugi.***

— Zrobimy ci wtedy prześwietlenie — powiedział Nat — a jeśli wszystko będzie w porządku, zdejmiemy gips nie tracąc czasu.

Czas. Niewiele go pozostało. Otworzyła oczy. Garth spał na boku z twarzą o parę cali od jej głowy. Spojrzała na niego. Był taki spokojny, powściągliwy, pewny siebie i tego, dokąd zdąży. Nawet nie będąc pewnym żony i często zdumiony nieoczekiwanymi unikami z ostatnich tygodni, wciąż okazywał czułość i miłość, nawet gdy ona była zimna, wspaniałomyślność, gdy ona była opryskliwa. Zgodnie z obietnicą dawał jej czas, żeby doszła do ładu z samą sobą.

A któż to taki? — spytała po cichu, a odpowiedź nasunęła się sama: kobieta zakochana w mężu własnej siostry.

Od kiedy go kochała? Nie miała pojęcia; to nie było istotne. Wiedziała o tym z niezbitą pewnością, lecz radość płynąca z tego uczucia szybko ustąpiła rozpaczy. Impulsywnie wyciągnęła rękę i przesunęła dłonią po jego wysokiej,

mocno zarysowanej kości policzkowej i szorstkim zaroście. Pod skórą przy oku mały nerw zadrżał po jej dotykaniu. Cofnęła dłoń, lecz Garth zdążył już się obudzić i patrzył na nią.

Zobaczył nieskrywaną miłość na jej twarzy, lecz zanim zdołał ją objąć, jej mina raptownie zubożała i znowu ujrzał przyjacielskiego kompana.

— Dzień dobry — powiedział cicho, nie poruszywszy się. Spojrzała na niego bezradnie. Wszystko w jego postępowaniu

wydawało się właściwe, a cokolwiek ona robiła, wychodziło na opak. W duchu wypowiedziała słowa, które chciała mu powiedzieć: **Dzień dobry, najdroższy**. Nagle z kuchni dobiegł przeraźliwy łoskot i triumfalny okrzyk Penny: „A nie mówiłam!”

Sabrina wyskoczyła z łóżka. Zaklęła pod nosem, gdy brzeg koszuli nocnej zahaczył o krzesło — zrezygnowałaby zupełnie z koszul nocnych Stefanii, gdyby nie to, że ułatwiały dzielenie łóżka z Garthem — naciągnęła szlafrok i wybiegła z pokoju.

W kuchni Cliff stał nad jeziorkiem soku pomarańczowego upstrzonego wysepkami potłuczonego szkła. Penny rzuciła mu rolkę papierowych ręczników. Trzymał ją teraz przed sobą i rozwijał długą wstęgę, która układała się na podłodze w malownicze fałdy, stopniowo zabarwiając się na pomarańczowo. Gdy Sabrina weszła do kuchni, podniósł na nią wzrok z pełnym powagi skupieniem, do złudzenia przypominającym wyraz twarzy Gartha, gdy pracował przy swoim biurku.

— Jak ci się wydaje, ile ręczników potrzeba — spytał z powagą, kładąc nacisk na niektóre słowa, tak jak ojciec — żeby to wszystko wsiąkło, jeżeli użyję mokrych ręczników do pozbierania kawałków szkła i części soku, a potem suchych, żeby wytrzeć go do reszty?

Sabrina wybuchnęła śmiechem. Penny była oburzona.

— Co w tym tak śmiesznego? — spytała niemal ze zgrozaniem i Sabrina zrozumiała, że reakcja Stefanii byłaby całkiem inna. Stefania przejęłaby się potłuczonym szkłem, pokaleczonymi palcami, możliwością poślizgnięcia się na podłodze i lepkiem bałaganem. Lecz Sabrina patrzyła z innej strony: oto romantyczna scena na górze, gdy oboje z Garthem patrzyli sobie w oczy, ona gładziła go po twarzy... i zamiast ułów miłości efektowny łoskot, kwarta soku pomarańczowego na



podłodze, długi wąż papierowych ręczników i naukowe podejście Cliffa do problemu, będące nieświadomą parodią zachowania ojca. Potrząsnęła mocno głową, żeby pohamować śmiech.

— Masz rację, to nic śmiesznego. Jak to się stało?

Cliff walczył przez chwilę z samym sobą, a potem wyznał prawdę:

— Balansowałem butelką na głowie.

— Gwiazda drużyny nie ma wyczucia równowagi? Chmurny, wzruszył ramionami.

— Proszę bardzo, masz pole do popisu. Weź tyle ręczników, ile chcesz, mokrych i suchych. Gdyby ci zabrakło, mamy więcej. I obawiam się, że możesz się pożegnać ze zbieraniem jabłek, jeśli podłoga nie będzie umyta do czysta.

— Mamo! Mężczyźni nie zmywają podłóg kuchennych! Pozbieram szkło i wytrę sok, ale...

— W tym domu — powiedziała Sabrina spokojnie — mężczyźni zmywają podłogi kuchenne. — Odwróciła się, aby wyjść, lecz zatrzymała się jeszcze na chwilę. — Chodź, Penny. Pomówimy o tym, jakie jabłka będziemy zbierać. — Objęła Penny, żeby ją wyprowadzić z kuchni i ponad jej ramieniem dostrzegła dziękczynne spojrzenie Cliffa: siostra nie będzie świadkiem jego upokorzenia.

Gdy wchodziły na górę, Penny spojrzała na nią z ciekawością.

— Co chciałaś przez to powiedzieć: jakie jabłka będziemy zbierać? Tak późno, w październiku, jest tylko jeden gatunek.

Sabrina westchnęła. O ilu drobniactwach Stefania zapomniała jej powiedzieć. Całe życie składa się z drobniactw.

— Masz rację — odparła. — Chyba zapomniałam.

— Jakie są zniszczenia? — spytał Garth z sypialni i Penny pobiegła mu powiedzieć. Sabrina poszła na koniec korytarza. Ta część domu była zaokrąglona na kształt wieżyczki, a w wykuszu pod oknem, które wychodziło na boczną stronę podwórka, wbudowano ławkę. Był to jeden z ulubionych zakątków Sabriny. Stora, którą zawiesiła tutaj Stefania, odgradzała go od wrzawy w pozostałej części domu. Usiadła na ławce i patrzyła na płomienne kolory liści klonu na podwórku. Zbiór jabłek. Jesień.

W Londynie, Paryżu i Rzymie ludzie wracali teraz gremialnie z letnich podróży, zaczynał się sezon przyjęć i bali, a w *Ambasadorze* coraz częściej pojawiali się klienci. Cóż ona tu robi, mając przed sobą dzień w sadzie, gdy jej prawdziwy świat właśnie rozpoczynał nowy sezon? Miała tyle do zrobienia! Pani Pemberley powinna już skończyć szycie jesiennych kreacji, jej włosy wymagały ręki fryzjera, w listopadzie zjawia się klienci po przedmioty, których nawet jeszcze nie wyszukała.

*Nie jestem na swoim miejscu.* Słowa te zabrzmiały surowo w tak ciepły, słoneczny dzień. Tamten świat za oceanem przecież nie zniknął, żyła w nim Stefania. A na każde życie składa się nieskończona ilość drobiazgów, których nie da się z góry omówić ani w listach, ani przez telefon. Jak sobie radziła Stefania w jej świecie? Grając rolę Sabriny Longworth jaki ślad zostawiała za sobą na drodze, którą Sabrina będzie musiała dalej iść, gdy wróci do siebie? ***Co ona robi z moim ryciem?***

Poczuła, że Garth siada obok niej. Przyciągnął ją lekko i pocałował w czoło, kąciaki oczu i czubek nosa.

— Dzień dobry — powiedział, odprężony. — Czy można wejść do kuchni na śniadanie?

Myślami wciąż była w Europie.

— Chyba zabrakło soku pomarańczowego — powiedziała automatycznie i zdziwiła się, gdy wybuchnął śmiechem i mocniej ją objął. Przypomniała jej się kałuża soku, własne rozbawienie, pełen wdzięczności wzrok Cliffa. Jej rodzina i ten świat. I Garth, którego kochała, pragnęła i potrzebowała.

Przytuliła się, drżąc, do jego ramienia, a on przesunął ustami po jej czole, policzku... Ogarnęła ją fala pożądania, nieustępliwa, ciepła i ciężka. Uniosła ku niemu twarz i pocałowała go rozwartymi ustami, po raz pierwszy tak, jak zawsze pragnęła: głęboko, namiętnie. Tak chciała być całowana przez niego i wiedziała, że przeznaczone im jest tak się całować. Oddał jej pocałunek, jednocześnie zsuwając z jej ramienia koszulę nocną i objął ręką jej pełną pierś, a potem przesunął palce aż do sutka, który stwardniał pod jego dotykiem.

Oprzytomniała. Łzy stanęły jej w oczach i wyrwała mu się trzęsąc się niepoohamowanie.

— Nie mogę! — krzyknęła. ***Stefanio, przebac mi. Nie chciałam go pokochać.*** Potrząsnęła głową. — Nie mogę, nie mogę.

— Co u diabła się z tobą dzieje? — ryknął Garth.

— Och, proszę, nie! — jęknęła Penny, która pojawiła się w drzwiach swojego pokoju na drugim końcu korytarza.

***Za dużo naraz się dzieje. Jak mam się w tym wszystkim połapać?*** Widząc, że twarz Penny wykrzywiona jest strachem, podeszła do niej. Ukłękła i objęła ją.

— Czy tata krzyczy na mnie? Co znowu zrobiłem? — wrzasnął Cliff z dołu.

— Do wszystkich diabłów! — wybuchła Sabrina. Wciąż dygotała z pożądania i poczucia winy. — Czy każdy tutaj musi się do wszystkiego wtrącać? Czy w tym domu nie ma nic prywatnego? —

Penny zaczęła płakać i Sabrina poczuła, jak cały ranek jej się wymyka: rujnowała jedną rzecz po drugiej. — Przepraszam — opanowała się. Odwróciła się i krzyknęła w kierunku schodów: — Nikt na ciebie nie krzyczy, Cliff! — Potem znów zwróciła się do Penny: — Przepraszam, kochanie. Nie bój się. Wszystko w porządku. W pełnym porządku — powtórzyła, zastanawiając się, czy upewnia o tym Penny, samą siebie, czy Gartha. — Założę się, że to brzmiało zupełnie tak, jak gdy ty z Cliffem skaczecie sobie do oczu, co?

— Tatuś wyglądał na tak wściekłego — powiedziała Penny, oszołomiona i przestraszona. — On prawie nigdy na nikogo nie krzyczy.

Sabrina czekała, aż Garth coś powie, lecz nie odezwał się. Mógłby mi pomóc, pomyślała, ale jest zbyt rozgniewany. Uśmiechnęła się do Penny.

— No, jeśli o to chodzi, to ty i Cliff czasami jesteście tak wściekli, że najchętniej jedno drugie stłukłoby na kwaśne jabłko.

Penny wyrwał się krótki śmiech. Sabrina wiedziała, co myśli w duchu: że rodzice nie powinni zachowywać się jak ich dzieci. Może nawet przyszli jej na myśl znajomi, których rodzice kłócili się ze sobą i czasami rozwodzili.

— Krzyki nie licują z niczyją godnością — powiedziała z namaszczeniem — ale za to nieźle przeczyszczają płuca przed rozgrywkami piłki nożnej. — Penny znowu się zaśmiała. — A teraz ruszaj. Nawet nie jesteś jeszcze ubrana. Musimy sprawdzić, jak poszło Cliffowi ze skrobaniem podłogi, a potem zjemy i wynosimy się stąd albo wszystkie jonatany znikną, zanim dobrniemy do sadu.

— Złote delikcje — poprawiła Penny odruchowo. — Mówiłam ci, że teraz zbiera się tylko ten gatunek. Sama o tym dobrze wiesz.

— Jak dotąd, nic dziś rano nie przypomina delikcji — stwierdziła Sabrina całując ją w policzek — z wyjątkiem ciebie. No dalej, już, włóż coś na siebie.

Gdy Penny odeszła do swego pokoju, Sabrina, wciąż na klęczkach, czekała, aż Garth zwróci się do niej i uspokoi ją, jak ona uspokoiła córkę. Lecz on, milczący, siedział nieruchomo w miejscu, gdzie go zostawiła. Przez długą chwilę tak trwali; dzieliła ich cała szerokość domu i otchłań niezrozumienia. Sabrina podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

— Tak mi przykro — powiedziała.

Dźwięk tych słów pokonał całą odległość korytarza i dotknął go z taką samą czułą ostrożnością jak jej palce, które głąskały jego twarz przed niespełną godziną.

Garth uśmiechnął się, a uśmiech ten był tak pełen miłości, że Sabrinie aż dech zaparło.

— Wszystko w porządku — odezwał się w końcu. — Po prostu sądziłem, że może już się zdecydowałaś. Sabrina usłyszała słowa, choć nie pojęła ich sensu. Zdecydowała się na co? Żeby się z nim kochać? Żeby wyjaśnić, dlaczego przerzucała się wciąż z chłodu do czułości? Żeby mu wszystko wyznać? Jeżeli coś wiedział lub podejrzewał, dlaczego nie mówi tego wprost?

— Muszę się ubrać — powiedziała prędko i weszła do sypialni zamykając za sobą drzwi. ***Nie będę teraz o tym myśleć; pomyślę o tym później. Nie chcę wiedzieć, co miał na myśli.*** Wciągnęła lewisy, bladożółtą koszulę z szorstkiej bawełny i rdzawy sweter z wycięciem w łódkę. W tym stroju w dużym lustrze wyglądała na starsze o kilka lat odbicie Penny. Przez króciutką chwilę poczuła się bardzo młoda, nietknięta przez czas i nie uwikłana w komplikacje świata dorosłych.

Odrzuciła w tył ciężkie, kasztanowe włosy i związała je z tyłu brązową aksamitką. Małe figlarne loki wymknęły się spod wstążki i obramowały jej twarz; wyglądała raczej jak psotny podlotek, niż jak dojrzała kobieta.

Obraz podlotka w lustrze przypominał jej inne lustra — w pałacach i wspaniałych siedzibach — które odbijały jej własny wizerunek w tiulach, koronkach i jedwabiach. W wytwornych toaletach spływała po schodach lub wchodziła przez wielkie drzwi na salę balową wywołując szmer podziwu w świecie ludzi pięknych i eleganckich.

Gdzie się podziała ta olśniewająca kobieta? Paraduje w spłowiałych dzinsach na bosaka w dwupiętrowym niepozornym domku w Evanston w stanie Illinois.

Zeszła bosą na śniadanie.

Garth obserwował ze swego miejsca w wykuszu, jak żona wchodzi do sypialni i zamyka drzwi, a w dziesięć minut później schodzi, bosonoga, na dół. Zdumiewał go upór, z jakim wciąż broniła się przed zawarciem zgody. Uczyniwszy krok naprzód, cofała się zawsze o pół kroku — do twardej skorupy, którą się otoczyła od czasu swej podróży.

— Tato! — zawołała Penny. Zszedł więc na dół na śniadanie. Podłoga w kuchni była czysta. Z wypełnionego po brzegi kosza

w kącie wysypywały się nasiąknięte pomarańczowym płynem papierowe reczniki. Cliff i Penny nakryli do stołu, nalali do szklanek soku grejfrutowego i spiętrzyli na talerzu stertę pączków. Kawa była gotowa. Cała trójka siedziała spokojnie przy stole, uśmiechając się do niego.

— Czyżbym wszedł do niewłaściwej kuchni? — zapytał. Penny zachichotała. Podniósł szklanke z sokiem. — Za przepiękny dzień.

Sabrina spojrzała mu w oczy.

— Dziękuję — powiedziała miękko.

W samochodzie poczuł, że trochę się odprężyła.

— Jak to przyjemnie spędzać w ten sposób sobotę — powiedziała. Zupełnie jakby nigdy przedtem tego nie robiła. Może tak było w pewnym sensie, pomyślał. Nigdy nie przeżywała tego będąc w rozterce przed podjęciem decyzji o swej przyszłości. Naszej przeszłości, dodał w duchu; muszę jej o tym przypomnieć.

Na tylnym siedzeniu Penny i Cliff odgadywali na wyścigi marki przejeżdżających samochodów. Garth był pochłonięty własnymi myślami. Zostawiona samej sobie Sabrina oglądała krajobraz, który przesuwał się przed jej oczami: pola równo zaorane aż po horyzont, bydło na łąkach, które stało nieruchomo lub przechadzało się stadkami jak goście na przyjęciach, białe domy na farmach, wiśniowoczerwone stodoły, jaskrawożółte traktory na tle błękitnego nieba, głęboki brąz gleby i przepyszne jesienne liście.

Farmy w Europie były mniejsze, starsze, bardziej zniszczone. Te amerykańskie, zdaniem Sabriny, promieniowały ekspansywnością i upartym dążeniem do postępu, wtopione harmonijnie w pejzaż. Miała ochotę utrwalić widok na kartach szkicownika, zapamiętać na zawsze.

Sad jabłoniowy leżał wśród jeziorek. Niektóre z nich otoczone były domkami, przystaniami, parkami, i zalane tłumem weekendowiczów. Garth klął coraz gęstsze korki na drodze.

— Czy możemy wysiąść? — jęknął Cliff. — Przegonimy cię i zostawimy daleko w tyle.

— Mam lepszy pomysł — zażartował Garth. — Ty prowadź. Najwyższy czas, żebyś zaczął pracować, a ja się w tym czasie zabawię. Matka i ja pójdziemy sobie spacerkiem do sadu, a ty i Penny będziecie się użerać z ruchem na drodze.

— Serio to mówisz, tato? — spytał Cliff skwapliwie. — Pozwolisz mi prowadzić?

Garth potrząsnął głową.

— Prawo tego zabrania. Kiedy będziesz miał piętnaście lat, nauczysz się w szkole.

— Ta nauka jest nic nie warta — oświadczył z lekceważeniem Cliff.

— Skoro tak, będę cię również sam uczył, ale dopiero wtedy. Już wkrótce wskoczysz za kółko, a twoja matka i ja będziemy gryźć paznokcie ze zdenerwowania, ilekroć dziesięć minut spóźnisz się

z powrotem do domu. Nie ścigaj się z czasem — dla naszego i własnego dobra.

Ich głosy dochodziły do Sabriny jakby z bardzo daleka. *Nie będzie mnie tutaj, gdy Cliff skończy piętnaście lat. Garth i ja nigdy nie pójdziemy sobie spacerkiem, podczas gdy Cliff i Penny będą się zamiast nas zmagać z korkami. Będą rosnąć i zmieniać się, gdy mnie już tu dawno nie będzie. I* — ta myśl nagle ją uderzyła — *nawet nie będą wiedzieć, że mnie już nie ma.* Zona Gartha, matka Penny i Cliffa wciąż będzie uczestniczyć w ich życiu, sprzeczkach, żartach i rodzinnych rozmowach, rankami i przed snem. Będzie miała udział w ich miłości. Zniknie tylko Sabrina.

Garth wjechał w gąszcz samochodów na parkingu i spojrzał na nią z uśmiechem. Raptem twarz mu się ściągnęła.

— Co się stało? Potrząsnęła szybko głową.

— Nic. Idziemy?

Wzięli ze sobą kosze i weszli do sadu. Powietrze przepajała soczysta woń dojrzałych jabłek, które zaścielały pogniecioną trawę pod drzewami. Gałęzie uginały się pod ciężarem owoców, doskonale okrągłych, od bladożółtozielonych do ciemnozłoty z rumieńcem czerwieni. Wszędzie wokół zbieracze sypali je do koszy i plastikowych toreb. Lecz oni szli dalej, dopóki nie znaleźli cichego zakątka. Cliff rzucił jedno spojrzenie na pokręcone drzewa, z radosnym pohukiwaniem podskoczył i pewnymi ruchami piał się w górę przez płataninę gałęzi i liści.

— Niczym rodzony brat szympansa — powiedział Garth rozbawiony.

Penny zaczęła wdrapywać się za nim, lecz Cliff zawołał w dół:

— Czekaj! Najpierw ja będę ci zrzucał, a potem zamienimy się. Pomogę ci wejść na górę.

Sabrina była tym wzruszona. Swarzyli się, lecz Stefania nauczyła ich również partnerstwa. Patrzyli z Garthem, jak dzieci wchodzą w rytm zrywania, rzucania i łapania owoców.

— Może przejdziemy się chwilę? — spytała.

— Świetny pomysł. — Wziął ją pod ramię i pomachał do Cliffa na drzewie.

— Zaraz wrócimy. Jak nazbieracie buszel \*, zaczniście następny. Pamiętajcie tylko, że będziecie musieli sami obrać te jabłka w domu, więc nie rozpędzajcie się za bardzo.

\* **Buszel** — miara objętości, około 36 litrów.

Cliff zastygł na chwilę z wyciągniętą ręką, a potem skinął głową. Gdy odchodzili, Sabrina usłyszała, jak mówi z podziwem do Penny:

— Mama nie powiedziała nam nawet, żebyśmy uważali.

Poszli ścieżką między drzewami. Głosy innych zbieraczy dochodziły do nich niby lekki szmer, z dala. Ciemne liście i żółte jabłka lśniły na tle błękitnego nieba. Powiew wiatru poruszył loki Sabriny. Uniosła twarz do słońca i wciągnęła głęboko powietrze. Na pozór nic się nie działo — nic ekscytującego ani wspaniałego. Stało się tylko to, że była zakochana w mężczyźnie, który szedł przy jej boku. I że była szczęśliwa.

Ścieżkę przecięła druga. Wstęp do tej części sadu był zakazany. Jonatany, makintosze i czerwone delicje stąd miały być wystawione na sprzedaż w sklepie przy sadzie lub zakończyć swój los w kadziach przetwórnicy.

— Wejźmy tam mimo to — zaproponował Garth — z całym szacunkiem dla fauny i flory.

Szli wolno pod rękę, grzali się w październikowym słońcu i wdychali aromat jabłek, koniczyny i skoszonej trawy z pobliskich pól.

— Jestem dzięki tobie bardzo szczęśliwy — powiedział cicho Garth. — Nie mówię ci o tym tak często, jak powinienem.

Podniosła na niego oczy.

— Poza tym — dodał — jesteś cudownie piękna. Tego też nie mówię ci dostatecznie często.

Patrzyła wciąż na niego w milczeniu.

Odwrócił ją ku sobie i ujął jej twarz w dłonie. Poczował, że sztywnieje.

— Nie uciekaj tak ode mnie, najmilsza. Wiem, co cię dreczy, i nie chcę cię do niczego zmuszać. Ale musisz wiedzieć, że nie będę wiecznie siedział beczynnie; w końcu mam pewną wprawę w rozwiązywaniu niewiadomych...

Przerwał na widok przerażenia w jej oczach. Czy bała się jego — czy siebie samej?

— Stefanio — powiedział łagodnie, starannie dobierając słowa, przez co jego wypowiedź zabrzmiała dziwnie oficjalnie. — Nie sprawię ci bólu. Nigdy nie sprawiłbym ci bólu. Jakakolwiek decyzję podejmiesz, najprawdopodobniej będę musiał ją zaakceptować. Ale kocham cię teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem i jesteś mi potrzebna — i oczywiście również dzieciom — więc to, czy z nami zostaniesz, znaczy dla mnie wszystko.

Na ziemię u ich stóp spadło z miękkim klapnięciem późne czerwone jabłko. Obok przeleciała lotem błyskawicy ważka, a jej przezroczyste skrzydła zabłyśły w słońcu. Wiewiórka rozrzuciła kopczyk suchych

liści. Sabrina milczała. Ciepłe ręce Gartha nie pozwalały jej odwrócić twarzy, jego oczy zaglądały głęboko w jej pociemniałe źrenice. Wiele z tego, co powiedział, zaskoczyło ją, lecz jeden zwrot wciąż odbijał się echem. ***Bardziej niż kiedykolwiek przedtem, kocham cię teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem.*** Wibrowała w tych słowach namiętność, którą wzbudził w niej dziś rano i która wciąż pulsowała mocnym, miarowym rytmem w jej ciele i paliła się w krwi podobnym ogniem, jak blask pod powiekami. Zamknęła je przed mocnymi promieniami słońca.

— Spójrz na mnie — powiedział ochryple Garth, ale ona potrzęsnęła głową. Nie znał prawdy — nie mogło tak być, skoro nazywał ją Stefanią — lecz skądś nabrał przekonania, że ona może go opuścić. I to była prawda, to była prawda, choć on nigdy się nie dowie dlaczego — ani z e to się stało. ***Mój najdroższy, nie mogę ci nic powiedzieć.***

Opuścił ręce. Pozbawiona ich ciepła jej twarz stała się zimna, równie zimna jak spojrzenie Gartha, które napotkała, gdy otworzyła oczy. Szukała słów, które mogłyby przywrócić harmonię sprzed kilku minut, lecz nic nie można było powiedzieć.

— Powinniśmy wrócić — dzieci...

— Za chwilę — odpowiedział krótko i skręcił w inną ścieżkę. Sabrina dotrzymywała mu kroku. — Należy nam się trochę wspólnie spędzonego czasu — ciągnął tonem normalnej rozmowy. — Kiedy ostatnio wyjeżdżaliśmy gdzieś razem?

— Nie wiem — odparła, zadowolona, że choć raz może powiedzieć prostą prawdę.

— W takim razie wyjeźdźmy w tym tygodniu. Miałem zamiar ci powiedzieć, że wreszcie przyjąłem zaproszenie Kallena. Wylecimy we wtorek rano, zostaniemy na noc w Nowym Jorku, a w środę wrócimy.

Sabrina zareagowała odruchowym „nie”. Gdy zmarszczył brwi, zaczęła nieudolnie szukać wymówek.

— Dzieci. Moja praca. Ręka. Pieniądze.

— Dzieci zostaną z Vivian, już ją o to prosiłem. Twoje starocie jakoś bez ciebie przetrwały sto lat, więc poczekają jeszcze dwa dni. Mówiłaś, że w poniedziałek mają zdjąć ci gips. Foster buli za wszystko, łącznie z rachunkiem za nowojorski hotel. Słuchaj, od miesiący namawiałaś mnie, żebym wziął tę posadę. Dlatego powiedziałem im, że przyjedziemy.

Sabrina podniosła jabłko i wytarła je o rękaw. Było nieskazitelnie zdrowe, bez żadnego obicia czy miękkich miejsc. Wbiła w nie zęby i poczuła na języku ostry, świeży smak. Wyjechać z Garthem, być



z nim sam na sam! *Och, to byłoby cudowne.* Lecz jakże to zrobić? Jak długo może go odrzucać?

Nie mogła jednak mu powiedzieć, żeby wybił sobie z głowy pracę, na której tak rozpaczliwie zależało Stefanii. Ponadto sama obiecała siostrze, że spróbuje go nakłonić do wyjazdu do Stamford. Biorąc to wszystko pod uwagę, niechętnie skinęła głową. Pojedzie z nim do Connecticut. Objął ją ramieniem, gdy wracali do Penny i Cliffa.

— Powiedziałbym, że już najwyższy czas, żebyśmy mogli pobyć ze sobą sami — powiedział — i odkryć, kim naprawdę jesteśmy.

## Rozdział siódmy

Nathan Goldner umieścił zdjęcie rentgenowskie na podświetlonej tablicy i odsunął się, żeby Sabrina również mogła mu się przyjrzeć.

— Nie mogło być lepiej — powiedział. — Możesz znów rozdawać klapsy Garthowi i dzieciakom i wypiekać swoje sławetne ciasta. A teraz zdejmijmy ten gips.

Pochylił się nad jej ramieniem, lecz po chwili podniósł wzrok.

— Żadnych okrzyków radości na myśl o odzyskaniu własnej ręki? Uśmiechnęła się słabo, głęboko zamyślona, a w wyobraźni ujrzała

zamiast swojej lewej ręki leżącej na stole, wciąż w gipsowym pancerzu, dwie takie ręce, zdrowe i identyczne: Stefanii i swoją własną, znów nie do odróżnienia.

— Stefanio? — zapytał Nat. — Dobrze się czujesz? *Niestety świetnie, w tym cały kłopot.*

— Przepraszam, Nat. Mam myśli zaprzątnięte trzema buszlami złotych delicji, które czekają w domu. Gdybyś mógł zostawić mi ten gips jeszcze na kilka tygodni, mogłabym oddelegować resztę rodziny do ciast, szarlotek i kompotów.

Taki żart: „Gdybyś mógł zostawić mi ten gips jeszcze na kilka tygodni...” Czy tego właśnie by chciała? Pomimo całej tęsknoty za I. ondynem i myśli nad tym, co się dzieje w tamtym jej życiu, czy chciałaby zostać tu jeszcze kilka tygodni? Nie wiedziała. To było najśmieszniejsze — naprawdę nie wiedziała. Zresztą co za różnica? Nie miała wyboru.

Nat dostrzegł w tym tylko dowcip.

— Skazana na szarlotkę — powiedział i znów się schylił, żeby przeciąć gips.

Gdy skończył go zdejmować, Sabrina ujrzała swoją rękę białą i wątlą, jakby nowo narodzoną.

— Czy powinnam ją bandażować? Albo uważać, żeby jej nie forsować?

Potrząsnął głową.

— Nic z tego, Stefanio. Możesz obierać jabłka aż do Bożego Narodzenia i przesuwać wszystkie meble w sklepie, gdzie pracujesz. Prawdę mówiąc, używaj jej jak najwięcej, żeby wzmocnić mięśnie. Kość jest teraz nawet silniejsza niż przedtem.

Jestem teraz silniejsza, powiedziała sobie w duchu, idąc do samochodu. I łatwiej sprawić mi ból.

Ponieważ wzięła sobie wolne z pracy na ten dzień, wróciła do domu. Otworzyła drzwi na patio, żeby wpuścić powiew wiatru i cierpki aromat późnych róż, które wciąż kwitły przy ścianie domu. Spojrzała w zadumie na trzy czubate kosze, które stały rzędem przy tylnych drzwiach, w tym samym miejscu, gdzie Garth postawił je wczoraj wieczór. Muszę coś z nimi zrobić, pomyślała. Przynajmniej zrobić wyłom w tej masie.

Zamiast tego zaparzyła sobie kawy i usiadła przy stole. Powiew wiatru drażnił delikatną skórę na obnażonej ręce. Napięła mięśnie — jakże wiotkie zrobiły się teraz! Podniosła filiżankę, obmacała kości, sprawdzając, czy nie zaboli. Nic. Była wyleczona. Sabrina Longworth, znów w jednym kawałku, gotowa na podbój świata.

Wtedy zadzwonił telefon.

Wiedziała, że to Stefania, jeszcze zanim podniosła słuchawkę.

— Sabrina? — usłyszała lekko zdyszany głos Stefanii. — Jak się czujesz? Jak się mają Penny i Cliff?

— Wspaniale — odparła Sabrina ze zdziwieniem. Głos Stefanii był nie tylko zdyszany, pobrzmiwała w nim nuta ostrożności, jakby obawiała się jakiejś reakcji siostry. — Pojechaliśmy na zbiór jabłek, gdzie pracowali jak dwa kombajny. Stefanio, co mam robić z trzema buszlami jabłek?

W śmiechu Stefanii był ton nostalgii, który Sabrina natychmiast wychwyciła.

— Zawsze tracą umiar. Dlaczego nie kazałaś im przestać?

— Nie było nas tam...

— Nie było...?

— Poszliśmy na spacer. Jakoś... nie miałam ochoty na zbieranie, gips to utrudniał, więc pozwoliliśmy im odwalić robotę.

Nastąpiła krótka cisza.

— Jak się czuje Garth?

— Świetnie. Miewa się... świetnie. Tak jak ci mówiłam w zeszłym tygodniu, spędza więcej czasu w domu, a to uszczęśliwia Penny i Cliffa. Wszyscy czujemy się... świetnie.

— I?

Sabrina zaczerpnęła oddechu.

— I dziś rano...

— Nie, pytałam o Gartha. Myślałam sobie, że może po powrocie z Kalifornii chciał się z tobą kochać. Coś w rodzaju „witaj w domu”.

Jej głos znów się zmienił, jakby chciała narzucić sobie jakiś dystans. Sabrina się zmieszała.

— Czy tak zwykle robił?

— Tak. I zrobił to również tym razem, prawda? Ale to nic nie szkodzi. Możesz robić, co ci się podoba. Trudno się spodziewać, że żyjąc pełnym życiem można uniknąć robienia... różnych niezwykłych rzeczy. W końcu pięć tygodni to sporo czasu...

Jej głos ucichł i nagle Sabrina zrozumiała. Kto jest tym mężczyzną? — zachodziła w głowę. To musiało się wydarzyć nagle.

— Nie tak znów długo — odparła ostrożnie. — Dużo się tu wydarzyło...

— Chciał tego, prawda? Sabrino, ile razy ty i Garth spaliście ze sobą? Pięć? Dziesięć? Ile razy? Nie kłam.

— Raz — powiedziała, dotknięta, Sabrina, którą znów ogarnęły wyrzuty sumienia. — Przed jego wyjazdem do Kalifornii. Nie mogłam lemu zapobiec. Ale to nie miało żadnego znaczenia, Stefano. To — nic zupełnie nie znaczyło.

— Znaczyło dla Gartha. Sabrina nic nie odpowiedziała.

Stefania z westchnieniem zwinęła się w kłębek na fotelu w sypialni. Żałowała, że nie ma z kim porozmawiać. Niedługo wróci Gaby, lecz nie poruszy z nią tego tematu. I z nikim innym. Nawet ze swoją siostrą, która spała z jej mężem.

— Jakie to wstrętne — powiedziała, nie myśląc o Garcie i Sabrinie, lecz o dzikich porywach uczuć, jakie nią miotają. Zadzwoiła, żeby zawiadomić Sabrinę o rejsie. Gdy usłyszała o zbiorze jabłek, zapragnęła być w domu. Gdy Sabrina przyznała się, że spała z Garthem, zapragnęła Maxa.

— Wiem, że wstrętne — powiedziała Sabrina. — Ale słuchaj, ja go nie uwiodłam. Po prostu tak się składa, że śpię z nim w jednym łóżku. Nawet bym ci o tym nie mówiła...

— Dlaczego nie? Myślisz, że to mi sprawia jakąś różnicę? Możesz spać z Garthem do woli.

— Nie potrzebuję, żebyś proponowała mi usługi swojego męża —

odparła zimno Sabrina. — Doszło do tego tylko raz i nie dopuszczę, żeby zdarzyło się powtórnie. Nie ze względu na ciebie, lecz na siebie samą.

— Sabrino, poczekaj, nie bądź taka zła. Przepraszam, nie chciałam powiedzieć... Posłuchaj, Sabrino, czuję się tak daleko... Wszystko, co robię tutaj, nie ma nic wspólnego z tamtym życiem, i wszystko mi się miesza. Sabrino? Czy jesteś tam?

— Tak. Słucham cię. Co się stało, Stefanio?

Stefania usłyszała miłość w głosie Sabriny i zapragnęła powiedzieć jej o wszystkim, lecz w jej myślach panował zamęt, z którym nie umiała od razu się uporać.

— Nie wiem... Pewnie mam rozstrojone nerwy, bo czasami nie wiem, kim naprawdę chcę być. Nie, to nieprawda. Oczywiście, że wiem. To wszystko minie, gdy tylko wrócę na swoje właściwe miejsce, ale... Trudno to opisać. Płatanina dziwnych uczuć.

W pokoju śniadaniowym oblanym południowym słońcem Sabrina przesunęła palcem wzdłuż rysy na okrągłym stole i wbiła wzrok w martwy liść zwisający z łydgi avocado, którego Penny nie chciała wyrzucić. Mogła sobie wyobrazić z równą wyrazistością każdy pokój na Cadogan Square, odczuć atmosferę błogiego spokoju, intymności i piękna, które stworzyła.

Z roztargnieniem schyliła się i podniosła z podłogi kartę baseballową, którą zgubił Cliff. Położyła ją na kredensie i przypomniała sobie, że zapomniała wyjąć z zamrażarki mięso na obiad.

— Wiem — powiedziała. — Przechodzę dokładnie przez to samo.

— W Evanston? — Stefania zadała to pytanie z taką dozą szczerego zdumienia, że Sabrina roześmiała się w porywie naglej czułości.

— Nawet w Evanston — przytaknęła. — Dużo tu się dzieje.

— Tak, rzeczywiście — powiedziała Stefania głosem bez wyrazu. — Mówiłaś coś o tym.

W porządku, pomyślała Sabrina. Koniec pieśni. Nie wiem, dlaczego jeszcze nie spytała o prześwietlenie, wie przecież, że było wyznaczone na dzisiaj. Ale muszę jej o tym powiedzieć, a potem wynosić się. Moje chęci nie mają tu znaczenia, to jej rodzina, a ja jestem osobą z zewnątrz, która jest przyczyną roz-dźwięku...

— Stefanio, miałam dziś wizytę u...

— W *Ambasadorze* mieliśmy ostatnio mnóstwo pracy — przerwała Stefania.

— Och, naprawdę? Co sprzedaliście?

— Porcelanę Petuntse \*, którą kupiłaś w Chinach. — Głos Stefanii był pełen radości. — Dotarła trzy dni temu i jeszcze zanim zdążyliśmy ją rozpakować, kupił ją pośrednik z Bonn, którego przysłał Brooks. A jakiś prawnik z Manchesteru wziął to mahoniowe łóżce z wolutami. Och, i wstąpiła też lady Stargrave — chce kupić lakierowaną szafkę chippendale do swojej nowej miejskiej rezydencji. Powiedziałam, że znajdę taką, ale nie wiem gdzie szukać.

— Thomas Strang może mieć jakąś w swoim sklepie. W zeszłym roku kupił dwie. Jeśli nie, będzie pewnie miał coś Gillowsa, a Bettinie to w zupełności wystarczy; technika wykonania jest tak podobna, że nigdy nie zauważy różnicy. Ale przecież ja mogę...

— Zadzwoń do niego — przerwała Stefania i szybko ciągnęła dalej: — Z Gabriellejuż wszystko w porządku, chociaż, jak nastolatka, snuje się nieprzytomna z miłości do Brooksa i nie chce się umawiać z nikim oprócz niego. Pomyślałam sobie, że ją poproszę, żeby pomogła Brianowi w sklepie, gdy ja wyjadę.

Cisza.

— Gdy ty co...?

— Tylko na parę dni. Sabrino, spotkałam kogoś... Nie mężczyznę, z którym chciałabym być przez długi czas, lecz kogoś niezwykłego, innego od wszystkich, jakich znałam, i niesamowicie bogatego. — Zaśmiała się lekko. — Ucieleśnione marzenie. Zaprosił mnie na parodniowy rejs po Morzu Śródziemnym na swoim jachcie i postanowiłam, że pojadę. To dla mnie jedyna okazja i nie chcę jej przepuścić.

***To dlatego wymusiłaś ze mnie wyznanie, że Garth i ja spaliśmy ze sobą. Chciałaś o tym wiedzieć, żeby mieć coś na własne usprawiedliwienie. I dlatego nie dopuszczasz mnie do słowa, żebym nie mogła powiedzieć ci o zdjęciu gipsu.*** Cicha Stefania z kompleksem niższości, ostrożna Stefania, niechętnie podejmująca ryzyko, Stefania, która poznała Gartha, tak wcześnie wyszła za mąż i ustatkowała się — a teraz miała wielki romans. Sabrina uśmiechnęła się na myśl o tym, jak dziwny obrót przybrało ich życie. Ja przeżywam swój wielki romans, pomyślała, bo spotkałam Gartha tak późno.

Lecz myśl o rejsie, jachcie, Morzu Śródziemnym zaostrzyła jej lęsknotę jak żadne inne wspomnienie. Znała te rejsy: odcięte od reszty świata planety luksusu i zmysłowości, poza czasem i przestrzenią. Jacht o oślepiającej bieli tnie niebieskozieloną wodę, miraż zamglonych wysepek na horyzoncie, płynne złoto słońca, chłodne kabiny i mroczny,

\* Porcelana ze szklivem skaleniowym, dosłownie po chińsku „biała masa”.

senny seks, obecny we dnie i w nocy. *Och, tęsknię za tym, jak tęsknię, brakuje mi tego.*

— Ale ty to wszystko już robiłaś — powiedziała Stefania jakby słysząc jej myśli. — I wrócisz do tego. A dla mnie to jedyna okazja.

— Ostatni wyskok?

— Ostatni wyskok. — To była obietnica skierowana do nich obu. Sabrina wzięła głęboki oddech. Następny tydzień. Kolejny tydzień z Garthem.

— Kim jest ten mężczyzna? — spytała mimochodem.

— To Max Stuyvesant — wyznała Stefania po chwili wahania.

— Nic z tego.

— Nie tak szybko. On się zmienił. Nawet Aleksandra tak mówi. Zresztą kiedy widziałas go po raz ostatni? Przez trzy lata był w Nowym Jorku.

— Aleksandra mówi, że się zmienił?

— Mówi, że zmieknął jak dojrzała gruszka. Sabrina roześmiała się.

— To w stylu Aleksandry. Stefania, nie możesz dużo wiedzieć o Maxie. Wypytywałaś o niego Aleksandrę?

— Nie musiałam. Urządzałam jego dom. Od piwnicy po strych. Tak jak ty dom Aleksandry. Nie mówiłam ci o tym, bo bałam się, że nie dam rady i będę musiała kogoś ściągnąć do pomocy. Ale tak się nie stało. Sabrino, jestem pewna, że wiem o Maxie wszystko, co trzeba. Zrozum, nie proszę cię o pozwolenie. Mówiłam przecież, że pojedę z nim. A ty nie jesteś osobą, która mogłaby mi nakazać, żebym się trzymała z daleka od jego łóżka.

— Nie zasłużyłam na to. — *Czyżby? Kochasz się w jej mężu.*

— Pewnie masz rację — odparła beztrąsko Stefania. — Powiedz prawdę. Dlaczego nie chcesz, abym jechała? Nie chodzi o Maxa. Czy tak się nudzisz, że nie możesz się doczekać powrotu? To tylko jeszcze cztery czy pięć dni, wiesz. I nie proszę cię o żadną przysługę, bo i tak nie mamy wyboru. Prawda, Sabrino? Nat nie zrobił ci jeszcze prześwietlenia?

*Chce, żebym skłamała.*

— Nie. Jeszcze nie. Przesunął termin na koniec tygodnia. Akurat wrócisz ze swego ostatniego skoku.

— No, w takim razie wszystko gra, prawda? Wcale nie musisz przeze mnie dłużej czekać. Kupię bilet na samolot na przyszły poniedziałek. Sabrino... Nie gniewaj się na mnie. Potrzebuję cię. Wiem, że muszę wrócić do domu, zająć się dziećmi i spróbować naprawić wszystko z Garthem. I zrobię to. Po prostu nie mogę sobie jeszcze

wyobrazić siebie w domu. Zrobię to później, po rejsie. A ty mi pomożesz, prawda? Zdaje się, że o niektórych sprawach mojej rodziny wiesz teraz więcej niż ja. Pomożesz mi, prawda, Sabrino? Sabrina rozplakała się.

— Tak. Zrobię wszystko, co będę mogła.

Zamknęła oczy przed blaskiem słońca. Słyszała udrękę w głosie Stefanii i wiedziała, że siostra boi się tego powrotu w równym stopniu, jak go oczekuje. Ale to nie miało znaczenia. Cokolwiek nastąpi między Stefanią i Garthem, Sabriny już tu nie będzie i to Stefania będzie w jego ramionach, oddalona o całe światy od Maxa i jego jachtu. Na pewno jej pamięć o tym wyskoku potrwa krócej niż tęsknota Sabriny za Garthem.

***Przyszły poniedziałek. Do tego czasu Stefania może wypuścić się na swój rejs, swój wyskok. Jestem jej to winna. Niech jedzie, nie wiedząc o podróży do Connecticut i o tym, że gips jest zdjęty. Niech jedzie. Jest mnóstwo czasu na powiedzenie prawdy.***

Sabrina patrzyła, jak obraz Chicago przechyla się pod nimi, gdy samolot nabrał wysokości w porannej mgle i skręcił na wschód. W dole migotało Jezioro Michigan, na jego brzegu tłoczyły się drapacze chmur. Mogła dostrzec Evanston i kampus uniwersytecki, zieloną rozległą przestrzeń i pożółkłe liście w parku Lincolna, rząd wysokich bloków mieszkalnych wzdłuż wstęgi białych plaż, które lizały długie, spokojne fale. Kilku śmiałych żeglarzy wypłynęło na łodziach, wysokie białe żagle trzepotały i falowały nad wodą w niebieskie i zielone paski w blasku słońca i przepływającymi w górze chmurami.

— Koniec sezonu — powiedział Garth, który patrzył razem z nią. Objął ją ramieniem. — Mieliliśmy taką piękną jesień.

Wyciągnęła rękę i wyprężyła dłoń, na której lśniła złota obrączka.

— Dziwną jesień.

Jej wyszczotkowane włosy spadały w lokach na ramiona, doskonały zarys policzka, gładka cera i długie, podwinięte rzęsy były o cale od jego ust, gdy ją obejmował. Myślał o ubiegłym roku, gdy polecili razem do Amsterdamu, po czym ona udała się samotnie do Londynu z wizytą do siostry. Czy spędzili choć trochę czasu razem podczas tej podróży? Nie mógł sobie przypomnieć. Prawdopodobnie nie. Niewiele rzeczy robili wtedy wspólnie. Dlaczego? Spojrzał na piękną kobietę obok siebie i nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Wspięli się nad poziom chmur. Pod nimi był widoczny idealny



krań tęczy, który przesunął się wraz z nimi na tle białego pejzażu. Cień ich samolotu padał na jego środek.

— To się nazywa aureola lotników — powiedział Garth, gdy podziwiała to zjawisko.

Sabrina milczała. Garth zdjął rękę z jej ramion i otworzył książkę. Po chwili poszła w jego ślady. Gdy wylądowali w Nowym Jorku i wsiedli do limuzyny wysłanej przez *Foster Laboratories*, która miała zawieźć ich do Stamford, powiedział:

— Pomyśleć, że w pierwszej od przeszło roku podróży z własną żoną muszę spędzić cały dzień w towarzystwie bandy pigularzy. To nonsens.

— Ja muszę spędzić go z ich żonami — odrzekła. — Czy to ma więcej sensu?

— Nie. Może uciekniemy? Wrócimy do Nowego Jorku, urządzimy sobie wakacje i zapomnimy o Stamford?

— Nie możemy.

— Nie. — Jego głos zmienił się. — Oczywiście, że nie. Zapomniałem, jakie to dla ciebie ważne.

***To jest ważne dla Stefanii.***

— Myślę o tym, że przyjęliśmy przecież zaproszenie, a oni przygotowali się na nasze przyjęcie. Garth, co ja pocznę z tymi wszystkimi żonami?

— Nic. Po prostu płyn z prądem. To one mają zadanie do wykonania — zapewne zabawić cię i wzbudzić w tobie przekonanie, że Stamford to ziemski Eden, żebyś nie mogła się doczekać przeprowadzki tutaj.

— Ale ja nie mam pojęcia, jak się wobec nich zachować.

— Jak ci się podoba.

— Garth, co tobie by się podobało? Mogę potakiwać skwapliwie z wytrzeszczonymi z podziwu oczami, mogę patrzeć na wszystko z góry albo zachowywać się chłodno, lecz przyjaźnie — co ci najbardziej odpowiada?

— Słuchaj, kochanie, nie musisz grać żadnej roli. Chcę, żebyś po prostu była sobą.

Spojrzała na niego z lekko rozchylonymi ustami.

— Postaram się.

Gdy limuzyna zajechała przed siedzibę kierownictwa *Foster Laboratories* w Stamford, miasteczku bardzo podobnym do Evanston, położonym jakieś dwadzieścia mil za Nowym Jorkiem, ujrzeli przed sobą budowlę ze szkła i stali wznoszącą się z marmurowego tarasu, który płynął w morzu trawy, usianym fontannami, kępami sosen

i falistymi grządkami chryzantem po obu stronach półmilowego podjazdu. W gabinecie przyjęć prezesa czekały na nich trzy kobiety.

Miały na sobie wełniane garsonki, niebieską, brązową i zieloną. Stały rzędem w wyłożonym drzewem różanym wielkim pokoju przyjęć, zapadając się lekko w gruby wełniany dywan. Tuż obok olbrzymie, pokryte zamszem kanapy otaczały półkolisty szklany stolik na chromowych spiralnych nogach. Na obszernej powierzchni dywanu porozstawiano tu i ówdzie płeksiglasowe kolumienki, w których wnętrzach leżały, niczym rzadkie klejnoty, eksponaty w rodzaju strzykawek, niezniszczalnych kapsułek z dokumentami, pudełek z jakimiś pigułkami i flaszek kolorowych płynów.

Kobiety dały Sabrinie i Garthowi czas, by mogli się chwilę napawać olśniewającym otoczeniem. Garth zachował milczenie. Sabrina wiedziała, że ta starannie wypracowana atmosfera dostojności i przepychu nie robi na nim wrażenia; w gruncie rzeczy prawie jej nie dostrzegł. Daleko bardziej interesowało go dobrze wyposażone laboratorium, a nawet mechanizm działania ich nowego robota kuchennego niż drzewo różane w całym Connecticut.

Wiedziała jednak, że ich gospodynie spodziewają się ze strony Andersenów wyrazów podziwu, więc obróciła głowę, żeby obejrzeć cały pokój.

— Wspaniałe — mruknęła. — Co za wspaniały wystrój. Kobiety uśmiechnęły się i wyciągnęły do niej dłonie, kątem oka rzucając spojrzenia na Gartha, który był młodszy i o wiele przystojniejszy, niż oczekiwały. Kiedy został wprowadzony przez ich mężów w ciemnych garniturach, skupiły uwagę na Sabrinie.

— Znów się spotykamy — powiedziała jedna z nich. — Witamy w Stamford.

Całkowite zaskoczenie: Stefania nigdy nie była w Stamford. W takim razie ta kobieta musiała być w Evanston. Dlaczego Garth nic o tym nie wspomniał?

— Bardzo nas cieszy, że tu jesteśmy — powiedziała, lecz po wyczuwalnej przerwie.

— Zbyt wiele nowych twarzy — wtrąciła od niechcienia druga z kobiet przybywając Sabrinie na pomoc. — Oczywiście pamięta pani Irmę Kallen...

— Prezes — dodała szybko Irma Kallen.

— ...ze spotkania w Chicago, gdzie była przejazdem w drodze do Los Angeles — ciągnęła wybawicielka Sabrinie dostarczając dalszych szczegółów. — Jestem Freddie Payne, zastępca prezesa, finanse.

— Angie Warner — zawtórowała trzecia. — Zastępca prezesa do spraw produkcji.

Tym razem Sabrina była szybsza i pojęła, że przedstawiają jej się tytułami mężów. Uśmiechnęła się.

— Stefania Andersen, profesor. — Freddie Payne uśmiechnęła się, lecz ostrzegawczo potrząsnęła głową. Zły początek, pomyślała Sabrina. Spróbujmy raz jeszcze. — Tak bardzo czekaliśmy na tę wizytę.

— Tak — odezwała się Irma Kallen. — Już mieliśmy wątpliwości. Tyle razy ją odkładano.

— Chcemy, żeby spodobało się pani nasze miasto — powiedziała prędko Angie Warner. Niska i pulchna, miała anielską twarz i stulone jak pączek róży usta osoby, która zawsze dąży do zgody. — Chcemy, żeby pani polubiła i nas. Zaplanowałyśmy krótką wycieczkę po mieście w drodze na lunch u Irmy, a potem odwiedziny w szkole i Klubie Kobięcym, jeśli to pani odpowiada...

Sabrina skłoniła głowę, niemo wyrażając zgodę. Jakżeż mogła wyrazić zdanie odmienne od zdania Angie Warner? Lub którejkolwiek z nich w tej chwili? Ich mężowie zarabiali grubo ponad trzysta tysięcy dolarów rocznie — jej mąż trzydzieści pięć tysięcy. One na swoim własnym gruncie występowały z pozycji władzy i prestiżu, Sabrina znajdowała się w znacznie gorszym położeniu. Przykazała sobie w duchu pamiętać o tym.

Irma Kallen poprowadziła je do swego silver shadow. Samochód prześlizgiwał się szerokimi, spokojnymi ulicami koło dwóchsetletnich kościołów i miejskiego parku, miejscu niegdysiejszej bitwy z czasów wojny o niepodległość. W końcu zatrzymał się na podjeździe przed dwupiętrowym ceglany dworkiem, do którego dobudowano ze wszystkich stron dodatkowe pokoje. Wygląda jak oszalały kurczak wymachujący skrzydłami, pomyślała Sabrina. Powzięła silną niechęć do Irmy Kallen. Ale to żona prezesa, powiedziała sobie w duchu. Należy jej okazać szacunek.

Irma Kallen była wysoka i kanciasta, miała długi podbródek i brązowe oczy, z których każde patrzyło w inną stronę, bynajmniej nie przejmując się, na czym w tym czasie spoczywa drugie. To stwarzało trudności ludziom w jej otoczeniu: nigdy nie wiedzieli, w które oko patrzeć podczas rozmowy. Sabrina wybrała lewe i odkryła w połowie drogi, że ma ją ono na podglądzie. Kobieta, której wygląd wprawiał innych w zakłopotanie, nie grzeszyła zapewne ciepłością i z pewnością nie okaże przychylności gościowi. Gość był nie tylko młody i piękny, lecz lekceważył sobie tytuł swego męża i, co gorsza, zapomniał o poprzednim spotkaniu.

Lecz Irma Kallen miała wspaniale urządzonego dom, którego wystrój dowodził wyrafinowanej wyobraźni. Sabrina szła przez pokoje, podziwiając harmonię dwóch stylów: skromnych mebli Shakerów i bardziej potężnych, lecz również prostych dębowych sprzętów Philipa Webba z przełomu stulecia, z plamami zieleni, która była jego znakiem firmowym, ozdobionych lakierowaną skórą lub wypukłymi srebrnymi ornamentami. Przesunęła ręką po delikatnych zdobieniach pianina.

— Webb — wymruczała. — Co za wspaniała robota.

Irma wyglądała na zdumioną i zadowoloną. Na chwilę oboje jej oczu skierowało się na Sabrinę.

— Skąd pani o tym wiedziała?

— Znam się na meblach — odparła Sabrina. — Pracuję w sklepie z antykami.

— Och! — krzyknęła Angie Warner. — W takim razie szalenie się pani spodoba Silvermine. — Sabrina zrobiła zdziwioną minę. — To kolonia artystów w Norwalk, kilka mil stąd. Co najmniej raz w tygodniu jeździmy tam na zakupy i lunch.

Freddie Payne zachichotała.

— Mam przeczucie, że Sabrina znacznie wyrasta ponad poziom Silvermine. Zapewne wie więcej niż ktokolwiek z jego mieszkańców. Nawet więcej niż ty, Irmo.

Sabrina stała się czujna. Prywatna wojna. Już wcześniej, w samochodzie, była świadkiem drobnych utarczek pomiędzy nimi.

— To od Frederique — powiedziała wtedy Freddie, wyjaśniając pochodzenie swego imienia. Była wysoka i uderzająco ładna, miała równo przycięte gęste czarne włosy i orzechowe oczy o ciężkich powiekach pod ciemnymi brwiami. — Frederique, po jakimś nieznanym francuskim przodku. Ale w Stamford to nikomu nie imponuje. I epiej jest wywodzić się z Pielgrzymów. Irma jest potomkiem Pielgrzymów\*, prawda, Irmo?

Irma zignorowała tę uwagę.

Podczas lunchu anielska Angie pracowała ciężko nad utrzymaniem pokoju między Irmą i Freddie. Kobiety przestrzegały hierarchii stanowisk swych mężów, więc Irma jako żona prezesa była niewątpliwie głównodowodzącą podczas obiadów i spotkań towarzyskich; teraz jednak pozwalała Angie łagodzić szorstkość swego zachowania.

Sabrina jadła pieczonego grejpfruta i indyka Florentine obserwując z rozbawieniem takie same drobne, szybkie potyczki i wbijanie sobie

**\* Tak nazywa się pierwszych kolonistów, którzy przybyli do Ameryki na statku „Mnyflower” w 1620 roku. Wywodzenie się od nich jest odznaką starożytności rodu.**

nawzajem kąśliwych szpileczek, do jakich była przyzwyczajona w swoim londyńskim kręgu znajomych. To oczywiście istnieje wszędzie, pomyślała, nawet w Evanston. Ale nigdy o tym nie myślałam, bo Evanston było dla mnie czymś przejściowym. *Nic, co dotyczy Gartha, nie jest trwałe.*

Na tę myśl poczuła znajome ukłucie bólu. Głos Irmy przerwał jej zadumę.

— Co? — spytała. — Przepraszam, myślałam o czymś innym.

— Powiedziałam — wyskandowała Irma — że na ten wieczór zaplanowałyśmy małą kolację w klubie, tak żebyście ty i mąż mogli poznać nas wszystkich. Powinnaś wiedzieć, że jesteśmy zwartą grupą. Wielu mężczyzn, którzy pracują w Stamford, dojeżdża z Nowego Jorku, lecz my uważamy, że pozostawanie tutaj jest naszym obowiązkiem. *Foster* jest najbardziej prestiżową instytucją w Stamford, i ci z nas, którzy pełnią w nim kierownicze funkcje, grają również pierwsze skrzypce w miejscowej społeczności. Wspieramy Stamford, nie wywozimy naszych pieniędzy do Nowego Jorku. Jest to odpowiedzialność, którą dźwigamy z ochotą, lecz takie działanie jest skuteczne tylko wtedy, gdy będziemy trzymać się razem. Freddie sądzi, że to głupie — ma wiele dziwnych przyjaciółek...

— Których mężowie nie są na kierowniczych stanowiskach — wyjaśniła z powagą Sabrinie Freddie.

— Lecz nawet ona nigdy nie posuwa się zbyt daleko — ciągnęła Irma — ponieważ potrzebujemy się nawzajem, jak się przekonasz, gdy twój mąż do nas dołączy. Przy naszej pomocy szybko sobie przyswoisz nasz styl bycia. Fakt, że musisz wiele się nauczyć, nie powinien wprawiać cię w zakłopotanie. Skoro przybywasz ze środkowego zachodu, nikt nie będzie po tobie oczekiwał znajomości tutejszych obyczajów.

Sabrina słuchała w milczeniu z rozszerzonymi oczami, a Irma kontynuowała wykład.

— Nasz sposób życia promieniuje stopniowo na resztę kraju. Często, rzecz jasna, zdarza się, że kreujemy już inny styl i inni nie nadążają za nami.

Angie wyglądała na zmieszaną, Freddie puściła do Sabrinie perskie oko. Sabrina patrzyła niewzruszenie na usta Irmy precyzyjnie formułujące wypowiedzi.

— Za model obieramy sobie kulturalne ośrodki Europy. Na przykład jemy obiad później niż wy, o ósmej, a nawet niekiedy o dziewiątej. Szósta godzina jest dobra dla dzieci. Nie jemy w ogródku. Nie nosimy jednoczęściowych ubrań w rodzaju kombinezonów.

Popieramy szkoły publiczne jako niezbędne dla naszego miasta, ale sami nie wysyłamy do nich dzieci. Macie dzieci, oczywiście.

— Dwójkę — odrzekła automatycznie Sabrina. Była zafascynowana, niemal zahipnotyzowana monotonnym hymnem Armii. — Chłopca i dziewczynkę.

— I wychowujecie ich na dobrych chrześcijan.

— Sądzę, że wychowujemy Cliffa na dobrego napastnika — powiedziała Sabrina. — Jeszcze nie jesteśmy zdecydowani co do Penny.

Freddie wybuchnęła śmiechem, Angie zachichotała. Irma zastygła w bezruchu z filiżanką na w pół podniesioną do ust.

— My, którzy zostaliśmy obdarzeni błogosławieństwem dóbr doczesnych, poważnie traktujemy swoje obowiązki.

— Wszystko w porządku, Stefanio — wtrąciła energicznie Angie, świadoma faktu, że Irma robi z siebie idiotkę. Angie nie wiedziała dokładnie, co doprowadziło ją do tego wniosku — może to, że Slefania błyskawicznie rozpoznała pianino Webba, może jej chłodne, nieruchome spojrzenie utkwione w twarzy Armii, może królewski sposób noszenia głowy, może wreszcie jej uroda, której Angie zazdrościła po prostu i dobrodusznie, tak samo jak komu innemu sztuki gotowania lub szycia, ale cokolwiek to było, Angie wiedziała, że Slefania nie jest prowincjonalną prostytutką, i nie chciała, żeby osądziła je źle dlatego, że Irma ją za taką wzięła. — Irma zawsze podchodzi poważnie do nowych ludzi, lecz w naszym kółku jest naprawdę dobrym kompanem. Gra w tenisa i musi ciężko pracować, żeby jej dorównać. Czasami udaje nam się ją wypchnąć na boisko do siatkówki. Nieczęsto — dodała ze smętną uczciwością — lecz czasami tak.

— Nie gramy zbyt często w siatkówkę na środkowym zachodzie — powiedziała Sabrina, wychylając się naprzód i zwracając do lewego oka Armii. — Chociaż postęp sprawił, że pojawił się już u nas tenis, I ecz pracujemy ciężko nad tym, aby zachowywać się wytwornie. Niektóre z nas czasami noszą stroje z kolekcji Karla Lagerfelda lub Perry Ellisa. Niekiedy podajemy wino do obiadu — butelkę mont-racheta albo brouilly, jeśli czerwone wino można uznać za odpowiednie. Ostatnio nasze najbardziej postępowe panie domu zaczęły podawać sałatkę raczej po zakąskach niż przed nimi. Oczywiście, musimy uczyć się tego wszystkiego w pocie czoła, lecz zapewniam, że jesteśmy bardzo wdzięczni za wszystko, co łaskawie pozwalacie nam od siebie przejmować.

Zaległa długa cisza. Angie spróbowała się uśmiechnąć, lecz wargi jej drżały. Freddie powiedziała:

— No niech mnie diabli. Nieźle ci się dostało, Irmo. To zresztą

niewielkie nieszczęście. — Odwróciła się do Sabriny. — Irma powiedziała nam, że jesteś nieśmiałą szarą kurką domową z zapadłej prowincji. Irmo, skarbie, powinnaś pójść za swoją spostrzegawczość do łóżka bez kolacji. Fatalnie cię zawiodła. — Odsunęła krzesło. — Stefanio, chodźmy spojrzeć na taras.

Sabrina siedziała nieruchomo. **Diabli. Och, diabli. Co się ze mną dzieje? Stefania na moim miejscu w trosce o posadę Gartha byłaby cicha i słodziutka i pozwoliłaby żonie prezesa okazać wyższość. A ja wszystko poplątałam. Stefania działałaby dla dobra Gartha. Ja zadziałałam samolubnie. Wielkie nieba, dlaczego dałam się podpuścić tej głupiej babie?**

— Stefanio? — ponagliła ją Freddie. Sabrina przeprosiła i wyszła za nią przez rozsuwane drzwi. Usiadły na niskim ceglanym murku, który otaczał wyłożony kamiennymi płytami taras. Wielkie sekwojowe rozsadniki z późnymi różami i astrami stały przy białych żelaznych meblach ogrodowych, których jeszcze nie schowano na zimę. Za murkiem grupa ogrodników grabiła liście i sadiła cebulki tulipanów i hiacyntów na przyszłą wiosnę. Inna grupa rozpinała brezent nad basenem, a trzecia zwijała siatki na kortach tenisowych. Cała sceneria tchnęła dostatkiem. Do tego stopnia, pomyślała Sabrina, że mogła zostać wyreżyserowana na ich benefis jako ilustracja dobrodziejstw wstąpienia w szeregi drużyny **Foster**.

— Ona bywa uciążliwa, lecz nie jest naprawdę groźna — pocieszyła ją Freddie. — Chyba że da się jej po temu okazji. Cała sztuka polega na pamiętaniu, że jest głupcem, którego trzeba brać na serio.

Sabrina wzruszyła ramionami.

— Traktowałabym ją serio tylko w wypadku, gdyby Garth mnie o to poprosił.

Freddie była zaskoczona.

— To dlaczego tu przyjechałaś?

— Żeby się rozejrzeć. Żeby inni mogli się przypatrzeć mnie. Dlaczego wszystkie uważacie, że decyzja już zapadła? Czyżby nie było żadnych wątpliwości?

— Słuchaj, złotko, nie wiem, co ci powiedział twój mąż, ale nie przyjechał tu tylko na rozmowę. To formalna sesja, podczas której mężczyźni mają ustalić szczegóły związane z posadą, a my mamy dołożyć starań, by twoje małe serduszko trzepotało z zachwytu na myśl o tym, że staniesz się jedną z nas. Z tego, co słyszałam, macie się tutaj sprowadzić pod koniec semestru.

Sabrina poczuła się zdradzona. Garth nie powiedział jej, że to

postanowione. Czy naprawdę wzięłoby tę pracę, nie omawiając tego z nią? Zawsze omawiali wszystko.

— Hej — odezwała się Freddie. — Wszystko jest w porządku. Nie zwracaj uwagi na Irmę. To drobny fragment tutejszego pejzażu. Chociaż proponuję, żebyś dla ułatwienia sobie życia, gdy się tu sprowadzicie, odgrzebała jeszcze raz na jej użytek wdzięk, z jakim przyjechała ją w Chicago. Będziesz miała parę ćwiczeń obowiązkowych: przyjęcia z odpowiednimi gośćmi, kilka uroczystych lunchów, sponsorowanie kilku imprez dobroczynnych i przymusowe pojawianie się na niektórych przyjęciach Army. Trzeba jakoś się z nią dogadać. Lecz poza tym możesz być sobą. Dopóki będziesz dyskretna, możesz robić, co ci się podoba i z kim ci się podoba. To wcale niezły sposób na życie, wiesz.

— Wiem. — Sabrina wstała i wygładziła spódnicę. Stefania poradziłyby sobie z łatwością. Spełniłaby oczekiwania Army nie złościąc się na nią, ale też i nie dając się wciągnąć w jej szczupłe grono do tego stopnia co Angie, a nawet Freddie. Stefania czułaby się tu świetnie.

Podziękowała Freddie.

— Ocaliłaś mnie dwukrotnie, jestem ci za to bardzo wdzięczna. Ale myślę, że lepiej, abym teraz sama się zajęła swymi sprawami. — Po powrocie do jadalni przeprosiła: — Tak niegrzecznie z mojej strony... zbyt wiele nowych wrażeń... lunch był przepyszny... jakże miła rozmowa...

Irma uniosła dłoń do idealnie gładkich włosów i przygładziła je.

— Przyjmujemy twoje przeprosiny. Mój mąż sądzi, że twój małżonek będzie cennym nabytkiem dla *Foster Laboratories*. Czy pojedziemy teraz na naszą małą wycieczkę?

Przejechały przez miasto, obejrzały nowe liceum, odwiedziły szpital, w którym Irma była kierowniczką ochotniczek, po czym zaparkowały wóz na brzegu Long Island Sound i patrzyły na żagłówki, które przypominały Sabine dom. Następnie wróciły do kwatery głównej *Foster Laboratories* i zabrały Gartha i pozostałych mężów na obiad w klubie, żeby Sabrina i Garth mogli okazję spotkać się z ludźmi, którzy mieli być ich znajomymi.

W limuzynie, która miała zawieźć ich do hotelu Plaża w Nowym Jorku na nocleg przed porannym lotem do Chicago, Garth wziął Sabrinę za rękę.

— Podlewali mnie winem, paśli jedzeniem i obsypywali pochlebstwami. Kaczka na lunch. A u ciebie?



— Indyk. Wysuszony, a potem utopiony w odmętach sosu.

— I homar na kolację. Co to takiego jedliśmy na deser?

— Mus z orzechów laskowych z galaretką porzeczkową.

— Spodziewałabyś się, że tak tu podejmują profesorów, gdy tylko się zjawią w Connecticut?

— Spodziewałbyś się, że ich żony, gdy tylko się zjawią w Connecticut, wysłuchują wykładu, jak to zacofani w rozwoju mieszkańcy środkowego zachodu mogą nabrać wytwornych manier dzięki pobytowi na Wschodnim Wybrzeżu?

— Intrygujące. Kto udzielił wykładu?

Opisała przebieg lunchu, nie oszczędzając siebie w niczym.

— Wcale ci się nie przysłużyłam. Ale jeśli Freddie miała rację i już podjąłeś decyzję...

— Nie podjąłem. — Ujął teraz jej rękę w obie dłonie i odwrócił się do niej. — Zgodziłem się na przyjazd tutaj, bo myślałem, że to dla nas konieczne. Nigdy nie zdecydowałbym bez ciebie. Wydaje mi się — ciągnął ostrożnie — że strzelając do Irmy Kallen z obu luf, mogłaś podświadomie wyrazić, że nie chcesz, abym wziął tę posadę.

Sabrina zamknęła oczy. Wszystkie kłamstwa, oszustwa, poczucie winy i mieszane uczucia ubiegłych tygodni spiętrzyły się między nimi, tworząc mur nie do obalenia. *Najdroższy, chcę ci pomóc. Chcę, żebyś był szczęśliwy. Ale obiecałam Stefanii.* Jej dłoń była ciepła w jego objęciu.

— Garth, to twoja decyzja. Nie mogę jej podjąć za ciebie. Zmęczony i przygnębiony puścił jej dłoń. To, że nie obchodziło jej

już, co on zrobi, nie rokowało wspólnej przyszłości. A jednak go kochała. Widział to w jej twarzy, słyszał w głosie. Kochała go.

Pomimo to wciąż go odtrącała. Tak często ocierali się o ciepło, miłość, wspólnotę uczuć — i za każdym razem cofała się, odwracała od niego. Wszystkie te stracone okazje do rozmowy. Wyglądało na to, że obawia się go wysłuchać, bo pod wpływem jego argumentów lub własnych uczuć może się zachwiać w decyzji i zabraknie jej siły, by odejść, choćby tego chciała.

Jak, u diabła, mężczyzna może z tym walczyć? Bo oczywiście miał zamiar walczyć. Powiedział jej w sędzie, że zaakceptuje jej decyzję, ale to był absurd. Będzie walczył, żeby ją zatrzymać. Lecz dopóki nie zrozumie, dlaczego rozmyślnie się od niego odsuwa, nie chce z nim spać, posuwa się nawet do tego, że osłabia czujny nadzór nad dziećmi — on nie może postanowić, jak zacząć batalię — ani przewidzieć jej końca.

Milczeli jeszcze w windzie hotelowej, która ich zawiozła do

zarezerwowanego dla nich apartamentu. Sabrina stanęła przy oknie, patrząc na liściastą ciemność Central Parku i oświetlone okna w otaczających go budynkach, które nigdy nie spały. Garth zamknął drzwi.

— Nie chcę tej pracy — powiedział raptownie. Na okrągłym stoliku stała butelka szampana w wiaderku z lodem; przywiązana do szyjki karteczka zawierała życzenia przyjemnego wieczoru od Kallenów. Garth podważył korek kciukami. — Nawet jeśli to oznacza homary na obiad i szampana do łóżka.

— Dlaczego? — spytała.

Nalał trunku do dwóch wysokich, smukłych kieliszków i podał jej jeden.

— Ile czasu minęło od czasu, gdy byliśmy oboje w hotelowym pokoju? — zamyślił się na głos.

***Nigdy nie byliśmy razem w pokoju hotelowym.*** Usiadła na skraju kozetki obitej pasiastym jedwabiem.

— Dużo czasu. Dlaczego nie chcesz tej pracy?

— Bo tematy, które poruszali dzisiaj moi gospodarze, to wyłącznie rynek, konsument, koszt godziny badań, zwrot inwestycji. Dla nich łączenie genów to tylko produkt. Jakbym miał kierować grupą specjalistów kulinarnych, którzy wynajdują nowy rodzaj płatków śniadaniowych. Chcą robić tylko jedno — pieniądze, podczas gdy dla mnie najważniejsze jest to, co mam na uniwersytecie: badania i nauczanie. Nie chcę tłumaczyć się za każdym razem, gdy obieram nowy kierunek w badaniach, czy przyniesie on w efekcie nowy produkt i kiedy — jeżeli to w ogóle nastąpi. Nie potrafię spojrzeć na kwestie genetyki z punktu widzenia strat i zysków korporacji. Wreszcie, do diabła, ja tutaj nie pasuję. Jeszcze szampana? Firma stawia.

Wyciągnęła kieliszek. Napełnił go i usiadł w wolteriańskim fotelu przy przeciwległym skraju kanapki.

— Są jeszcze dwa punkty — dodał. — Po pierwsze, nie sędzę, żebyś i ty tutaj pasowała. Dawniej może tak, przynajmniej ja tak uważałem, ale teraz nie. Dwa, trzy miesiące temu nie postawiłabyś się Irmie Kallen. Gdy była zeszłej wiosny w Chicago, traktowałaś ją jak bliską kuzynkę królowej Elżbiety. Zmieniłaś się od tego czasu. Zmieniłaś się od czasu tej podróży. — Umilkł, czekając na jej reakcję, lecz nie skorzystała z furtki, jaką przed nią otworzył.

To było nie do wytrzymania, tak patrzeć na nią. Nigdy dotąd nie uświadamiał sobie z taką siłą jej bliskości — albo tego niezmiernego oddalenia, kiedy się od niego usuwała w ciszę. Wypił swój kieliszek do dna.

— A jedną ze zmian, które mi się najbardziej podobają w tobie, jest to, że potrafisz osadzić nadętą małomiasteczkową królową matkę w rodzaju Irmy Kallen bez obawy, że nie będzie lubić ciebie lub w konsekwencji mnie. Są tylko dwa możliwe rozwiązania. Masz o wiele więcej pewności siebie niż kiedykolwiek...

Sabrina obserwowała bąbelki wznoszące się do góry w jej kieliszku.

— Albo?

— Albo postanowiłaś raz na zawsze nie przejmować się tym, co robię i co się ze mną dzieje. Czy też z nami.

W pokoju zapadła cisza. Łagodne światło lampy błyszczało w roztopiającym się lodzie na dnie wiaderka i ciemnym szkłe butelki, gdy Garth przechylił ją nad kieliszkami. Resztę pokoju obejmował cień. Za drzwiami była sypialnia z łóżkiem oświetlonym pojedynczą lampką, ściemnioną na noc przez pokojówkę, która zostawiła na środku każdej poduszki czekoladkę w złotym papierku. Przy łóżku stały wsparte o siebie ich torby podróżne, jak para kochanków.

Sabrina ani razu do tej pory nie była z Garthem sama, z dala od dzieci. W ciszy, która trwała, jego obecność była namacalna; czuła jego dotyk na skórze, mimo że był o niej oddalony o całą długość kanapki. Nie patrząc, dostrzegała każdy szczegół jego twarzy. Czuła jego usta na wargach, chociaż nie całowali się od trzech dni, od tej chwili na korytarzu, gdy wyrwała się z jego objęć.

***Stał się niepostrzeżenie częścią mnie.***

— I ostatnia rzecz — powiedział, nie doczekawszy się odpowiedzi. — Na uniwersytecie zaproponowano mi stanowisko dyrektora Instytutu Inżynierii Genetycznej, który ma zostać zbudowany tej wiosny i zacząć działalność w przyszłym roku.

— Garth! — Podniosła na niego pełne blasku oczy. — Przecież to cudowne! To przede wszystkim powinno się liczyć — tylko to! Nic innego. Czyż nie?

— Niezupełnie.

— Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? Teraz wiem, o czym mówiła Vivian, gdy odprowadziłam do niej wczoraj Penny i Cliffa. Prosiła, żeby przekazać ci gratulacje. Myślałam, że chodzi jej o przyznanie jej etatu, co wywalczyłeś. A ona mówiła o twojej nominacji.

— Wiedziała, że zaproponowano mi tę posadę. Jeszcze jej nie przyjąłem.

— Ależ dlaczego? Czy to nie jest wszystko, na czym ci zależy?

— Nie wiem, czy tobie właśnie na tym zależy. Pensja jest o jedną trzecią niższa niż w Foster, nawet jeszcze niższa, jeśli się weźmie pod uwagę premie, prawo do nowych akcji, zwrot kosztów podróży,

służbowy samochód, członkostwo w miejscowym klubie — wszystkie gratki, o których na uczelni nikomu się nie śniło. Wiem, jak bardzo martwiłaś się o pieniądze — może aż tak, żeby uważać Irmę Kallen za osobę do zniesienia.

— Ale wszystkie te kontrargumenty, które przed chwilą wymieniałeś...

— Powiedziałem, że nie chcę wziąć tej posady. Ale jeśli ty tego chcesz, jeśli to nas połączy...

— Ale nie cierpiałbyś tej pracy. Wzruszył ramionami.

— Większości rzeczy. Skoncentrowałbym się na badaniach i nauczył się załatwiać resztę. — Pochylił się naprzód w fotelu. — Stefano. Wysłuchaj mnie. Kocham cię. Nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie. To, co robię, nie ma aż tak cholernego znaczenia, jeśli nie mogę przynieść ci tego do domu, jeśli nie mogę wymówić twojego imienia i usłyszeć odpowiedzi, jeśli nie mogę położyć się spać wieczorem ze świadomością, że gdy obudzę się rano, ty będziesz przy mnie. Wszystkie cuda mojej pracy bledną, gdy patrzę na cud, jakim ty jesteś. Mogę dokonywać odkryć, nawet się tym emocjonować, ale to jest puste, nic dla mnie nie znaczy bez ciebie. Bez ciebie jestem jak kaleka. Nie rozumiesz tego? Nie rozumiesz, że zrobiłbym wszystko, żeby połączyć Iwoje życie z moim? Jeśli powiesz, żebym wziął tę pracę...

— Nie zrobiłabym tego. Nie chcę, żebyś ją przyjmował. Oczywiście, że nie chcę.

Spojrzał na nią mrocznie.

— Nie wiem, co to ma znaczyć.

***To znaczy, że cię kocham. Kocham cię. Chcę, żebyś był szczęśliwy. Chcę, żebyś robił to, co dla ciebie najlepsze, nawet jeśli ja wyjadę, nawet jeśli nigdy nie będę tego świadkiem, nigdy nie będę przy tobie, gdy obudzisz się rano.***

Widział, jak niemo porusza ustami, a do oczu napływają jej łzy. Poruszył się, żeby do niej podejść, lecz zmusił się do pozostania na miejscu.

— Nie wiem również, co mają oznaczać te łzy? — powiedział ochrypłym głosem.

Sabrina zakryła rękami twarz i pozwoliła łzom płynąć swobodnie. Powstrzymywała je tak długo, że teraz płacz sprawił jej ulgę. ***Nie mogę nic na to poradzić, przepraszam, ale nie mogę. Nie mogę dłużej. A przecież naprawdę się starałam.***

— Co to ma znaczyć? — powtórzył. Podszedł do niej i oderwał jej rękę od twarzy mokrej od łez, od drżących ust. Lecz oczy jaśniały, jak

wtedy gdy się obudził i przyłapał ją w chwili, gdy nie maskowała swoich uczuć.

— Że cię Kocham! — Powiedziała wreszcie te słowa i poczuła, jak jego ramiona unoszą ją w powietrze i otaczają uściskiem tak pewnym, że nie miała już wątpliwości: nareszcie wróciła do domu.

Chciał ją wziąć na ręce, ale potrząsnęła przecząco głową. Pragnęła w tym współuczestniczyć; decyzja w równym stopniu należała do niej, jak do niego. W sypialni rozebrali się nawzajem w pośpiechu, dotykając obnażanej skóry, jak dzieci badające nową rzecz, żeby się przekonać, czy istnieje naprawdę i naprawdę jest ich własnością.

Garth wyjął z jej włosów grzebyki z kości słoniowej i ciężkie fale opadły na ramiona, ciemnobrązowe w przyćmionym świetle. Spojrzał na jej smukłe ciało i przesunął rękoma po gładkiej jedwabistej skórze, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Wyprostowała się, piękna, głowę trzymała wysoko i dumnie pod jego spojrzeniem. Należę do ciebie, mówiły jej oczy, i moja uroda jest świetniejsza dzięki temu, że mnie pożądasz.

Jeszcze raz zagarnął w ramiona jej miękkość, ciepło ich ciał zlało się w jedno. Trzymali się w uścisku upojeni pragnieniem. Wiedzieli, że tym razem zostanie zaspokojone. W końcu pochylił się nad jej uniesioną twarzą i pocałował ją czując smak chłodnego szampana w jej ciepłych ustach.

— Najdroższy — wyszeptała przy jego wargach. Położyli się na łóżku, a Garth przykrył ją całym sobą. Jego ciemne oczy spotkały jej oczy z niebieskim płomykiem w głębi. Nie wyobrażał sobie, że mogą być aż tak głębokie.

— Ukochana — szeptał. — Moja najdroższa, nowo odkryta miłość. — Blask od jej ciała bił na cały pokój. Garth zamknął oczy, lecz blask nie zgasł, i wiedział, że nigdy nie zgaśnie, że odkrywając na nowo swoją żonę, odkrył światło i życie.

— Tak! — powiedziała w pewnej chwili, a on z namietnością, którą tłumił w sobie tak długo, wszedł w nią. Poruszali się w zgodnym rytmie, wtapiając w siebie, aż stworzyli jedno ciało i zdawało się, że krew płynie przez nich jednym strumieniem.

To jest moje miejsce, pomyślała, wreszcie uspokojona. Nie zostało w niej nic oprócz miłości i zapierającej dech wdzięczności za to, co odkrywała w nim i w samej sobie w zetknięciu ciał, ust, w świetle, jaki każde z nich ujrzało w oczach drugiego.

Owinięta w złotko czekoladka leżała zgnieciona na poduszce. Garth rozwinął ją ostrożnie i wsunął Sabine do ust.

— Gdzie jest twoja? — spytała i zaczęli poszukiwania, aż znaleźli czekoladkę na podłodze.

— Wciąż jestem głodny — powiedział połknąwszy ją za jednym zamachem. — Czego zażądamy od obsługi hotelowej?

— Nektaru, jajek drozda, płatków różanych z rosą. Garth nakręcił numer.

— Szampan, omlet, sałatka. I sorbet z grejpfruta. Sabrina śmiała się.

— Sorbet z grejpfruta?

— Zapomniałem ci powiedzieć. Nowa namiętność, którą odkryłem w Kalifornii. Przygotowanie jajek drozda zajmuje pół godziny. Wolę znów się z tobą kochać.

— Tak. — *Te godziny muszą nam starczyć za wspólnie spędzone lata. To wszystko, co mamy.*

Garth pochylił się nad nią i pocałował w usta, lecz ona oparła mu rękę na piersi i odpychała lekko, lecz stanowczo, dopóki nie położył się na plecach. Jej drżące usta zaczęły się przesuwać wzdłuż jego szyi ku ciemnym włosom na piersiach, miękkimi, powolnymi pocałunkami pieściły jego gładki, płaski brzuch. Z rękami na jego udach na chwilę uniosła głowę, dając znak, żeby leżał spokojnie i pozwolił dać sobie rozkosz.

Garth jęknął. Chciał utonąć w niej, roztopić się w jej czułych i mocnych ustach, jednak musiał dać ujście uniesieniu; przyciągnął ją do siebie.

Całował jej zamknięte powieki i obwodził ustami kształt jej twarzy, długą linię smukłej szyi, krągłe piersi, opierające się ciężko o jego policzek, pieścił sutki, dopóki nie stwardniały pod jego językiem.

Powoli, powoli, jego usta przesuwały się po niej, wchłaniały jej jedwabisty zapach, gładziły lekkimi pocałunkami jaśniejącą skórę, żywą pod jego dotykiem, aż wsunęły się w gęstwinę kędzierzawych włosów na łonie i ciepłego, uległego wnętrza, które w odpowiedzi zadrżało. Wszystkie jej zmysły zogniskowały się w tym jednym spragnionym miejscu. Nagle Sabrina krzyknęła i zadygotała pod jego rękami.

Gdy otworzyła oczy, uśmiechał się do niej. Jej ledwie słyszalne „och” rozpląnęło się w uśmiechu.

— Najdroższy... — zaczęła.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i rzeński głos oznajmił przybycie służby hotelowej.

Garth wyskoczył kangurzym skokiem z łóżka.

— Osioł — zamamrotał. — Jeśli tak kipi energią o trzeciej nad ranem, to dlaczego nie śpiewa nam włoskich serenad pod oknem? Wiesz co? Zapomniałem wziąć z domu szlafrok.

Spojrzał na Sabrinę, która siedziała po turecku na łóżku z promienną twarzą i śmiała się w najlepsze.

— Masz — powiedziała podając mu koc, którym się owinał jak togę. Zawtórował jej i ich śmiech wypełnił pokój.

Nic nie zostało rozwiązane, lecz wszystko się zmieniło. Sabrina siedziała przy oknie samolotu i podobnie jak dwadzieścia cztery godziny temu patrzyła na piętrzące się chmury. Wiedziała, że gra dobiegła końca. Dziś będzie musiała wyjechać. Miała swoją chwilę miłości, teraz wszystko w jej życiu się zmieni. Lecz niezależnie od tego, ile jeszcze razy będzie przeżywać w myśli ostatnią dobę, ta doba nie należała do niej tylko do Stefanii.

To, co zaczęło się w połowie września jako beztroski kawał, urosło do końca października w skomplikowaną sieć namiętności, wzajemnych potrzeb i oddania. Lecz wszystkie te głębokie więzy istniały nie między Sabriną i Garthem, lecz między Garthem i jego żoną. Sabrina nie mogła wbrew najszczerzszym chęciom o tym zapomnieć. Bo żona Gartha była jej drugą połową.

Siedzący obok Garth potrząsnął przecząco głową, gdy stewardessa zaproponowała mu gazetę, i odchylił się na oparcie siedzenia.

— Wprost trudno uwierzyć, ile rzeczy zaszło od twojej podróży do Chin.

Zacisnęła ręce na podolku i odwróciła się od okna, żeby spojrzeć mu prosto w twarz w ostrym blasku słońca. Chciała zapamiętać każdą z drobnych zmarszczek, które rozchodziły się promieniście z kącików jego oczu, mocny zarys kości policzkowych i szerokie usta, dołek w podbródku, szpakowate włosy nad czołem.

— Punkt zwrotny — zadumał się. — Spodziewałaś się tego? Czy po prostu uciekłaś i później zdałaś sobie sprawę, że taka ucieczka może być pierwszym krokiem do ostatniego kroku za próg domu? Sądzę, że tak właśnie było. Wtedy wróciłaś i próbowałaś na tyle sposobów postępować i zachowywać się inaczej niż przed podróżą, jakbyś była zdecydowana za wszelką cenę przerobić nasze małżeństwo i uświadomić mi na siłę, co się z nami stało. Już od pewnego czasu chciałem ci powiedzieć, jak bardzo jestem ci za to wdzięczny, zresztą na pewno wiesz o tym. Chcę, żebyś zrozumiała, iż zdaję sobie sprawę

z tego, co zrobiłaś i ile cię to musiało kosztować. To wszystko twoja zasługa. Ja nie miałem pojęcia, jak się zabrać do rzeczy. Ujął jej rękę.

— Próbowałem ci to uświadomić zeszłej nocy. Ale teraz chcę ci powiedzieć, że nie pozwolę znów ci się wymknąć. Nauczyłaś mnie... Stefanio, co się stało?

Odwróciła głowę.

— Nie wiem. Raptem strasznie zaczęło mi się kręcić w głowie. Mógłbyś zamówić dla mnie filiżankę herbaty?

Zadzwoił na stewardesse, a Sabrina oparła głowę o fotel.

— Dziękuję — powiedziała drżącym głosem, dygocząc na całym ciele. Co się ze mną dzieje? — pomyślała w panice. To nie chodzi o Gartha, to coś innego. Coś się stało, coś okropnego, i nie mam pojęcia, co.

Garth wyciągnął rękę, żeby opuścić przed nią tackę i poczuł gwałtowne dreszcze, które nią trzęsły.

— Dobry Boże, co to? Stefanio, najdroższa, jak ci mogę...?

— Nie wiem — wyszeptała i ukryła twarz na jego ramieniu. Garth objął ją ciasno i trzymał w uścisku, dopóki nie przyszła stewardessa z czajniczką herbaty.

— Czy mogę jakoś pomóc? — spytała. — Koc...?

— Nie trzeba — odparł Garth. Łagodnie odsunął się od żony. — Stefanio, dasz radę wypić trochę herbaty?

Kiwnęła głową i ująwszy filiżankę w obie dłonie, piła małymi łyчками wrzący płyn.

Garth spojrział na zegarek.

— Wpół do dwunastej, za pół godziny lądujemy. Penny i Cliff będą na lotnisku, wiesz, z Vivian.

— Wiem. Za kilka minut przyjdę do siebie.

Piła gorącą herbatę wstrząsana dreszczami. Gdy Garth nalał jej drugą porcję, zobaczyła za oknem w dużej odległości samolot, który leciał w przeciwnym kierunku.

Z wysiłkiem wróciła myślami do Gartha i do tego, co mówił, zanim ją dopadło to oszołomienie. I zrozumiała wreszcie, dlaczego nie przejrzał oszustwa. Garth, doświadczony naukowiec, bystry obserwator, żonaty od dwunastu lat, nie domyślił się, że żyje z bliźniaczką własnej żony, ponieważ wmówił w siebie, iż jego żona próbuje /, rozmysłem zmienić swoje zachowanie, żeby uratować ich małżeństwo. Cidyby wspólnie ze Stefanią napisały scenariusz, który miałby je chronić, nie mogłyby wymyślić nic lepszego. Jakież byłyśmy sprytnie, pomyślała przez mgłę rozpaczy. I spójrzcie, dokąd nas to doprowadziło!



Musiała odejść. Dzisiaj. Zadzwoń do Stefanii i każe jej złapać najbliższy samolot. Lecz Stefanii przecież nie było. Była na jachcie Maxa. Aż do piątku lub soboty.

***Nie mogę zostać tak długo. Nie mogę tego robić nikomu z nas trojga.***

***Ale nie mogę też po prostu zniknąć.***

Zamknęła oczy. Będzie musiała zostać jeszcze kilka dni. Stefania zadzwoni do niej, natychmiast gdy wróci na Cadogan Square, a w poniedziałek spotkają się na lotnisku w Chicago i odwrócą całą procedurę, przez którą przeszły tak bez troski w Chinach — wymienią ubrania i torebki, ona zwróci obrączkę, zamienią się kluczami. I wszystko się skończy.

***Wszystko się skończy.*** Te słowa dzwoniły jej w głowie. Ich echo przebijało przez powitalne okrzyki Penny i Cliffa na lotnisku, rozbrzmiewało pośród domowych odgłosów: trzasku drzwi, hałasu, z jakim Cliff upuścił tacę z ciastkami i krzyku Penny, która nakazywała mu sprzątnąć ten bałagan, wtórowało głosowi Gartha, który chodził z pokoju do pokoju i coś mówił o oknach, towarzyszyło syczeniu steków smażonych na obiad, bulgotaniu kawy w dzbanku, opowieściom Penny i Cliffa przekrzykujących się nawzajem — coś o bezdomnym kocie, konkursie szkolnym, planach parady na Święto Dziękczynienia.

***Wszystko się skończy*** — nieustanny refren dźwięczał w brzęku naczyń, gdy dzieci sprzątały kuchnię, w dzwonku telefonu, w głosie Gartha, który zawołał, że jest do niej rozmowa zamiejscowa. Chce z nią rozmawiać ktoś, kto nazywa się Brooks Westermarck.

Refren zatrzymał się nagle, gdy Brooks z drugiej strony oceanu zaczął z trudem: „Pani Andersen... Stefania...” I z płaczem powiedział jej, że właśnie otrzymali wiadomość, iż jacht Maxa Stuyvesanta, wysadzony w powietrze, zatonął w Morzu Śródziemnym około wpół do dwunastej czasu chicagowskiego. Wszyscy na pokładzie, z jej siostrą, lady Sabriną Longworth włącznie, ponieśli śmierć.

# CZESC 3

## Rozdział pierwszy

Żałobnicy przybyli wcześniej na cmentarz Kensington. Niektórzy płakali, a inni rozmawiali szeptem wokół otwartego grobu. Sabrina słyszała za sobą te szepty jak szeleszczące liście, ale patrzyła na trumnę swojej siostry — swoją własną trumnę — którą spuszczano do grobu, podczas gdy wikary zmówił krótką modlitwę i zaczął mowę pogrzebową.

— Lady Sabrina Longworth, tryskająca życiem, która obdarzała nas miłością i radością...

Ciężkie blade chmury wisiały nisko nad ziemią i trawą. I ziemia, i trawa, pozbawione kolorów, poszarzały pod wyciągniętymi błagalnie do nieba nagimi gałęziami drzew. Znad Tamizy przyplęnęła lekka październikowa mgła i dotknęła żałobników zimnymi palcami. Sabrina była odrętwiała, lecz targały ją dreszcze. Garth ciasniej objął ją ramieniem.

— Była młoda i piękna, wrażliwa na piękno wokół...

Stała nieruchomo w objęciu Gartha, lecz jej gardło dusił niemy krzyk. **Stefania.**

— Pośród życia przechodzimy do śmierci. Stefania nie żyła.

Sabrinę przenikało zimno, przejmujące zimno; skóra boleśnie napięta na kościach, niby membrana, drgała od wewnętrznego bólu i niemych łez, które nie przestawały płynąć nawet we śnie.

**Wróć, Stefanio. Zaczniemy od początku, zrobimy wszystko inaczej i wszystko będzie dobrze.**

— Pan jest moim pasterzem, niczego mi...

Początek nowego: telefon od Brooksa, po którym **zaczął** się koszmar. Jego głos przerywany płaczem napływał przez ocean,

a w miarę jak Brooks mówił, pokój wokół Sabriny ciemniał, aż skurczył się do małego świetlnego punktu, który uderzył w nią z siłą gromu. Nie mogła oddychać. Na huk spadającego aparatu nadbiegli z pośpiechem Garth i dzieci. Pamiętała Penny i Cliffa, stali cicho, pełni strachu, patrząc na nią. I Gartha, który obejmując ją, podniósł drugą ręką słuchawkę, rozmawiał z Brooksem i zrównoważonym głosem omówił z nim przygotowania. Był jedynym stabilnym punktem w dziko wirującym pokoju. Ten wir wessałby ją, gdyby nie jego pomocna ręka. Przywarła do niego kurczowo. Garth, najdroższy...

Ale on nie wiedział, nie wiedział, co się naprawdę stało!

— Poczekaj. — Wyrwała mu się nagle. — To nie była Sabrina! To nie Sabrina! To nie Sabrina umarła!

— Szs, najmilsza, przytul się do mnie i nic nie mów; staraj się o niczym nie myśleć.

— Ale to nie Sabrina, to przecież nie Sabrina... — Nagle nadeszły łzy, spazmatyczny szloch, a w nim uwięzły słowa, które wciąż próbowała z siebie wydobyć. — Nie... Sabrina... zginęła.

Tak było aż do chwili, gdy zjawił się Nat ze strzykawką.

— Nie! Pozwólcie mi płakać! Nie odbierajcie mi tego, nie odbierajcie tego nam obu...!

Mimo to igła gładko wsunęła się pod skórę na ramieniu i Sabrina z wolna, wciąż dygocząc, ochłonęła. Zасыpiając, słyszała niewyraźnie głos Nata.

— Mój Boże, mój Boże, co za okropne nieszczęście. Garth, w czym jeszcze mogę wam pomóc?

Czwartek. Chaos, zamazane twarze i głosy, telefon dzwoniący bez ustanku... Drzwi niemal się nie zamykały, natłok ludzi, którzy przynosili kwiaty i jedzenie. Po co wszyscy tak się krzątają, skoro Stefania nie żyje?

Garth zajął się wszystkim. Zadzwoił do jej rodziców i słyszała, jak znów telefonował do Brooksa, dotarły do niej słowa:

— ...zarejestrować śmierć w amerykańskim konsulacie w Marsylii i przewieźć ciało...

***Nie „ciało”, wy głupcy, to Stefania!***

— ...z powrotem do Anglii... do zakładu pogrzebowego... Tak, podaj mi adres. ***T.C. Dryden i Synowie***, Regent Street, Mayfair...

***Niedaleko domu; Stefania będzie blisko domu.***

— Wyjeżdżamy dziś po południu, do zobaczenia jutro rano, w piątek... oczywiście, w domu Sabriny, Stefania będzie chciała tam się zatrzymać.

***Do domu. Jadę do domu.***

Zostawiła wszystko w rękach Gartha. Odwiózł dzieci do domu Vivian. Zapakował rzeczy ich obojga i przytulał ją mocno, gdy dotarli na lotnisko i szli przez odbijającą echa halę do samolotu.

Garth jest ośrodkiem mojego świata, pomyślała, wszystkim, co mi pozostało. Próbowwała otrząsnąć się z letargu. Muszę mu powiedzieć prawdę, której wciąż nie zna. Powiem mu, gdy tylko /najdziemy się w samolocie. Brooks dzwonił przed chwilą, poczekam parę minut, aż... Nie, Brooks dzwonił — kiedy? Nie pamiętam. Wczoraj? Dopiero co?

W samolocie Garth wziął od stewardessy pisma ilustrowane, żeby żona mogła spokojnie oddać się swoim myślom. Opuściła oparcie siedzenia i zamknęła oczy, próbując poprzez fale ogarniającej ją senności wrócić pamięcią do początku.

Gdybyśmy nie zamieniły się miejscami, myślała, co chwila zapadając w półsen. Gdybym nie złamała ręki. Wtedy nic by się nie stało. Albo gdybym obstawała przy zakończeniu oszustwa i wyjawieniu prawdy, zamiast pozwalać, żeby to się ciągnęło. Gdybym podczas naszej ostatniej rozmowy odmówiła Stefanii dodatkowego tygodnia, w ciągu którego ona chciała popłynąć w rejs, a ja nacieszyć się jeszcze trochę towarzystwem Gartha.

Gdybym nie zakochała się w Garcie.

***Spowodowałam śmierć mojej siostry.***

Przez resztę lotu siedziała bezsennie z twarzą odwróconą od Gartha. ***Wszystko, co zrobiłam, prowadziło do jej śmierci. Ale przecież nie wiedziałam...***

Na lotnisku uparła się, że pojedą prosto do zakładu pogrzebowego.

— Chcę zobaczyć moją siostrę. Muszę zobaczyć moją siostrę. Weszła sama do małego pomieszczenia na tyłach zakładu pogrzebowego ***T.C. Dryden i Synowie*** i uklękła przy trumnie.

— Stefanio?

Jej siostra spała, zimna i odległa, a skóra na jej urodziwej twarzy kruchością przypominała pergamin. Sabrina nad trumną patrzyła nie widzącym wzrokiem w dal, nareszcie wracając myślą do początku, w odległą przeszłość: do miast, w których dorastały, szkół i wynajętych domów, limuzyn z szoferami i służby. Do wytwornych sylwetek Gordona i Laury, którzy pozostawiali córki w samotności, do czasów, gdy jedna dla drugiej była najbliższą osobą.

Przypomniała sobie pewne letnie wakacje, gdy miały siedem lub osiem lat. Obie oddaliły się w poszukiwaniu wodospadu. Stefania pośliznęła się na kamieniach i złamała kostkę. Sabrina pobiegła co sił w nogach po rodziców i gdy Gordon starał się uwolnić nogę Stefanii

uwieźłą wśród kamieni, Sabrina ścisnęła jej rękę, pomagając siostrze znosić ból. Wieczorem, gdy leżały już w łóżkach, Stefania powiedziała sennie:

— Zawsze będziemy pomagać sobie nawzajem, dobrze? Zawsze, gdy któraś z nas będzie coś bolało, albo jak któraś się zgubi, druga będzie nad nią czuwać.

— Tak — powiedziała Sabrina.

— Przyrzeknij.

— Przyrzekam.

— Ja też przyrzekam.

Teraz Sabrina patrzyła na siostrę, spoczywającą w cichym, ciemnym pokoju zakładu *T.C. Dryden*, który oświetlały świece i małe lampki. W powietrzu rozchodził się mocny zapach kwiatów.

— Obiecałyśmy sobie, Stefanio. Obiecałyśmy.

Czując zimne łzy na policzkach, oparła czoło o wypolerowaną krawędź trumny.

— Kocham cię, Stefanio. Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. To wydawało się bez znaczenia — jeden tydzień więcej. Chciałam zostać z twoją rodziną przez kilka dodatkowych dni i chciałam, żebyś mogła się wypuścić na swój... ostatni wyskok.

Zamknęła oczy.

— Wszystko to moja wina i teraz sama będę musiała wyznać prawdę. Nie przewidziałyśmy tego, myślałyśmy lekkomyślnie, że to nigdy nie będzie konieczne. I teraz nie wiem, jak to zrobić ani jak zniosę ich gniew. Próbowałam, ale nikt nie słuchał i z nikim nie mogę o tym pomówić. Przez tych kilka ostatnich tygodni w Evanston nie było mi to potrzebne, bo wciąż miałam ciebie i rozumiałyśmy się nawzajem. Ale teraz... Stefanio, **teraz nikt nie zrozumie.**

Wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać włosy siostry, i na tle ciemnych pasm kątem oka pochwyciła złoty błysk obrączki na swoim palcu. Szybko ją ściągnęła.

— To należy do ciebie, Stefanio. Nie mam do niej prawa. — Wsunęła obrączkę na palec Stefanii, a jej ciepła dłoń uścisnęła rękę jak z marmuru. — Zawsze należała do ciebie. Gdybym o tym pamiętała, wróciłabyś wcześniej do domu i nic takiego by się...

Zacisnęła kurczowo dłonie, zatopiona w myślach. Gdybym o tym pamiętała, już wyjawiałabym prawdę. Nigdy nie miałam żadnego prawa do tej rodziny. I muszę im o tym powiedzieć. Sama. Stefania już mi nie pomoże, cały ich gniew obróci się przeciwko mnie. Sama. Lepiej przyzwyczać się do tej myśli.

Pochyliła się znów, żeby ostatecznie pożegnać się z siostrą. Czowała

się pusta, równie martwa jak Stefania. ***Ponieważ umarła część mnie samej. Chowam swoją siostrę, która jest również mną.***

— Nie! — powiedziała na głos. — Nie, oni nie mogą nas pochować. Nie pozwolę im na to. Nie. Nie. Nie!

— Stefania — usłyszała głos Gartha.

Nie zauważyła, jak wchodził, lecz teraz klęczał przy niej i obejmował ją ramieniem. Skurczona przy trumnie poczuła życie tętniące w tym ramieniu, w swoim własnym ciele, i zadrżała. Kto leżał w trumnie? Dla tego człowieka była to Sabrina, a Sabrina przecież mieszkała z nim w domu Stefanii, opiekowała się jej dziećmi, kochała je i ich ojca. A teraz przyjechała do Londynu na pogrzeb siostry, Stefanii. Co ja zrobiłam? — pomyślała w panice. Spowodowałam śmierć nas obu. Z jej gardła wyrwał się cichy krzyk, a potem... Pamiętała tylko, jak Garth pomagał jej wsiąść do taksówki, która miała ich zawieźć do domu Sabriny.

— Kochanie — mówił Garth, gdy taksówka sunęła wolno w gęstym popołudniowym ruchu. — Pomogę ci, w miarę swoich możliwości, ale ostatecznie sama będziesz musiała stawić temu czoło. — Jego głos był łagodny, lecz stanowczy; nie mógł we wszystkim jej wyręczyć. — Czy jesteś pewna, że chcesz zatrzymać się w domu Sabriny? Może lepiej skorzystasz z gościnnej sypialni zamiast z jej pokoju? To mogłoby być mniej bolesne.

Potrząsnęła głową.

— Nie — odparła. — To moja sypialnia i tam będę mieszkać.

— Jak sobie życzysz — powiedział. — Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

***Właśnie że nie. Nie, jeśli powiem ci prawdę. Zrobię to, gdy znajdziemy się w domu, sami.***

Na Cadogan Square powitała ich w drzwiach pani Thirkell, przygnieciona nieszczęściem. Wskazała ręką górne piętro.

— Pani Andersen, pani ojciec przyjechał kilka minut temu. Bardzo źle się czuje, a pani matka...

Sabrina przemknęła obok niej i wbiegła na schody, zostawiając w tyle Gartha. Znalazła Gordona i Laurę w gabinecie na drugim piętrze. Ojciec siedział w skórzanym fotelu, z poszarzałą, ściągniętą twarzą, a matka stała przy telefonie.

— Stefania, dzięki Bogu, jesteś. Czy wiesz, jak wezwać karetkę? Nie spodziewam się wprawdzie, żebyś...

— Nakręć 999. Ja to zrobię. — Nakręciła numer i odwróciła się do ojca, gdy Garth wszedł do pokoju. — Co się stało?

Był zaszokowany.

— Piers i ramię... Myślałem, że to niestrawność. Coś, co zjadłem w samolocie — powiedział bezdźwięcznie.

Laura gniewnymi krokami chodziła po pokoju.

— Lekarz powiedział, że nie powinien jechać do Londynu. Miał już dwa takie...

— Karetkę — powiedziała Sabrina do słuchawki. — Do szpitala świętego Jerzego. — Podała adres na Cadogan Square. — Dom lady Longworth. Proszę się pospieszyć, jej ojciec ma atak serca. — Spojrzała na rodziców. — Nigdy nie mówiliście mi o poprzednich atakach.

— Przypadkowe zaślabnięcia — wymamrotał Gordon. — Nic poważnego.

— Lekarze twierdzą, że powinny służyć za ostrzeżenie — odparła Laura. — Co za szczęście, że wiedziałas, który to szpital. Skąd to wiesz?

— Byłam tu już kiedyś. — Sabrina włączyła telefon wewnętrzny. — Pani Thirkell, po pana Hartwella przyjedzie karetka. Proszę nas wezwać, natychmiast gdy przybędzie.

Garth obserwował ją w zadumie, gdy pochyliła się nad Gordonem, który wydawał się kruchy i drobny i czepiał się jej ręki jak dziecko.

Gdzie się podział ten wysoki, władczy ojciec z dzieciństwa? Sabrina stłumiła ból i uklękła przy nim.

— Czy mocno cię boli?

— Już mniej. Przyniesiesz mi łyk szkockiej?

— Nie.

— Stefano — odezwała się Laura. — Co się z tobą stało? Gordon uśmiechnął się blado.

— Zaczyna mieć równie silną wolę jak Sabrina. Lecz posłuszna córka nie odmawiałaby ojcu lekarskiej dawki whisky. — Posłuszne córki nie zabijają swoich ojców — odrzekła Sabrina, starając się mówić lekkim tonem. — Skąd mam wiedzieć, jak podziela alkohol na osłabione serce?

Pani Thirkell zadzwoniła z wiadomością, że karetka już przyjechała.

— Wnoszą na górę nosze, milady. — Jej zakłopotanie było wyczuwalne nawet przez telefon. — Przepraszam, chciałam powiedzieć pani Andersen. Nie mogę przywyknąć...

— Nic nie szkodzi — powiedziała Sabrina. — Rozumiem.

Gdy sanitariusze weszli do pokoju, Gordon wstał, oparłszy ciężko ręce na poręczach fotela.

— Pójdę sam, Stefano.

— Nie — rzekła stanowczo. — To trzy kondygnacje. — Gdy się zawahał, ujęła go pod ramię. — Nie spieraj się, próbujemy ci pomóc.



Zerknął na nią ze zdziwieniem.

— Ależ się zrobiłaś zapalczywa.

Pozwolił jednak otulić się w koc i przypiąć pasami do noszy. Sanitariusze dźwignęli je i wynieśli.

— Będziemy jechać za wami taksówką — krzyknęła za nimi Sabrina, lecz ledwie znikli za drzwiami, nogi się pod nią ugięły. Garth znalazł się przy niej w jednej chwili i podtrzymał ją. Wysłał Laurę w taksówce do szpitala i usadowił Sabrinę na kanapce w saloniku.

Potem pojawili się jacyś ludzie, krzątający się wokół w sobie wiadomym, określonym celu. Sabrina nie mogła sobie znaleźć miejsca, czuła się niepotrzebna.

Wyraźnie przeszkadzamy, pomyślała z gorzką ironią. Nikt nas nie potrzebuje, wszyscy mają coś do zrobienia. Ja też. Ale nie mogę sobie przypomnieć, co.

Przypomniała sobie na cmentarzu, gdy nabożeństwo żałobne dobiegało końca.

— Podniosę oczy na wyniosłe wzgórza, z których nadejdzie pomoc moja.

Tłum stał w milczeniu przerywanym tylko cichymi odgłosami szlochów. Za Sabriną stał Antonio z Aleksandrą, po jej twarzy płynęły strumienie łez; obok niej szlochała w chusteczkę Gabrielle, tuż za nią Brooks. Jolie trzymała za rękę Michela o skamieniałej twarzy. Nicholas Blackford kołysał się na piętach w podnieceniu, a Amelia próbowała go strofować. Obecni byli wszyscy — amerykański ambasador i jego pracownicy, grupka pośredników w handlu antykami (niektórzy z Paryża i Rzymu), utytułowani klienci i przyjaciele, służący, kelnerzy i ekspedienci, którzy zachowali w pamięci uśmiech i słowo podzięk. Nie zabrakło nikogo, nawet pani Pemberley, która stała za otępiałym i nieruchomym Brianem, i pani Thirkell przyciskającej mokrą chusteczkę do skurczonej twarzy. W pobliżu Ołivii dwie niewyraźne postacie: lady Iris Longworth i Denton Longworth. Jakie to dziwne, że przyszli, pomyślała Sabrina. Tylko Raddisonowie nie zjawili się.

Czuła silne ramię Gartha wokół swoich ramion. Stojąc nad krawędzią grobu słyszała kadencje głosu wikarego:

— Obyśmy ujrzeli światło nowego dnia.

W dniu dzisiejszym chowała swoją siostrę, jej ojciec był w szpitalu, a matka stała obok i drżąc trzymała ją za rękę.

— Ziemia do ziemi, popiół do popiołu, proch do prochu. Wikary spojrzał na nią smutnymi oczami, dając znak, że nadeszła

pora na rzucenie pierwszej garści ziemi na trumnę. Wszyscy czekali. Wszyscy ci ludzie czekali, a wikary wciąż na nią patrzył. Pierwsza garść ziemi na trumnę. Pierwsza garść ziemi. Wtedy właśnie Sabrinie

wróciła pamięć. *Nie powiedziałaś im. To twoja ostatnia szansa. Powiedz im teraz. Nie możesz tego dłużej odkładać. Powiedz im. POWIEDZ IM!* Jej ciało przeszły długi dreszcz i padła na kolana przy grobie.

— To nie jest Sabrina! — krzyknęła. Usłyszała za sobą pełne zaskoczenia westchnienia i jęk Laury. Spojrzała na trumnę, a potem skierowała błagalne spojrzenie na wikarego. — To nie Sabrina umarła, to nie Sabrina! To była Stefania! A może my obie... czasami wydaje mi się, że... Czasami czuję się jak Stefania, ale nią nie jestem. Jestem Sabriną i zawsze nią byłam. Byłam Stefanią dopiero, odkąd...

— Przestań, kochanie. — Garth dźwignął ją z kolan. Jego głos był łagodny, ale stanowczy. Przytulił ją mocno do siebie. — Zabiorę cię do domu.

— Nie, poczekaj, posłuchaj! — Odepchnęła go. — Słuchajcie mnie...!

Brooks pojawił się obok nich. Wymienili spojrzenia z Garthem.

— Czy możecie skończyć obrządek z wikarym?

— Oczywiście. Do zobaczenia w domu. Nawiasem mówiąc, jest taki doktor, nazywa się Farr...

— Przestańcie, proszę, przestańcie! — krzyknęła Sabrina. — Słuchajcie, co mówię. Nie rozumiecie, że próbuję wam powiedzieć...

— ...który mógłby dać jej coś na uspokojenie; jego numer jest w książce.

Garth skinął głową i odprowadził żonę. Z tyłu dobiegł głos wikarego:

— I niech Bóg zachowa jej duszę.

— Sądzę, że powinniśmy wezwać doktora Farra — powiedział Garth, gdy zbliżali się do limuzyny. — Żeby pomógł ci przez te pierwsze dni.

Sabrina potykała się u jego boku, czując mdłości i pustkę wewnątrz, wściekła na samą siebie. Gdyby się tak głupio nie zaplątała w niepewności, kim naprawdę jest, uwierzyliby jej.

— Nie dałeś mi dokończyć — powiedziała desperacko. — Próbowałam wyznać ci prawdę, a ty nie chciałeś słuchać.

— Później.

— Nie uwierzyłeś mi.

— Później, kochanie.

Garth przypomniał sobie śmierć rodziców, swój własny smutek i jednocześnie gniew na nich, że go opuścili. Lecz żałoba jego żony była bardziej gwałtowna. Stefania była zagubiona, jakby obdarta ją z całej jej egzystencji. Owszem, zmarła była jej siostrą bliźniaczką, ale

Garth mimo to był zdumiony, że ta silna kobieta, która tak świetnie zapanowała nad sytuacją, gdy jej ojciec zasłabł, mogła załamać się do tego stopnia, żeby mówić od rzeczy i oddać się żywiołowej rozpaczycy.

Wiedział, że ludzie pogrążeni w smutku często szukają ucieczki w niedopuszczaniu do świadomości faktu śmierci ukochanej osoby. Lecz gdyby tak było w tym wypadku, twierdziłaby, że jej siostra jest cała i zdrowa, przebywa w podróży i wkrótce znów będą razem. Ale ona udawała, że jest własną siostrą. Dlaczego? Czyżby to była forma zadośćuczynienia za jakieś przewiny? Może mimo fizycznego oddalenia bliźniaczki czuły się dwoma integralnymi częściami całości i były sobie dużo bliższe niż sądził?

Gdy dotarli na Cadogan Square, Sabrina odmówiła widzenia się z doktorem Farrem.

— Da mi coś na sen. Dlaczego nie pozwolicie mi pogrążyć się w smutku?

— Powinnaś odczuwać smutek, ale nie poddawać się hysterii.

— Spróbuję się tego wystrzegać — odrzekła. Był w tym ślad dawnego cierpkiego humoru i Garth pozwolił jej postawić na swoim. Miała rację, najlepiej będzie, jeśli wszystko to z siebie wyrzuci.

Brooks i Olivia zajęli się pogrzebem, a teraz zaproszeni przez nich goście schodzili się na lunch. Pani Thirkell, aby zapomnieć o żałości, włożyła całą swoją energię w kierowanie wynajętą służbą, która wkrótce ustawiła na długich stołach w jadalni i salonie półmiski mięsa i ryby, różne gatunki sera, pasztety, chleb, ciastka i torty. Sabrina krążyła między gośćmi, a Garth u jej boku obserwował ją. Błada i wyniosła, z wysoko podniesioną głową, poruszała się swobodnie po pokojach, jakby to był jej dom, jakby zajmowała miejsce Sabriny. Wszyscy komentowali wzajemne podobieństwo siostr i to, jak naturalna wydawała się jej obecność tutaj. Słuchała uprzejmie ich słów, jakby próbując dociec, co miały z nią wspólnego.

Garth poczuł aż do bólu, że nigdy nie kochał jej tak mocno jak teraz, gdy zdawała się zarazem zagubiona i u siebie w tym domu, potrzebująca jego pomocy, a jednocześnie nieobecna duchem. Smutek tworzył wokół niej atmosferę tajemniczości i wrażliwości. Garth chciał przyciągnąć ją do siebie, całować pełne rozpaczycy oczy i słuchać z bliska każdego jej słowa, czy miało sens, czy nie, żeby pojąć do głębi, co dla niej znaczy strata kogoś, kto był jej częścią.

Lecz że odzywała się bardzo rzadko, mając ją wciąż na oku słuchał, co ludzie wokół mówią o wypadku. Kilka osób usłyszało tę historię od Brooksa i wieść rozeszła się błyskawicznie. Nikt nie znał

powodu zatonięcia *Lafitte*, lecz krążyła plotka, że zbiorniki z paliwem wybuchły tuż po opuszczeniu przez jacht portu w Monte Carlo. Denton Longworth grał w tym czasie w miejscowym kasynie i gdy usłyszał, że jacht, który zatonął, należy do Maxa Stuyvesanta, ofiarował straży przybrzeżnej swoje usługi. Był obecny przy wyciąganiu z wody ciał pierwszych ofiar. Jedną z nich była Sabrina i właśnie Denton ją zidentyfikował.

Policja dodzwoniła się do domu w Londynie, aby zapytać o nazwiska najbliższych krewnych, lecz Gabrielle, która odebrała telefon, podała im numer Brooksa. I dobrze, że tak się stało, pomyślał Garth. Brooks zajął się skomplikowanymi pertraktacjami z policją z Monaco, z francuską strażą przybrzeżną i policją, z brytyjskimi liniami lotniczymi i z policją brytyjską, załatwiając wszystko gładko i po cichu. Garth polubił go. Z początku nieufny wobec Brooksa z powodu okazywanej przez niego władczości, wkrótce przekonał się, jak był uczciwy.

— Będzie mi brakować Sabriny — powiedział mu Brooks, gdy w wieczór przed pogrzebem usiedli razem, by wypić drinka. — Mam pewien kłopot na głowie — nie musimy wchodzić w szczegóły — a Sabrina uświadomiła mi, że mogłem być częściowo winny lub raczej, że mogłem patrzeć w niewłaściwym kierunku. Była bardzo silną osobowością, pewną swoich przekonań i okazywała niecierpliwość wobec ludzi, którzy udawali, że są kimś, kim nie byli. Przypuszczam, że sama też umiała udawać, jak my wszyscy, ale zawsze słuchając jej, miałem wrażenie, że mówi uczciwie — że mówi to, co naprawdę czuje.

Garth rozejrzał się po gabinecie i przypomniał sobie inne pokoje w tym domu: jaśniejące spokojnym pięknem, pełne harmonii, zaskakujące wzajemną równowagą spokoju i figlarności. Nigdy jeszcze tu nie był. Gdyby był, dowiedziałby się wielu rzeczy o swojej szwagierce, ponieważ dom stanowił odbicie kobiety pod wieloma względami podobnej do jego żony, innej niż ta, którą sobie wyobrażał.

— Nigdy jej tak naprawdę nie znałem — powiedział do Brooksa — i bardzo tego żałuję.

Nazajutrz słuchając po pogrzebie wspomnień przyjaciół Sabriny, znów pomyślał, jak bardzo jej nie znał.

— Pracowała bardzo ciężko — przypomniała sobie Olivia odgryzając kęs tortu.

— Przez długi czas obawiała się porażki — rzekła Aleksandra.

— Nonsens. Nigdy nie znałam kobiety równie pewnej siebie. Miała swój sposób wysłuchiwania moich pomysłów. Potakiwała

uprzejmie głową, a potem mówiła mi równie mile, w czym nie miałam racji. Do dziś się dziwię, gdy pomyślę, jak często tak robiła i jak gładko to przyjmowałam.

Jolie odwróciła się do Oli vii.

— Nie sądzi pani, że bała się klęski w początkach swojej kariery? Gdy wszyscy ją ignorowali?

— Po co wspominać złe czasy? — wtrącił Nicholas. — Gdy odniosła sukces i miała doborowych klientów, pracowała z miłości — miłości do piękna. Miała pasję tworzenia, a jej styl był nieskazitelny. Pracowała też z miłości do...

— Pieniędzy — dokończyła z chichotem Aleksandra. — Nie zapominaj o tym. W przeciwieństwie do większości z nas musiała sama zarabiać na życie.

Garth dostrzegł, że jego żona słucha tego z zainteresowaniem.

— Przepraszam — odezwał się do niej miękko. — Gdy przypomnę sobie, ile razy ją krytykowałem... W rzeczywistości nie znałem jej, co mi nieustannie mówiłaś.

Skinęła głową.

— Tak, ale to nie ma znaczenia, prawda? Kiedyś myślałam, że naprawdę jest mnóstwo czasu, ale się myliłam. Kłamstwa i błędy szybko się pienią i trudno powstrzymać ich wzrost. Zresztą to w tej chwili nie ma zbyt wielkiego znaczenia.

Nie miał pojęcia, o czym ona mówi, ale zanim zdążył zapytać, podszedł do nich ktoś nieznajomy — wysoki i ciemnowłosa mężczyzna o gęstych brwiach i czarnych, przenikliwych oczach.

— Przepraszam — powiedziała Sabrina, gdy ujął jej dłoń. — Nie sądzę...

— Dmitri Karras — przedstawił się z lekkim uśmiechem. — Widzieliśmy się raz bardzo dawno temu w...

— Atenach! — krzyknęła, a jej twarz odzyskała życie. — Gdy nas ukrywałeś! Czy to nie zdumiewające! Po tylu latach! Mieszkasz w Londynie? Pracujesz tutaj? To dopiero Stefania się zdziwi... — urwała gwałtownie.

Garth zauważył ukradkowe spojrzenia ze wszystkich stron. Wyrażały współczucie, zakłopotanie, ciekawość. Wyciągnął rękę do Dmitriego.

— Garth Andersen. Stefania mówiła mi o panu. Dmitri z wdzięcznością uściśnął jego dłoń.

— Tak. Przeżyliśmy we troje niezwykłą przygodę. — Zwrócił się do Sabriny. — Pamiętam pani siostrę tak dokładnie... Jej odwagę i oczy pełne zapału i determinacji poznania wszystkiego. Dzwoniłem

do niej trzy dni temu zaraz po przyjeździe, ale dowiedziałem się, że wyjechała. Może, jeśli będzie pani miała trochę czasu, moglibyśmy wypić wspólnie herbatę przed pani wyjazdem?

— Może — odparła Sabrina, chcąc jak najszybciej się od niego uwolnić. Przypominał jej czasy, gdy wszystko było proste. Czasy jak ze snu, który już umarł.

Drżała na całym ciele. Nie mogę powiedzieć Stefanii o spotkaniu z Dmitrim, pomyślała. Już nigdy nie będę mogła jej o niczym powiedzieć. Nie mogę nawet rozmawiać o niej z osobami trzecimi. Bo wciąż jestem Stefanią. / *nie mogę znaleźć sposobu na wyjawienie prawdy.*

— Jak długo pan tu zostaje? — To pytanie skierowane było do Gartha.

— Nie jestem pewien.

— Dlaczego? — wtrąciła gwałtownie. — Masz bilet na jutro.

— Nie wyjadę, jeśli będę ci potrzebny.

— Nie jesteś mi potrzebny.

— Możesz nie być najlepszym sędzią w tej kwestii. Dmitri zaczął się wycofywać.

— W takim razie zadzwonię, żeby się umówić na herbatę — jeśli jeszcze panią zastanę...

— Ja tu zostaję — oświadczyła Sabrina. — Mój ojciec jest w szpitalu, moja matka przy nim, a ja mam własne sprawy do załatwienia.

— Moja droga — zaczął skwapliwie Nicholas podchodząc bliżej. — Chciałbym porozmawiać z tobą o *Ambasadorze*. Lady Longworth i ja rozważaliśmy możliwość współpracy. Jak długo zostaniesz w Londynie?

Natychmiast zjawił się jak spod ziemi Sidney Jones, doradca prawny Sabriny. On prowadził jej sprawę rozwodową z Dentonem i spisał jej testament.

— Mogę zaaranżować spotkanie, na którym, oczywiście, będę obecny. Takie byłoby życzenie lady Longworth, skoro spisałem jej testament. Rozmawiałem już z panią Andersen w sprawie dziedziczenia przez nią majątku.

Wszystko, pomyślała Sabrina. Wszystko zostawione Stefanii Andersen. Zostawiłam wszystko samej sobie. Na ten głupi, smutny żart jej oczy napęłniły się łzami.

Na dnie duszy jednak poczuła iskierkę ciekawości. Więc Stefania rozmawiała z Nicholasem o wejściu w spółkę. Co jeszcze zdarzyło się podczas jej pobytu oprócz romansu z Maxem Stuyvesantem? Pierwszy raz Sabrina uświadomiła sobie, że nie wie prawie nic o tym, co

Stefania porabiała w Londynie. A Stefania nie mogła już powiedzieć jej tego.

Spojrzała na Antonia i Aleksandrę, którzy stali w pobliżu. Erotyczna więź między nimi była wyczuwalna nawet z tej odległości. Kiedy to się zaczęło? Stefania zerwała z nim bardzo niedawno. Byli jednak dobraną parą. Jakie to sprytne ze strony Stefanii, jeśli przyłożyła do tego rękę. Przy bufecie Michel i Jolie nakładali na talerz górę pasztetu z kurczęcia i korniszonów. Stefania nie wspomniała o nich od czasu urodzinowego przyjęcia u Aleksandry. Sabrina będzie musiała wybadać ich w sprawie artykułu, który mieli opublikować, nie zdradzając się ze swoją ignorancją. Znowu udawanie. ***Oszustwo, gdy się raz zacznie, nie ma końca.***

— Moja droga — zwrócił się do niej z afekcją Sidney Jones — czy mogę ci przynieść fdiżankę herbaty? — Spojrzał z góry na Gartha pełnym wyższości wzrokiem człowieka, który wie najlepiej, jak zadbać o delikatną kobietę.

— Dziękuję za herbatę — odparła Sabrina gładko. — Garth, mógłbyś podać mi kieliszek wina?

Garth uśmiechnął się do niej; serce mu rosło na widok Stefanii, która otrząsnąwszy się ze swego smutku, osadziła na miejscu tego zarozumiałego snoba.

— Kocham cię — szepnął w podzięce całując ją w policzek. — Zaraz wracam.

Sabrina zobaczyła Brooksa, który zjawił się w pokoju i skierował ku Gabrielle. Stojący najbliżej nadstawili uszu w oczekiwaniu kłótni i przysunęli się, by lepiej słyszeć. Sabrina potrząsnęła głową. Nic się nie zmienia, pomyślała. Kilkoro z nich potęskni za mną przez pewien czas, lecz wszystko będzie toczyć się dalej jak zawsze. Nic się nie zmienia.

Lecz kiedy powiem prawdę, w życiu Gartha i dzieci wszystko ulegnie zmianie.

***Chyba że tego nie zrobię.*** Myśl ta pojawiła się i znikła tak szybko, że dopiero po chwili dotarł do niej jej sens. Chyba że tego nie zrobię. Co za różnica, czy powiem prawdę dziś, jutro, za miesiąc, czy za rok? Albo nigdy. Moglibyśmy żyć dalej jak do tej pory. Co by to komu szkodziło?

Lecz jeśli nie wyznam nikomu prawdy, jak będę mogła znów stać się kiedyś Sabriną?

Garth wrócił, wiodąc za sobą kelnera z tacą z kanapkami i winem.

— Nie pozwolił mi cię obsłużyć. Pewnie traktuje mnie jako outsidera, który próbuje sabotować jego związek zawodowy.

Sabrinie mimo woli wyrwał się krótki śmiech, a Garth poczuł się jak po wygranej bitwie.

Otoczeni gwarem, usiedli razem, w cichym poczuciu koleżeństwa.

— Nic się nie zmienia — mruknął Garth lustrując tłum zebranych. Sabrina spojrzała na niego szybko.

— Przecież ich nie znasz.

— A muszę? Spójrz na nich. Przyszli tutaj poważni i pełni szacunku nie podnosząc głosu wyżej szeptu, a po dwóch godzinach paplają w najlepsze i motają sieci intryg. Posłuchaj ich.

Wszystko biegnie dawnym trybem, pomyślała znów, wsłuchując się w wysokie tony koktajlowych rozmówek.

— Zadziwiające podobieństwo, przysiągłbym, że to Sabrina.

— Nieprawda, jest całkiem powierzchowne. Mają inne usta i oczy, po prostu nie jesteś dość spostrzegawczy.

— Zapytam ją i powie ci, że mam rację — one są naprawdę identyczne.

— Och, na miłość boską, chyba nie zadasz jej takiego pytania! Jeszcze jedna taka scena jak ta nad grobem i położę się do łóżka na tydzień. Zmroziło mnie to do szpiku kości. Broń Boże od następnej.

Garth obserwował żonę spod oka; ten gwar zdawał się jej nie obchodzić. Była bardzo blada, lecz spokojna i czujna; jej twarz nie była już twarzą lunatyczki. Prawdę mówiąc, pomimo że zostawiła Brooksowi i Ohvii załatwienie spraw dotyczących pogrzebu i lunchu, zachowywała się wobec pani Thirkell i wynajętej obsługi jak właścicielka tego domu. Jego, Gartha, nadal trzymała się kurczowo jak podpory, lecz chwilami nagle i niespodziewanie cofała się do swojej skorupy i patrzyła na niego, jakby nie była pewna, kim był i co miał z nią wspólnego.

— Chciałbym napić się szkockiej — powiedział.

— Przyniosę ci — odparła Sabrina, jakby zadowolona, że ma coś do zrobienia, i zniknęła, zanim zdążył ją zatrzymać.

— Niespokojna — zaopiniował Nicholas Blackford ze znajomością rzeczy. — To normalny objaw w czasie żałoby. Potrwa trochę, zanim się z tego otrząśnie. W Chinach obie były sobie tak bliskie...

W Chinach? O czym, u diabła, ten człowiek mówi? Nie były razem w Chinach. Lecz Blackford był na wycieczce. Garth przypomniał sobie, jak Stefania mówiła, że przejęła od niego angielskie wyrażenia.

— Miały wtedy dużo czasu dla siebie — sondował.

— Racja, oczywista racja. Mam nadzieję, że pomoże pan Stefanii spojrzeć na to od tej strony. W końcu spędziły razem całe dwa tygodnie, a gdyby nie wybrały się na tę wycieczkę, Sabrina mogłaby —



och, mój Boże... Jakby to powiedzieć... Mogłyby się nie widzieć cały rok przed śmiercią Sabriny. Dziwne są drogi przeznaczenia. Właśnie myślałem o zdjęciach, jakie im zrobiłem. Obie w takich samych jedwabnych sukienkach, które kupiły w Szanghaju. Nigdy nie widziałem tych zdjęć. Udały się?

— Tak — odrzekł Garth, patrząc na żonę, zbliżającą się do nich z butelką i szklanką pełną kostek lodu.

— Zmyliłam tropy przed związkowcami — powiedziała z lekkim uśmiechem. — Ale przyniosłam tylko jedną szklankę. Nicholasie, gdybyś chciał się napić... — Spojrzała na twarz Gartha. — Co się stało?

— Nic. Skąd wytrzasnęłaś tę szkocką?

— Z gabinetu na górze. Ja... Sabrina trzymała tam kilka butelek. A jednak coś się stało.

Nicholas wiercił się, zaalarmowany oznakami małżeńskiego nieporozumienia.

— Chyba pójdę po drinka. Wybaczcie mi... Garth nalał do szklaneczki bursztynowego płynu.

— Nicholas opowiadał mi właśnie, jak trzymałyście się razem, ty i Sabrina, w Chinach. Twierdzi, że robił wam zdjęcia.

Na jej zastygłej twarzy pojawił się wyraz bólu i pustki.

— Tak — odparła w końcu. — W Szanghaju. Niedaleko hotelu. Dzień przedtem, jak rozsypał na ulicy swoje ciastka. To oczywiście szczególnie bez znaczenia, ale jakoś utkwił mi w pamięci. Chciałam ci wszystko opowiedzieć, wszystko od samego początku, ale tyle się wydarzyło, że straciłam głowę i wciąż to odkładałam... Miałam zamiar powiedzieć ci to dziś wieczorem, gdy będziemy sami, zanim wyjedziesz do domu — przynajmniej myślę, że miałam taki zamiar. Ale możemy załatwić to teraz, jeśli chcesz...

W jej monotonnym głosie brzmiała taka samotność i rozpacz, że się przeraził.

— Nie, nie teraz. Nie ma pośpiechu. Właściwie w ogóle nie musisz mi nic o tym mówić. Niezależnie od tego, co było przyczyną twojego milczenia. Lęk, że jak się dowiem, wpadnę w złość? Miałaś rację, tak by się pewnie stało. A to dlatego, że istotnie nie znałem twojej siostry. Przykro mi tylko, że bałaś się przyznać. Jakbym był jakimś ludożercą, który cię połknie. Naprawdę jestem taki straszny?

Przechyliła głowę i potrząsnęła nią powoli, a przy tym ruchu włosy zakryły jej twarz.

— Nie, nie mów tak. Nie jesteś ludożercą. Kocham cię.

— W takim razie nic innego się nie liczy. Cóż mnie, u licha, obchodzi, że byłaś w Chinach z Sabriną? Porozmawiajmy o czymś

innym. Czy możesz mi na przykład powiedzieć, dlaczego ci goście, którzy muszą razem wzięci posiadać na własność pół Anglii, obżerają się na tym lunchu nieprzytomnie, jakby byli żebrakami bez nadziei na obiad?

Roześmiała się podnosząc na niego wzrok.

— Może żeby się upewnić, że są jeszcze żywi.

Odgarnął lok włosów z jej czoła. Pomyślał, że nawet w smutku jej umysł pracuje bystro.

— Albo żeby niczego w życiu nie przepuścić. Pogrzeby są dla nich świadectwem niepewności jutra.

Uśmiechnęli się do siebie z czułością, jakby chcąc powiedzieć, że należą do szczęśliwców, którzy mogą być pewni jutra. W tej chwili Garth znów uwierzył, że wkrótce wróci to, co narodziło się między nimi w Nowym Jorku.

W nocy, już w łóżku, ujął ją za rękę i znów zaofiarował się, że zostanie z nią kilka dni. Lecz odrzuciła tę propozycję bez wahania.

— Tu jest moja matka i wszyscy moi... Sabriny przyjaciele, i pani Thirkell. Gdybym potrzebowała towarzystwa lub pomocy, wszyscy są pod ręką. Jesteś potrzebny dzieciom i nie powinieneś opuszczać więcej zajęć i pracy w laboratorium. Poza tym — czy nie planowałeś spotkania z architektem w sprawie projektów Instytutu Genetycznego?

— Tak, tak i jeszcze raz tak. Ale jeżeli mnie potrzebujesz, zostanę tutaj.

Odwróciła się do niego. Jej oczy w łagodnym świetle z nocnej lampki badały jego twarz, jakby zapamiętując każdy jej rys.

— Chciałam opowiedzieć ci dziś wieczór o podróży do Chin, całą historię...

— Nie chcę jej słuchać. Chyba że to ci przyniesie ulgę po stracie siostry. Ale ja nie mogę ci pomóc. Teraz musisz znowu być sobą, choć ją kochałaś, osobą niezależną od niej i niezależną od jej pamięci. Nie możesz miotać się między dwoma... Co się stało?

Wciągnęła gwałtownie oddech.

— To, co powiedziałaś... To właśnie chciałam ci wyznać. Ale nigdy nie mogę skończyć.

— No więc nie rób tego. Niech to diabli, nie chcę tego słuchać, jeśli tak trudno ci to z siebie wydusić. — Bał się tego słuchać, bał się, że nie znajdzie broni przeciwko decyzjom, jakie ukuła w swej bolesti. — Poczekaj z tym, aż znajdziemy się w domu. Wtedy powiesz, jeśli wciąż będziesz musiała.

— Ale to nie jest...

— Stefanio, nie chcę nic o tym słyszeć. To może poczekać. —

Podniósł się na łokciu i pocałował ją. — Jest już późno, a ty jesteś wyczerpana. Może spróbujesz zasnąć?

Zawahała się. Dawał jej czas. Czemużby z tego nie skorzystać? Doszła już do wniosku, że to wszystko jedno. Odłożyć to jeszcze... Dotknęła jego twarzy.

— Myślałam, że będziesz chciał się kochać.

— Chcę tego, co ty — odparł.

Przysunęła się do niego, a on przytulił ją i leżeli nieruchomo, objęci.

— Najdroższa, czy mam zostać jeszcze trochę w Londynie?

— Nie. Ale kochaj mnie teraz.

Otarła się o niego i jej oddech stał się szybszy. Zagarnął ją pod siebie, zatopił się w zapachu i dotyku jej ciała. Już miał ją posiąść, ale spojrzał jej w oczy i raptownie się zatrzymał. Odsunął się bez słowa i położył na plecach.

— Garth... co...?

— Nie chciałaś wcale się ze mną kochać. Udawałaś tylko, prawda? Po chwili przytaknęła z zamkniętymi oczami.

— Dlaczego? Czy sądzisz, że chciałbym uzyskiwać w ten sposób rozkosz?

— Chciałam się z tobą kochać.

— To nieprawda.

— Chciałam. Mój umysł tego chciał. Nie wiem, dlaczego moje ciało nie reagowało... Próbowałam, ale się nie udawało, więc zaczęłam udawać. Bo chciałam się z tobą kochać. Nie rozumiesz? Chciałam czuć cię w sobie. Nie obchodziło mnie, czy będę miała orgazm, czy nie. Chciałam czuć cię w sobie.

— To dlaczego tego nie powiedziałaś? Po co to udawanie? Wzdrygnęła się.

— Przepraszam. Nie wiem, dlaczego nie wszystko potrafię ci powiedzieć.

Wziął ją za rękę.

— Spij. Gdy wrócisz do domu, porozmawiamy. Wtedy będziesz mogła powiedzieć mi wszystko, co ci się spodoba.

Ukryła głowę w poduszce.

— Wracasz jutro?

— Tak. — Pochylił się nad nią i pocałował w czoło. — Dobranoc, najdroższa.

— Dobranoc.

Zgasił lampę, a wtedy jej głos rozległ się w ciemności — jak czuła pieśczość.

— Kocham cię, Garth.

W niedzielę rano Gordon leżał podparty poduszkami na szpitalnym łóżku, snując wspomnienia z przeszłości. Sabrina nie odrywała oczu od jego szczupłej twarzy, lecz jej myśli krążyły wokół Gartha, który właśnie wracał do Ameryki.

— Następnie w Algierii, było tam tyle do zrobienia... Serce miałem wtedy naturalnie w świetnym stanie — mogłem pracować osiemnaście godzin bez przerwy.

— Zgadza się — mruknęła Sabrina. — Zostawiając nas w towarzystwie służby.

— Stefano — upomniała ją ostro Laura. Sabrina wzruszyła ramionami.

— To było dawno.

— Więc po co do tego wracać? Twój ojciec zawsze starał się pracować jak najlepiej dla swojego kraju i rodziny. Muszę powiedzieć, że zadziwiasz mnie. W przeszłości nie ty skarżyłaś się na nasz tryb życia, lecz Sabrina... — Głos Laury załamał się, gdy wymawiała imię córki.

— Przepraszam — rzekła Sabrina.

Gordon skierował na nią wzrok i zmarszczył czoło.

— Matka powiedziała mi, co zaszło na cmentarzu. To nic nie pomoże... że będziesz próbowała stać się Sabriną. To jej nie wróci życia.

Sabrina śmiało wytrzymała jego spojrzenie czekając, aż ją rozpozna, lecz w głębi ducha wiedziała, że to niemożliwe. Jeśli nie rozpoznał jej do tej pory, jak mógłby to zrobić teraz, gdy cały czas koncentrował się na równomiernym biciu własnego serca?

— Nie jesteś jej również nic dłużna. Była inna niż ty i wiodła inne życie. Nie oceniam, czy było dobre, czy złe... — Zakasłał i Laura natychmiast pochyliła się nad nim.

— Nie unosz się. Lekarze twierdzą, że nic ci nie będzie, jeśli zachowasz spokój. Będziemy tu tkwić w nieskończoność, jeśli nie będziesz słuchał ich wskazówek.

— Nie unosiłem się — odparł łagodnie Gordon. — Chciałem tylko powiedzieć, że Stefania nie musi się wstydzić samej siebie.

— Dałeś do zrozumienia, że tryb życia, jaki prowadziła Sabrina, ^ miał coś wspólnego z jej śmiercią. Nie miałeś prawa — przepraszam; Gordonie, nie powinnam tak mówić. Stefano, co zrobisz z **Ambasadorem!**

— Twoja matka próbuje zmienić temat. Lecz ja, wiesz, kochałem twoją siostrę. Nawet gdy uważałem, że jej postępowanie jest zuchwałe, nawet gdy wyszła za tego pompatycznego księcia Jak-mu-tam...

— Za wicehrabiego — sprostowała Laura. — Ale mieliśmy nie rozmawiać o Sabrinie.

— Zawsze ją kochałem. Tylko nie było między nami takiej zażyłości jak między tobą i mną. Rozumiesz?

— Nie mów tak — rzekła Sabrina miękko. — Proszę, nie mów. — Czuła, że jej twarz pała, i miała ochotę uciec.

— Nie czułem się przy niej swobodny. Zawsze miałem wrażenie, że za chwilę zerwie się z krzesła, żeby rzucić się w wir jakiejś działalności. Wziąć udział w wyścigu, zwiedzać jakieś jaskinie, ustrzelić lisa czy być królową piękności na balu. Kochałem ją, podziwiałem, ale przy niej stale byłem napięty, bo nie byłem w stanie przewidzieć, co za chwilę zrobi.

Podniósł głos. Sabrina zmusiła się, żeby siedzieć spokojnie.

— Zawsze martwiłem się, że jakimś szalonym wysokiem popsuje opinię naszej ambasady. Próbowaliśmy wam obu wytłumaczyć, że za granicą jesteśmy symbolem Ameryki i moja kariera zależy od obrazu, jaki będziemy prezentować światu. Nigdy nie musiałem się martwić o ciebie, ale Sabrina ze swoim wybujałym temperamentem wymykała się kontroli. Czasami byłem wobec niej szorstki w obawie, że robi coś głupiego lub niebezpiecznego. Rozumiesz, dlaczego postanowiliśmy wysłać was obie do *Juliette!* Dlaczego nie zawsze zachowywałem się w sposób... ojcowski?

Sabrina milczała.

— Ale kochałem ją. Była jak ogień, światło i uosobienie miłości. Tyle miała w sobie energii i ciekawości świata. Tyle życia. Żałuję, że nigdy jej tego nie powiedziałem. — Głos Gordona przycichł. — Nie powiedziałem jej tego, nawet gdy osiedliliśmy się w Waszyngtonie. Była wtedy jak zawsze załatana, brała ślub, rozwodziła się, zrobiła z niczego ten swój sklep, jeździła na polowania i rejsy. Na koniec nawiązała nawet bliższą znajomość z jakimś Brazylijczykiem. Ale kochałem ją tak samo jak ciebie. I żałuję, że jej tego nie powiedziałem.

Laura płakała z odwróconą głową. Gordon miał zamknięte oczy, a jego wątła pierś pod białym przykryciem wznosiła się i opadała w rytm płytkich oddechów. W ciszy, jaka zapadła, Sabrina słyszała kroki i zniżone głosy innych niedzielnych gości w szpitalu.

Rodzice, pomyślała. Miała trzydzieści dwa lata, a ich wpływ na nią wciąż był tak wielki, że mogli wpędzić ją w poczucie winy. Bo kiedyś ich zawiodła. Słowa Gordona to próba usprawiedliwienia się z zaniedbywania ich przez całe życie i zarazem przestroga, żeby nie zachowywała się jak Sabrina. Laura zaś, bliżej związana z Sabriną, próbowała nie okazywać, że nie aprobuje faworyzowania przez niego Stefanii.

— Wiedziała, że ją kochałeś — rzekła Sabrina do zamkniętych oczu Gordona. **O Boże, pozwól mi go przekonać!**

— Nawet gdy zdawała sobie sprawę, że zawiodła twoje nadzieje.  
Gordon kiwnął głową. Zaabsorbowany własnym zdrowiem łatwo uznał, że wszystko jest w porządku.  
— Zdrzemnę się teraz — powiedział.  
Gdy opuszczały szpital, Laura wzięła Sabrinę pod ramię.  
— Czuję, że powinnam cię przeprosić za to, co przed chwilą zrobił twój ojciec.  
— Co takiego zrobił?  
— Odprawił nas, gdy tylko wyłożył swój punkt widzenia i zyskał pewną aprobatę. Zawsze tak postępuje. To bardzo skutkuje w dyplomacji, ale niełatwo z tym wytrzymać na co dzień.  
— Czyż ta jego bezceremonialność nie dodaje otuchy? Nawet pogrążony w smutku pozostaje sobą.  
Laura spojrzała ostro na córkę.  
— To uwaga w dwuznacznym stylu Sabriny. Jesteś nieuprzejma w stosunku do ojca.  
Sabrina westchnęła.  
— Mamo, jesteś równie trudna we współżyciu jak on. Rodzice, pomyślała znowu. A przecież wciąż ich kochamy i chcemy, żeby nas aprobowali, bez względu na wiek. Jak się odważy wyznać im prawdę, gdy Gordon wróci do zdrowia? Raduj się, matko, Sabrina nie umarła. Twoja boleść się dwukrotnie powiększy, ojczyste, to twoja ukochana Stefania poniosła śmierć. Żadne z nich nigdy jej nie wybaczy.  
— Miałam nadzieję — powiedziała Laura nazajutrz rano, gdy Sabrina otwierała drzwi **Ambasadora** — że nie sprzedasz galerii. Może to nie w porządku z mojej strony prosić cię o to — wiem, że przydałyby się wam te pieniądze — ale miałam nadzieję, że zechcesz ją zatrzymać.  
Sabrina nie odpowiedziała. Weszła do ciemnego wnętrza i po długiej nieobecności wdychała głęboko powietrze, dotykając znajomych przedmiotów. Czowała, że wróciła na swoje miejsce, jak do domu na Cadogan Square. I sklep, i dom były w całości jej dziełem i trzymały się dzięki jej pracy.  
— Naturalnie, że ją zatrzymam — odparła.  
— Ale co z nią zrobisz? Jeżeli nie możesz jej prowadzić...  
— Jasne, że będę ją prowadzić, o czym ty mówisz, mamo?  
— Stefanio, pytam cię, w jaki sposób zamierzasz kierować **Ambasadorem** z Evanston? Chyba że... Czy dajesz mi do zrozumienia, że wyprowadzisz się stamtąd? Że ty i Garth...?

— Nie. — Sabrina wróciła na ziemię. — Coś wymyślę do spółki z Nicholasem Blackfordem. Jest zainteresowany współpracą.

— W takim razie będziesz tu przyjeżdżać od czasu do czasu. Cóż, może to niezłe wyjście. Jednak *Ambasador* to Sabrina. Trzeba by kogoś z jej błyskotliwością, żeby utrzymać renomę galerii. Mimo wszystko mogłabyś to zrobić, jeśli przyłożysz się do nauki albo popracujesz na próbę w małym sklepie w Chicago, żeby nabrać doświadczenia. I ja ci pomogę. — Objęła Sabrinę ramieniem. — Och, mogłabym cię nauczyć tylu rzeczy! Czy to nie byłoby cudowne? A teraz proponuję, żebyś...

— Mamo.

Laura cofnęła się. W głosie córki był chłód.

— Jeśli nie chcesz teraz o tym mówić...

— Nie chcę teraz o tym mówić. — W Sabrinie narastało napięcie. Spędziła bezsenną noc na rozmyślaniach o Stefanii, po raz pierwszy od wielu tygodni w łóżku czuła się samotna i bezbronna. Nie dodawały jej już otuchy ramiona Gartha. Teraz wzbierała w niej fala gniewu na matkę. Jak śmie obrażać Stefanię przypuszczeniami, że nie dałaby sobie rady z *Ambasadorem!* Przez całe życie wyróżniała Sabrinę i znów dała to do zrozumienia, zupełnie jak gdyby Stefania po przejściu sklepu musiała automatycznie ponieść klęskę.

Chwileczkę, to nie ma sensu. Czy jestem Sabriną, która staje w obronie nieżyjącej Stefanii? Czy też Stefanią, która jest zła na matkę za ten brak wiary w jej umiejętności?

— Nie chcę teraz o tym mówić — powtórzyła. — Muszę się zobaczyć z Sidneyem Jonesem, Nicholasem i Brianem. Za parę dni będę wiedziała coś więcej o swoich planach. — Ruszyły w kierunku drzwi wejściowych. Sklep był zamknięty na tydzień. Wróci tu sama jutro i pomyśli o przyszłości.

Następnego dnia okazało się, że *Ambasador* to jedyne miejsce, w którym może liczyć na samotność. Laura i Gabrielle mieszkały w jej domu i wciąż chciały z nią gawędzić. Pani Thirkell wynajdowała sobie coraz to nowe zajęcia na górnych piętrach, aby móc rozmawiać z kimś o lady Longworth. Telefon dzwonił bez ustanku, bowiem wszyscy chcieli rozerwać amerykańską siostrę Sabriny, zanim wyjedzie z Londynu. I chociaż kazała pani Thirkell odrzucać wszystkie propozycje, wciąż napływały nowe. Co dzień przysyłano kwiaty, listy i telegramy. Sabrina wycofała się w mroczną ciszę *Ambasadora*.

W samotności przejrzała spokojnie książki rachunkowe i rejestry. Przeczytała listy i przewertowała katalogi, które nadeszły podczas jej nieobecności. Stefania zaksiegowała sprzedaż łoża z baldachimem,

francuskiej torebki z paciorków i kilku innych przedmiotów. W notesie, który leżał na półce przy stoliku z drzewa wiśniowego, zapisała trzy zamówienia na wystrój wnętrz, które przyjęła na listopad i grudzień. Sabrina już miała odłożyć notes, gdy nagle zauważyła wetknięty między kartki list. Zaczynał się słowami: „Najdroższa Sabrino”. Z dwudziestego trzeciego października. Dzień przed rozpoczęciem rejsu.

„Zastanawiałam się” — pisała Stefania — „jaki prezent zostawić ci przed wyjazdem do Chicago, w podziękę za najpiękniejsze chwile w życiu. Mogłabym coś kupić, lecz właśnie przyszedł mi do głowy upominek lepszy niż wszystko, co jest na składzie u Harrodsa. To pewna historia, którą trzymałam w tajemnicy, i opisuję ją teraz, żebyś ją poznała, gdy wrócisz. Będę miała zabawę, wyobrażając sobie twoją minę, gdy to przeczytasz, a potem, gdy do mnie zadzwonisz...

To się zaczęło na przyjęciu u Olivii Chasson, jakiś czas temu. Rozmawiałam wtedy z Rose Raddison, gdy nagle zdarzył mi się przykry wypadek...”

Ależ to wspaniałe, pomyślała Sabrina, czytając o stłuczonym bocianie. Takie proste wyjście! Dlaczego mnie to nie przyszło do głowy, gdy próbowałam coś wymyślić? Może wpadłabym na ten pomysł teraz po kilku tygodniach spędzonych z dwójką swarliwych dzieciaków...

„To już chyba wszystko, oprócz wizyty Rory'ego Carra, który przyszedł do galerii z cudowną figurką z Sèvres. Serce mi się krajało na samą myśl, że odmówię kupna, lecz było to już po twoim ostrzeżeniu. Nie przyszedł tutaj zresztą tak naprawdę handlować, usłyszał o bocianie i próbował coś ze mnie wyciągnąć. Kiedy zbyt uparcie węszył, odegrałam małą imitację oficera policji i rzekłam: «Nie może mi pan powiedzieć niczego, o czym bym nie wiedziała». To go nieco walnęło — wciąż nerwowo poprawiał elegancki krawat i wkrótce potem zwiął gdzie pieprz rośnie. Och, brzęczy dzwonek. Dokończę jutro.”

Lecz następnego dnia zginęła.

Aleksandra wkroczyła do biura i ujrzała, jak Sabrina pieczołowicie składa jakiś ręcznie pisany list.

— Pani Thirkell zdradziła twoją kryjówkę. Nie masz mi za złe, że zakłócam twoją samotność?

— Oczywiście, że nie. Usiądź proszę. I tak nie popchnęłam zbyt wiele pracy naprzód.

— Wciąż myślisz o Sabrinie.

— Myślę o Sabrinie i Stefanii.

— Śmieszne, nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak byliście sobie bliskie. — Zapadła cisza. — Może zrobię herbaty? — spytała Aleksandra.

— Och, jak to niegrzecznie z mojej strony. Ja to zrobię. Sabrina postawiła czajnik na maszynie w biurze Briana.



— Czy wciąż martwicie się zdrowiem ojca?

— Nie, jego stan znacznie się poprawił. W niedzielę wraca do domu.

— A ty razem z nim?

— Tak... tak sędzę. Prawdopodobnie. Siedziały w milczeniu.

— Przepraszam, skarbie — wybuchła w końcu Aleksandra. — Nie mogę się z tym oswoić. Czy jesteś duchem?

Sabrina mówiła mi, że nie jesteście do siebie tak bardzo podobne.

— Ale... Dlaczego tak twierdziła?

— Skąd mam wiedzieć? Myślałam, że tak mówi, bo to prawda. Nicholas dla żartu powiedział jej, że tak naprawdę jest Stefanią, bo zamieniłyście się rolami w Chinach czy coś takiego — a Sabrina zachowała się wspaniale: zrobiła minę bardzo serio i powiedziała Nicholasowi, że to on musi zdecydować, kim ona jest, bo tak ją zbił z tropu, że sama już nie wie. Wiesz, ja naprawdę ją kochałam, chociaż nie sędzę, żebym jej kiedykolwiek to wyznała. W każdym razie Nicholas zawyrokował, że jest Sabriną, a potem ja spytałam, czy naprawdę jesteście takie identyczne, a ona na to, że nie, że on tylko tak pomyślał zaprzątnięty swoimi ciastkami, dietą czy czymś takim.

Sabrina roześmiała się. ***Och, Stefano, to było dobre pociągnięcie. Kryłaś się z tym, prawda, żeby powiedzieć mi dopiero w Chicago. Wtedy śmiałybyśmy się razem.***

Lecz nie mogły śmiać się z tego razem. Sabrina zerwała się z miejsca.

— Zobaczę, co się dzieje z czajnikiem.

— Cholera — rzekła Aleksandra, idąc za nią do biura Briana. — Jestem skończoną idiotką. Proszę, daruj mi, nie chciałam cię denerwować. Po prostu nie mogę przywyknąć do tego podobieństwa. Jest wręcz niesamowite, ale ludzie pewnie mówią ci to w kółko. Powinam się zamknąć i zostawić cię w spokoju.

— Nie, nie rób tego. Wszystko w porządku.

Pogawędka o błahostkach pomogła jej się uspokoić. Przygotowała herbatę rękami, które nie drżały, i wyłożyła herbatniki na talerz. Podniosła tacę, żeby zanieść ją do biura.

— Serwetki — powiedziała do Aleksandry i wskazała głową kredens w rogu.

— O właśnie! Widzisz? Ona zrobiła dokładnie tak samo zaledwie tydzień temu. Rozumiesz, dlaczego nie mogę się pozbierać?

***Stefania zrobiła tak tydzień temu. Ale ja zrobiłam tak pierwszy raz w życiu.***

Sabrina naląła herbaty i rozsmarowała dżem na herbatniku grając na zwłokę. Myślała intensywnie. Spośród wszystkich ludzi, których знаła w Londynie, Aleksandra była najbardziej godna zaufania, najbliższej z nią związana — i najtwardsza. Niewiele rzeczy mogło ją wstrząsnąć. Lecz była dumna. Czy pozostanie nadal jej bliską przyjaciółką, dowiedziawszy się, że ją okpiono?

To nie ma znaczenia. Muszę o tym komuś powiedzieć, postanowiła w duchu. Minęło już tyle czasu, odkąd mogłam z kimś szczerze pomówić, muszę to zrobić. Będzie to próba generalna przed wyznaniem prawdy Garthowi. I wszystkim.

— Chciałabym opowiedzieć ci pewną historię — zaczęła wolno — ale przyrzeknij, że wysłuchasz jej do końca nie przerywając i nie wydasz oceny, zanim wszystkiego się nie dowiesz.

— Intrygujące. Pewnie chodzi o jakieś szelmstwo. Nie mogę się doczekać.

— Przyrzekasz?

— Chcesz, żebym utoczyła sobie krwi i podpisała cyrograf? Sabrina uśmiechnęła się.

— Nie. Nie mówiłabym ci o tym, gdybym nie miała do ciebie zaufania... — W tym momencie dzwonek nad wejściem zabrzączał. Ktoś otworzył drzwi. — Zaraz wracam. Myślałam, że wywiesiłam tabliczkę „Zamknięte”.

Na tle wystawy zobaczyła podświetloną od tyłu lekko pochyloną sylwetkę wysokiego mężczyzny z laską. Dostrzegła siwiejące włosy, ale nie mogła rozróżnić rysów jego twarzy.

— Pani Andersen? — zapytał.

— Tak. Ale galeria jest zamknięta. Gdyby mógł pan wrócić w przyszłym tygodniu...

— Jestem ze Scotland Yardu, pani Andersen. — Pokazał swoją legitymację. — Detektyw sierżant Thomas Phelps. Byłbym wdzięczny, gdyby poświęciła mi pani kilka minut na rozmowę o śmierci pani siostry.

— Ze Scotland Yardu? Przeszedł obok niej.

— Może moglibyśmy gdzieś usiąść?

Zmartwiła. Na osłep poprowadziła go do biura. Jakimś cudem odkryli prawdę. Wiedzieli, że ona jest Sabriną. A więc nie będzie mogła sama wyjawić tej historii, na własny sposób. Wszyscy się o tym dowiedzą w hałasie, jaki się rozpełta, od policji, reporterów, pismaków z kolumn towarzyskich... Dowie się również Garth, gdy zadzwonią... gdy

zadzwoń do niego, żeby go powiadomić o śmierci żony. W londyńskim towarzystwie wybuchnie skandal. W domu w Evanston zapanuje cierpienie, gniew i łzy...

— Mój Boże — krzyknęła Aleksandra na widok jej twarzy. — O co chodzi? — spojrzała na Phelps'a i wstała. — Jeśli uważasz, że powinnam wyjść, skarbie... to jest, Stefano...

— Nie, chciałabym, żebyś została, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— To ściśle poufne, pani Andersen — rzekł Phelps.

— W takim razie dla księżny Martovej będzie to również sprawa poufna — odparła zimno Sabrina. — Proszę ją, aby została.

Zawahał się i wzruszył ramionami. Pogłoska i tak rozejdzie się w mig po Londynie; jeszcze jedna obiegowa plotka w ekskluzywnym świątku nie ma znaczenia. Usiadł i otworzył notes.

— W trakcie naszego dochodzenia — rozpoczął — stwierdziliśmy, że nie wszyscy na jachcie pana Stuyvesanta byli tymi, za których się podawali.

Sabrina utkwiała w nim nieruchomy wzrok, czekając, aż swoim bezbarwnym, rozważnym głosem nazwie ją „lady Longworth”.

— Jak odkryliście...?

— Proszę, pani Andersen, pozwoli pani, że zacznę od początku. Pani Andersen. Nazwał ją panią Andersen. Obserwowała go

w napięciu. Kiedy zastawi na nią pułapkę?

— Pozwoli pani, że powiem, czego dowiedzieliśmy się do tej pory. Lady Longworth poleciała z Maxem Stuyvesantem i dwoma innymi parami do Nicei dwudziestego czwartego października. Stamtąd udali się do Monaco. Spędzili pewien czas w Monte Carlo, podczas gdy na jachcie pana Stuyvesanta, *Lafitte*, gromadzono zapasy na podróż. Około wpół do piątej po południu weszli na pokład jachtu i opuścili port. Gdy oddalili się mniej więcej o dwie mile — było wtedy około wpół do szóstej — na jachcie nastąpiła eksplozja i wybuchł pożar.

Sabrina skurczyła się, a Aleksandra podeszła i usiadła na poręczy jej fotela.

— Czy te szczegóły są konieczne? — zapytała.

— Nie podawałbym ich, gdybym był odmiennego zdania. — Phelps zajrzał do swoich notatek. — Gdy łódzie ratunkowe dotarły na miejsce wypadku, jacht tonął. Ratownicy skoncentrowali się na poszukiwaniu rozbitków lub ich ciał. Trzy z nich znaleziono

natychmiast, a jedną z tych osób była lady Longworth. Najmocniej panią przepraszam. Wiem, że to sprawia pani ból, lecz próbuję wytłumaczyć, dlaczego sam jacht został poddany oględzinom dopiero kilka dni temu.

— Czy to ma znaczenie? — spytała Sabrina, zastanawiając się, dlaczego on tak zwleka ze zdemaskowaniem jej oszustwa. Czy zdradziło je coś, co znaleźli na jachcie? Coś, co Stefania miała ze sobą?

Phelps czytał teraz z notatek.

— O pierwszej nad ranem były mąż lady Longworth, wicehrabia Longworth, zidentyfikował zwłoki, a w godzinę później, mniej więcej w porze obiadowej w Ameryce, jak mi wiadomo, wieść o wypadku dotarła do pani. W tym czasie jacht już całkowicie zatonął z kilkoma ciałami na pokładzie. Nurkowie zdołali go podnieść dopiero dwa dni temu. I wtedy odkryliśmy — a raczej odkryła to francuska policja — w kadłubie na burcie *Lafitte* niedaleko kabin, pod linią zanurzenia, dużą dziurę. Doniesiono nam, że...

— W pobliżu kabin? — Sabrina pochyliła się do przodu. — Kabiny są w znacznej odległości od zbiorników z paliwem. Więc to nie zbiorniki były przyczyną eksplozji?

Phelps poczuł zakłopotanie. Efekt, do którego stopniowo zmierzał, został mu sprzątnięty sprzed nosa.

— W tym właśnie rzecz. Wcześniej zakładaliśmy, że przyczyną wybuchu był zbiornik paliwa. Teraz wiemy, że to niemożliwe. Prawdę mówiąc uważamy...

— Uważacie, że to była bomba, podłożona w którejś z kabin. Phelps z powrotem oklapł, pokonany. Był młodszym wywiadowcą,

obarczonym mrówczą przygotowawczą pracą, której wyniki oceniali starsi stopniem. W jego zawodzie nieczęsto zdarzało się coś podniecającego i brak w nim było blasku. Jedyną radością, jaką z niego czerpał, było przyprawianie słuchaczy o zdumione westchnienia, gdy zaskakiwał ich nieoczekiwaną informacją. Teraz, właśnie gdy zamierzał ją zaserwować, ta blada piękność, za sprytna, żeby mogło to jej wyjść na zdrowie, pozbawiła go j e g o c h w i l i .

— Ale to znaczy, że ich zamordowano — ciągnęła Sabrina. Spojrzał na nią z niechętnym podziwem.

— Wysoce prawdopodobne, szanowna pani. Próbujemy więc wykryć, czy pan Stuyvesant lub jego goście mieli jakichś wrogów. Nie chcę bynajmniej sugerować, że lady Longworth miała osobistych nieprzyjaciół, lecz uzyskaliśmy informację od dwojga publicystów — Michela Bernarda i Jolie Fantome — że według ich ostatnich odkryć, pan Stuyvesant był właścicielem firmy o nazwie *Westbridge Imports*.

Twierdzą też, że lady Longworth od czasu do czasu kupowała... Pani Andersen!

Aleksandra złapała ją w ostatniej chwili i uchroniła przed upadkiem. W głowie Sabriny dźwięczało echo słów z listu Stefanii: „Odegrałam małą imitację oficera policji i rzekłam: „Nie może mi pan powiedzieć niczego, o czym bym nie wiedziała”.

Nie może mi pan powiedzieć niczego, o czym bym nie wiedziała.

Nie może mi pan powiedzieć niczego...

***Oni czyhali na mnie. Sądzi, że wiem o ich fałszerstwach.***

Phelps był pełen satysfakcji. Osiągnął swój efekt.

— Mam parę pytań, pani Andersen — odezwał się łagodnie. Sabrina podniosła głowę. Nie wiedzieli, kim ona jest. Byli na tropie

czegoś znacznie gorszego.

— W porządku.

Phelps był zaciekawiony. Coś innego zaprzęta jej myśli, pomyślał. Ona się boi. Czego? Czegoś, co ma związek z ***Westbridge!*** Cóż to mogło być? Przecież mieszka w Stanach i nie ma z nimi nic wspólnego.

— Po pierwsze — zaczął — czy lady Longworth rozmawiała z panią o Maxie Stuyvesancie?

— Tylko tyle, że wybiera się z nim w rejs.

— Co jeszcze mówiła na temat rejsu? Coś o innych gościach? Gdzie mieli płynąć?

— Nie. Nic.

— Nie wspomniała o wrogach, których może mieć Stuyvesant?

— Panie Phelps, moja siostra nigdy nie rozmawiała ze mną o interesach Maxa Stuyvesanta ani ludziach, wśród których się obracał. Phelps był zdumiony. Mógłby przysiąc, że ona mówi prawdę. Więc czego się obawiała? Podjął badanie zerknąwszy w notatki:

— Michel Bernard przyszedł do nas, gdy usłyszał o naszych podejrzeniach, że na jachcie podłożono bombę. Powiedział nam o nieporozumieniach, jakie powstały między Stuyvesantem a jego pracownikami z ***Westbridge***. Czy lady Longworth kiedykolwiek wspomniała w rozmowie o ***Westbridge Imports***, Rorym Carrze lub Iwanie Lazlu? O kupowaniu od nich czegoś? Nastąpiła pauza.

— Wymieniła parę razy nazwisko Carra wśród tuzina innych handlarzy i pośredników. Nie sądzę, żeby ostatnio coś od niego kupowała. Przynajmniej nic poważnego. Zapadła cisza. No, pomyślał Phelps, tym razem kłamie, chcąc coś ukryć. Niech mnie diabli, jeżeli wiem, co. Nie ma ani strzępka dowodu, że ten sklep był zamieszany w przemyt lub rozprowadzanie

falsyfikatów. Ale ona ma coś na wątrobie. Próbując odgadnąć powód tej tajemnej troski, wciąż zadawał pytania o ludzi, których Sabrina знаła, i tych, z którymi nigdy się nie zetknęła. Przeciągał bez końca przesłuchanie, na pozór bez widocznego celu. W końcu zamknął notes.

— Szukamy Carra i Lazła i niewątpliwie dowiemy się więcej, gdy ich znajdziemy. Czy nie przypomina się pani coś, co pani zdaniem mogłoby nam pomóc?

— Nie — odparła ze znużeniem Sabrina. Gdy znajdą Rory'ego Carra, on zapewne wrobi ją w tę sprawę, ale na razie nic nie mogła na to poradzić. W tej chwili udało się zachować dobrą renomę *Ambasadora* i utrzymać w tajemnicy jej własny sekret. Była jednak tak zmęczona, jakby właśnie ukończyła wyścig wyprzedzwszy za ledwie o pierwszą wszystkich zawodników. Za późno, żeby powiedzieć Aleksandrze prawdę. Jeśli Scotland Yard włączył się w sprawę, nie mogła czynić z niej współniczki połowicznych kłamstw, z jakich składało się jej zeznanie. Była bardziej samotna niż kiedykolwiek. Chce jechać do domu, pomyślała. Chce być z Garthem.

— Jak możemy się z panią skontaktować, pani Andersen? — spytał Phelps.

Podawała mu numer telefonu na Cadogan Square.

— A w Ameryce?

— Dam znać, kiedy będę wyjeżdżać. Mam zamiar zostać tu przez jakiś czas.

Aleksandra odprowadziła go do wyjścia. Wstrzymała się z pytaniami do chwili, gdy Sabrina zaciągnęła story w oknie wystawowym i zamknęła drzwi.

— Chcesz porozmawiać, skarbie? — zapytała, gdy zatrzymały taksówkę. Sabrina potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. Ale dziękuję ci. Może później...

Wysiadła sama na Cadogan Square, wciąż trzymając w ręku list Stefanii. Gdy otwierała drzwi i wchodziła do środka, jej pamięć wciąż od nowa powtarzała jedną jego linijkę.

Noce były najtrudniejsze do zniesienia — ciągnące się godziny ciszy, gdy Sabrina samotnie rozmyślała o Stefanii, boleśnie tęskniła za Garthem, a jej myśli szamotały się pomiędzy dwoma różnymi światami. Dni były łatwiejsze; wynajdowała sobie wciąż nowe zajęcia i myślała z minuty na minutę tylko o tym, co robi.

Każdego ranka odwiedzała Gordona, a potem jadła lunch z Laurą w *Grenadierze*, miejscowym pubie ukrytym wśród starych domów przy wąskiej uliczce za szpitalem. Następnie szła do *Ambasadora*, gdzie opracowywała projekty prac, które przyjęła Stefania, i studiowała katalogi aukcyjne. Nigdy nie zostawała tam długo; niepokój i niecierpliwość wyganiały ją na miasto, gdzie mogła być samotna wśród tłumów. Spacerowała samotnie po przedmieściach Londynu. W porze herbaty wracała do domu, do pani Thirkell i Gabrielle, i aż do kolacji słuchała

paplaniny przyjaciółki: londyńskich plotek i wieści o Brooksie. Przez cały tydzień Gabrielle nieświadomie uzupełniała na bieżąco wiedzę Sabriny o wszystkim, co zaszło podczas jej pobytu w Ameryce.

— Pewnie cię to nie interesuje, Stefano, i tak nie znasz tych ludzi... Ale jesteś tak podobna do Sabriny...

— Nic nie szkodzi. Oczywiście, że mnie to interesuje. To są przyjaciele twoi i Sabriny.

— Czuję się tak dziwnie rozmawiając z tobą. Wprost niesamowicie. To nie do wiary, twój wygląd... zupełnie jakby Sabrina nie umarła. W ciągu ostatnich kilku tygodni była jedyną osobą, która naprawdę się o mnie troszczyła. A teraz... Jesteś wszystkim, co mi zostało. Bgoistka ze mnie, bo przecież masz rodzinę, do której tęsknisz, i również straciłaś Sabrinę...

Gdy oczy Gabrielle wypełniały się łzami, wyglądała jak Penny, mała i niepokieszona. Sabrina zaprowadziła ją na kanapkę w salonie i objęła ramionami, a gdy Gabrielle oparła się o nią z ulgą, wiedziała, że tak właśnie tuliła ją Stefania.

Czy ona sama objęłaby Gaby tak serdecznie kilka miesięcy temu? Raczej nie, a przynajmniej nie przyszłoby jej to z taką łatwością. Krępowały ją własna powściągliwość w okazywaniu uczuć i nakazy „dobrego wychowania”, podobnie jak krępowały jej przyjaciół. Lecz oto teraz Sabrina Longworth tuliła w uścisku Gabrielle de Martel bez cienia zakłopotania lub skrępowania.

Zawdzięczam to Penny i Cliffowi, pomyślała Sabrina; teraz wydaje mi się to całkiem na miejscu. I co więcej, istotne w stosunkach między ludźmi. Zamknawszy oczy, mogła ich zobaczyć jak żywych — Penny, która cicho siedzi w kącie i rysuje nucąc pod nosem lub przycupnięta tuż przy niej zwierza się z jakichś ważnych spraw. Cliffa, wyśpiewującego słówka na klasówkę z ortografii lub żartującego z nią. Och, jak za nimi tęskniła! Brakowało jej ich ufności i miłości, nawet zamętu, jaki czynili w domu. Jej ramiona były puste, nawet gdy tuliły Gabrielle.

Po południu Sabrina zaszywała się w ciszy swojego pokoju na górze. Pani Thirkell rozpaliała ogień na kominku i zostawiała kawałek ciasta i srebrny termos z herbatą. Sabrina wkładała domową suknię

i siedząc przy małej lampce czytała i rozmyślała: o Stefanii, o Garcie, o dzieciach, o przyszłości, której nie umiała przewidzieć. Prawie codziennie z uderzeniem dziesiątej dzwonił Garth. W Evanston była o tej porze czwarta po południu. Właśnie wracał z uczelni, a Penny i Cliff obok niego wśród krzyków domagali się oddania słuchawki na kilka drogocennych minut.

— Kiedy wracasz do domu? — pytali co wieczór.

Tego dnia, gdy Gordon został wypisany ze szpitala, Sabrina wreszcie miała dla nich odpowiedź.

— Wyjeżdżamy w sobotę — powiedziała Garthowi. — Polecę z rodzicami do Waszyngtonu, a w poniedziałek do Chicago.

— W poniedziałek — przekazał wiadomość dzieciom, a Sabrina usłyszała ich wrzaski zachwytu.

Lecz zachwyt nie potrwa długo, pomyślała obserwując płomienie na kominku i ich długie, zniekształcone cienie na ścianach i suficie. Ponieważ wracała po to, by wyjawić im prawdę. Cały tydzień odgrywała Stefanię w świetle Sabriny i teraz nabrała przekonania, że jest nikim. Garth miał rację, nie mogła przerzucać się od jednego do drugiego, musiała być kimś określonym, musiała być Sabriną. Powie im więc prawdę, a oni znienawidzą ją. Gdy Garth zrozumie, że jego żona zginęła, gdy Penny i Cliff dowiedzą się, że ich matka nie żyje, że Sabrina oszukiwała ich przez długie tygodnie, odwrócą się wszyscy od niej. Nie będzie mogła im nawet powiedzieć, jak bardzo ich kocha. Nie będą chcieli jej miłości. Zostanie sama pod słońcem, bez nikogo, komu mogłaby ją ofiarować.

Pożegnawszy ich i odłożywszy słuchawkę, Sabrina siedziała w cichym pokoju, aż zrobiła się senna ze zmęczenia, które przytłumiło tęsknotę.

Zgasła światło i położyła się spać.

Masz zamiar wrócić? — spytała Aleksandra, wpadłszy do *Ambasadora* w piątek. Przyniosła ze sobą plik zdjęć i ułożyła je w wachlarz na stole. — Zostały zrobione w nowo otwartej restauracji, gdzie Sabrina i ja jadłyśmy pewnego wieczoru kolację. Później dołączył się do nas Brooks. I, nawiasem mówiąc, Antonio. Pamiętne rozpoczęcie naszego namiętnego romansu. Pomyślałam, że będziesz chciała mieć odbitki. Jak sądzisz, czy wrócisz tutaj?

— Tak, oczywiście — odparła mechanicznie Sabrina, oglądając zdjęcia w niemym zdumieniu. Jak Stefania tego dokonała? Przechylenie głowy, wyniosła postawa i chłodny uśmiech na pokaz — wszystko to



świadczyło, że przemieniła się w Sabrinę. A co ze mną, spytała w duchu Sabrina. W kogo ja się przemieniłam? — Tak, oczywiście, że wracam — powtórzyła z roztargnieniem. — To mój dom.

— Dom? A co z Ameryką?

— Chciałam powiedzieć, że tu jest dom Sabriny i jeszcze nie postanowiłam, co z nim zrobię. Więc wkrótce będę z powrotem. A twoje plany? Zastanę cię tutaj, czy będziesz już ugadywać się w najlepsze po portugalsku z przedsiębiorcami budowlanymi i ludźmi od karczowania dżungli?

Aleksandra rzuciła jej szybkie spojrzenie.

— To zabrzmiało zupełnie w stylu twojej siostry, skarbie. Wygląda na to, że mogę już wrócić do pogawędek. Ale nie po portugalsku. Wiele czasu zabrało mi nauczanie się poprawnego angielskiego i nie zamierzam uczyć się następnego języka dla nikogo. Potrafię zmusić Antonia, aby to zrozumiał.

— Może wynajdziesz jakąś legendę Indian Guarani, z której wynika morał, że najlepszy jest język ojczysty? Możesz ją cytować, ilekroć będzie się dopominał, żebyś nauczyła się portugalskiego.

— Fantastyczny pomysł... Ale co zrobię, jeśli takiej nie ma?

— Wymyśl ją. Będzie mu wstyd przyznać, że nigdy o niej nie słyszał. Aleksandra wybuchnęła śmiechem.

— Niech to diabli, skarbie, tak właśnie zrobię. Jesteś wspaniała, masz dowcip równie cięty jak Sabrina. Czy oni wypuszczają cię kiedykolwiek z Chicago? Przyjedź nas odwiedzić w naszej ociekającej luksusem chatynce na końcu świata albo w naszej posiadłości w Rio. Albo tutaj, gdy będziemy w Londynie. Przyjedziesz? Z mężem, naturalnie. Jeżeli będzie miał ochotę.

— Możliwe, że przyjadę.

— Wyprawimy na twoją cześć huczne przyjęcie. Twoją i twojej siostry. — Włożyła płaszcz i stanęła w drzwiach. — Była nieprzeciętną kobietą i to samo można powiedzieć o tobie. Myślę, że łatwo nam będzie się żyć.

— Ja też tak sądzę. Napiszesz mi, co się u ciebie dzieje? Będzie mi tęskno za to... będzie mi żal okazji do zaprzyjaźnienia się z tobą.

— Skarbie, ja nigdy nie piszę listów. Nawet gdy usiłuję, słowa ciasno utkane w mojej czaszce nigdy nie chcą jej opuścić. W końcu dostaję bólu głowy i rezygnuję. Za to jestem bezkonkurencyjna jeśli chodzi o telefon. Jaki jest twój numer w Evanston?

Sabrina zawahała się.

— Może będę tutaj. Powinnaś najpierw zadzwonić do *Ambasadora*, albo na Cadogan Square.

— Cokolwiek rozkażesz. Dbaj o siebie, Stefanio.

— Do widzenia, Aleksandro.

W piątek po południu powiedziała Nicholasowi i Sidneyowi Jonesowi, że jedzie na krótko do Ameryki.

— Odwiozę ojca do Waszyngtonu i spędzę kilka dni ze swoją rodziną, a potem wracam. Sklep będzie przez ten czas zamknięty. Powiedziałam Brianowi to samo, co teraz mówię wam: nie podejmę żadnej decyzji bez uzgodnienia z wami. Do tego czasu nic nie należy robić z *Ambasadorem* ani domem. Czy to jasne?

Co by powiedzieli, zastanowiła się, gdyby po powrocie odkryła im prawdę? Nie obeszłoby ich to zbytnio. Prawda w niczym nie zmieniłaby ich życia.

Wieczorem, w dużo łagodniejszy sposób, wyjawiała swoje zamiary Gabrielle i pani Thirkell.

— Wkrótce wracam, więc żadna z was nie powinna myśleć o wyprowadzeniu się. To jest twój dom, Gaby, jak długo będziesz chciała w nim mieszkać, i to samo dotyczy pani, pani Thirkell. Proszę, aby utrzymywała pani w nim porządek, dopóki nie wrócę. Dam pani znać, kiedy się mnie spodziewać.

Dla nich prawda będzie ważna, pomyślała. Obie polegają na mnie, każda w inny sposób.

Kogo jeszcze prawda obejdzie? Scotland Yard. Ponieważ ktoś wysadził w powietrze jacht Maxa, żeby ją zabić, i prawdopodobnie spróbuje znowu, gdy wieści, że osobą, która zginęła, była nie Sabrina Longworth, lecz jej siostra, staną się własnością publiczną.

Może mimo wszystko nie wrócę, pomyślała. W Chicago jest bezpieczniej.

W tydzień po pogrzebie Stefanii, w samolocie lecącym na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp przez jaskrawy słoneczny blask, Gordon siedział pomiędzy żoną i córką, snując plany na przyszłość. Wspólnie z Laurą mówili o sprzedaży domu, kupnie mniejszego, bez schodów i zatrudnieniu asystenta, który pomógłby Gordonowi w zbieraniu informacji i pisaniu książki o amerykańskiej polityce zagranicznej w Europie. Jak bardzo oni się postarali, uświadomiła sobie Sabrina. Mają o wiele mniej sił, potrzebują pomocy, układają dni tak, by toczyły się gładko. W tej chwili zdała sobie też sprawę, że nie może opowiedzieć swojej historii obojgu naraz. Będzie musiała najpierw wtajemniczyć matkę; Laura będzie wiedziała, jak powiadomić o tym Gordona.

Najpierw jednak czekała ją przeprawa z Garthem. Miała zostać u rodziców na sobotę i niedzielę, a w poniedziałek polecieć do Chicago. Samolot wylądaje tam w południe, gdy Penny i Cliff będą w szkole. Nie mogłaby znieść ich widoku ani rozmawiać z Garthem w ich obecności. Tak więc w południe, gdy będą w bezpiecznej odległości, Garth wyjdzie na jej spotkanie i pojedą — dokąd? Byle nie do domu. Nie do tego cudownego, zaniedbanego domu, który był najlepszym schronieniem. Do jakiejś restauracji. Anonimowego miejsca, gdzie Garth więcej nie przyjdzie, by nie ścigało go wspomnienie tej okropnej chwili.

Tego samego dnia po południu wróci do Waszyngtonu, żeby powiedzieć prawdę rodzicom. Potem wróci do Londynu. I wtedy naprawdę wszystko się skończy. Nigdy więcej nie zobaczy Penny i Cliffa. Nigdy więcej nie ujrzy Gartha. Nigdy więcej Dolores i Nata, Vivian, Madeline Kane, Lindy i Martina, Gartha, Gartha, Gartha...

— Stefanio, co się stało?

Otarła oczy i pochyliwszy się, ucałowała ojca.

— Po prostu o czymś myślałam. Gordon spojrzał na nią badawczo.

— Jesteś pewna, że nic ci nie dolega?

— Czuję się świetnie — odparła Sabrina uspokajająco. — Nie martw się o mnie. Będę dalej rozmyślać już nie na mokro.

I pomyśleć, że do tej pory źródło nie wyschło. Jak jedna osoba może wylać tyle łez? A po wyznaniu prawdy poleją się następne. I wybuchnie gniew. Ale gdy wszystko wyjdzie na jaw, będzie czas, żeby się pozbierać. Zostawić wszystko za sobą i w Londynie z pozostałych resztek skleić nowe życie.

**Jeżeli będziesz mogła.** Otworzyła szeroko oczy na tę myśl. Co daje ci pewność, że możesz po prostu pozbierać dawne życie do kupy? To życie toczyło się dalej po twoim wyjeździe. Czy twoi londyńscy przyjaciele będą skakać z radości, gdy dowiedzą się, że obie ze Stefanią wystawiłyście ich do wiatru, a nawet posunęłaś się do tego, by płakali jak bobry na pogrzebie niewłaściwej osoby? Może odwrócą się od ciebie i **Ambasadora**, bo nie lubią padać ofiarą czyichś dowcipów? Szczególnie na oczach wszystkich.

Aleksandra tego nie robi.

Aleksandra prawie cały czas będzie spędzać w Ameryce Południowej.

Gaby również tak nie postąpi.

Gaby wkrótce znów zamieszka z Brooksem albo znajdzie sobie kogoś innego. Ile czasu będzie miała dla objętej bojkotem towarzyskim Sabriny Longworth?

Olivia. Olivia rzecz jasna pierwsza okaże potępienie.

A jakaż to będzie radość dla Scotland Yardu, gdy odkryją, że zataiłaś tożsamość osoby zabitej na jachcie niedaleko Monte Carlo. Międzynarodowa afera. Monaco, Francja, Anglia.

Nikt nie będzie chciał mieć z tobą nic wspólnego.

***Nie możesz mieszkać w Evanston i nie możesz mieszkać w Londynie.***

Wobec tego będę musiała zamieszkać gdzie indziej. Zacząć od początku w zupełnie nowym miejscu. Nowy Jork. Mogłabym otworzyć sklep w Nowym Jorku.

A kimże ty będziesz?

Nie Stefanią Andersen. Powiesz wszystkim, że Stefania nie żyje. Sabriną Longworth.

Tak. Sabriną Longworth, która zaczyna nowe życie w Nowym Jorku i otwiera sklep o nazwie — jak go nazwiesz?

***Bez picu.*** Tak go nazwę. Bardzo śmieszne. Masz jakieś inne pomysły? Nie.

Samolot leciał śladem słońca nad oceanem. Stewardzi sprzątnęli tacki z lunchem, przynieśli poduszki, nalali drinki. Laura czytała. Gordon zamknął oczy i spał. Sabriną przesiadła się na pusty fotel i oparła głowę o chłodne okno, patrząc nieruchomo na warstwy chmur i niebo.

***Stefanio, tęsknię za tobą.***

***Garth, moje ukochanie...***

***Masz jakieś inne pomysły?***

***Nie.***

## Rozdział drugi

Słońce odbijało się w Potomaku, gdy samolot Sabriny przechylił się na skrzydło i zaczął nabierać wysokości kierując się na Chicago. Był początek listopada. Na jednym brzegu rzeki widniało skupisko kamiennych i marmurowych obelisków Waszyngtonu, na drugim płonęły żółcią, rdzą i czerwienią wirginijskie lasy.

Pochwyciła w przelocie widok Georgetown, zanim samolot zakończył obrót. Laura i Gordon siedzą zapewne w gabinecie gotowi do lunchu. Wieczorem będę z powrotem, pomyślała, i roztrzaskam ich spokój swoją opowieścią. Garth jest pierwszy w kolejności.

*Muszę ci coś powiedzieć. Moglibyśmy pójść gdzieś na kawę?*

*Nie, nie do domu. Do jakiejś restauracji.*

*Przez te ostatnie kilka tygodni, od września, nie byłam tym, kim myślisz...*

*Przez te ostatnie tygodnie, gdy sądziłeś, że jestem...*

*Muszę ci coś powiedzieć... w restauracji... Widzisz, we wrześniu podczas wycieczki w Chinach Stefania i ja wymyśliłyśmy sobie, że dla kawału...*

*Nie, to nie było przejęzyczenie. Miałam na myśli Stefanię i siebie. To właśnie chcę ci powiedzieć. Gdy byliśmy w Chinach, Stefania i ja postanowiłyśmy na tydzień zamienić się miejscami.*

Daleko w dole wysuwała się spoza horyzontu czarna płatanina hut żelaza w stanie Indiana. Za nimi pojawił się zaokrąglony brzeg jeziora Michigan. *Mam ci coś do powiedzenia — czy możemy iść do jakiejś restauracji?*

Gdy samolot wylądował, przeszła wraz z resztą pasażerów do hali I zatrzymała się, wypatrując w tłumie Gartha. — Mama! Tu jesteśmy!

— Mamuś! — Penny zarzuciła jej ręce na szyję. — Tak się cieszę, że już wróciłaś, tak się strasznie cieszę, nie cierpię, gdy ciebie nie ma!

Cliff wspiął się na palce i złożył soczysty całus na jej policzku. Sabriną, osłupiała, spojrzała ponad ich głowami na Gartha.

— Dlaczego nie jesteście w szkole? Cliff uśmiechnął się szeroko.

— Tata powiedział, że możemy nie iść do szkoły i wyjść po ciebie. Nie cieszysz się, że nas widzisz?

Sabriną powoli skinęła głową. Czowała mocny uścisk rąk Penny i ciepły pocałunek Cliffa na policzku. Och, tak, bardzo ją ucieszył ich widok! Ale nie tak to sobie zaplanowała. Nie przyszło jej do głowy, że Garth ich weźmie z sobą. To najlepszy dowód, pomyślała, ile wiem o roli matki.

— Odebrało mi mowę z zachwytu — odparła całując ich. — I zaskoczenia.

— Zróbcie no trochę miejsca — upomniał dzieci Garth. Wziął ją w objęcia i tulił, aż Sabriną poczuła ucisk jego mięśni na swoim ciele. — Witaj — powiedział cicho. — Witaj w domu.

Spojrzała na jego mocne rysy i blask w ciemnych oczach. *Och, tak za tobą tęskniłam.* Oparła głowę o jego pierś.

Z twarzą wtuloną w jego koszulę słyszała bicie jego serca i czuła dotyk ust na włosach. W tej chwili pojęła z niezachwianą pewnością, że nigdy nie będzie w stanie wyznać mu prawdy.

Nie może mu powiedzieć, że dzięki podstępnej sztuczce kochał i otaczał względami kobietę, która była oszustką. Nie może wyrzucić z siebie wszystkich kłamstw w obliczu takiej łagodności i czułości.

*Więc zostań. Żyj z nim i jego rodziną — twoją rodziną. Zostań. Tu jest twój dom.*

Lecz ani własne myśli, ani namiętne pragnienie, żeby tak właśnie zrobić, nie liczyły się. Nie tu było jej miejsce; jej dom i życie należały do innego świata. Nawet po pogrzebie Stefanii, gdy ujrzała z całą ostrością swój londyński świat wraz z jego rozplotkowaniem, niskimi zazdrościami i płytkimi przyjaźniami — wiedziała, że jest to świat, który zna i w którym porusza się pewnie. Do tego dochodził *Ambasador* i dom na Cadogan Square — stworzone przez nią, utrzymane jej wysiłkami i dzięki jej własnym kontaktom towarzyskim i zawodowym. Tam właśnie przynależała.

Stojąc tak w objęciach Gartha, uświadomiła sobie jeszcze jeden powód, który uniemożliwiał pozostanie — najważniejszy ze wszystkich. Nie mogą budować wspólnego życia we dwoje na oszustwie. On był

wobec niej uczciwy i otwarty, z ufnością odsłaniał przed nią ukryte przed innymi zakamarki duszy. Ona w zamian kłamała i trzymała swoje myśli w tajemnicy. Zostać tutaj, to brnąć w dalsze kłamstwa. *A tego nie mogę zrobić — żadnemu z nas.*

Będzie musiała **znaleźć** jakąś wymówkę i wyjechać zgodnie z planem, natychmiast, zanim ją miłość znów wciągnie w to życie.

— Muszę ci coś powiedzieć, ale nie przy dzieciach...

— Ja też mam ci masę rzeczy do powiedzenia, ale nie przy dzieciach. Może spakujemy im manatki i wyprawimy je gdzieś? — Szli przez terminal, a on obejmował ją ramieniem. Rzucił okiem na napisy nad wejściami. — Denver. Seattle. Fairbanks... Może by tak do Fairbanks? Mogą penetrować Alaskę, a my w tym czasie będziemy penetrować się nawzajem.

— Garth, mówię poważnie.

— Ja również. Potrzebujemy samotności. Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać na ten weekend do Wisconsin, tylko we dwoje, znaleźć jakiś wigwam, łowić ryby, siedzieć razem przy ogniu. Niezły pomysł?

Potrząsnęła głową.

— Przemyśl to. Mamy cały tydzień na podjęcie decyzji.

Penny i Cliff paplając bez wytchnienia wgramolili się na tylne siedzenie. W czasie jazdy Penny zadała jakieś pytanie na temat Londynu i Cliff uciszył ją ostro. Sabrina odwróciła się.

— Wszystko w porządku. Możecie pytać o Londyn. I wszystko inne.

— Tata powiedział nam o pogrzebie — powiedziała Penny. — To musiało wyglądać wspaniale.

— Tak było rzeczywiście.

— Wszyscy ci szlachetni ludzie.

— Ludzie ze szlachty, Penny. Żeby być szlachetnym, trzeba mieć więcej niż tytuł.

Garth wybuchnął śmiechem i odprężył się. Przestał się martwić, że takie pytania ją zdenerwują. Zaczął rozmawiać z dziećmi o wikarym, ludziach, którzy przyszli na Cadogan Square, o ataku serca Gordona i przyjeździe karetki, o pani Thirkell, Aleksandrze i Indianach Guarani, o *Ambasadorze*. Sabrina słuchała tego wszystkiego z niedowierzaniem.

Gdy dwa miesiące temu wróciła z Chin, Garth chciał odbyć z nią poważną rozmowę, a ona wykręcała się, jak mogła. Teraz, po przyjeździe z Londynu, gdy ona chciała odbyć poważną rozmowę, nikt nie dawał jej dojść do głosu.

Ale niedługo będą w domu. Nie w domu, poprawiła się szybko.

W domu rodziny Andersenów. Penny i Cliff zapewne zaraz się ulotnią, a ona powie Garthowi, że wyjeżdża. Nawet nie usiądzie ani nie zdejmie płaszcza; powie mu natychmiast, weźmie taksówkę na lotnisko i zdąży dotrzeć do Waszyngtonu, zanim rodzice położą się spać.

— Jesteś bardzo milcząca — zauważył Garth parkując samochód. Sabriną patrzyła na dom.

— Wygląda teraz zupełnie inaczej. Opadły wszystkie liście.

— Którejś nocy mieliśmy efektowną burzę, podczas której oba dzieciaki schroniły się w podskokach w naszej sypialni — pod pozorem, że chcą oglądać razem ze mną błyskawice — i wichura ogołociła wtedy drzewa z liści. Jesień zakończyła się mocnym akcentem.

**Dom nigdy przedtem nie był taki obnażony. I bezbronny.** Garth wniósł do środka jej walizkę i nastawił kawę. Penny i Cliff wzięli sobie po parę ciastek ze słoika.

— Wpół do szóstej, mamó? — spytał Cliff. **Już mnie tu nie będzie.**

— W porządku. Uściskacie mnie szybciotko? Objęli ją ciasno.

— To okropne, gdy ciebie nie ma — rzekła Penny. — Nie cierpię tego. Dom jest wtedy taki pusty. — Spojrzała szybko na Gartha. — Przepraszam, tato. Nie chciałam powiedzieć...

Garth zaśmiał się i pocałował ją.

— Wiem, co chciałaś powiedzieć, moje złotko. Ja miałem to samo wrażenie. Wybierasz się gdzieś?

— Powiedziałam Barbarze, że wpadnę, gdy wrócimy z lotniska.

— No to leć. Ty też masz być z powrotem o wpół do szóstej.

Po krótkiej chwili Sabriną i Garth znaleźli się sami w pokoju śniadaniowym.

Sabriną na stojąco zaczęła:

— Garth, muszę odejść. Chciałam powiedzieć ci to na lotnisku i w ogóle nie przyjeżdżać do domu, ale nie mogłam przy Penny i Cliffie. Wracam do Londynu, żeby w samotności odkryć, czego naprawdę chcę. Nie mogę tutaj zostać...

— Czekaj — Garth nie wierząc własnym uszom gwałtownie obrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, i wyciągnął rękę — barierę, która miała zatrzymać jej głos. — Zobaczą, czy kawa jest gotowa. Powinnaś usiąść.

Sabriną drżała od stóp do głów. Odsunęła od stołu krzesło i opadła na nie, zaciskając kurczowo ręce i wpatrując się w nagie, zimowe podwórko za oknem. Puste — tak jak ona. Garth wrócił z dzbankiem kawy.

— Nie uważam, żeby to był dobry pomysł — powiedział ostrożnie.



Jego ruchy były sztywne; starał się panować nad sobą. Usiadł przy niej i zamknął jej zimne dłonie w swoich, ogrzewając je. — Nie możesz uciec od samej siebie. Nie możesz prowadzić życia Sabriny. Twój wyjazd niczego nie rozwiąże. Penny, Cliff i ja wciąż będziemy tu czekać, jak niedokończona historia. Będz i e s z m i a ł a d w a życia urwane w połowie zamiast jednego. W jego słowa wdarł się dzwonek u drzwi.

— Do diabła, nie ma pięciu minut spokoju... Lepiej sprawdzę, kto to. Nie odchodź, zaraz wracam. Nie odejdziesz? Zaczekasz?

— Tak.

Sama w pokoju, Sabriną rozejrzała się po meblach koloru miodu. Dom. Niedokończona historia. Urwane życie. Nie spierała się z nim, bo miał rację, ale znał tylko część tej historii, a ona nie mogła opowiedzieć mu reszty. Musi po prostu wstać i wyjść. Ból, który mu tym zada, będzie nieskończenie mniejszy niż ból prawdy.

Usłyszała słabo głos Dolores na frontowym ganku. Nie pozwól jej wejść, błagała w duchu Gartha, nie zniósę jej obecności. Na kredensie leżał plik listów zaadresowanych do Stefanii. Zaczęła mechanicznie rozdierać koperty. Kartka z kondolencjami od Vivian, druga od Lindy i Martina. Krótki liścik od Juanity. Kartki od ludzi, o których nigdy nie słyszała. Różowa koperta bez nadawcy, w niej krótki list napisany na maszynie.

„Jak to się dzieje, że w historiach o studentkach, które pieprzą się z wykładowcami za stopnie, omija się Gartha Andersena — najbardziej pieprzonego z nich wszystkich? Regularny geniusz w pieprzeniu studentek — to właśnie nasz profesor Garth!”

Przeczytała to dwukrotnie — i jeszcze raz, zmrożona zimną falą furii. Jak ktoś śmiał...! Te brudy, te plugawe kłamstwa... Jak ktokolwiek śmiał oskarżyć Gartha o coś takiego! Kto miał powód, żeby to robić — próbować zniszczyć mężczyznę, który miał więcej honoru niż wszyscy inni znani jej ludzie?

Nagle wszystko poza tym stało się nieważne. Ostatni tydzień odpłynął w zapomnienie. Ten list! Jaką szkodę mógł wyrządzić Garthowi! Nagły wybuch energii wytrącił ją z rozpacz, w której lonęła od śmierci Stefanii. Ktoś anonimowy próbował złośliwie zniszczyć reputację Gartha... I ktokolwiek to był, z pewnością odniesie sukces, jeśli nie będą z tym walczyć. Muszą wykryć, kto...

Czekaj, czekaj, hamowała samą siebie. A co z wyjazdem? Powiedziałam Garthowi, że wyjeżdżam.

Nie w tej chwili. Tak, oczywiście, naturalnie, muszę wyjechać, nic się nie zmieniło. Ale nie natychmiast, nie w tej chwili. Przedtem muszę

coś zrobić. Winna to jestem Stefanii i samemu Garthowi — za to, że go oszukałam. Nic się nie zmieniło — po prostu odkładałam wyjazd do czasu, gdy wyjaśnię tę sprawę. Bo to całkiem jasne, że...

— Powiedziałem Dolores, że jutro do niej zadzwonisz — oznajmił Garth od drzwi. — Przepraszam, że trwało to tak długo. Czuję się, jakbym wyszedł z oka cyklonu. Nie nalałaś kawy. — Usiadł i napełnił kubki. — A teraz, może moglibyśmy... Mój Boże, Stefanio, co się stało?

Podawała mu bez słowa list. Przejrzał go pospiesznie, a jego rysy stwardniały, gdy czytał go po raz drugi.

— Nie wiedziałem, że zostanę w to wplątany. — Nagle coś go uderzyło. — A może ty... Ty dostałaś już wcześniej taki przekłety liścik, prawda? To o to ci chodziło, gdy pokłóciliśmy się przed twoim wyjazdem do Chin? Dlaczego mi go nie pokazałaś? Byłaś wściekła, a ja nie wiedziałem, o co ci, u diabła, chodzi...

— Nie chcę rozmawiać o przeszłości — wpadła mu niecierpliwie w słowo Sabrina. — Musimy pomyśleć, co teraz zrobić, żeby powstrzymać tego kogoś, zanim sytuacja się pogorszy. Jeśli kopie tego listu zostały wysłane do członków rady nadzorczej albo władz uniwersyteckich i oni uwierzą w te insynuacje albo choćby przestraszą się skandalu, może ci to zaszkodzić. Czy nie uważasz, że to może wpłynąć na twoją nominację na stanowisko dyrektora Instytutu Genetyki?

— Tak. Ale poczekaj chwilę. — Wypadki toczyły się z szybkością, która oszołomiła Gartha. Przed kilkoma minutami zostawił tu żalostną, skuloną istotę, gotową do ucieczki, a wróciwszy zastał tryskającą energią wojowniczkę, która stawała w jego obronie i precyzyjnie przewidywała przebieg dalszej kampanii. Pół roku temu, bardziej zaabsorbowana sobą i mniej zainteresowana życiem uczelni, nie wykazałaby takiego refleksu. Poruszył go widok jarzących się gniewem oczu, mocna linia długiej szyi i wzniesiona głowa: była gotowa do boju. Za niego.

— Nie wierzysz w to, co napisano w tym liście — powiedział.

— A coś ty myślał? Garth, chyba nie mówisz poważnie. Nikt, kto cię zna, nie uwierzyłby w te bzdury. Ktoś działa na twoją szkodę i musimy się dowiedzieć, kto to jest.

Spojrzał na nią uważnie. We wrześnie uwierzyła w treść donosu. Teraz nie.

— Trochę słabo dzisiaj kontaktuję — zaryzykował. — Zdaje się, że mówiłaś o wyjeździe i chęci powrotu do Londynu.

— Nie kontaktujesz słabo i dobrze o tym wiesz. Nie droczyć się ze mną.

— A gdybym poprosił cię o to samo?

— Ja się nie drocę! Co się z tobą dzieje? Nie widzisz, że sytuacja się zmieniła? Jeżeli inni też dostaną takie listy, a mnie tu nie będzie, dojdą do wniosku, że porzuciłam cię, bo treść donosów jest zgodna z prawdą. Nikt nie uwierzy, że mogłam mieć inne powody. Jeżeli teraz wyjadę, zostaniesz potępiony, jakkolwiek byś się tłumaczył.

Więc dostrzegła również ten aspekt sytuacji, pomyślał Garth. Nic nie uszło jej uwagi. Podeszedł do niej i ujął jej twarz w dłonie. — Pomyślałem o tym samym, gdy zobaczyłem ten list. Dziękuję.

— Ale nic nie powiedziałaś.

— Na przykład?

— Żebym została, bo mój wyjazd może bardzo ci zaszkodzić.

— Twój wyjazd! Moja najdroższa, gdybyś wyjechała, straty byłyby daleko większe niż jeden skandal na kampusie. To by rozbiło ten dom i rodzinę i złamało trzy serca, umysły i dusze...

— Nie, proszę, nie...

Scałował łyzy z jej oczu. Odsunął się jednak czując, że jest cała spięta, jakby bała się okazać pożądanie. Mieli teraz czas. Skoro zdecydowała się zostać, mieli czas na wszystko. Jej smutek i rozpacz w Londynie były okropne, a uczucie osamotnienia po śmierci siostry dużo silniejsze, niż sobie wyobrażał. Wiedział, że narzucając się jej, zakłóci proces rekonwalescencji, w którym mógł dopomóc, lecz który przebiegał niezależnie od niego.

Mimo wszystko chciał się jeszcze raz upewnić. Ujął jej dłonie.

— Zostajesz? Nie chcę zastanawiać się każdego ranka, czy zastanę cię tutaj pod koniec dnia.

— Pomogę ci wybrnąć z tej afery — przyrzekła.

— Nie o to pytałem.

— Garth, czy nie możemy posuwać się naprzód po kroku? Tyle się wydarzyło w tak krótkim czasie... Próbuję robić to, co jest słuszne.

— Nie możesz sama podejmować takiej decyzji. To dotyczy nas wszystkich.

Schyliła głowę. Garth zaczął zdanie i nagle zamilkł. Jej lewa dłoń.

— Nie nosisz obrączki. Przejął ją mróz. — Nie.

— Gdzież ona?

Zawahała się pomiędzy prawdą i kłamstwem.

— W Londynie.

— Do diabła, co ty sobie wyobrażasz? Nagle beze mnie dochodzisz do wniosku, że nie chcesz już mieć rodziny, więc zdejmujesz obrączkę, że to niby oficjalne? Po czym wystarczy krótko się pożegnać?

Ulga. I jednocześnie poczucie winy. Co tam jedno kłamstwo więcej, pomyślała. Wszystko lepsze niż prawda: wyznanie, że oddała obrączkę Stefanii.

— Myślałam, że to będzie...

— Symbol — dokończył za nią. — I jest istotnie. Tak się składa, że ja cenię symbole. Gdzie ona teraz jest?

— Sądzę, że... chyba w domu na Cadogan Square.

— W takim razie pani Thirkell może ją odesłać.

— Jeśli ją znajdzie.

— Napisz do niej.

— Dobrze.

— A jeżeli nie znajdzie, kupimy inną. *Nie zostaną tu dość długo.*

— I proszę cię, Stefanio... Stefanio, słuchasz mnie? — Kiwnęła głową. — Proszę cię, pozwól mi pomóc sobie, skoro ty pomagasz mnie. Do diabła, jesteśmy przecież związani ze sobą i powinniśmy się wspierać. Zgoda?

— Zgoda — rzekła. Z całego serca pragnęła, żeby tak być mogło. Wzięła list. — Co to znaczy „w tych historiach o studentkach”...?

— Pokażę ci. — Wyszedł na chwilę z pokoju i wrócił z gazetą uniwersytecką. — *Standard* z ostatniej środy. Nasi studenci redaktorzy przeszli samych siebie.

Sabriną przeczytała tytuł: „Seks za stopnie”, a pod nim mniejszymi literami „Lub odwrotnie”.

„Nie zdołaliśmy ustalić, kto pierwszy występuje z propozycją” — czytała — „lecz trzech wykładowców i spora grupa niebrzydkich studentek zostali wezwani do biura zastępcy rektora, Lloyda Straussa, gdzie wyszło na jaw, że podejrzewa się ich o wzajemne usługi, przy czym z jednej strony zapłatą były zaliczenia — jedyna rzecz w okolicy, która jest cenniejsza od pieniędzy. Ten brzydki proceder ciągnie się przypuszczalnie od zeszłego letniego semestru i może mieć wpływ na średnią ocen, a nawet w pewnych wypadkach na zaliczenie roku. Nie wspominając o akademickiej przeszłości wykładowców.”

— Ton przypomina kolumnę plotek towarzyskich — wymamrotał Garth. — Ktoś powinien pouczyć te dzieciaki, że dziennikarstwo to poważna sprawa. Igrają z ludzkim losem.

— Czyim konkretnie? — spytała Sabriną.

— Melvina Blake'a, niejakiego Millburna i Marty'ego Talvii...

— Marty? To znaczy, że te plotki były...? Nie wierzę w to. Och, biedna Linda.

— ...a teraz wygląda na to, że dołączył do nich Garth Andersen.

- Ale to absurdalne. Ty i Marty nigdy w życiu nie...
- I Blake i Millburn również?
- Nie znam ich. Przypuszczam, że jeśli w tej plotce jest choć ziarno prawdy...
- Problem polega na tym, kochanie, że jeśli uznasz jeden wypadek za możliwy, dopuszczasz tym samym możliwość pozostałych.
- Ale wiem, Garth, że ty nie zrobiłbyś tego, ani Marty... Czy Marty byłby w stanie coś takiego zrobić?
- Myślę, że on i Linda przechodzili kilka miesięcy temu ciężki okres. Nie zwierzał mi się, ale moim zdaniem spróbował raz czy dwa i wycofał się.
- Gdy byłeś w Kalifornii, pytałam cię kiedyś przez telefon...
- Miał romanse z innymi kobietami. Opowiada o nich, gdy stają się dawno nieaktualne, z zawstydzaniem, że zachowuje się jak dziecko, które podkrada cukierki, chociaż nie jest głodne. Ale sądzę, że raczej trzymał się z dala od studentek.
- Co powiedział Lloydowi Straussowi?
- Wszyscy zaprzeczyli zarzutom.
- A co potem?
- Tyle tylko wiem. Lloyd zapewne prowadzi jakieś dochodzenie, nie rozmawiałem z nim ostatnio. Teraz to zrobić. Dolać ci kawy?
- Nie. Powinnam zająć się obiadem. — Jak naturalnie jej się to powiedziało, z jaką łatwością wróciła do swojego tutejszego życia! Spojrzała na Gartha siedzącego blisko niej w ciepłym pokoju. Jak łatwo było go kochać! Przychwycił jej spojrzenie.
- A ja powiem ci, że cię kocham — rzekł. — A co do obiadu, zjemy go na mieście. Spizarnia jest ogołocona z zapasów. Nie chcieliśmy radzić sobie zbyt dobrze podczas twojej nieobecności. Ale jest wino. Sabriną patrzyła, jak otwiera butelkę i nalewa do kieliszków.
- Myślę, że powinniśmy narobić trochę zamieszania na arenie towarzyskiej — zastanawiała się na głos — żeby być bardziej na widoku. Oto Garth i Stefania Andersen w pełnym świetle, nie mający niczego do ukrycia... Podał jej kieliszek. — Kogo chcesz w ten sposób przekonać?
- Każdego, kto rozmyśla nad naszym małżeństwem i zastanawia się, co robisz w wolnych chwilach. Roześmiał się.
- Jeżeli sądzisz, że to pomoże... Ja poszukałbym raczej autora listu.

— O, tak — odparła spokojnie. — Tym się również zajmiemy. Zrobimy listę studentów, którzy oblali u ciebie w zeszłym roku. A także tych, którzy otrzymali niższe stopnie, niż się spodziewali. I tych, na których wrzeszczałeś. Z czego się śmiejesz?

— Ta lista będzie długa.

— Jak długa? Powiedz, jakie nazwiska przychodzą ci na myśl, a ja zacznę pisać.

Wróciwszy w pół godziny później, Penny i Cliff zastali rodziców przy stole śniadaniowym, pogrążonych w rozmowie. Ojciec siedział rozparty wygodnie na krześle, z wyciągniętymi nogami, a na jego twarzy widniał spokojny uśmiech. Mama coś pisała z błyszczącym wzrokiem. Penny odetchnęła i dotknęła ramienia Cliffa.

— W porządku — odparł i oboje wiedzieli, co to znaczyło: ich rodzina znów była w całości.

Sabriną rozpakowawszy wieczorem walizki odkryła, że pani Thirkell włożyła do niej ubrania lady Longworth. Jej szafa w Evanston zawierała teraz mieszankę Stefanii i Sabriny. Jak nasze życia, pomyślała. Ciekawe, jak długo jeszcze będę je odróżniać. Odłożywszy wszystkie myśli na potem, wsunęła się zmęczona do znajomego łóżka z kolumnkami. Co za dzień! Odkąd wyjechała rano z Waszyngtonu, wszystko zmieniało się niby w kalejdoskopie.

Dostrzegła w drzwiach sylwetkę Gartha, zanim zniknął w łazience. Było w tym coś niezwykłego. Usiłowała to sprecyzować. Po chwili zrozumiała: to ich pierwsza wspólna noc pod rodzinnym dachem od tej nocy w Nowym Jorku, gdy zdradziła się ze swoją miłością. Od tamtej pory rozdzielał ich najpierw jej smutek, potem ocean. Teraz zgodziła się tu zostać. Jako jego żona. I nie mogła udawać, że ta noc w Nowym Jorku w ogóle się nie zdarzyła.

Leżąc nieruchomo w oczekiwaniu na Gartha, wspominała godziny wypełnione tęsknotą, swoje londyńskie noce. Nagle Garth pojawił się cicho przy niej i przygarnął ją do siebie.

— Moje kochanie — zamruczał. — Gdy cię nie było, to łóżko z każdą nocą robiło się coraz szersze.

Roześmiała się rozchylając usta pod jego wargami.

— Moje tak samo. Gdybyśmy poczekali jeszcze trochę, może spotkałyby się pośrodku Atlantyku.

— Nie. Czekaliśmy wystarczająco długo. Za długo.

Jego ręce przesunęły się po jej szczupłym ciele, jej dłonie odpowiedziały pieszczotą. Ich usta tuż przy sobie szeptały, śmiały się

i wydawały ciche nieartykułowane odgłosy. Gdy razem osiągnęli szczyt, odczuli całą gamę uczuć: radość i zachwyt, głębię rozkoszy dawanej i otrzymywanej, poczucie przynależności i powrotu do domu. Tak wiele mieli sobie do zaofiarowania! Garth podziwiał piękno jej ciała.

— Napęlniasz ten pokój światłem — powiedział.

— I życiem, i miłością — rzekła miękko Sabriną. — Pamiętam taki wiersz: „Miłość sprawia, że mały pokoiik staje się całym światem”. To właśnie odkryłam przy tobie.

— Odkryliśmy to oboje — sprostował. Leżeli spokojnie w świetle lampy. Garth obejmował ją jedną ręką. Położyła głowę na jego ramieniu, zatopiwszy się w rozkoszy ostatniej godziny i wygodnym ciepłe jego ciała. Znowu zdawali się stanowić jedną całość.

Wpatrywała się w odbicie księżyca w lustrze, wyraźny biały półksiężyc uwięziony w czarnych gałęziach dębu. Tak jak ja jestem uwięziona w miłości do tego człowieka i jego miłości do mnie. Jak to było w tej indiańskiej bajce Antonia? „Bogowie Guarani mówią, że miłość przychodzi na ostatku, nie na początku. Rozwija się stopniowo w miarę dzielenia się wszystkim i współtworzenia. Gdy ludzie żyją razem i tworzą rodzinę, miłość do nich przychodzi.”

— Czy wiesz — przemówił Garth z grobową powagą — że aczkolwiek z trudem przychodzi mi to wyznać...

— ...Jesteś głodny — dokończyła ze śmiechem. — No to chodźmy. Zobaczmy, co da się znaleźć w ogołoconej spiżarni. Nie po raz pierwszy ty i ja zrobimy coś z niczego.

Garth podał Lloydowi Straussowi list w kopercie.

— Dodatek do mojej oficjalnej biografii w publikacjach uniwersyteckiej prasy. Doktor profesor, dyrektor Instytutu Genetyki i rozpustnik.

Strauss wyjął podobną kopertę z szuflady biurka i podał ją (iARTHowi).

— Przyszło wczoraj.

Garth wzruszył bezradnie ramionami. Niewidzialny ktoś, mściwy i uparty, wciąż zaznaczał swą obecność na kampusie liczącym trzydzieści tysięcy studentów. Wyciągnął ze środka list: to samo. Identyczny.

— Czy są inne?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Rektor żadnego nie dostał.

— Jakim sposobem na ciebie spadł ten zaszczyt?

Strauss wzruszył ramionami.

— Może artykuł w **Standardzie!** Moje ramię sprawiedliwości wzywające Talvię i Blake'a? Ktoś chce widzieć ciebie na dywaniku. No i fiku miku, jesteś na dywaniku.

— Nie wskutek wezwania.

— Wyprzedziłeś mnie.

— Lloyd, chyba nie bierzesz tego poważnie.

— Biorę poważnie wszystkie oskarżenia. Garth przeszył go długim spojrzeniem.

— Domyślam się, że pojawiło się coś nowego.

— Talvia i Blake zrezygnowali dziś z pracy na wydziale. Garth zaklął cicho pod nosem i zaczął spacerować po pokoju.

— Pod naciskiem? Żeby wyglądało na to, że uniwersytet robi generalne porządki?

— Oni się przyznali, Garth. Miałem tutaj procesję szlochających dziewczyn, wzburzonych rodziców, skruszonych wykładowców... Więcej dramatów niż u Szekspira. Tak się składa, że facet, który rozdmuchał całą tę aferę — prezes czegoś tam, wrzeszczący, że jego mała dziewczynka została zdeprawowana — jest jednym z fundatorów nowego stadionu futbolowego. Ma być stadion futbolowy, czy nie? Nie można lekceważyć futbolu. Więc smród się rozniósł i rektor kazał mi go rozproszyć, póki czas. Ale pogłoski, rzecz jasna, już się rozeszły. **Standard**, niech diabli porwą skalpy jego przedsiębiorczych redaktorów, zamieścił szczegóły w zeszłotygodniowym numerze, zanim zdążyłem zaaranżować swoją scenę w szekspirowskim stylu. Gdy to zrobiłem, zacząłem odbierać telefony od, jak to się mówi, środków masowego przekazu.

Garth, który założywszy ręce przysiadł na skraju biurka, potrząsnął głową.

— Biedny Marty. Myślisz, że kogoś znasz, że panuje między wami zaufanie, a dopiero gdy jest za późno, odkrywasz luki w tym zaufaniu. Prawie nie znam Blake'a. Zdaje się, że był jeszcze ktoś?

— Millburn. Jutro składa rezygnację. Razem z tobą.

— Na litość boską, Lloyd, na podstawie anonimowego listu? Znasz mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że to gówno...

— Dobra. Znam cię, wiem, że to gówno. Czy **Chicago Tribune** też to wie? A **Time!** A **Newsweek!**

— Co u diabła... — Garth urwał, nie wierząc własnym uszom. — T e środki?

— Właśnie te. To soczysty kąsek, mój przyjacielu. „Jakie ciemne sprawy kryją się za tymi obrośniętymi bluszczem murami? Jeśli chcesz wiedzieć, kup jutrzejszą gazetę lub przyszłotygodniowy numer naszego



magazynu." To trochę i nasza własna wina, wiesz, bo zachowujemy się, jakbyśmy górowali nad pospółstwem, my, uczeni, badacze, orędownicy prawdy. W związku z tym opinia publiczna uwielbia wieści, że jesteśmy równie popieprzeni jak cała reszta świata, a reporterzy walą drzwiami i oknami, żeby o tym donieść. Więc nie mogę spalić tego anonimowego listu, chociaż miałbym na to ochotę. Skąd wiem, kto jeszcze go otrzymał? Skąd wiem, kto w tej chwili częstuje dziennikarzy całym stekiem bzdur? Jesteś moim przyjacielem i kolegą, mam do ciebie zaufanie, lecz dobro uczelni stoi u mnie na pierwszym miejscu.

— To oznacza rozpoczęcie dochodzenia.

— Jak najbardziej. Już się rozpoczęło. Wynająłem dziś rano pierwszorzędną firmę detektywistyczną.

— Jakież to sprawy ta firma ma prześwietlać?

Strauss poderwał się z krzesła i przemierzał biuro długimi krokami.

— Twoje, innych wykładowców, studentów. Może wszyscy w tym tkwimy, może to tylko wierzchołek góry lodowej. Lecz kiedy ktoś wnosi konkretne oskarżenie, musimy je rozpatrzyć. Detektyw wykryje, kto napisał list, pogada z tobą o twojej reputacji i charakterze...

— O mojej reputacji i charakterze! — Garth chwycił teczkę i ruszył do drzwi. — Słuchaj, ty sukinsynu, nie musisz bronić swojej reputacji i charakteru ani przed tobą, ani przed nikim innym. Znasz mnie wystarczająco dobrze, żeby samemu zająć się tą sprawą bez wciągania w to profesjonalnych szpiegów. Jeśli nie jesteś mnie pewien, nie powinienes ogłaszać mojej nominacji na stanowisko dyrektora Instytutu Genetyki w przyszłym tygodniu.

Strauss popatrzył na niego w milczeniu. Garth zatrzymał się we wpółotwartych drzwiach.

— Przecież masz ją ogłosić w przyszłym tygodniu?

— To zostało odłożone. Garth, muszę chronić własny tyłek. Dobrze o tym wiesz. Nie chodzi tylko o pieniądze na jakiś cholerny stadion, ale o cały uniwersytet. Musimy być czyści niczym dziewica, gdy będziemy się ubiegać o rządowe fundusze na badania naukowe czy prosić hojnych ofiarodawców o ufundowanie nowego teatru, centrum muzycznego, dodatkowej biblioteki, ośrodka studiów międzynarodowych... Muszę pokazać, że robię, do cholery, co w mojej mocy, żeby ta uczelnia była miejscem, do którego ludzie mogą bezpiecznie wysyłać swoje pociechy albo dawać pieniądze na jego rozwój, aby zobaczyć swoje nazwisko wyryte na frontonie budynku. To moja praca. Jeśli to oznacza, że muszę wynająć detektywa, który ma pytać ludzi, czy Garth Andersen dmucha studentki między seminariami, zrobię to. A ty odpowiesz na każde z tych cholernych

pytań, skoro twoja praca polega na nauczaniu i badaniach naukowych, tudzież dyktowaniu w nowym Instytucie Genetyki. Co masz do ukrycia? Oni przeminą, ty zostaniesz.

— Nie przyszło ci na myśl, że moja reputacja może ucierpieć na samym fakcie, że ktoś zadaje mi te cholerne pytania?

— Owszem. Rozważyłem to. Ale na pierwszym miejscu jest opinia uczelni. Twoja jakoś to przeżyje. Garth, na rany Chrystusa, nie tak dawno byłeś bohaterem z *Newsweeka*; oto twoja reputacja. Nie musisz znów się pojawiać w tym piśmie w oparach podejrzeń.

Gartha znowu obezwładniło poczucie bezradności. Najpierw niewidzialny wróg, teraz jakiś obcy wśczyceł. Otworzył drzwi.

— Nie mogę cię powstrzymać od bawienia się w chowanego do spółki z twoim detektywem. Lecz najpierw powinieneś sam się do nas zwrócić o wyjaśnienie. Moja żona wierzy we mnie, nie kierując się opinią żadnej pierwszorzędnej agencji, i ma zamiar pomóc mi w odszukaniu osoby odpowiedzialnej za...

— Garth, wolałbym, żebyś nic nie robił w tej sprawie. My się tym zajmiemy, sprawnie i dyskretnie.

— To brzmi jak hasło reklamowe twojego przyjaciela detektywa. Strauss miał zakłopotaną minę.

— A wiesz, że tak. Ale oni znają się na swojej robocie i nikogo nie spłoszą. W przeciwieństwie do ciebie i Stefanii. Wstrzymajcie się do czasu, gdy zobaczymy, do jakich doszli wniosków. Jesteśmy po twojej stronie, Garth. Chcemy cię oczyścić.

— Nie możecie mnie oczyścić, skoro nie zostałem o nic oskarżony. I taka jest między nami różnica. My szukamy perfidnego kłamcy, który napisał listy; wy szukacie dowodu mojej cnoty. Jeśli wyprzedzimy was w odkryciu, że jestem człowiekiem wysoce moralnym, z pewnością damy ci znać.

— Och, do diabła z tym, Garth — odparł Strauss ze znużeniem. — Wiesz, że mam do ciebie całkowite zaufanie.

— Dobrze. Moja żona również. I moje dzieci. Czy ten twój Dick Trący i prasa następują mi już na pięty? Mimo wszystko spróbujemy własnych sił. Niedługo z tobą pogadam, Lloyd. Idę kupić szkło powiększające.

Madeline Kane udało się zrobić nieporządek w każdym kącie *Staroci* w ciągu dwóch tygodni nieobecności Sabriny.

— Sama nie wiem, jak to się stało, Stefanio — tłumaczyła się z zakłopotaniem w środę rano. — Rozejrzałam się po prostu któregoś

dnia i wszystko stało nie na swoim miejscu. Czy nie myślisz, że chciałam przez to wyrazić, jak bardzo mi ciebie brakowało?

— Uwierzyłabym ci na słowo — odparła Sabriną. — Może zaczniemy od tej szafki i będziemy posuwać się dalej. Pracowały w milczeniu, oszczędzając siły na przesuwanie ciężkich mebli.

— Kawa — westchnęła wreszcie Madeline i udały się na zaplecze sklepu. — Wyobrażam sobie, że masz za sobą ciężkie przejścia — powiedziała, gdy usiadły przy jej małym biurku.

— Tak.

— Czy mogę ci w jakiś sposób pomóc?

— Już to zrobiłaś. Ten bałagan w *Starociach*. Praca fizyczna to dobra terapia dla kogoś w żałobie.

— Gdy będziesz potrzebowała następnej dawki, powiedz tylko słówko. Zdaje się, że przychodzi mi to bez najmniejszego trudu. Co zrobisz ze sklepem swojej siostry w Londynie?

— Utrzymam go, przynajmniej na razie. Jest tam na miejscu zaufany pomocnik, który pracuje od dłuższego czasu, i pewien pośrednik w handlu antykami, który chce przystąpić do spółki. Kazałam im utworzyć sklep i określiłam górną granicę kwoty na aukcje.

— Lecz pewnie bez odpowiedniego nadzoru...

— Obaj są świetnymi fachowcami o wysokich kompetencjach. A mój doradca prawny ma na oku finanse, a oprócz tego prowadzi rachunki dla mojej gospodyni.

— W jaki sposób? To jest, nie chciałabym być wścibska, ale skoro nie jest uprawomocniony...

— Wysłałam mu pełnomocnictwo.

— Rozumiem — rzekła Madeline. Sabriną wstała.

— To co, z powrotem do pracy?

— A dom twojej siostry? — indagowała dalej Madeline. — Czy lwój doradca prawny go sprzeda?

— Nie. Gospodyni będzie utrzymywać w nim ład. Mieszka tam moja przyjaciółka i zostanie, dopóki nie uporządkuje swoich spraw.

— Aha. Więc to wszystko należy teraz do ciebie — sklep i dom?

— Tak.

— Aha. Cenne meble i posesja, jak się domyślam. — Tak.

— Nie chcę być wścibska.

— Ale jesteś, Madeline, wciąż mnie maglujesz o moje sprawy w Londynie. Dlaczego?

— Bez powodu. Po prostu... Och, prawda wygląda tak, że to wszystko brzmi bardzo wspaniale i — wybac mi, Stefano — zdaje mi się, że to bardzo do ciebie pasuje. Nigdy nie mogłam do końca uwierzyć, że to ty pracujesz dla mnie, a nie odwrotnie.

Sabrina spojrzała na nią ze zdumieniem.

— Czyżbym nie pracowała dobrze?

— Wiesz, że nie to miałam na myśli. Czy masz zamiar tam wrócić?

— Oczywiście, że tak. — Starannie dobierała słów. — Żeby spotkać się z prawnikiem, Nicholasem, który prowadzi *Ambasadora*, i moją gospodynią. Madeline westchnęła.

— Widzisz, zaczęłam w dużym stopniu na tobie polegać. Jesteś niezwykłą osobą i nie chciałabym cię stracić. Szczerze mówiąc, w czasie twojej nieobecności zawarłam umowę na pięć dużych wyprzedaży majątków. Przy ich organizacji i tak zapewne będzie potrzebna dodatkowa pomoc. Jeśli wyjedziesz...

— Na razie oddałam się tylko na lunch. Pięć wyprzedaży? Ależ z ciebie kobieta biznesu, Madeline! Opowiesz mi o nich po lunchu? Zamkniemy sklep czy zostajesz?

— Zostaję, przyniosłam sobie kanapkę. Wychodzisz na długo?

— Nie wiem. Idę w misji pocieszycielki na spotkanie z przyjaciółką, której mąż właśnie zrezygnował z posady na uniwersytecie. — Talvia czy Blake?

Sabrina westchnęła wkładając płaszcz.

— Czy zawsze wszyscy wiedzą o wszystkim...?

— Czytałam *Standard*. Jaki piękny płaszcz! Z prawdziwej skóry?

— Jak najprawdziwszej. Przywiozłam go z Londynu. Należał do mojej siostry. — Zarzuciła na ramię pasek dobranej do płaszcza torby, którą również ze sobą przywiozła. — Czy docierają do ciebie również plotki uniwersyteckie? — Nie. Dużo tracę?

— Nie za bardzo. Jestem już spóźniona; lepiej pobiegnę.

Miała spotkać się z Dolores i Lindą w *Café Provençal*. Ruszyła szybko w tamtą stronę w rześkich porywach wiatru zacinającego od jeziora. Siedziały przy stoliku w głębi, Linda w ciemnych okularach.

— Dużo ostatnio płakałam.

— Nie przeszkadza mi twój wygląd, Lindo, ale nie mogę mówić do ciemnych okularów.

Zdjęła je posłusznie i na widok spuchniętych powiek i obrzmiałych policzków Sabrinę aż coś w środku zabolowało. Tyle było lęku i wstydu w jej oczach.

— To nie twoja wina — powiedziała ujmując rękę Lindy. — Wszystko działo się za twoimi plecami.

Kelnerka przyjęła od nich zamówienie, a gdy odeszła, Dolores pochyliła się nad stolikiem.

— Dokładnie to samo jej powiedziałam. Linda potrząsnęła głową.

— Nie zrobiłby tego, gdybym była dla niego miłsza, gdyby nie te wieczne kłótnie, gdybym mu nie wypominała...

— Przez chwilę bezgłośnie poruszała ustami. — On nie zawsze mnie zaspokaja. Mówi, że to nie jego wina, że zbyt jestem zaprzątnięta krytykowaniem jego poczynań, żeby się odprężyć. I pewnie ma rację, zawsze ma we wszystkim rację. Ale ja mimo to go winię, wywołuję w nim poczucie braku męskości. To go pewnie zwróciło w stronę młodych dziewczyn, które mówią mu to, co chce usłyszeć.

— To kompletny absurd — Sabrina krótko skwitowała jej wynurzenia. — Nie możesz winić siebie za to, że Marty dał się wyrolować jednej czy dwu dziewczynom, które go usidliły, a potem szantażowały, żeby wpisał im zaliczenia.

— Kto mówi, że była tylko jedna lub dwie?

— Garth.

— Naprawdę? Marty nie chciał mi powiedzieć. Ale to w końcu żadna różnica, prawda? I tak jestem do niczego. Zawsze wiedziałam, że nie powie mi się z Martym. Nie mam dyplomu. Nie przeczytałam nawet połowy książek, które on zna, i nie opuszcza mnie myśl, że może wolałby kogoś bardziej wykształconego. W dodatku nie potrafię / z nim o tym rozmawiać. Chciałabym, ale im dłużej to odkładam, tym mi trudniej, nie wiem od czego zacząć. Marty twierdzi, że jeśli naprawdę chce się rozmowy, to się po prostu rozmawia, nie szukając wymówek. On zawsze ma rację, więc chyba rzeczywiście nie chcę tej rozmowy. A teraz szuka sobie jakichś wykształconych kobiet, które mają go uszczęśliwić. To dowodzi, że poniosłam klęskę na całej linii.

Sabrina wpatrywała się w nią uporczywie.

— Nic podobnego. Dajmy na to, że Marty jest osobnikiem z własnymi problemami i własnymi sposobami ich rozwiązywania. Czyżbyś była tak wszechpotężna, że aż odpowiedzialna za wszystko, co on robi?

Linda skończyła sałatkę i wydeła usta w zamyśleniu.

— Gdy ujmujesz to w ten sposób, wszystko wygląda inaczej. Dolores zamówiła deser.

— Tym, czego ci potrzeba, Lindo, jest jakaś robota. Będziesz potrzebować pieniędzy, dopóki Marty nie znajdzie pracy, a poza tym

zajmiesz czymś myśli. Przyjdź ze mną na następne zebranie kółka ogrodniczego; te kobiety wiedzą, kiedy ich mężowie potrzebują sekretarek.

— Nie chcę być...

— Nie masz zbyt wielkiego wyboru, Lindo. Na zebraniu dowiesz się, czy jest coś wolnego, a później pomogę ci ułożyć krótki życiorys i mogę pójść z tobą na rozmowę, żeby cię wesprzeć duchowo...

— Dolores, przestań, proszę, urządzać mi życie!

Głowy siedzących przy innych stolikach odwróciły się w ich stronę. Dolores oblała się rumieńcem.

— Przepraszam. Sądziłam, że ucieszysz się z przyjacielskiej pomocy.

— Nie myśl, że jestem niewdzięczna, ale...

— Zamawiam kawę — powiedziała Sabrina. — Dla nas wszystkich. Dolores wyprostowała się na krześle.

— Zawsze posuwam się ciut za daleko, prawda? Nigdy nie wiem, że przeholowuję, dopóki nie jest za późno.

— Z przyjemnością ci powiemy — zaproponowała Sabrina, chcąc rozładować napięcie. Wszystkie się roześmiały.

Dolores zmarszczyła brwi.

— Zmieniłaś się, Stefanio. Kiedyś nigdy nie decydowałaś za innych.

— Och, wszyscy jesteśmy tacy skołowani... — odpowiedziała Sabrina wymijająco. — Lindo — dodała — w *Starociach* potrzebna jest asystentka do pomocy przy organizacji wyprzedaży majątkowych. Może spróbowałabyś tego?

— Nie wiem nawet, co to wyprzedaż majątkowa.

— Organizujemy sprzedaż domów i ich całkowitego urządzenia, od obrazów olejnych po noże do skrobania warzyw. Nauczysz się, jak wyceniać przedmioty, jak układać katalog, jak reklamować wyprzedaż i w końcu, jak ją prowadzić — co oznacza, że będziesz musiała być tam obecna przez cały czas i pilnować klientów, którzy usiłują się wymknąć ze srebrnymi sztućcami lub tabakierkami, lub czymkolwiek innym, co da się wynieść.

Oczy Lindy zabłyśły.

— To wygląda interesująco.

— I jest. Pełno wrażeń, kurzu, nerwów i wciąż jakieś odmiany. Zainteresowana?

— Jeżeli proponujesz mi to tylko dlatego, że mamy kłopoty...

— Proponuję, bo niecałe dwie godziny temu Madeline mi powiedziała, że mamy w planie pięć wyprzedaży i nie poradzimy sobie bez asystenta.

- Kogoś z dyplomem?
- Lindo, pytam cię, czy chcesz spróbować. Nie pytałam o nic innego.
- Tak, tak, tak! To brzmi cudownie! Och, Stefanio, jak ci się odwdzięczę?
- Stając się lepszą ode mnie. Wówczas, jeśli ja będę kiedyś musiała wyjechać, ty przejmiesz ster.
- Wyjechać? O czym ty mówisz? Przeprowadzacie się? Chyba nigdzie nie wyjeżdżasz, Stefanio!
- Nie, nie to miałam na myśli... — **Co się ze mną dzieje?** — Chciałam powiedzieć: jeżeli kiedyś zmienię pracę. Ale to tylko przypuszczenie. Teraz muszę wracać do tej, bo i ją stracę...
- Mam iść z tobą? — spytała Linda.
- Nie dzisiaj. Porozmawiam z Madeline i zadzwonię do ciebie później. Dolores, czy dziesięć dolarów wystarczy za lunch? Naprawdę muszę już pędzić.
- Nie, lunch to moja funda; to ja wpałam na ten pomysł. Sabrina pochyliła się i cmoknęła ją w policzek.
- Następnym razem ja stawiam.

Obejrzała się na nie od drzwi. Dolores rozprawiała, a Linda patrzyła w rozmarzeniu na obrazek na ścianie. Przypomniała sobie Aleksandrę i Gabrielle. To dziwne, na ile sposobów pomagamy sobie nawzajem, pomyślała. Przez chwilę zastanawiała się, kto jej pomoże, gdy ostatecznie odejdzie. Wszystkie będą zajęte. Chociaż... Uśmiechnęła się lekko otwierając drzwi do **Staroci**. Zawsze zostanie mi pani Thirkell.

W piątek po południu Sabrina wcześniej wyszła ze sklepu i zniosła Lindzie stertę książek z historii meblarstwa i sztuki użytkowej.

— Nie musisz znać ich na pamięć — zastrzegła się, widząc przerażenie na twarzy Lindy. — Ale musisz wiedzieć, jak się nimi posługiwać, aby znaleźć informację o jakimś przedmiocie. Powinnaś leż mieć pojęcie o różnych stylach mebli i jaki wpływ mają chwilowe mody na wystrój wnętrz. Teraz obowiązują plakaty polityczne i lakierowane powierzchnie; mam przeczucie, że nadchodzi moda na lalki. W każdym razie przejrzyj te książki, a w poniedziałek porozmawiamy.

Przed wejściem do domu westchnęła z ulgą. Miała godzinę dla siebie, zanim Penny i Cliff wrócą ze szkoły; nieco czasu bez zobowiązań wobec rodziny i przyjaciół, bez pracy. Lecz drzwi były otwarte. I tak / mojej godzinki nic nie zostało, pomyślała. Które z nich wróciło wcześniej do domu?

Bawialnią była pusta.

— Cliff? — zawołała. — Penny!

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zciekawiona, weszła na górę i zobaczyła Cliffa, który siedział na łóżku i z rozpaczliwym pośpiechem wpychał do plastikowej torby bezładnie rozrzucone ręczne kalkulatory, małe radjka, komplety długopisów i ołówków, portfele, spinki do krawatów, spinki do mankietów i rękawiczki.

— Wyglądasz jak pirat ze swoim łupem — rzuciła niefrasobliwie od drzwi.

Cliff obrócił się jak ukąszony.

— Myślałem, że wracasz o czwartej.

— A ja myślałam, że wracasz o wpół do piątej.

— No, wróciłem wcześniej...

— Ja również. Czy chciałeś wszystko pochować, zanim przyjdę do domu?

Cliff podniósł na nią wzrok z wyrazem takiego strachu i wstydu na twarzy, że Sabrina chciała podbiec do niego i powiedzieć, żeby się nie bał. Ona mu pomoże i wszystko będzie w porządku. Niestety, coś było bardzo nie w porządku. Wyciągnęła krzesło spod biurka i usiadła z dala od Cliffa.

— Najlepiej zacznij od początku i opowiedz mi o wszystkim.

— Ale przecież mówiłem tacie. Gdy byłaś w Chinach. Nie powtórzył ci?

— Najwyraźniej postanowił, że to ma zostać między wami. Zastanawiam się, czy to doceniasz. Sądząc z objawów, chyba nie. Cliff wbił wzrok w swoje buty.

— No? — naciskała Sabrina. — Czy przyrzekłeś mu wtedy, że skończysz z tym, co tam wtedy nabroił? Pewnie tak. Co się potem stało? Cliff, wcześniej czy później będziesz musiał mi odpowiedzieć, więc może zaoszczędzisz sobie czasu i zrobisz to teraz. Przed powrotem Penny.

Cliff znów podniósł na nią oczy wypełnione łzami.

— Naprawdę przestałem. Powiedziałem im, że mój tata wie o wszystkim i nie mogę im więcej chować towaru. Ale w zeszłym tygodniu, gdy byłaś w Anglii, przynieśli ten cały kram i powiedzieli, że muszą to przechować, a ja nie wiedziałem, co zrobić.

— Gdzie był Garth — ojciec?

— Na zebraniu, a Penny w szkole przygotowywała to swoje przedstawienie lalkowe, a oni przyszli...

— Cliff, co za „oni”?

— Te chłopaki. Oni są w ósmej klasie, i wiesz, tak jakby rządzą całą szkołą. Wybierają drużyny i sami zawsze są kapitanami, i zawsze



są pierwsi przy okienku w stołówce, nawet jeśli byli za nami w kolejce... no wiesz. I oni kradną w sklepach. Mówią na przykład, wpadnę sobie do **Radio Shack** zwędzić kalkulator. Coś w tym stylu. Dawniej robili to dla samych siebie, ale teraz zaczęli sprzedawać te fanty chłopakom z Chicago, jak tam pojechali, żeby kupić narkotyki. Więc potrzebowali miejsca do przechowania rzeczy... i raz mnie spytali, czy bym im nie pomógł. Myślałem, że mnie lubią... to znaczy, wiesz... było mi miło, że...

Czułeś się pochlebiony, pomyślała Sabrina. Mali blaszani dyktatorzy proszą o twoją pomoc. Przepustka do elity.

— Pomyślałeś, że teraz ty będziesz mógł pierwszy podchodzić do okienka w stołówce.

— Skąd wiesz? — spytał Cliff z niekłamanyim zdziwieniem. Sabrina uśmiechnęła się do niego.

— Gdy byłem w szkole średniej, większość bogatych dziewcząt patrzyła z góry na St... na Sabrinę i mnie. Zdawało nam się, że prosząc nas o pomoc przy lekcjach, wyrządzają nam przysługę. Później, gdy /dobywałyśmy nagrody za naukę i trofea w zawodach szermierczych i żeglarskich, zaczęły patrzeć na nas z podziwem i nagle zaczęło nam się wydawać, że nie są wcale nadzwyczajne ani godne podziwu. W gruncie rzeczy były całkiem przeciętne. Co przyrzekł ci ten gang za pomoc?

— Mogłem raz na miesiąc wybrać sobie coś dla siebie albo dostać piętnaście dolarów na tydzień. Wybrałem pieniądze. Chciałem kupić sobie wieżę stereofoniczną.

— Droga rzecz. Oszczędzanie na nią zajęłoby ci wiele tygodni. Czy jesteś pewien, że uczestniczyłeś w tym z oporami?

Cliff znów z uwagą oglądał swoje buty.

— Czasami tak, ale czasami nie tak bardzo. — Ostrożne i łagodne /uchowanie Sabriny dodało mu pewności siebie, ulżyło mu i mówił z rosnącym zaufaniem. — Z tymi chłopakami lepiej być w przyjaźni, niż zadzierać. Nigdy się z nimi nie wygra. I pomyślałem, gdy mnie o to poprosili, że przyjmą mnie do swojej paczki... i będę dostawał pieniądze, no i... Tak to właśnie było.

— Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że pomagałeś złodziejom i byłeś współnikiem w kradzieży?

— Mamo! Oni nie są kryminalistami! Oni tylko podwędzają rzeczy ze sklepów. To nie to samo co morderstwo, obrabowanie hnnku czy coś takiego. Zresztą powiedzieli... Sklepy robią takie pieniądze, że nikt nawet nie zauważy braku kilku rzeczy.

— Czyżby? Cliff, kradzież jest zła niezależnie od miejsca i tego,

czy ją ktoś zauważy, czy nie. Zwykle jednak wychodzi na jaw. Słyszałeś kiedyś o inwentaryzacji?

— Nie.

— Inwentaryzacja polega na tym, że sklep liczy wszystkie towary w magazynie i porównuje z wykazami dostaw i sprzedaży. Gdy liczby się nie zgadzają, wychodzi na jaw, co zostało ukradzione. To się nazywa ubytek towarów. Wówczas, żeby nadrobić straty, podnoszą cenę pozostałych rzeczy w sklepie. Tak więc ludzie koniec końców płacą za kradzieże twoich kumpli.

Na chwilę zaległa cisza.

— Nigdy o tym nie pomyślałem.

— A twoi przyjaciele nigdy ci tego nie powiedzieli.

— Oni nie są tak naprawdę moimi przyjaciółmi.

— Przed chwilą, zdaje się, mówiłeś, że chciałeś należeć do ich paczki.

— Tak, ale... Oni mnie wcale nie chcą, mamó. Wcale mnie nie lubią. Och, kurczę. — Łzy znów się pojawiły w jego oczach. Wytrzeł je niecierpliwie. — Nigdy nie rozmawiają ze mną jak przyjaciele, tylko się ze mnie wyśmiewają.

— Dlaczego? — spytała łagodnie Sabrina.

— Bo lubię książki i dostaję dobre stopnie.

— Cóż, jesteście z tego powodu z ciebie dumni. Ale dlaczego trzymałeś z nimi, skoro się z ciebie wyśmiewali? Czy chodziło o pieniądze?

— Nie, to... Jak naprawdę chcesz wiedzieć, to ja się ich boję. Mówią, że mnie stłuką na kwaśne jabłko, jak ich wydam, a w zeszłym tygodniu zagrozili, że jeśli nie schowam tego towaru, powiedzą dyrektorowi, że to ja kradłem. Tato chciał iść na policję, ale poprosiłem go, żeby tego nie robił, i nie chciałem podać mu nazwisk. Nie mogę nikomu powiedzieć. I nie mogę przestać im pomagać, bo nawet jeśli mnie nie zbiją, to nie dopuszczą mnie do gier. Dopilnują, żeby nikt ze mną nie rozmawiał, nawet moi przyjaciele. I będę ze wszystkiego wykluczony i s a m. Mogą to zrobić, mamó. Naprawdę się ich boję i cokolwiek zrobię, wyjdzie źle. Wiem, że nie możesz tego zrozumieć, bo ty zawsze wiesz, co trzeba zrobić, ale ja nie wiem. Nie wiem, co zrobić.

Sabrina podeszła do łóżka i usiadła koło niego. Skulił się bezradnie. **Rozumiem bardzo dobrze, co czujesz.** Objęła go i po chwili złożyła głowę na jej ramieniu.

— Przepraszam, mamusiu.

— Za co?

— Za to, że beczę.

— Wszyscy płaczemy, gdy jesteśmy smutni i czegoś się boimy, nie ma się czego wstydzić. Wolałabym, żeby ci było przykro, że nie powiedziałaś nam, gdy cała ta afera zaczęła się od nowa. Czy boisz się nas bardziej niż tych tyranów?

Cliff schował głowę.

— Chciałem.

— I?

— Tato mi zaufał.

— I nie chciałeś, żeby wiedział, że go zawiodłeś?

— Bo kłamię. Co jakiś czas pyta, czy oni próbowali kiedyś znów mnie w coś wciągnąć, a ja zawsze mówię, że nie. Więc zawiodłem go, a potem okłamywałem. Teraz mu pewnie powiesz, ale nic nie można na to wszystko poradzić.

— O, myślę, że można.

— Co? Mamo, oni mnie zbiją albo...

— Nie zrobią nic podobnego. Przez miesiąc nie pozwolę ci wychodzić z domu.

— Nie pozwolisz mi wychodzić?! Mamo! — Szarpnął się do tyłu i spojrzał na nią gniewnie zaczerwienionymi oczami. — To niesprawiedliwe!

— A sprawiedliwe jest pracować dla tych tyranów? Albo dać się pobić i wyrzucić poza nawias? Albo być oskarżonym przez dyrektora o kradzieże w sklepach?

— Ale...

— Jeżeli twoi rodzice każą, żebyś przez miesiąc wracał po szkole prosto do domu, nie zapraszał przyjaciół i nie wychodził wieczorem, to trudno o lepszą wymówkę, żeby nie pomagać tym chłopakom. Możesz im uczciwie powiedzieć, że nie miałeś wyboru. A po miesiącu powiesz, że twoi rodzice coś podejrzewają i nie chcesz znowu zostać zamknięty w domu, więc musisz trzymać się od nich z daleka. To zresztą może okazać się zbyteczne. Gdy będziesz uziemiony w domu, chyba zaalarmujemy policję, żeby wysłała paru detektywów do **Radio Siwek** i innych miejsc, które nam podasz. Szybko rozbiją szajkę. Mnie ci młodociანი przestępcy wydają się dosyć głupi.

Oczy Cliffa były okrągłe z podziwu.

— Mamo, to wcale niezłe! To całkiem sprytne!

— Tak, tak sędzę. Biorąc pod uwagę, że nigdy dotąd nic takiego nie wymyśliłam.

— Jasne, że wymyśliłaś. Uziemiałaś mnie w domu...

— Mniejsza o minione kary.

— Wiesz, mam? Mam pomysł. Jak mi teraz pomożesz pozbyć się tego kramu, nie będziemy musieli nic mówić tacie. Nigdy się o tym nie dowie.

— To znaczy, znów chcesz go okłamać?

— Nie, tylko nic mu nie powiem.

— Ukrywanie prawdy to tylko inny rodzaj kłamstwa. Jeśli pozwolisz, żeby uwierzył w coś, o czym wiesz, że jest fałszem... — Urwała i zapatrzyła się w przestrzeń. ***Kimże ja jestem, żeby dawać takie przestrogi?***

— Mamo? Sabrina ocknęła się.

— Cliff, w schowku jest kilka pustych kartonów. Przynies dwa, zapakujemy to wszystko, a twój ojciec i ja dostarczymy je na policję i porozmawiamy o całej sprawie.

— Ale wtedy będą wiedzieli, że to tu trzymałem.

— Znajdziemy sposób, żeby wyłączyć cię z tego. — Widząc, jak wstaje niepewnie, straciła cierpliwość. — Po prostu musisz nam zaufać. A teraz idź po te pudła!

Cliff ruszył mamrocząc coś pod nosem, a Sabrina próbowała uspokoić pospieszne bicie serca. Może teraz uda jej się spędzić kilka minut w samotności. Już stała na progu swojego pokoju, gdy na dole drzwi wejściowe zamknęły się z hukiem i do domu wpadła Penny, rozgadana jak zawsze po powrocie ze szkoły.

Garth przejrzał swoje notatki i zrobił listę jedenastu studentów, którzy w zeszłym roku mieli do niego pretensje za niskie oceny lub brak zaliczenia.

— A co z tym nazwiskiem? — zapytała Sabrina. — Tym, przy którym jest znak zapytania.

— Rita McMillan — przeczytał Garth. — Nikła możliwość. Czy nie mówiłem ci o niej w czerwcu zeszłego roku?

— Chyba nie.

— Zdawało mi się, że tak. Ofiarowała mi swoje wdzięki w zamian za zaliczenie, a ja pogoniłem ją moją rakietą tenisową. Mniej więcej. Możliwe, że nazwałem ją kurewką. W tym samym tygodniu kandydatura Vivian została odrzucona przez komisję kwalifikacyjną i nie byłem wtedy przyjaźnie usposobiony wobec młodych kobiet, handlujących swoją anatomią. Zresztą wcale jej nie oblałem; dostała niepełne zaliczenie i pozwoliłem jej chodzić na zajęcia Vivian w tym kwartale, tak żeby mogła zrobić dyplom. Ale to było pół roku temu, nie chce mi się wierzyć, żeby teraz miała z tym coś wspólnego.

Sabrina powtórzyła nazwisko.

— Młode kobiety mają długą pamięć. Szczególnie, gdy się odrzuca ich wdzięki.

Uśmiechnął się.

— Rita mogła patrzeć na to w ten sposób. No cóż... I co teraz zrobimy z tą listą? Czuję się śmiesznie — zupełnie jakby mi ktoś dał pistolet-zabawkę i kazał się bawić w policjantów i złodziei. Lepiej mi idzie tropienie bakterii.

— Co do mnie, wolałabym szukać zaginionej porcelany Wedg-wooda.

— Bakterie i Wedgwood — zaśmiał się. — Policjanci i złodzieje. Co z nas za para!

Istotnie byli parą. Wszędzie widziano ich razem. W środę wieczorem, dwa dni po jej przyjeździe, poszli razem na przedpremierowy pokaz filmu i spotkanie z reżyserem. We czwartek udali się na przyjęcie koktajlowe; rektor otaczał Sabrinę atencją i podziwem, a Garth orzekł, że nigdy jeszcze nie była tak piękna.

Jej urodę pokreślał jeszcze ubiór, teraz noszący znamiona błyskotliwości Sabriny Longworth. W żywych zieleniach i niebieskościach, aksamicie koloru wina, pasiastym jedwabiu, z włosami opadającymi ciężkimi falami na ramiona, była jak światło latarni morskiej przyciągające statki. Nigdy nie oddalała się od Gartha. W sobotni wieczór pojawili się na otwarciu nowego uniwersyteckiego muzeum sztuki, a Sabrina rozmawiała z malarzami, rzeźbiarzami i kolekcjonerami w ich własnym języku, sięgając do swego wieloletniego doświadczenia. Była niezwykle ożywiona, a Lloyd Strauss nie miał dla niej dość słów zachwytu.

— Jesteś wspaniała, Stefania. Jakże się cieszę, że zdobyłaś się na przyjście tutaj po tej tak niedawnej wielkiej osobistej stracie.

— Robię to dla Gartha — powiedziała jasno i utkwiała wzrok w twarzy Straussa, jakby czekając, czy się odważy zważyć w niewinność Gartha lub nazwać ją naiwną. Nie zrobił nic podobnego, natomiast zaprosił ich na kolację, która miała się odbyć następnego dnia.

— Nigdy was nie ma w domu! — jęknęła Penny w niedzielę wieczór patrząc, jak Sabrina szcotokuje włosy przy toalecie.

— To nasz sezon towarzyski — oznajmił żartobliwie Garth zawiązując krawat i przemawiając do odbicia Penny w dużym lustrze. — Zew obowiązku, moja miła.

Jakieś przelotne wspomnienie uczepliło się pamięci Sabriny, gdy spojrzała na zbolałą twarz Penny. „Tak jakbyśmy nie miały już rodziców — prawie nigdy was nie widzujemy!” Sabrina i Stefania

Hartwell stały przed potrójnym lustrem w sypialni w Atenach i patrzyły, jak ich rodzice stroją się na bal w ambasadzie. „Każdy może być z wami, tylko nie my! We dwie ze Stefanią jesteśmy dla siebie całą rodziną.”

Pamiętała tę scenę do ostatniego szczegółu. A jednak przez ten tydzień... Każdego wieczora po całym dniu pracy wychodzili gdzieś z Garthem. Przypominało jej to życie w Londynie: godziny szczelnie wypełnione kolacjami, rozmowami towarzyskimi i poznawaniem nowych twarzy. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo za tym tęskniła. Czasami, gdy stała rozmawiając, z kieliszkiem w ręku pod błyszczącymi światłami i słysząc ze wszystkich stron muzykę i śmiech, na krótką chwilę zapominała, kim jest. Dwa światy stapiały się w jeden. Dotykała z miłością ramienia Gartha, który był koło niej, radowały ją spojrzenia skierowane na nich jako na parę, męża i żonę.

Lecz zapełniony po brzegi kalendarz towarzyski krzywdził Penny i Cliffa. Sabrina dobrze o tym wiedziała. Potrzebna im obecność rodziców, pomyślała. Przecież wkrótce zostanie im tylko ojciec.

— Masz rację, Penny — rzekła. — Powinniśmy zwolnić trochę tempa i więcej przebywać w domu.

Garth spojrział na nią, zdezorientowany.

— Myślałem, że to twoja kampania.

— Ale bierzesz w tym udział tylko dlatego, żeby mi sprawić przyjemność.

— Wręcz przeciwnie, świetnie się bawię.

— Tato! — wykrzyknęła ze zgorzaniem Penny, a i Sabrina spojrzała na niego, zaskoczona.

— To prawda, trochę przesadziliśmy — ciągnął, zadowolony z pełnego zdumienia milczenia żony. — Lecz całe lata mówiłaś, że za mało się udzielamy towarzysko, a teraz pokazałaś, ile przez to traciłem. Mogę — dodał widząc cień w jej oczach — siedzieć w domu przez cztery lub pięć wieczorów w tygodniu, lecz nie więcej!

Zaśmiała się miękko.

— Trudno to nazwać przesadą. Da się załatwić.

— A co z dzisiejszym wieczorem? — spytała Penny.

— Dzisiaj wychodzimy; oczekują nas. Jutro zostajemy w domu. Czy uda nam się to załatwić, Stefanie?

— Tak. — Uśmiechnęła się. Penny wybiegła z pokoju, a Garth objął żonę. — Jutro zostajemy w domu.

W poniedziałek spędzili we czwórkę spokojny, cichy wieczór. Gdy Penny i Cliff położyli się spać, Sabrina i Garth siedzieli w bawialni i to rozmawiali, to czytali, to rozmyślali, każde o swoich sprawach.

Sabrinę zastanawiał fakt, że tak gładko jej przyszło wejść z powrotem w życie rodziny. Nie było to łatwe; co dzień rano, ledwie się przebudziła, docierała do niej druzgocząca świadomość śmierci Stefanii i kruchości jej własnego

życia z Garthem. Lecz w miarę jak mijały godziny wypełnione sprawami i ludźmi, poczucie winy i smutek przycichały. Z dnia na dzień zew życia był mocniejszy. Oto jej miejsce na ziemi.

Potem jednak przychodziło opamiętanie. To życie nie należało do niej, było zbudowane na kłamstwie i od niego zależało. Siedziała razem z Garthem w bawialni i powtarzała to sobie w kółko. Ta prawda nie może zamazać się w jej świadomości. Wiedziała, że pod dotknięciem jego ręki, ciężarem jego ciała, spojrzeniem pełnym miłości, mogła łatwo stracić z oczu to, co zrobić należy... Lub zabraknie jej sił, żeby to zrobić.

Wróciła do książki i w tym samym momencie zabręczał dzwonek. Garth poszedł otworzyć i wprowadził do bawialni niskiego mężczyznę w średnim wieku, który przedstawił się jako Karl Jenks, specjalny wywiadowca, wynajęty przez Lloyda Straussa do zbadania anonimowych zarzutów stawianych profesorowi Andersenowi.

— Rozmawiałem z kilkoma osobami — zaczął sadowiąc się w fotelu i rozglądając wokół. — Ładny pokój. — Drobne rysy, jakby wepchnięte pod wysokie czoło, nadawały jego twarzy wyraz ustawicznej podejrzliwości. Gdy pisał coś w notesie, wydymał usta w skupieniu jak dziecko ćwiczące ortografię. — Czy ktoś ma powody, żeby być na pana wściekłym, profesorze? Zabrał pan komuś pracę, oblał kogoś na egzaminie, pożyczył od kogoś kosiarkę i zapomniał oddać?

— Nie.

— Nikt nie ma do pana pretensji? Absolutnie nikt na tym szerokim świecie? Jest pan powszechnie kochany? Garth nie odwracał wzroku od Jenksa, aż małe oczka detektywa umknęły w bok.

— Zrobiliśmy listę studentów, którzy mogli czuć się przeze mnie pokrzywdzeni. Przyniosę ją panu.

— Za minutkę. Czy pani pomagała w pisaniu listy, Stefanio? Sabrina uniosła brwi.

— Czy myśmy się już gdzieś spotkali?

— Co? Przed dzisiejszym wieczorem? Nie sądzę. A dlaczego pani pyta?

— Dlatego, panie Jenks, że tylko moi przyjaciele zwracają się do mnie po imieniu.

Nastąpiła pauza.

- Oho — odezwał się wreszcie Jenks. — Wybaczy pani, madame. A może woli pani m i l a d y.  
Sabrina uśmiechnęła się bez słowa.
- No więc, co z tą listą, milady? Pomagała ją pani ułożyć?
- Nie.
- Wierzy pani w to?
- Czy wierzę w co? To tylko lista nazwisk.
- Mogło pani przyjść do głowy, że mężulek pominął niektóre.
- To absurdalne.
- Aha. — Znów coś zanotował. Sabrina i Garth wymienili spojrzenia. Nic, co dotychczas powiedzieli, nie wydawało się godne uwiecznienia.
- Gra pan w tenisa, profesorze? Garth podniósł oczy wyrwany ze swoich myśli.
- Tak. Czy to ma być panu przydatne w dochodzeniu?
- Być może. A pani, pani Andersen?
- Tak.
- Grali państwo ostatnio razem?
- Nie — odparł Garth. — Niedawno zmarła siostra mojej żony i żona jest w żałobie.
- Moje wyrazy współczucia. Prowadzicie państwo niesłychanie czynny tryb życia — przyjęcia, otwieranie muzeów i tak dalej. To należy do żałoby?
- Jakaż z pana pracowita pszczołka, panie Jenks — powiedziała Sabrina miłym głosem. — Tak dokładnie zbadał pan nasze życie towarzyskie. Garth, czy uważasz, że powinniśmy omawiać nasze życie towarzyskie z panem Jenksem? — Uważam, że jeżeli pan Jenks nie przejdzie do sprawy listów anonimowych, nie ma potrzeby, by tu dłużej przebywał. — Ładne dywaniki — rzucił Jenks, obróciwszy sztywno głowę. — Z Chin?
- Tak — powiedziała Sabrina. — Kupiła je pani w Chinach? — Nie.
- Profesorek pojechał z panią do Chin?
- Dość tego dobrego — Garth podniósł się. — Pokażę panu, gdzie jest wyjście.
- Profesorze, prowadzę dochodzenie. Zgodnie z poleceniem pańskiego szefa.
- Pan nie prowadzi żadnego dochodzenia, tylko węszy.
- Na tym właśnie polega dochodzenie, profesorze. Wykurzamy



masę robaków i patrzymy, które są jadowite. Będzie pan musiał okazać cierpliwość. Był pan ostatnio w Stamford. W Connecticut. Garth stanął przy regale i oparł rękę o półkę.

— Zgadza się.

— Ale nie wziął pan tej pracy, co?

— Najwidoczniej zna pan odpowiedź z góry.

— Racja. Profesor Andersen pojechał z panią do Chin, pani Andersen?

— Nie. Jechałam z wycieczką pośredników w handlu antykami, a mój mąż wspaniałomyślnie umożliwił mi wyjazd, opiekując się dziećmi podczas mojej nieobecności.

Jenks zapisał coś wydymając usta.

— Ten Talvia — od dawna jesteście przyjaciółmi?

— Od bardzo dawna — rzekł opanowanym głosem Garth.

— Nieźle sobie skaczą do oczu ze swoją panią. Garth i Sabrina nie zareagowali na tę uwagę. Jenks znów coś zanotował.

— Kiepskie to wystawia świadectwo pożyciu. Wygania człowieka z domu. I te wszystkie młode ślicznotki, które uczycie.

Sabrina pochwyciła wzrok Gartha i lekko potrząsnęła głową.

— Nie zgadza się pani ze mną, pani Andersen? W sprawach wyganiania z domu czy tych młodych ślicznotek?

— Nie zgodziłabym się z opinią, że jest pan głupcem. Jenks stracił kontenans. Wyciągnął z kieszeni gumę do żucia i włożył ją do ust. — A teraz Blake. Jak dobrze pan go zna?

— Spotkałem go kiedyś — rzekł Garth. — To daleka znajomość. Moja żona go nie zna.

— No, ten to ma reputację, że proszę siadać. Z tego, co słyszę, lubi babki w każdym wieku i we wszystkich rozmiarach. Sabrina spojrzała na niego w zadumie.

— Ależ pan ma nieprzyjemną pracę, panie Jenks.

— Jest jeszcze Millburn. Milczeli.

— Zdaje się, że wcale go nie znacie. Ktoś napisał na niego donos — mówię teraz o anonimowych listach — więc sprawdziłem go dla pana szefa. Matematyk. Bawi się liczbami. W chwilach gdy nie bawi się z młodymi ślicznotkami. — Czy to zaczerpnięte z anonimowego listu? — zapytała zimno Sabrina.

— Nie, proszę pani, oparte na jego przyznaniu się do winy. Mówi, że to mu się przytrafiło tylko raz, ale kto to wie? Jego żona była

studentką, gdy się pobrali. Lubi młode sztuki. I muszę powiedzieć — tu w jego głosie pojawiła się tęskna nuta — że one naprawdę są śliczne. Mogą skusić człowieka.

W pokoju zapanowała cisza. Sabrina słyszała z góry radio Cliffa.

— Ma pan dyżury, profesorze?

— Oczywiście.

— Przyjmuje pan studentów pojedynczo czy całą grupę?

— Pojedynczo. Omawiamy poufne sprawy — stopnie, jakość pracy, plany na przyszłość.

— Pojedynczo. Przy zamkniętych drzwiach?

— Czasami. — Sabrina widziała, jak gniew, że musi traktować poważnie Karla Jenksa z jego oślizgłymi pytaniami, narasta w Garcie.

— Pani Andersen, zaprasza pani czasem ludzi na kolację?

— Od czasu do czasu.

— Zapraszała pani kiedy jakichś studentów? *Nie mam pojęcia*. Sabrina spojrzała na Gartha.

— Nie — odpowiedział za nią. — W czerwcu nasz dom jest otwarty dla wszystkich moich studentów i asystentów z laboratorium.

— Pani Andersen nie mogła sama tego powiedzieć?

— Pani Andersen nie ma obowiązku odpowiadać na pytania, które jej nie przypadają do gustu. Szczególnie gdy podejrzewa, że pan usiłuje złapać ją w pułapkę. Jenks międlil gumę w ustach.

— Profesorze, przyszedłem prosto od Talviów. Wszystko klawo, kochają się jak gołąbki, nigdy by człowiek nie zgadł, że znani są z wodzenia się za łby na przyjęciach. Przychodzę tutaj, gdzie zastaję jasny obrazek szczęścia domowego, ale żona uciekała do Chin i Londynu, a mąż urywa się do Kalifornii, gdy tylko ma okazję. Ponadto istnieje list oskarżający go niedwuznacznie o to, że przeleciał niejedną z tych kuszących ślicznotek w zamian za dobre stopnie. I mocno podejrzewam, profesorze, że nie odwraca pan wzroku, gdy ma skarb pod nosem.

Sabrina podeszła szybko do Gartha i stanąwszy przy nim, objęła go ręką w pasie. Jego napięte mięśnie rozluźniły się. — Mógłbym pana wyrzucić — powiedział Garth tonem towarzyskiej rozmowy. — Ale musiałbym roztrwonić na to za dużo energii. Niewart pan tego. Lloyd Strauss poinformował mnie, że wynajęto pana w celu odnalezienia autora anonimów. Miał pan wydobyć z niego przyznanie się do winy, żeby oczyścić moje imię. Zamiast tego osądził mnie pan i skazał, nie mam pojęcia, na jakiej podstawie. Nie przyszedł pan tutaj prowadzić dochodzenia, jak pan twierdzi, ale

schwytać mnie w sidła. Wobec tego przebywa pan tutaj pod fałszywym pretekstem, udając wywiadowcę, co zgodnie z prawem miasta Evanston jest przestępstwem, za które grozi strata licencji. Rano podejmę decyzję, czy mam zawiadomić policję, czy uniwersytet, czy obie te instytucje. To będzie zależało między innymi od tego, jak szybko opuści pan mój dom. Daję panu sześćdziesiąt sekund. Od zaraz. — Objął Sabrinę i podniósł do oczu rękę z zegarkiem.

— Nie może mnie pan zastraszyć, profesorku.

— Jestem tego pewien. Czterdzieści pięć sekund.

— Pana żona dobrze wie, że niewinny człowiek nie starałby się wykopać mnie z domu.

— Trzydzieści sekund.

— Jeden wielki bluff. Tyle warte pana wszystkie...

— Dwadzieścia sekund.

Jenks poderwał się z krzesła i pobiegł ręczo do drzwi wejściowych.

— Jeszcze tu wróć! Pana szefa zainteresuje wiadomość, że wyrzucił innie pan z domu. Niewinnemu facetowi nie zależałoby... — Won! — ryknął Garth. Jenks szarpnięciem otworzył drzwi i już go nie było.

Sabrina wybuchnęła śmiechem.

— Garth, to było takie zabawne!

— Wiem — śmiejąc się razem z nią, wziął ją w ramiona. — Zachowałeś się wspaniale.

— W mieście Evanston nie ma żadnego takiego prawa....

— Oczywiście, że nie. Ten facet jest głupi. Miałaś rację — jest zbyt szczywany, żeby być skończonym durniem, ale z pewnością jest głupi. Przestała się śmiać.

— Denerwujesz się przez niego.

— Tak. A ty nie?

— Tak.

Nazajutrz rano Garth zadzwonił do Lloyd Straussa.

— Złożyłeś moją karierę w ręce głupiego skurwysyna, który już się dorozumiał, że jestem winny. Ostrzegam cię, Lloyd... — Garth, tylko mnie nie ostrzegaj! Wystarczająco dużo się nasłuchałem od rektora. Niech mnie diabli, jeśli będę wysłuchiwał twoich połajanek. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że nie jesteś icdyną osobą na świecie, która ryzykuje swoją pracę i przyszłość? Chcę pozbyć się tego całego cholernego zamieszania, a jeżeli myślisz, że odwołam wywiadowcę tylko dlatego, że pogłaskał cię pod włos... Och,

cholera. Słuchaj, mnie też on się nie podoba! Ale trzeba było działać szybko, a został mi polecony przez kogoś, kto korzystał już z jego usług. Zadzwoń do nich, czy nie mogliby przydzielić do tej sprawy innego. Wystarczy?

— Wystarczy — Garth odwiesił słuchawkę, zanim Strauss zdążył go ostrzec, żeby znowu nie robił niczego na własną rękę. Po wyjściu Jenksa postanowili, że zaczną rozmawiać ze studentami z listy Gartha. Któryś może się z czymś zdradzić. Nawet jeżeli szanse na to były słabe, bezczynne siedzenie było nie do zniesienia.

Zadzwoił do *Staroci*.

— Chciałem tylko usłyszeć twój głos. I powiedzieć, że cię kocham. Rozmawiałem z Lloydem, przyrzekł, że postara się o kogoś nowego na miejsce naszego głupkowatego przyjaciela. Odezwał się wreszcie Marty Talvia. Przepraszał wciąż, że sprawił nam wszystkim zawód. Poradziłem mu zająć się Lindą. My to jakoś przeżyjemy. Czy ona jest tam z tobą?

— Tak, obmyślałyśmy plan wyprzedaży. I obiad na Święto Dziękczynienia. Marty ma nową pracę.

— Mówił mi. Dlatego właśnie zadzwonił. Nie miał odwagi z nami się skontaktować, póki znów nie będzie zarabiał na życie. Więc Święto Dziękczynienia będzie dniem celebracji.

— Dla nich. Dla nas jeszcze nie. O której wrócisz do domu?

— Około piątej. Będziesz już?

— Jasne.

Sabrina wyszła w południe, żeby zadzwonić z domu do Londynu.

— Nicholas, mówi Stefania Andersen. Nie miałam od ciebie wiadomości o *Ambasadorze*.

— Ach, moja droga Stefania, miałem zamiar napisać ci o tym. Twoja zmarła siostra byłaby zadowolona. Wszystko idzie wręcz znakomicie.

— Co to znaczy, Nicholasie?

— Kupiliśmy na aukcji fotel z podnóżkiem i zegar z połączanego brązu, o których wcześniej wspomniałaś. Nabyliśmy również bieliźniarkę w stylu regencji od...

— Nicholas.

— Tak, Stefania.

— Co sprzedaliście?

— Ach, co sprzedaliśmy. O tej porze roku jest na ogół zastój...

— O tej porze roku nie ma żadnego zastój, Nicholasie. Za kogo mnie bierzesz? To dla naszych klientów pełnia sezonu. Co z twoim własnym sklepem?

— Wiedzie nam się... dobrze.

— Czy to zasługa Amelii?

— Moja droga Stefano, mówisz zupełnie jak Sabrina. Smutno mi się robi na wspomnienie.

— Nicholasie, może poprosisz Briana do telefonu.

— Nie, nie, Stefano, nie ma potrzeby. Prawdę powiedziawszy, sprzedaliśmy francuski zegar, ten z aniołkami, pamiętasz, i oba przedmioty kupione na aukcji w Chilton. Ponadto sądzę, że uda nam się sprzedać sekretarzyk w stylu Jerzego V do nowej rezydencji wiejskiej lady Stargrave.

— Za ile poszedł zegar?

— Trzy tysiące.

— Można było dostać za niego cztery. A przedmioty z Chilton?

— Dwadzieścia trzy tysiące za oba.

— Doskonale. Nie chce mi się wierzyć, że chciałeś to przede mną ukryć.

— Nie, nie, moja droga. To miała być niespodzianka. Jak można coś przed tobą ukryć, nawet gdyby taka myśl zaległa się w moim umyśle? Sidney Jones co dzień zagląda mi przez ramię. Przy okazji, pyta, kiedy znowu przyjedziesz.

— Wkrótce. Czy jestem tam teraz potrzebna?

— Oczywiście, droga Stefano, skoro od ciebie wciąż zależą wszystkie poważniejsze decyzje w *Ambasadorze*. Olivia twierdzi nawet, że tak bardzo przypominasz jej Sabrinę, iż chciałaby twojej przeprowadzki tutaj, bo wtedy wszyscy moglibyśmy udawać... O mój Boże, jak to teraz zabrzmiało! Gdy Olivia...

— Tak, wiem, Nicholasie. Olivia ma zwyczaj wypowiadać najbardziej skandaliczne uwagi tak, jakby nie było w nich nic niezwykłego.

— Wielki Boże, czy Sabrina naprawdę opowiadała ci o nas takie szczegóły?

— Często.

Nie mogę na razie położyć kresu temu udawaniu, pomyślała, ale gdy tylko wrócę, powiem im prawdę. Rozmawiała jeszcze przez jakiś czas z Nicholasem o grudniowym zamówieniu dekoratorskim i dała mu instrukcje co do dwóch aukcji. Nicholas słuchał jej teraz z uwagą; przestał ją traktować jak ignorantkę z prowincji, którą można lekceważyć. W końcu odwiesiła słuchawkę, ale zanim wyszła z pokoju, poraziła ją nowa myśl z taką siłą, że musiała usiąść. *Gdy tylko wrócę, powiem im prawdę. Ale jak to zrobić? Jak przyznać się rodzicom czy komukolwiek, że jest Sabriną, żeby to nie dotarło do Gartha? Wieść dojdzie i do niego, na pewno.*

Wstała i zaczęła chodzić po kuchni z założonymi rękami, nerwowo masując sobie ramiona.

***Nie mogę wyznać Garthowi prawdy. Nie mogę jej wyznać nikomu.***

***W takim razie będę musiała do końca życia być Stefanią Andersen. Sabrina Longworth pozostanie wśród martwych. Co jest, rzecz jasna, zgodne z prawdą. Wszyscy byliśmy na jej pogrzebie.***

***Och, Stefanio, popatrz, co narobiłyśmy!***

### *Rozdział trzeci*

Rano dwudziestego listopada spadł śnieg. Lekki pył niczym szept ostrzeżenia przed tym, co niosła przyszłość. Stalowoszare niebo wisiało nisko nad podwórkiem, nad czarnymi konarami drzew kosmatych od śniegu i rysującymi się delikatnie jak pajęczyna krzakami. Garth rozpałił w piecu, Sabrina pomogła szukać zagubionych rękawiczek i w końcu Penny i Cliff ostrożnie ruszyli dróżką przed domem, podziwiając własne ślady.

Po ich wyjściu Sabrina dopiła kawę stojąc we frontowym oknie. W ogródku żdźbła trawy i lodygi chryzantem sterczały spod śniegu. Od bieli ulicy odcinały się ciemne pasy śladów opon. Drobnym śnieżek osiadał na dachach, kominach i parapetach. Słaby wietrzyk poruszał gałęziami. Od czasu do czasu śnieg zsuwał się z miękkim westchnieniem i kaskadą spadał na ziemię.

Jesień zdażyła już przejść w zimę, a ani śladu sukcesu w sprawie /mycia plamy na reputacji Gartha. Wciąż widziano ich razem, Sabrina stawała przy jego boku na imprezach towarzyskich, a każdy dzień przynosił nowe zaproszenia. Nie rozpoczęli jednak rozmów ze studentami z listy Gartha. Byli na to zbyt szczęśliwi kochając się i żyjąc razem bez żadnych zahamowań. Pełni ufności, radości i życia.

#### ***Dzięki śmierci mojej siostry.***

Odwróciła się od widoku białego świata na zewnątrz i wróciła do kuchni. Znów to samo. Spychała prawdę na dno pamięci, majaczyły jej się jakieś projekty pozostania z Garthem mimo wszystko. Jakby w jakiś sposób prawda mogła stać się czymś, co bezpowrotnie minęło i co nie ma nic wspólnego z teraźniejszością.

Oszukiwała samą siebie. A przecież obiecała sobie nigdy tego nie robić. ***Bo nie mogę ciągnąć korzyści ze śmierci mojej siostry.***

***Pewnego dnia, gdy najmniej się tego będziemy spodziewać, prawda się na nas zemści. I zniszczy nas.***

Zabrzącał telefon. To Garth, z uczelni.

— Widzę w kalendarzu, że w grudniu mam zjazd w Nowym Jorku. Możesz załatwić z Madeline kilka wolnych dni? Chcę, żebyś ze mną pojechała.

— Kiedy?

— Trzeciego. Na trzy dni. Spytał Vivian, czy wezmą Penny i Cliffa. Będziemy kiedyś musieli zająć się jej dziećmi na pół roku, żeby się odwdzińczyć za te wszystkie razy, gdy wyświadczała nam tę przysługę. Pojedziesz?

— Tak, z wielką chęcią. — Jakie to dziwne. Zadzwoił właśnie w chwili, gdy raz jeszcze uprzytomniła sobie jasno, że musi go opuścić. — Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli stamtąd polecę do Londynu, żeby zająć się interesami?

Zapadła ledwo uchwytna pauza.

— Jasne, że nie. Chcesz, żebym z tobą pojechał?

— Nie. Chcę jechać sama. ***Bo już tu nie wrócę.***

— Jeżeli tego chcesz, to oczywiście powinnaś tak zrobić. Dużo czasu ci to zajmie?

— Nie wiem. Ale gdy już tam dotrę, do tego domu... zatrzymam się pewnie na dłużej.

Tym razem pauza była dłuższa. Garth prawie przekonał samego siebie, że żona porzuciła myśl o zamieszkaniu w domu swojej siostry i pójsciu w jej ślady. Teraz, nieoczekiwanie, znów mówiła o odejściu od nich, o zabawie w inne życie. Wygląda na to, że gdy wszystko między nimi układa się jak najlepiej, natychmiast myśli o ucieczce. Zastanowił się, czyby jej nie przypomnieć, że przyrzekła zostać przynajmniej do czasu, gdy wyjdzie na jaw tożsamość autora anonimów. Nie miał jednak zamiaru jęczeć i błagać.

— Pomówimy o tym później — rzekł. — Ale załatwisz sobie wolne na Nowy Jork?

— Tak. Jem dzisiaj lunch z Vivian, pomówię z nią o opiece nad Penny i Cliffem.

— Wyglądasz tak ponuro jak nasza przedwczesna zima — orzekła Vivian, przysiadając się do niej w południe w restauracji. — Czy mogłabym temu jakoś zaradzić?

— Powiedz coś wesołego. Na przykład coś o twoim etacie. Garth twierdzi, że decyzja była jednogłośna. Czy pogratulowałam ci jak należy?



— Powinnaś podziękować jak należy swojemu mężowi. Przechytrzył naszego byłego dziekana, wyprowadził w pole potulną komisję i postawił na głowie stuletnią politykę kadrową. To jego osiągnięcia tylko w obrębie uczelni. Oprócz tego dzięki niemu rodzina Goodmanów nie musi się wypuszczać na tułaczkę, nie muszą szukać nowej pracy, mam poczucie bezpieczeństwa. Zaznałam go po raz pierwszy. Czy powiedział ci, że przezwałam go „Święty Garth”?

Sabrina ze śmiechem pokręciła przecząco głową.

— Niewątpliwie powstrzymała go od tego skromność.

— On jest naprawdę skromny. Dziw nad dziwy. Każdy, kto cieszy się taką renomą i popularnością, ma prawo puszyć się od czasu do czasu. Wiesz, jego studenci są z niego tak dumni. Och, opowiem ci, co jedna z nich powiedziała — dziewczyna, która chodzi do mnie na zajęcia z genetyki. Rozmawialiśmy o pracach Gartha i ona powiedziała... napiszę ci to, wtedy efekt jest lepszy.

Vivian napisała jakieś słowo na papierowej serwetce i pokazała je Sabrinie.

— Gen-iusz — przeczytała Sabrina raz i drugi. *Strzał w dziesiątkę.*

— Sprytne — powiedziała od niechcienia. — Jak się nazywała ta dziewczyna?

— Rita McMillan. Słowo „sprytny” dobrze oddaje jej naturę. Nie jest dobrą studentką, nauka ani trochę jej nie interesuje, ale jest sprytna. Typ osoby, która zmierza do celu prostą drogą. Wszystko jedno jaką. A teraz powiedz mi, czy twoja posepna mina ma coś wspólnego z anonimem na temat Gartha?

To zaskoczyło Sabrinę.

— Widziałaś go?

— Aż do tej chwili nie byłam pewna, czy naprawdę istnieje. Na całym wydziale brzęczało do plotek. Poza tym kręci się u nas jakiś facet o gębie jak klej stolarski, zadając zdecydowanie chamskie pytania, na które wszyscy zdecydowanie odmawiają odpowiedzi. Nikt nie wierzy, żeby Garth miał coś wspólnego z tą aferą. Ma na to nie tylko za wysokie poczucie moralności, ale również za dużo inteligencji. Powiedz mi, co się dzieje?

Sabrina opisała wizytę Jenksa i sposób, w jaki Garth się go pozbył. Pośmiały się razem.

— Muszę wracać do pracy — powiedziała wreszcie Sabrina. — Aha, o mało nie zapomniałam. Czy możemy jeszcze raz nadużyć waszej uczynności i oddać wam Penny i Cliffa, tym razem na trzy dni? Garth ma jakiś zjazd w Nowym Jorku, który zaczyna się trzeciego grudnia, i chce, żebym z nim pojechała.

— Oczywiście, że ich weźmiemy. Nasze dzieciaki ich uwielbiają. Sądzę, że Barbara w głębi ducha marzy o tym, żeby być Penny Andersen. Kiedy wyjeżdżacie?

— Dam ci znać. Dobra z ciebie przyjaciółka, Vivian.

— To ja mam dobrych przyjaciół. Ruszam na zajęcia. Do zobaczenia wkrótce.

— Vivian?

— Tak?

— Czy to te zajęcia, na które chodzi Rita McMillan?

— Tak, dlaczego pytasz?

— Jestem po prostu ciekawa. To był bardzo miły lunch. Sabrina zadzwoniła do Madeline i powiedziała jej, że nie przyjdzie już tego dnia do pracy.

— Wielka szkoda — rzekła Madeline. — Uśmiełabyś się na widok Lindy, która chodzi za mną krok w krok, badając różne gatunki drewna i ucząc się na pamięć konturów i metod konstrukcji. Szybko się uczy i zaczyna nabierać więcej wiary w siebie. Zrobiłaś dobry uczynek, kierując ją do mnie.

Owszem, zgodziła się po cichu Sabrina. I będzie on miał dłuższy żywot niż mój pobyt tutaj.

Rozważała, czy nie wstąpić do Gartha, żeby powiedzieć mu o Ricie, ale wiedziała, że będzie chciał osobiście rozmawiać ze studentką. Sama się tym zajmę, pomyślała. Po to właśnie zostałam — żeby zrobić to dla niego i dla Stefanii.

Pod koniec zajęć Sabrina zatrzymała jakiegoś chłopaka pod salą Vivian i poprosiła o wskazanie Rity McMillan. Gdy to uczynił, podeszła do niej bez namysłu.

— Stefania Andersen — przedstawiła się wyciągając rękę. Dziewczyna, jasnowłosa i giętka, o bladoniebieskich oczach, niechętnie dotknęła jej dłoni bezwładnymi palcami. — Chcę z tobą porozmawiać. Po drugiej stronie ulicy jest klub wydziałowy; tam będzie nam wygodnie.

— Myślę, że nie...

— To bardzo ważne. Zdaje się, że w zeszłym roku uczyłaś się genetyki u mojego męża?

Zauważyła, że na twarzy dziewczyny pojawił się nagły rumieniec, oznaka niepokoju. Żadna z nich nie odezwała się, póki się nie znalazły w klubie wydziałowym. Sabrina była tu uprzednio z Garthem i recepcjonista, który ją rozpoznał, skoczył na równe nogi na jej powitanie.

— Pani Andersen! Jak miło znów panią zobaczyć! — Obrzuciwszy Ritę krótkim spojrzeniem, zwrócił na Sabrinę zachwycone oczy. — Za

kilka minut zaczniemy podawać w salonie kawę. Czy ma pani ochotę na owoce lub jakiś deser?

— Czy mogłabym prosić o herbatę?

— Herbata! Oczywiście. Nikogo nie ma teraz na górze — dodał. — Będzie do pani wyłącznej dyspozycji.

Sabrina uśmiechnęła się do niego, nie zaspokajając w niczym jego ciekawości. Weszły po schodach do długiego pokoju o wysokim suficie, zastawionego gęsto biurkami, fotelami i krzesłami. Usiadły w kącie w dwóch wolteriańskich fotelach, niemal się dotykając. Sabrina złożyła ręce na podołku i utkwiała nieruchomo, badawczy wzrok w Ricie. Nie uszedł jej uwagi wyraz zdumienia w okrągłych oczach dziewczyny. Nie jest przyzwyczajona do tego, by jakiś mężczyzna podziwiał starszą od niej kobietę, a na nią nie zwracał uwagi, pomyślała Sabrina. A jaka stara muszę się jej wydawać mając trzydzieści dwa lata!

Dziewczyna zaczęła się kręcić pod spokojnym spojrzeniem Sabriny.

— No? — odezwała się zaczepnie. — Jestem tutaj, czego pani chce?

— Sądzę, że nie byłoby źle, gdybyśmy się poznały. Jesteś tuż przed dyplomem, tak?

— Tak — odparła Rita siedząc na brzeжку fotela.

— Czy nie miałaś przypadkiem zrobić dyplomu w zeszłym roku w czerwcu?

— Ja... zmieniłam plany.

— A co masz zamiar robić po studiach?

— Nie wiem. Podróżować, może znaleźć jakąś pracę.

— Jakiego rodzaju pracę?

— Nie wiem. Coś fascynującego. Może projektowanie strojów. Dekorację wnętrz. Coś w tym rodzaju.

— I stać się sławną?

— Pewnie, dlaczego nie?

— Pani herbata, pani Andersen. — Starszy kelner z jadalni pojawił się pchając wózek na kółkach. Co dzień po południu klub wydziałowy serwował nieodmiennie bułeczki i kawę, lecz dla Sabriny dokonali cudów.

— Rolada — oznajmił kelner podnosząc efektownym gestem serwetkę. — Tort. Ciasteczka. Jeśli wolałaby pani jeszcze coś innego...

— To będzie znakomite — Sabrina obdarzyła go uśmiechem. — Doprawdy niezwykła uczta. Dziękuję.

Odwzajemnił jej uśmiech i zwlekał chwilę, zanim odszedł na drugą stronę pokoju, żeby włączyć elektryczny dzbanek do kawy. Nat Goldner, który schodził właśnie z biblioteki na drugim piętrze,

wytrzeszczył w zdumieniu oczy na Sabrinę i pocałował ją przy powitaniu w policzek.

— Czy zahipnotyzowałaś całą obsługę kuchenną?

— Wygląda na to, że magicznym zaklęciem jest tu słowo „herbata”.

— Nie wtedy, gdy ja je wypowiadam. Mogę się dosiąść?

— Nie teraz, Nat. Darujesz nam? To prywatna rozmowa.

— Wobec tego innym razem, jeżeli mi obiecasz, że znów posłużysz się zaklęciem. Rozumiem, że zobaczymy się w Święto Dziękczynienia. U was czy u nas?

— Przekonałam Dolores, że urządzimy je u nas.

— Przyniosę wino. — Kiwnął głową Ricie i cmoknął Sabrinę w policzek. — Do rychłego zobaczenia.

Rita zagłębiła się w fotel, patrząc na Sabrinę z jawną zazdrością.

— Nie ma co, wie pani, jak ich sobie owinąć wokół palca!

— Traktuję ludzi z szacunkiem — odparła łagodnie Sabrina, podając jej filiżankę herbaty. — Więc — ciągnęła z namysłem — chcesz zostać sławna. Gdy tak się stanie, będziesz miała wielu przyjaciół.

Rita skinęła głową z satysfakcją. — Wiem.

— Lecz oprócz tego zapewne kilku wrogów. Najczęściej tak bywa, że im więcej zna się ludzi, tym większe szanse, że wywołamy w kimś urazę lub zazdrość, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Pewna jestem, oczywiście, że będziesz miała więcej przyjaciół niż wrogów, ale musisz być przygotowana na obie ewentualności. Bo gdy się jest sławnym, nigdy nie ma się pewności, co ludzie o tobie myślą lub jak o tobie mówią. Oczywiście bierzesz to pod uwagę.

— Co?

— To, że ludzie mogą mówić o tobie różne rzeczy, które nie są prawdą. — Sabrina nie była już napięta i kontrolowała swój gniew. — Coś takiego nazywamy plotką. Wiesz dobrze, co to plotki: wszędzie się pojawiają. Czy zastanawiałaś się kiedyś, po co ludzie je robią? Czasem dla urozmaicenia albo z chęci popisania się, a bywa, że tylko po to, żeby zobaczyć, jak ludzie zareagują. Lecz chyba najczęściej z zemsty. Jeszcze herbaty?

Rita nie odrywała od niej niebieskich oczu. — Nie.

Nalała do swojej filiżanki.

— To jasne, że nikt przy zdrowych zmysłach, jeśli mu zależy na karierze projektanta mody lub dekoratora wnętrz, nigdy by sobie nie pozwolił na rozpuszczanie plotek. Ostatecznie, jak ci wiadomo z his-

torii, plotki były przyczyną wojen, masowej paniki i rewolucji... Wobec tego kto zaufałyby osobie, która zapoczątkowała choćby jedną fałszywą pogłoskę? Osobie niebezpiecznej, której nieopatrznie wymyka się jakiś szept, mały dowcip — albo która pisze list anonimowy... Blade oczy zamrugały.

— Próbuje pani mnie nastraszyć?

— Po co miałabym to robić?

— Bo pani mnie nie lubi.

— Nie znam cię; ani cię lubię, ani nie lubię. — Sabrina sięgnęła po filizankę i poprzez unoszące się między nimi smużki pary napotkała czujne spojrzenie oczu dziewczyny. — Ale to prawda, że istnieje między nami konflikt zainteresowań i inaczej rozumiemy pojęcie lojalności.

Na twarzy Rity odbiła się niepewność.

— Interesują cię tylko własne przyjemności, a lojalna jesteś jedynie wobec siebie. W normalnych warunkach nie przejmowałabym się tym, ponieważ osoby egocentryczne są dla mnie nudne i łatwo o nich zapominam. Lecz twoja miłość własna zagraża mojemu mężowi, który bardzo mnie obchodzi i wobec którego jestem całkowicie lojalna, więc nasze ścieżki się krzyżują.

— Nie wiem, o czym pani mówi. — Wydęte usta zacisnęły się w ponury grymas. — Pani ma źle w głowie.

— To był błąd — powiedziała miękko Sabrina. — Nie powinnaś wzbudzać mojej antypatii, raczej zabiegać o moją sympatię. — Nie obchodzi mnie pani...

— I owszem. A przynajmniej powinnam. — Pochyliła się do przodu przykuwając swoim spojrzeniem wzrok dziewczyny. Mówiła cicho, lecz jej słowa cięły jak stal. — Ponieważ mam zamiar wyciągnąć na jaw to, co zrobiłaś, i uniemożliwić ci skończenie studiów.

— Nie może pani tego zrobić! To się pani nie uda! Tylko dlatego, że pani mąż mnie nienawidzi...!

— Mój mąż ciebie nienawidzi? Dlaczego?

— Bo... bo nie chciałam iść z nim do łóżka — odparła godnie Rita. Sabrina z ubolewaniem potrząsnęła głową.

— Ty mały głuptasie. Nie mogłabyś chociaż raz użyć swojej głowy, n nie seksu? Jak myślisz, jak długo uda ci się pchać w górę wygrywając to, że jesteś kobietą? Ile możesz dostać w zamian? I ile zawrzesz po drodze przyjaźni, skoro za każdym razem, gdy się sprzedajesz, będziesz utrudniała sytuację kobietom, które polegają na swoich zaletach umysłowych?

— To on kazał pani to powiedzieć! To samo mówił mi w czerwcu. Sabrina odsunęła od siebie filizankę.

— A teraz posłuchaj, co ci powiem. Mój mąż nie wie, że z tobą

rozmawiam. Masz do czynienia ze mną i rozstrzygniemy to pomiędzy sobą. A nawet gdyby wiedział, że tu jestem, nie mówiłabym pod jego dyktando. N i k t mi nie dyktuje, co mam mówić. Sama o tym decyduję i nie proszę nikogo o pozwolenie. Rozumiałabyś to, gdybyś podchodziła do siebie samej jak do osoby, a nie maszynki do uprawiania seksu. — Zrobiła pauzę. — Ale rozmawialiśmy przecież o czymś innym, prawda? O twoich studiach, anonimowym liście i gen-iuszu, który je pisze.

Zaległa długa cisza. Sabrina obserwowала, jak na twarzy Rity odbijają się kolejno różne uczucia, w miarę jak dziewczyna próbuje wymyślić jakąś ripostę. W końcu skuliła się bezradnie.

— Chce pani na mnie naskarżyć? Naskarżyć. Jakby miała trzy latka.

— A co mogłam mieć na myśli mówiąc, że wyciągnę na jaw twoje sprawki?

— Nie wiem. Nie miałam pojęcia, że pani wie o listach. — Czekala chwilę. — Ale pani nie może mnie wydać! Zostawią mnie na drugi rok albo nawet wyrzucą, a wtedy nie skończę studiów!

— Oczywiście, że nie skończysz studiów — rzekła Sabrina z irytacją. — Powiedziałam, że ci to uniemożliwię.

— Ale ja muszę zrobić dyplom! Rodzice powiedzieli, że nie będą dawać mi dłużej pieniędzy. Muszę skończyć studia w tym roku. Nie mam swoich własnych pieniędzy, więc muszę.

Doskonała logika, pomyślała Sabrina.

— W jaki sposób masz zamiar zrobić dyplom?

— Mam cztery z zajęć i to wszystko, czego mi potrzeba.

— Nie, musisz mieć jeszcze mnie po swojej stronie. Rita spojrzała na nią z oszołomieniem, gryząc paznokiec.

— Ale ja nic nie mogę dla pani zrobić.

— Pomyśl o tym — zasugerowała jej Sabrina. — Zważywszy, że nie mam najmniejszej ochoty iść z tobą do łóżka, cóż interesującego mogłabyś mi zaproponować?

Rita znów przygryzła paznokiec, rozglądając się nieprzytomnie po pokoju, a potem spojrzała na Sabrinę z przerażeniem.

— Chce pani, żebym powiedziała, że to, co napisałam, to nieprawda! Ale w takim razie musiałabym się przyznać do pisania tych listów! Nie mogę tego zrobić! Wyleją mnie! Nie skończę studiów!

— Sądzę, że to sprawa do przedyskutowania — powiedziała Sabrina z westchnieniem. — Pójdę z tobą na rozmowę do zastępcy rektora. Jeżeli przyznasz się do wszystkiego, może we trójkę coś wymyślimy. — Odepchnęła wózek z herbatą i nachyliła się bliżej ku Ricie. — No proszę. Może omówimy sobie szczegółowo, co mu powiesz?

Rano w Święto Dziękczynienia znowu zaczął sypać śnieg i padał cały dzień.

— Bardzo dobrze — powiedziała energicznie Dolores. — Ziemi jest potrzebna wilgoć. Mieliśmy suche lato i jesień.

— Śnieg musi ci być głęboko wdzięczny za to, że pozwalasz mu padać — rzekł Nat obejmując ją czule ramieniem. Dolores uśmiechnęła się ze spokojem.

— Nie każę mu przecież przestać. — Mrugnęła do Lindy, wracając do ucierania żurawin.

Linda chwyciła Sabrinę za ramię.

— Widziałaś? — spytała donośnym szeptem. Jej policzki były purpurowe od gorąca, jakie było z pieca, a czarne oczy rzucały iskry. — Czy widziałas kiedyś przedtem, żeby Dolores mrugała?

— Nie — odpowiedziała uczciwie Sabrina. Kroiła pomarańcze i podawała je Dolores, która mieszała je z żurawinami, podczas gdy Linda tarła gałkę muszkatołową do słodkich ziemniaków. Pikantny zapach wypełnił kuchnię, zmieszał się z przenikającą wszystko wonią nadziewanego indyka, który piekł się w piecu, i smakowitym aromatem stygnących ciast z dyni. Na drugim końcu kuchennego blatu Garth i Marty przyrządzali pudding kukurydziany według recepty prababki Gartha, którą to receptę usiłował odgrzebać w pamięci w miarę wykonywanych czynności, dyskutując z Martym na temat proporcji składników i właściwości sody i kwaśnego mleka. Nat otwierał butelki z winem, podlewał indyka tłuszczem i krążył po pokoju próbując wszystkiego.

Sabrina słuchała śmiechu i rozmów. Wciągnęła głęboko powietrze, jakby kojarząc zapachy i dźwięki z uczuciem szczęścia, jakie ją przepęłniało. Chciała to zachować w pamięci. Ponieważ Gordonowi werdykt lekarski zakazał podróży, Sabrina uniknęła bystrego wzroku matki i mogła uczestniczyć w pierwszym, od czasu gdy miała piętnaście lat obiedzie na Święto Dziękczynienia bez napięcia. Po raz pierwszy leż obchodziła taki dzień w gronie przyjaciół, gotując, dekorując pokoje kwiatami i kolbami kukurydzy, które przyniosła Dolores, słuchając chichotów i paplaniny dzieci nakrywających do stołu, gdy za oknami opadały płatki śniegu, ciemne na tle szarego nieba, tworząc na ziemi miękkie zaspy. Pierwszy i ostatni raz, pomyślała. Nawet ten dzień nie należy do mnie, to powinien być dzień Stefanii. Na pomarańczę, którą właśnie rozcinała, spadła łąza.

— Zawsze myślałem, że łązy wywołuje krojenie cebuli — dowcipkował Nat. — Pierwszy raz widzę, żeby pomarańcze dawały taki efekt. Może cię wyręczę?

Sabrina potrząsnęła głową.

— To minie.

— Żałoba zawsze mija, choć nie wspomnienia. Tak mało czasu upłynęło... A potem przejmowałaś się tą sprawą z Garthem. To mi coś przypomina. — Nalał z otwartej butelki wina do sześciu kieliszków i rozdał je obecnym. — Panie i panowie, chciałbym wznieść pierwszy toast dzisiaj. Po nim niewątpliwie nastąpi wiele innych, miejmy nadzieję. — Zrobił pauzę, a wszyscy zwrócili się w jego stronę. — Spływają na nas, rzecz jasna, niezliczone dobrodziejstwa losu, które dają nam powody do radości, ale w chwili obecnej trzy z nich wybijają się na plan pierwszy. A więc wznoszę toast za Martina Talvie, nowego redaktora firmy wydawniczej *Fairbanks Publishers*, który zrewolucjonizuje podręczniki pilnując, aby je pisano po angielsku, a nie w jakimś okropnym żargonie. I za Gartha Andersena. Odniósł on zwycięstwo nad obelżywym kłamstwem, w które mógł uwierzyć tylko przebrany za wywiadowcę heteromorficzny nadęty półgłówek i imbecyl.

— To znaczy zadający kłam naturze — wyjaśnił Marty, gdy Linda i Dolores zaczęły się domagać wyjaśnienia. Sabrina przypadkiem ujrzała w ciemnej szybie odbicie całej ich szóstki stłoczonej w kuchni koloru miodu, gdy za oknami zapadała wczesna zimowa noc. Żałoba mija, wspomnienia nie. ***Zachowam moje wspomnienia.***

***Wspomnienia o Stefanii. Oraz jej rodzinie i przyjaciółach. Bo niedługo oni też będą należeć do przeszłości.***

— A to trzecie dobrodziejstwo losu? — zapytała Dolores.

— Twoja kolej — zwrócił się Nat do Gartha.

— Moja żona — powiedział Garth i ujął rękę Sabriny. — To ona wykryła naszego autora anonimów i w toku rozmowy, której szczegółów nie chciała mi wyjawić, tak poskromiła tę młodą kobietę, że ta poszła z nią potulnie do biura Lloyda Straussa, gdzie spisano atramentem pełne przyznanie się do winy, i podpisała je. Moja żona przekonała też Lloyda, zgodnie z udzieloną wcześniej obietnicą, żeby pozwolił przestępczyni ukończyć studia. Następnie, po wyjściu dziewczyny - to już powiedział mi sam Lloyd — tak mu zmyła głowę, że długo tego nie zapomni, i stała nad nim jak kat nad dobrą duszą, gdy czytał swojej sekretarce oświadczenie, które miało zostać przetelefono-wane do prasy. Na koniec oświadczyła, że nie wyjdzie, dopóki Lloyd nie ustali daty ogłoszenia mojej nominacji na dyrektora Instytutu Genetyki.

Dotknął kieliszkiem kieliszka Sabriny.

— Za moją żonę. Moją najdroższą ukochaną. W oczach Lindy pojawiły się łzy.

— Stefanio, nigdy nie pisnęłaś słowa. To najwspanialsza historia, jaką w życiu słyszałam.

— Biedny Lloyd — jęknął Nat ironicznie. — Być rzuconym na pastwę gniewu Stefanii. Musiał być przerażony.



— Zasłużył na to — oświadczyła Dolores z pogardą.

— Żałuję — powiedziała cicho Linda do Marty'ego — że nie zrobiłam czegoś tak wspaniałego dla ciebie.

— Zrobiłaś — odparł. — Zostałaś ze mną.

W pokoju wyzłoconym światłem i przesyconym woniami Sabrina przytuliła dłoń do policzka Gartha.

— Kocham cię.

Objął ją, tak że jego wargi znalazły się tuż przy jej ustach.

— Moje życie, mój świat, moje całe istnienie. Zamknęła oczy. *Nie mogę, nie mogę go opuścić.* Po chwili uniosła powieki.

— Ja również chcę wznieść toast.

— Liczę na to — powiedział Nat. — Mój kieliszek jest już pusty. Zauważył, że łyzy Stefanii obeschły. Była olśniewająco piękna.

Dziwne, wszyscy od dawna oswoili się z jej urodą, a przecież niekiedy jakby zaskakiwała ich na nowo. Zarumieniona od kuchennego gorąca, z odgarniętymi niedbale do tyłu włosami, które przytrzymała złota opaska, wyglądała dzisiaj zarazem jak prześliczna kobieta i po uszy zakochana młoda dziewczyna. I dlaczegóżby nie, po słowach Gartha? Patrząc na nią trudno było uwierzyć, że jak Garth mówił, jeszcze niedawno, po pogrzebie, była bełkoczącą bez związku, pogrążoną w rozpacz kobietą. Wciąż jednak zdarzały jej się przejęzyczenia, gdy myślała o sobie jako o Sabrinie, i Nat wiedział, że jeszcze nie przyszła do siebie. Choć w tej chwili zdawało się, że dokładnie zdaje sobie sprawę z tego, kim jest.

Pogrążony w rozmyślaniach o niej, nie dosłyszał toastu. W chwilę później zrozumiał, że pili za zdrowie Gartha, który został wybrany do ogólnokrajowego zespołu konsultantów w dziedzinie badań genetycznych. Wielki zaszczyt dla człowieka, który nie przekroczył jeszcze czterdziestki, nic dziwnego, że byli zadowoleni.

— ...W przyszłym tygodniu w Nowym Jorku jest zjazd zespołu — mówił właśnie Garth.

— Stefania też jedzie? — spytała Linda. — A ta wyprzedzaż...

— Madeline ci pomoże — pocieszyła ją Sabrina. — A ja będę pracować razem z tobą przez cały tydzień przed wyjazdem. Nauczyłaś się już tak dużo, niedługo będziesz świetna w tym zawodzie i dobrze o tym wiesz. Madeline sądzi, że jesteś zdumiewająca. Ja też.

— Mamo, umieramy z głodu! — zawołał Cliff wpadając do kuchni. — Kiedy będziemy jeść?

— Mój Boże, ten ptak! — krzyknął Nat. — Zaniechałem swoje obowiązki podlewacza! — Otworzył piecyk. — No więc, kiedy będziemy jeść?

— Za godzinę — orzekła Dolores — pod warunkiem że Garth i Marty wsadzą zaraz do pieca tę podejrzaną kukurydzianą papkę.

— Możemy wziąć trochę precli? — spytał Cliff.

— Tylko z umiarem — przestrzegła Sabrina. — Czekają nas ucztą. Gdy wszyscy znów się zakrzętnęli po kuchni przy rozmaitych

zajęciach, rzuciła szybkie spojrzenie w okno. Szyba była gładka i ciemna, wszystkie odbicia znikły.

Nazajutrz po kolacji Sabrina weszła po schodach na drugie piętro i zasiadła przy biurku Stefanii. Pokój był opustoszały, lecz bez śladu kurzu. Widać tu było energiczną rękę Juanity. Ulotnił się gdzieś również smutny nastrój porażki. Teraz było to po prostu miejsce, gdzie przechowywano stare prójekty, czekające na swoją chwilę. Wyjęła z szuflad rejestry i zdjęcia po prowadzonym przez Stefanię biurze wyprzedaży; da je Lindzie. Miała zamiar w najbliższych latach kontynuować działalność, którą Stefania rozpoczęła.

W dziwnej ciszy, tak rzadkiej w tym domu, Sabrina patrzyła na plik kopert. Oto po kolei rozwiązywała niedokończone sprawy z życia Stefanii. Cliff uwolnił się już od swego gangu i sprawiło mu to tak wielką ulgę, że znosił niemal radośnie miesięczny zakaz wychodzenia z domu. Poszedł do Gartha z całą historią i osiągnęli we dwóch porozumienie. Z komentarza Gartha dowiedziała się tylko tyle, że „pewnego dnia Cliff doceni to, co zrobiłaś, pomagając nam zostać przyjaciółmi. Ja doceniam to już teraz. Doceniam ciebie.”

Przeprowadziła Gartha bezpiecznie przez obrzydliwą aferę z anonimowymi listami. Cały skandal powoli pokrywał się kurzem zapomnienia, a Garth był całkowicie zaabsorbowany sprawami powstającego Instytutu Genetyki. Podała pomocną rękę Lindzie, tak jak zrobiłaby to Stefania. Wkrótce rozpoczną się lekcje malarstwa Penny, a w przyszłym miesiącu wszyscy będą podziwiać na szkolnym przedstawieniu kostiumy, które uszyła dla lalek...

*Ja ich nie zobaczę. A obiecałam...*

— Mamo! Schodzisz na dół?

— Za parę minut, Cliff — odkrzyknęła.

Otworzyła szuflady biurka, żeby się upewnić, że niczego nie zostawiła. Były puste. Podniosła koperty i sięgnęła do kontaktu, żeby wyłączyć światło.

— Mamo!

— Tak, Cliff, już...

— Telefon, mamo! Z Londynu!

Z Londynu? O tej porze? Coś się musiało wydarzyć: tam była teraz trzecia nad ranem. Kto dzwoni o...?

Chwyła koperty i zbiegła do telefonu w sypialni.

— Pani Andersen, mówi Michel Bernard. Spotkaliśmy się na pogrzebie Sabriny, jeśli pani pamięta.

— Pamiętam, oczywiście. O co chodzi? Coś z *Ambasadorem*? Czy coś się stało...?

— Nie, chodzi o coś innego. Chcieliśmy panią zawiadomić o tym jak najwcześniej. Dowiedzieliśmy się dzisiaj od Scotland Yardu, że Ivana Lazło i Rory'ego Carra aresztowano za podłożenie bomby na jachcie Maxa Stuyvesanta.

Wygląda na to, że...

— Chwileczkę. Proszę chwilę zaczekać.

— O, psiarew! Proszę mi wybaczyć, Jolie kazała mi nie mówić tego zbyt gwał... hej!

— Pani Andersen, tu Jolie Fantome. Michel jest skończonym gburem i proszę o wybaczenie w jego imieniu. Nie powinien powiadamiać pani o tym w ten sposób.

Sabrina usiadła na brzegu łóżka.

— Nic się nie stało, wiedziałam przecież, że tam była bomba. To tylko dlatego, że tak zniecka mnie to dopadło. Co jeszcze odkryli?

— Wszystko zawarte będzie w naszym grudniowym artykule. Czy słyszała pani o przemycie Maxa Stuyvesanta? I o tym, że Lazło i Carr przechowywali przemycone skarby, a na boku dorabiali sobie sprzedawaniem falsyfikatów obok rzeczy oryginalnych? Wie pani to wszystko od Sabriny?

— Tak. Ale co ma do tego *Ambasador*!

— Niewiele, to tylko drobiazg. Galeria była wpisana w rejestry *Westbridge* jako klient, a reporterzy chcą dramatycznych wydarzeń; kdka sprzedanych tu i ówdzie imitacji to żadna sensacja. Interesują się Iazłem i Carrem, bo to oni podłożyli bombę na jachcie Stuyvesanta. To jest dramatyczne. I nie ma nic wspólnego z *Ambasadorem*.

— Przecież ma. Jeżeli Sabrina została zabita z powodu tego, co wiedziała...

— Nie, to nie tak było. Przypuszczaliśmy, że pani to podejrzewa, ule nie mogliśmy wtedy wykluczyć z pełnym przekonaniem. Teraz możemy. Carr i Lazło ochoczo zeznają, zwalając na siebie nawzajem

całą winę, lecz w skrócie wygląda to tak, że poróżnili się ze Stuyvesantem o falsyfikaty. On się obawiał, że ktoś może je wykryć, co wiodłoby prostą drogą do zdemaskowania jego przemytniczej działalności. Carr i Lazło sądzą, że ma zamiar się ich pozbyć, więc po prostu uprzedzili go.

— Więc to nie Sabrina... Więc oni chcieli dopaść Maxa?

— Właśnie to pani mówię. Przed kilku laty Lazło spędził jakiś czas na *Lafitte* jako sekretarz Stuyvesanta. Przemysł i dostarczanie transportów wzdłuż włoskiej Riwiery.

Sabrina przypomniała sobie łódź, którą ujrzała kiedyś o świcie, gdy wyszła na pokład, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i uciec od Dentona. Ivan Lazło na łodzi motorowej. Wszedł na pokład przy pomocy jednego z marynarzy i nie dostrzegając jej zniknął w głębi schodów prowadzących do pomieszczeń załogi.

— W związku z tym — ciągnęła Jolie — znał z tych czasów kilku członków załogi i poszedł zobaczyć się z nimi, gdy jacht stał w porcie Monte Carlo. Podczas tej wizyty podłożył bombę w kabinie. Nie nastawił jej prawidłowo i wybuchła za wcześnie, dlatego właśnie jacht zdążył oddalić się tylko o dwie mile i francuscy nurkowie zdołali go tak szybko podnieść z dna. Gdyby bomba wybuchła później, moglibyśmy się nigdy nie dowiedzieć, że to nie był wypadek.

— Zabili wszystkich tych ludzi...

— Nie obchodzili ich. Chcieli, żeby to wyglądało na wypadek. — Nastąpiła pauza. — Stefanio, czy usłyszawszy to czuje się pani lepiej, czy gorzej?

— I jedno, i drugie po trochu.

— Tak przypuszczałam. Niezbyt sympatyczna to była gromadka, ale Stuyvesant miał wielki wdzięk osobisty i lepiej niż ktokolwiek znał świat sztuki. On i Sabrina znali się od wielu lat, a niedawno urządziła jego londyński dom. Możliwe, że wybrała się w ten rejs z powodów ściśle zawodowych, żeby kupić coś dla galerii. Stuyvesant był w Chilton i na wszystkich innych większych aukcjach tej jesieni; z pewnością miał doborową kolekcję, z której mogła coś wybrać. Uczciwie nabytą.

Ona broni Sabriny Longworth w oczach jej amerykańskiej siostry, pomyślała Sabrina. Usprawiedliwia jej obecność na tym jachcie.

— Dziękuję — powiedziała. — Jestem wam bardzo wdzięczna. Jolie mówiła dalej, wspominała mimochodem, że mała przyjaciółka

Sabriny, Gabrielle, bywa ostatnio często z Brooksem Westermarckiem; Sabrina i za to była jej wdzięczna. Życie toczy się dalej, chciała przez to powiedzieć Jolie, i z twoim też tak się stanie.

— W takim razie do widzenia — zakończyła wreszcie Jolie.

— Dziękuję — powtórzyła Sabrina. — I proszę podziękować Michelowi.

— Michel dostanie kopniaka w zadek za to, że był taki gruboskórny. Sabrinie wyrwał się krótki śmiech. Ach, ci dwoje, pomyślała

z sympatią, tak samo jak wówczas, gdy była Sabriną i mieszkała w Londynie. Zastanawiała się, czy przyjaźń z nimi będzie równie bliska teraz, gdy stała się Stefanią.

Plik kopert leżał przy niej na łóżku. Jutro da je Lindzie. Wtedy już nic nie zostanie jej do zrobienia. Powróci do Londynu. Znikła nawet ostatnia przeszkoda: historia fałszerstw przedostała się do publicznej wiadomości, a *Ambasador* nie został w nią wplątany. Nie musiała się obawiać utraty renomy firmy, nikt nie ubliżył pamięci Sabriny. Jej życie również nie było zagrożone. W rzeczywistości nigdy nie groziło jej niebezpieczeństwo.

Nic nie pozostało do zrobienia. Brak już powodu, aby przedłużać pobyt tutaj.

— Mamo? Wszystko w porządku?

— Tak, Cliff. Wszystko w porządku. — Z wysiłkiem opanowała drzenie głosu.

— Możemy pograć teraz trochę w monopole?

— Nie możemy pograć trochę w monopole. To nam zajmie czas do dwunastej. Może zagramy w grę słów?

— Dobra. Idziesz?

— Zaraz.

Nie ma powodu, by zostać. Siedziała na łóżku i czuła, jak czas zwalnia, jak w ogóle wszystko zwalnia swój bieg, stopniowo dobiegając kresu. Przedmioty wokół niej rysowały się ostro i wyraźnie, zwyczajne meble zdawały się żarzyć i wypalać w jej pamięci jak wcześniej obrazy ze Święta Dziękczynienia. Dobrze, niech się wypalą, tak żeby w przyszłości, zamknawszy oczy, mogła je ujrzeć jak żywe. Za trzy dni, w poniedziałek, odejdzie. Najpierw pojedzie z Garthem do Nowego Jorku, a potem, już sama, do Londynu. Stefania Andersen wróci do życia Sabriny Longworth.

My zawsze tutaj będziemy, powiedział kiedyś Garth, jak niedokończona historia.

*Jedyna sprawa z życia Stefanii, i mojego, której nie mogę zakończyć.* Dwa urwane w połowie życia, powiedział Garth. *Tak. Ale to lepsze niż ranić cię prawdą. Albo żyć z tobą w kłamstwie dzięki śmierci mojej siostry.*

— Mamo!

*Nie trzeba o tym myśleć. Trzeba cieszyć się tymi kilkoma ostatnimi liniami.*

— Tak, Cliff — powiedziała i zeszła na dół.

Gdy próbowała przypomnieć sobie później te trzy dni, jawiły jej się w pamięci jako mętny chaos głosów i gestów. Żadnych pojedynczych chwil. Zostały tylko ogólne, zamazane wrażenia: od euforii szczęścia do czarnej rozpacz. I godziny przeciekające jej między palcami mimo prób, żeby je powstrzymać.

W piątkowy wieczór Lloyd wydał uroczystą kolację dla członków rady nadzorczej, pracowników uczelni i naukowców zaproszonych z innych placówek. Penny i Cliff byli obecni i siedzieli, przejęci szacunkiem wobec pochlebnych słów o ich ojcu i błyszczącej elegancji matki ubranej w stylową, długą do ziemi złotą suknię i krótkie haftowane wdzianko. W jasno oświetlonej sali było tłoczno.

— Przeprosiny Lloyda — powiedział Garth, rozbawiony, lecz jednocześnie ujęty. — Za naszego dociekliwego przyjaciela.

Sabrina płynęła z prądem wieczoru mało się odzywając i patrząc z czułością, jak Garth przyjmuje skromnie pochwały starszych i bardziej znanych niż on naukowców oraz gratulacje członków rady nadzorczej i kolegów z uczelni. Po kolacji, siedząc u szczytu stołu słuchała, jak rektor opisuje dotychczasowe osiągnięcia Gartha, a potem oficjalnie ogłasza jego nominację na stanowisko dyrektora nowego Instytutu Genetyki.

Przy dźwiękach aplauzu i błyskach fleszy aparatów dziennikarzy Sabrina starała się utrzymać pogodny wyraz twarzy i myślała: „Ja również przyłożyłam do tego rękę. Może stałoby się tak samo beze mnie, ale mam w tym swój udział. On zawsze będzie o tym pamiętał.”

Garth wstał i wygłosił krótkie przemówienie o celach instytutu i jego pracownikach. Zakończył podziękowaniem dla tych, którzy dopomogli, aby instytut stał się rzeczywistością.

— Ze swego prywatnego punktu widzenia — dodał — chciałbym podziękować dwojgu ludziom, dzięki którym stała się możliwa dzisiejsza uroczystość. Lloydowi Straussowi, który jak mało kto wyważył uczucia przyjaźni i odpowiedzialności względem uczelni, i mojej żonie, która nigdy nie przestała wspierać mnie swoją miłością i odwagą, a ukazując mi dalekie perspektywy, nigdy nie traciła z oczu naszej rodziny i naszego wspólnego życia — Stefanii Andersen. — Spojrzał w dół w błyszczące oczy Sabriny.

Wszyscy wstali wiwatując, gdy Garth usiadł i wziął Sabrinę za rękę.

— Jest ona również — dodał pod osłoną wiwatów — najbardziej pociągającą kobietą, jaką znam, i wołałbym znacznie bardziej być z nią teraz w łóżku niż w tej wielkiej, gęsto zaludnionej sali.

Roześmiała się, przepelniona radością i miłością.

— Niedługo — obiecała. — Gdy tylko uda mi się wyrwać cię z grona innych wielbicieli.

Nic się w tej chwili nie liczyło, tylko oczy Gartha patrzące w jej oczy, jego ręka ściskająca jej dłoń, lekki pocałunek, jakim ją pożegnał, gdy rektor odciągnął go na rozmowę z miejscowym biznesmenem, który chciał własnym darem zwiększyć fundusze na budowę instytutu.

To było wszystko, co zapamiętała z tego wieczoru, mimo że rozmawiała z tuzinami osób, a później, gdy dzieci położyły się spać, kochała się z Garthem. Kochali się tak, jak nauczyli się to robić w ciągu ostatnich tygodni — bez pośpiechu, jakby czas należał do nich, smakując każdą chwilę.

Pamiętała jednak tylko ogólne uczucie spełnienia, a nie poszczególne chwile, gdy mieli oczy pełne siebie nawzajem i nic innego nie miało znaczenia. Te momenty zatarły się, rozplynęły w ciemności nocy i jaskrawym świetle poranka, gdy Penny i Cliff obudzili ich przypominając plany na weekend.

— Chyba nie zapomnieliście! Wycieczka na nartach z Goldnerami!

— Jest różnica — rzekł surowo Garth z ręką, pod przykryciem, na piersi Sabriny — między zapominaniem a rozpoczęciem weekendu o cywilizowanej porze.

W końcu jednak, poganiani przez dzieci, ruszyli się z łóżka i w jakiś czas później jechali nad Michigan.

Dolores i Nat już od Święta Dziękczynienia zapraszali ich do swego domku weekendowego na wydmach Lakeside. Gdy nadeszła pora wizyty, Sabrina nie chciała jechać. ***Chcę, żebyśmy byli tylko we czwórkę: to ostatni weekend, który spędzimy razem.*** Nie mogła jednak tego powiedzieć głośno, a Penny i Cliff byli tak podekscytowani, że się poddała.

Wspomnienia weekendu były równie niewyraźne. Mogła wywołać w pamięci tylko wszechogarniającą biel — okryte śniegiem wydmy pod bladym niebem, jezioro lśniące jak nikiel w skośnych promieniach słońca, białe koleiny po nartach wijące się w górę i w dół łagodnych pagórków. Pamiętała twarz Gartha blisko swojej twarzy, gdy dzieci wyrwały do przodu i zostali sami, usta rozwierające się w pocałunku i szept „Kocham cię”, zanim dogonili ich Nat i Dolores. Pamiętała leniwy nastrój kolacji przed wielkim kominkiem i spokojne rozmowy do późna w nocy, gdy wszyscy czworo obserwowali, jak płomień stopniowo przygasają nad rozżarzonymi węglami. Pamiętała mroźne zimno w sypialni, gdzie oboje rozebrali się szybko, wsunęli do lodowatej pościeli i dygotali w ciasnym uścisku, dopóki się nie rozgrzali, i Garth wsunął się w nią niemal bez ruchu.

Lecz to było wszystko. Oprócz ostrej jak ból radości i kryjącego się tuż pod nią tępego cierpienia. W poniedziałek spakowali się wczesnym rankiem i pożegnali przy śniadaniu z Penny i Cliffem.

— Nie zapomnijcie — przestrzegła Sabrina — że po szkole macie iść do Goodmanów.

— Mamo, mówiłaś o tym już pięćdziesiąt razy — zaprotestował Cliff. — Przecież tak samo było, gdy pojechaliście do Connecticut. Dlaczego myślisz, że zapomnimy?

— Nie podobałoby mi się, gdybyście wrócili do pustego domu.

— Nie wrócimy, mówiłem ci. Nie jesteśmy dziećmi.

— Wiem. — Przyglądała loki Penny i poprawiła jej sweter na ramieniu. — To dlatego, że będę za wami tęskniła...

— Głos jej się załamał i gwałtownie się odwróciła.

— Mamo? — Z głosu Cliffa przebijał przestach. W tej chwili Garth wszedł do kuchni.

— Coś nie w porządku? — spytał.

— Mama chyba jest chora.

Garth podszedł do niej szybko, ale Sabrina wstała, zanim jej dotknął.

— Mała niedyspozycja żołądka — powiedziała lekkim tonem. — Nic wielkiego, na pewno przejdzie, jak zjem śniadanie.

Bacznie obserwował jej twarz.

— Nic więcej?

— Nic więcej.

Wszyscy zaczęli się krzątać.

— Tylko pamiętajcie...

— ...że macie iść do Goodmanów — dokończyli chórem Cliff i Penny i wszyscy się roześmiali.

— Mamo, kupisz mi w Anglii zbroję? — napraszał się Cliff.

— Zbro... Cliff, wiesz, ile to waży? — Nie, a ile?

— Przeszło sto funtów. Rycerze musieli być podnoszeni na konia specjalnym dźwigiem.

— Jakim cudem te konie się pod nimi nie załamały? — spytała Penny.

— To by była zbrojdnia — kwiknął Cliff i ze śmiechu przewrócił się na podłogę.

— Wcale niezłe — zarechotał Garth. — A teraz zbierajcie się, pora na was, albo spóźnicie się do szkoły. A my musimy zdążyć na samolot, Stefanio, jesteś już gotowa?

— Tak. Jeszcze tylko te naczynia...



Garth był na górze, gdy Penny i Cliff, już w płaszczach, zatrzymali się przy niej w drzwiach bawialni. Penny mocno ją objęła obiema rękami.

— Nie siedź w Anglii długo. — Zniżyła głos do szeptu. — Tata powiedział, że mamy ci nie zawracać głowy, bo masz tam sprawy do załatwienia, ale tutaj też masz różne sprawy. Nie będziesz tam długo, prawda?

Sabrina pocałowała Penny w gładki policzek i przytuliła mocno.

— Nie chcę tego. Wcale nie chcę was zostawiać. Kocham cię, moja malutka. Nigdy o tym nie zapominaj. Kocham cię i jestem z ciebie dumna. Jesteś moją niezwykłą dziewczynką.

— Mamo — napomniał Cliff. — Spóźnimy się. Mogę ci dać całusa na pożegnanie?

Próbowała wypuścić Penny z objęć, lecz nie mogła się poruszyć. **Nie jedź. Proszę, nie wyjeżdżaj.**

— Mamusiu, nie płacz — powiedziała Penny. Klepała Sabrinę po ramieniu. — Niedługo wrócisz. Nie płacz.

— Nie miałam zamiaru. Podróże czasem tak wpływają na ludzi. Twoja kolej, Cliff.

Szybko ją uściskał.

— Skoro nie możesz przywieźć mi zbroi, to może mogłabyś mi kupić taki miecz, jaki miał król Artur?

Zaśmiała się drżącym głosem.

— Znajdę ci coś. Czy to musi siać zniszczenie?

— No, czytani teraz o królu Arturze i...

— Zobaczą, co się da zrobić. Cliff, opiekuj... opiekuj się Penny i dbaj o siebie, dobrze?

— Pewnie. Zawsze tak robię. Jej też coś przywieziesz, dobra?

— Przyślę wam prezenty zaraz po przyjeździe. Stoi?

— W porządku. Cześć, mama. Szczęśliwej podróży. — Cmoknął ją w policzek. Sabrina objęła go i ucałowała w oba.

— Tak robią Francuzi — powiedział.

— Ja też — rzekła Sabrina znów go całując. — Będę za tobą tęsknić, moja ty gwiazdo drużyny futbolowej. Zwłaszcza za twoimi okropnymi dowcipami. I za twoją kochaną twarzą, i uśmiechem...

— No, no, mamo!

— Przepraszam. — Otarła oczy. — Nie chciałam znowu zaczynać. A teraz już was tu nie ma, albo naprawdę się spóźnicie. Bawcie się dobrze u Goodmanów i pozdrówcie ode mnie Vivian.

Pobiegli. Sabrina patrzyła za nimi. Na rogu odwrócili się i zamachali. Uniosła rękę, pomachała im w odpowiedzi i patrzyła, jak znikają za zasłoną łez.

## Rozdział czwarty

Ulice Nowego Jorku lśniły w deszczu. W porze lunchu tłumy ludzi płynęły chodnikami pod osłoną czarnych parasoli, które podskakiwały i obijały się o siebie jak latawce targane wiatrem. Mali chłopcy i starcy siedzieli w bramach i sprzedawali parasole tym, którzy wypuścili się z domu nie przygotowani na taką pogodę. Posłańcy na rowerach byli prawie niewidoczni spod rozdymających się żółtych deszczowców, z których woda ściekała do kałuż na ulicy.

Siedzącej z Garthem w taksówce Sabrinie wydawało się, że to lży zimy, zimne i szare, spadają z ciemnych chmur, które usadowiły się na szczytach drapaczy. W oknach świeciły światła, jakby była już noc. Przed każdym mijanym hotelem odźwierny unosił rękę niby w paradnym salucie i dmuchał w gwizdek, usiłując zatrzymać przejeżdżające taksówki, lecz żadna się nie zatrzymywała; wszystkie miały już pasażerów.

— I tak jeden gips — gderał ich kierowca, gdy utknęli pośrodku głównej ulicy w znieruchomiałej masie samochodów. — Jest słońce, nikt nie jeździ. Jak pada, wszyscy jeżdżą, ale nikt się nigdzie nie rusza.

— Może kupimy parasolkę i pójdziemy na piechotę? — spytał Garth.

— Cholernie długi spacer — ostrzegł kierowca.

— Wiem. Kiedyś tu uczyłem.

— Lepiej niech państwo zostaną tu, gdzie sucho. Jak dojedziemy do rogu, wszystko będzie w porządeczku. Dalej od centrum pójdzie szybciej.

— Wiem.

— Racja. To pan tu uczył? Moja córka uczy trzecioklasistów. Lubi to, ale dużo nie zarabia.

Garth spojrział na Sabrinę, ale ona wyglądała przez okno po swojej stronie. Prawie się nie odzywała, od kiedy wyjechali z domu. W samolocie na pytania, jak chciałyby spędzić czas w Nowym Jorku, odpowiadała krótko i z roztargnieniem. Widział, że ledwo zdaje sobie sprawę z jego obecności. Myślała o Londynie, o swojej siostrze. Czyżby znów o przejęciu jej życia? Nie miał pojęcia i wolał nie pytać. Gdyby do tego doszło, odnalazłby ją wszędzie i spróbował sprowadzić z powrotem. Ale chyba nie dojdzie do takiego kryzysu, sądząc z dotychczasowych oznak. Jeśli więź łącząca ją z siostrą była tak mocna, że przetrwała śmierć, nie będzie usiłował jej zrywać, dopóki nie zagrozi ich małżeństwu.

— Kupiłeś już bilet? — spytał, gdy podawano im lunch. Wyglądała na zaskoczoną.

— Nie. Byłam... bardzo zajęta. Kupię w Nowym Jorku.

Gdy dotarli do hotelu *Plaža*, Garth bacznie obserwował jej twarz.

— Och — zdziwiła się. — Nie wiedziałam, nic mi nie mówiłeś...

— Spędziliśmy tu bardzo niezwykłą noc mniej więcej sześć tygodni temu. Spodobał mi się własny pomysł powrotu tutaj.

— Tak. — Spojrzała na niego, a jej wzrok wyrażał taką samotność, że aż krzyknął.

— Kochanie, o co chodzi?

Nie uszedł jego uwagi wysiłek, z jakim otrząsnęła się ze swoich myśli, a podziwiał jej hart tym więcej, że był świadkiem, jak niekiedy |i| opuszczał. Ujęła go pod ramię, gdy chłopiec hotelowy otworzył drzwi ich pokoju.

— Co masz zamiar teraz robić?

— Zrobimy razem krótki wypad na uniwersytet. Chcę wetknąć nos do swego pierwszego laboratorium i przeżyć chwilę nostalgii. Wspólnie z tobą. — Gdy nie odpowiedziała, zapytał: — Chcesz się lozpakować? Powiesić coś w szafie? — Nie teraz.

Garth obejrzał dokładnie pokój.

— Nie jest to apartament, jaki zafundowali nam Kallenowie, ale w zupełności wystarczy. Nie mogę się doczekać, kiedy znowu zaczniemy lozgniatać czekoladki na poduszce.

— I zgubimy jedną na podłodze — mruknęła, a wspomnienie to wywołało lekki uśmiech na jej ustach. — Idziemy?

W padającym wciąż deszczu dojazd na uniwersytet zajął godzinę, lecz mimo to zostało im dosyć czasu na wizytę w laboratorium przed wykładem, który Garth miał wygłosić dla starszych seminarzystów.

— To przysługa dla starego przyjaciela — wyjaśnił, gdy wchodzili

do budynku. — Ponieważ zjazd zaczyna się dopiero jutro, zapytał, czy nie miałbym nic przeciwko olśniewaniu studentów swoją wiedzą przez dwie godziny dziś po południu. Możesz posłuchać, chyba że wolisz pochodzić po sklepach?

— Chyba pochodzę po sklepach. Chciałabym się spotkać z kilkoma pośrednikami w handlu antykami.

— W takim razie spotkamy się w hotelu między wpół do szóstej a szóstą.

Pojechali windą na czwarte piętro.

— Ciszej tu niż wtedy, gdy byłaś tu poprzednio — zauważył Garth. Nie miała pojęcia, o czym on mówi. Miesiąc, nawet tydzień temu

starałaby się zamaskować swoją ignorancję, lecz teraz wydawało się to nieistotne. Pożegnała się z dziećmi i domem, teraz czas odsunąć się stopniowo od Gartha. Za godzinę kupi bilet do Londynu, a jutro powie mu, że nie wróci do nich.

Weszła pierwsza do laboratorium, dużego pomieszczenia, które przedzielały na pół wysokie stalowe szafki. Garth spojrział na pustą ławę ze steatytu.

— Przepadły zabawkowe modele. A nie, spójrz tutaj! Nie pozbyli się mnie tak łatwo!

Wciąż nie rozumiejąc, Sabrina podążyła za jego wzrokiem i ujrzała na ścianie oprawione rysunki, które rzeczywiście przypominały szkice konstrukcji z dzieciennych klocków. Teraz wiedziała, co miał na myśli — modele częściczek. Widziała podobne w jego obecnym laboratorium.

— Zrobiłem je tuż przed odejściem — powiedział. — Wciąż nieźle wyglądają. Ale jak mało wówczas wiedzieliśmy. Niewiarygodną drogę przeszliśmy w ciągu dwunastu lat! Zobaczmy, co wyrabia następca Billa.

Po drugiej stronie szafek Sabrina zobaczyła klatki z ruchliwymi białymi myszkami, ustawione przy ścianie pod wielkim oknem.

— Nic a nic się nie zmieniło — powiedział z uśmiechem Garth. — Myślę, że Bill może tu jeszcze urzęduje. Możliwe, że wciąż ma zapas bandaży i nożyczki na wypadek niespodziewanych ran.

Sabrina patrzyła na myszy.

— Zastanawiam się, czy to okno wydaje im się osłoną, czy daje widok na świat, którego nie mogą dotknąć.

— Podaj mi rękę — powiedział Garth szorstko. Wyciągnęła ją do niego zdumiona.

— Dlaczego?

— Zobaczmy, czy uda mi się pobudzić twoją pamięć.

— Pobudzić moją... — Wstrząsnęła się wewnątrz. — Przepraszam, wybacz mi. Jestem roztargniona i zachowuję się nietaktownie. — Jej wyciągnięta ręka drżała. — Może odegramy\* tę scenę jeszcze raz? — **Zrobię, co w mojej mocy, daj mi tylko jakieś wskazówki.**

— Nie, nie musimy wracać do przeszłości. Mimo to pamiętam, jak na mnie spojrzełaś, gdy powiedziałem, że chcę się z tobą ożenić i kochać się z tobą.

— Jak? — spytała słabo.

— Jakbym ofiarował ci cenny dar. Miałaś oczy czerwone i zapuchnięte od tego przeklętego gazu łzawiącego, ale świeciły tak jasno, że pamiętam, iż zastanawiałem się, jakim cudem mimo ciemnoniebieskiego koloru mogą wyglądać, jakby było w nich słońce. A potem twarz ci spoważniała, jakbyś zaczęła myśleć, czym obdarować mnie w zamian.

— I co dałam ci w zamian?

— Siebie. To, czego najbardziej pragnąłem. Cóż za drogę przeszliśmy we dwoje od tego dnia. — Przyciągnął ją do siebie i pocałował. — Stefanio, jeżeli coś cię dręczy, przyrzekam, że zaradzimy temu. W życiu dwojga ludzi, którzy mogą dać sobie tak wiele, nie ma miejsca na kłopoty.

— Wielki Boże, kto by dał temu wiarę? — Do laboratorium wtargnął wysoki mężczyzna z siwą brodą i w okularach w rogowej oprawie na nosie. — Nie dosyć im, że mają własne łóżko, muszą jeszcze migdalić się w labie. Co za przykład dla młodej generacji! — Wyciągnął ręce, żeby uściskać Sabrinę. — Rolf Taggart. Myślałem, że pani opisy w listach Gartha są mocno przesadzone. Teraz widzę, że nie sprostał zadaniu. Witam. — Potrząsnął ręką Gartha. — A ty witaj w domu. Garth uśmiechnął się.

— Rolf nie dopuszcza do siebie myśli, że mógłbym mieć inny dom, nawet po dwunastu latach.

— Wciąż mi ciebie brakuje, nawet po dwunastu latach. Byłeś najlepszym naukowcem, z jakim kiedykolwiek pracowałem. Czy jesteś przygotowany na podchwytliwe pytania moich najlepszych studentów?

— Prawdopodobnie nie, ale postaram się spisać jak najlepiej. Stefanio, wpół do szóstej w hotelu? Najpóźniej szósta.

— Będę. Mam nadzieję, że ci dobrze pójdzie. Gdy odeszła do windy, Rolf powiedział:

— Garth, ona jest fantastyczna, ale ta bladość... Czy nie chora?

— Martwi się wyjazdem do Londynu. Nie wiem czemu. — Korespondując z Rolfem Garth pisał o sprawach, których nie poruszał w rozmowach z Natem ani Martym po prostu dlatego, że często kitwiej się zwierzać przyjacielowi, którego nie widuje się na co dzień.

Ale nawet Rolfowi nie mógł zwierzyć się z obawy, że jego żona może wciąż myśleć o porzuceniu go. — Zawsze bardzo się utożsamiała ze swoją siostrą. Od kiedy pamiętam, fantazjowała, jak by to było być Sabriną albo przynajmniej prowadzić podobny tryb życia. Teraz, po jej śmierci, wciąż męczy ją rozterka, kim jest — Stefanią czy Sabriną. Zupełnie jakby czuła się w obowiązku prowadzić życie za nie obie albo wybrać między jednym a drugim. Pomimo to, wbrew wszelkim oczekiwaniom, zbliżyliśmy się ostatnio bardzo do siebie, odnaleźliśmy się nawzajem...

Garth potarł czoło. Doszli już do drzwi sali seminaryjnej. Spojrzał przepaszająco na przyjaciela.

— Nie przyjechałem tu na seans terapeutyczny, ojcze Rolfie. Dlaczego mnie nie powstrzymałeś?

— Chciałeś się wygadać, a ja chciałem o tym usłyszeć. Ale teraz przed nami to cholerne seminarium. Czy możesz stawić czoło tym młodym zwierzakom, których ulubionym sportem jest pokazywanie profesorom, że młodość wie więcej niż wiek średni?

Garth wyprostował ramiona.

— No to pokażmy im nasze sztuczki.

Sala była wypełniona po brzegi; nazwisko Gartha przyciągnęło słuchaczy jak magnes. Spojrzał na sześćdziesiąt bystrych i wyczekujących twarzy i wstąpiła w niego energia. Tu, w tej sali, przepęłniła go pewność siebie i radość z kontaktu ze studentami. Przechadzając się tam i z powrotem, zaczął mówić swobodnie, lecz fachowo. Nie traktował słuchaczy z góry; starał się wzbudzić przekonanie, że wszyscy należą do społeczności naukowców. Byli mu równi i mogli zadawać pytania i komentować jego słowa.

— Nasze wysiłki zmierzają do tego, żeby uczynić system immunologiczny człowieka nieśmiertelnym — powiedział, opierając się rękoma na biurku. — Z tym wiąże się właśnie to, co wam z pewnością przyszło na myśl — nieprzerwana produkcja przeciwciał. Badamy możliwości połączenia dwóch ludzkich komórek, z których jedna wytwarza przeciwciała, a druga reprodukuje się w nieskończoność. Rezultatem byłaby hybryda zapewniająca niewyczerpany zapas przeciwciał, które poważnie wzmocniłyby naturalny system obronny ciała, często nieskuteczny. Innymi słowy, chodzi o stworzenie nieśmiertelnego systemu immunologicznego. Ponadto przeciwciała mogłyby być używane do wytwarzania szerokiego asortymentu szczepionek przeciwchorobowych.

Podniosła się czyjaś ręka.

— Panie profesorze, czy taki rodzaj fuzji komórek nie jest już przeprowadzany u myszy?

Garth przytaknął skinieniem głowy.

— Od dziesięciu lat z grubsza biorąc. Lecz wiecie, że przy leczeniu chorób ludzkich szczepionkami otrzymanymi z przeciwciał zwierzęcych występują drastyczne efekty uboczne. Ci z was, którzy dostali kiedyś serię zastrzyków

przeciwko wściekliwości, otrzymywanych z końskich przeciwciał, wiedzą, jakie to bolesne. Lecz ludzki organizm może przyjąć ludzkie antyciała, tak jak to się dzieje w transfuzjach krwi, bez tych efektów ubocznych. Po udoskonaleniu technologii spodziewamy się, że wyprodukujemy mnóstwo antyciał leczących poszczególne choroby.

— Jakże, panie profesorze?

— W chwili obecnej tęzec, erytroblastozę — wywołującą żółtaczkę u dzieci — i dziecięcą białaczkę. Dzieli nas jeszcze zapewne siedem lub osiem lat od powszechnego ich użycia w leczeniu, lecz za parę lat można będzie zacząć testy kliniczne.

— Panie profesorze, jakiego związku chemicznego używa się do przeprowadzania fuzji komórek?

— Glikolu polietylenowego, który jest niedrogi i ogólnie dostępny.

— Panie profesorze, czy porównywał pan łańcuchy nukleotydów w oryginalnej hybrydzie i jej pochodnych, żeby ustalić niezbitcie, że są identyczne? Ile generacji pan przebadał i w jaki sposób odróżnia pan oryginalną komórkę od pochodnych?

Zawsze musi się pojawić jakiś mądrała, który usiłuje się popisać przed wykładowcą i grupą.

— Porównaliśmy szereg łańcuchów DNA w kilku generacjach i jak dotąd były one pod każdym względem identyczne. W tej sytuacji, jak to pan zauważył, powstaje problem odróżnienia komórki oryginalnej od jej kopii. Odkryliśmy, że najbardziej skuteczną metodą jest użycie radioaktywnego znacznika, dzięki któremu komórka jest łatwa do zidentyfikowania. To całkowicie wystarczy, żeby nawet przy całkowitej zgodności wszystkich innych cech odróżnić ją od kopii...

Urwał. W uszach brzmiało mu echo własnych słów: „Odróżnić ją od kopii”. Oryginalna. Identyczna. Kopia. Odróżnić oryginał od... Identyczna. Kopia. Identyczna. O r y g i n a ł . K o p i a . . .

Puste spojrzenie w laboratorium. Brak wspomnień o gazie łązającym i rozciętej ręce. Wino przed obiadem. „Nie chcę, żebyś przyjmował pracę w *Poster Laboratories.*” Osadzenie na miejscu Armii Kallen. Poskromienie pani Casey i Rity McMillan. Wynajęcie służącej, podjęcie, bez jego rady, nowej pracy. „To nie Sabriną umarła...” Pogrzeb: „To ja jestem Sabriną...” Chiny. C h i n y .

***Kopię można odróżnić od oryginału.***

— Profesor Andersen ma teraz następne spotkanie. — Rolf pojawił się u jego boku — skąd on się wziął? — i dokończył za niego odpowiedzi na pytanie, a potem gładko doprowadził seminarium do końca. Studenci wstali i głośno wyrażali aplauz. Kilku podeszło z pytaniami, lecz Rolf odprawił ich.

— Napięty plan, nie tym razem, może przy powtórnej wizycie... Wreszcie zostali we dwóch w pustej sali.

— Chodź, sprowadzę ci lekarza.

Garth z wolna skoncentrował na nim spojrzenie.

— Czy wyglądam aż tak kiepsko?

— Jakbyś miał zemdleć lada moment. Co cię boli? Pierś? Ramię? Garth zaśmiał się krótko.

— Serce i jeszcze raz serce. Ale to nie atak serca, Rolf. Po prostu zaatakowała mnie rzeczywistość: to wystarczy, żeby mnie otrzeźwić. — Spojrzał na wysokie mroczne okna, po których leniwie spływały krople deszczu, i słyszał swój głos, który mówił i mówił. Nie mógł go zatrzymać. — Dziwne, nieprawdaż, z jakim uporem się okłamujemy, gdy już dawno powinniśmy siłą zmusić się do otwarcia oczu? Widzimy i słyszymy różne rzeczy, wpychamy je w schematy, które nam odpowiadają, nie dopuszczamy nawet, aby nasze myśli przybrały kształt wniosków, bo wnioski są niemożliwe do zaakceptowania, zbyt okropne, żeby je rozpatrywać. Mówię jak psycholog. Może tkwię w niewłaściwym zawodzie. Ale Bóg wie, że tkwię w niewłaściwym małżeństwie.

— Garth, co do diabła...!

— Och, pieprzyć to wszystko! Nie zwracaj uwagi na te brednie, Rolf. Nie mam prawa obciążać cię refleksjami swojego spóźnionego przebudzenia. Idę na spacer; muszę przemyśleć parę spraw.

— W tym deszczu? I czy nie mieliśmy później razem zjeść kolacji?

— Nie dziś wieczór, Rolf. Sprawilem ci zawód. Bardzo cię przepraszam. To seminarium...

— Seminarium było rewelacyjne. Trochę za raptownie się skończyło, ale to nieważne. Może chcesz mi opowiedzieć o swoim przebudzeniu? Czasami widzi się lepiej, gdy przyjaciel patrzy z tobą.

— Nie mogę. Nawet nie jestem pewny, czy mam rację. Ale może przyjdź chwila... Dam ci znać. — Wymienili uścisk ręki. — Jestem ci winien kolejne seminarium.

— Daj spokój. Zawołam taksówkę.

— Sam to zrobię.

Ale nie było wolnych taksówek. Deszcz lał niezmiennie, więc po przejściu paru przecznic Garth zrezygnował i zbiegł po schodach



metra. Stał na peronie potrącany przez pasażerów, którzy ustawiali się, żeby skoczyć w drzwi pociągu, gdy tylko się otworzą. W powietrzu pachniało wilgotną wełną. Jemu się nie spieszyło; zrobił krok do tyłu.

Mógł się mylić. Nie miał żadnego dowodu. Dla naukowca najważniejszy jest niezbity dowód lub udokumentowane świadectwo, oparte na obserwacji, kontrolowanych eksperymentach, dokumentacji, replikacji. On doznał tylko gwałtownego olśnienia w sali wykładowej. Oślepiło go, jakby ktoś rozdarł ciemną kurtynę. Wszystko do siebie pasowało: był pewien, że ona jest Sabriną.

W pociągu nie było wolnych miejsc siedzących. Stał w zatłoczonym przejściu i kołysząc się ścisnął kurczowo stalowy uchwyt, który, jak zauważył, miał kształt pętli wisielca albo łyzy. Zrobiła z niego durnia. Jak gładko wystawiła go do wiatru. Naukowca, pedantycznego obserwatora, który zdobył sobie międzynarodową sławę dokładnością eksperymentów i starannością dokumentacji. I nie spostrzegł się, że żył z siostrą-bliźniaczką swojej żony. Że z nią spał. Tłumaczył jej błędy, wmawiał w siebie, że próbowała naprawić ich małżeństwo. Tłumaczył na jej korzyść każdą wątpliwość: pomógł jej zrobić z siebie durnia. Wciąż na nowo pomagał jej robić z siebie durnia, p o m a g a ł i jednocześnie kochał.

Dureń.

W hotelowym hallu zwolnił kroku. Dopiero gdy znalazł się w zatłoczonej windzie, która stawała na każdym piętrze, rzeczywistość dotarła do niego z pełną siłą i zgiał się wpół, jak po uderzeniu w żołądek.

Jego żona umarła.

— Pan tu wysiada?

Garth podniósł oczy. Drzwi windy otworzyły się na jego piętrze, a młoda dziewczyna przytrzymała je ręką.

— Tak — rzekł ochryple. Odchrząknął. — Dziękuję. Patrzyła, jak powłóczy nogami po kwiecistym dywanie.

— Ma pan kogoś, kto się panem zajmie?

— Tak. Dziękuję. — Nie. Nikogo. Ale to nie dotyczy nikogo poza nimi. Sabriną i nim.

Przed drzwiami do pokoju oparł się o ścianę. Zimne dreszcze przebiegły mu po nogach i rękach i zdławiły pierś, oddech stał się urywany. W mroźnym uścisku czekał, aż drżenie ciała ustanie. Goście hotelowi mijali go obrzucając ciekawymi spojrzeniami. Kelner pchał wózek z drinkami i zakąskami do pokoju w głębi korytarza. Garth usłyszał, że po drugiej stronie drzwi dzwoni telefon i ktoś go odbiera. A więc była tam. Czekala na niego.

Oderwał się od ściany. Musiał stanąć z nią twarzą w twarz. W końcu mógł się jednak mylić. Drobnym okrucieństwem irracjonalnej nadziei. Wsunął klucz w zamek i wszedł do środka.

Sabrina siedziała skulona w fotelu pod oknem. Światło lamp barwiło jej włosy na złotorudo i nadawało skórze bladą przejrzystość. Wyglądała tak krucho, że Garth instynktownie wyciągnął do niej ramiona. Nie! — nakazał sobie w duchu i został przy drzwiach.

— Dzwonił Rolf — powiedziała Sabrina. — Chciał wiedzieć, czy dobrze się...

Urwała, na widok jego zaciętych ust i stwardniałych rysów twarzy. Zrozumiała, że zna prawdę. Jak ją odkrył? Czy sprawiła to jej głupota w laboratorium dziś po południu, jakiś inny błąd, czy też jego analityczny umysł złożył wreszcie wszystko w całość? Co za różnica? Po co to roztrząsać?

Bała się, lecz jednocześnie dziwnie jej ulżyło. Nie mogła się przemóc, żeby wszystko mu wyznać, ale chciała, żeby się dowiedziała, chciała, żeby przed jej odejściem została między nimi prawda.

Cisza rozciągała się między nimi jak tłący się napięty lont. Wahali się. Każde zwlekało z wypowiedzeniem słów, które na zawsze odmienia ich życie. W końcu Garth podszedł sztywno do stojącej lampy i włączył ją.

— Dostyc cieni. Mieliśmy ich wystarczająco dużo, co, Sabrino? Nie rozpoznała swego imienia w jego ustach: było to imię obcej osoby.

Nie, nie obcej osoby. Jej własne. Osoby obcej dla Gartha.

— No? — zapytał i pochwyciła w jego głosie nutkę rozpaczliwej nadziei, że może się myli.

— Nie — rzekła tak cicho, że musiał natężyć słuch. — Nie mylisz się.

— Sabrina.

— Tak.

Jego ciało okręciło się w miejscu, jakby odrzucone wybuchem. Przemierzył w tę i z powrotem całą długość pokoju nie patrząc na nią.

— Co to miało być? Jakaś gra? Chciałaś zabawić się trochę w żonę i matkę i potrzebowałaś gotowej rodziny, jakichś kretynów, którzy będą potulnie pozwalać sobą komenderować? Londyńskie życie trąciło nieco nudą, więc powiedziałaś swoim bogatym przyjaciółom, żeby trwali na posterunku, a ty pobabrzysz się trochę w szlachetnym ubóstwie? Nie ma nic lepszego niż jakaś odmiana, prawda? Żeby czas mijał...

— Garth, przestań, przestań, proszę przestań, to nieprawda! Ani jedno słowo...

— A pan profesor, ten nadęty profesorek, wykonuje sztuczki, siada na tylnych łapkach i prosi o względy lady Sabriny Longworth, gdy ona robi z niego durnia. Największego durnia pod słońcem!

— Proszę, to nie jest... Kopnięciem odrzucił walizkę.

— A po cóż lady Sabrinie było to potrzebne? Czego chciała? Po prostu zabawić się w gospodynię domową? Pewnie nie. Chciała czegoś więcej. Cóż to mogło być? — Przysiadł na poręczy kanapy niedaleko Sabriny. — A może, a może chciała popisać się przed siostrą, że z niej lepsza gospodyni? Tak było? Lady Longworth, znudzona bogatymi przyjaciółmi, postanowiła pokazać siostrze, że nie istnieje nic, czego nie mogłaby zrobić. Pobila ją już na głowę w każdej innej dziedzinie — pieniędzy, sukcesu, swobody, kochanków... o mój Boże... — Głos zaczął mu się rwać i wpatrzył się nie widzącym wzrokiem w swoje dłonie otwierał je i zamykał, jakby uświadamiając sobie, że nie mają czego trzymać. — Stefania nie żyje. Moja żona nie żyje. Wiedziałaś o tym. Stałaś przy mnie na jej pogrzebie. P o -z w o l i ła ś m i p o g r z e b a ć m o j ą ż o n ę i n i e p i s n ę ła ś s ł o w e m , w c z y m u c z e s t n i c z ę ! — Stał nad nią groźnie, aż skurczyła się w głębi fotela. — Ty przekłeta suko, jak mogłaś stać tam, patrzeć, jak opuszczają trumnę do grobu, i nie powiedzieć nam, kto w niej leży?!

— Mówiłam wam! Próbowалам wam powiedzieć! Nie chcieliście mnie słuchać! Mówiłam, że to ja jestem Sabriną...!

Znów zaczął chodzić po pokoju.

— To prawda, mówiłaś. Jak często próbowałaś? Ile razy? Kiedy? Ile czasu minęło od nadejścia wiadomości o jej śmierci?

Gdy usłyszał własne słowa, aż się skręcił. Potem zamarł, a przez umysł przeleciały mu pomieszane obrazy — Penny i Cliff śmiejący się, ich podniesione twarze pełne ufności, jego rodzina przy kolacji, zasłuchana, on mówi o swojej pracy, Święto Dziękczynienia i kuchnia pełna przyjaciół, cmentarz, trumna, Stefania drżąca w jego objęciu... nie, do diabła, nie — nie Stefania. Stefania nie żyje, pocieszał Sabrinę i patrzył, jak grzebią jego żonę.

— Mój Boże, odebrałaś ten telefon, poleciałaś do Londynu, spędziłaś dwa dni przed pogrzebem na gorzkich szlochach i nigdy nie powiedziałaś, nigdy nie powiedziałaś, kto zginął.

— Dostyc tego! Jak śmiesz! — Poderwała się z podniesioną Kłową. — Niezależnie od wszystkiego, jak śmiesz insynuować, że nie opłakiwałaś szczerze mojej siostry? Jak śmiesz mnie oskarżać o zajęcie

jej miejsca, żeby udowodnić, iż jestem od niej lepsza? Nie byłam lepsza, nigdy mi to nie przeszło przez myśl; byliśmy takie same, każda była częścią drugiej i kochałam ją bardziej niż kogokolwiek w świecie. Kochałam ją bardziej niż ty — przynajmniej widziałam w niej człowieka, a nie tylko ż o n ę ! Chciałam, żeby otaczano ją miłością i czułością, a ty jej tego nie dałeś. Byłeś tak zajęty sobą, że przez całe lata ledwo na nią patrzyłeś, nie słuchałeś, co mówiła... Och, Garth, przepraszam, przepraszam! Nie myślałam tego! Wiem, że to bardziej skomplikowane, nic nigdy nie jest proste między dwojgiem ludzi... Ale tak ją kochałam i tak za nią tęsknię! I nigdy czegoś takiego nie zamierzałyśmy, myślałyśmy, że to będzie trwało tylko jeden tydzień...

— My? O czym ty mówisz? — Chodząc po pokoju dotykał po drodze mebli, jakby to były jedyne solidne podpory w chwiejącym się świecie. — Stefania nigdy by nie wzięła udziału w podobnie obrzydliwej sztuczce...

— Oczywiście, że wzięła; jak inaczej mogłybyśmy się zamienić miejscami? Przepraszam, nie chciałam, żebyś się o tym dowiedział, nie chciałam sprawiać ci bólu...

— Bólu! Czy jesteś przy zdrowych zmysłach? Po tym, jak okłamywałaś mnie całymi tygodniami, robiłaś ze mnie idiotę, nie chcesz sprawić mi bólu?

— Wiem, jak to brzmi. — Spojrzała przez zimne okno na światła miasta, zniekształcone przez deszcz. — Ale mówię ci: nigdy nie przypuszczałyśmy, że to potrwa dłużej niż tydzień. Stefania czuła, że musi się wyrwać na kilka dni, żeby pomyśleć o problemach związanych z Cliffem i z tobą, o kłopotach finansowych, o posiadzie w Stamford...

— Czy przekazała ci wszystkie intymne szczegóły naszego życia?

— Oczywiście, że nie. Nie wchodziła w szczegóły. Ale widziałam, że potrzeba jej wytchnienia, i ze mną było to samo. Moja sytuacja też była napięta, były problemy, które musiałam przemyśleć. Więc wpadłyśmy na pomysł, że każda z nas spędzi tydzień, prowadząc życie drugiej...

— Kto wpadł na ten pomysł?

— Ja — odparła prędko. Za prędko.

— Kłamiesz. To był jej pomysł, prawda?

— Nie pamiętam. Co to za różnica, czyj?

— Czy nie możesz chociaż raz z tego cuchnącego bagna wydobyć prostej prawdy?

— To był pomysł Stefanii. Ale ja się zgodziłam.

— Zamienić się na miejsca. I co dalej?

— Myślałyśmy, że spojrzymy na swoje życie pod innym kątem, lepiej zrozumiemy same siebie — gdzie jesteśmy i czego pragniemy. A potem wrócimy na swoje miejsca. Nikt by nic nie zauważył. Powiedziałam Stefanii, że nie będę z tobą spać, a ona stwierdziła, że to zdarza się tak rzadko...

Jego twarz pociemniała, a przy ustach utworzyły się głębokie, surowe linie.

— Ale to robiłaś, prawda? I, na Boga, niezła w tym byłaś! To był piękny popis aktorski. Przyciągnąłem nas nawet z powrotem do tego samego hotelu, przeklęty romantyczny głupiec... Miałaś pyszną zabawę, prawda? Noc po nocy, a ja w to wszystko wierzyłem, dałem się nabrać...

— To nie było udawanie! Czy nie rozumiesz? Garth, proszę, spróbuj to zrozumieć. *Z a k o c h a ł a m s i ę w t o b i e*. Nie chciałam tego, broniłam się przed tym, ale kochałam cię, zanim w ogóle sama się sobie do tego przyznałam. A gdy to sobie uświadomiłam, chciałam od razu wracać do Londynu, ale Stefania pragnęła pojechać na... ale moja ręka jeszcze się nie zagoiła i bałyśmy się, że jak się zamienimy, mógłbyś odkryć...

— Gdzie chciała pojechać Stefania?

— Chciała wrócić do ciebie, do domu. Ale dopóki moja ręka...

— Gdzie chciała pojechać przed powrotem do domu, do mnie i do dzieci?

— To nieważne.

— Niech to diabli, nie traktuj mnie jak dziecka, któremu nie można powiedzieć prawdy. Tak się zachowujesz od początku. Teraz na to trochę za późno. *G d z i e c h c i a ł a p o j e c h a ć*?

— Na rejs. Bo ja wiele razy pływałam jachtem, a ona nigdy.

— Z kim?

— Z grupą znajomych.

— Innymi słowy, znalazła sobie kogoś innego.

— Garth, co to za różnica? Ona nie żyje. Kochała ciebie i dzieci i chciała wrócić, zostać z tobą i sprawić, żeby wasze małżeństwo stało się dobre, lecz ją zabito. Nic więcej się nie liczy.

— Nic więcej się nie liczy. Czy to nie wygodne? W ten sposób wytrzymujesz sama ze sobą? Powiem ci, co się liczy: trzy cholerne miesiące. Trzy miesiące okłamywałaś dwoje dzieci, które cię kochały i ufały ci. Trzy miesiące okłamywałaś przyjaciół, którzy martwili się o ciebie i pomagali ci, gdy złamałaś tę przeklętą rękę. Przez trzy miesiące kłamstwa mylnie interpretowałem wszystkie twoje postęпки i wierzyłem, że usiłujesz naprawić nasze małżeństwo. Trzy miesiące uśmiechów, pocałunków i niesłuchanie namiętnego kochania się

w łóżku. Trzy miesiące oszustwa — i przyznać trzeba, że świetnie się spisałaś! Gratuluję ci niezwykłego...

— Przestań, przestań, czy nie rozumiesz? Nie zawsze była m p e w n a , k i m j e s t e m !

Zatrzymał się w pół kroku. Na jego twarzy pojawił się wyraz ciekawości — ciekawości naukowca, który usłyszał coś nowego i intrygującego — ale uporał się z tym; nawet zrobił obiema rękami ruch, jakby odpychając ciekawość i przywołując z powrotem swój gniew. Jakby nie wyrzekła ostatnich słów.

— A jak długo jeszcze zamierzałaś ciągnąć swoje drobne oszustwo? Dopóki nie wyblaknie poczucie nowości? Dopóki dzieci i ja nie zaczniemy ci grać na nerwach? Dopóki nie zdecydujesz, że czas już wrócić do twoich wspaniałych znajomych i rzucić się w wir życia towarzyskiego?

— To niesprawiedliwe — wyszeptwała. Odwróciła się do okna i powiedziała głośno: — To wszystko się skończyło.

— Para jej oddechu osiadła mgiełką na szybie. Sabrina patrzyła, jak krążek wilgoci kurczy się i znika.

— Co to ma znaczyć? — Obrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem. — Odwróć się, do diabła! Patrz na mnie, gdy do mnie mówisz.

Cierpienie w jego głosie przeszło ją jak nożem i poczuła, jak krew z niej odpływa w obliczu jego gniewu i smutku. Kolana się pod nią ugięły. Dowlokła się chwiejnie do kanapy.

— Wiedziałaś, że mam stąd lecieć do Londynu. Kupiłam bilet dziś po południu, gdy miałaś wykład. Chciałam powiedzieć ci jutro, że nie mogę dłużej z tobą żyć, że nasze małżeństwo...

— Nie nasze, moja pani!

— Próbuję ci wytłumaczyć, co miałam zamiar powiedzieć. Ze straciłam nadzieję na poprawę naszego małżeństwa i chcę na stałe zamieszkać w Londynie.

— Po całym tym znakomicie udawanym kochaniu się w łóżku i poza łóżkiem, po załatwieniu Rity McMillan, po tak wspaniale odgrywanych scenach z życia rodziny... — Głos mu odmówił posłuszeństwa i musiał na chwilę przerwać. — Po tym wszystkim — ciągnął ochryple — po przedłużaniu tej szopki, jakbyśmy naprawdę byli małżeństwem, miałaś zamiar oznajmić, że to nie ma sensu.

Jej dłonie były zimne i zeszywniałe. Skrzyżowała ramiona i wsunęła dłonie pod pachy.

— Nigdy niczego nie udawałam ani nie odgrywałam przed tobą, Penny i Cliffem. Nie było w tym żadnej szopki. Kocham was wszystkich tak bardzo, że to aż boli. Ale to się skończyło. — Jej głos stał się silniejszy. — Po pogrzebie wróciłam po to, żeby skończyć z tym oszustwem. Chciałam potem wyznać prawdę rodzicom i wrócić do Londynu. Ale przyjechałeś na lotnisko z dziećmi i nie mogłam przy nich powiedzieć prawdy, a później, w domu, zobaczyłam list i wiedziałam, że muszę zostać, żeby ci pomóc.

— Nie prosiłem cię o pomoc. Ani jej chciałem, ani potrzebowałem.

— Właśnie że tak. Byłeś zdenerwowany i niezależnie od tego, jakim imieniem zwracałeś się do mnie, kochałeś mnie i chciałeś, żebym z tobą została. Garth, kochanie...

— Nie nazywaj mnie tak! Uchyliła się, jakby ją uderzył.

— Nie, oczywiście, nie mam prawa. Usiłuję ci jednak powiedzieć, że wtedy oszustwem było już tylko moje imię. Wszystkie moje uczucia były prawdziwe. Kocham cię i tworzyliśmy cudowne małżeństwo...

— Nie tworzyliśmy żadnego małżeństwa! Co z ciebie za potwór, żeby zerować na śmierci własnej siostry?

To załamało Sabrinę. Napięta struna pękła. Wstrząsnęły nią szloch, zwinęła się w kłębek na kanapie i ukryła twarz w dłoniach. Garth patrzył miotany rozterką. Na wspomnienie jej ciała, jej śmiechu, miłości w jej oczach — chciał przytulić ją i pocieszyć, i jednocześnie czuł pogardę do niej i do samego siebie.

— Wstań — powiedział głosem wypranym z wszelkich uczuć. — I wynoś się stąd. Nie mogę na ciebie patrzeć. Wracaj do innych, tobie podobnych; tam twoje miejsce.

— Nie. Już nie. — Poszła na oślep do łazienki. Garth słyszał plusk wody. Po kilku minutach wróciła. Twarz miała umytą, cerę jak wosk, śmiertelnie bladą. Wilgotne kędziory nad czołem zwinęły się w loki. — Sabrina Longworth nie żyje. Zginęła, utonąła z *Lafitte*. Jestem teraz kimś innym, sama nie wiem kim. Miałam jechać do Londynu jako Stefania, tak żeby nikt nigdy się nie dowiedział, co się zdarzyło; w ten sposób miałabym pewność, że prawda nie dotrze do ciebie i dzieci. I ,ccz decyzja należy do ciebie.

Włożyła zielony zamszowy blezer, który Garth kupił jej w San Francisco, i płaszcz.

— Chcę, żebyś wiedział, że kocham Penny i Cliffa nad życie, a ich miłość tyle dla mnie znaczy... Sama nie mam dzieci. Nigdy przed nimi nie udawałam; tak cudownie było ich kochać i wiedzieć, że mnie kochają... — Schyliła głowę i poczekała, aż odzyska panowanie nad głosem. — I kocham ciebie, najdroższy, z całego serca. Wiem, że nie

chcesz tego słyszeć, ale jesteś całym moim życiem, wszystkimi moimi marzeniami, wszystkim, co miałam nadzieję znaleźć pewnego dnia. I chciałam, żebyś był szczęśliwy. To wszystko było złe, wiem: wyrządziłam ci straszną krzywdę i od początku wiedziałam, że to się nie może dobrze skończyć, ale chciałam, zanim cię opuszczę, pomóc ci ostatni raz, zrobić, co w mojej mocy...

Garth z głową od niej odwróconą, opierał czoło na rękach.

— Wyjdź — powiedział. Płakał.

Sabrina schyliła się po walizkę, lecz po namyśle wyprostowała się. Większość tych rzeczy w środku należała do Stefanii. Zostawiła ją na podłodze obok bagażu Gartha, wzięła swoją torbę i otworzyła drzwi. Stała w nich przez chwilę, patrząc na tył jego głowy, gęste czarne włosy, przyprószone siwizną, i widząc w wyobraźni kosmyk, który opadał mu na czoło, gdy siadywał tak pochylony... ***Najdroższy, najdroższy, przebacz.***

Garth myślał, że już wyszła, i odwróciwszy się, ujrzał ją w drzwiach.

— Do diabła, wynoś się stąd! — zawołał przez łązy. — I daj mi opłakiwać w spokoju moją żonę!

Szybko wyszła i zamknęła za sobą drzwi, po czym oparła się o nie całym ciężarem, z oszalałym biciem serca. Skończyło się. Dotknęła drzwi czubkami palców.

— Kocham cię — powiedziała miękko i obróciwszy się, poszła po kwiecistym dywanie do windy. Z wysiłkiem wyprostowała plecy i uniosła głowę opuszczając hotel w deszczu.



## Rozdział piąty

Pani Thirkell właśnie wróciła z targu i przeciskała się przez drzwi wejściowe objuczona parasolką i wilgotnymi paczkami, gdy zajechała taksówka z lotniska.

— Pani Andersen! — wykrzyknęła i stała w ulewnym deszczu przytrzymując drzwi, gdy Sabrina płaciła kierowcy i wbiegała do domu. — Proszę wejść, proszę wejść. Och, jakże się cieszę, że panią widzę! A jaka uradowana będzie panna de Martel! Pozwoli pani, że wezmę płaszcz i kapelusz. W salonie jest napalone, a także w sypialni milady... pani sypialni. Zaraz przyniosę herbatę. Gdzie pójdzie pani najpierw?

— Do sypialni, pani Thirkell. Proszę o bułeczki i dżem do herbaty. Panna de Martel jest w domu?

— Nie, milady, właśnie się z nią pani minęła. — Czoło pani Thirkell przecięły linie zafrasowania. — Przepraszam, chciałam powiedzieć pani Andersen. Jest pani tak podobna...

— Nic nie szkodzi, nie ma za co przepraszać. — Sabrina skierowała się w stronę schodów. — Wiele osób nie potrafiło nas odróżnić.

— Ale, pani Andersen! Gdzie pani bagaż?

— Nie ma bagażu. Pani Thirkell, proszę mi także przynieść pocztę i dzisiejszego *Timesa*.

— Tak, milady.

Sabrina uśmiechnęła się lekko i poszła po schodach do swojego pokoju, zatrzymując się na drugim piętrze, żeby obejrzeć bukiet różowych i czerwonych goździków na pianinie. „Do wieczora” — przeczytała napis na karcie. Gabrielle miała wielbiciela. Brooksa? Jolie twierdziła, że często jadalі razem kolację. Cóż, Gabrielle wkrótce jej o wszystkim opowie. Ze szczegółami. Rozejrzała się po cichym salonie,

meblach połyskujących w łagodnym świetle lamp. Pani Thirkell nie próżnowała; wszystko było tak, jak być powinno.

Z wyjątkiem dziecięcego śmiechu i czułego głosu męża.

W sypialni na trzecim piętrze uklękła i rozpałała ogień. Ale brakło jej sił, żeby wstać. Była tak zmęczona, ręce i nogi tak ciężły, że wciąż klęcząc, oparta o otomanę, spod wpółprzymkniętych powiek patrzyła na skaczące płomienie. Myśli płynęły ociężale i powoli, pełzły. Wspomnienie rozmowy w hotelowym pokoju. Dzień dzisiejszy i jutro. Wszystkie te przyszłe tygodnie, ogołoczone z obecności rodziny. Budowanie nowego życia, które nie należało ani do niej, ani do Stefanii. ***Jakże mam zacząć życie osoby, która nigdy nie istniała?***

Usłyszawszy pukanie pani Thirkell, podniosła się i usiadła przy okrągłym stoliku pod oknem. Spojrzała na małą kupkę listów.

— Czy Sidney Jones zajął się resztą korespondencji?

— Zgłasza się po nią co parę dni. — Pani Thirkell zatrzymała się niepewnie. — Pani Andersen, chciałabym zapytać... Czy zostaje pani na dłużej? I czy będzie pani przyjmować gości? A może wróciła pani po to, żeby sprzedać ten dom? Widzi pani, nie wiem, jakie powinnam robić plany...

Sabrina popatrzyła na jej zaokrąglone odbicie w srebrnym czajniczku i na odbicie czajniczka w pocętkowanej deszczem szybie. Wszystko było podwójne. ***Kiedyś ja też byłam podwójna.***

— Zostaję na stałe, pani Thirkell. — Po raz pierwszy wyrzekła te słowa na głos: były niczym ogłuszający cios, który położył kres marzeniom. — Mam nadzieję, że będzie pani mieszkać ze mną, tak jak z moją siostrą.

— Och, będę, oczywiście, że będę. Niczego w świecie bardziej nie pragnę. Ale... pani mąż? I dzieci? Co z pani domem w Ameryce?

— To jest mój dom — powiedziała Sabrina tonem wykluczającym dalszą dyskusję. — Dzieci spędzają czas z ojcem i w szkole, gdzie jest ich miejsce. — ***Muszę wytłumaczyć to obszerniej: nie mogę pozwolić ludziom myśleć, że porzuciłam ich na dobre.*** — Może tego lata dołączą do mnie tutaj. Nie widzę nigdzie *Timesa*.

— O mój Boże, zapomniałam. Tyle rzeczy stało się jednocześnie! Zaraz przyniosę, a potem wrócę na targ, bo nie kupiłam wystarczająco dużo dla... Będzie pani miała jakichś gości?

— Początkowo nie. Ale będę jadać w domu.

Pani Thirkell zniknęła za drzwiami, wróciła z gazetą i znów wyszła, bohaterko powściągając swą ciekawość. Gdy wróciła w godzinę później, żeby sprzątnąć tacę, Sabrina przebrana w miękką wełnianą tunikę leżała na fotelu z podnóżkiem, przed ogniem.

— Pani Andersen, to będzie dla mnie zaszczyt pracować dla pani. Żywiłam najwyższy szacunek i byłam przywiązana do lady Longworth i bardzo za nią tęsknię. Jeżeli z panią zostanę, to będzie prawie tak, jakbym jej nie straciła.

— Dziękuję — odparła Sabrina. — Doceniam to bardziej, niż umiem wyrazić.

Nie było więcej rozmów w sprawie dziwnego, nie zapowiedzianego przyjazdu Stefanii Andersen, która postanowiła zamieszkać na stałe w Londynie i zacząć życie swej siostry.

Jednak w tej chwili ten drugi dom, cienie jego pokoi, echo głosów, majaczył wciąż na brzegu jej świadomości. Przez całą noc przewracała się bezsennie na jedwabnych prześcieradłach, sięgała do ręki Gartha, szukała ciepła jego ciała i bezpiecznego uścisku jego ramion, gdy zapadała w drzemkę. Za każdym razem natrafiała na próżnię i wraz z raptownym przebudzeniem spływała na nią pamięć i świadomość bezdennej pustki w niej samej, w łóżku i cichym, ciemnym domu.

Rano w drodze do pracy zmobilizowała się, żeby zaplanować pierwszy dzień w nowym życiu: rozmowa z Nicholasem i Brianem w *Ambasadorze*, konferencja z Sidneyem na temat finansów, lunch z Gabrielle i zakupy. Za parę dni zacznie dzwonić do znajomych, żeby dać im znać, że jest na miejscu.

W *Ambasadorze* Nicholas i Brian debatowali nad małym pęknięciem w pomalowanej na czerwono komódce z drzewa tulipanowca z roku tysiąc siedemset sześćdziesiątego szóstego. Szuflady były ozdobione kwadratowymi płytkami sewskiej porcelany; w górnej części drzwiczek podobne okrągłe płytki. Na blacie komódki stał złożony zegar. Z obu jego stron wyrastały dwa złote kandelabry, jak ramiona wzniesione w modlitwie. Zegar wieńczyły dwie figurki z kości słoniowej. Sabrina patrzyła z rozbawieniem ze swego miejsca w drzwiach na absurdalne piękno mebla.

— Skąd go wytrzasnęliście? — spytała wchodząc do środka. — Od lat nie widziałam nic Carlina. Nicholas poderwał się i oparł ręce na komódce.

— Moja droga Stefanio! Ależ nas zaskoczyłaś! Nie mieliśmy pojęcia... powinnaś nas uprzedzić...

— Brian — rzekła Sabrina — czy ty też masz trudności z oddychaniem?

— Nie — odparł biorąc z uśmiechem jej dłoń. — Cieszę się, że panią widzę.

Skinęła głową.

— Nicholas, wejdź, proszę, na chwilę do mojego biura. Brian, zajmiesz się sklepem?

— Oczywiście.

— Za parę minut chciałabym i z tobą porozmawiać.

— Sympatyczny facet — powiedział Nicholas idąc za nią. — Ale wyjaw mi, droga Stefanio, skąd znasz meble Martina Carlina? Sabrina nigdy nie wspomniała, że twoja wiedza jest tak rozległa. Doprawdy, jestem pod wrażeniem; zdaje się, że jest wiele rzeczy, których o tobie nie wiemy.

Usiadła przy wiśniowym stoliku i przesunęła palcami po jego wypolerowanej powierzchni.

— Nicholasie, w pełni rozumiem twoje obawy. Boisz się, że będę się wtrącać w prowadzenie *Ambasadora* albo sprzedam go komu innemu. Pozwól, że ci to wyjaśnię. Po pierwsze, *Ambasador* nie jest na sprzedaż ani dla ciebie, ani dla nikogo innego. Po drugie mam zamiar go prowadzić, tak jak to robiła Sabrina, lecz przy twoim współudziale. Widzisz więc, że denerwowałeś się dwakroć więcej, niż to było potrzebne.

— Moja droga...

— Przepraszam na chwilę. — Podeszła do drzwi. — Brian, czy możemy dostać herbatę? I rogaliki. — Wróciła na swoje krzesło i spojrzała na Nicholasa. — Podczas naszych ostatnich rozmów telefonicznych odniosłam wrażenie, jakbyś miał zamiar ukryć przede mną jakieś sprawy dotyczące inwentarza czy finansów.

— Moja droga Stefanio!

— Oczywiście, ponieważ Brian prowadzi księgi, a Sidney ma Briana na oku, musiałbyś to zrobić bardzo sprytnie. Ale oboje wiemy, że sprytu ci nie brakuje. Pomyślałam sobie, że gdy porozmawiamy w cztery oczy, rozmowa z Brianem lub Sidneyem będzie niepotrzebna.

Nastąpiła pauza. Nicholas zamarł w bezruchu.

— Rozumiesz, Stefanio, nie mieliśmy pojęcia, kiedy wrócisz ani na jak długo; właściwie czy w ogóle się znowu pojawisz. Nawet w tej chwili nie bardzo widzę, jak będziesz mogła prowadzić sklep, mieszkając jednocześnie w Ameryce. To na nas ciąży na co dzień odpowiedzialność za...

— Zostaję na stałe, Nicholasie. Będę mieszkała w moim domu na Cadogan Square i prowadziła *Ambasadora*.

— Opuściłaś męża? I dzieci?

— Zostaję na stałe. Nie ma potrzeby dalej o tym dyskutować. Co do wejścia w spółkę, które proponowałeś Sabrinie, sugeruję następujące rozwiązanie: będziesz nadzorował *Ambasadora* i *Blackford's* oraz

załatwiał zakupy od pośredników. Ja będę nabywała przedmioty na aukcjach do obu sklepów i zajmowała się wszystkimi zleceniami na wystrój i odnawianie wnętrza. Brian będzie miał w swojej gestii sprawy papierkowe — faktury, wyciągi bankowe, korespondencję i tym podobne — jak to robi Amelia w *Blackford's*. Nad podziałem finansów zastanowimy się razem z Sidneyem Jonesem. Czy aprobujesz taki projekt?

Nicholas, któremu odebrało mowę, skinął głową bez słowa.

— Zatrudnię księgowego, który będzie sprawdzał prowadzenie papierów przez Briana i Amelię, skoro nasze sprawy finansowe będą się ze sobą nierozzerwalnie łączyły. Ty, ja i Brian będziemy regularnie się konsultować w sprawach kupna i sprzedaży, łącząc te operacje, gdy zaistnieje taka możliwość, aby zaoszczędzić sobie czasu i pieniędzy. Czy to wydaje ci się do przyjęcia?

— Stefanio. — Nicholas odchrząknął. — W Chinach byłaś taka spokojna. Czy zmieniłaś swój stosunek do mnie, bo Sabrina nie miała do mnie zaufania?

— Wręcz przeciwnie. Miała do ciebie pełne zaufanie. Lecz w ciągu ostatnich kilku tygodni odniosłam wrażenie, że robisz uniki. Nie będę tego tolerować.

— Zapewniam cię, Stefanio...

— Wydam Sidneyowi polecenie, żeby od jutra zaczął opracowywać dokumenty. Czy to ci wystarczy?

— Wiesz, że to zupełnie niesamowite — jesteś tak podobna do Sabriny. Wręcz niesamowite. Czy wy obie często myślałyście podobnie?

— Często. — Wstała i wyciągnęła rękę. — Nicholasie, czy zostaniemy przyjaciółmi?

Podskoczył z gotowością.

— Tak, z pewnością. Czyż zawsze nie byliśmy przyjaciółmi? Nie myśl, że zdecydowałbym się tak łatwo na wejście w spółkę z kimś innym. Lecz ty jesteś naprawdę niezwykłą osobą, moja droga. Muszę ci też powiedzieć, że w ciągu kilku ostatnich tygodni odkryłem, jak niesłychaną renomę wyrobiła Sabrina *Ambasadorowi*. Jeżeli dorównujesz jej umiejętnościami i pewnością siebie, mamy przed sobą zdumiewającą przyszłość. Zaiste, trudno przewidzieć, jak daleko zajdziemy.

— Domyślałam się, że żywisz takie nadzieje. — Uśmiechnęła się do niego tak miłe, że dopiero po dobrych kilku minutach zdał sobie sprawę, jak dobrze przejrzała jego łapczywe pragnienie, żeby kupić choćby udział w *Ambasadorze*. — Zanim pomówię z Brianem, czy mógłbyś zaproponować wysokość jego pensji?

Nicholas był zmieszany. Po przejęciu inicjatywy na wzór Sabriny spytała o jego radę, jak uczyniłaby to Stefania. Lub, uświadomił sobie, jakby już byli współnikami. Rzucił propozycję. Gdy zachęciła go, przedstawił następny pomysł i wkrótce opracowali plan, który odpowiadał im obojgu.

— Zawołam go tutaj — rzekł Nicholas, a potem szybko wspiął się na palce i cmoknął ją w policzek. — Jesteś wspaniała — dodał i wyszedł z biura.

Sabrina stała za biurkiem, czekając na przyjście ich obu i czuła, jak krew szybciej płynie w jej żyłach. Zagrała na oślep domyślając się, że Nicholas przez zatajanie informacji chce wydrzeć jej kontrolę nad *Ambasadorem*. Gdy okazało się, że miała rację, poczuła, że w pełni panuje nad sytuacją, a jej energia, zdecydowanie i wiedza nie poniosły uszczerbku. Z zabezpieczeniem w postaci dwóch sklepów i Nicholasa z Brianem, którzy pomogą jej w pracy, mogła wyspecjalizować się w odnawianiu i dekoracji wnętrz, a wieczory spędzać w towarzystwie ludzi wybranych, tych, których lubiła, a nie z każdym, z kim znajomość mogłaby okazać się przydatna.

W ten sposób ustalił nowy tryb życia i będzie wciąż w sercu przechowywać śmiech dwojga dzieci i czuły głos męża.

— Co z lunchem? — Pytanie Gabrielle wyrwało ją z zamyślenia. — Przepraszam, Stefanie, że przeszkadzam ci w pracy, ale myślałam, że mogłaś zapomnieć. A ja czekałam na to całe rano.

— Nic nie szkodzi, Gaby. Już możemy iść.

Poszły do *Le Suquet*, bo Gabrielle chciała zjeść rybę.

— Weźmiemy sobie na spółkę półmisek *fruit de mer*, dobrze? Cała porcja to dla mnie za dużo, a to jest tak pyszne, że nie mogę się oprzeć. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że tu jesteś. Nie wiesz, jakie to okropne, gdy nie ma się z kim porozmawiać. A, niech to! Oczywiście, że wiesz, co ja wygaduję! Stefanie, masz zamiar mnie przepędzić, czy mam się tylko zamknąć i jeść?

— Ani jedno, ani drugie — Sabrina nie mogła powstrzymać śmiechu. Mieszanina wystudiowanej dziecinności i autentycznej wrażliwości w zachowaniu Gaby była tym, czego potrzebowała. Dobrze jej zrobi, gdy będzie miała kogoś jeszcze oprócz siebie, o kogo będzie się martwiła. — Opowiedz mi o Brooksie.

Gabrielle rozdzieliła zawartość półmiska na dwa talerze i posmarowała masłem drugą bułkę.

— Jestem niewiarygodnie głodna. Przez całe tygodnie nie mogłam w siebie nic wmusić, a teraz jem bez przerwy. On chce się ze mną ożenić. Powiedziałam mu, że najpierw muszę porozmawiać z tobą.

— Dlaczego?

— Bo jesteś dla mnie jak Sabrina. Z pewnością ci o mnie mówiła. Nie mam tu nikogo innego. Jest jeszcze Aleksandra, ale siedzi w Rio, zresztą nigdy mnie nie lubiła. Chciałam zadzwonić do ciebie do Stanów, ale na szczęście jesteś tutaj. Nie tęsknisz za dziećmi?

— Tak.

— A za mężem?

— Miałaś mi opowiedzieć o Brooksie.

— Racja. No więc wytropił swoich szpiegów. Jeden z nich pracował w londyńskim biurze i sprzedał **Rymer Cosmetics** nazwy firmowe i plan strategii rynkowej, a drugi z fabryki w Bernie sprzedał im skład chemiczny. Dlatego właśnie wykrycie ich trwało tak długo: Brooks wiedział, że jedna osoba nie mogłaby znać obu tych informacji — z wyjątkiem mnie.

— Ale dlaczego uwierzył, że to ty to zrobiłaś?

— Ten szpieg w Bernie powiedział komuś, że sprzedaję informacje firmie Rymer. Gdy plotka się rozeszła, ktoś napisał list do Brooksa. Wtedy Rymer wystąpił z jesienną serią kosmetyków Brooksa, który stracił na tym miliony i obwinił mnie, bo miałam dostęp do jego osobistych papierów. Złożył jedno do drugiego i wyrzucił mnie. Nie wiem, co bym poczęła bez Sabriny. Nigdy nie miałam takiej pewności siebie jak ona — ani twojej siły. Myślę, że zawsze mogłyście jakoś przebrnąć przez ciężkie chwile, bo miałyście siebie nawzajem. Ja nigdy nie miałam... O, cholera, przepraszam, Stefanio, znów to chlapnęłam. Musisz za nią okropnie tęsknić.

Sabrina milczała czekając, aż przycichnie nagły ból. Podszedł do nich *maître d'hôtel* i pochylił się ku niej.

— Pani Andersen, chcieliśmy złożyć pani nasze kondolencje. Wszyscy podziwialiśmy lady Longworth: była bardzo łaskawa i niezmiennie uprzejma dla wszystkich.

Sabrina przyjęła te słowa skinieniem głowy. Cierpienie osłabło, pozostał tępy ból, który nosiła w sobie cały czas — Stefania, Garth, Penny, Cliff, tysiąc co-by-było-gdyby.

— Czy chciałabyś wziąć ślub przy Cadogan Square? — spytała.

— Och, Stefanio, naprawdę możemy? Jak cudownie! Myślałam o tym, ale rzecz jasna, bez ciebie to byłoby niemożliwe.

— Przyjdźcie w piątek z Brooksem na kolację i zaplanujemy wszystko. Pani Thirkell musi znać liczbę gości.

— Czy zgodzisz się być świadkiem podczas ceremonii? Zawsze chciałam, żeby to była Sabrina... Stefanio, czy bardzo będzie ci

przeszkadzać, jeżeli będę myślała o tobie jako o Sabrinie? Wy dwie — wiesz, to bardzo zbija z tropu.

— Wiem.

Po lunchu Sabrina musiała dotrzymać jeszcze jednej obietnicy. Udała się do sklepu Petera Dale'a w arkadach opery królewskiej na Pall Mailu, gdzie zaczęła oglądać zbroje.

— Nie chodzi mi o całą zbroję — tłumaczyła właścicielowi. — O coś mniejszego...

— Chwileczkę, mam coś takiego.

Znał kiedyś Sabrinę i złożywszy wyrazy współczucia głosem, który skrzypiał jak sprzedawane przez niego zbroje, zniknął na zapleczu sklepiku i przyniósł stamtąd małą tarczę ze wspaniałym ornamentem gryfa strzegącego wrót zamku. — Używał jej jeden z Cecilów do ćwiczeń bronią, gdy miał około dziesięciu lat.

Sabrina uznała, że to idealny prezent, i wypisując czek wyobrażała sobie Cliffa, jak obnosi się z nią, a potem wiesz na ścianie w sypialni, żeby mu przypominała, iż miał kiedyś matkę, która go kochała.

W *Falkiner's* skompletowała zestaw papieru malarskiego dla Penny — japoński pergamin, papier akwarelowy, marmurkowe arkusze w fantastyczne wzory i cienki welin o nierównych brzegach. U Windsora i Newtona nabyła jedno z największych pudeł z farbami olejnymi, a potem, urzeczona wizją zachwytu Penny, dorzuciła do kolekcji komplet wschodnich pędzelków i patyczków do rysunku tuszem.

— Brian, jak wysłać ten nieporęczny bałagan do Ameryki? — zapytała po powrocie do *Ambasadora*.

— W taki sam sposób, w jaki wysyłamy nieporęczne dzieła sztuki. Proszę to pozostawić mnie, pani Andersen.

— Poczekaj. Jeszcze jedno. — Zniknęła w głębi biura i po chwili wróciła z zaklejoną kopertą. — Wszystko ma zostać wysłane pod ten adres.

Tarcza, przybory malarskie, list. „Najukochańsi Penny i Cliff!

Myślę o was i tęsknię za wami, a za każdym razem, gdy zamknę oczy, widzę was jak żywych. Nie mogę was uściskać przez ocean, więc zamiast tego wysyłam wam przyręczone prezenty, na teraz i jako wcześniejszy podarek pod choinkę. Kocham was oboje. Kocham was oboje."

I krótki liścik do Gartha.

„Bez względu na to, co postanowiłeś powiedzieć Penny i Cliffowi, proszę cię, żebyś pozwolił im zatrzymać te prezenty. Nie napiszę do nich powtórnie ani nic im nie pošlę, dopóki nie będę miała twojego pozwolenia, ale obiecałam wysłać im prezenty zaraz po przyjeździe do Londynu. Pozwól mi dotrzymać obietnicy. To ostatnia łaska, o jaką cię proszę."



Nie mogła już nic ponadto zrobić dla swojej rodziny, mogła tylko tęsknić za nimi i czekać, aż ból zelżeje. Lecz zapomniała o matce. Laura zadzwoniła w sobotę w samo południe, gdy Sabrina i Gabrielle wybierały się na zakupy po suknię ślubną. — Stefano, co się dzieje na Boga Ojca? Garth mówi, że zostaniesz w Londynie na czas nieokreślony. Co to wszystko ma znaczyć?

— Dokładnie to, mamó. Na razie mieszkam tutaj.

— A Garth i twoje dzieci?

— Mamó, znasz odpowiedź. Są w Evanston.

— Porzuciłaś własne dzieci?

— Porzuciłam... Tak. Jest z nimi Garth.

— A ty je zostawiasz własnemu losowi?

— Tak.

— Na jak długo?

— Na... tak długo, jak to będzie konieczne.

— Konieczne! Do czego? Żeby rozbić wspaniałe małżeństwo, świetny dom, życie dwojga...

— Proszę, mamó, przestań...

— A to dlaczego? Czy wiesz, co odrzuciłaś? Najlepszego...

— Mamó, daj temu spokój. Proszę! Garth i ja wspólnie zdecydowaliśmy, że powinnam odejść. I bez twoich wyrzutów dość cierpimy. Pewnego dnia może będę mogła o wszystkim ci opowiedzieć, ale teraz to niemożliwe. Po prostu musisz mi ufać, że robię to, co muszę.

— Stefano — odezwał się Gordon do drugiej słuchawki głosem kruchym jak cienka nitka. — Nie kochasz już Gartha?

***Kocham go z całego serca. Kocham go coraz więcej. Jego wspomnienie mnie przesiaduje i czepia się moich myśli przez długie, nie kończące się noce.***

— Są pewne sprawy, o których nie mogę mówić — odparła. — Będziecie musieli uwierzyć mi na słowo. I zaufać mi. Przepraszam, że was zmartwiłam...

— Tak szybko po Sabrinie! — krzyknęła Laura. — Mogłaś z tym poczekać, aż zniesiemy ten pierwszy cios.

— Tak, mamó. To było bezmyślne z mojej strony. Najgorzej przepraszam...

— Obejdę się bez twojego sarkazmu...

— Co teraz zrobisz? — wtrącił Gordon. — Sama w Londynie.

— Zawarłam spółkę z Nicholasem Blackfordem i będziemy wspólnie prowadzić *Ambasadora*. Zatrzymam dom Sabriny, nawiążę przyjaźnie i będę żyła samodzielnie.

— Okropność — jęknęła Laura. — Po prostu okropność. Ostatnia rzecz, jakiej mogliśmy się spodziewać. Byliśmy ciebie tak pewni!

— Wiem, przepraszam. Sprawiałam wam zawód.

— Ale jestem pewna, że wrócisz. Przemyślisz wszystko i wrócisz do rodziny. Kobiety mają teraz takie wyskoki, wciąż się o tym czyta. Wydają się całkowicie szczęśliwe, a potem pewnego dnia nagle stają dęba i domagają się większej przestrzeni, cokolwiek to znaczy. Nie rozumiem, co te kobiety mają na myśli mówiąc: przestrzeń. Większość z nich chce przez to powiedzieć, że chce kochanka. Czy z tobą jest tak samo?

— Nie.

— Cóż, jeśli tak jest, znajdź sobie jakiegoś, wyrzuć to z siebie, a później wracaj do swojej rodziny. Jeżeli nie szukasz kochanka, to czego szukasz? Kariery zawodowej? Zaczęłaś ją robić w tym małym sklepie, jak on się nazywał? *Starocie*. Chcesz zrobić karierę zawodową?

— Nie.

— No więc o co ci chodzi? Do czego spodziewasz się dojść, mieszkając w domu Sabriny i prowadząc jej sklep? — Sabrina nie dawała odpowiedzi. — Stefanio? Stefanio, czy chcesz udawać, że jesteś Sabriną? Pamiętam, że zawsze zachwycałaś się jej wspaniałym londyńskim życiem, jej sukcesami... i obawiam się, że cię trochę sprowokowałam... Czy to właśnie chcesz osiągnąć? Nareszcie po wszystkich tych latach przemienić się w Sabrinę?

— Mamo! — Głos Sabriny zabrzmiał jak coś pośredniego między śmiechem i płaczem. — Próbuję być sobą.

— To znaczy kim? — spytał Gordon.

— Nie wiem — odrzekła. — Ale stopniowo się dowiaduję.

Jak prosto to zabrzmiało: „Dowiaduję się”. Ale się dowiem, przysięgła w duchu następnego dnia, biorąc taksówkę na cmentarz Kensington. Tylko to potrwa trochę.

Szła wolno w stronę małego kopczyka ziemi, gdzie stali wszyscy razem tak niedawno. Cmentarz był równie szary i wilgotny jak tamtego dnia, rozpływał się we mgle, która zmieniała kształty. Drzewa płakały przejrzystymi łzami, a kałuże na ścieżkach wyglądały jak małe płaskie lusterka. Odbijały się w nich przepływające chmury — szarość na szarym tle.

Stała przy grobie i dała folgę wspomnieniom. Przez głowę przesuwały jej się obrazki z dzieciństwa, dni szkolnych, *Juliette*, odwiedzin w Nowym Jorku, wizyt w Londynie, znów dzieciństwa,

służby pakującej rzeczy, obcości nowych szkół, dwóch sióstr zawsze trzymających się za ręce. Wkrótce wilgoć przeniknęła ją całą. Sabrina drżąc odwróciła się do wyjścia.

Niedaleko bramy zobaczyła wysokiego mężczyznę, który wysiadał z samochodu.

— Gospodyni pani powiedziała mi, że pani tu jest — powiedział Dmitri. — Czy mogę odwiedzić panią do domu?

Spojrzała na jego szczupłą twarz, ciemne oczy pod upartymi brwiami, stanowcze usta. Wyciągał rękę, żeby pomóc jej wejść do samochodu. Przypomniała sobie młodego chłopca, który zmuszał się do odważnej postawy, gdy ludzie w ciężkich butach przetrząsali jego pokój i tupali nad piwnicą, gdzie ukrył dwie małe Amerykanki. Chce mnie ochraniać, pomyślała. Lecz jego oczy były łagodne i nie miały w sobie cienia zaborczości. Ofiarowywał jej przyjaźń.

— Dobrze — odparła. — Z przyjemnością pojedę z panem.

## *Rozdział szósty*

Nikt nie wyszedł po Gartha na lotnisko, gdy przyleciał z Nowego Jorku, bo wszyscy spodziewali się, że wróci dopiero za dwa dni. Opuścił hotel wcześniej rano we wtorek, zadzwonił do Rolfa, że nie będzie na zjeździe zespołu konsultantów, i odleciał do Chicago pierwszym samolotem. Znużony, miał za sobą bezsenność i wszystko atakowało jego zmysły ze zdwojoną siłą: donośne dźwięki, jaskrawe barwy, głosy odbijające się od twardych ścian i podłóg. Lecz gdy otworzył drzwi i wszedł do domu, przytłoczyła go panująca tam cisza. Pusty dom. Penny i Cliff byli w szkole. Jego żona nie żyła. Oszustka jest już w Londynie.

Zatrzymał się pośrodku kuchni. Co robić? Nic nie wydawało mu się godne zachodu. Rozejrzał się po schludnym pomieszczeniu, spojrzął na kanapkę i niski stolik, na którym leżały rysunki Penny i książka, którą czytała przed wyjazdem Stefania, na stół śniadaniowy. Z pamięci wypłynął obraz — noc, bardzo późno, dom ciemny i pogrążony w ciszy, a oni siedzą razem przy okrągłym stole i jedzą ciasto z dyni z jednego talerza. Tylko że to nie była Stefania. To była...

— NIE! — krzyknął, a długi, pełen udreki dźwięk odbił się echem w pustych pokojach. Porwał książkę ze stolika i cisnął nią w ścianę. Z trzepotem kartek spadła na podłogę, a Garth osunął się na kanapkę i szloch rozpaczony wydarł mu się z piersi: śmierć żony... pogruchotane szczątki życia.

Z wyczerpania zapadł w sen, a gdy się obudził, było ciemno. Nie mogąc się zorientować w czasie, namacał kontakt i spojrzął na zegarek. Była dopiero piąta. Zadygotał; przed wyjazdem nastawili piec na minimum i w domu było zimno. W tej chwili przypomniał sobie wszystko, co się wydarzyło, i poczuł, jak jego gniew utwierdza się,

rozchodzi po całym ciele niczym zimna, lepka masa, wiąże z krążącą krwią, biciem serca i szumem w uszach. Musiał ruszyć się z miejsca, wziąć się do czegoś.

— Bądź przynajmniej praktyczny — powiedział do siebie na głos i zadzwonił do Vivian. Poinformował ją, że zjazd skończył się wcześniej, niż oczekiwał, i że za godzinę zabierze Penny i Cliffa.

— Przyjdź na obiad — nalegała. — I opowiedz nam o Nowym Jorku.

— Nie dzisiaj. Może kiedy indziej.

— W takim razie pozwól swemu potomstwu zjeść, zanim je zabierzesz. Pomagali przy gotowaniu, więc sądzę, że powinno się ich zmusić, żeby skosztowali własnego dzieła.

— W porządku. Będę o ósmej, dobrze?

— Świetnie, o ósmej. Garth, bez względu na to, co się stało, zjedz coś. Lepiej się poczujesz.

Więc dawało się to wyczuć w jego głosie. Cóż, dlaczego nie? Jak długo można w sobie tłamsić gniew nie objawiając go? Rozpakował się, umył twarz, zmienił koszulę i wlał w gardło dwie szybkie szkockie. Nastawiając wodę na lód zauważył, że lodówka jest pełna. Cóż za troskliwość! Dziwka ich dobrze zaopatrzyła, zanim związała z klatki, aby zabawiać się w Europie.

Chodził wielkimi krokami po domu, a jego myśli kotłowały się bezładnie jak szczątki po wybuchu. Dlaczego wcześniej jej nie podejrzewał? Wciąż wracał do tego jednego pytania, usiłując zrozumieć, jakim cudem dał się tak dokładnie nabrać. Nie mógł tego zrozumieć. Cofał się w przeszłość, wspominając liczne przejęzyczenia i szybkie poprawki, nietypowe zachowania, luki w pamięci tej kobiety. Był człowiekiem, który zbierał fakty i analizował je. Dlaczego dał się tak łatwo oszukać? Nie miał pojęcia. W niczym nie mógł znaleźć cienia sensu. Jedyne oparcie to teraz dom i dzieci, dlatego musi zobaczyć je jak najszybciej: to wszystko, co posiadał i czego mógł być pewny.

Wcześniej ruszył do domu Goodmanów i jechał wolno zaśnieżonymi ulicami. W myślach przeprowadzał próby czekającej go rozmowy.

Muszę wam coś powiedzieć. To będzie niezbyt przyjemne... I niełatwe...

Usiądźcie na chwilę. Chcę z wami pomówić o waszej matce...

Muszę wam powiedzieć, że jakiś czas temu wasza matka miała wypadek... Nie, nie ten na rowerze, inny wypadek, na jachcie, w Europie. Widzicie, kobieta, która tu z nami mieszkała, ta, która miała wypadek na rowerze...

Kobieta, która tu z nami mieszkała, robiła z nas głupców, śmiała się z tego, żeśmy ją kochali i potrzebowali jej, podczas gdy ona prowadziła swoją zabawę...

Jak u diabła można powiedzieć coś takiego swoim dzieciom?

Zawiózł Penny i Cliffa do domu i usiedli we trójkę w pokoju śniadaniowym zjadając lody i precle.

— Mama nie uważa, żeby to był dobry zestaw — powiedział Cliff. — Ale ja to lubię.

— Najbardziej nie lubi, gdy je się lody z marynowanym koperkiem — sprostowała Penny. — I myślę, że ma rację.

— Ja też — zgodził się Cliff. — Tato, możemy zadzwonić do niej do Londynu?

— Nie.

— Dlaczego nie? Ty dzwoniłeś co wieczór, gdy była tam po pogrzebie cioci Sabriny.

— To było co innego.

— Dlaczego?

— Była wtedy bardzo nieszczęśliwa...

— No, a może teraz też jest nieszczęśliwa, bo za nami tęskni.

— Nie, Cliff.

— Ale dlaczego? Czy to dużo kosztuje?

— Przeszło dolara za minutę. Czy masz ochotę za to płacić?

— Jak ty nie zechcesz, to pewnie, że tak. Skoro tylko w ten sposób mogę pogadać z mamą.

— Tatusiu? — wtrącała pytająco Penny. — Dlaczego jesteś zły? Czy jesteś zły na mamę? Czy dlatego wcześniej wróciłeś? Czy ona też się na ciebie gniewa?

Garth pomyślał z przebłyskiem przewrotnego humoru, że najpierw człowiek jest dumny z inteligencji swoich dzieci, a potem odczuwa jej skutki na własnej skórze.

Ale dlaczego te inteligentne dzieci nie przejrzały tej kobiety i nie poznały, że to nie ich matka?

Dzięki swojej niewinności i ufności, które ona wykorzystała.

— Tato?

— To prawda, Penny, jestem zły. Powiem wam, dlaczego. — Szukał w myśli słów, zastanawiał się, jak zacząć. Dzieci obserwowały go, a na ich pogodnie zaciekawionych twarzach pojawił się niepokój. Garth przedłużał chwilę ciszy, nie mógł wykrztusić pierwszego słowa. W końcu rozłożył ręce i opuścił je z rezygnacją. Nie mógł tego zrobić. Może później, w stosowniejszym czasie. Ale nie teraz. — Gniewa mnie, że wasza matka jest w Londynie, zamiast być tutaj z nami.

I planuje zostać tam na dłużej, żeby przemyśleć swoje życie z dala od nas.

— Ale ona już to robiła — powiedziała Penny przygryzając usta. — W Chinach.

— To prawda. I pamiętasz, że gdy o tym rozmawialiśmy, powiedziałem, że często ludzie muszą oderwać się od codziennego życia, żeby pomyśleć o sobie samych w inny sposób. Ale bywa, że muszą robić to więcej niż raz albo przez dłuższy czas.

— Ale wtedy mówiłeś, że się nie rozwiedziecie.

Garth poczuł napływ mdłości i zacisnął zęby. Nie rozwód, a chirurgiczna operacja: usunięcie jej z naszego życia.

— Nikt nic nie mówił o rozwodzie, Penny. Słuchajcie, jest późno, czy nie macie lekcji do odrabiania?

— Odrobiliśmy je po południu — odparł Cliff. — Czy mama wróci?

— Nie wiem.

— Ona wróci! — krzyknęła Penny. — Wróci! Wiem, że wróci! Kłamiesz!

— Nie kłamie! — odpowiedział Garth ostrzej, niż zamierzał. Opanował głos; musi im to wyjaśnić tak, żeby zrozumiąły. — Penny, czasami ludzie robią rzeczy, które tobie mogą wydawać się niesłuszne albo pozbawione sensu, ale to nie znaczy, że nie mają racji. Twoja matka i ja mieliśmy... nieporozumienie z pewnego powodu i ona postanowiła na pewien czas wrócić do Londynu. Wiecie, że i tak miała tam pojechać, żeby zająć się firmą swojej siostry. Jedyne, co się zmieniło, to że zostanie dłużej, niż myślała...

— Jak długo?

— Nie wiem.

— Wiesz! Oboje z mamą to postanowiliście, a ty nas okłamujesz! To niesprawiedliwe, że nikt nie pytał Cliffa ani mnie, czego my chcemy, a my też tu mieszkamy i ona jest naszą matką, a ja jej powiem, że czekamy na nią, żeby wróciła, i nie możesz mi tego zabronić!

Wypadła z pokoju i wbiegła pędem po schodach. Cliff spojrzał na ojca i odezwał się rozważnie próbując zachować się bardziej dorośle od siostry.

— Ona wróci, prawda? Mówiłeś, że nie wiesz, jak długo zostanie w Londynie. Ale nie można wyciągać przedwczesnych wniosków. Tak mówią naukowcy, prawda?

Garth skinął głową. Prawda.

— Tato. — Cliff kręcił się na krześle. — Tato, ty c h c e s z, żeby ona wróciła, prawda?

— To... to jest skomplikowane, Cliff. Nie mogę dać ci prostej odpowiedzi.

Cliff zacisnął powieki.

— Pieprzysz bzdury.

— Dostyc tego dobrego! Nie odzywam się do ciebie w ten sposób i oczekuję od ciebie takiej samej grzeczności.

Czy sądzisz, że podoba mi się to wszystko? Niech to diabli, są rzeczy, na które nie mogę nic poradzić. Czy możesz to pojąć? Jeżeli jesteś na tyle dorosły, żeby mówić ojcu, że pieprzy bzdury, to powinieneś zrozumieć, gdy mówię, że nie mam absolutnej kontroli nad wszystkimi wydarzeniami.

— No, nie możesz zwać na nas winy za to, że pochrzaniłeś sobie życie — Cliff aż się cofnął, zaszokowany własnymi słowami. — Przepraszam, tato, przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć.

Garth poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Jego dzieci nigdy przedtem nie odzywały się do niego w ten sposób. Stefania nie pozwoliłaby na to. Stefania trzymała ich w ryzach. Teraz wszystko się rozleciało — ośrodek układu przestał istnieć. Zaczął coś mówić, potem dał spokój. Odepchnął krzesło, chcąc nalać sobie drinka.

— Tato?

— Tak, Cliff.

— Czy kochasz mamę?

W ciszy słyhać było szum elektrycznego zegara i lodówki.

— Wiesz — powiedział Garth — gdy braliśmy ślub, twoja matka była tak piękna, że wszyscy się na nią gapili; uważali mnie za najszcześliwszego faceta pod słońcem. A kiedy sprowadziliśmy się tutaj i wy się urodziliście...

— Dlaczego nie odpowiesz na pytanie? — krzyknął Cliff. — My ją kochamy, więc dlaczego ty jej nie kochasz? Ona też cię kocha. Co jest z tobą nie w porządku? Och, kurczę. — Wytarł oczy. — Zresztą nie chcę o tym rozmawiać. Napiszę do mamy. To pewnie też ci się nie spodoba.

Musimy ją usunąć ze swojego życia, pomyślał Garth. A to oznacza całkowity brak kontaktów. Narzucił sobie spokój i powiedział:

— Może raczej powinniśmy zostawić ją w spokoju na pewien czas i nie kontaktować się z nią. Może ona tego właśnie chce.

— Skąd wiesz? Nic cię nie obchodzi, czego ona chce. Poza tym sam mi mówiłeś, że naukowcy nie powinni wyciągać wniosków, dopóki nie zbiorą jak najwięcej faktów. Czy mama nie powinna dowiedzieć się o faktach?



— Jakich faktach?

— Że my ją kochamy — rzekł Cliff potępiająco. — I chcemy, żeby wróciła. I — dodał w nagłym natchnieniu — że jeśli sama nie wróci, pojedziemy po nią do Londynu!

Uwikłany pomiędzy swoim gniewem a miłością do dzieci, Garth próbował coś powiedzieć, lecz nie mógł nic z siebie wydobyć. — Dobra — oznajmił Cliff, ośmielony milczeniem ojca — nic z tego nie kapuję, ale napiszę do mamy. Penny i ja możemy jutro wysłać oba listy razem. Może nawet zadzwonię do niej za parę dni. Z mojego kieszonkowego. — Porozmawiamy o tym jeszcze jutro, Cliff. Dobrze?

— Okay, ale my i tak dzisiaj do niej napiszemy. Garth skinął głową.

— Przyjdę do was później powiedzieć wam dobranoc. Dziwka! Powtarzał w myśli tę obelgę, jakby zadawał cios. Nalał sobie drinka. Zobacz, co im zrobiłaś. Lepiej by na tym wyszli, gdyby wiedzieli, że nie żyjesz.

Że k t o nie żyje? — spytał samego siebie. I odpowiedział mętnie: nie wiem.

Nazajutrz Nat zadzwonił do niego do biura.

— Dopiero co usłyszałem o twoim powrocie. Udany zjazd?

— Nie poszedłem. Zmiana w planach.

— A Stefania? Czy jej plany też się zmieniły?

— Nie.

— Więc jest teraz w Londynie?

— Tak.

— Kiedy wraca?

— Wcale.

— Wca... Co to ma znaczyć?

— Zostaje tam. Nat, nie chcę o tym rozmawiać.

— Takie mam wrażenie. Dolores zasypie mnie pytaniami.

— Wybacz, ale pytania Dolores to twój problem, nie mój.

— Fakt nie podlegający dyskusji. Mam w przyszłym tygodniu parę dni wolnego, moglibyśmy połowić ryby pod lodem. — Wymyśliłeś sobie te wolne dni na poczekaniu.

— Racja. Moi pacjenci jakoś to przeżyją. Spędzimy trochę czasu na łonie przyrody, to nam może ukazać świat w nowej perspektywie. — Nie chcę zostawiać Penny i Cliffa samych. — Nawet na dzień lub dwa?

— Nat, pozwól mi się oswoić z rolą samotnego rodzica. Na chwilę zaległa cisza.

— Dobra. To może przyjdiesz na kolację? Dolores też będzie to proponować.

— Lepiej przyjdźcie tutaj. Upichcę coś w woku. Czy wiesz, że prawie każdy kretyn może ugotować w woku całkiem znośny posiłek?

— Dolores wolałaby coś dla ciebie ugotować.

— A ja wolę ugotować coś dla niej. Powiedz jej, że wkrótce zadzwonię. I, Nat — dziękuję.

Z upływem dni dzwonili inni znajomi z pytaniem, kiedy Stefania będzie w domu; te same pytania czekały na niego w klubie na wydziale, w bibliotece, nawet w sklepie.

— Musi czuć się zagubiona w Londynie — orzekła Linda zapraszając Gartha i dzieci na obiad. — A ja jestem zagubiona bez niej. Tuż po Nowym Roku mamy wyprzedaż i potrzebna mi jej pomoc. Mam nadzieję, że niedługo wróci do domu? W końcu Boże Narodzenie coraz bliżej.

Wszystkim odpowiadał, że nie wie.

Kłamca, chłostał sam siebie w myślach leżąc w cichej jak grób sypialni. Tchórz. Jak długo jeszcze będziesz podtrzymywał fikcję? Jak możesz piętnować oszustwo, jeśli jesteś tak samo winny jak one obie?

Wszyscy troje — Sabrina, Stefania i ja — schwytani w sidła własnego przekłętego oszustwa, uwikłani z każdym dniem coraz bardziej. W końcu wydaje się, że nie można położyć temu kresu, nie sprawiając bólu tym, których chcielibyśmy chronić.

Teraz to rozumiał.

Leżał nocą samotnie w łóżku z kolumienkami, a pokój wypełniały duchy: zapach jej ubrań, dźwięk jej śmiechu, wspomnienia o kobiecie, która stała się dla niego światłem i życiem. Trzymał się skraju łóżka, bo przy każdym ruchu przez jego ciało przelewała się fala tęsknoty i burzyła mu krew, tak że zapominał o gniewie i odruchowo wyciągał ręce, żeby przyciągnąć do siebie jej ciepłe ciało. Słyszał własny głos, wyznający jej miłość, i czuł ciepło jej oddechu, gdy odpowiadała mu, wciąż od nowa: kocham cię.

Lecz jego ramiona dotykały tylko zimnych i napiętych prześcieradeł. Z okrzykiem furii odrzucał koc i wyskakiwał z łóżka. Siedział godzinami przed ostygniętym paleniskiem kominka bawialni. Czytał, gdy nagle muskało go wspomnienie: jak siedzą tu we dwoje nad książkami, od czasu do czasu wymieniając spojrzenia, w ciszy tak głębokiej, jakby tylko ich dwoje było na całym świecie. Wtedy chory z samotności zamykał książkę i wbijał wzrok w szary, zimny popiół w kominku.

Miał trudności z odróżnieniem swojej żony od kobiety, która mieszkała z nim przez ostatnie trzy miesiące.

Jego żona, z którą żył przed dwanaście lat, zginęła, lecz jak ją oplakiwał, gdy stracił ją zaledwie kilka dni temu?

Kogo oplakujesz? — pytał swego odbicia w ciemnym oknie bawialni w tydzień po powrocie. Swoją zmarłą żonę. Która zmarła dwukrotnie. Raz na Morzu Śródziemnym i drugi raz w hotelu w Nowym Jorku.

Dwie różne kobiety. Jedna go zostawiła, druga od niechcienia zajęła jej miejsce, igrała sobie z ich życiem i zachowała swój sekret jeszcze długo po tym, gdy powinna była go wyjawić.

Lecz sama powiedziała, że chciała skończyć z oszustwem. Ze wszystkimi kłamstwami, powiedziała.

Więc dlaczego tego nie zrobiła?

Garth stał przed frontowym oknem i patrzył nieruchomo przez własne przezroczyste odbicie na upiorną kulę staroświeckiej ulicznej latarni. Nie był w stanie powiedzieć dzieciom prawdy. Czy ona była tak samo niezdecydowana, przeżyła podobne próby i porażki? Czy mówiła sobie jak on: „Później, w dogodniejszym czasie”?

Nie wiedział. Lecz jedno wiedział na pewno. Jego żona, z którą żył dwanaście lat, chciała czegoś więcej niż krótkiej podróży po Dalekim Wschodzie. O tak, teraz to do niego doszło. Chciała być sama, wolna i swobodna, bez męża i rodziny. Na tak długo, jak będzie jej to dogadzać. Nie spieszyło jej się z powrotem. W końcu siostra celebrowała zastępstwo.

Dlaczego nie przysłała do niego porozmawiać, sprawdzić, czy uda im się razem coś uratować, zamiast przy pomocy siostry przeprowadzać eksperyment, który zupełnie wykluczał jego osobę?

Dlatego, że on zaszufładowałby to jako jeszcze jeden przykład jej niezadowolenia — z niego samego, z jego pracy i wynagrodzenia, z Evanston, z trybu życia, jaki tutaj prowadziła, zwłaszcza w porównaniu z błyszczącą jak gwiazda egzystencją Sabriny w Londynie. Oskarżyłby ją, że chce być Sabriną.

I miałby całkowitą rację. Tego właśnie pragnęła. I w końcu dopięła swego. Dostała jak na talerzu życie Sabriny, w stanie gotowym: dom, zamożność, życie towarzyskie, wysoki status, przyjaciel — i kochanków.

Smutek żałoby z wolna przemieniał się w gniew, a jednocześnie jego myśli zwróciły się ku Sabrinie. Zamiana miejsc była pomysłem Stefanii. Czy Sabrina przyjechała do Evanston dla zabawy — czy żeby wyświadczyć przysługę Stefanii? Po raz pierwszy zadał sobie to pytanie.

W poniedziałek wrócił z uczelni prawie jednocześnie z Penny

i Cliffem i razem dostrzegli na ganku dziwnego kształtu paczkę z Londynu. Patrzył, jak dzieci z podnieceniem rozwiązują supły, zdzierają grubą taśmę i warstwy papieru.

— Och, tato! — Cliffa aż zatkało, gdy podniósł tarczę. Obejrzał ją ze wszystkich stron, wsunął sobie na ramię i ustawił tak, żeby osłaniała ciało. — Powieszę ją na ścianie w moim pokoju, dobra?

— Patrzcie, patrzcie — bełkotała Penny, rozkładając wokół siebie paczki kolorowego papieru, pudło farb olejnych i pęczek japońskich pędzelków i patyczków do rysunku tuszem. — Mama wiedziała, dokładnie wiedziała, czego chciałam! Nigdy jej nie mówiłam, że chcę pisaków do tuszu, a ona wiedziała, och, tato, zobacz, ile rodzajów papieru. Masz, pomacaj te brzegi... O, zobacz, to dla ciebie.

Garth dotknął koperty. Było na niej jego imię. Penny wepchnęła mu ją do ręki. Otworzył ją wolno i przeczytał krótki list. „...Pozwól mi dotrzymać obietnicy. To ostatnia łaska, o jaką cię proszę.”

Słowa zatańczyły przed jego oczami. Słyszał jej głos i widział światło w oczach, gdy patrzyła na dzieci.

O n a j e k o c h a .

## Rozdział siódmy

Aleksandra przyleciała z Rio. Rozpierała ją bezwstydną ciekawość.

— Doszły mnie słuchy, że zostajesz tu na dobre, rozprawiłaś się gracko z Nicholasem i teraz prowadzisz z nim firmę. No i że dwa razy z rzędu jadłaś kolację z przystojnym nieznanym osobnikiem płci męskiej o dystyngowanym wyglądzie.

Sabrina wybuchnęła śmiechem, który rozproszył na chwilę otepiały smutek ostatnich dwóch tygodni. Jej życie roztrzaskało się w kawałki, lecz niektóre rzeczy trwały niewzruszone — Aleksandra mogła tu służyć za żywy przykład.

— Nazywa się Dmitri Karras i schował mnie w piwnicy, gdy miałam jedenaście lat.

Oczy Aleksandry zabłyśły.

— Słyszałam część tej historii na przyjęciu urodzinowym. Czy kiedyś usłyszę resztę? A może będzie z nią podobnie jak z tą, którą zaczęłaś, gdy pojawił się ten intruz ze Scotland Yardu, i której nigdy nie skończyłaś?

— Obiecuję, że tę dopowiem do końca. Długo będziesz w Londynie?

— Wystarczająco, żeby zlikwidować mieszkanie Antonia, połapać się w aktualnych plotkach...

— To ci zwykle świetnie idzie.

— I wykupić całego *Harrodsa*, *Zandrę Rhodesa* i *Fortnuma i Masona*.

— Czy w Rio nie ma sklepów?

— Skarbie, nie uwierzyłybyś, jakie tam są sklepy. Wszystko, co można sobie wymarzyć. Ale mnie się marzy Londyn. Pewnie się przyzwyczaję po jakimś czasie, ale do tej pory, jeżeli mogę wykupić

kilka sklepów i wysłać wszystko za ocean, dlaczego tego nie zrobić? Masz czas pójść ze mną na zakupy, czy za bardzo cię absorbuje wydawanie za męża Gaby?

— Czy jest coś w moim życiu, o czym nie słyszałaś?

— Nie słyszałam, co czujesz po zostawieniu w Stanach dwojga dzieci i ich ojca.

Sabrina odstawiła filiżankę drżącą ręką. Wszyscy o tym napomykali w zawołany, ostrożny sposób („mujesz za nimi tęsknić, moja droga: to musi być dla ciebie bardzo trudne”), ale nikt nie ujął tego tak obcesowo jak Aleksandra, domagając się odpowiedzi wprost. Nikt nie wiedział, że trzymała na nocnym stoliku listy od Penny i Cliffa, odczytywała je wielokrotnie i w myślach układała odpowiedź, której nie mogła przelać na papier, dopóki nie otrzyma pozwolenia od Gartha.

— Nie rozprawiam na temat swoich uczuć — powiedziała.

— Wiem, skarbie, inaczej coś bym o nich usłyszała. Ale myślałam, że może ci się przydać czyjeś życzliwe ucho. Sabrina i ja nigdy nie zgłębiałyśmy zbytnio naszych prywatnych spraw, ale gdy żegnałyśmy się tuż przed tym przeklętym rejsiem, ona mnie pocałowała. Zaskoczyła mnie — to nie było do niej podobne — i aż się cofnęłam. Sądzę, że to ją dotknęło; szczerze chciała dać wyraz swoim uczuciom, a ja jej nie pozwoliłam. Myślałam o tym po jej śmierci. Dlatego zatrzymałam mój dom. Będziemy w nim mieszkać podczas wizyt w Londynie. Nie zgodziłam się sprzedać swojego domu, bo jest częścią Sabriny. A propos: póki tu jestem, mogłabym cię przedstawić kilku osobom pożytecznym w interesach i rozrywkach, pomóc ci wystartować i oderwać myśli od dzieci.

— Naprawdę chcę tylko spokoju i samotności.

— I zapamiętać się w żałości. To niezdrowo. Czy masz zamiar wkrótce je zobaczyć?

— Nie rezygnujesz łatwo, co?

— Daj spokój, moja pani, musisz za nimi tęsknić. Również za swoim przystojnym, nawet jeśli nieco sztywnym mężem. Nie chcesz sobie ulżyć?

— Nie mogę. Mówienie o tym boli. Boli cały czas. Tęsknię za nimi straszliwie i gdyby zostały mi jakieś łyzy, pławiłabym się w nich bez przerwy. Co pomoże mówienie? Chcę być z nimi, z ludźmi, którzy kochają mnie i potrzebują... Niech to diabli, zobacz, co wyprawiam, zaczęłam i teraz nie mogę przestać. Napij się jeszcze herbaty, wrócę za minutę.

— Nie, zostań. Mój Boże, tak mi przykro. Nie wiedziałam, że jest aż tak źle. Ale w takim razie dlaczego wyjechałaś?

— Musiałam.

— On cię wyrzucił?

— Musiałam wyjechać. Nie miałam wyboru. Nie mogę wrócić i nie mogę o tym mówić.

Dygotała jak liść. Aleksandra powiedziała szybko:

— Skarbie, nic nie wiedziałam. Nie będę już tego rozgrzebywać. Nie znam nikogo, kto byłby tak przywiązany do rodziny. Większość ludzi zostawia dom i dzieci na opiece służby i szkół z internatem. Trochę mnie przerażałaś, jeśli chcesz wiedzieć. Wcale nie wiem, czy chcę sama dorobić się dzieci, jeśli wiąże się z tym tyle... uczucia.

Sabrina roześmiała się mimo woli.

— Jeśli ich chcesz, to właśnie tak jest. Siedziały razem w przyjacielskim milczeniu.

— Cóż — odezwała się Aleksandra po chwili. — A co z tym Dmitrim z piwnicy? Jak możesz umawiać się z nim na kolacje mimo pragnienia spokoju i samotności?

— Dmitri to tylko przyjaciel.

— Ja również.

— Więc z tobą także umówię się na kolację.

— Z chęcią. Szkoda, że mamy mało czasu; wciąż mam to zwariowane uczucie, że znam cię od lat, przez Sabrinę, ale chciałabym poznać cię bliżej. Co u diabła pocznę bez ciebie w sercu Brazylii? Przyjedź na nasz ślub! Zrobisz to? Musisz przyjechać, w przeciwnym razie nie uznam go za prawomocny.

— Kiedy ma się odbyć?

— W Wigilię lub pierwszy dzień Bożego Narodzenia, zależy, co bardziej odpowiada Indianom Guarani. Czy możesz sobie wyobrazić, że trzeba czekać ze ślubem, aż udzieli ci pozwolenia gromada znachorów, którzy muszą najpierw powróżyć z gwiazd, księżyca, kształtów mrowisk czy czegoś podobnego? Sądzisz, że jestem stuknięta?

— Nie. Sądzę, że robisz to, co chcesz.

— Jesteś jedyną osobą, która ma dosyć rozumu, żeby to powiedzieć i nie pytać mnie, czy jestem zakochana. Powiedz, że przyjedziesz na ślub.

— Nie mogę, Aleksandro. Muszę spędzić jakiś czas w jednym miejscu, dopóki się nie pozbiрам.

Aleksandra kiwnęła głową ze zrozumieniem.

— Wiedziałam, że tak odpowiesz. Ale zastanę cię tutaj, gdy będę przyjeżdżać do Londynu?

— Gdzież miałabym odjechać?

— Z powrotem do Ameryki, do męża i dzieci.

Uśmiech spęłzył z twarzy Sabriny.

— Nie. Będę tutaj. I z radością cię zobaczę. Mam nadzieję, że będziesz często przyjeżdżać.

— Tak często, jak będę mogła. Jeżeli zmienisz zdanie, zjaw się po prostu na ślubie. Wiesz, bez uprzedzenia. Sabrina potrząsnęła głową.

— Nie zmienię zdania. Ale daję ci moje błogosławieństwo i całusa. Tym razem chyba się nie cofniesz.

Spojrzały na siebie.

— Wiesz, skarbie, gdybym weszła tu w tej chwili, choćby mnie kto zabił, nie domyśliłabym się, czy jesteś Sabriną, czy Stefanią.

— Wiem — odparła Sabrina. — Tak właśnie powinno być.

Inni utrzymywali to samo: bez przerwy nadchodziły zaproszenia na przyjęcia. Obwołano Stefanię sensacją sezonu za to, że zajęła tak rezolutnie miejsce Sabriny. Lecz nagle nowa sensacja przyćmiła wszystkie inne. Siedemnastego grudnia londyński *Times* opublikował na tytułowej stronie artykuł Michela Bernarda na temat kradzieży i fałszerstw dzieł sztuki, ilustrowany zdjęciami Jolie Fantome. Artykuł pojawił się równocześnie w międzynarodowym wydaniu *Herald Tribune* drukowanym w Paryżu, w *Die Welt* w Niemczech i w *the New York Times*. W parę godzin po ukazaniu się numeru przez londyńskie restauracje, kluby, butik i wszystkie co do jednej galerie z antykami i dziełami sztuki przeszła fala szeptanych rozmów i telefonów. Sabrinę obudził wczesnym rankiem paniczny telefon Nicholasa, który pamiętał, że widział nazwę firmy *Westbridge Imports* i nazwisko Rory'ego Carra w księgach rachunkowych *Ambasadora*.

— Wszystko, co chcę wiedzieć, droga Stefanio, to czy jesteśmy w to zamieszani? *Blackford's* z całą pewnością nie. Przypominam sobie, że spotkałem kilka razy tego Carra, ale nigdy nic od niego nie kupowałem. Sabrina owszem: są zaksięgowane okazy porcelany...

— Jakie okazy, Nicholasie?

Przeczytał opisy. Tancerki, zwierzęta, postaci ludzkie, ptaki. Nie było wśród nich miśnieńskiego bociana. Oczywiście, że nie; zapis w księdze i faktura zostały zniszczone wkrótce po stłuczeniu bociana. Gdzieś w rachunkach *Westbridge* figurowała nazwa *Ambasadora* wśród tuzinów innych galerii, lecz artykuł Michela i Jolie nie zawierał o tym żadnej wzmianki i nie było powodu przypuszczać, że ktoś będzie ich łączył z tą sprawą. Nikogo nawet nie zaciekał taki drobny szczegół wobec ogromu skandalu, o którym krzyczały wielkie nagłówki gazet — multimilioner Max Stuyvesant, jego prywatna kolekcja dzieł sztuki, zorganizowana siatka przemysłowa i kontakty z fałszerzami, mord na



nim na Morzu Śródziemnym, inne ofiary, pośród których była piękna lady Sabrina Longworth.

— Nie mamy z tym nic wspólnego — zapewniła Sabrina. — Okazy porcelany, które Sabrina kupiła od *Westbridge*, były prawdziwe. Mówiła mi, że sprawdziła ich pochodzenie.

— Jesteś tego zupełnie pewna? — nalegał Nicholas. — Nie chciałbym naciskać, Stefano, i wiem, że to wywołuje okropne wspomnienia...

— Nicholasiu, mówię ci jeszcze raz: nie mamy z tym nic wspólnego. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Ale plotka też może być zabójczą bronią i jeśli kiedykolwiek usłyszę, że kwestionujesz reputację lub solidność *Ambadora*, nie zawaham się rozwiązać naszej spółki i wykupić twojego udziału. To powinno cię uspokoić.

— Wielkie nieba, Stefano, nigdy nie miałem zamiaru sugerować... Miałem zupełne zaufanie do Sabriny i głęboko ją podziwiałem. Ale ona była na tym jachcie, musiałem się więc upewnić...

— Więc się upewniłeś. Nie ma potrzeby dalej dyskutować.

— Absolutnie. Masz absolutną rację. Będziesz dzisiaj w galerii?

— Oczywiście.

Dnie spędzała w biurze, nadrabiając zaległości minionych trzech miesięcy, zgłębiając księgi aukcyjne i przygotowując się do chwili, gdy znów zacznie robić nowe zakupy i dekorować wnętrza. Czowała, że wędruje przez nieokreśloną krainę między przeszłością i przyszłością, buduje zaporę pomiędzy pracą i codziennym życiem a wspomnieniami o siostrze, mężu, dzieciach, domu. Żyła chwilą bieżącą. Robienie planów byłoby przyznaniem, że drzwi za przeszłością są nieodwołalnie zatrzaśnięte. Wiedziała, że tak jest, lecz mimo to łatwiej było żyć tylko w terażniejszości.

Olivia Chasson stanowiła część tej terażniejszości. Zadzwoiła zapraszając Sabrinę na kolację.

— Bardzo skromne przyjęcie. Byłam przyjaciółką i protektorką Sabriny i chciałabym poznać ciebie równie blisko, jak znałam ją.

— Przykro mi, ale jestem umówiona na kolację z przyjacielem...

— Więc przyprowadź go, moja droga. Mam nadzieję, że będzie się dobrze czuł w naszym gronie.

Co miało znaczyć, przetłumaczyła w duchu Sabrina, „mam nadzieję, że to jeden z nas”.

— Nazywa się Dmitri Karras...

— Ach, sfery bankowe. Spotkaliśmy się na lunchu po pogrzebie Sabriny. Mamy szereg wspólnych znajomych. Przyprowadź go, proszę.

Do kolacji w domu Olivii zasiadło czternaście osób. Powitali

z zapalem Sabrinę, aby po złożonych pobieżnie kondolencjach wypytać ją o skandal związany z przemytem i fałszerstwami; w porannych gazetach ukazał się tego dnia następny z cyklu artykułów.

Rozprawiali o tym z upodobaniem zarezerwowanym dla historii upadków wielkości, lecz również z ostrożnością, ponieważ wszyscy byli kolekcjonerami. Inwestowali w sztukę i antyki i nikt nie był pewien, jakie rewelacje przyniosą następne odcinki.

Gdy podano rosół, zarzucono Sabrinę pytaniami o sposoby wykrywania fałszerstw. Opisała w skrócie rodzaje glinki, glazury, farb i ozdób. Wyjaśniła, że za pomocą podczerwieni można czasami wykryć fałszywą glazurę lub podwójną jej warstwę, lecz nie zawsze, a podobieństwo to zmniejsza się w miarę stosowania udoskonalonych technik jej nakładania.

— Wiele zależy od instynktu — powiedziała. — Po dłuższym okresie studiowania szczegółów zaczyna się wyczuwać styl i metodę obróbki, co często pozwala odróżnić oryginał od kopii... — Zawahała się na ułamek sekundy, a potem gładko ciągnęła: — po dokładnym oglądzie. Jednak zazwyczaj najpierw sprawdzamy pochodzenie przedmiotu, co pomaga nam lub naszym klientom ustalić, czy dany przedmiot jest oryginałem, czy podróbką. Moje doświadczenie mówi, że fałszerstwa wcześniej czy później prawie zawsze zostają wykryte.

Jej niski, czysty głos przykuwał uwagę gości.

— Fascynujące — skomentował ktoś, gdy słuchała echa własnych słów. — Ale Max robił w innej specjalności, prawda?

Dmitri położył rękę na jej ramieniu, lecz Sabrina nie potrzebowała jego pomocy. Uniosła podbródek i spojrzała chłodno na gości przy stole.

— Nie mam zamiaru mówić o Maxie Stuyvesancie ani żadnej ze spraw, którymi się zajmował.

— No, doprawdy... — powiedział ten sam głos, lecz przerwały mu pospieszne szepty.

— Nie bądź głupi! Jej siostra...

— Załedwie parę tygodni temu...

— To naprawdę idiotyczne z twojej strony wyciągać tę sprawę. Mocny głos Olivii zagłuszył szepty.

— Stefania jest moim gościem, a nie wynajętym ekspertem. Serdecznie witamy ją w Londynie. — Zwróciła się do Sabriny siedzącej po jej prawej ręce. — Moja droga, nie będziesz już odpowiadać na żadne pytania. Czy napijesz się jeszcze wina?

Sabrina i Dmitri wymienili uśmiech.

— Zabroniłaś mi odpowiadać na pytania.

Wokół stołu rozległ się śmiech, a po chwili ktoś zagadnął o nową grę w Monte Carlo. Dmitri opowiadał Sabine o willi pod Atenami, którą właśnie kupił. Słuchała w milczeniu, odprężona i zadowolona z jego obecności. Swoim spokojnym zachowaniem przypominał jej Gartha, gotów w każdej chwili jej pomóc, nie narzucając się ze swoją obecnością. Nawet ten blask w jego oczach... Nie, nic nie mogło się równać z blaskiem w oczach Gartha.

— Jest tam bardzo przyjemnie — mówił Dmitri. — W powietrzu pachnie kwiatami, tymiankiem i dzikim majerankiem. Nikt nie plotkuje ani nie mówi o interesach. Słyszeć muzykę, opowieści o bogach i boginiach, o chwale przeszłości. Udajemy, że teraźniejszość nie istnieje. Przyjedziesz tam kiedyś, żeby zobaczyć to na własne oczy? Uśmiechnęła się.

— Może... kiedyś.

Po kawie i koniaku Olivia zaprosiła Sabrinę i Dmitriego do swojej galerii sztuki.

— Chcę ją powiększyć i urządzić na nowo — oświadczyła. — I poprawić oświetlenie. I chcę, żebyś ty to zrobiła, Stefanie.

Stali w wejściu do długiego, zakrzywionego niby łuk pokoju.

— Sabrina od lat namawiała mnie, abym to unowocześniła, ale wcześniej mi na tym nie zależało. Teraz źle tu będą wyglądać moje nowe rzeźby.

— Jakże? — spytał Dmitri.

— Nowoczesne. Wysokie na dziesięć, piętnaście i dwadzieścia stóp. Tak między nami, to wyglądają jak zły sen hydraulika i pijackie majaczenia stolarza, ale mogę wyrazić taką opinię tylko prywatnie. Eksperti uważają je za dzieła sztuki i dobrą lokatę kapitału. Jakieś muzeum w Bostonie zaproponowało już, że nazwie je kolekcją Chasson, jeśli je im zostawię w testamencie. Co proponujesz?

— Co tam muzeum — oświadczył Dmitri. — Lepiej wybudować plac zabaw Olivii Chasson i dzieci mogłyby się na nie wdrapywać.

Olivia roześmiała się i uderzyła go po ramieniu.

— Ty to sfinansujesz, a Stefania zaprojektuje.

— I nazwie — dodała Sabrina — *Cacher et chasser*. Dmitriego rozśmieszyła ta aluzja do nazwiska Olivii.

— Zabawa w berka — przetłumaczył, a Olivia roześmiała się, zadowolona.

— Wspaniale — oceniła. — Naprawdę wspaniale. Czuję się tak, jakbyśmy wcale nie stracili Sabriny. Możesz zacząć odnawianie galerii po Nowym Roku, moja droga Stefanie. — Wróciła do gości, radośnie powtarzając francuskie słowa.

Dmitri wziął Sabrinę za rękę.

— Gruboskórna kobieta. Ona jakby nie rozumie, że ta osoba, którą straciła, to twoja rodzona siostra.

— Wcale jej nie straciła — zaprzeczyła Sabrina i odsunawszy się ruszyła, by obejrzeć galerię. — Musiała tylko ścierpieć krótką przerwę. Teraz znów ma przed sobą kobietę, która wygląda tak samo, zachowuje się, jakby była jej równa, i pomoże jej urządzić na nowo galerię. Czego jeszcze mogłaby chcieć?

— Rzeczywistej osoby.

— Czyżby? Większość ludzi zadawała się pozorami.

Dmitri poszedł za nią i razem oglądali kolekcję francuskiego i niemieckiego malarstwa.

— Chciałbym cię bliżej poznać, jeśli na to pozwolisz. Jesteś niezwykłą kobietą.

Sabrina odwróciła się od pełnego zadumy portretu kupca dawno zeszłego z tego świata i spojrzała w ciepłe, żywe oczy Dmitriego.

— Trzy razy jedliśmy wspólnie kolację — powiedział — i nie jesteśmy sobie ani trochę bliżsi niż byliśmy, gdy cię pierwszy raz zobaczyłem.

— Mam nadzieję, że jesteśmy przyjaciółmi — powiedziała cicho.

— Przyjaciółmi. Naturalnie. Wiesz, że chcę czegoś znacznie więcej. Ale nie spieszy mi się.

— Cóż za uprzejmość — mruknęła oschle — zważywszy, że wciąż jestem mężatką.

— Nie musisz mi o tym przypominać. Poza tym wciąż kochasz swojego męża.

Zamarła.

— Sądzę, że nie ma potrzeby mówić o tym.

— Przepraszam. — Położył dłoń na jej ramieniu. — Jest między nami wielka różnica: w sposobie, w jaki widzimy się nawzajem. Wiesz, można powiedzieć, że myślałem o tobie całe życie. Po tym jednym pamiętnym dniu zawsze byłaś żywa w mojej pamięci — nigdy nie zapomniałem ciebie ani twojej siostry.

Ruszyli przed siebie. Sabrina odprężyła się słuchając, jak Dmitri opowiada o reporterze, który przed laty po sfotografowaniu jego i jego sióstr przed ambasadą „zaadoptował” ich, i o swoim życiu.

— Nie miał własnych dzieci i staliśmy się dla niego rodziną. Znalazł mojemu ojcu nową pracę, wysłał nas do szkoły, pomógł mi dostać stypendium w Cambridge, nawet próbował znaleźć mi żonę. — Tu się uśmiechnął. — To jedno mu się nie powiodło.

Stali już u wyjścia z galerii.

— Wiem, że ja jestem dla ciebie postacią z przeszłości — ciągnął Dmitri. — Ale musisz zrozumieć, że od dziecka marzenie o tobie i twojej siostrze przewijało się przez moje życie i pojawiało w chwilach, gdy najmniej się tego spodziewałem. — Czasami, wybac mi te słowa, w doprawdy szczególnych sytuacjach.

— Gdy byłeś z innymi kobietami.

— Nawet wtedy.

Mówił coś jeszcze, lecz Sabrina już go nie słuchała. Jego słowa znów przywiodły jej na myśl Gartha: dotyk jego ręki, jego ust, spokojny głos, oczy pełne pożądania, ciepło ich ciał, gdy leżeli razem po miłości. ***Och, najdroższy, tak za tobą tęsknię, nie mogę już tego znieść...*** Zdławiła niemy krzyk samotności. Zatraciła się w tym wspomnieniu.

— ...twoją urodę i odwagę — mówił właśnie Dmitri. — I radość życia. Przypuszczam, że zawsze cię kochałem, nikt już nigdy nie wywarł na mnie takiego wrażenia. Zawsze miałem nadzieję, że znajdę cię pewnego dnia i w zamian też obdaruję cię marzeniem. Nigdy nie myślałem, że spotkamy się dzięki tragedii...

Nagle poczuła się przytłoczona uporem, z jakim wracał do przeszłości. ***Muszę się wyrwać, nie mogę oddychać, nie mogę myśleć... Chcę do mojej siostry. Chcę do mojej rodziny. Chcę do Gartha.***

— Stefanio, co się stało? Co ja takiego powiedziałem? Próbowала się uśmiechnąć.

— Zbyt dużo rozmów o przeszłości, teraz gdy powinnam budować nowe życie. Wrócimy do towarzystwa?

— Poczekaj! Ale wciąż jesteśmy przyjaciółmi? Jeżeli obiecuję, że nie będę mówił o przeszłości, będziemy przyjaciółmi?

— Tak. Oczywiście.

Dlaczego wszyscy tak na nią napierali? Dlaczego próbowali ją ukształtować według swoich o niej wyobrażeń? Dlaczego nie zostawiają jej w spokoju, żeby mogła być sobą? ***Dostosowałabym się do życzeń Gartha, bo on nigdy ich nie narzucał. Nigdy nawet nie wyrażał. I już nigdy tego nie robi.***

— Oczywiście, że jesteśmy przyjaciółmi.

Zapomniała jednak o nim, gdy zbliżał się dzień ślubu Gabrielle. Żeby zagłuszyć rozpacz, zajmowała się drobiazgami, które doskonale załatwiłaby pani Thirkell. Nie udało jej się wprawdzie oderwać myśli od Gartha, ale gdy goście zaczęli się zjeżdżać, wiedziała, że Gabrielle będzie zachwycona.

W salonie bukiety fioletowych orchidei i białych róż z cieplarni Olivii mżyły blaskiem w świetle białych świec w srebrnych kandelab-

rach, a pięćdziesięcioro gości siedziało na aksamitnych krzeselkach, słuchając duetów granych na harfie i pianinie.

— Zupełnie tak samo urządziłaby to Sabrina — powtarzali. — Jak cudownie utrafiłaś w jej osobowość, nastrój.

W sypialni Sabriny, Gabrielle w sukni z grubego kremowego jedwabiu i satynowej narzutce z kremowozłotym obszyciem podziwiała swoje odbicie w wysokim lustrze.

— To najbliższe dziewiczej bieli, na co mogłam sobie pozwolić. Ale naprawdę czuję się jak dziewczica. Niemądre, co?

— Nie — odparła Sabrina przy jej boku, ubrana w koralowy aksamit. — Wyglądasz cudownie. Jakbyś stała na szczycie świata.

— Właśnie tak się czuję! Jak na Boga domyśliłaś... Och, jestem głupia, wybac mi, Stefanio. Nie powinnaś wysłuchiwać mojego sentymentalnego bełkotu, gdy twoje własne małżeństwo...

— Gaby, będę wysłuchiwać twoich bełkotów, jeśli obiecasz nie mówić o moim małżeństwie.

— Przyjmuję warunek. Ale i tak czuję się winna.

— W takim razie zbiegam na dół. Zaczniemy chyba za mniej więcej pięć minut.

Brooks stał w salonie przed kominkiem przesłoniętym białoliliową zasłoną, spokojnie spoglądając na zebranych. Przy nim przyjaciel z Paryża. Aleksandra siedziała w pierwszym rzędzie. Nazajutrz miała wyjechać, żeby dołączyć do Antonia w Rio, a trzy dni później, w Wigilię, mieli wziąć ślub.

Zewsząd otaczają mnie romantyczne związki, pomyślała Sabrina. Przez długie lata nikt się nie żenił, wszyscy rozwodzili. Teraz w moim domu pełno szczęśliwych par. Słowa obijały się w jej pustej głowie, miała ochotę odesłać wszystkich do domu, zwinąć się w ciszy własnego pokoju i rozłożyć wspomnienia, jedno po drugim, jak fotografie, których nikt nie mógł jej odebrać. **Już niedługo. Niedługo wszyscy oni odejdą.**

Stała przy Gabrielle podczas ceremonii i słuchając rytualnych pytań i odpowiedzi myślała o Garcie. „Odebrałam ci to” — powiedziała do niego po cichu. Cały ten obrządek z jego podniosłością, tajemniczością i wiarą, wszystko to ci zabrałam. Ośmieszyłam go w twoich oczach. Jeszcze jedna krzywda, jaką ci wyrządziłam. Nie wiedziałam o tym aż do tej chwili. Chciałabym, żebyśmy to my oboje stali tutaj i wymawiali te słowa. Mogłabym ci wówczas przyrzec prawdziwe małżeństwo — nie zabawę, nie rozrywkę, nie przelotną przygodę. Oddałabym ci moje serce, rękę i miłość, ale jesteś tak daleko i wciąż przepełniony gniewem...

— Stefanio — odezwała się Aleksandra. — Nic ci nie jest? Odwróciła się. Brooks i Gabrielle stali ramię przy ramieniu, już

jako ślubna para, i odbierali powinszowania gości.

— Trochę za bardzo się zagubiłam w myślach — tłumaczyła się. Aleksandra objęła ją ramieniem.

— Jesteś taka blada. Co mogę dla ciebie zrobić?

— Pomóc mi wszystkim nakarmić i nadawać plotkom lekki i przyjemny ton.

— Miałam na myśli, co mogę zrobić, żebyś poczuła się szczęśliwsza? Na króciutką chwilę Sabrina oparła czoło na jej ramieniu. Potem

wyprostowała się i uśmiechnęła.

— Przyjeżdżaj często do Londynu. Dobrze będzie mieć to w perspektywie.

I zeszły na dół czuwać nad ucztą weselną.

## Rozdział ósmy

Garth siedział w bibliotece uczelnianej, gdy jego wzrok padł na numer *The New York Times* z siedemnastego grudnia. Siadł na fotelu w sali periodyków i przejrzał całą jego treść. Potem wrócił do jednego artykułu i przeczytał go powtórnie w wolniejszym tempie. Serce mu mocno biło. Precyzyjną prozą Michel Bernard opisywał całą historię zmywy i skomplikowanych manewrów, rywalizacji o wielkie pieniądze, kradzieży i fałszerstw dzieł sztuki, które doprowadziły do zamordowania Maxa Stuyvesanta. I jego żony.

Przebiegł wzrokiem artykuł po raz trzeci i wciąż jego treść nie wydawała mu się rzeczywista. Czytał o śmierci własnej żony, lecz jej nazwisko nie było wymienione. Czytał o jej kochanku, który nie znał nawet jej prawdziwej tożsamości. Czytał o życiu i śmierci kobiety i nie był pewien, czy sam ją w ogóle znał.

Wczoraj wieczorem opowiedział Cliffowi, jak wyglądała na ich ślubie. Ten obraz był wyraźny. Pamiętał także jasno pierwsze lata małżeństwa, gdy dzieci były małe, a oni dopiero zaczynali tworzyć rodzinę. Lecz gdy próbował przywołać w pamięci ostatni rok, wszystko mu się wymykało. Jedyne, co mógł sobie przypomnieć, to kobietę, którą znał od trzech miesięcy.

Nie mógł dłużej ignorować prawdy o tej kobiecie. Pokochał ją namiętnością, której nie mógł zatrzeć ani poskromić, chociaż usiłował, gdy bezsenny i wyczerpany noc po nocy spacerował po zimnej bawialni.

Którą kobietę oplakiwał? Obie. Obie. Nie mógł już temu zaprzeczać.

Robił wszystko, żeby zapomnieć. Tyle osób pytało o powrót Stefanii, że wycofał się z kontaktów towarzyskich, które ona tak starannie podtrzymywała, i zagrzebał się w pracy, poświęcając cały



wolny czas dzieciom. Nadzorował trzy nowe przedsięwzięcia badawcze w swoim laboratorium, spotykał się codziennie z architektami i przedsiębiorcami budowlanymi w sprawie Instytutu Genetyki, prowadził dodatkowe seminarium dla ostatniego roku i zbierał materiały do swojej pracy.

Po powrocie do domu czas wypełniali mu Penny i Cliff. Spacerowali po przylegających do jeziora parkach w Evanston i Chicago, chodzili do kina i na mecze hokejowe, grali razem w gry słowne przy stole w jadalni, on pomagał im w lekcjach i wspólnie obmyślali plany drobnych remontów w domu, które od dawna należało zrobić. Nie chciał rozmawiać z nimi o matce.

— Niedługo o tym pomówimy. Jeszcze nie czas. Przepraszam, nie czuję się z tym wszystkim ani trochę lepiej niż wy, ale musicie mi po prostu zaufać.

Na co czekał? Nie miał pojęcia. Wiedział, że z upływem każdego dnia, w ciągu którego nie zdemaskował oszustwa, głębiej zapuszcza ono korzenie i staje się bardziej rzeczywiste.

Zrozumiał, że to samo musiała odkryć wcześniej Sabrina.

Nastroj cichego smutku przywarł do Penny i Cliffa, nawet gdy chwalono ich w szkole lub gdy przynosili do domu dobry stopień. Nawet ich sprzeczki nie miały dawnego wigoru. Wszczyniali je teraz automatycznie i szybko przerywali, jakby obawiali się, że tracą siebie nawzajem, tak jak stracili matkę. Nie biegli już pędem do drzwi, żeby sprawdzić pocztę w nadziei znalezienia listu od niej, ale Garth wiedział, że napisali do niej co najmniej dwukrotnie, i nie był zaskoczony, gdy tego samego dnia, gdy ujrzał artykuł w *The New York Times*, Cliff oznajmił przy obiedzie, że wybierają się z Penny następnego dnia po prezenty.

— Dotrą do Londynu na czas, jak wyślemy je jutro?

— Całkiem możliwe. Jeśli będą małe, możecie wysłać je pocztą lotniczą, a wtedy powinny dojść w tydzień. Ale możliwe, że przesyłka się opóźni.

— Czemu nie powiedziałaś wcześniej, ile to trwa? — spytała Penny gniewnie. — Wiesz o tym więcej niż my! Nie chciałaś, żebyśmy dali jej prezenty!

— Może nie — odparł siląc się na uczciwą odpowiedź pod ich oskarżycielskim wzrokiem. — Może wolę, żebyśmy urządzili sobie Hoże Narodzenie tylko dla nas.

— To podłe — powiedziała Penny kategorycznie. — Myślę, że jesteś okropny.

Lecz gdy później przyszedł powiedzieć im dobranoc i znalazł Cliffa w jej pokoju, oboje objęli go gorąco.

— Nie myślimy, że jesteś okropny — pocieszała Penny. — Myślimy, że płaczesz w środku tak jak my. Tatusiu?

— Tak, skarbie.

— Cliff mówi, że nie powinniśmy wiercić ci dziury w brzuchu, ale dlaczego mama do nas nie pisze? Ani nie wraca do domu?

— Robi to, co według nas obojga jest najwłaściwsze, Penny.

— Ale jeżeli ty też tak myślisz, dlaczego płaczesz w środku?

— Bo często nie możemy mieć tego, czego pragniemy.

— Jak się pragnie dosyć mocno, to można — stwierdził Cliff.

— Słuchajcie no... — zaczął Garth i słysząc gniewną nutę w swoim głosie, urwał.

Dajcie mi spokój, prosił w duszy tych dwoje dzieci, które nie zrobiły nic złego i tak jak on potrzebowały otuchy. Nie mogę o tym mówić, prawie nie mogę o tym myśleć. Kocham ją, kocham; wołam ją każdej chwili. Lecz między nami leży coś więcej niż ocean i nie widzę żadnego sposobu pod słońcem na pokonanie tej przeszkody.

Nie mógł powiedzieć tego na głos.

— Słuchajcie — powiedział łagodnie. — Wasza matka i ja mamy problemy, o których wciąż jeszcze nie mogę mówić. Macie prawo o nich wiedzieć i dowiecie się, gdy poradzę sobie z tym wszystkim, ale na razie mogę wam powiedzieć tylko tyle, że te problemy rozdzielają nas jak zwalony most. Nasze uczucia nie są tak ważne jak zniszczenie, które jest pomiędzy nami. Czy możecie to zrozumieć?

— Nie — odpowiedzieli razem. Garth westchnął.

— Wcale mnie to nie dziwi. — Objął ich i przytulił; czuł, jak przywierają do niego, szukając schronienia. Przekrzywił głowę i ciągnął z wysiłkiem cichym głosem: — Wiem, że kiepsko mi to idzie, i bardzo was przepraszam. Przepraszam za swoje błędy i za to, że czasami mogę wydawać się wam okrutny, ale, moi najmilszy, sam nie wiem, co robić. Wiem, że zatajanie przed wami pewnych rzeczy jest dla was trudne do zniesienia, ale nie mogę wszystkiego wam powiedzieć, jeszcze nie teraz. Czy możecie mi zaufać? Czy możecie uwierzyć, że powiem wam tyle, ile będę mógł, tak szybko, jak tylko będę mógł? Proszę, uwierzcie mi. Tak mi to potrzebne. I potrzebna mi wasza miłość. Bo ja was strasznie kocham. Bardziej niż kogokolwiek w świecie...

— Więcej niż mamę? — spytał podejrzliwie Cliff.

— Och, Cliff — zgromiła go Penny i przyłożyła dłoń do policzka Gartha gestem dorosłej kobiety, która pociesza mężczyznę. — Nie płacz, tatusiu. Poczekamy, aż nam powiesz. Ale... — I w tej chwili znów stała się małą dziewczynką — tak bym chciała, żeby mama wróciła do domu.

Garth ucałował ich i wstał.

— Pakujcie się do łóżka, już późno. Kocham was oboje. Nazajutrz Penny i Cliff poszli na zakupy i gdy Garth wrócił

do domu, podali mu dwie małe paczuszki z prośbą, aby wysłał je natychmiast. Nie pytał, co jest w środku, a oni mu nie powiedzieli.

W ostatnim dniu zajęć szkolnych odbyło się przedstawienie lalkowe. Garth wcześniej wyszedł z uczelni, żeby je zobaczyć. Uczniowie z innych klas siedzieli po turecku na podłodze, rodzice ulokowali się z tyłu na rozkładanych krzesłach, pośród nich Garth i Vivian. Penny i Barbara Goodman znajdowały się za kulisami razem z panią Casey, aby sprawdzić lalki, zanim ich koledzy zaczną nimi manipulować. Po przedstawieniu, gdy Cliff pochłaniał poncz i ciastka serwowane przez szóstoklasistów, Penny posepnie przyjmowała komplementy publiczności, stojąc przy boku Gartha.

— Moja mama nie mogła przyjść — mówiła wszystkim wokół. — Umarła jej siostra-bliźniaczka w Londynie i mama musi tam pobyć, żeby zająć się grobem i innymi takimi rzeczami. Chciała przyjść, ale nie mogła. Pomogła mi szyć kostiumy. Nie zrobiłam ich sama, ona mi pomagała.

Vivian przyniosła Garthowi papierowy kubek z ponczem.

— Okropne, ale zawsze to coś mokrego. Czy Stefania wraca?

— Nie.

W milczeniu spojrzała na Penny, która znów komuś opowiadała z zapalem o siostrze-bliźniaczce swojej matki.

— To nie wystarczy — powiedział gniewnie Garth. — Nie można zbudować na nowo zrujnowanego małżeństwa tylko dlatego, że dzieci są nieszczęśliwe.

— Czy to zrujnowane małżeństwo? — spytała Vivian. — Nigdy nie dostrzegłam żadnych tego oznak, nic, co mogłoby doprowadzić do takiego wniosku.

— To nawet nie małżeństwo. — Spojrzał na jej zmartwioną Iwarz. — Przepraszam, Vivian, nie mogę o tym mówić. Dziękuję za poncz.

Liczył kolejne dni, nie bardzo wiedząc, na co czeka. Kupili z dziećmi choinkę, mniejszą niż zazwyczaj, „bo nasza rodzina jest w tym roku mniejsza”, jak powiedziała Penny, przystroili ją i położyli pod nią zawinięte w papier paczki. Dolores zaprosiła ich do swojego domku na wsi na wycieczkę na nartach, ale Penny i Cliff nie chcieli iść.

— Nie chcę tego więcej robić bez mamy — oświadczył Cliff.

Gdy w szkole i na uczelni zaczęły się wolne dni, pomalowali we trójkę sypialnie na górze, co zajęło im cały dzień.

— Ależ mama się zdziwi! — wykrzykiwała wciąż Penny. — Wszystko wygląda tak jasno. Ale będzie zdziwiona!

Chociaż odrzucał wszystkie inne zaproszenia na świąteczne przyjęcia, uległ presji Nata i Dolores i w końcu zgodził się przyjść na ich coroczne zebranie towarzyskie na trzy dni przed Gwiazdką. Siedział z Penny i Cliffem, gdy jedli obiad, dopilnował, żeby się wygodnie usadowili w fotelach przed telewizorem w bawialni z książkami i prażoną kukurydzą, i poszedł sam do domu Gold-nerów.

To było zawsze wielkie przyjęcie. Dolores postanowiła niezłomnie połączyć sfery uniwersyteckie i resztę miasta w jedną szczęśliwą społeczność. Przekroczywszy próg Garth patrzył, jak podprowadza miejscowych prawników, agentów ubezpieczeniowych, właścicieli sklepów i lekarzy do zbitych w małe grupki pracowników uczelni.

— Narzekają, że nie mają sobie nic do powiedzenia — zwierzyła się Garthowi, gdy przyniosła mu kieliszek z winem — a po pół godzinie wszyscy trajkoczą o problemach z kanalizacją, szkołach i chorobie grzybowej wiązów. Wspaniale się razem bawią, dziękują mi, a potem chodzą udeptanymi ścieżkami i nigdy się nie spotykają aż do następnego roku. Czy możesz to wyjaśnić?

Garth roześmiał się razem z nią.

— Jak często pragniemy się znaleźć w nieprzewidzianych sytuacjach? Raz do roku całkowicie wystarczy. Przez resztę czasu poprzestajemy na wygodnych miejscach w towarzystwie wygodnych ludzi. Mniej niespodzianek.

— Niespodzianki są cudowne — zaprotestowała.

— Tylko wtedy, gdy nie niweczą wszystkiego, co jest znajome — odparł tak poważnie, że spojrzała na niego, zaskoczona, i choć raz odebrało jej mowę.

Nagle pojawił się przy nich Nat.

— Rozbudowałem ostatnio bibliotekę. Chodź zobaczyć — zaproponował Garthowi.

Garth zwrócił się do Dolores, chcąc przeprosić, że ją opuszcza, lecz przychwyciwszy spojrzenie, które wymieniła z Natem, doszedł do wniosku, że to zaplanowali. Nat miał odbyć z nim rozmowę. Konspiracja szczęśliwych małżeństw, pomyślał, które chcą rozwiązać problemy swoich przyjaciół.

— Znajdujesz się właśnie w jednej z tych nieprzewidzianych sytuacji, prawda? — zagaił Nat zapalając światło w bibliotece na piętze. — Lecz trudno z ciebie coś wyciągnąć. W końcu czy ona wraca, czy nie?

— Nie.

— Tak mówisz. Tak twierdzą inni. Nie wierzyłem w to. — Przysunął dwa skórzane fotele bliżej siebie. — Siadaj, proszę. W tej szafce jest wino i szkocka. Przez parę ostatnich miesięcy wydawaliście mi się bliżsi sobie niż kiedykolwiek. Więc co stało się tak nagle?

— Myślałem, że przyszedliśmy tutaj obejrzeć twoją powiększoną bibliotekę.

— A owszem. Właśnie ją oglądasz. Co stało się tak nagle?

— Nat, czy ja wypytyuję cię o twoje małżeństwo?

— Nie. Jesteś grzeczniejszy niż ja. Poza tym nie jesteś lekarzem, tak jak ja. W tym zawodzie człowiek jest przyzwyczajony do wścibiania nosa w nie swoje sprawy.

— Tak, w przypadkach złamania kości, a nie...

— Rozpaczy.

— Czy sprawiam wrażenie zrozpaczonego?

— A jak sądzisz, dlaczego, u diabła, wścibiam nos, gdzie nie trzeba? Martwię się o ciebie, wszyscy się o ciebie martwimy. Na litość boską, Garth, co zaszło między tobą a Stefanią?

— Odkryłem, że nie jest kobietą, za którą ją brałem.

— A cóż to ma za znaczenie? Wcale mnie to nie dziwi, że po dwunastu latach dowiedziałeś się o swojej żonie rzeczy, których nie podejrzewałeś. Stefania jest pod wieloma względami skrytą osobą. Byłbym zdziwiony, gdybyś wykrył w niej zdeprawowanie lub kryminalne skłonności, ale znając Stefanię jako człowieka i pacjentkę, powiedziałbym, że szanse na to są znikome. Więc czy zraniło cię właśnie t o, co odkryłeś, czy też sam ten fakt, że jest coś, o czym nie wiedziałeś?

Garth rozsiadł się w skórzanym fotelu i obserwował migotliwe odbicie światła lamp w ciemnej czerwieni wina. Był bardzo zmęczony i słowa Nata napływały do niego jakby z bardzo daleka.

Po dwunastu latach dowiedziałeś się o swojej żonie rzeczy, których nie podejrzewałeś.

Niestety sprawa była trochę poważniejsza. A jednak coś w tym było.

— Nat — odezwał się. — Mogę cię prosić o pewną przysługę?

— Wał śmiało.

— Pozwól mi posiedzieć tu trochę samemu. W ciszy i spokoju. Później dołączę do zabawy.

— Gdy tylko poczujesz się w nastroju. — Nat otworzył szafkę i wyjął butelkę wina i pudełko krakersów. — Oto wszystko potrzebne do głębokich przemyśleń. Kolacja o wpół do jedenastej.

Garth prawie nie słyszał jego wyjścia. Czy zraniło cię właśnie t o, co odkryłeś...? Co odkrył poza faktem, że przez trzy miesiące był oszukiwany i mieszkał z kobietą udającą jego żonę? Ponownie napełnił kieliszek i pierwszy raz w tym tygodniu odważył się dać folgę myślom, które do tej pory trzymał w surowym rygorze. Jego pamięć zalały obrazy wspomnień.

Zobaczył kobietę, która przy rodzinnej kolacji rozpoczęła rozmowę o jego badaniach i zachęcała, żeby odrzucił ofertę *Foster Laboratories* i został przy pracy, która mu da najwięcej zadowolenia. Przypomnił sobie, jak natarła na panią Casey za podkopanie u Penny wiary w siebie, a później znalazła sposób, jak wyrwać Cliffa z gangu złodziejasków. Wspominał, jak załatwiła Lindzie pracę w *Starociach*, żeby umożliwić jej osiągnięcie własnego sukcesu w życiu. Jak poskromiła Ritę McMillan i zaciągnęła ją do biura Lloyda Straussa, żeby oczyścić imię jego, Gartha, i utorować drogę do oficjalnego mianowania go dyrektorem Instytutu Genetyki.

Czy robiła to wszystko, bo bawiła ją nowa rola? Czy też z sympatii dla ludzi, którym pomagała? I dlatego, że się zakochała? Kochała dzieci. Teraz to wiedział.

Drzwi się otworzyły i Garth podniósłszy wzrok, ujrzał Madeline Kane.

— Przepraszam — odezwała się. — Dolores chce wiedzieć, czy przyłączy się pan do nas na kolacji.

— Chyba nie. Mam... mam w domu trochę pracy. Dolores to zrozumie.

— Zanim pan pójdzie, mógłby mi pan powiedzieć — nie chcę wtrącać się w sprawy osobiste — ale czy mogłabym się dowiedzieć, kiedy wraca Stefania?

Garth zawahał się.

— Nie wiem. Nie mogę pani powiedzieć. Przeprosi pani Dolores w moim imieniu?

Znalazł swój płaszcz i wyszedł przez boczne drzwi na pustą ulicę. Nocne powietrze było ścięte mrozem, słyszał skrzypienie swoich kroków na ubitym śniegu. Wcisnął ręce głęboko w kieszenie i skierował się do parku nad jeziorem. Wydłużył krok idąc na przelaj przez nietkniętą białą przestrzeń, migoczącą w pełni księżyca.

Jego żona, z którą żył od dwunastu lat, również żywiła sympatię do ludzi, kochała ich, przejmowała się ich sprawami. Ale niezależnie od stopnia zaangażowania, za każdym razem, gdy nadchodził jakiś kryzys, wycofywała się, przestraszona. Nie umiałyby zapędzić w ślepy róg pani Casey ani zastraszyć Rity McMillan do tego stopnia, żeby wydobyć z niej przyznanie się do winy, ani nawet przeprowadzić rozmowy z Cliffem, gdy podejrzewała go o kradzież w sklepach.

A ja dobrze o tym wiedziałem, pomyślał Garth; wiedziałem, ale wolałem myśleć, że postępując inaczej, stara się zmienić nasze życie.

Z kolei Sabrina, lady Sabrina Longworth, która nie miała rodziny ani żadnych zobowiązań, która wiodła luksusowe życie prześlizgując się po powierzchni przyjaźni, przygód miłosnych, a nawet małżeństwa... Ona umiała dominować, ona umiała stawić czemuś czoło, umiała głośno wyrazić swoje zdanie. Właściwie Stefania zawsze zazdrościła Sabrinie tej odwagi głośnego wypowiadania swego zdania i czynnego naprawiania zła. Czy jednak lady Longworth była kobietą, która zadałaby sobie tyle kłopotu? Czy pokochałaby Penny i Cliffa? Czy wreszcie pokochałaby jego, Gartha Andersena?

Twarz mu zmarzła, a palce w kieszeniach płaszcza zdrętwiały tak, że nie miał w nich czucia. Skierował się w stronę domu, a gdy dzieliła go od niego jedna przecznica, zaczął biec, ślizgając się na oblodzonym gdzieś chodniku. W domu panowała cisza. Penny i Cliff zostawili mu pół miski kukurydzy i poszli spać. Dygocząc z zimna dołożył drzewa do kominka i rozpałił ogień, po czym pobiegł na górę i przebrał się w stare dzinsy i golf. W kuchni przygotował sobie tacę kanapek z zimną wołowiną i piwo, dołożył dzbanek z kawą i zaniósł to wszystko do bawialni, gdzie płomień trząskał i skakał w górę. Przyciągnął fotel do ognia i usiadł postawiwszy tacę na stoliku obok. Patrzył w płomień czując, jak nasiąka ciepłem. Nagle zdał sobie sprawę, że nastrój znacznie mu się poprawił.

Zastanowił się, dlaczego. Domyślał się odpowiedzi, już zadając sobie to pytanie. Cieszył go jako naukowieca postęp na drodze rozumowania, kolejne odkrycia, jakie robił, w miarę jak zbliżał się, niby po spirali, do ośrodka, samego serca zagadki. Kobieta, z którą żył przez ostatnie trzy miesiące, nie była ani jego żoną, ani szwagierką, lecz zupełnie inną osobą, jak to sama powiedziała w Nowym Jorku — osobą, którą cechowała troskliwość i czułość Stefanii, a jednocześnie niezależność i siła Sabriny. Dlatego właśnie nie przejrzał oszustwa.

Na jego niewiarygodne zaślepienie wpłynęło znacznie więcej niż interpretacje, jakich się podświadomie kurczowo chwycił, żeby uniknąć niepokojących podejrzeń: że różnice w jej zachowaniu spowodowane są chęcią zmiany trybu ich życia, że jest w szoku po wypadku lub w żałobie po siostrze, z którą się identyfikuje. W rzeczywistości kobieta, która zamieszkała z nimi, prawie natychmiast zaczęła zachowywać się jednocześnie jak Sabrina i jak jej siostra. Bliźniaczki,

pomyślał Garth. Zamieniły się domami i myślami. Po kilku tygodniach cechy Sabriny stopiły się z cechami jej siostry: stała się Stefanią Andersen do tego stopnia, że podejrzewanie jej o inną tożsamość byłoby absurdem.

Gdy to nastąpiło, padła tak samo jak on ofiarą oszustwa. Kochała go i nie mogła mu tego powiedzieć aż do chwili uzyskania pewności, że nadszedł koniec. Wpadła w pułapkę, z której żadne z nich nie zdawało sobie sprawy.

On zaś miał jeszcze jeden niebagatelny powód, żeby wierzyć, iż jest jego żoną — zakochał się w niej po uszy. Oszukiwała go przez trzy miesiące, a przecież prawie w każdej chwili była uosobieniem wszystkich jego marzeń o miłości i wspólnym życiu. Nawet teraz, zdając sobie w pełni sprawę z sytuacji, myślał o niej jak o żonie.

Talerz z kanapkami był pusty, piwo zniknęło. Zjadłem więcej niż w ciągu ostatnich trzech tygodni, pomyślał Garth. Poprawił ogień, dorzucił drzewa i nalał sobie filiżankę kawy. Trzymając ją w dłoniach patrzył na błyski żółci i błękitu w pomarańczowych płomieniach liżących polana drzewa wiśniowego, słuchał syczenia i trzasków, jakie się rozlegały, gdy ogień docierał do ukrytej kropli soku. Czuł, że jego nienawiść i gniew wypaliły się. Opłakiwał kobietę, którą poślubił dawno temu i która opuściła ich dom w poszukiwaniu samej siebie, a znalazła tylko śmierć. Pamiętał, jak się niegdyś kochali, i wspominał ze smutkiem niezrozumienie i porażki, jakie były ich udziałem w następnych latach.

Lecz z kłębowiska, które ona i jej siostra namotały, Garth wyłowił pojedynczą nitkę — nowy początek. Moglibyśmy go i tak znaleźć, pomyślał. W ciągu dwunastu lat oboje zmieniliśmy się i ja, i Stefania. Może niewiele dzieliło nas od punktu, w którym zdołalibyśmy odnaleźć nową miłość i bliskość.

Lecz zamiast Stefanii pojawiła się jej siostra, została z nim i stała się nimi obiema. Moja najdroższa. Moja żona. Uśmiechnął się do cicho szumiących płomieni. Będziemy musieli wziąć skrycie ślub, pomyślał.



## Rozdział dziewiąty

Dmitri dzwonił każdego ranka. W dwa dni po weselu przyszedł, gdy Sabrina zamykała *Ambasadora* na przerwę świąteczną, i zabrał ją na lunch.

— Obawiałem się, że po ślubie przyjaciółki może cię dopaść melancholia w czasie Bożego Narodzenia z dala od własnej rodziny.

W pubie grupka ludzi śpiewała francuską kolędę.

— Znam tę pieśń — rzekła Sabrina. — Śpiewaliśmy ją w *Juliette*, moja siostra i ja.

— Chciałbym porozmawiać o tobie — powiedział. Jak mogę dać ci to, czego pragniesz, jeśli nie wiem, co to jest?

— Mówiłam ci, Dmitri. Przyjaźń.

— Przyjaźń oznacza nie tylko wspólne jedzenie lunchu, ale również dzielenie się uczuciami. W porządku — podjął, gdy wciąż milczała. — Opowiem ci o mojej willi w Atenach. Stoi niedaleko domów moich sióstr, ich mężów i dzieci, których jest zbyt wiele, żeby się ich można było doliczyć. I to bardzo dobre miejsce na spędzenie Bożego Narodzenia. — Wziął ją za rękę. — Można mieć spokój i nie widywać się z nikim albo siedzieć z wielką rodziną, wśród gwaru i muzyki. Wybierzesz sama. Pojedź ze mną, Stefano. Nie będę od ciebie niczego /ildał, tylko żebyś bawiła się w towarzystwie przyjaciół i rodziny, zamiast siedzieć w samotności.

Grupa zakończyła kolędę na cichej nucie i zaczęła następną. I łuitri uśmiechnął się.

— Nauczymy cię naszych greckich pieśni.

Ogarnęło ją nagle pragnienie, żeby znaleźć się wśród rodziny, niwet cudzej, w innym otoczeniu, które nie przywodziłoby na myśl zmarłej siostry... Lecz to byłoby nie w porządku wobec Dmitriego. Nie

była pełnowartościowym człowiekiem. I mimo że wiele razy się przed tym zastrzegła, wiedziała, że gdy pojedzie z nim do Aten, będzie to uważał za pierwszy stopień do zażyłości, nie przyjacielską wizytę. Potrząsnęła głową.

— Pewnego dnia może pojedę, Dmitri, ale nie teraz.

— Nie powinnaś być sama — nalegał.

— Czasem samotność jest potrzebna. Jakże inaczej można pomyśleć w spokoju i podjąć decyzje o przyszłości?

— Przyjaciele pomagają w podejmowaniu decyzji. Stefania, niczego od ciebie nie będę żądał.

Wysunęła dłoń z jego dłoni i podniosła szklankę z piwem. Bardzo chciała mu uwierzyć.

— Czy mogę zawiadomić cię jutro? Twarz mu się rozjaśniła.

— Zadzwoń do ciebie rano. Wyjedziemy po południu dwudziestego czwartego. Odpowiada ci to? Zresztą mniejsza z tym — dodał pospiesznie. — Powiesz mi jutro. — Gdy kończyli lunch, opowiadał o swojej rodzinie, greckich przyjaciółach i sąsiadach. — Mogłabyś pomóc mi urządzić moją willę — dodał, gdy wychodzili z pubu, jakby szukając gorączkowo jeszcze jednej zachęty.

— Zobaczmy — odparła z uśmiechem. Rozmawiali o upalnym blasku słońca w południowej Grecji, tak odmiennym od światła w innych krajach, idąc przez wilgotne szare londyńskie ulice, które rozświetlały tylko lampki choinkowe.

Lampki choinkowe — nawet grudniowa mgła nie mogła ich zaćmić. Szli Oxford Street obok *Selfridges*, przed którego wystawą stał tłumek ludzi, obserwujących historię Pinokia odgrywaną przez lalki w miniaturowych dekoracjach, i dalej Piccadilly Circus do Trafalgar Square, gdzie wielki świerk, coroczny podarek dla Londynu od Oslo, błyszczał, jakby gwiazdy osiadły na jego ciemnych gałęziach.

Dmitri szedł w milczeniu, pozwoliwszy Sabrinie zatopić się w myślach. Mówiła sobie uparcie, że święta nic dla niej nie znaczą, że lampki i kolędy nie robią na niej wrażenia, ale za każdym razem, gdy widziała rodzinną grupkę, dwoje dzieci patrzących w górę i mówiących z zapalem do idących obok dorosłych, odwracała szybko wzrok. Poczula wdzięczność dla Dmitriego za jego niekłopotliwe towarzystwo i taktowne zniknięcie, gdy dotarli do drzwi jej domu na Cadogan Square.

Zastała panią Thirkell podziwiającą radośnie małe drzewko w salonie.

— Pomyślałam sobie, że to może panią rozweseli, ale jeśli nasuwa pani zbyt wiele wspomnień, postawię choinkę na górze w moim pokoju.

— Nie, proszę ją zostawić — rzekła Sabrina. — Ubierze ją pani?

— Oczywiście, milady, ale pomyślałam, że możemy zrobić to razem.

Milady. Nie poprawiała już pani Thirkell; często niemal nie słyszała tego zwrotu. Zresztą to nie miało znaczenia. Dawało pani Thirkell zadowolenie i obie do tego przywykły.

Zadzwonił telefon. Ręce Sabriny zacisnęły się odruchowo. Ilekroć dzwonił, miała nadzieję... która za każdym razem okazywała się złudna.

— Następne zaproszenie — domyśliła się pani Thirkell.

— W takim razie następna odmowa — odparła Sabrina i uśmiechnęły się do siebie. Dziwne, pomyślała, gdy pani Thirkell poszła

odebrać telefon, jak stały się sobie bliskie. Lady Longworth nie postępowałyby w ten sposób, zbyt wiele barier społecznych odgradzało je od siebie. Lecz teraz pani Thirkell uważała ją za Amerykankę, która nigdy nie była żoną wicehrabiego. Nie były jeszcze przyjaciółkami, lecz mieszkały razem w tym samym domu i Sabrina czuła się dzięki temu mniej opuszczona.

To pani Thirkell wzięła na siebie ciężar odpowiadania na zaproszenia, które wartkim strumieniem napływały od kilku dni. Przyjęcia, podróż na południe Francji, wyjazd na narty do St. Moritz, bale noworoczne. Nieodmiennie oznajmiała, że pani Andersen nie przyjmuje żadnych zaproszeń na święta.

Dzień przed Bożym Narodzeniem telefon wciąż dzwonił.

— Jest pani przebojem sezonu — powiedziała pani Thirkell z satysfakcją. — Bo jest pani w pewnym sensie zagadką. Niezupełnie prawdziwa, jeśli wie pani, co mam na myśli.

Tak, pomyślała Sabrina, gdy pani Thirkell wyszła z pokoju odebrać telefon. Wiem, co pani ma na myśli. Bacznie nasłuchiwała. Za każdym razem zastygła w miejscu i czekała.

— To pan Karras, milady. I jeśli nie weźmie mi pani tego za złe, lo myślę, że powinna pani pojechać z nim do Grecji. To pani dobrze zrobi.

Sabrina dotknęła igieł małego świerczka, który przystroiły ozdobami. Pachniał lasem i górami, spokojnym, cichym matecznikiem.

— Może tak zrobię — powiedziała i podeszła do telefonu.

Lecz odłożyła słuchawkę z zachmurzoną twarzą. Słyszac jego uradowany, pełen zapału głos, gdy mówił, że przyjedzie po nią o czwartej, poczuła się winna. To nie było uczciwe, nie, to nie było uczciwe. Chcę tylko Gartha, pomyślała. Jak mam rozmawiać i śmiać się z innymi ludźmi, gdy każdy telefon to nadzieja, że Garth...

Pani Thirkell znalazła ją w chwilę później w gabinecie.

— Poczta, milady. W większości kartki i te paczki.

Sabrina wiedziała, co zawierają, zanim je otworzyła. Dwie. Jedna od Cliffa, druga od Penny. Nic od Gartha. Nic. Nawet kartki. Odwinęła paczki z kolorowego papieru i w każdej znalazła liścik. „Mamo, szczęśliwego Bożego Narodzenia” — pisał Cliff. — „Z mnóstwem jedzenia i prezentów. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego chcesz. Chciałbym wiedzieć, co to jest. Kocham cię. Twój kochający syn, Cliff.”

„Najdroższa mamusiu” — pisała Penny. — „Mam nadzieję, że ci się to spodoba i będziesz szczęśliwa. Wolałabym dać ci to sama, ale nie mogę, więc tatuś to wyśle. Wszyscy się dobrze czujemy, tylko nam smutno, a Cliff i ja dużo o tobie rozmawiamy. Kocham cię, tęsknię za tobą, kocham cię. Pozdrowienia, Penny.”

*Nie będę płakać. Wiedziała, że to się może zdarzyć, i byłam na to przygotowana. Nie będę płakać.* Delikatnie złożyła listy, przyciskając zgięcia czubkami palców, a potem otworzyła pudełka. Cliff przysłał emaliowaną spinkę w kształcie dwóch ptaszków na gałązce z dwoma małymi listkami z zielonego nefrytu. Na kartce wewnątrz pudełka napisał: „To ty i tatuś.”

Drugie pudełko było wąskie i długie. W środku srebrny długopis i ołówek z inicjałami S A. Na małej karteczce na dnie napis: „Do pisania listów”.

Dzieci to najlepsi szantażyści, pomyślała Sabrina. Podniosła słuchawkę telefonu wewnętrznego.

— Zjem lunch w swoim pokoju, pani Thirkell.

Weszła na schody przyciskając do piersi prezenty. Deszcz bębnił o szyby, w pokoju było ciemno i zimno. Rozpaliła ogień, zwinęła się przed nim na sofie i z kotem angorskim na kolanach patrzyła na przemian to na emaliowane ptaszki, to na komplet do pisania, to na jaskrawe tańczące płomienie. Marzyła.

Jakie były lekkomyślne, jej siostra i ona, jak mało myślały o innych. Ale gdyby wszystko mogło się skończyć inaczej... gdyby w jakiś sposób wolno jej było kochać Gartha i przyjmować jego miłość bez poczucia winy, żyć z nim i wspólnie spędzić życie... Moglibyśmy mieć dziecko, pomyślała. Niespodzianka dla Penny i Cliffa. Lekki uśmiech podniósł kąciki jej ust, gdy wyobraziła sobie, jak rzucają we dwoje monetę, kto ma je karmić.

Mogłaby zawrzeć spółkę z Madeline, urządzić i odnawiać stare wnętrza, a Linda zajmowałaby się wyprzedażami majątkowymi. Stworzyłyby fantastyczny zespół, zwłaszcza gdyby połączyły *Starocie z Ambasadorem* i mogły wybierać najlepsze dzieła sztuki i antyki na dwóch kontynentach.

Mieliby z Garthem do dyspozycji pieniądze ze sprzedaży domu na Cadogan Square, a ona ściągnęłaby panią Thirkell do Ameryki. Mogliby pozwolić sobie na podróżę — do Londynu, do Paryża, gdzie Gaby i Brooks będą spędzać dużo czasu, nawet do Rio, żeby zobaczyć się z Aleksandrą i wreszcie poznać jakichś Indian Guarani.

Mogliby połączyć wypad do Londynu z domem i życiem w Evanston. Mogliby pozwolić sobie na to wszystko. I mogłaby kupić Garthowi w *Mark Shale* skórzaną kurtkę, bo w jej stronę strzygł okiem pewnego dnia, gdy razem chodzili po sklepach.

Kurtka. Pakowanie. Musiała się przygotować. Wyjęła z szafy małą walizeczkę i zaczęła przeglądać ubrania na wyjazd do Aten. Lecz każda suknia oznaczała wesołość i ludzi. Przesunawszy po nich dłoń, doszła do wniosku, że nie może tego zrobić. Jeszcze nie teraz, gdy Garth jest wszechobecny w jej myślach, tak rzeczywisty, że zda się wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć jego twarzy, i stulić usta, żeby go pocałować. Chciała widzieć tylko jego.

Zadzwoiła do Dmitriego i powiadomiła go, że nie pojedzie. Może innym razem, może mieli przed sobą jakąś przyszłość. Postąpiła z nim nieładnie; słyszała rozczarowanie w jego głosie i wiedziała, że to niesprawiedliwe tak go traktować. Gdziekolwiek się obróciła, zadawała cierpienie. Może powinna usiąść w swoim pokoju, sama, i siedzieć tak, póki nie sczeźnie. Wtedy obie znikną ze świata. Sabrina i Stefania Hartwell, które razem wyrosły, następnie zamieniły się miejscami, a jeszcze później wyparowały.

Pogrzebała w ogniu, dorzuciła polano i wróciła na sofę biorąc znów kota na kolana. W płomieniach wciąż przewijały się marzenia, bardziej wyraziste niż kiedykolwiek. Nie znikają, pomyślała, nawet nie blakną. Mijają dni i tygodnie, telefon dzwoni, nadchodzą prezenty od dwójki kochających dzieci. Czas płynie, ludzie przychodzą i odchodzą z naszego życia, i tylko marzenia zostają wciąż żywe i wyraźne.

Usłyszała, jak pani Thirkell człapie po schodach. Pora na lunch, pomyślała. Potem trochę popracuję, przyniosłam ze sobą z *Ambasadora* tyle lektury: katalogi, książki, listy, na które trzeba odpisać. Dość zajęcia na całe święta. Trzeba tylko się skupić i zapomnieć o wszystkim innym, przynajmniej na trochę.

Pani Thirkell zapukała i pojawiła się w otwartych drzwiach, bez tchu, czerwona jak burak i promieniejąca.

— Milady, ma pani gościa...

Zanim zdołała skończyć, ktoś następujący jej na pięty wyprzedził ją i wszedł do pokoju. Garth.

Sabrina poderwała się z okrzykiem, więc zatrzymał się ostrożnie

w połowie drogi, przypomniawszy sobie gwałtowne słowa, jakie między nimi padły. Wyciągnęła do niego ręce i wyszeptala z trudem:

— Myślałam... śniłam o tobie... cały czas...

W jednej chwili znalazł się przy niej, jakby te słowa wyzwoliły go. Złapał ją i otoczył mocno ramionami, przytulając jej głowę do swojej piersi. Usłyszała niewyraźnie, jak pani Thirkell wychodzi z pokoju, a potem jedynym dźwiękiem, jaki do niej dochodził, było gwałtowne bicie serca Gartha i jego szept, gdy przesuwiał ustami po jej włosach:

— Najdroższa, moja najdroższa, te wszystkie puste dni bez ciebie... Poruszyła się w jego objęciu podnosząc twarz i usta ich się spotkały. Pod zamknięte powieki wpływał pomarańczowy blask kominka, czuła zapach wilgotnej wełny płaszcza Gartha i deszcz na jego włosach, pod własnymi dłońmi. ***To nie sen; to już nigdy nie będzie sen.***

Garth trzymał ją w objęciach i wdychał delikatny zapach, który prześladował go od tygodni. Czuł, jak cichnie w nim bolesna rozterka: wrócił do domu.

— Tak — wyszeptala, jakby powiedział to na głos, i spojrzała w jego ciemne, płonące oczy. — Własne miejsce na ziemi...

***Lecz jeszcze nie wszystko wyjaśnione. Nie zdążyliśmy...*** Oparła ręce na jego piersi i odepchnęła go lekko.

— Garth, nie zdążyliśmy porozmawiać... Wszystko jest nie dokończone...

— Wręcz przeciwnie, najdroższa. — Całował jej oczy, usta i zagłębienie w szyi. — Nie nie dokończone, lecz rozpoczęte. I to nie w kłamstwie, lecz w prawdzie...

— Prawdzie? Przecież cię oszukiwałam...

— W najbezwstydniejszy sposób. Ale czy twoje uczucia wobec Penny i Cliffa nie były szczerze? Albo wobec mnie?

Potrząsnęła głową.

— Ale poza tym...

— Poza tym była miłość. Moja najmilsza, stworzyłaś na nowo małżeństwo, dzięki tobie staliśmy się rodziną i to jest prawda, którą nam ofiarowałaś. Tylko że... — Zaśmiał się lekko. — To nie jest do końca prawdziwe. Moja najdroższa, chcę cię poślubić i zabrać do domu, żeby przeszłość i przyszłość stała się naszym jednym, wspólnym życiem...

— Kochanie... — rzekła z westchnieniem. Spojrzeli oboje na łóżko.

— Och, zaczekaj. — Zatrzymała go. — Zapomnieliśmy... Co powiedziałeś Penny i Cliffowi?

Garth spojrzał na jej promienną twarz i oczy błyszczące oczekiwaniem. Więc ziściły się wszystkie marzenia...

— Że spróbuję przywieźć cię do domu — powiedział.

— Są u Vivian?

Skinął głową w milczeniu, walcząc ze wzruszeniem. Podniosła słuchawkę, wykręciła numer i usłyszawszy głos Vivian oparła się o ramię Gartha.

— Vivian? Mówi Stefania. Czy mogłabym pomówić z moimi dziećmi? Chcę im powiedzieć, że wracam do domu.